

ANGGUS WATSON

UMRZESZ,
KIEDY UMRZESZ



fabryka słów

ANGUS WATSON

UMRZESZ, KIEDY UMRZESZ

PRZEŁOŻYŁ
MACIEJ PAWLAK

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA

COPYRIGHT © BY Angus Watson
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2018
TYTUŁ ORYGINAŁU
You die when you die

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-376-9

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Azbooka-Atticus Publishing Group LLC

PROJEKT OKŁADKI ORAZ ILUSTRACJE
Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE
Maciej Pawlak

REDAKCJA
Gabriela Niemiec

KOREKTA
Magdalena Byrska



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Część pierwsza

ROZDZIAŁ 1Finnbogi się zabujał

ROZDZIAŁ 2Miasto skrælingów

ROZDZIAŁ 3Przepowiednia

ROZDZIAŁ 4Sofi

ROZDZIAŁ 5Eryk Złośnik

ROZDZIAŁ 6Koniec świata

ROZDZIAŁ 7Ting

ROZDZIAŁ 8Cwana Chippaminka

ROZDZIAŁ 9Niedźwiedzia łapa

ROZDZIAŁ 10Dym

ROZDZIAŁ 11Rudy lis numer jeden i rudy lis numer cztery

ROZDZIAŁ 12Gąsienice

ROZDZIAŁ 13Sami starzy znajomi

ROZDZIAŁ 14Pierwsze koty za płoty

ROZDZIAŁ 15Wrogobójca

ROZDZIAŁ 16Krokodyle plemię

Część druga

ROZDZIAŁ 1Niedźwiadek i debil

ROZDZIAŁ 2Różowa mgła

ROZDZIAŁ 3Wiek to tylko liczba

ROZDZIAŁ 4Kultura musi być

ROZDZIAŁ 5Szczypce kamiennego kraba

ROZDZIAŁ 6Kto jest głupi?

ROZDZIAŁ 7Pięć kroków

ROZDZIAŁ 8Rimilla i Potsi

ROZDZIAŁ 9Nieuzasadnione poczucie wyższości

ROZDZIAŁ 10Saks i tarcza przeciw włóczni

ROZDZIAŁ 11Droga do Walhalli

ROZDZIAŁ 12Wielki kot

ROZDZIAŁ 13Ojcostwo

ROZDZIAŁ 14Dzieje Eryka

ROZDZIAŁ 15Frossanka z plemienia Białych Niedźwiedzi

ROZDZIAŁ 16Schronienie

ROZDZIAŁ 17Zabici czarnoksiężnicy

ROZDZIAŁ 18Kiepsczy muzycy

ROZDZIAŁ 19Euje

ROZDZIAŁ 20Sztuczka z włosami

ROZDZIAŁ 21Kamienna Rzeka

Część trzecia

ROZDZIAŁ 1Miłość w błocie

ROZDZIAŁ 2Dupek

ROZDZIAŁ 3Sercojagodowy Kanion

ROZDZIAŁ 4Pogoda

ROZDZIAŁ 5Bezsila

ROZDZIAŁ 6Lisek chytrusek

ROZDZIAŁ 7Żadnych wymówek

ROZDZIAŁ 8Matka Wodna jest jedna

ROZDZIAŁ 9Klif

ROZDZIAŁ 10Po prostu sobie płynie

ROZDZIAŁ 11Zasadzka

ROZDZIAŁ 12Tam i z powrotem

ROZDZIAŁ 13Perswazja

EPILOGNadchodzą Badlandczycy

Nota historyczna

Podziękowania



Nicoli, Charliemu i Otty'emu

Część pierwsza

Harówka, osada nad jeziorem,
i Calnia, miasto nad rzeką





ROZDZIAŁ 1

Finnbogi się zabujał

Na dwa tygodnie przed tym, jak wszyscy umarli, a świat zmienił się na zawsze, Finnbogi zwany Zbukiem marzył o Thyri Drzewonogiej.

Torował sobie drogę wśród drzew, dźwigając na ramieniu pniak. Szedł w kierunku domu brzegiem Słodkiego Morza Olafa. Głowę dam, myślał, że Thyri zapala miłością do mnie, gdy tylko pokażę jej, co wyrzeźbiłem z tego kawałka drewna. Tylko co właściwie wyrzeźbi? Może szopa? Ale jak się do tego zabrać...

Tok myśli przerwała mu osa, wielka jak wiewiórka, która wystrzeliła z kupki żwiru i pomknęła wprost na niego, kreśląc

w powietrzu nieregularną linię.

Młodzieniec krzyknął, zrobił unik, upuścił pniak, po czym obrócił się przodem do przeciwnika. Człowiek i owad krążyli wokół siebie jak szykujące się do boju kraby. Masywna osa była niemal zbyt wielka, by móc latać. Finnbogi wyrwał saks z pochwy, o mało nie ucinając sobie przy tym palca. Machał krótkim mieczem, ale osa, podlatując coraz bliżej i bzycząc coraz głośniej, z łatwością unikała kolejnych ciosów. Finnbogi w końcu pękł, odrzucił saks, padł na kolana i zaczął wymachiwać ramionami nad głową. Przez ścianę przerażenia do jego świadomości przedostała się myśl, że musi teraz wyglądać dokładnie jak wtedy, kiedy robi „królika w czasie huraganu” dla swojego przybranego rodzeństwa, które zrywa wówczas boki ze śmiechu. Wtem zorientował się, że osa gdzieś znikła.

Wstał i otrzepał się z piachu. Migocząca w promieniach słońca tafla wielkiego jeziora, zwanego przez jego ludzi Słodkim Morzem Olafa, rozciągała się na wschód dalej, niż mógł sięgnąć okiem, a na zachodzie szumiało skupisko drzew, jakby wymieniało plotki na jego temat. Widziałeś? Ale tchórz. Osy się boi. Ponad nimi sunęły po niebie wielkie, obojętne chmury, rzucając cień na krainę, do której nigdy się nie zapuścił. Ta krwiożercza bestia – bo „osa” nie oddawała istoty rzeczy – fruwała na południe niczym ciśnięta dziecięcą ręką zabawka, która zapomniała o lądowaniu, zmierzając wzdłuż linii wybrzeża prościutko do Harówki.

Patrzył tak długo, aż nie mógł już dostrzec owada, a potem wznowił marsz.

Finnbogi podsłuchał kiedyś niechcący, jak Thyri Drzewonoga mówiła, że będzie tego ranka ćwiczyć w lasach na północ od Harówki, włożył więc swoją najlepszą niebieską tunikę i spodnie w pasy, po czym ruszył w tamtym kierunku, by wpaść na nią zupełnym przypadkiem. Ale znalazł tylko ten pniak, z którego

wyrzeźbi dla niej coś pięknego, oraz, ma się rozumieć, tę cholerną osę, która mogłaby toczyć śmiertelny bój z samym Thorem w którejś z sag. Nigdy nie widział tak ogromnego owada. Zgadywał, że przywiały go na północ ciepłe wichry z południa, będące miłą odmianą po ostatnich chłodach.

Gdyby ktoś – Gruby Wulf, Garth Kowadłogęby czy, nie dajcie bogowie, sama Thyri – zobaczył go, jak odrzuca saks i kuli się przed byle insektem jak Loki przed gniewem Odyna, kpiłby z niego do samego ragnaröku.

A może... – rzuciło mu się na myśl – a może by tak powiedzieć Thyri, że ubiłem tę osę? Nie, wyśmiejemy tylko, bo nie uwierzy, jaka była wielka. Musiał zrobić coś innego, a mianowicie upolować zwierzę, które słynie ze swoich rozmiarów i dzikości... O właśnie! Tak zdobędzie jej serce! Opuści wioskę, uda się na zachód i wytropi jednego z tych dzikich kotów z kłami jak sztylety, o których tyle gadali. To będzie nie lada wyczyn, na miarę wyprawy Thora i Lokiego do krainy olbrzymów, tylko że Finnbogi będzie zarówno dzielnym Thorem, jak i cwany Lokim w jednej osobie, niepokonanym wojownikiem, o którym będą śpiewać skaldowie. O ile wcześniej nie dopadną go skrælingowie i nie ukarzą za opuszczenie wydzielonych ziem. Dziesięćmiłowy obszar był właściwie ich więzieniem, choć żaden Harowianin poza Finnbogim nigdy by tego nie przyznał.

Olaf Odkrywca i inni przodkowie mieszkańców Harówki przybyli tu ze starego świata zimą pięć pokoleń temu. W ciągu tygodnia zamarzło całe jezioro, a śniegu nawiało tyle, że zaspas przerosły maszty drakkarów. Harowianie, nie mogąc znaleźć jedzenia, szybko zaczęli przymierać głodem. Nie byli w stanie nigdzie pójść, bo grzęźli w białym puchu, ani popłynąć, bo jezioro skuł lód, zakopali się więc w zaspach i po prostu czekali na śmierć.

Wtedy na ratunek przybyli Goachikowie, lokalne plemię

skrælingów, ale postawili dwa warunki. Po pierwsze, Harowianie porzucą własną mowę i nauczą się uniwersalnego języka skrælingów, a po drugie, nigdy żaden Harowianin nie zepuści się dalej niż na dziesięć mil od miejsca lądowania.

Miało to być rozwiązanie tymczasowe, ale jakiś bóg skrælingów orzekł, że Goachikowie mają dalej opiekować się plemieniem Harowian, jego członkowie zaś bez żalu porzucili zbieractwo i uprawę ziemi na rzecz całodziennych zabaw, gier, ćwiczenia się w walce, łowienia ryb, tańca, sztuki czy czego tam tylko chcieli.

Pięć pokoleń później Goachikowie wciąż dawali im wszystko, czego tylko potrzebowali, a mieszkańcy wioski trzymali się wybrzeża, na którym dawno temu wylądował sławny Olaf. Bo i czego mieliby szukać w dziczy? Na wyznaczonym terenie było dość miejsca, by mogli robić, co tylko chcieli. Większość Harowian nie oddalała się więc od sioła dalej niż na milę.

Ale Finnbogi był ulepiony z innej gliny. Był bohaterem, poszukiwaczem przygód i jak mu bogowie mili – wyruszył w podróż. Gdyby zdołał wydostać się z terenu i upolować dzikiego kota... Byłby pierwszym Harowianinem, któremu udałooby się zobaczyć to groźne zwierzę, nie mówiąc już o jego pokonaniu, gdyby więc przywłócił upolowaną bestię z powrotem do domu i zrobił dla Thyri naszyjnik z przerośniętych kłów kota, dziewczyna z pewnością zrozumiałaby, że jest on mężczyzną wprost stworzonym dla niej. Właściwie to chyba nawet wolałaby dostać sztylet. No i dobrze, sztylet łatwiej zrobić.

Minęło parę minut i Finnbogi poczuł, że ktoś go śledzi. Zwolnił i się odwrócił. Nie zobaczył niczego na plaży, ale z północy ciągnęła wielka ciemna chmura. Przez krótką chwilę obawiał się kolejnej burzy. Kilka ostatnich nawałnic kompletnie pozrywało rybackie sieci, a przez grzmoty i ulewne deszcze

niektórzy nabrali przekonania, że nastał czas ragnaröku, końca świata.

Gdy zmrużył oczy, odetchnął z ulgą – chmura nie była chmurą, lecz chmarą gołębi. Jakiś czas temu podobnie nieprzeliczone stado przefrunęło tuż nad Harówką. Miliony ptaków na kilka dni zasnuły niebo i zasrały całą okolicę. Finnbogi przyspieszył kroku – nie chciał wejść do wioski utyłany ptasim gównem – i wrócił myślami do Thyri.

Gdy przeskoczył obdarty z kory pień, który zasłaniał mu widok na cypel, raptem doszły go głosy i dźwięczny śmiech. Finnbogi wiedział, do kogo należy, zanim jeszcze pokonał wzniesienie i spojrzał z wysoka na grupkę ludzi na plaży. Było to grono przyjaciół starszych od niego o kilka lat.

Gruby Wulf wbiegł nago do morza, machając ramionami i krzycząc, po czym rzucił się z chlustem do wody. Sassa Gryziwarga śmiała się, rozbawiona pajacowaniem męża, a Bodila Gęsiodzioba wrzeszczała jak wariatka. Bjarni Kurza Twarz śmiał się z odchyłoną głową. Garth Kowadłogęby pryskał wodą na Bodilę i darł się jeszcze głośniej.

Kif Berserk stał w głębszej wodzie, a jego mokre, sięgające pasa jasne włosy i długa broda zakrywały tors jak bezrękawnik. Ponad falami wywijał młynce swoim dwuręcznym toporem, Duporąbem, parując ciosy niewidzialnego przeciwnika.

Finnbogi uśmiechnął się po przyjacielsku, na wypadek gdyby ktoś go zauważył. Kawalek dalej leżały na piasku ubrania i broń. Ozdobione zgrabnym haftem sukienki Bodili i Sassy wisiały na słupach. Obydwie były dziełem Gryziwargi, która spędzała długie godziny na szyciu, dzierganiu i tkaniu najbardziej stylowych ubrań w Harówce. To ona wykonała niebieską tunikę i pasiaste spodnie Finnbogiego. Wyszły jej całkiem nieźle.

Mężczyźni ciepnęli swoje ubrania na piasek z typowo męską niedbałością. Finnbogi odnalazł wzrokiem stertę skórzanych

portek i naoliwioną kolczugę Gartha, którą – mimo że ważyła tyle co wyrosnięte pacholę – jej właściciel nosił codziennie od świtu do zmierzchu. Mówił, że zardzewieje, jeśli kółka nie będą w ruchu, a poza tym w ten sposób przyzwyczai się do niej i będzie swobodniej poruszał się w bitwie.

W bitwie! Ha! Członkowie hirdy nie toczyli innych bitew niż tylko te na niby między sobą. Prawdopodobieństwo, że zasmakują kiedyś prawdziwej walki, było mniej więcej równe temu, że Finnbogi wyprawi się na zachód i upoluje sztyletozębnego kota. Doskonale znał prawdziwy powód, dla którego Garth nie rozstawał się z kolczugą. Bo był dupkiem, który uważał, że wygląda w niej jak bohater.

Choć nie miało to właściwie sensu, większość z około stu mieszkańców wioski uczyła się walki bronią przywiezioną ze starego świata. Cała czwórka kąpiących się mężczyzn należała do hirdy, elitarnego oddziału złożonego z dziesięciu najlepszych wojowników Harówki.

Finnbogi spodziewał się zaproszenia do hirdy zeszłego lata, gdy jeden z członków stał się zbyt stary i opuścił jego szeregi, ale jarl Brodir wybrał zamiast niego Thyri Drzewonogą. Początkową reakcją Finnbogiego był bezceremonialny opad szczęki. Thyri nie dość, że była dziewczyną, to miała wtedy zaledwie szesnaście lat, była więc od niego o dwa lata młodsza. Finn nie był pewien, ale podejrzewał, że o wyborze Thyri zdecydował fakt, że odkąd skończyła dwa lata, całymi dniami szkolila się na wojowniczkę i nawet wyrabiała własną broń. Nie mógł zaprzeczyć, że pewnie odnajdzie się w hirdzie. No i właściwie to dobrze, że będzie w nim choć jedna kobieta.

Każde dziecko w Harówce wiedziało, dlaczego Olaf Odkrywca i inni założyciele wioski przepłynęli słone morze, tak wielkie, że nikt z pokolenia Finnbogiego nie potrafił tego objąć rozumem, a potem pokonali rzeki i rozległe jeziora, by ostatecznie osiedlić

się na brzegu Słodkiego Morza Olafa. Jednym z powodów, dla których opuścili stary świat, było niesprawiedliwe traktowanie kobiet – a więc to bardzo dobrze, że w końcu reprezentantka płci pięknej została przyjęta do hirdy, choć Finnbogi żałował, iż odbyło się to jego kosztem, bo czuł, że miejsce w hirdzie mu się należy. Nie żeby jakoś szczególnie chciał się w nim znaleźć, co to, to nie! Co to za radocha cały dzień machać bronią? Miał lepsze rzeczy do roboty.

Gruby Wulf dał nura w morskie fale – nikt nie potrafił wstrzymać oddechu pod wodą dłużej od niego. Garth Kowadłogęby obejrzał się przez ramię i zauważył Finnbogiego.

– Hej, Finn-ZBUK-i! – zawołał. – Jak spróbujesz zwinąć nam broń, każę jednej z dziewczyn dać ci lanie!

Finnbogi poczuł, że oblewa się rumieńcem, i odruchowo przeskoczył wzrokiem do miejsca, gdzie leżał oręż: należące do Gartha dwa przesadnie inkrustowane topory, które ktoś w starym świecie nazwał Ponurymi Bliźniakami, bo były bliźniaczo podobne, a poza tym zostawiały blizny; zjawiskowy miecz Bjarniego – Pogromca Lwów, którym ktoś pewnie kiedyś ubił to groźne zwierzę; masywny młot Wulfa – Grom, nazwany tak z pewnością na cześć boga piorunów Thora; oraz łuk Sassy, który nie miał imienia, bo nie pochodził ze starego świata.

– Fajne ciuszki! – zakpił Garth. – To miło, że ładnie się ubierasz, gdy idziesz do lasu besztać kozła. Skoro ręka to twoja jedyna panienka, warto dobrze ją traktować, co? Ty loczkowaty kutasiarzu?

Finnbogi zaczął myśleć nad ciętą ripostą, bo skoro był kutasiarzem, to znaczy, że nie mógł robić tego wyłącznie z własną ręką. Już miał odpyskować Garthowi, ale pojął, że myśl przewodnia zanadto skupiała się na jego bliskich związkach z kutasami, więc zarzucił ten pomysł.

– Weź spierdalaj, widok zasłaniasz – dowalił na koniec Garth,

przerywając mu obmyślanie odpowiedzi i wytrącając go z rytmu.

Niech go Hel porwie. Garth może i był tępy, ale teksty miał mocne.

– Daj mu spokój – stanęła w jego obronie Sassa Gryziwarga, a Finnbogi jeszcze bardziej pokraśniał, bo Sassa była śliczna.

– Właśnie! – pisnęła Bodila. – Finnbogi, chodź się wykąpać!

– Właśnie, Zbuki! Lepiej się wykąpać po całodziennym koniobiciu! – Garth zarechotał.

Wulf wyłonił się z wody i opromienił Finnbogiego serdecznym uśmiechem. Jego mokre, szerokie barki lśniły w słońcu.

– O, Finn! Cho no tu! – zawołał.

Wreszcie ktoś zwrócił się do niego normalnie.

– Cho-no-tu! Cho-no-tu! – skandowała uśmiechnięta uroczo Bodila.

Sassa kiwnęła na niego palcem i wyszczerzyła się, wzbudzając nieśmiały uśmiech na wargach Finnbogiego. Za jej plecami Kif, który nie zauważył pojawienia się chłopaka, wciąż rąbał wyimaginowane dupy swoim toporem Duporąbem.

– Teraz nie mogę, muszę... Znaczą... – Wskazał niezgrabnie na pniak.

– Jasna sprawa, stary! Rób, co masz do zrobienia. Widzimy się potem! – Wulf skoczył jak ryba i zniknął pod wodą.

– Cześć, Finn! – pożegnała się Bodila.

Sassa i Bjarni pomachali rękami, a stojący w wodzie Garth o błyszczącym w promieniach słońca muskularnym torsie uśmiechnął się i zmierzył Finnbogiego wzrokiem, zupełnie jakby wiedział o osie i o tym, dlaczego Finn miał na sobie najlepsze ubranie i co chciał zrobić z pniakiem.

– Pojęcia nie mam, czemu w ogóle z nim gadacie... – dobiegły go jeszcze słowa Kowadłogębego, gdy już zsuwał się po piaszczystej skarpie.

Finnbogi z kolei nie wiedział, czemu ktokolwiek chciałby gadać z Garthem. Przecież to kutas jakich mało. Reszta była w porządku. Gruby Wulf nigdy nie obraził nikogo ani słowem. Bjarni Kurza Twarz był przyjacielski i wesoły z natury. Sassa Gryziwarga – piękna jak marzenie. A Bodila Gęsiodzioba... była po prostu Bodilą, której nadano taki przydomek nie dlatego, że wyglądała jak gęś, ale ponieważ Finnbogi ogłosił kiedyś, że gdy się nad czymś zastanawia, układa wargi w dzióbek – bo to była prawda – i tak już zostało. Finn miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale to przecież nie jego wina, że jest tak cholernie spostrzegawczy.

Szedł dalej, obmyślając odpowiedzi na głupie gadanie Gartha o kutasach. Dwie najlepsze brzmiały: „Weź wypłynij w morze, a jak się zmęczysz, to płyn dalej!” oraz „Ja zasłaniam widok? Przecież i tak to ty masz najlepszy widok – bo sam siebie nie widzisz!”.

Nie ma to jak cięta riposta.



ROZDZIAŁ 2

Miasto skrælingów

Trzysta pięćdziesiąt mil na południe od Harówki szambelan Hatho wkraczał właśnie zachodnią bramą do Calnii, stolicy calnijskiego imperium i najwspanialszego miasta świata. Doznał szoku, gdy po niemal rocznej tułaczce ujrzał rozwiniętą dzielnicę przemysłową swojej rodzinnej metropolii. Nie mógł nie zatrzymać się i nie potrząsnąć w zdumieniu głową. Gdyby wywodził się z biedoty, pewnie rozdziawiłby usta, a może nawet zaklął, ale był na to o wiele za potężny i o wiele za bogaty.

Zrobił głęboki wdech, by się uspokoić. Ach, słodkie calnijskie powietrze, nie do pomylenia z żadnym innym. Na Innowaka, boga słońca, i na Łabędzią Cesarzową Ayannę – to prawda, że wszystkie drogi, ścieżki i trakty tego świata zaczynają się i kończą w olśniewającej stolicy calnijskiego imperium.

Szambelan Hatho, ambasador i zaufany powiernik Łabędziej Cesarzowej Ayanny, przebył na jej rozkaz tysiące mil, wykonując misje wagi państwowej, wymagające jego nadzwyczajnych zdolności i talentów. Może to i prawda, że niektóre z miast, jakie napotkał na swojej drodze, mogły iść w szranki ze stolicą, jeśli idzie o rozmiary i splendor, ale przez ostatnie tygodnie przemierzał psim zaprzęgiem i łodziami najnędzniejsze zakątki tego świata, nie oglądając osiedli większych niż wioski i osady złożone z zapadłych chat, lepianek i namiotów. Spanie w najlepszych kwaterach tych zapomnianych przez bogów pipidówek sprawiało, że rano swędziało go całe ciało. Jak nisko urodzeni mogli w ogóle żyć w takich warunkach?

– Calnia jest królową wszystkich miast jak świat długi i szeroki. Czyż nie tak, Chippaminko?

Chippaminka, młoda nałożnica oraz przyboczna dźwigająca jego alchemiczną torbę, ujęła ramię szambelana i przycisnęła do niego naoliwione piersi.

– Jest doprawdy wspaniała – wymruczała, rozwierając szeroko oczy, co przyniosło Hathowi satysfakcję.

Odsunął od siebie dziewczynę na długość ramienia. Miała na sobie przepaskę biodrową z wyszytym łabędziem z kolców jeżozwierza oraz złoty łabędzi naszyjnik, który miał nie tylko odbijać światło, ale też świadczyć o tym, że nałożnica jest czcicielką Innowaka, boga słońca. Poza tym była goluteńka. Odpowiedziała na jego spojrzenie kokieteryjnym uśmiechem, a potem oblizwała górną wargę.

Musiał odwrócić wzrok.

Był bardzo zadowolony ze swojej nosicielki. Nadzwyczaj zadowolony. Kobieta pełniąca tę funkcję poprzednio zniknęła wkrótce po tym, jak objął stanowisko ambasadora – przepadła jak kamień w wodę w wielkim mieście portowym u ujścia Matki Wody. Szli ulicą, a gdy obrócił się, by ją o coś spytać, już jej nie było. Nigdy więcej już jej nie zobaczył.

Tamtego wieczoru służka zwróciła uwagę na jego wisielczy nastrój i uznała, że poprawi Hathowi humor tańcem. Kazał jej odejść i zaprotestował, gdy zaczęła pisać mimo jego sprzeciwu, ale jego słowa ścichły do piskliwego szeptu, gdy zaczęła widać się przed nim, giętka i powabna, opromieniając go zniewalającym uśmiechem i łyskając ponętnie oczami. Otumaniała go, tak jak wąż hipnotyzuje wiewiórkę.

Gdy skończyła tańczyć, poprosił Chippaminkę, by została jego pomocnicą. Od tamtej chwili nie odstępowała go na krok. Była idealną towarzyszką. Wiedziała, gdy robił się głodny, gdy chciał pobyć sam, gdy robił się senny; bezbłędnie wyczuwała, kiedy mówić, a kiedy milczeć, oraz – co najważniejsze – jak uprawiać miłość, by uśmiech nie schodził z jego ust przez długie godziny.

Szambelan Hatho miał czterdzieści pięć lat. Od zawsze był zdania, że miłość to tylko złudzenie, szumne słowo na pospolite zauroczenie lub żądzę. Ale teraz już wiedział, czym miłość jest. Chippaminka mu to pokazała. Codziennie dziękował Innowakowi, że postawił ją na jego drodze. Nawet w snach zanosił dziękczynne modły za to wielkie szczęście, jakiego dostąpił z łaski boga bogów.

Złapała go za rękę.

– Po prostu wspaniałe – powtórzyła. – Ale co robią ci wszyscy ludzie?

Zatoczył półokrąg ramieniem, zamykając w nim rozmaite stanowiska pracy, zakłady i małe manufaktury, które okalały drogę prowadzącą przez miasto do zachodniej bramy.

– Tutaj obrabia się krzemień, tutaj kowale rozgrzewają i wykuwają przedmioty z miedzi, ołowiu i żelaza wydobywanego na północy. Dalej masz garbarzy, którzy zmiękczają skóry za pomocą zwierzęcych mózgow, szpiku lub wątroby. Obok nich widać rzemieślników, którzy wyrabiają narzędzia, fajki, kosze, paciorki i naczynia z muszli, gliny, marmuru, piór, rogowca, kolców jeżozwierza i turkusu. Ta kolejna grupa ludzi to krawcy, którzy szyją, dziergają, plotą i tkają z bawełny, pasemek kory i wełny pozyskanej z każdego futrzastego stworzenia, jakie istnieje na świecie Łabędziej Cesarzowej.

– Ach, jacy oni pilni i staranni. Muszą być wszyscy bardzo mądrzy.

– Wręcz przeciwnie – uśmiechnął się szambelan Hatho. – To są plebejusze, prości ludzie, którzy wykonują przyziemne, ale pożyteczne czynności, ażeby ludzie tacy jak ja, a także ty, Chippaminko, mogli wzbijać się na poziomy nieosiągalne dla innych.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– A co robią tamci ple... plebejusze? – Wskazała palcem grupę kobiet, które w rytualnym tańcu wypluwały farbę na skórzane tarcze.

– Używają alchemicznej mieszanki śliny i farby do tworzenia magicznych tarcz.

– Ach, prawdziwa magia! A tam dalej?

Szambelan Hatho potoczył wzrokiem po znacznej części terenu, gdzie uwijali się jak w ukropie rzemieślnicy, i pokiwał głową, dumny jak paw.

– A tak, musisz być szczerze zdumiona, moja Chippaminko. Zapewne ten widok kojarzy ci się z jakąś legendą twojego rodzinnego plemienia. To jest dzielnica rzemieślnicza. Wytwarza się w niej najróżniejsze rzeczy, o czym przekonasz się, gdy tam pójdziemy. W całej Calnii pracują w pocie czoła nieprzeliczone

tłumy rzemieślników i artystów, a każdy z nich ma swój wkład w utrzymanie dwudziestopięciotysięcznego miasta, które roztacza władzę nad całym imperium.

– Aż tylu ludzi tu mieszka?

– A jakże! Imperium rozciąga się na setki mil w kierunku północnym i południowym, biegnie wzdłuż wschodniego brzegu wielkiej rzeki Matki Wody. Jak więc widzisz, właśnie tylu ludzi potrzeba, żeby sprawnie nim rządzić.

– A co to za góry, szambelanie Hatho?

Chippaminka kiwnęła głową na dziesiątki piramid o płaskich wierzchołkach, które wznosiły się ponad strzechy plebejskich chat niczym wyspy bogactwa pośród morza biedy. Krawędzie tych największych były ozdobione twardą czarną gliną i zwieńczone budynkami o złotych dachach, w których przeglądało się słońce.

– To nie góry, ale piramidy, a więc wytwór rąk ludzkich. Budowle o wielkiej magicznej mocy, gdzie mieszkają najznamienitsi obywatele Calnii. Najwyższą z nich jest Góra Słońca, dokąd właśnie zmierzamy na audiencję u samej Łabędziej Cesarzowej Ayanny. A czy widzisz ziggurat, który wznosi się za nią?

– Ten mały po prawej stronie? Już nie tak imponujący?

– Tak... To moja piramida. Nie jest tak duża jak Góra Słońca, lecz z pewnością dość obszerna, żeby pomieścić mój dom, kwatery niewolników i szałas potów. Tam będziemy mieszkać.

– My?

– Jeśli się tylko zgodzisz. – Naszła go fala strachu, który rósł wraz z jego miłością, ponieważ Innowak nie zezwalał na miłość wolną od strachu. Nagle przeraził się, że Chippaminka rozkochała go w sobie tylko po to, by go teraz porzucić.

– Z dziką rozkoszą zamieszkać z tobą, szambelanie – odparła, a on oparł się potrzebie, by skakać i klaskać jak małe dziecko. Nie

mógł sobie na to pozwolić, gdy patrzyli na niego plebejusze. Dotąd nie spodziewał się, że jest zdolny do tak żywych emocji. Przed chwilą był zdjęty trwogą, a teraz, dzięki kilku słowom z ust tej dziewczyny, nie posiadał się z radości. Zastanowiło go, czy wszyscy ludzie są tak skomplikowani, czy też może to Calnianie osiągnęli szczyt wyrafinowania, którego wyrazem są sprzeczne i jaskrawe uczucia targające duszą szambelana Hatha.

– Chodźmy więc – rzekł z godnością. – Złożmy raport cesarzowej, a potem pokażę ci twój nowy dom.

Ruszył ścieżką, a Chippaminka za nim, na poły idąc, na poły tańcząc. Ten jej rozpląsany krok był jedną z wielu rzeczy, za które ją kochał.

Zmarszczył nos, gdy poczuł drażniący zapach garbarni, i zwrócił się do Chippaminki, która już wyłowiła z torby tytoń. Kilka suszonych liści pomoże mu znieść ten okropny fetor. Otworzył usta, a ona wsunęła tytoń, nie spiesząc się wcale z zabraniami palców z jego warg. Zmiażdżył roślinę między zębami, po czym przycisnął papkę językiem do policzka. Ostry smak natychmiast odpędził smród.



Odgłosy wytężonej pracy napierały na nich ze wszystkich stron niczym muzyka orkiestry, a radość wypełniająca serce Hatha zespoliła jego puls z tym euforycznym rytmem.

Na szerokiej drodze przed nimi dzieci, które bawiły się procami, glinianymi zwierzątkami, drewnianymi łódkami i innymi zabawkami, rozstępowały się przed nim, wlepiając w niego wybałuszone oczy i rozdziawiając usta. Bo i było na co popatrzeć. Nie każdego dnia sam szambelan, jedna z dwóch

najważniejszych osób w całej Calnii, zniżał się do tego, by obcować z biedotą. Już sama jego szata i fryzura wystarczyły, by maluczcy wokoło nie mogli oderwać od niego oczu.

Tego ranka Chippaminka szczypczykami z rybiej ości usunęła z jego twarzy i tyłu głowy zbędne owłosienie. To proste narzędzie pozwalało uzyskać o wiele świeższy wygląd niż barbarzyńskie brzytwy z muszli, którymi golili się nędzarze. Długie włosy rozchodziły się z karku na podobieństwo wachlarza, formując skierowany w dół indyczy ogon, usztywniony niedźwiedzim sadłem i czerwonym barwnikiem. Z kolei włosy na czubku głowy zostały ułożone w kolczastą koronę za pomocą tłuszczu łosia i barwnika czarnego. Efekt potęgowały czarne pióra wyrwane z żyjących jeszcze ptaków o rozwidlonych ogonkach. Chippaminka mogła użyć piór kruczych, ale tymi posługiwali się biedacy, więc nie przystawały szambelanowi. Ptaki o ogonach jak węzowe języki były pięknymi stworzeniami o długich skrzydłach, które przemierzały tropikalne powietrze południowego morza. Młodzi mężczyźni i kobiety chcący dowieść swojej odwagi wyrywali pióra dorosłym osobnikom, nie czyniąc im większej krzywdy. Był to wyczyn prawie że niemożliwy, więc pióra były potwornie drogie. Te sześć we włosach Hatha kosztowało więcej, niż warty był cały dobytek wszystkich calnijskich robotników.

Jego przepaskę na biodra wykonano z najdelikatniejszej skóry młodego jelenia, buty zaś z najtwardszej skóry bizona. Materiał jego szaty był tak kosztowny i kunsztownie utkany jak najlepsze stroje samej cesarzowej Ayanny. Jej wykonanie zlecił w przypływie radości dzień po poznaniu Chippaminki. Sześciu tkaczy mozoliło się nad nią przez miesiąc, podczas gdy on przebywał w delegacji na południu. Był to płaszcz w kształcie łabędzich skrzydeł, ozdobiony dwudziestoma pięcioma tysiącami drobnych muszelek. Takie królewskie odzienie miało słać

Łabędzią Cesarzową, a każdy paciorek reprezentował jednego mieszkańca stołecznego miasta. Hatho chciał w ten sposób zaimponować władczyni.

Szata była wspaniała, ale jego ulubioną ozdobą była ta najprostsza. Jego garota. Miał nadzieję, że umrze przed cesarzową Ayanną, bo gdyby los postanowił inaczej, Hatho zostałby uduszony rzemieniem z bizoniej skóry, którą sam wyprawił. Nosił go zawsze przy sobie, aby przypominał mu o tej ponurej powinności, cenie, jaką płaciło się w Calnii za władzę i zaszczyty. Hatho kochał Chippaminkę całym sercem, ale ta miłość nie przyćmiła jego oddania dla Ayanny, Łabędziej Cesarzowej i żywego wcielenia boga słońca Innowaka, który codziennie oblatywał świat dookoła, zsyłając swym poddanym i wyznawcom ciepło i światło.

– Tutaj nie grozi nam już chyba niepogoda, szambelanie Hatho? – spytała Chippaminka.

W czasie ich podróży prawdziwym utrapieniem były rześiste nawałnice. Widzieli dwa tornada większe od wszystkich, o jakich słyszeli w życiu, które równały z ziemią nadbrzeżne sioła. Albo raczej to, co z nich zostało, po tym jak dwa dni wcześniej zniszczyła je olbrzymia fala. Odkrycie przyczyny tych anomalii było wielkim sukcesem misji szambelana Hatha. Miał nadzieję, że cesarzowa już o tym wie i – co ważniejsze – potrafi zaradzić przyczynie.

– Tak – odparł. – Ze mną już zawsze będziesz bezpieczna.

Minęli część rzemieślniczą i znaleźli się w dzielnicy artystycznej, gdzie powietrze wibrowało dźwiękami muzyki – czerwonych trąbek, grzechotek z jelenich kopyt i żółwich skorup, drewnianych kołatek, fletów i wszelkiego rodzaju bębnów. W ten jazgot wdarł się głos chóru; śpiewacy zaczęli od wysokiej nuty, a potem schodzili coraz niżej w wysublimowanej, znakomicie

wyćwiczonej harmonii, tak pięknej, że wszystkie włoski niewyskubane przez Chippaminkę stanęły szambelanowi dęba.

Wtedy rozległy się dwa nowe głosy. Brzmiały niemal jak krzyki przerażenia. Hatho odszukał wzrokiem ich źródło, by napomnieć krzykaczy i zgładzić ich, gdyby nie dość wylewnie przeprosili za zagłuszenie muzyki, która cieszyła uszy szambelana.

Zamiast tego rozdziawił usta.

Niektórzy chórzyści mieli w rękach kamienne topory, którymi atakowali pozostałych śpiewaków. To nie była sprzeczka o pomieszane nuty – łomotali się po łbach z wielką zaciekłością, aż tryskała krew. Czas zwolnił na moment, gdy kawałek mózgu rozmiarów i barwy sercojagody przefrunął łukiem w powietrzu i zostawił ohydnie mokry ślad na bezcennym płaszczu szambelana.

Kawałek dalej na drodze kolejni mężczyźni i kobiety dobywali oręża i rzucali się na bezbronnych muzyków i innych plebejuszy. Wnioskując po wyglądzie, byli to Goachikowie.

Szambelan Hatho zaczął rozumieć, co tu się wyprawia. To był bunt Goachików, przed którym ostrzegał miasto od lat. Zamieszkiwane przez nich północne prowincje stanowiły część calnijskiego imperium od dwustu lat. Wielu Goachików mieszkało i pracowało w Calnii. Jedna z bliskich podwładnych Hatha – a dzięki temu jedna z najważniejszych osób w stolicy – była członkinią tego właśnie plemienia.

Pięć lat temu kilka goachikańskich wiosek przestało płacić trybut. Takie incydenty zdarzały się w imperium od czasu do czasu i stanowiły łatwy do rozwiązania problem. Można było przypochlebić się buntownikom przez wysłanie do nich wysokiego urzędnika, takiego jak Hatho, i pogrozić palcem, by od następnego okresu trybut został uiszczony, albo odnaleźć

prowordyrów zamieszania i torturować ich na oczach pozostałych.

Poprzedni cesarz Zaltan trochę jednak przesadził. Wysłał do Goachików armię z klarownym rozkazem: zabić wszystkich, którzy nie chcą płacić podatku. Kilkudziesięciu Goachików nie zapłaciło daniny tylko dlatego, że ich wodzowie zabronili poborcom jej zbierać. Każdy przy zdrowych zmysłach rozumiał, że ci ludzie byli niewinni. Wielu z nich miało nawet przygotowane worki z dzikim ryżem, najczęstszą walutą kontrybucji, czekające tylko na to, by poborca zabrał je do Calnii.

Tymczasem calnijscy żołnierze wyróżnili ich wszystkich w pień. Wielu krewnych i przyjaciół zabitych plemieńców mieszkało w stolicy, a od czasu pogromu napłynęły ich do miasta całe rzesze. Szambelan Hatho wielokrotnie ostrzegał, że ci ludzie będą sprawiać kłopoty, przekonywał, że należy wystosować oficjalne przeprosiny i zaproponować zadośćuczynienie lub od razu wszystkich pozabijać. Sprawa zniknęła w natłoku bardziej palących problemów, jak chociażby mord, którego dopuściła się Ayanna na Zaltanie, oraz jej rychła koronacja na cesarzową.

Ponieważ masakra była wyłączną winą Zaltana, a do obalenia imperatora doszło w głównej mierze z powodu tego typu akcji, ludzie sądzili, że Goachikowie puszczą cały incydent w niepamięć, bo nie ma się już na kim mścić. Szambelan Hatho był jednak innego zdania i wielokrotnie to argumentował. A nie mówiłem? – pomyślał bez zwyczajowej satysfakcji, patrząc na ginącego pod ciosami maczugi flecistę, który dokonywał właśnie żywota w kałuży krwi. Po jego prawej stronie grupka chórzystów broniła się, używając instrumentów w charakterze prowizorycznej broni. Zdołali jakoś odeprzeć napastników.

Doznał ulgi, zobaczywszy przed sobą trzy owslanki, wojowniczeki z elitarnej cesarskiej gwardii – Malillę Pumę, Sitsi

Pustułkę i dowódczynię Sofi Tornado. Kobiety miały wprawę w pacyfikowaniu uzbrojonego tłumu.

Malilla Puma dała susa, przeskakując jednego z Goachików i rozwalając mu głowę bojowym kosturem. Sitsi Pustułka stała na dachu pobliskiej chaty z szeroko rozstawionymi nogami, przeskakując rozwartymi szeroko oczami od celu do celu i wypuszczając z łuku strzałę za strzałą. Sofi Tornado wirowała w rzednącym tłumie jak fryga, unikając ciosów i powalając przeciwników ciosami topora. Krążyły plotki, że Sofi jest tak skuteczna w walce, ponieważ wie, co wydarzy się za sekundę, przez co trudno ją zabić. Coś w tym jest, uznał szambelan, uprzytomniwszy sobie, że żaden ze zmasakrowanych Goachików nawet jej nie trafił.

Szambelan odczuł ekscytację na widok owslanek. Wstydził się za cesarza Zaltana, który utworzył elitarny oddział dziesięciu wojowniczek, by zaspokoić swoje perwersyjne żądze – uwielbiał patrzeć na atrakcyjne młode kobiety zabijające ludzi na różnorodne i częstokroć wymyślne sposoby. Jednakże gdy kobiety okazały się cholernie skuteczne w działaniu, tyran wynalazł dla nich inne zadania, a one wkrótce stały się symbolem potęgi calnijskiego cesarstwa.

Tak jak największy z bogów Innowak oszukał Wangoboka i ukradł słońce, tak wspomagane alchemicznymi miksturami wojowniczeki pod wodzą Ayanny wydały potęgę długiej dynastii calnijskich tyranów i przyniosły Calnianom pokój i dobrobyt. Teraz Calnia sama była sobie panią. Pod nowymi rządami imperium rozrosło się i zwiększyło swoje wpływy, a owslanki były klejnotem w jego koronie – oddział pięknych, zabójczych, magicznych wojowniczek skutecznie zniechęcał ewentualnych wichrzycieli, którzy mogliby mieć ochotę podkopać aktualny porządek. Żaden wódz nie ośmieliłby się sprzeciwić Ayannie, wiedząc, że ryzykuje odwiedziny calnijskich owslanek.

W bocznej ulicy podniósł się krzyk i raptem wypadł z niej nowy tłum Goachików, sunący prosto na trzy wojowniczeki.

Szambelan Hatho przełknął ślinę. Przecież nawet Sofi, Malilla i Sitsi nie dadzą rady tylu chłopów naraz? Nie sądził też, że plemięcy są tak dobrze zorganizowani.

Odwrócił się do Chippaminki, by ją ratować. Mogą cofnąć się drogą, którą tu przyszedli, do dzielnicy rzemieślniczej. Może tamtejsi nędzarze będą lepiej uzbrojeni od zmasakrowanych muzyków i zdołają osłonić ich ucieczkę za cenę własnego nędznego życia?

Chippaminka opromieniła go uroczym uśmiechem, tak jak za każdym razem, gdy szli do łóżka. Ten uśmiech był piękny, ale zupełnie nie na miejscu. Czyżby nie widziała, co tu się dzieje?

Jej ramię wystrzeliło w górę. Poczuł, że coś trafia go w szyję. Krew chlusnęła na nagi biust Chippaminki.

Co jest grane?

Kolejna struga krwi naznaczyła jej uśmiechniętą twarz. Teraz widział, że trzyma w ręku zakrwawione ostrze. Nie, nie ostrze. Łabędzi naszyjnik Innowaka.

Poderżnęła mu gardło! Jego miłośnica poderżnęła mu gardło! Naszyjnikiem, który sam jej podarował!

Mrugnęła do niego, a potem skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Teraz rozumiesz?”.

Świat zawirował mu przed oczami. Padł na kolana, wyciągnął do Chippaminki ręce. Coś tu jest nie tak, to musi być sen, nie zrobiłaby tego, nie mogłaby...

Czuł, jak przyboczna zaciska drobną rączkę na jego ufryzowanych wymyślnie włosach – ufryzowanych przez nią z miłością i uwagą – a potem odgina jego głowę i z całej siły kopie go w twarz drobnym kolanem, zwiększając siłę ciosu szarpnięciem za włosy i miażdżąc mu nos, który pękł jak dojrzały owoc. Krew zalała mu oczy.

A potem poczuł, że kobieta otacza go ramionami.

– O nie! – wrzasnęła Chippaminka. – Zabili szambelana Hatha!

Ale ja przecież żyję, pomyślał, gdy ogarniało go potworne zmęczenie. Słabł, mroczki tańczyły mu przed oczami, ale czuł na sobie ciepło jej ramion. To przyjemność zasnąć w tych ramionach, rzuciło mu się na myśl, a potem osunął się w ciemność.



ROZDZIAŁ 3 Przepowiednia

Finnbogi zwany Zbukiem pokonał kolejny niski cypel. Nie przerywał obmyślania druzgoczących ripost na docinki Gartha, które z pewnością pogrążyłyby go w oczach przyjaciół, gdyby tylko wymyślił je szybciej. Przed nim rozciągał się długi pas plaży przylegający do wioski, znacznie poszerzony od czasu ostatniej burzy, która, jak utrzymywała Frossa Wiedząca, była karą Thora za jakąś bzdurę. Finnbogi zapomniał za jaką.

W kierunku zachodnim rozpościerały się łagodne, porośnięte trawą diuny. Pomędzy niskie pagórki wcinały się kręte piaszczyste ścieżki prowadzące do skupiska chat, długich domów

i od dawna nierozpalanych kuźni oraz innych budynków tworzących Harówkę.

Na cyplu po drugiej stronie ciotka Finnbogiego, Gunnhilda Pobożna, wlewała przez drewniane rurki wodę święconą do grobów przodków. Ciocia była jedyną osobą w Harówce, która wciąż czciła obcego boga Chrystusa. Jej mąż, wuj Poppo Białozęby, też niby był jego wyznawcą, ale nie tak zdewociałym, gdyż z reguły miał wszystko w dupie. Z tego, co rozumiał Finnbogi, Chrystus musiał być jakimś poślednim bogiem, słabym i smętnym. Ulubionym bogiem Finnbogiego był mądry, ale opacznie rozumiany Loki, który był o wiele lepszy niż wywyższający się stary Odyn czy bezmózgi osiłek Thor. Loki potrafił przechytrzyć każdego giganta, spłodził potwornego wilka Fenrira i węża Jormunganda, który był tak wielki, że oplatał swoim cielskiem cały świat. Loki był buntownikiem, rebeliantem, wolnomyślicielem, sprzeciwiał się pompatycznemu staremu porządkowi. A największym osiągnięciem tego całego Chrystusa było załatwienie wina na słabo przygotowaną imprezę.

Finnbogi mieszkał z ciotką Gunnhildą i wujem Poppem, odkąd niedźwiedź rozszarpał jego ojca. Nie byli jego prawdziwą rodziną, ale zawsze nazywał ich ciotką i wujem. Nie miał wiele wspólnego z Gunnhildą, która raczej spoglądała na dorastającego młodzieńca z pełnym dezaprobaty milczeniem. Poppo był jakby zabawniejszy i bardziej przyjacielski, ale odgrywał raczej rolę starszego brata niż ojca z prawdziwego zdarzenia.

Finnbogi przebył odległość dzielącą go od wioskowej części plaży. Nad brzegiem Słodkiego Morza Olafa dzieci wieszały ryby na drewnianych stelażach, by je potem uwędzić. Nieco bliżej, przy Drzewie Olafa na skraju piasków, Finn odnalazł Thyri Drzewonogą.

Walczyła z niewidzialnym przeciwnikiem uzbrojona w tarczę i saks, robiąc wypady i sztychy, podskakując pewnie na

umięśnionych nogach, tnąc powietrze jednosieczną klingą i umbem tarczy obijając gęby wyimaginowanym napastnikom.

Właściwie nie powinna wyżywać się na Drzewie Olafa. Podczas gdy wszystkie inne drzewa w okolicy dawno zostały powalone i pocięte na deski lub spalone, ten wielki jesion ocalał, ponieważ dawno temu Olaf Odkrywca ogłosił, iż wyrósł on z gałązki zerwanej z drzewa światów Yggdrasila, jest więc święty i nie wolno go tknąć. Ale ponieważ Yggdrasil był raczej konikiem ojca bogów Odyna, nad którego Thyri, jak większość Harowian, przedkładała wojowniczego Thora, dziewczyna kopala i cięła Drzewo Olafa, nie narażając się na niczyje reprimendy.

Dzieci na plaży nie zauważyły go jeszcze, bo były zbyt zajęte sprzecznaniem się o coś. Thyri również nie, stanął więc, by na nią popatrzeć.

Była boso, jak zawsze, i miała na sobie skrælińską zbroję własnej roboty: krótką skórzaną kamizelę i przepaskę biodrową, to jest dwa płaty skóry zwisające na skórzanym pasie, jeden z przodu, drugi z tyłu. Na głowę włożyła czapkę z usztywnionego filcu i rogu, którą również wykonała sama, wzorując się na żelaznym hełmie noszonym przez Gartha, przywiezionym tu przez przodków ze starego świata.

Finnbogi był święcie przekonany, że choć Thyri trudno było nazwać wiotką, miała figurę, o jakiej skaldowie powinni układać pieśni. Wszyscy byli zgodni co do tego, że obfite biodra i masywne uda były efektem spożywania syropu i cukru klonowego, który przez lata dostarczali jej skrælingowie. Nie przejawiała zainteresowania samymi darczyńcami, ale ich podarki pochłaniała z radością.

Nie przerywając walki, odrzuciła saks, jakby ktoś wytrącił go jej z ręki, po czym wyjęła dwa topory schowane po wewnętrznej stronie tarczy, którą również odrzuciła. Zaatakowała Drzewo

Olafa, wbiła głęboko obydwie topory, złapała za pień i w okamgnieniu weszła na drzewo jak jakiś pająk.

Może wiedzieli, co robią, dając jej miejsce w hirdzie, pomyślał Finnbogi.

Wspiąwszy się prawie na sam szczyt, przystanąła i zobaczyła Finna.

– O, cześć, Finnbuki! – krzyknęła, wisząc na jednym toporze i machając drugim.

– Jestem Finn... – mruknął Finnbogi pod nosem, krzywiąc się i odmachując jedną ręką. By nie pomyślała, że stał i gapił się na nią, podszedł do kłócących się dzieci. Pniak zaczął mu nagle ciążyć.

Szkraby przestały wieszać ryby i wszystkie siły poświęciły kłótni. Konflikt wybuchł między Frejdis Złośliwą, niby-siostrą Finnbogiego, oraz resztą dzieciaków. Stara śpiewka. Chodziło o Ottara Niemowę, jej starszego brata, a młodszego niby-brata Finna. Dzień jak co dzień.

Frejdis osadziła stopy w żwirze, a pięści na biodrach i wrzeszczała w twarz dwóm starszym dziewczynom, Raskovie Wredocie oraz Pierdzącej Marinie, bliźniaczym córkom jarła Brodira Przecudnego.

– Nie, Ottar nie umie mówić – oznajmiła Frejdis swoim wysokim i dźwięcznym głosem – ale i nie musi mówić, żeby być o wiele mądrzejszym niż wy dwie razem wzięte. Bo choć obie umiecie jako tako mówić, to nigdy nie powiedziałyście nic ciekawego ani śmiesznego. Nigdy! A poza tym śmierdźcie. Zwłaszcza ty, Pierdząca Marino!

Finnbogi nie mógł się nie uśmiechnąć. Może i miała dopiero sześć lat, ale każdy w wiosce zastanowił się dwa razy, zanim nadepnął na odcisk Frejdis Złośliwej.

– Tak? Ale za to jesteśmy córkami jarła, a twoja mamusia i tatusiek nie żyją i nie wolno ci tak do nas mówić! – charknęła

Raskova, dźgając Frejdis palcem w pierś. – Ottar mówił jakieś głupoty i przestraszył ludzi, a my ukarzymy go przykładowo, wrzucając do jeziora.

– I będziemy go tam trzymać, aż pożałuje! – przyszła siostrze w sukurs Marina zwana Pierdzącą.

Za plecami Frejdis Ottar podniósł kamień i podrzucił go do góry. Patrzył, jak ten unosił się, a potem zaczął spadać. Gdy dotknął ziemi, Ottar podniósł go i podrzucił jeszcze raz.

Frejdis roześmiała się.

– Co niby powiedział Ottar, Raskovo Wredoto? Przecież sama przed chwilą powiedziałaś, że nie umie mówić, ty tępą dzido!

– Chodzi nam o to, co ty powiedziałaś, że powiedział! – Tym razem Frejdis zrobiła unik i Raskova dźgnęła palcem tylko powietrze.

– A co konkretnie? Bo mówię, że mówi wiele rzeczy.

– Powiedziałaś, że on powiedział, że wszyscy zginiemy! Z ręki skrælingów! To przecież głupota, bo skrælingowie się nami opiekują. Ich bogowie im każą. Nigdy by nas nie zabili. Tatuś powiedział, że to takie gadanie jest niebezpieczne i że Ottara trzeba ukarać!

– Wcale nie trzeba go karać, tylko uciekać stąd czym prędzej. Jeśli mówi, że skrælingowie nas zabiją, to znaczy, że zabiją. On ma rację. On zawsze ma rację.

– Nieprawda! To śmieszny chłopiec, który nie umie mówić, a ty tylko zmyślasz, a tak w ogóle to jesteś głupia! – Raskova zrobiła krok naprzód. Górowała nad małą Frejdis, ale ta ani myślała okazać strach i wlepiła w nią tylko buńczuczne spojrzenie.

Ottar położył siostrze rękę na ramieniu i pokazał gestem, żeby wracali już do domu.

– Co mówisz, Ottarze? – zakpiła Raskova. – Że powinniście uciekać jak małe wystraszone kurczaczki i schować się za

spódnicą mamusi, której nie macie?

– Nie – zaprzeczyła wyszczerzona wrednie Frejdis. – Powiedział, że wali ci z gęby jak rybie z dupy i że twój tatuś łązi po lesie i błaga niedźwiedzie, żeby dały mu włożyć siusiaka w pupę, ale one nie chcą, bo on nie umie wytrzeć swojej i śmierdzi, i ma gringle!

– Doigrałaś się! – Oczy Raskovy wyglądały, jakby miały zaraz wyprysnąć z czaszki. – Marina, przytrzymaj mi tu Frejdis, a ja utopię gnoja!

– Dobra, dość tego – włączył się do sprzeczki Finnbogi.

– Morda, Zbuk – pisnęła Marina.

– Właśnie, Zbuk! – zaświergotała Raskova. – Nie możesz tak do nas mówić. Jesteśmy córkami jarła Brodira, a ty i twoja śmieszna siostrunia, i twój jeszcze śmieszniejszy braciszek jesteście sierotami i dlatego...

– Głuche jesteście? Do domu wszyscy, ale już. – To był głos Thyri Drzewonogiej. Przemknęła obok Finnbogiego z hełmem w jednej ręce, tarczą w drugiej i saksem w pochwie, objającym się co drugi krok o masywne udo. Pot przylepił jej do czoła długie czarne włosy zaplecione w sięgający za plecy warkocz. Finnbogi złowił nosem piżmowy zapach jej potu.

Raskova górowała nad Frejdis, ale nie tak, jak Thyri górowała nad nimi obiema.

– Do domu – powtórzyła hirdmanka.

– Ale mieliśmy wędzić ryby!

– W takim razie wędźcie. Ale niech no usłyszę, że naprzykrzacie się Ottarowi i Frejdis, to będziecie się wędzić razem z nimi.

– Ale Ottar powiedział, że skrælingowie nas zabiją.

Thyri uniosła brew.

– To prawda, Frejdis?

Frejdis westchnęła z emfazą.

– Ottar twierdzi, że cała masa skrælingów przyjdzie tu, żeby nas zabić.

– Goachikowie?

– Nie, jacyś inni.

– No widzisz! – krzyknęła Raskova.

– Ryby wędzić. – Thyri wskazała na obwieszony połowem stelaż. Siostry odeszły, tupiąc niezadowolone nogami. – Mów dalej, Frejdis.

– On mówi, że musimy natychmiast uciekać na zachód, a potem dalej, na zachód od zachodu, aż dojdziemy na Łąki i dopiero tam będziemy mogli zamieszkać.

– Na Łąki? – Thyri zmarszczyła nos.

Finnbogi spojrzał na nią, a potem odbiegł wzrokiem i utkwiał go w tafli jeziora. Zadrżał. Harówka nie była zbyt dużym siołem, liczyła wszystkiego setkę mieszkańców, a nieznany ład wokoło zdawał się nie mieć końca. Równie dobrze mogła na nich ciągnąć dziesięcioletnia armia ze stu kierunków naraz i nie mieliby o tym pojęcia.

Frejdis często relacjonowała dla nich przepowiednie Ottara. Czasem wróżył nadejście niedźwiedzia, innym razem burzę, tego typu rzeczy. Tylko że dotąd zawsze miał rację. Ottar przewidział, że „coś na nas nasra” – jak Frejdis przetłumaczyła jęczenie i stękanie Niemowy – i rzeczywiście następnego dnia na niebie pojawiła się chmara gołębi.

– Tak, musimy uciec na zachód od zachodu, na Łąki. Tak mówi, nie zmyślam.

– Ale gdzie są te całe Łąki? – spytał Finnbogi.

– Na zachód od zachodu, tylko tyle powiedział. Nie wiem, co to znaczy, ale wiem, że musimy uciekać. Albo zostać tutaj i umrzeć.



ROZDZIAŁ 4

Sofi

Sofi Tornado dała nura naprzód i przetrąciła napastnikowi kolano obuchem topora. Wykorzystując impet ciosu, zawirowała i wbiła ostrze w skroń mężczyzny, który próbował zająć ją od tyłu i zastanawiał się pewnie, jakim cudem wiedziała, że on tam jest.

Usłyszała, że biegnie na nią kolejny wojownik, i wyskoczyła mu na spotkanie. Gdy strzała wbiła się w jego szyję i mężczyzna zwał się na ziemię, Sofi poderwała wzrok na Sitsi Pustułkę, stojącą na dachu z łukiem w ręku.

– Nie chciałam! – krzyknęła łuczniczka, najmłodsza i najniższa z owslanek. Jej nadzwyczajnie wielkie oczy były rozwarte jeszcze szerzej niż zwykle, co wskazywało na to, że może mówić prawdę.

Dowódczyni Sofi Tornado ćwiczyła walkę codziennie od wczesnego dzieciństwa. Jak wszystkie owslanki była wyposażona we własną unikatową umiejętność, która zwiększała jej skuteczność w bitwie. Podczas gdy Sitsi Pustułka miała wzrok tak bystry jak ptak, od którego wziął się jej pseudonim, i mogła odstrzelić osie skrzydełka ze stu kroków, Sofi została obdarzona nadprzyrodzonym słuchem i potrafiła odgadnąć ruchy dwudziestu napastników naraz, wnioskując tylko na podstawie wydawanych przez nich dźwięków – szurania stóp po ziemi, gdy składali się do ciosu, czy szelestu ubrania, gdy brali zamach. Wszyscy mówili, że wie, co się wydarzy w następnej sekundzie. Nie była to prawda, ale plotka była wodą na jej młyn.

Trafiony strzałą agresor padł na ziemię. Pozostali byli już martwi lub prawie martwi, pomijając dwóch, od których opędzała się Malilla Puma za pomocą swojego kostura. Byli zwalistymi mężczyznami, braćmi, sądząc po wyglądzie, uzbrojonymi w masywne drewniane maczugi w kształcie ptasich skrzydeł. Malilla mogłaby położyć ich trupem w dwie sekundy, ale nie miała ochoty tak szybko kończyć zabawy. Pomimo znacznego wzrostu – była wyższa od większości spotykanych mężczyzn – skakała wokoło jak kot na rozgrzanych kamieniach, blokując każdy atak i bezbłędnie odnajdując bronią luki w gardzie przeciwnika.

Sofi życzyła sobie, by ci mężczyźni umarli natychmiast. Wysunęła z pochwy obsydianowy nóż. Odepchnęła Malillę na bok celnie wymierzonym kuksańcem, po czym poderżnęła gardło pierwszemu, a drugiemu wbiła nóż w żuchwę, przyszpilając ją do podniebienia.

Gdy dryblas zwałił się na ziemię, usłyszała, jak Malilla przygotowuje się do skoku – tym razem biorąc na cel Sofi. Kobieta odskoczyła na bok i Malilla przefrunęła nad nią, przecinając kosturem powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była głowa dowódczyni. Puma wylądowała i wyszczerzyła kły na Sofi. Kostur poruszał się w jej rękach, łaknąc krwi. Wybałuszyła oczy, a jej kości policzkowe wyglądały na jeszcze ostrzej zarysowane niż zwykle. Zachowywała surowy wyraz twarzy nawet w chwilach beztroski, ale gdy wpadała w złość, jej oblicze wyglądało jak wyrzeźbione z tego samego obsydianu co nóż dowódczyni owslanek.

Sofi Tornado uśmiechnęła się.

– No, dawaj.

Malilla Puma odpowiedziała takim samym uśmiechem i opuściła broń.

– Żartuję tylko.

Wcale nie żartowała. Malilla naprawdę chciała ją trafić, Sofi nie miała co do tego wątpliwości. Pytanie tylko, czy zrobiła to instynktownie, zła, że odebrano jej przyjemność zabicia ofiary – co Sofi mogła jeszcze zrozumieć – czy też z jakiegoś powodu naprawdę chciała ją zabić.

Niezależnie od przyczyny odpowiedź na to pytanie musiała poczekać, bo Sofi usłyszała właśnie, że z południa szarżuje na nich około trzydziestu Goachików. Obróciła się na ich spotkanie, ale wciąż nasłuchiwała półuchem, co robi towarzyszka za jej plecami.



ROZDZIAŁ 5

Eryk Złośnik

Na terytorium Lakchanów, trzysta pięćdziesiąt mil na północ od Calnii, gdzie Sofi Tornado masakrowała właśnie zbuntowanych Goachików, oraz dwadzieścia mil na zachód od Harówki, gdzie Finnbogi Zbuk spierał się z wędzącymi ryby dziećmi, szedł leśną ścieżką Eryk Złośnik.

Przejrzyste powietrze drżało od śpiewu ptaków. Poranek był ciepły, a Eryk nagi, jeśli nie liczyć małego skózanego plecaka z narzędziami. Gdyby usłyszał, że drogą nadchodzą Lakchanowie, natychmiast schowałby się w krzakach, ponieważ

plemieńcy uważali nagość za obraźliwą, co było w mniemaniu Eryka dość dziwne, bo każdy jeden kłął jak szewc. Czy miało to coś wspólnego z ich głównym bóstwem, Króliczką? A może z jej arcywrogiem, Pajęczą Matką? W każdym razie jedna z tych bogiń nienawidziła nagości, więc Lakchanowie również jej nienawidzili. Tym większymi byli idiotami. Cóż to za życie, gdy człowiek nie może poczuć orzeźwiającego porannego wietrzyku na jajach? Albo na cipce? Erykowi zdawało się, że baba też lubi czasem przewietrzyć pipę. Może jeszcze bardziej niż chłop jajca? A może cycki też dobrze czasem wystawić na zbawienne działanie leśnych zefirów? Eryk nie miał pojęcia, ale tę dziwną niechęć Lakchanów do nagiego ciała wciąż uważał za śmieszna, zwłaszcza że skurwiele przeklinali co drugie słowo. Spędził wśród Lakchanów dwadzieścia lat, a wciąż ich nie rozszyfrował.

Króliki o ogonkach jak kępki bawełny uciekły na dźwięk jego kroków. Odbiegły paręnaście jardów zygzakiem, a potem przystanęły na chwilę na drodze, obejrzały się na niego i pobiegły dalej, jakby zobaczyły go pierwszy raz. „Jeśli chcecie uciec, to zejdźcie z drogi i w las, wy głupie futrzaki” – mówił im wielokrotnie, ale nigdy nie słuchały albo nie słyszały. Króliki były tępe, jak wszyscy roślinożercy.

Eryk dotarł wreszcie na położoną na zboczu wzgórza polaną i radując się słodką pieszczotą słońca, usiadł na ławeczce, z której zwykle obserwował pszczoły. Dziś po raz pierwszy tego roku wyszedł na dwór nago, a dzień nadawał się do tego idealnie. Ostatnia zima dała wszystkim w kość – przez ziemie Lakchanów przetoczyły się dwie ostre śnieżyce, jakich nie pamiętają najstarsi szamani. Mieszkańcy Harówki twierdzili, że słońce, które widzą na niebie, to jakaś kobieta z wozem. Skrælingowie uważali raczej, że to oblicze boga Innowaka, łabędzia w nieustannej ucieczce przed lwem Wangobokiem, którego obliczem jest księżyc. Czy jakoś tak. Ktokolwiek tam miałyby rację, Eryk był

wdzięczny, że ptaszysko lub babsko zaszczyliło w końcu tę krainę odrobiną ciepła.

Pszczoły bzycały w swoich wiklinowych ulach. Jedne wyruszały na poszukiwanie kwiatów, inne wracały, dźwigając ze sobą ładunek pyłku. Miło było patrzeć, jak zasuwiają, żeby Erykowi nie zabrakło miodu do picia.

Choć wzgórze, na które się wspiął, ledwie odrosło od ziemi, i tak stanowiło najwyższe wzniesienie w okolicy. Za ulami rozpościerał się piękny widok na trawiaste równiny, jeziora obrośnięte szuwarami, kępy zagajników i samotne drzewa, a wszystkie kontury krajobrazu rozmywała wisząca jeszcze w powietrzu mgła. Kilkadziesiąt jeleni o białych ogonach odnajdowało drogę w długiej trawie. Te starsze zatrzymywały się regularnie, strzygąc uszami i wyciągając szyje, pilnując, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Żaden nie zauważył lwa, który skradał się w kierunku stada od zachodu, choć Eryk jak na dłoni widział poruszające się źdźbła trawy, znaczące jego obecność. Jelenie pewnie nie były tak głupie jak króliki, ale na pewno niewiele mądrzejsze.

Eryk zaczął śpiewać piosenkę, której nauczył się za dzieciaka. Opowiadała o człowieku tak grubym, że nie mógł jeździć konno. Eryk nigdy nie widział konia na oczy, ale wiedział z opowieści, że to zwierzęta ze starego świata – wsiadało się na nie, żeby odwaląły całe chodzenie za ludzi. A przynajmniej za tych szczuplejszych niż bohater piosenki. Przypomniał sobie, że to właśnie to zwierzę ciągnęło za sobą wóz, o którym opowiadali Harowianie. Eryk był ciekaw, jak też mogło ono wyglądać. Ledwie pamiętał, jak wyglądają mieszkańcy Harówki. W końcu nie widział ich od dwudziestu lat. Skrælingów widywał dość często i wiedział, że Harowianie mieli z grubsza ten sam kształt – tyle samo rąk, nóg i tak dalej – ale własne odbicie w jeziorze

przypominało mu, że Harowianin był większym, bledszym i bardziej kudłatym stworzeniem niż przeciętny skræling.

Bzyczenie pszczół harmonizowało z jego śpiewem. Gdy dotarł do refrenu: „Dlatego właśnie zwali go Igor Wędrowniczek!”, chmura owadów uniosła się znad uli i poleciała ku kępie liściastych drzew, gdzie Eryk postawił jeszcze kilka dodatkowych.

Kiwnął głową i wstał, ostatnią zwrotką wypędzając z ula resztę pszczół. Niezła sztuczka. Czy wystarczająco niezła, by mógł wrócić do Harówki? Czy Tarben Swędzibroda, czy kto tam był teraz jarlem, zobaczy, jak świetnie radzi sobie z pszczołami, i pozwoli mu na powrót zamieszkać w wiosce? Pewnie nie, bo prawo Harówki było jasne. Jeśli ktokolwiek z Harowian ujrzy wygnańca, ma obowiązek go zabić. Zresztą Eryk i tak nie miał ochoty wracać. Lubił swoje życie i sama myśl, że miałyby je skomplikować powrotem na stare śmieci, przejmowała go drżeniem.

Wyjął nóż z plecaka, uniósł wieko ula i wyciął dwa ociekające miodem plastry. A gdy wrócił na ławkę, zobaczył, że na łąkę wtacza się olbrzymia niedźwiedzica. Nawet na czterech łapach dorównywała Erykowi wzrostem, łeb miała wielki jak u bizona. Uniosła krótki pysk, powęszyła w powietrzu i jęknęła po niedźwiedzemu.

Potężne zwierzę podeszło do uli, utykając lekko na przednią lewą łapę. Zauważywszy Eryka, warknęła, prezentując imponujący zestaw kłów, którymi mogłaby pogruchotać mu kości z taką łatwością, z jaką on wgryzał się w miód.

Eryk stał spokojnie. Niedźwiedzica podeszła, klapnęła na swój wielki zad i tak siedziała, patrząc na niego.

– Dzień dobry, Astrid – przywitał się Eryk. – Coś ci wlało w łapę?

– Ghruuuuuu – przytaknęła niedźwiedzica Astrid, unosząc

kończyę.

Gdy Eryk dokonywał oględzin, znowu to usłyszał. Jakiś głos znikąd odbił się echem w jego głowie. „Ruszaj w drogę na Łąki” – mówił. „Idź na zachód i znajdź Łąki”.

– Dziękuję, postoję. – Wyrzucił głos z głowy i wyjął cierń z grubej poduszki na niedźwiedziej łapie.



ROZDZIAŁ 6

Koniec świata

Labędzia Cesarzowa Ayanna wyraziła zgodę, by Larcyczarnoksiężnik Yoki Choppa dołączył do niej w jej prywatnych komnatach w samym środku pałacu na szczycie Góry Słońca w Calnii. Gestem kazała podwładnemu usiąść na jednej z poduszek z kaczego pierza. Kobieta była w zaawansowanej ciąży i czuła się jak spasiony bizon po wielomilowym biegu, który spadł w przepaść i leżał z połamanymi nogami, czekając na śmierć. Słyszała, że zdaniem niektórych brzemiennie kobiety promienieją niezwykłą urodą. Ayanna uważała, że jeśli promienieje czymkolwiek, to na pewno

nie urodą.

Choć większość calnijskich czarnoksiężników upodabniała się ubiorem do orła bielika, nosząc białe i czarne pióra, ich mistrz Yoki Choppa preferował starą skórzaną przepaskę biodrową, czyli pas z dwiema kwadratowymi płachtami skóry z przodu i z tyłu. Poza tym nie miał na sobie nic, ani biżuterii – nie licząc naszyjnika ze złotym słońcem – ani tatuaży, ani wszytych lub wbitych w skórę części zwierząt. Calnianie ubierali się w ten sposób, gdy chcieli się pochwalić atrakcyjną sylwetką, tymczasem wiotczące ciało arcy czarnoksiężnika zaczynało przypominać surowe ciasto. Kto chciałby na to patrzeć? Zresztą cesarzowa nie dbała o jego wygląd. Ale zapamięta, na której poduszce usiadł, by kazać ją potem spalić.

Byli w komnacie sami, jeśli nie liczyć wielkiego pozłacanego łąbiedzia, który reprezentował Innowaka, potężnego kryształu na drewnianym podeście, który koncentrował promienie słoneczne i rozpalał ogień w jej kominku, dwóch wspiętych na tylne łapy wypchanych niedźwiedzi – największych, jakie udało się znaleźć na calnijskich ziemiach – oraz zwyczajowej świty złożonej z sześciu młodych mężczyzn o obłądnych ciałach, którzy łąbiedzimi skrzydłami wachlowali swoją cesarzową. Oni mieli dobry powód, by nie nosić zbyt wielu ubrań.

Yoki Choppa umościł się aż na dwóch poduszkach, odłożył na bok torbę alchemika, a miskę do mieszania odczynników złożył na skrzyżowanych nogach. Czekał. Ayanna próbowała nie myśleć o jego obwisłych jądrach, które widziała w szparze między poduszkami.

– Wezwałam cię – wyrzekła – bo śnię co noc ten sam sen. Od półtora miesiąca, może nawet od dwóch. Ciągle ten sam.

– Cóż to za sen? – Jeśli Yoki zdziwił się, że cesarzowa nie wspomniała słowem o porannym incydencie z Goachikami, to nie dał tego po sobie poznać.

Ayanna osadziła dłonie na swoim wielkim brzuchu.

– Bardzo nieprzyjemny. Jestem Innowakiem, złotym łabędziem. I choć wznoszę się ponad światem, widzę wszystko, co się na nim dzieje. Dziwnych ludzi, którzy wynurzają się z Dzikiego Słonego Morza. Nie są Calnianami, nie należą do żadnego znanego mi plemienia. Ich skóra jest blada, ich twarze wąskie i ostre, ich ubrania pozbawione ozdób i barw, ale wielu ma złote włosy, które lśnią w słońcu jak złoto. Ci ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci, przemierzają nasze ziemie, pożerają rośliny, drzewa i zwierzyne, zatrzymując się tylko po to, by wypróżnić się w wielkiej obfitości, a wszystko, czego dotyka treść ich jelit i pęcherzy – czy to rośliny, zwierzęta, czy ludzie – ginie. Niektóre plemiona bratają się z nimi, inne z nimi walczą, ale rezultat jest zawsze ten sam: wszystkich plemieńców zabiera w końcu śmierć. A blade twarze idą dalej, pochłaniając, co się da, i rosnąc w siłę, aż wreszcie są niczym tłuste olbrzymy, które górują nad naszą krainą. Lasy toną w ich urynie. Góry nikną pod zwałami łajna. Para bijąca z ich odchodów przetacza się przez nasze ziemie jak trująca mgła, a wszystko, czego dotknie, umiera. Owa mordercza chmura rozchodzi się po Matce Wodzie jak choroba, wylewa z brzegów i dociera do Calnii, przelewa się jej ulicami i wpełza na nasze piramidy, a gdy wreszcie rozwiewa się na wietrze, całe miasto jest martwe. Nieliczni ocalali poddają się najeźdźcom i przyjmują ich obyczaje, szerząc zarazę. Ostatnia roślina i zwierzę giną, a kraina umiera. Wreszcie ginie ostatni człowiek, pochłonięty przez swoje własne nieczystości. Wszystko i wszyscy są martwi, a świat staje się cuchnącym morzem plugastwa. Oto mój sen.

Yoki Choppa skinął głową. Otworzył torbę i zaczął szperać w niej sękatym paluchem. Wydobył kilka składników, które umieścił w misce. Jako ostatni dodał żarzący się węgielek z rozpalonego mocą Innowaka paleniska. Zamieszawszy w misce

kościącym tłuczkiem, zmrużył oczy i zajrzał do środka, wysuwając w zamyśleniu żuchwę. Po chwili chrząknął, a na jego twarzy odmalowało się coś na kształt zaskoczenia, lecz poza tym milczał.

Ślęczał tak dziesięć minut, aż w końcu odłożył miskę i powiedział:

– Zapalimy?

Uwadze cesarzowej nie uszło, że nie użył słowa „proszę”. Maniery tego człowieka wołały o pomstę do Innowaka. To jedna z kilku rzeczy, które Ayanna musiała u niego tolerować. Uniosła rękę, a za chwilę sługa wręczył jej zapaloną fajkę. Zaciągnęła się dwukrotnie smacznym dymem, a potem oddała fajkę służącemu, który podał ją Yokiemu Choppie.

Czarnoksiężnik wciągnął haust dymu i przytrzymał go chwilę w płucach. Raptem wypuścił chmurę przez nos i powiedział:

– Oczywiście interpretacja jest w tym przypadku tą poprawną. Ukazała ci się wizja końca świata, który padnie ofiarą tych bladych przybyszów. Obrócą tę krainę w jałowe pustkowie, a na samym końcu zabiją siebie.

– Kiedy to nastąpi?

– Tego nie wiadomo.

– Czyż na ziemiach Goachików nie żyje plemię bladych twarzy?

– Grzyboludy.

– Czy mój sen ma związek z atakiem Goachików w stolicy?

– Nie wydaje mi się. To był rezultat polityki Zaltana względem Goachików, a wśród trupów i jeńców nie znalazłem ani jednego bladego człowieka.

– Co wiesz o tych grzyboludach?

– Jakies sto lat temu przyplłynęli łodziami od południowo-zachodniej strony Jeziora Ciekawskiego Jesiotra. Goachikowie orzekli, że to duchy z innego świata i ulubieńcy bogów.

Traktowali ich jak dzieci lub może zwierzątka domowe, chronili ich, karmili, dbali o ich dobrobyt.

– Ale to z pewnością ich osłabiło. – Cesarzowa pstryknęła dwukrotnie palcami, a słudzy przynieśli jej wodę z lodem. – Daj komuś wszystko, a odbierzesz mu tożsamość. Czemu na to pozwolili?

Yoki Choppa wzruszył ramionami.

– Co jeszcze o nich wiesz? – indagowała władczyni.

– Jest ich blisko setka. Są bardzo wysocy i bardzo bladzi. Wielu ma żółte włosy. Mężczyźni zapuszczają brody. Mają oddział dziesięciorga owslów, który zwą hirdem. Są z niego dumni, choć nie mają ku temu znacznych powodów. Goachikowie ich rozpuścili. Blade twarze rozleniwiły się, obrosły w tłuszcz i zgłupiały. Wyjątkiem jest ten ich hird, który codziennie szkoli się w walce.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Twój poprzednik Zaltan interesował się nimi przez chwilę. Kazał mi wywiedzieć się o nich jak najwięcej, ale los nie pozwolił mu zobaczyć ich na własne oczy.

– Los, powiadasz?

– Mam na myśli to, że go zabiłaś.

– Ach, rzeczywiście, było coś takiego. A więc sprawa wydaje się prosta, musimy zabić tych grzyboludów, aby oni nie zniszczyli naszego świata – oznajmiła Ayanna.

Mag poruszył głową, ale nie sposób było ocenić, czy potwierdza jej słowa, czy im przeczy. Jakże drażnił ją ten gest.

– To oczywiste – podjęła. – I dziecinnie proste. I tak miałam wysłać armię do Goachików, żeby wymierzyła im karę za ten poranny incydent. Jak już tam będą, zajmą się i grzyboludami.

Yoki Choppa uniósł fajkę, przyłożył do ust i skierował na cesarzową.

Ayanna poczuła, że ogarnia ją panika. Czy to próba

skrytobójstwa? Ukryta w fajce strzałka mogła zostać zamoczona w jądzie ropuchy żyjącej w południowej części imperium. To trucizna, która zabijała natychmiast.

Zamarła, ale myśli kotłowały się w jej umyśle.

Czy to odwet za Zaltana? Czy Yoki Choppa sam jest Goachiką, a to jest dalsza część ich dzisiejszego ataku, czy może chodzi o coś innego? Czy lekarz zdoła wyciąć dziecko z jej brzucha i uratować mu życie, czy ono też umrze przez truciznę? I dlaczego, na świetlistą dupę Innowaka, Yoki Choppa tak długo zwlekał z jej zabiciem? Miał tysiące okazji. Przypomniła sobie, jak będąc małą dziewczynką, bawiła się dmuchawkami. Już wtedy chciała być cesarzową i fantazjowała o zabiciu urzędującego cesarza zatrutą strzałką. Nie wiedziała jeszcze wówczas, że w końcu spełni swoje marzenie i zaspokoi ambicję. Niewielu ludzi mogło to o sobie powiedzieć. Miała dobre, szczęśliwe życie.

Pamiętała, jakby to było wczoraj... Oszalały Zaltan szarpał swoją pierś rozcapierzoną ręką, gapiąc się na nią z niedowierzaniem w oczach. „Glurk!” – wykrztusił z wysiłkiem, a chwilę później już nie żył.

Czy zdoła umrzeć dostojnie i zwieńczyć swoją egzystencję elegantszym słowem? Może powinna osunąć się z wdziękiem na ziemię i powiedzieć jakąś bzdurę w stylu: „Umarłam tak, jak żyłam – pięknie”. Czy może wybór nie należy do niej? Czy „glurk” to wszystko, na co stać człowieka, który umiera od trucizny? Czy nie lepiej już milczeć, niż z ostatnim tchnieniem wykrztusić jakąś głupotę? Jaka szkoda, że umiera się tylko raz i nie można zrobić próby generalnej.

Yoki Choppa dmuchnął z mocą.

Strzałka przefrunęła nad jej ramieniem.

– Glurk! – zachłysnął się ktoś za jej plecami.

Cesarzowa określiła się i zobaczyła, że jeden młodzieniec z jej świty pada na ziemię jak długi. Wachlarz, który trzymał w ręku,

spadł na podłogę z zaskakującym metalicznym odgłosem, jakby nie był zrobiony z drewna. Mężczyzna drgnął jeszcze, a potem znieruchomiał.

– Goachika – objaśnił arcyczarnoksiężnik. – Miał toporek ukryty w wachlarzu. Zobaczyłem jego odbicie w misce, gdy badałem znaczenie twojego snu.

– Rozumiem. Czy jest ich więcej?

– Nie tutaj.

– Dobrze. – Ayanna opadła z ulgą na poduszki. – Dziękuję, Yoki Choppo.

Mag zbył podziękowanie wzruszeniem ramion.



ROZDZIAŁ 7

Ting

Po powrocie do starej świątyni boga Chrystusa, gdzie mieszkał z wujem Poppem i ciotką Gunnhildą, Finnbogi zwany Zbukiem zaczął przygotowania do tingu, jednego z czterech odbywających się co roku spotkań mieszkańców Harówki, podczas których omawia się sprawy bieżące i każdy, kto ukończył dwanaście lat, upija się w sztok.

Przymierzył drugie najlepsze ubranie, kolejne dzieło Sassy Gryziwargi, ale ostatecznie znowu zdecydował się na niebieską tunikę i pasiaste spodnie. Ale żeby nie iść dokładnie w tych samych ciuchach, zmienił buty o podeszwach z niewyprawionej

skóry na te lepsze i zawiązał na głowie czerwono-niebieską opaskę, która pomagała zamaskować jego szerokie czoło i widoczne na nim jak ogniska w bezgwiezdnej noc przyszcze. Opaska miała tę uciążliwą właściwość, że nadawała jego włosom kształt grzybowego kapelusza, ale na tę ofiarę był gotów.

Wuj Poppo Białozęby, ciotka Gunnhilda Pobożna oraz jego przyszywane rodzeństwo: Alvilda Pogodna, Brenna Wstydliva, Frejdis Złośliwa i Ottar Niemowa czekali już na niego na zewnątrz pod dużym krzyżem, na którym wisiała naturalnych rozmiarów figura boga Chrystusa. A przynajmniej Gunnhilda twierdziła, że był „naturalnych rozmiarów”. Finnbogi zastanawiał się, dlaczego ciotka nazywa tego koleżkę na krzyżu „bogiem żywym”, bo wyglądał na całkiem martwego. Zapytał o to Gunnhildę, ale ona nie zaspokoila jego ciekawości.

– Ale się odfrymuśnił na ting, patrzcie go – rzucił żartobliwie wuj Poppo, wzbudzając falę śmiechu. Nie śmiał się tylko Ottar, który kręcił się na skraju lasu, machając ramionami i krzycząc coś na fruujące wokoło motyle.

– No co... – wybąkał Finnbogi.

Wuj Poppo czasem z niego żartował, ale to były dobre żarty, a poza tym Poppo nie obrażał się, gdy ktoś rewanżował się żartem z niego, więc Finn się nie gniewał. Nie wiedział tylko, dlaczego śmieje się Alvilda, która zawsze godzinami stroi się na ting.

Ruszyli do Harówki drogą wcinającą się w splątana gęstwinę drzew atakowanych przez natarczywe zielone podszycie, które ze wszystkich sił chciało zostać nadszyciem.

Poppo i Gunnhilda byli dobrymi ludźmi. Finn był im wdzięczny, że zaopiekowali się nim po śmierci rodziców, a jednak czuł, że nigdy nie uznali go za jednego ze swoich. Wuja Poppa nigdy nie obchodziło, co kto robi, a ciotka Gunnhilda była zbyt zajęta czczeniem Chrystusa i opiekowaniem się własnymi

dwiema córkami, Alvildą i Brenną – zwłaszcza dziwną, chorobliwie nieśmiałą Brenną – żeby marnować swój cenny czas na Finnbogiego. Nawet gdy dowiedzieli się, że zjadł trochę halucynogennych grzybów, które dał mu Bjarni Kurza Twarz, wuj Poppo tylko się roześmiał, a ciotka Gunnhilda ograniczyła się do rzucenia mu spojrzenia spode łba.

Alvilda i Brenna były od niego o trzy lata starsze i należały do tych ładnych, a co najmniej niebrzydkich dziewcząt. Nie miał na co narzekać.

Na chwilę zrobiło się nieprzyjemnie, gdy Finnbogi zakochał się po uszy w Alvildzie. Ta wąska talia, ten kształtny tyłeczek, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, włosy związane w podskakującą kitkę oraz jej topniejąca wraz z wiekiem arogancja sprawiały, że płonął żądzą, i był taki czas, gdy musiał pójść na chwilę do lasu, ilekroć zamieniła z nim choć słowo.

Próbował ukryć swoją chuć przed Poppem i Gunnhildą, ale był pewien, że wiedzieli, co mu chodzi po głowie, i czuli przez to do niego obrzydzenie. Alvilda nie była wprawdzie jego siostrą, ani nawet kuzynką, więc jego zainteresowanie młodą dziewczyną było czymś zupełnie normalnym – a przynajmniej tak sobie wmawiał, przez jakiś rok lawirując między podnieceniem, wynikającym z mieszkania w tym samym domu co Alvilda, a pogardą dla własnego na wpół kazirodczego pożądania.

Z czasem niezagospodarowane uczucie do Alvildy przygasło, a kolejnym obiektem jego westchnień stała się Sassa Gryziwarga. Sęk w tym, że była kobietą Wulfa, co przejęło Finnbogiego jeszcze głębszą pogardą dla samego siebie. Choć wiedział, że to się nie godzi, fantazjował, że Sassę atakuje sztyletozębny kot, on i Wulf zaś walczą z drapieżnikiem, a gdy Wulf ginie w walce, Finnbogi własnoręcznie urzyna bestii łeb. Wtedy

rozpromieniona Sassa wyznaje mu z dawna skrywaną miłość i natychmiast opada na kolana, by mu ją okazać.

Najdzikszy okres wyimaginowanej miłości zakończył się tego dnia, gdy Finnbogi stwierdził, że ta cała Thyri Drzewonoga jest tak niebywale atrakcyjna, że chyba nawet bizony się za nią oglądają. Odczuł ulgę, doszedłszy do tej konkluzji, bo wreszcie mógł ulokować skryte uczucia w kobiecie, która nie była jego przyrodnią siostrą ani żoną kolegi. Alvilda i Sassa wciąż nawiedzały go w fantazjach, ale głównym obiektem westchnień pozostawała Thyri.

Jego drugie rodzeństwo, Ottar Niemowa i Frejdis Złośliwa, dołączyło do rodziny jako małe dzieci, gdy Finn miał dwanaście lat. W Harówce wybuchł wówczas jakiś spór, którego nie śledził zbyt pilnie, więc nie wiedział, o co dokładnie się rozchodzi, ale w wyniku skandalu ich rodzice zostali straceni. Finnbogiemu zakazano rozmawiać o tym z dziećmi, co niezbyt mu przeszkadzało, bo w ogóle go nie interesowały, ani dziwny mały, który ledwo gramolił się na nogi, ani owinięte w koc jak larwa niemowlę. Jedynym jego wkładem w ich życie były przydomki, które pasowały do nich jak ulał.

Wszystkie dzieci w Harówce nosiły nieprzyjemne przydomki, które miały za zadanie chronić je przed demonami. Większość dostawała nowe, gdy nieco podrosła, ale niektórzy – tacy jak Gruby Wulf – nie. Na Finnbogiego wołali kiedyś Śmierdzidupa, więc kiedy ludzie zaczęli zwracać się do niego Zbuk, uznał to za błogosławieństwo. Choć szkoda, że nie znalazło się dla niego coś bardziej wyszukanego, jak na przykład Finnbogi Wytrwały albo Finnbogi Bystry czy coś w tym guście.

Gigantyczna czarno-żółta pszczoła bzyczała basowo, lecąc wzdłuż drogi, jakby miała zaraz dokonać żywota pod ciężarem zgromadzonego pyłku. Wieczór był gorący i parny. Ciepła bryza sączyła się przez szerokie liście i splątaną zieloność, z nieba

spadło kilka opasłych kropel deszczu. Finnbogim owładnęła przelotna straszna myśl, że jeśli się rozpada, to odwołają ting, ale kłębiące się na niebie chmury najwyraźniej stwierdziły, że jest za gorąco na deszcz, i potoczyły się dalej po niebie. Przejaśniło się.

Ciotka Gunnhilda zwolniła marsz i zrównała się ze Zbukiem.

– Ile zwierząt widziałeś po drodze, Finn?

Chłopak wskazał kilkanaście ruchliwych, nakrapianych ptaków, które zbierały się wśród drzew, czekając na wieczorny wysyp komarów, a potem pomarańczowo-brązową wiewiórkę, zataczającą niespieszne koła puchatym ogonkiem i szczerzącą się na nich z wysokiej gałęzi.

– Całkiem sporo. – Przyłożył rękę do ucha. Las tętnił ptasim śpiewem. – I słyszę jeszcze więcej.

– Nie pytam o ptaki i wiewiórki. O porządne zwierzęta, jak jelenie czy wilki.

Finnbogi już wiedział, dokąd to zmierza, i wiedział też, że ciotka zanudzi go na śmierć, ale zrobił dobrą minę do złej gry.

– Nie widziałem żadnych porządnych zwierząt, jak jelenie czy wilki.

– Mój pradziadek, ten, który był w hirdzie Olafa Odkrywcy, powiedział mi kiedyś, że gdy przybyli tu nasi ludzie, ziemię, na których żyjemy, roiły się od zwierza. Gdy rządził Olaf, polowano na nie z umiarem, żeby wszystkich nie wytrzebić, ale nowe pokolenie nie miało szacunku dla dziczy i zabijało, co się dało. Nie z głodu, ale z nudów.

– Doprawdy? Jakie to straszne.

– Tak właśnie było. Twoje pokolenie musi zacząć w końcu troszczyć się o zwierzęta. Zwierzęta to nasi przyjaciele.

Finnbogiemu przyszła na myśl osa, która zaatakowała go wcześniej, a która nie zdawała się odwzajemniać jego przyjaźni, ale odpowiedział tylko:

– Tak zrobimy.

– Chciałabym też, żebyś zatroszczył się o Brennę w czasie tingu. Te śmieszne opowieści Ottara o morderczych skrælingach, którzy się na nas zasadzają, wytrąciły ją z równowagi i biedne dziewczę chodzi jak strute. – Wpiła się spojrzeniem w plecy małego chłopca dalej na drodze. – Więc zatroszcz się o nią. Jak brat. To w końcu twoja siostra, prawda?

Żadna tam siostra. Tylko twoja córka, pomyślał. Brenna robiła się nerwowa w towarzystwie kogoś spoza rodziny, a czasem nawet w towarzystwie samej rodziny, a więc tingi musiały być dla niej katogą. Finn nie przejmował się tym zanadto. To był jej problem, który wynikł bezpośrednio z nadopiekuńczości Gunnhildy, nie rozumiał więc, czemu miałyby zepsuć sobie imprezę niańczeniem Brenny.

– Będę miał na nią oko – obiecał.

– I pamiętaj: pij z umiarem, przemawiaj z sensem lub milcz. Nikt nie będzie miał ci za złe, jak pójdziesz wcześniej spać.

Finnbogi wywrócił oczami. Akurat on zawsze zachowywał się przyzwoicie, a przynajmniej w porównaniu z członkami hirdy. Na ostatnim wiecu Gurd Zadrzykiecka i Garth Kowadłogęby związali Bjarniemu Kurzej Twarzy ręce za plecami i przywiązali go za jaja do żywego jelenia. Bjarni odniósł ciężkie rany, a jelenia zabito. Był to ten rodzaj dokazywania, który sprawiał, że Finn nie żałował, iż ominęło go miejsce w hirdzie.

– Jasna sprawa. – Kiwnął głową.

– No i zdajesz sobie oczywiście sprawę, że każdy bizon wie, kiedy przestać jeść, głupiec zaś je, aż pęknie.

– Będę niczym bizon, ciociu.

– Hmmm – mruknęła z dezaprobatą. – Nie śmieć się nigdy, gdy przemawia starzec, gdyż pomarszczona skóra kryje mądrość wieków. – Pogroziła mu palcem, sądząc zapewne, że to ona jest tym mądrym starcem, a potem przyspieszyła kroku i poszła na czoło grupy.

Szli i szli. Finnbogi w głębi duszy miał nadzieję, że natrafią na stado wygłodniałych lwów, żeby zabić ćwieka Gunnhildzie, przekonanej, że marnotrawna młodzież wytłukła do szczętu całą zwierzynę, ale nie natrafili. Gdy minęli kurhan Olafa Odkrywcy, który nawiasem mówiąc, został splądrowany kilka lat temu przez jarla Brodira Przecudnego, słyszeli już muzykę trąbek, fletów i harf, grających jednocześnie, ale nie razem.

Później poczuli zapach obracanego na rożnie bizona. Dzielenie się zwierzyną z Thorem było jego ulubioną częścią tingu. Nazywali to ofiarą, ale ponieważ w prezencie od skrælingów dostali już zabitego bizona, rytuał stanowił raczej pretekst do grupowego obżarstwa. Na pewno bardziej w guście Thora, zdaniem Finnbogiego.

Wyłonili się z ciemniejącego lasu. Chmury wiszące nad Słodkim Morzem Olafa były wielkie, a słońce powlokło ich obłe podbrzusza różową barwą. Wielkie pochodnie płonęły tryumfalnie na tych ścianach miejskich chat, których nie rozebrano w celu naprawienia innych budynków. Przeszli przez nigdy niezamykaną bramę i ruszyli drogą między pobudowanymi w równych odstępach domami i większymi budynkami prosto na Rynek Olafa – szeroki, otoczony barierką plac w środku osady. Wioska oraz plac zostały zaprojektowane ręką samego Olafa, który chciał zaopatrzyć sioło w jakiś centralny punkt, mogący służyć za miejsce spotkań i zborów. Choć nazwano to miejsce rynkiem, nikt tu niczym nie handlował. Finnowi nasunęła się myśl, że jak na typa, który odwalił kite blisko sto lat temu, Olaf Odkrywca całkiem dobrze się trzyma, bo każdy kamień w wiosce nosi jego imię.

Na placu zgromadzili się już niemal wszyscy Harowianie, ubrani w kombinacje starych i nowych ciuchów: wełniane płaszcze i chusty spięte srebrnymi broszami, futrzane buty, workowate portki i inne ubrania ze starego świata łączono

z frędzlowanymi skórzanymi koszulami i sukienkami, ozdobionymi piórami ptaków i kolcami jeżozwierzy z tego nowego. Niektórzy mieszkańcy mieli na sobie kolorowe kreacje Sassy, które stanowiły zwykle mieszankę staroświatowej tradycji z nowoświatową nowoczesnością.

Ludzie pogrążeni byli w rozmowie, popijali wino i miód z rogów i naczyń z brzozonej kory. Zapach bizona skwierczącego zachęcająco nad ofiarnym paleniskiem sprawiał, że Finnbogiemu ciekła ślinka. Rozglądał się bezwiednie za Thyri Drzewonogą.

– Zaraz wracam! – rzucił do pozostałych.

Gunnhilda otworzyła usta, by coś powiedzieć – z pewnością o pilnowaniu Brenny – ale Finna już nie było.

Nie uciekł daleko, gdy zaczepił go Chnob Biały, brat Thyri. Chnob był od niego kilka lat starszy, niższy i chudszy, ale miał największą brodę w osadzie, a najpewniej w promieniu wielu mil, bo skrælingowie nigdy ich nie nosili. Chlasnął Finna brodą, jakby to był żywopłot przerobiony na broń.

– Twój braciszek Ottar to przygłup – zadeklarował. – A ta jego przepowiednia jest gównem warta! Skrælingowie nigdy by nas nie skrzywdzili! – Splunął z niesmakiem, ale przez jego brodziszcze plwocina nigdy nie dotarła do ziemi.

Finnbogi skinął głową.

– Co jest, nie bronisz go?

– Twierdzisz, że jest idiotą, i nie wierzysz, że ma dar jasnowidzenia?

– To właśnie mówię. – Chnob pokiwał zamaszycie głową i brodą.

– Masz prawo do własnego zdania, a ja mam prawo mieć je w dupie. Na razie!

Z tymi słowy ulotnił się. Usłyszał kiedyś tę ripostę od Kifa Berserka, więc właściwie pocisk nie przyniósł mu tak wielkiej

satysfakcji, ale wciąż był dumny z tego, jak zgrabnie zaaplikował go w rozmowie z Chnobem Snobem.



Thyri Drzewonoga siedziała po drugiej stronie placu z resztą hirdu. Niektórzy wojownicy mieli na sobie wzmocnione żelazem skórznie. Garth, jak zwykle zresztą, założył swoją kolczugę i hełm. Ogmund Ochlejmorda wyglądał, jakby już był zdrowo nawalony, co nie było niczym dziwnym – większość czasu chodził zdrowo nawalony. Wszyscy wojowie nosili broń, która nigdy nie widziała bitwy, a przynajmniej nie za życia jej obecnych właścicieli.

Hird może i był bezużyteczną instytucją w tych spokojnych aż do znudzenia czasach, ale Finn musiał przyznać, że prezentował się okazale. Dobrze utrzymana żelazna i stalowa broń lśniła w świetle ogniska, które podkreślało zarys wytrenowanych mięśni. Oczywiście Finnbogi też by miał takie muły, gdyby całymi dniami skakał tam i nazad, a zbroję może włożyć każdy, tak jak każdy może trzymać w ręku topór czy miecz, nawet jeśli nie potrafi ich używać. Ale pytanie brzmiało: ilu z nich zachowałoby zimną krew w prawdziwej bitwie? No cóż, na pewno nie wszyscy. Finnbogi wiedział, że on sam z pewnością dałby pokaz męstwa. I był pewien, że biegał szybciej od nich wszystkich.

Thyri gawędziła z towarzyszem z hirdu, Gurdem Zadrzykiecką o rozwidlonej brodzie. Śmiała się i dotykała jego nabrzmiałego bicepsa. Gurd powiedział coś i zmierzył ją wzrokiem, jakim troll mógłby otaksować szczególnie apetyczną sarenkę. Thyri roześmiała się na całe gardło, a jej ręka za nic nie chciała odkleić się od jego ramienia. Obrzydliwe. Gurd musiał mieć z pięćdziesiąt lat. Pomimo wieku wciąż za punkt honoru

uznawał codzienne czesanie swojej brody w dwa osobne czuby i zaplatanie szpakowatych włosów w opadający na plecy warkocz.

Finnbogi oderwał od nich wzrok i skupił go na Sassie Gryziwardze, która wydeła przekrzywione uroczo usta, gryząc w zamyśleniu wnętrze policzków. Każdy inny wyglądałby z taką miną jak głupek, ale sposób, w jaki jej permanentnie skrzywione wargi kontrastowały z nieskazitelną poza tym urodą, tylko podkreślał to, jaka była nieludsko pociągająca. Na ting włożyła prostą, jasną sukienkę z kwiecistym haftem, którą, jak sądził Finnbogi, uszyła specjalnie na zgromadzenie. Zrobiło mu się niemal słabo, gdy pociągnął wzrokiem po jej pięknie opiętej materiałem talii.

Sassa wyłuskała Finna z tłumu i uśmiechnęła się promiennie. Uniósł rękę w powitalnym geście. Stojąca obok Bodila Gęsiodzioba też wyszczerzyła równe ząbki i machnęła na niego obiema rękami, by podszedł. Finn uniósł palec, dając znać, że zaraz to robi, a potem wrócił do gapienia się na Thyri. Na cycki Thora! Ten Gurd to jakiś oblech. Ślini się na Thyri jak wieprz ze chcią, a ona nic nie widzi. Jej ręka w międzyczasie przepełzła na jego pierś.

Finnbogi splunął na ubitą ziemię, a gdy podniósł wzrok, zobaczył przed sobą Gartha Kowadłogębego, który stał za Thyri i Gurdem w tym swoim kretyńskim hełmie i strzelał w jego stronę szyderczym uśmieszkiem. Domyślił się.

– Nie żyjesz!

Finn podskoczył jak oparzony, gdy coś ukłuło go w plecy, prawie przebijając na wylot. Okręcił się i nieomal wpadł na Kifa Berserka, który stał w dumnej pozie z Duporąbem w garści, jakby czekał na inspekcję.

– Czołem, Kif.

– Klękaj do topora, śmiertelniku! Ha! – Akcentując ostatnie

słowo, Kif zamarkował sztych bronią. Szpikulec topora dzielił od przepony Finna może cal. – Na kolana, mówię!

– Że co...? – wykrztusił Finnbogi.

Kif miał zaciśnięte szczęki, a spod zmarszczonych brwi lypały małe, groźne oczy, w których dało się wyczytać obietnicę przemocy. Wyglądał jak bohater jakiejś sagi, choć wizerunek szpeciła nieco zbyt mała głowa i nieco zbyt długie włosy. Gdyby Finn nie znał Kifa, byłby śmiertelnie przerażony. Teraz tylko się go bał.

– Powiedziałem: klękaj, psie! To ostatnie ostrzeżenie!

Finn zobaczył kątem oka, że zbierają się wokół nich uśmiechnięci gapie. Nie miał zamiaru klękać przed Kifem.

– A to niby czemu?

– Twój brat twierdzi, że zostaniemy napadnięci. A ty mi wyglądasz na takiego, co chciałby nas napaść.

– Powiedział, że napadną na nas skrælingowie. Ja nie jestem skrælingiem.

– Nie on to powiedział, tylko twoja siostra, bo skrælingowie to oczywisty kozioł ofiarny. Ale nie ona posiada bystry umysł boga wojowników, tylko ja, Kif Berserk. Przeanalizowałem każdy możliwy tok wydarzeń i wiem, że to ty dybiesz na nasze życie, łotrze! Klękaj więc, pókim dobry!

– Ale ja przecież...

– NA KOLANA! – Kif przystawił szpic topora do jego piersi.

Na brodę Odyna, on nie żartuje. Czyli wreszcie zwariował do reszty. Finnbogi wolno ugiął kolana.

– Ha! – ryknął śmiechem Kif, odskakując od niego z dzikim wyszczerzem na ustach. – Jaja sobie robię, głupku jeden! Ha! – Złowróźbny grymas spelzł z jego twarzy, zastąpiony przez wesołą minę biesiadnika. – Jak to możliwe, że nic nie pijesz? Tak być nie może, kolego, musisz się natychmiast nabzdryngolić! – Kif grzmotnął go w plecy wielką łapą, prawie odbijając

Finnbogiemu nerki. Cios pchnął Finna w kierunku baryłek z miodem.

– Cholera, nie możesz tak robić, Kif – wydusił.

– Że niby czego?

– Straszyć ludzi.

– Musiałem upewnić się, że to ty, a nie jakiś demon, który tylko wygląda jak ty.

– Boki zrywać.

– Nie, poważnie. Niebawem zostaniemy napadnięci.

– Czyli wierzysz Ottarowi?

– A pewno! Jeszcze się dotąd nie pomylił. W zeszłym roku powiedział, że zbliża się do nas wielki diamentowy potwór. Następnego dnia znalazłem na plaży największą rybę, jaką widziałem w życiu. Była ogromna, powiadam ci. I miała po bokach wzór, który wypisz wymaluj wyglądał jak diamenty!

– To był jesiotr. Nic nadzwyczajnego. Poppo złapał jednego parę lat temu, a Ottar go zobaczył i tyle.

– Ale jesiotry pływają zwykle w jeziorze, fale nigdy jeszcze nie wyrzuciły żadnego na brzeg. A tornado pamiętasz? To samo. Powiedział, że zbliża się okrągły wiatr, a nazajutrz śmigало po jeziorze tornado wielkie jak skurwysyn. Szczeniak jest jasnowidzem, jak bum-cyk-cyk.

– Czeka, kto niby miałyby nas zaatakować? Przecież skrælingowie...

– Pozwól, że ci przerwę. – Kif zniknął między dwiema zagadanymi grupkami Harowian.

Finnbogi pojął po dłuższej chwili, że Kif nie ma zamiaru wrócić i pewnie śmieje się w kułak z przedniego żartu. Machnął na niego ręką i ruszył w kierunku beczulek z miodem.

– Rozejrzyj się wokoło! – zagrzmiął Kif tuż nad jego uchem. – Widzisz coś dziwnego? Coś ociupinkę osobliwego?

Finn westchnął i przesunął wzrokiem po Rynku Olafa, wcale

nie zdziwiony nagłym powrotem Kifa, który uwielbiał się wygłupiać. Może Finn powinien być wdzięczny, że zechciał powygłupiać się wraz z nim?

Byli otoczeni śmiejącymi się, rozgadanyimi ludźmi, którzy dobrze się bawili na tingu. Kapela rżnęła na trąbkach, harfach i fletach (teraz grali razem, a nadspodziewana harmonicznosc dźwięków wynikała pewnie z faktu, iż byli już nieźle urżnięci), kawałek dalej zaś obracał się na rożnie bizon. Nie działo się nic niecodziennego.

– Nie, wszystko jest w porządku.

– Patrzysz, ale nie widzisz.

– Ja nie widzę? – Finn był dumny ze swojej spostrzegawczosci.

– Czy widzisz jakichś skrælingów?

Rzeczywiście, ani jednego. Finnbogi obejrzał się dookoła, a potem podskoczył, by lepiej widzieć. Nie, ani widu, ani slychu. Rzeczywiście było to dziwne, bo zwykle mała delegacja Goachików pojawiała się na tingu, choć Finn był pewien, że przychodzili tu tylko po to, by próbować szczęścia z Thyri. Dzisiaj nie było ani jednego.

– O kurde.

– W rzeczy samej – potwierdził Kif.

– Pewnie sposobią się do ataku.

– Na pewno.

– No to co robimy?

– Uciekamy, człowieku. Idziemy na zachód, tak jak powiedział szczeniak.

– Uciekamy? Na zachód? Ale skrælingowie mówią, że...

– Chcą nas zabić, a my mamy ich slychać?

– Ale przecież nie wiemy...

– Ja wierzę chłopakowi. Ty też powinienes. W końcu to twój brat.

– Żaden brat.

Kif pokręcił głową.

– Nie tylko więzy krwi czynią ludzi braćmi, przyjacielu.

– Ale dokąd my mamy iść?

– Jak to dokąd? Na Łąki.

– Dokąd?

– Tam, gdzie kazał nam iść Ottar. Na Łąki. Na zachód od zachodu. Czy ty w ogóle go słuchasz?

Prawdę mówiąc, niespecjalnie. Ale nie o to chodziło. To jakiś skrajny idiotyzm.

– Przecież wiesz, co jest na zachód stąd... Sztyletozębne kociska... Bestie ludojady, przy których niedźwiedzie wyglądają jak wiewiórki, plemiona kanibali, jednonogie olbrzymy, które potrafią skopać człowieka na śmierć, trójgłowe trolle, rzeki zbyt szerokie, żeby je przepłynąć, góry zbyt wysokie, żeby się na nie wspiąć, rośliny, które cię łapią i zsysają mięso z kości, roje os, które zabijają jednym użądleniem, ogniste potwory z...

– Porąbię im wszystkim dupy Duporąbem.

– Porąbiesz dupy osom? Górom? Roślinom?

– Jak się wścieknę.

– Czyli ruszysz na zachód i będziesz próbował porąbać dupę osie, podczas gdy reszta roju robi z ciebie szaszłyk, bo sześćioletnia dziewczynka twierdzi, że tak jej powiedział brat niemowa?

– Nie chodzi tylko o samą przepowiednię. To miejsce jest skończone. Skąd pochodzą te wszystkie bizony?

Finnbogi rzucił okiem na rożen. Dwaj plotkarze ubrani w purpurowe tuniki pomocników, którzy zgłosili się jako ochotnicy do obsługi tingu, ściągali właśnie z ognia potężny kawał bizona i zaczęli odkrajać upieczone mięso. Jeden z nich kręcił w kółko nożami, pokazując wszystkim, jaki z niego wesoły koleżka, a drugi miał wymalowany na twarzy zadowolony

z siebie uśmiezek z gatunku „patrzcie, pomagam, taki jestem ważny”. Finnbogi nie przepadał za nimi.

– Bizony pochodzą z równin na zachodzie.

– Naprawdę? Tak twierdzą skrælingowie, ale sami nigdy tam nie byliśmy, więc gównu wiemy. Ale ja muszę się dowiedzieć! Chcę odkryć te ziemie! Te i inne, cały Midgard, a potem zapuścić się jeszcze dalej! Skrælingowie nas tuczą, specjalnie trzymają nas na uboczu. Nie jesteśmy lepsi od zwierząt hodowlanych, ale ja nie po to przyszedłem na świat, żeby żreć z koryta i srać na podwórzu. Jestem bohaterem i mam zamiar robić to, co robią bohaterowie. Idę! A ty powinienes pójść ze mną. Będziemy jak Thor i Loki na wyprawie do krainy olbrzymów. Tylko nie wygadaj się nikomu. A teraz wybac, że cię zostawię, ale muszę zrobić dobre wrażenie na kilku ważnych osobach.

Finnbogi wwiercał się w niego wzrokiem. Właściwie chciał iść, ale sama myśl o opuszczeniu wioski budziła w nim strach.



Frossa Wiedząca wspięła się z mozołem na podest. Frej mi świadkiem, pomyślała, te cholerne schody są z tingu na ting coraz wyższe. Albo może jej nowy fartuch i kapelusz są cięższe od tych starych. Obszerne, jaskrawe szaty były znakiem firmowym Frossy, która nie mogła rozczarować współplemieńców jakimś poślednim łachem w dzień tingu. Co święto brała sobie za cel przyodziać się jeszcze strojniej i dostojniej. Sassa Gryziwarga przeszła samą siebie, jeśli chodzi o tę najnowszą kreację. Szkoda tylko, że ta wiecznie skrzywiona dziewczyna nie wpadła na to, żeby użyć lżejszego materiału.

Prawomówca Rangvald Mądry, czy też Rangvald Tłuk, jak żartobliwie zwali go Harowianie za jego plecami, bo ten przydomek bardziej do niego pasował, wszedł na podwyższenie

wraz z nią. Był ubrany w te swoje nudne czarne portki i białą koszulę, które licowały z jego nudną rolą.

Rangvald zasiadł na swoim miejscu, a Frossa przeszła na drugą stronę tronu jarla Brodira i zajęła swoje. Wszystkie trzy krzesła zostały zbudowane z drewna z okrętu Olafa Odkrywcy. Staruszka dała znak trębaczowi, który uciszył kapełę, a wtedy twarze wszystkich ludzi na Rynku Olafa zwróciły się na platformę, która wciąż oczekiwała na jarla Brodira Przecudnego.

Władca wskoczył na podest z werwą o wiele młodszego mężczyzny, ale wiwaty były jeszcze bardziej przygaszone niż na poprzednim tingu. Frossa wiedziała dokładnie dlaczego. Zanosilo się na kłopoty. Tłum umilkł zupełnie, zanim jeszcze jarl zasiadł na tronie, pomimo wyteżonych starań pomocników w purpurowych szatach, którzy bezskutecznie próbowali zagrać mieszkańców do wiwatowania.

Frossa powiodła wzrokiem po ponurych twarzach i domyśliła się, kto jest tego przyczyną. Tam stał. Gapił się na piekącego się bizona i machał ramionami, ekscytując się lub może rozpaczając. Nie sposób było powiedzieć na pewno, co się dzieje w głowie tego małego przygłupa. Ottar Niemowa, niebezpieczny mały chłopczyk, który powinien zostać zgładzony w dniu narodzin. Który właściwie o mało co nie zginął jeszcze przed narodzinami.

Frossa kochała wszystkie dzieci, ale życie, jakie prowadził Ottar, musiało być straszne i im szybciej się je zakończy, tym lepiej chłopak na tym wyjdzie. Szkoda, pomyślała, że jego rodzicom nie udało się go zabić jeszcze w łonie matki. Ludzie byli oburzeni tym, co zamierzali zrobić, ale każdy człowiek na tyle rozgarnięty, by oddzielić emocje od logiki, zdawał sobie sprawę, że lepiej by było, gdyby mały niedorozwój nigdy się nie narodził.

Frejdis Złośliwa przyskoczyła do brata i skierowała jego uwagę na podest. Z tą małą też coś było nie tak. Jakim cudem rozumiała, co mówi jej brat, gdy nikt inny nie mógł go

zrozumieć? Wszyscy w wiosce przechodzili nad tym dziwem do porządku dziennego, ale Frosę nie na darmo zwali Wiedzącą. A jeśli ta mała była zwykłą wichrzycielką, która wymyślała wszystkie przepowiednie Ottara? Przepowiednie! Dobre sobie. Były śmieszne w porównaniu z jej własnymi. Tornado i ta wielka ryba to przypadek, łut szczęścia. Frossa mogła pochwalić się o wiele większymi osiągnięciami w dziedzinie jasnowidzenia dzięki ofiarom, jakie składała Frejowi. Kto przewidział wielkie mrozy zeszłej zimy? Kto przewidział, że umrze Sędziwy Skapti?

Frossa przypisywała swoje magiczne umiejętności krwi Wanów, która krążyła w jej żyłach. Wywodziła się z boskiej rodziny, z której pochodzili też bóg Frej i bogini Freja. Nigdy nie podzieliła się z nikim swoimi podejrzeniami – Wanowie byli skromni z natury – ale jej święte dziedzictwo gwarantowało jej tajemną, lecz w pełni uzasadnioną wyższość nad resztą plemieńców.

– Szlachetni zebrani, witajcie na tingu! – zawołał jarl Brodir. Rozległo się kilka niechętnych wiwatów. – Chwalmy Thora, naszego boga i obrońcę, dzieląc się z nim mięsem tych oto dwóch bizonów!

Frossa odnalazła w tłumie twarz Gunnhildy. Zawsze to miło zobaczyć reakcję czcicielki Chrystusa na modły do boga Thora. Gunnhilda wyglądała, jakby zaciągnęła się powietrzem z wora lisiego gówna. Stara kobieta stłumiła uśmiech.

– Bowiem to właśnie ręka Thora powiodła Olafa Odkrywcę przez Słone Morze i pod prąd Potężnej Rzeki, uniosła jego okręt ponad Wodospad Niechybnej Śmie...

– Co z przepowiednią Ottara? – wszedł mu w zdanie jakiś niewychowany buc.

Brodir okazał wspaniałomyślność, ignorując jego słowa.

– Ponad Wodospad Niechybnej Śmierci, ażeby...

– I gdzie są skrælingowie? – krzyknął ktoś inny.

– Właśnie! Czy ciągną na nas ze swoim wojskiem? – zawołał jeszcze jeden.

Tłum zafalował, zasypując jarła kolejnymi pytaniami.

Frossa opromieniła prosty lud dobrotliwym uśmiechem i powstrzymała się, by na nich nie ryknąć. To nie ich wina, że są tacy łatwowierni. Kochała ich wszystkich jak rodzona matka, ale, tak jak kochająca matka, czasem miała ochotę nakłaść im po mordzie. Wychowawczy klaps między oczy nie zaszkodzi, a może pomóc.

Jarl Brodir uniósł ręce. Już on wie, jak uciszyć prostaczków.

– No dobra, ludzie. Spokój. Widzę, że nie ruszymy dalej, dopóki nie odpowiem na nurtujące was pytania. Wybraliście mnie na wodza, ja zaś sprawuję władzę w waszym interesie, przedkładając wasze dobro nad swoje. Mamy sprawy do omówienia, ważne i niecierpiące zwłoki, ale jeśli wszyscy chcecie rozmawiać o przepowiedniach Ottara, spełnię wasze życzenie, jak robię to zawsze.

Tłum ucichł. Frossa omiotła wzrokiem skupione na jarlu twarze. Ten zidiociały Ottar i jego cwana siostrzyczka śmiali się z czegoś na tyłach ciżby. Jak zwykle do niczego nie podchodzili poważnie. Za nimi Gruby Wulf, Kif Berserk i niewydarzony syn jarła Brodira Bjarni Kurza Twarz gadali o czymś, zapewne o jakichś bzdurach, zamiast pomóc jarlowi kontrolować masę.

Dlaczego cały hird nie może być jak Garth Kowadłogęby? On lepiej by się nadał na jarlowego syna niż ten głupi Bjarni o zaczesanych kretyńsko włoskach, który usmażył sobie mózg halucynogennymi grzybami.

– Najsampierw – grzmiał jarl Brodir – odpowiedzmy na pytanie o skrælingów. A odpowiedź jest zaiste bardzo prosta. Jak wszyscy wiecie, nasi lokalni skrælingowie z plemienia Goachików należą do imperium calnijskiego. Co roku odbywa się w Calnii, stolicy cesarstwa, leżącej trzysta pięćdziesiąt mil na

południe, wielkie zgromadzenie. Tam właśnie są teraz nasi skrælingowie.

– Ale nigdy wcześniej nie opuścili tingu! – rozległ się krzyk.

– Bo jak dotąd ting nigdy nie kolidował z ich pielgrzymką na południe.

Ktoś kiwnął głową, ktoś wzruszył ramionami. Głupcy łyknęli tę blagę bez popitki.

– No a przepowiednia Ottara? – zawołał Poppo Białozęby, przybrany ojciec małego wróżbity i pierwszy mąciciel w wiosce.

Frossa pałała do mieszkańców Harówki tak nieprzebraną miłością, że była wręcz ich duchową przewodniczką, ale kochałaby ich jeszcze bardziej, gdyby usunąć kilka indywiduów, takich jak ten cholerny Poppo.

Brodir wwiercił się w niego wzrokiem i odparł:

– Dość tajemnic. Gdzież jest Frejdis Złośliwa?

– Tutaj! – odkrzyknęła dziewczynka, harda jak zawsze.

– Młoda Frejdis, wiem, że jesteś mądrą dziewczynką i z pewnością rozumiesz, jak wielkiej napytasz sobie biedy, wymyślając niestworzone historie, a już zwłaszcza takie, które zmartwią co bardziej łatwowiernych dorosłych. Odpowiedz więc, co dokładnie powiedział ci twój brat?

Ludzie na Rynku Olafa oderwali wzrok od sceny i wpili się spojrzeniami we Frejdis. Kilkoro stojących bliżej plemieńców oddzieliło się od niej paroma krokami. Taka nagła uwaga powinna przerazić dziecko, ale Frejdis stała niewzruszona, z zadartą brodą. Co za arogancja!

– Powiedział mi, że musimy stąd odejść i ruszyć do miejsca położonego na zachód od zachodu, na Łąki. Jeśli tu pozostaniemy, wszyscy zostaniemy zabici.

– Przez skrælingów? – upewnił się Brodir.

– Tak jest.

– Rozumiem. Zostaniemy zabici przez skrælingów, którzy są

naszymi sojusznikami od ponad stu lat. A to miejsce, te Łąki, czy twój brat wyjawiał ci, gdzie się znajduje?

– Na zachód od zachodu.

– A cóż to znaczy?

– Idziesz na zachód, a jak już tam dojdiesz, to idziesz jeszcze kawałek na zachód.

Rozległy się śmiechy.

– Czy możesz odpowiedzieć jak dorosła?

– Ona ma sześć lat! – wstawił się za córką Poppo.

– A jednak szerzy plotki, które zakłóciły przebieg tingu – rzekł rozsądnie Brodir. – Musi więc odpowiedzieć na moje pytania. Droga Frejdis, ile mil musielibyśmy przejść, żeby dostać się na te Łąki?

– Nie wiem.

– Rozumiem. Czy możesz zapytać Ottara?

– To tak nie działa.

Jarlem wstrząsnął chichot.

– To tak nie działa, powiada. Czyli rozumiesz te jego przepowiednie tylko wtedy, kiedy ci to pasuje?

– Nie ma znaczenia, ile to mil. – Dziewczynka wciąż emanowała stoickim spokojem. – Jeśli nie pójdziemy, to umrzemy, więc lepiej pójdźmy.

– Frejdis, kochanie, czy rozumiesz, co to jest kłamstwo?

– Tak.

– Czy teraz kłamiesz?

– W tej chwili? – Dziewczynka przekrzywiła główkę, udając głęboką zadumę.

Była o wiele za dojrzała na swój wiek. Dobre lanie oduczyłoby ją zarozumiałstwa, pomyślała Frossa.

– Hm, nie. Chodzi mi o to, czy kłamałaś, mówiąc, że Ottar powiedział ci, że zabiją nas skrælingowie.

– Nie kłamałam.

– Kłamałaś.

– A gdzie tam.

– No cóż, a ja wiem, że kłamałaś, i już. Przepowiednia Ottara, dobrzy ludzie, to nic innego jak tylko wymysł tego dziecka, obdarzonego przez bogów zbyt bujną wyobraźnią – ogłosił Brodir. – Jestem pewien, że Poppo należycie ukarze córkę.

Wcale jej nie ukarze, pomyślała Frossa, i w tym właśnie cały problem. Ta gówniara nigdy nie dostała porządnego lania.

Stojąca u boku męża Gunnhilda mruknęła coś do Poppa.

– Co mówisz, Gunnhildo? – spytał jarl. – Podziel się z nami, prosimy!

Pobożna oblała się rumieńcem. I słusznie, pomyślała Frossa. Po co się pchasz, gdzie cię nie proszą?

– Powiedziałam: słabeusz zastępuje siłę nieuprzejmością.

– Och, doprawdy, dziękuję za kolejną porcję bzdur ze starego świata. A teraz zapytajmy prawdziwą wróżbitkę, Froszę Wiedzącą, czy w przepowiedni Ottara jest choć ziarno prawdy.

– Chyba raczej Froszę Jedzącą! – zawołał z tłumu jakiś okrutny idiota, wywołując uśmiechy u innych podobnych idiotów, ale jarl przemilczał obrazę i zwrócił się bezpośrednio do wieszczki:

– Frosso, czy znajdujesz prawdę w kłamstwach Frejdis?

Frossa uśmiechnęła się. Lubiała być w centrum uwagi, wyczekujące spojrzenia bojaźliwego tłumu działały na nią jak najśłodszy miód. Wiedziała, że Brodir zada jej to pytanie. Omówili tę sprawę zawczasu.

– Ani trochę, jarlu Brodirze. Ani krztyny.

– Skąd masz pewność?

– Gdym usłyszała, że nasz drogi chłopiec i jego nadzwyczaj opiekuńcza siostra rozpowiadają takie okropne, i niebezpieczne, plotki, wzięłam je na poważnie. Z całego serca kocham wszystkie dzieci Harówki i z chęcią poświęcam im swój czas, gdy mają jakiś kłopot, ale ta kwestia przykuła moją szczególną uwagę ze

względu na potencjalne konsekwencje. Jeśli ktokolwiek miałby opuścić wioskę przez opowieści sześćioletniej dziewczynki, jeśli ktokolwiek miałby zginąć w dziczy, rozszarpany przez stado lwów lub zjedzony przez lodowych gigantów, byłoby to wielkie nieszczęście. Złożyłam więc trzy ofiary: Odynowi, Thorowi i mojemu bogowi Frejowi, z którym jestem bliżej, niż niektórzy mogliby sądzić. Zajrzałam we wnętrze kruków, lisa i czarnego ptaka o czerwonych skrzydłach. I z wszystkich wyczytałam, że nie czeka nas wcale zguba, lecz wieloletni pokój i przyjaźń z naszymi drogimi opiekunami skrælingami.

– I co z tego? Przecież ciągle się mylisz – powiedział Poppo.

Prostaczka zeskoczyłaby z podestu i wydrapała draniowi oczy, i taki też był pierwszy odruch Frossy. Ale ponieważ nie była prostaczką i wiedziała, że może zemścić się na tym impertynencie w dowolnej chwili, opanowała się i wypuściła powietrze z płuc.

– Ofiary stanowią dostateczny dowód na to, że Frejdis wymyśliła sobie całą tę historię. Nie mam wątpliwości, że doprowadziło do tego twoje troskliwe, lecz niekonwencjonalne ojcostwo.

– To Ottar jest jasnowidzem, nie Frejdis! – nie ustępował Poppo.

Na twarz Frossy wypłynął uśmiech.

– To urocze, drogi Poppo, że wierzysz, iż biedna sierota, nad którą roztoczyłeś opiekę, rozumie pojękiwania swojego nieszczęśliwego brata. Lecz nawet jeśli te historie wychodzą od niego, moje ofiary stanowią niepodważalny dowód. Jeśli jednak trzeba ci więcej dowodów, dostaniesz je. Albowiem ten, który dostrzegł niebezpieczeństwo w tej śmiesznej opowiastce, budowniczy naszego sioła, Olaf Odkrywca, opuścił minionej nocy należne mu miejsce u boku Thora i nawiedził mnie w mojej chacie.

– I wytrzymał ten smród? – krzyknął ktoś.

Frossa strzeliła w tłum wzrokiem, ale nie dostrzegła tego mądrali, który znowu ośmielił się ją znieważać. To okrutne. Może i jej chata rzeczywiście rozpacza intensywną woń, ale gdyby nie rozwiesiła należycie w środku wszystkich swoich ofiar, aż te pięknie przegniją, bogowie rozzłościłoby się na nią i nasłali demony. Dlaczegoż ci wieśniacy nie mogą tego pojąć? Znosi fetor rozkładu z miłości do nich. To zresztą nie był wcale taki zły zapach. Jak się do niego przyzwyczaić, robi się słodki i jakiś taki swojski.

– Olaf Odkrywca powiedział mi, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo – podjęła niewzruszona. – Wyjawił mi również, że każdy, kto opuści Harówkę, zginie straszną i bolesną śmiercią.

– No i proszę – skonkludował jarl Brodir. – Nie mamy się czego...

Prawomówca Rangvald dotknął jego ramienia i wskazał w gęsty tłum, ponad który wystawała ręka Poppa Białozębego.

– Jeśli kto lat pięćdziesiąt skończył i rękę swą w czasie tingu uniesie, ten ma prawo głosu – zaintonował Rangvald.

– W rzeczy samej, w rzeczy samej... – zgodził się Brodir. – Co tam, Poppo?

– Dzięki! – Białozęby błysnął białymi zębami. – Chcę powiedzieć tylko tyle: wszyscy powinniśmy opuścić Harówkę, niezależnie od tego, czy przepowiednia Ottara się sprawdzi, czy też nie. Jest ku temu dogodna okazja, skoro nie ma tu skrælingów.

– A dlaczego mielibyśmy to zrobić? – Odpowiedź jarla była niebezpiecznie warkliwa i głośna. Frossa delikatnie osadziła mu rękę na ramieniu. Rozmawiali już o tym. Niezależnie od tego, jak wiele masz racji, twoje argumenty bledną, gdy okazujesz złość.

– Olaf zawarł tymczasowe porozumienie ze skrælingami, na

mocy którego otrzymujemy jedzenie za naszą uległość, tylko dlatego, że potrzebowaliśmy czasu, by odnaleźć się na nowej ziemi – kontynuował Poppo. – Olaf był odkrywcą, poszukiwaczem przygód, pionierem, a my powinniśmy być tacy jak on. Olaf nie zawarł tego układu na zawsze. Nie chciał, żebyśmy żyli jak świnie w zagrodzie.

– Czy ośmielasz się obrażać wszystkich swoich ziomków? – Brodir uniósł wysoko brwi. Trafił w końcu w samo sedno.

– Owszem, ośmielam się – zbił go z tropu Poppo. – Samego siebie też obrażam. A nawet w większym stopniu niż resztę z nas. Staliśmy się haniebnie beztroscy i leniwi, ale winę za ten stan rzeczy w większym stopniu ponoszą minione pokolenia niż to obecne. Gdy byłem dzieckiem, mieliśmy wozy zaopatrzone w solidne koła, dzięki którym mogliśmy z łatwością przemieszczać się drogami. Teraz wleczymy za sobą włóki, tak jak skrælingowie, bo nikt z mojego pokolenia ani pokolenia mojego ojca nie chciał się nauczyć, jak zbudować koło. Nikogo z nas nie obchodziło, czy drogi są przejezdne, czy nie, nikt nas nie nauczył, jak o nie dbać. I spójrzcie tylko na naszą broń i narzędzia. Może i są w niezłym stanie, ale wszystkie mają ponad sto lat. Czemu? Bo nie umiemy już wykuwać nowych. Brodirze, miecz, który zagrabiłeś z kurhanu Olafa...

– Duch Olafa dał mu ten miecz! – Frossa więcej nie znieś. Miarka się przebrała.

Poppo skierował do niej wredny uśmiezek, a potem przeskoczył wzrokiem do Rangvalda.

– Proszę o ciszę – powiedział do Frossy prawomówca.

Do niej! Frossa oburzyła się, ledwo panując nad twarzą. Mnie będziesz uciszał, ty zapluty dziadzie?

– Teraz mówi Poppo. – Mężczyzna dał znak Białozębemu, by kontynuował.

Naburmuszona wieszczka opadła na krzesło.

– Tak więc miecz, który Brodir ukradł z grobowca Olafa, ma żelazny rdzeń i jest okuty czymś, co nazywamy stalą. Jest to, jak mi się wydaje, jakiś rodzaj żelaza. Nie jestem pewien. Mój pradziad kiedyś mi to tłumaczył, ale nigdy tego do końca nie zrozumiałem. W każdym razie jest to surowiec, który pochodzi z płonących skał. – Gdy kilkoro ludzi roześmiało się na te słowa, dodał bez śladu zdenerwowania: – Tak, zgadzam się, śmiech mnie bierze, gdy pomyślę, jak bardzo zgłupieliśmy.

– Do rzeczy, Poppo, jeśli łaska – błagał Brodir.

– Należy pozwolić mu mówić, nie przeszkadzając ni słowem – pouczył stary Rangvald.

– Już zmierzam do rzeczy, szanowni. Jesteśmy bezużytecznymi leniami, nieukami i darmozjadami. Dobrym przykładem na to jest mój syn Finnbogi. – Wskazał palcem kraśniejącego młodzieńca. – Nie ma żadnych celów w życiu. Żadnych przeciwności losu do pokonania. Nawet przeciwności wynikających z konieczności zdobycia pożywienia lub zadbania o schronienie. Członkowie hirdu może i nieźle wyglądają, bo ćwiczą, i jestem pewien, że umieją walczyć, ale co z tego, gdy okazja do sprawdzenia ich umiejętności w praktyce nigdy się nie nadarzy? W tej chwili pełnią jedynie funkcję ozdoby, nic więcej. A więc, jako się rzekło, powinniśmy stąd odejść, ale nie po to, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, które przepowiada Ottar, tylko po to, żeby stać się lepszymi ludźmi.

Pomruk aprobaty dodał odwagi łagodnemu zwykle Poppowi.

– Żeby stać się bohaterami! – podjął hardo. – Skrælingowie mogą pewnego dnia dojść do wniosku, że ich bogowie już nie darzą nas miłością, że już nas nie chronią. Co, jeśli postanowią nas wtedy najechać? Mnie się wydaje, że dobrze by było być już wtedy gdzieś indziej. Budować nowe życie w wybranym przez nas nowym miejscu.

Froszę obleciał strach. A co, jeśli ludzie podchwycą ten

absurdalny pomysł? Nie, dzięki Frejowi, wiwatów nie było. Ale ktoś krzyknął, że się zgadza, ktoś inny potwierdził, a z tłumu podniósł się ożywiony gwar.

– Czy mogę coś powiedzieć? – spytał grzecznie Brodir.

Poppo skinął głową.

– Dobrze. No więc słuchajcie, ja również rozmawiałem ze starszymi pokoleniami, gdy byłem chłopcem. Oni zaś rozmawiali z pierwszymi osadnikami, ludźmi, którzy żyli jeszcze w starym świecie. I w tym starym świecie, mój Poppo, nie pozwolono by ci się nawet odezwać. Bo sługa nie ma prawa głosu. Właśnie tak, byłbyś sługą, Poppo, niewolnikiem, przez całe życie pracującym dla pana, który może go bić, a nawet zabić, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Gdyby twój pan zapragnął posiadać twoją córkę, po prostu by ją sobie wziął, a ty nic byś na to nie mógł poradzić. Czy chciałbyś, żebym ja wziął sobie Alvildę lub Brennę, Poppo?

– Nie chciałbym.

– Oczywiście, że nie. Ale to właśnie działo się w starym świecie. I dalej się dzieje. Jeśli niewolnik narzekał na swój los, pan miał prawo zabić go jak psa. Jeśli któregoś roku było mniej jedzenia, co zdarzało się często, bo produkcja i przechowywanie żywności były zależne od kaprysów niekompetentnych władców, którzy ani myśleli kręcić bicz na własną skórę, winą za ten stan rzeczy obarczano leniwych niewolników i topiono ich dzieci w morzu, żeby było mniej gąb do wykarmienia. A kiedy niewolnik starzał się lub chorował i przestawał być użyteczny, pan miał prawo go zabić. Owszem, w starym świecie obowiązywało prawo, tak jak obowiązuje w nowym, przepisów było nawet więcej, lecz miało ono na celu jedno: zapewnienie dobrobytu niewielu, podczas gdy wielu cierpiało głód i niedostatki. To dlatego nasi przodkowie opuścili stary świat. Czyż nie cieszy się, że to zrobili?

Kilkoro ludzi potwierdziło okrzykami, a najgłośniej

purpurowi ochotnicy.

– Takem myślał. W Harówce nie ma niewolników. Wszyscy mężczyźni i kobiety są tutaj równi. Nie mordujemy dzieci, żeby mieć więcej jedzenia. W całej historii naszej wioski nikt nikogo nie zabił ani nie zgwałcił. Nikt nie umarł z głodu. Nie zmuszamy naszych kobiet, by upinały włosy w taki sposób, żeby każdy wiedział, czy są zameężne, czy nie, tak jak oni robili to w starym świecie, gdzie kobieta nie mogła być świadkiem ani wodzem... No dobra, my też nigdy nie mieliśmy kobiety wodza, ale przecież moglibyśmy mieć i jestem pewien, że kiedyś mieć będziemy.

Frossa zauważyła, że wiele głów obróciło się w stronę Thyri Drzewonogiej, która udawała, że tego nie widzi, i pokiwała tylko poważnie głową, jakby zgadzała się z jarlem. Drzewonoga była pierwszą kobietą, którą przyjęto do hirdu, interesowała się żywo tym, jak funkcjonuje Harówka, i dogadywała się ze skrælingami. Wszystko to czyniło z niej wymarzony materiał na jarla, a Frossa wiedziała doskonale, że dziewczynie marzy się autorytet i szacunek. Ale Thyri była w jednej czwartej skrælingiem, a więc mieszkańcem, który nigdy nie dostąpi tego zaszczytu. Po moim trupie, pomyślała zapalczywie Frossa.

– Owszem – mówił dalej Brodir – mieliśmy tu kilku przestępców, których spotkała zasłużona kara: dwie egzekucje i wygnanie, ale wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, więc to nieuniknione. W każdym koszu znajdzie się zgniłe jabłko. Tak czy inaczej, żyjemy o wiele lepiej niż nasi przodkowie w starym świecie, ale taki stan rzeczy utrzyma się tylko wtedy, kiedy będziemy mieszkać tutaj.

Frossa zawiesiła myśli na wygnaniu, o którym wspomniał wódz. Jakies dwadzieścia lat temu, jeszcze przed objęciem tronu przez ostatniego jarla, Tarbena Swędzibrodę, ting wygnał tego bydlaka Eryka Złośnika, bo chciał opuścić wioskę. Jej zdaniem

Brodir był zbyt łaskawy. Powinien wykopać Poppa z wioski za tę samą zbrodnię.

– Tak – ciągnął jarl. – To prawda, że skrælingowie nas karmią. Mówią, że robią to, gdyż żądają tego od nich bogowie, których czczą, i ja wierzę, że naprawdę tak myślą, ale tak między nami: prawdziwym powodem, dla którego nas karmią, jest to, że to dla nich łatwe. W starym świecie ludzie uprawiają ziemię. Sadzą nasiona, podlewają grządki, walczą ze szkodnikami. Tak wyglądało życie wielu naszych niewolników. Skrælingowie również uprawiają ziemię, prawda, ale mają też dziki ryż, który rośnie sam, nie wymaga opieki i wszędzie go pełno. Skrælingowie muszą się tylko po niego schylić. Mają go więcej, niż potrzebują. Nie muszą hodować świń czy kóz, bo lasy są pełne dzikiego zwierza. I to się już nie zmieni. Już zawsze będą nas karmić. Musicie też wziąć pod uwagę ostatnie nawałnice, które stają się coraz bardziej gwałtowne. Czy kiedy rozpęta się kolejna burza, wolelibyście być w dziczy, czy może siedzieć przy palenisku we własnym domu? Ten, kto odejdzie z Harówki, nie przeżyje w dziczy nawet tygodnia. Jak więc widzisz, Poppo, rozumiem wszystkie zawiłości sytuacji, w której się znajdujemy. Ty niestety nie. Dlatego to ja jestem jarlem, a ty żyjesz w kościele w lesie, gdzie nikt poza wami nie modlił się od lat. Dlatego właśnie ludzie posłuchają mnie, a nie bredzenia twojego nedorobionego dziecka.

Ludzie wznieśli gromki wiwat. Poppo chciał jeszcze coś powiedzieć, ale purpurowi ochotnicy zebrali się wokół niego i zagłuszyli go tryumfalnymi okrzykami. Frossa uśmiechnęła się półgębkiem.



Finnbogi nie wiedział, komu wierzyć. Wuj Poppo Białozęby brzmiał przekonująco, ale Brodir Przecudny też miał wiele racji. W ogólnym rozrachunku skłaniał się raczej w stronę Brodira, bo to nie on nazwał go bezużytecznym leniem przed całą wioską.

Tylko że Ottar Niemowa nigdy się jeszcze nie pomylił.

Finn ruszył na poszukiwania Thyri. Spyta ją, co ona o tym myśli. Tam jest – teraz gada z tym przychlastem w hełmie, Garthem Kowadłogębym! Przyspieszył kroku, ale za chwilę ktoś złapał go za ramię i osadził w miejscu. To był Gruby Wulf. Mężczyzna rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie słucha, a potem nachylił się konspiracyjnie do Finna.

Chłopak poczuł narastającą ekscytację. Wulf był najrówniejszym gościem w całej Harówce. Czego też może od niego chcieć?

– Kif mi powiedział, że nosisz się z myślą o ucieczce. – Wesoła twarz Wulfa, jego białe, wyszczerzone w uśmiechu zęby i kręcone złote loki budziły zaufanie i serdeczność, ale jego wielkie mięśnie, ćwiekowana skórzniak, tarcza i przede wszystkim masywny młot Grom kazały wierzyć, że pod tą przyjemną powierzchownością kryje się groźny wojownik. Czy chciał, żeby Finnbogi przyłączył się do grupy, która ucieknie z Harówki, czy może miał zamiar go skłonić, by przekonał Brodira do zmiany zdania? Wulf był fajnym i porządnym facetem, ale był też dowódcą hirdu.

– O ucieczce z tingu z powrotem do kościoła? – pisnął Finnbogi.

– Nie, na litość. O ucieczce z Harówki. Ucieczce na dobre. Nasza grupa zbiera się, żeby stąd odejść. Jeśli chcesz się do nas przyłączyć, spotykamy się o świcie przy kurhanie Olafa.

– Wyruszacie jutro?

– Nie, nie, nie. Nie ma pośpiechu, stary. Twój mały bracki to fajny dzieciak, ale tym razem się myli. Nikt nas nie napadnie. Po

prostu czas wypuścić się na małą eskapadę. Wyjść z wioski, zobaczyć, co kryje się za kolejnym wzgórzem, łapiesz? Zbieramy ekwipunek, mamy plany, rozumiesz... Więc jeśli chcesz opuścić Harówkę, zwlecz się z wyra przed świtem i chodź z nami. Jeśli nie chcesz, to nie ma sprawy, ale nikomu ani słowa. – Wulf uśmiechnął się szeroko na podobieństwo zwierzęcia, którego imię nosił. Wydawał się szczerze przyjacielski i szczerze groźny jednocześnie.

To mogła być pułapka.

– Ja...

– Będzie tam Thyri Drzewonoga. – Wulf mrugnął do niego i odszedł.



ROZDZIAŁ 8

Cwana Chippaminka

Labędzia Cesarzowa Ayanna stała na szczycie swojej wieży widokowej u stóp Góry Słońca na skraju placu Innowaka, rozległego piaszczystego prostokąta, który pełnił funkcję stadionu i sceny. Omiotła wzrokiem rozgrywającą się poniżej walkę.

Tłum napierał na otaczające plac barierki, bacznie obserwując to samo widowisko, wznosząc wiwaty, wrzeszcząc i krzycząc, ochając i achając jak stado pijanych bizonów. Większość patrzyła na owslanki i ich ofiary, ale wielu

obserwowało postać cesarzowej na platformie, samotnej, jeśli nie liczyć sześciu wachlujących młodzieńców. Nad nią i jej sługami pysznił się w słońcu wielki, osadzony na złotych nogach kryształ, największy na świecie, który skupiał promienie Innowaka i rozpalał wielkie kuchenne paleniska poniżej.

Zgromadzeni wywodzili się z klasy niższej, ale oczywiście nie tej najniższej, ponieważ biedota nie miała wstępu za wewnętrzne mury Calnii, chyba że wykonywała swoje obowiązki, takie jak dostawa żywności i usuwanie śmieci. Gapiami byli zatem wysoko urodzeni Calnianie oraz ci spośród plebsu, którzy w jakiś sposób podnieśli swoją pozycję w stołecznej hierarchii, a więc wszyscy jak jeden mąż zadzierali nosa i zachowywali się ze sztuczną godnością, która w ich mniemaniu odróżniała ich od brudnych nędzarzy zamieszkujących zewnętrzne dzielnice miasta.

Mężczyźni mieli na sobie całą gamę długich, przepasanych koszul oraz spodni, zapewne w ich przekonaniu znakomicie skrojonych. Kobiety nosiły suknie, tuniki i spódnice w jasnych barwach, niektóre przepasały się saszetkami na paskach i niemal wszystkie założyły ozdoby z kolców jeżozwierz, paciorków, muszelek i innych błyszczących świecidełek. Przedstawiciele obydwu płci ufryzowali włosy na milion różnych sposobów – tu warstwowa spirala, tam wielokolorowa potrójna pletwa w zestawieniu ze szpicbródką – i wszyscy obwieszali się połyskliwą biżuterią ze szkła, turkusu, kości, rogu i kóż wie czego jeszcze. Wielu ludzi nosiło znaki boga Innowaka – łabędzie ze złota i kolb kukurydzianych wszyte w materiał sukni. Jedna kobieta zapuściła włosy i natarła je woskiem, by uformować z nich wielkie mysie uszy.

Jej poprzednik Zaltan utrzymywał, że praktykowany przez klasę średnią podkreślający indywidualność połyskliwy przepych był tak naprawdę jej własną formą konformizmu. Może miał rację. Ayanna uważała, że nieudolne próby naśladowania

wysoko urodzonych przez tych farbowanych plebejuszy były po prostu zabawne.

Ayanna ubierała się prosto, z wyczuciem i oryginalnością. Miała na sobie sandały ze skóry jelonka i długą białą sukienkę z białego futra małego bizona, które zarówno eksponowały jej rozrośnięty brzuch, jak i wygładzały linie ociężałego ciała. Złoty łabędź wyszyty na plecach był prawdziwym dziełem sztuki. Najzdolniejszy kolcarz w asyście jej najlepszych ludzi spędził miesiąc na farbowaniu najprzedniejszych kolców jeżozwierza i wyszywaniu z nich jedynego w swoim rodzaju wzoru. Włosy cesarzowej były krótkie, zaczesane na jeden bok i zafarbowane na srebrno, ale poza tym nieozdobione w żaden sposób. Nie nosiła też biżuterii poza ryngrafem z czarnego łupku, który opinał jej smukłą szyję, odbijając i absorbując światło jak leśny staw.

Ludzie wciąż się na nią gapili, jakby była manekinem na wystawie. A niech się gapią. Potrafiła się ubrać, to i przyciągała wzrok. Przy następnej ofierze wielu z nich będzie próbowało naśladować jej nowy styl, ponosząc porażkę na wiele różnych sposobów, a ona z rozkoszą ich wszystkich obśmieje.

Wróciła wzrokiem do rozgrywającej się na placu sceny. Złapani Goachikowie posłużyli za piękną ofiarę, największą od czasu, gdy w pierwszych dniach jej władzy szambelan Hatho musiał wznieść nowy kurhan, by pomieścić częściowo zjedzone trupy trzystu najeźdźców z południa. Ayanna składała o wiele mniej ofiar niż obalony cesarz Zaltan. On uwielbiał wypełniać kurhany tłumami młodych kobiet, wrogami, przyjaciółmi – kim popadło. Dopuszczał się na nich nieopisanych okrucieństw i zaspokajał wszystkie swoje chore żądze, nie tylko upokarzając swoje ofiary i siebie samego, ale też obrażając bogów, ku którym kierowana była rzekomo ofiara. Ayanna położyła kres temu festiwalowi okrucieństwa. Ona składała w ofierze tylko tych,

którzy sobie na to zasłużyli. Jak na przykład goachikańskich rebeliantów.

Zanim wojowniczki zdusiły bunt, zginęło około dwudziestu Calnian. Wszyscy z wyjątkiem szambelana Hatha wywodzili się z najniższej klasy. Hatho dał się zabić wybitnie nie w porę i przeklinała go za to. Dopiero co wrócił z długiej podróży po południowych krainach i z niecierpliwością oczekiwała jego raportu. Nosicielka jego alchemicznej torby czekała teraz na nią w pałacu, ale czegoż dowie się od prostej służki? Ayanna westchnęła, wracając myślami do przedstawienia.

Dziesięć owslanek stało w szeregu wzdłuż skraju placu od strony najbliższej piramidy. Pomędzy nafaszerowanymi alchemicznymi miksturami wojowniczkami i tłumem, z wiatrem od cesarskiej wieży widokowej, piekli się na dwóch paleniskach pierwsi zabici jeńcy, a przy trzecim trójka krzepkich sług z wyćwiczoną płynnością ruchów patroszyła świeżo zabitego Goachikę. Następnie mężczyźni przebili go różnem od odbytu do ust i podwiązali nogi jak indykowi.

Najlepsze mięso zostanie wysłane do Góry Słońca, by mogła go skosztować cesarzowa. Jeśli ciało człowieka zostało upieczone w ogniu Innowaka i zjedzone przez inną osobę, jego dusza ulegała zniszczeniu, co niweczyło szanse na reinkarnację lub życie po śmierci w krainie wiecznych łowów. Natomiast człowiek, który posilił się mięsem z paleniska Innowaka, przejmował siłę duchową zjedzonego i zapewniał sobie pomyślność w przyszłym życiu. Cesarzowa Ayanna zjadła dotąd kilkadziesiąt osób i zje ich jeszcze więcej. Chciała, by jej kolejna postać była jak najsilniejsza.

Dziewięć owslanek stało twarzami do korralu, w którym więziono kolejnych trzydziestu Goachików. Wszystkie kobiety ubrane były w standardowy mundur wojowniczek elitarnego oddziału – skórzane spodnie do kolan, związane ciasno

rzemieniem z niewyprawionej skóry, skórzaną przepaskę biodrową i krótki skórzany napierśnik przewiązany w piersi. Wszystkie były boso. Ta jednolitość kończyła się na ubraniu, bo każda uzbrojona była w inną broń i posiadała inne umiejętności.

Dziesiąta wojownicza, zwalista Chogolisa Zadrzyziemia, otworzyła i zamknęła wrota korralu jedną ręką. Drugą trzymała za kark młodego więźnia, który wił się w jej ręce i okładał pięściami jej masywne ramię. Był wysoki, dobrze zbudowany i z pewnością potrafił się bić. W normalnych warunkach pewnie wyrwałby się i próbował ucieczki, ale Chogolisa Zadrzyziemia nie była normalnym warunkiem. Przewyższała go o głowę i miała w bicepsie tyle, ile on miał w udach, w udach zaś tyle, ile on w piersi. Zawlokła go ku czekającym w szeregu towarzyszkom, nie zwracając uwagi na jego ciosy, jakby niosła kurczaka do pnia z siekierą. Nadzwyczajna ta Chogolisa, pomyślała z uznaniem Ayanna. Choć była wyższa i szersza od wszystkich mężczyzn, miała gładką skórę, wesołe oczy i lśniące włosy nastolatki. Tylko te monstrualne rozmiary! Jej owslański przydomek wziął się ze spustoszenia, jakie zostawiała po sobie w bitwie. Nikt nie miał wątpliwości, że gdyby tupnęła, ziemia zdrząłaby pod jej stopami.

Sofi Tornado, dowódczyni owslanek, podeszła do olbrzymki i targanego za kark więźnia sprężystym od eliksirów krokiem. Toporek i nóż, zwisające na skórzanych pętlach z jej pasa, odbijały się od umięśnionych ud. Powiedziała coś do Chogolisy, która powtórzyła jej słowa grzmiącym głosem, by usłyszała cała Calnia:

– Ten człowiek zostanie oszczędzony, jeśli dobiegnie do południowego skraju placu Innowaka. Będzie miał przewagę trzydziestu razy.

Nie musiała dodawać, że któraś będzie go gonić. Wszyscy wstrzymali oddech.

Kobiecisko upuściło buntownika na piach. Rzucił się z pięściami na Sofi, ale ta uniknęła ciosów, odgięła mu rękę na plecy i zapaliła takiego kopa w tyłek, że kilka kroków w drodze do przeciwległego skraju placu przeleciał jak na skrzydłach.

Bez wsparcia Sofi Tornado i jej oddziału Ayanna nie została by cesarzową. Sofi z pewnością o tym wiedziała, ale nie domagała się nagrody – ani zaszczytów, ani świecidełek, ani własnej piramidy – nie chciała niczego. Wydawało się, że pragnie tylko prostego życia złożonego z ćwiczeń i mordowania.

– Start! – ryknęła Chogolisa. – Jeśli tu zostaniesz, zginiesz. Jeśli zaczniesz biec, masz szansę przeżyć. Trzydzieści. Dwadzieścia dziewięć. Dwadzieścia osiem...

Mężczyzna puścił się biegiem, jakby był jeleniem uciekającym przed głodnym lwem. Tłum zaszemrał, zafalował. Oczy wszystkich skupiły się na Palomie Widłoróg.

Paloma uchodziła za najpiękniejszą owslankę, co dawało pojęcie o jej urodzie, jeśli pamiętać o ślicznej Jutrzence, urodziwej Talisie Sarnie czy samej niebrzydkiej Sofi Tornado, ale jeszcze bardziej niż z urody słynęła z niezwyklej prędkości, stąd przydomek, który przejęła od najszybszego zwierzęcia na calnijskiej ziemi. Gdyby istniało szybsze zwierzę, to na jego cześć nazwano by Palomę.

– Trzy, dwa, jeden! – skończyła liczyć Chogolisa. Biegnący Goachika był szybki. Miał dobre trzysta kroków przewagi.

Paloma Widłoróg nie wystartowała od razu. Najpierw przeciągnęła się leniwie, wyrzucając ręce nad głowę, zataczając kręgi biodrami i wykonując kilka skłonów. Następnie bez pośpiechu wyjęła z pętli przy pasie smukłą drewnianą maczugę.

A potem wyrwała z kopyta tak prędko, że aż rozmazała się cesarzowej w oczach.

Mknęła z nie ludzką szybkością, wzbijając w powietrze tumany kurzu i hucząc w pędzie jak pożar lasu.

Tłum odwrócił odliczanie Chogolisy.

– Jeden! Dwa! Trzy!

Ósemka zamarła na ich ustach, gdy Paloma dopędziła Goachikę i rozwalila mu głowę celnym ciosem w potylicę. Nieszczęśnik zaplątał się we własne zwiotczone nogi i wyrznięt z impetem o piaszczystą ziemię, gdzie znieruchomiał. Najszybsza kobieta, i z pewnością najszybszy człowiek, jaki kiedykolwiek żył, zwolniła i zatoczyła szeroki półokrąg. Nie zważając na krwawiącego trupa, wróciła truchtem do pozostałych kobiet, osiągając dwukrotnie większą szybkość niż prędkostopy jeniec.

Ayanna знаła już przebieg tego przedstawienia. Każda z owslanek robiła na pojmanyh więźniach pokaz swoich indywidualnych umiejętności. Miała ochotę zostać i popatrzeć, jak Chogolisa Zadrzyziemia miażdży więźniowi czaszkę jedną ręką lub Jutrzenka przebija go na wylot gołą pięścią... Ale w końcu przeważyła ciekawość, co też zawiera torba nieżyjącego szambelana.

Dała znak Sofi Tornado, która wydała rozkaz swoim kobietom. Owslanki wraz z tłumem pokłoniły się cesarzowej.

Ayanna wspięła się po zbudowanych z kłód drewna schodach piramidy, słysząc za sobą krzyk gawiedzi. To kolejny więzień dostał pozorną szansę na wolność. Jej mężczyźni ruszyli przodem, by omieść i tak idealnie czystą podłogę i rzucić jej pod stopy świeżo cięte trzciny. Później rośliny zostaną zebrane i oddane w darze godnym tego zaszczytu Calnianom, którzy będą hołubić je do końca życia i jeszcze bardziej kochać swoją cesarzową.



Yoki Choppa, który czekał na nią w jej prywatnych komnatach, przedstawił cesarzowej kobietę imieniem

Chippaminka. Nosicielka Hatha ubrana była w ozdobioną łąbiedzim haftem przepaskę. Miała gibką figurę, jędrne piersi i delikatną twarz, ale błysk przebiegłości w jej pełnych namysłu ciemnych oczach kazał Ayannie zastanowić się, czy aby nie jest starsza, niż na to wygląda. Jej oczy były bardziej skośne, a policzki nieco szersze niż u rodowitych calnijskich kobiet. Gdyby Ayanna miała zgadywać, strzelałaby, że dziewczyna pochodzi z zachodu. Może nawet z Badlandów.

– Usiądź, Yoki Choppo – zezwoliła cesarzowa.

Ledwo pokonała wiodące na szczyt schody, z ulgą osunęła się na poduszki, ale oparła się pokusie wydania z siebie zadowolonego westchnienia. Może i jest brzemienna, ale to dopiero jej pierwsze dziecko i nie mogła sobie jeszcze pozwolić, by zachowywać się jak stara baba.

– Chippaminko, ty stój. Ile masz lat?

– Nie wiem, cesarzowo.

– Skąd pochodzisz?

– Tego również nie wiem, cesarzowo. Pojmano mnie, gdy byłam mała.

– Pojmano gdzie?

– Nie wiem.

– Kto cię wychował?

– Dwoje kupców znad Matki Wody.

– Jak trafiłaś do służby u szambelana Hatha?

– Uczynił mnie swoją pomocnicą, gdy mnie zobaczył.

– Czy tęsknisz za przybranymi rodzicami?

– Nie.

Ayanna już ją lubiła. Ceniła szczerłość i gardziła pochlebcami.

– Czy jest ci smutno, że szambelan Hatho został zabity?

– Był dla mnie dobry i będzie mi go brakować.

– Czy widziałaś, jak umarł?

– Stałam obok niego.

- Co się stało?
 - Poderżnięto mu gardło.
 - Jak przeżyłaś?
 - Uciekłam i schowałam się.
 - Dobrze. Co możesz mi powiedzieć o waszej podróży do południowych krain?
 - Mogę powtórzyć raport szambelana co do słowa. Ćwiczył go przede mną.
 - Wyśmienicie. – To więcej, niż spodziewała się Ayanna. – Powiedz, co miał zamiar mi powiedzieć.
 - Czy wolisz, o cesarzowo, żebym powtórzyła tylko ułożone w należytej konieczności fakty i oczyściła wypowiedź z krasomówczych ozdobników?
 - Tak, poproszę.
 - Szambelan Hatho stwierdził, że południowe imperia nie mają zamiaru najechania ziem Goachików, nie dostrzegł też możliwości dla Calnii do rozrośnięcia się w kierunku południowym. Jeśli chodzi o stanowisko poszczególnych plemion, zaczynając od południa...
- Dziewczyna mówiła dalej. Podsumowując, Hatho dowiedział się, że Badlandy, kraina na zachód od Matki Wody, rosną w siłę, co bardzo martwi południowe cesarstwa. Nic dziwnego, pomyślała Ayanna, którą również niepokoiła ta kwestia. Calnianie nie zapuszczali się na ziemie na zachód od Matki Wody, a Badlandczycy na wschód od niej. Tak mówiła niepisana reguła, której przestrzegano od kilkudziesięciu lat. Ale skoro władcy Badlandów wysyłają na wschód wojska, a w trzewiach tej krainy prowadzi się mroczne alchemiczne eksperymenty, to czy nie zwiastuje to jej rychłego złamania?
- W trakcie przemowy dziewczyny cesarzowa skubała solone mięso Goachików, które służący znosili na tacach z placu Innowaka, a Yoki Choppa stukał kością w swojej misce.

Wydawało się, że nie słucha, ale Ayanna wiedziała, że pomarszczony drobny staruszek zapamięta każde słowo.

Niepokój budziły plotki o rozruchach na leżącej za Lśniącymi Górami Pustyni z Której Się Nie Wraca.

– Niewiele wiadomo na ten temat – ciągnęła Chippaminka – ponieważ Pustynia z Której Się Nie Wraca to niedostępne i niegościnne miejsce, ale wygląda na to, że plemiona skupiły się wokół dwóch zwaśnionych imperiów. Wiadomości pochodzą z wątpliwego źródła, ale mówi się, że toczą wojnę o jakąś wielką moc, która jeszcze przybiera na sile. Niektórzy utrzymują, że ostatnie anomalie pogodowe, które, jak rozumiem, zachodzą również tutaj, są rezultatem działania tej właśnie mocy. Mówi się też, że owa moc koncentruje się na Łąkach.

Na dźwięk tego słowa Yoki Choppa poderwał głowę i uniosł brew, co było jego wersją zerwania się na nogi, głośnego wrzasku i złapania się za głowę.

Ayanna uniosła palec, każąc w ten sposób dziewczynie przerwać.

- Co to za Łąki, Yoki Choppo?
- Pojęcia nie mam.
- Zbadasz tę sprawę.
- Dobra.

Reszta raportu Chippaminki dotyczyła unowocześnień w dziedzinie uprawy ziemi i budownictwa. Cesarzowa słuchała jednym uchem.

– Powtórz wszystkie detale techniczne mojemu głównemu zarządcy. Pokieruję cię do niego słudzy na korytarzach. I każ komuś przysłać do mnie Kimamana. Gdy już powiadomisz o wszystkim zarządcę, wróć. Znajdzie się dla ciebie miejsce w pałacu.

I może w łóżu Ayanny. Zwykle sypiała z mężczyznami, ale było coś takiego w tej dziewczynie, czemu trudno się było oprzeć.

– Dziękuję. – Chippaminka skłoniła się i wyszła. Jej mały, ale krągły tyłeczek tańczył kusząco pod smukłą linią pleców. Sądząc po tym, jak się poruszała, po prostu musiała być starsza, niż się wydawało.

Kimaman, pierwszy spośród kochanków Ayanny i ojciec jej nienarodzonego dziecka, wszedł do komnaty kilka minut później. Był tak uderzająco przystojny i dobrze zbudowany, że wielu miało go za boga. Ale nie był bogiem. Właściwie to robił się irytujący. Ayanna lubiła go, może nawet kochała, ale ostatnio widywała go o wiele za często, a co gorsza, najwyraźniej uroił sobie, że skoro ją zapłodnił, to stał się jej równy, a może nawet ważniejszy od niej. Musiała wyprowadzić go z błędu. I uświadomić, że to dziecko jest jej, nie jego.

– Poprowadzisz... ilu, Yoki Choppo? Czterystu?

– Styknie.

– Poprowadzisz czterystu wojowników na ziemię Goachików nad brzegiem Jeziora Ciekawskiego Jesiotra. Zabijesz wszystkich Goachików razem z ich małym plemieniem białych grzyboludów, którzy żyją kawałek na północ. Ta druga sprawa jest nawet ważniejsza od pierwszej: żaden nie może pozostać przy życiu, z ich wioski nie zostanie kamień na kamieniu, nawet drobne budowle na obrzeżach osady, jeśli jakieś są, należy zrównać z ziemią. Ma zagaść o nich wszelki ślad.

– Czy jesteś pewna, że ze wszystkich ludzi akurat ja...

– Tak. Trzymaj się z daleka od samej bitwy, niech ludzi poprowadzą do walki oficerowie. Weź ze sobą geografów, by pomogli zaplanować atak, opierając się na ukształtowaniu terenu. To wszystko, możesz odejść.

– Czy zabiorę ze sobą kogoś z elity naszych wojowników? Może jakąś owslankę?

– Nie. Najlepsi wojownicy Goachików zginęli, atakując nas, więc grzyboludów łatwiej będzie pokonać. Czterystu zwykłych

żołnierzy powinno starczyć aż nadto.

– Dotarcie na ich ziemie zajmie ile? Dwa tygodnie?

Ayanna posłała spojrzenie arcy czarnoksiężnikowi, który potwierdził skinieniem głowy.

– To znaczy, że ominie mnie poród.

– Czy jesteś położną?

Kimaman pokręcił głową.

– Więc dlaczego miałbyś być przy porodzie?

– Czyli... chyba bez powodu.

– W rzeczy samej. Możesz odejść.

– Już... już idę. Goachikowie już są martwi.

– I grzyboludy też – dodała.

– Zwłaszcza oni. – Mrugnął do niej i wyszedł.

– Jest tam jeden grzybolud, który żyje w samotności – odezwał się Yoki Choppa. – To wygnaniec z Harówki. Mieszka u Lakchanów, na zachód od terytorium Goachików.

– Czemu nie wspomniałeś o nim, zanim odprawiłam Kimamana?

– Lakchanowie to nasi sojusznicy. Wysłanie wojska na ich ziemie sprawi nam tylko dodatkowy kłopot.

– Wszystkie blade twarze muszą umrzeć! Wszystkie! – Ayanna traciła cierpliwość, czego nie znosiła, ale ta sprawa nie podlegała dyskusji.

Yoki Choppa przyglądał jej się niewzruszony. Spokojnie, nakazała sobie w myślach, spokojnie.

– Jak myślisz, co powinnam zrobić? – spytała na głos.

– Każ Lakchanom go zabić.

– Oczywiście. Wyślij więc biegacza z wiadomością do Lakchanów. Każ im zabić tego ich grzyboluda – rozkazała. – Właściwie to wyślij biegaczy do wszystkich północnych plemion, na wypadek gdyby któryś z nich wymknął się Kimamanowi.

I rozgłoś, że każde plemię, które udzieli schronienia grzyboludom, zostanie... Jaka pogróżka sprawdzi się najlepiej?

– Zabite i zjedzone.

– O właśnie.



ROZDZIAŁ 9

Niedźwiedzia łapa

Frossa Wiedząca szła wraz z jarlem Brodirem Przecudnym z powrotem do długiego domu. To był najgorszy ting, na jakim była, a wszystko przez tę głupią małą i jej rodzinę.

Schylili się pod niskim dachem. Frossa pomogła Brodirowi zapalić pochodnie, które sterczały z kinkietów zawieszonych na ścianach. Tańczące płomienie tchnęły życie w tysiące rzeźb pokrywających każdy cal wnętrza. Przedstawały głównie zwierzęta, prawdziwe i wymyślone. Te, które miały w paszczach ogony innych, symbolizowały wieczny krąg życia, koniec będący zarazem początkiem, dychotomię zła i dobra... Czy coś w ten

deseń. Rzeźby pokrywały każdą płaską powierzchnię, nawet niewidoczne miejsca, takie jak spody krzeseł. Rzeźbienie było w Harówce bardzo popularnym zajęciem.

Jarl i wróżbitka usiedli obok wygaszonego paleniska na dwóch wielkich poduchach z bizoniej wełny.

– Nie jest dobrze – orzekł Brodir z twarzą ściągniętą obawą. – Jeśli czegoś nie zrobimy, to może być koniec Harówki. Więc musimy coś zrobić.

– Nie zaprzataj sobie głowy taką drobnostką, jarlu – odrzekła Frossa. – Wiem, jak rozwiązać nasz problem. Trzeba się pozbyć dzieci.

– Popieram. – Brodir skinął głową. – Moglibyśmy dalej je ośmieszać, ale za każdym razem, gdy wymyślą jakąś nową bzdurę, ktoś weźmie ją na poważnie i problem wróci. Ale nie możemy tak po prostu ich zabić, no nie?

– My nie możemy. – Frossa uniosła palec i dźwignęła się z jękiem na nogi. Podeszła do skrzyni w kącie, otworzyła ją i wyjęła wielką łapę białego niedźwiedzia o grubych czarnych szponach, zatknęła na krótkim kiju. Był to jeden ze skarbów z grobowca Olafa, który ukra... odzyskał Brodir. – Ale Thor może posłać niedźwiedzia, żeby ukarał je za głoszenie fałszywych przepowiedni.

– To mi się podoba – mruknął Brodir. – Ale wciąż pozostaje pytanie: kto?

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Zadbałam już o to – rzuciła Frossa. – Wejść!

Drzwi otworzyły się i do środka, schylając się, by nie przyrznać głową w nadproże, wszedł Garth Kowadłogęby, silny mężczyzna uzbrojony w dwa bogato inkrustowane topory Ponure Bliźniaki, połyskujące w świetle pochodni. Nie nosił brody, ale nie dlatego, że nie mógł, tylko dlatego, że golił się ostrą muszlą na skrælińską modłę. Jego masywny, podobny do

kowadła podbródek czynił go podobnym do bohatera z sagi lub nawet do jednego z bogów. Frossa nie mogła sypiać z mężczyznami, bo straciłaby wtedy swoją magiczną moc, ale gdyby kiedyś się na jakiegoś zdecydowała, to właśnie na niego. To byłby dla niego zaszczyt – lec w łóżnicy z potężną czarodziejką.

Frossa wręczyła mu łapę.

– Zabij tym dzieci.

Kiwnął głową.

– Oboje?

– Tak.

– Nie – sprzeciwił się jarl. – Nie ma potrzeby zabijając dziewczynki. Kiedy usuniemy chłopca, ludzie przestaną jej wierzyć.

Frossa potrząsnęła głową.

– Jestem pewna, że dalej będzie uprawiać swoje wichrzycielstwo i przynajmniej niektórzy Harowianie dadzą jej posłuch. Musimy też pamiętać, że ta mała wesz kocha swojego braciszka nad życie. Zostali osieroceni w młodym wieku, mają tylko siebie. To okrutne zostawiać ją przy życiu.

– No dobrze – westchnął Brodir. – Ale nie używaj niczego poza łapą. A potem wyrzuc ją gdzieś, gdzie nikt jej nie znajdzie.

– Z przyjemnością. Pewnie minie kilka dni, zanim nadarzy się okazja. Jeśli chcecie, żebym uwinął się z tym szybciej, to niedźwiedź zawsze mógłby wyłamać drzwi kościoła i zabić całą hałastrę Poppa: jego samego, te małe gówniaki i Gunnhildę, Alvildę, Brennę i Zbuka.

– Nie – zabroniła Frossa. – Muszę przyznać, że podoba mi się ten pomysł, ale musimy pokazać, że Thor wymierzył karę tylko dzieciom.

– Dokładnie – powiedział jarl. – Nie spiesz się więc i bacz, żeby nikt cię nie nakrył. Jeśli będzie trzeba poczekać parę dni, to

trudno. Możesz odejść. Aha, znajdź Chnoba Białego i każ mu do nas przyjść.



Chnob zastukał do wrót długiego domu chwilę później. Pomimo swojej absurdalnej brody, a może właśnie przez nią, wyglądał przy Garcie jak wymoczek. O ile Kowadłogęby szczelnie wypełniał swoją obecnością pomieszczenie, o tyle teraz to samo pomieszczenie zdawało się przytłaczać wychudłego brodacza. On zaś najwidoczniej zdał sobie z tego sprawę, bo natychmiast wyprostował się hardo i wysunął zarośniętą zuchwę. Nic to nie pomogło.

– Gdzie i kiedy spotykają się spiskowcy? – zapytał Brodir.

– Jutro o świcie przy grobie Olafa.

– Czy wiadomo, o której godzinie chcą wyruszyć?

– Nie. Zebrali tylko ekwipunek i zapasy, ale sama podróż to wciąż mrzonki. Nie mają jaj, żeby to zrobić.

– Czy to ta sama grupa?

– Widziałem Kifa Berserka i Grubego Wulfa, jak rozmawiają z Finnbogim, więc niewykluczone, że włączyli go do grupy, choć wątpię. Myślę, że skład jest taki sam jak na początku: Wulf, Kif, Sassa, Bodila, Ogmund, moja siostra Thyri i, wybacz, panie, Bjarni Kurza Twarz też z nimi trzyma.

– Ech, ten mały głupek. – Brodir pokręcił głową.

Frosę zasmucał zawód, jaki sprawiał ojcu Bjarni. Postanowiła, że kiedy dzieci będą już martwe, odczeka, aż sprawa przyschnie, a potem skropi trucizną halucynogenne grzyby, którymi raczy się jarłowy syn.

– Jaką przewidujesz dla nich karę, Brodirze? – spytała Frossa.

– To połowa twojego hirdu.

– Jeszcze nie wiem. – Jarl zassał policzek do wewnątrz. – Mam nadzieję, że obejdzie się bez kary. Wszyscy chcieliśmy kiedyś opuścić wioskę. – Frossa skrzywiła się na te słowa. Ona nigdy nie przeszła tej fazy. – Ale żadne z nas w końcu tego nie zrobiło. Pomijając Eryka Złośnika, ma się rozumieć. A poza tym nigdy nie wiadomo, czy czasem nie zaatakują ich dzikie zwierzę. To z pewnością ostudziłoby ich zapał.

Rzucił Frossie znaczące spojrzenie, a ona udała zmieszanie. Lepiej nie wtajemniczać Chnoba Snoba we wszystkie ich mroczne sprawy.

– Co zrobisz, jeśli rzeczywiście sobie pójdą?

– Jeśli nie uda nam się ich zatrzymać, powiemy skrælingom, żeby wykonali brudną robotę za nas. Chnobie, czy domagasz się, żebyśmy oszczędzili twoją siostrę Thyri w zamian za twoją nieocenioną pomoc?

– A to niby czemu?

– Bo to twoja siostra?

– To zdrajczynie, taka sama jak pozostali. Nie widzę powodu, żeby stosować wobec niej taryfę ulgową. Czy zostaną wypędzeni?

Nie ma głupich pytań, pomyślała Frossa, są tylko głupi ludzie, tacy jak Chnob. Gdy Eryk Złośnik został wypędzony z Harówki dwadzieścia lat temu, sytuacja była zupełnie inna. A poza tym to żadna kara – wypędzić tych, co i tak chcą odejść.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji – rzekł jarl. – Ale tym się nie frasuj. No, idź już. I nie zapomnij złożyć mi raportu z ich spotkania.



ROZDZIAŁ 10

Dym

Spotkanie o świcie przy grobie Olafa Odkrywcy było jak dotąd najlepszą chwilą w krótkim życiu Finnbogiego. Gunnhilda codziennie rano wygłaszała to samo kazanie: „Powinieneś wstawać skoro świt, chłopcze. Leniwy wilk nie jada zbyt często, a śpioch nie odnosi wielu zwycięstw”. Finn po raz pierwszy doszukał się sensu w jej pobożnym bajdurzeniu.

Wśród zebranych byli Gruby Wulf, Sassa Gryziwarga, Bodila Gęsiodzioba, Bjarni Kurza Twarz, Kif Berserk, Chnob Biały, Ogmund Ochlejmorda, Thyri Drzewonoga i... on! Jedyłą osobą w grupie, za którą nie przepadał, był ten zarozumiały kutas

Chnób. I może Bodila, która nie była zbyt rozgarnięta, ale reszta to najlepsze ziomki w Harówce. I oto właśnie oni przyjęli do grupy Finna! Nie Gartha Kowadłogętego, nie Gurda Zadrzykieckę, nie Fiska Rybiego Łba ani nikogo innego – tylko właśnie jego!

Jakby tego było mało, słuchali, gdy dzielił się swoimi pomysłami. Powiedział, że na zachód od wioski jest pełno stawów, bajor, jezior, strumieni i rzek, wysunął więc hipotezę, że będzie ich tym więcej, im bardziej oni oddalą się od Słodkiego Morza, bo woda nie ma gdzie spłynąć i zalega we wgłębieniach w ziemi. Wszyscy pokiwali na to głowami i się zamyślili. Finn zaproponował, by wziąć ze sobą małą korową łódkę Kifa, żeby mogli przewozić w niej zapasy i wyposażenie. Wszyscy uznali, że to dobry plan. Wulf nawet poklepał go po plecach, a Kif od razu pobiegł po łódkę, by złożyć ją w miejscu, gdzie schowali rzeczy. A najlepsze było to, że Thyri uśmiechnęła się do niego, tak jak uśmiecha się żona dumna z męża, który odwalił kawał dobrej roboty.

Tego dnia wrócił do domu sprężystym krokiem, a wyszczerz nie schodził z jego twarzy do południa.



Dwa tygodnie później Finnbogi poszedł na drugie spotkanie grupy, którą lubił nazywać Bandą Uciekinierów. Było podobnie zarąbiste, ale nie tak bardzo jak to pierwsze, bo w żaden sposób nie zbliżało ich do opuszczenia wioski. Żywność była już prawie gotowa, oni sami również, ale nie padła żadna data ani godzina.

Przepowiednia Ottara miała już dwa tygodnie, ludzie w wiosce oswoili się z nią i najwyraźniej włożyli ją między legendy, więc właściwie nikomu nie było pilno wyruszyć w drogę. Gdy Finnbogi zasugerował, żeby zebrali się w tydzień,

Wulf powiedział mu, żeby się tak nie spieszył. Finn nie przejmował się zanadto opieszałością towarzyszy – wiedział, że prędzej czy później opuszczą wioskę. Żałował tylko, że później, a nie prędzej.

Opuszczali zebranie po kolei, by nie budzić podejrzeń. Wulf poprosił Finnbogiego, by oddalił się ostatni, co poniekąd przylepiało mu łatkę najmniej istotnego z konspiratorów, ale tym też się nie przejmował. Nawet najmniej istotny człowiek przy stole jarła wciąż siedzi przy stole jarła – jak mawiała Gunnhilda. Szedł różnym krokiem w stronę domu, przemierzając lasy i łąki, opromieniony światłem wstającego słońca, uśmiechnięty jak głupek.



Gdy przedarł się przez sterczące gałęzie drzewa, które zwały się wprost na drogę, usłyszał nad uchem głośne bzyczenie żółto-czarnej pszczoły. Machnął na nią ręką, a potem zamarł. Nie. Już się was nie boję, pszczoły, osy, bąki, trzmiele i szerszenie. Tam, dokąd się rychło udamy, będę musiał stawić czoła większym niebezpieczeństwom, pomyślał. Finn musi zmężnieć, nauczyć się walki... Poprosi Thyri, by go uczyła, gdy będą przemierzać wspólnie te dzikie, nieznane krainy! Był teraz jednym z nich. Akceptowali go. Chcieli uciec wraz z nim. Spędzi długie godziny, a kto wie czy nie resztę życia, u boku słodkiej Thyri Drzewonogiej. Co prawda wraz z nimi wyruszą trzej wolni mężczyźni, ale ona z pewnością przedłoży Finna nad tych dziwaków, no nie? Bjarni i Kif byli w porządku, nie sposób zaprzeczyć, ale co prawda, to prawda – byli jacyś nie tego. No a Chnob Snob to przecież jej brat, nie wspominając już o tym, że zupełny debil, więc szanse Finna rosły.

Bjarni i Kif włamali się do rzadko używanej szopy i znaleźli skórzane śpiwory ze starego świata. W każdym mieściły się dwie osoby. Kif chciał ukraść dla każdego po jednym, ale Sassa słusznie zauważyła, że nie powinni się za bardzo obładowywać, bo to spowolni marsz, a akurat śpiworami mogą się podzielić. Reszta przystała na jej pomysł. Finn starał się o tym nie myśleć, by czasem nie zapeszyć, ale miał wielką nadzieję – tak wielką jak jeszcze nigdy w stosunku do niczego – że podzieli śpiwór z Thyri.

Przystanął, by uspokoić oddech, a potem usłyszał przed sobą krzyki. Dochodziły z Harówki. To dość niecodzienne, zwłaszcza tak wcześnie rano. Przyspieszył kroku. Ponury jazgot niósł się między drzewami. To trąbka, ktoś trąbił na alarm. W ten sposób zwoływano hird w chwilach zagrożenia. Finn czekał na drugi sygnał, który ogłaszał, że to tylko ćwiczenia, ale ten nie nastąpił. Puścił się biegiem.



Wypadł spomiędzy drzew okalających wioskę i rozejrzał się niespokojnym wzrokiem. Nie zauważył niczego niezwykłego. Harówka nie płonęła, armie skrælingów nie równały miasta z ziemią, nie mordowały mieszkańców, nie paliły chat. Może to jednak były ćwiczenia?

Na wezwanie trąbki plemieńcy wypadali pospiesznie z domów, waląc drzwiami o framugi, i gromadzili się na Rynku Olafa. Ktoś wskazał palcem na północ. Finnbogi zatrzymał się i obrócił.

Ponad sklepieniem lasu dało się dostrzec dwie smugi dymu.

Finn patrzył na dwie czarne kreski na tle bladoniebieskiego nieba, nie wiedząc jeszcze, że zapamięta to zdarzenie na resztę życia jako chwilę, w której to życie zmieniło się na zawsze. Jako moment, który oddzielił jego dzieciństwo od dorosłości.

Nie miał pewności, ale wyglądało na to, że pierwsza smuga dymu unosiła się nad miejscem, gdzie znajdowało się gospodarstwo rodziców Sassy. Druga, i tego był już całkiem pewny, biła w niebo od starego kościoła, jego własnego domu. Gdy wychodził rano na spotkanie, wuj Poppo, ciotka Gunnhilda, starsze siostry Alvilda i Brenna oraz mały Ottar i Frejdis byli w domu. Wszyscy spali. Nigdy nie gotowali jedzenia i rzadko robili cokolwiek, co wymagałoby rozpalenia ognia, a już na pewno nie o tej porze roku. A skoro tak, to skąd ten dym? Jeden ogień dałoby się jeszcze wytłumaczyć, ale dwa...

Ruszył biegiem w kierunku farmy, a potem nagle stanął jak wryty. Cokolwiek się stało, sam nic nie wskóra. Musi pobiec najpierw na rynek, może od kogoś się dowie, co się dzieje. Może znajdzie tam swoją rodzinę. Może ktoś mu powie, skąd ten ogień i dym.



– To chyba zły pomysł, żebyśmy poszli tam wszyscy – argumentował Gruby Wulf. Finn posłyszał jego słowa, gdy dołączył do tłumu gęstniejącego wokół jarla Brodira i hirdu. – To może być podstęp. Może ktoś chce wywabić z wioski wszystkich wojowników, zanim przypuści atak. Wezmę trąbkę i pobiegnę sam do domu Sassy. Zatrąbię, jeśli będę potrzebował pomocy.

– Kiedy ostatni raz sprawdzałem, to ja byłem jarlem – wrzasnął na niego Brodir. Zalśniły w porannym słońcu kropelki śliny, które trysnęły z jego ust na twarz Wulfa. Dowódca hirdu cofnął się o krok, a Brodir napał na niego, dźgając palcem w pierś. – Byłem dowódcą hirdu, kiedy jeszcze srałeś w pieluchy, młokosie! A teraz jestem wodzem wioski, która z własnej woli wybrała mnie na to stanowisko! Ja jestem ludem, a lud mną, ta kwestia nie podlega dyskusji! Hird robi, co każe. Lwy pobiegną

na farmę, wilki do kościoła. Dowiedzcie się, co tu jest grane, załatwcie to, a potem biegiem do mnie!

– Kiedy naprawdę... – zaczął Wulf.

– Natychmiast! – ryknął czerwony ze złości Brodir. Za jego plecami uśmiechnęła się wrednie Frossa Wiedząca. Czy raczej Frossa Cuchnący Ogr, jak wolał ją nazywać Finnbogi.

Hird podzielił się na dwa oddziały. Finn wyłuskał z tłumu Bjarniego i złapał go za ramię.

– Kto idzie do kościoła?

– Tamci, wilki – odrzekł Bjarni. – Nic się nie martw, stary. Na pewno wszystko jest w porządku.

– Dobra, dzięki.

Wkurzające. Thyri jest w lwach, tak jak Wulf, Kif i Bjarni, natomiast oddział wilków składał się z czterech innych wojowników, których Finn nie lubił: widłobrodego Gurda, obleśnego Fiska, odrażającego Hrolfa Falenia i nudnego jak flaki z olejem Froda Zawrzyjgęby, a na domiar złego dowodził nimi ten debil Garth.

Lwy ruszyły pierwsze, a w ślad za nimi Sassa Gryziwarga, która gryzła wargę jeszcze bardziej zapamiętała niż zwykle. Za nią biegła Bodila Gęsiodzioba, która rzadko odstępowała Sassę na krok. Do obu miejsc prowadziła jedna droga, która po wejściu w las rozdzielała się w połowie, więc przez paręset kroków obydwie grupy szły razem.

Początkowo Finnbogi biegł pierwszy, ale zaraz poczuł na ramieniu wielką łapę Gartha, który szarpnął go w tył, mówiąc:

– Nie pałętaj się pod nogami, Zbuk. To robota dla mężczyzn.

– To moja rodzina, więc idę. Nie powstrzymasz mnie.

Garth obrzucił go spojrzeniem. Poruszył groźnie chrapami, ale potem tylko się uśmiechnął.

– Niech ci będzie, ty mały chujku. Ale nie przeszkadzaj. I wiesz doskonale, że idziesz z nami, bo ci pozwalam. Mógłbym cię

powstrzymać, gdybym tylko chciał, i zrobiłbym to z radością.

To powiedziawszy, pobiegł naprzód.

Finn czuł się chory i słaby, ale i dumny – w końcu postawił się Garthowi. Może i nie wymyślił żadnej cwanej ani śmiesznej riposty, ale Garth mocno się zdziwi, gdy jego kumple opuszczą Harówkę, zostawiając go samego, a zamiast niego wezmą Finna. Cokolwiek by się działo, jego będzie na wierzchu, więc Kowadłogęby może się wypchać.

Puścił się biegiem.

– Poczekaj na mnie! – dobiegł go głos Frejdis, gdy dotarł do linii drzew. Wyłoniła się z za wydmy razem z Ottarem. Oboje mieli w rękach wędzone ryby. Musieli podkraść je ze stelaża na plaży, kiedy jeszcze wszyscy spali. A więc nie byli w domu!

Finnbogi przełknął szloch ulgi, widząc ich całych i zdrowych. Nie rozumiał tej reakcji. Najwidoczniej lubił te dwa szkraby bardziej, niż myślał.

Począł, aż podbiegną. Frejdis rzuciła rybę i pognała w jego stronę tak szybko, jak tylko może biec sześciolatka, a Ottar zaraz za nią, krzycząc coś niezrozumiale.

Finnbogi spodziewał się, że Frejdis zapyta go, co się dzieje.

– No, w końcu się zaczęło – powiedziała zamiast tego.



ROZDZIAŁ 11

Rudy lis numer jeden i rudy lis numer cztery

Eryk Złośnik znowu śnił o dziwnym świecie pełnym wykręconych, wielokolorowych wzgórz i rozgrzanego do czerwoności piasku. I o dziecięcym głosie, który błagał go, by ruszył na zachód na Łąki. Chodził po wygiętej fallicznie wieży z różowego kamienia, o czerwonym dachu, gdy nagle zobaczył kamienny łuk, szaleńczo wysoki i smukły, a dziecko zapłakało. Nie, to było inne dziecko, o wyższym i bardziej zbolałym głosie...

Krzyk dzwonił mu w uszach, aż się obudził. Okazało się, że to nie dziecko tak krzyczało, tylko rudy lis numer cztery skamlał

gdzieś u stóp wzgórza, nieopodal ścieżki wiodącej do wioski Lakchanów. Czemu rudy lis numer cztery kwęka o tej porze, skoro Eryk i jego garniec miodu zasiedzieli się wczoraj do późna? Wygnaniec opadł na pryczę i wlepił wzrok w niski sufit swojego przysadzistego domu, a potem zamknął powieki i przetarł je palcami, usiłując przepędzić kaca. Próbował zrozumieć, co chce mu powiedzieć rudy lis numer cztery.

Gdy pierwsze zwierzę powiedziało coś do niego – albo odwrotnie, nie pamiętał już, kto zaczął – nadał im harowiańskie imiona, takie jak Thorvald i Snorri. I Astrid. Przestał je nazywać, gdy zrozumiał, że to przez to tak je opłakuje, gdy umierają. Słyszając głos rudego lisa numer cztery, przypomniał sobie poprzedniego lisa o tym numerze, milusińskiego, ale i zادیornego zwierzaka, którego zabili Lakchanowie za to, że zagryzł ich świętego indyka. Mógł numerować je dalej, zamiast kazać im dziedziczyć numery, ale wtedy rudy lis numer cztery byłby rudym lisem numer trzydzieści dwa, a z każdym dniem, który Eryk spędzał samotnie, coraz gorzej pamiętał większe liczby. Bardzo niewiele rzeczy w jego życiu występowało w liczbach większych niż sześć, więc właściwie po co zaprzętać sobie głowę siódmką i dalej?

Rudy lis numer cztery zaskomlał znowu. Gdzieś o wiele bliżej odpowiedział mu rudy lis numer jeden. O cholera, zaklął w myślach Eryk. To oznacza kłopoty. Ale co się mogło stać? Tu było bezpiecznie jak u matuli na zapiecku. Zwierzęta nigdy mu się nie naprzykrzały, Lakchanowie praktycznie uważali go za jednego ze swoich. Kumpłował się z wodzem Koboshem. Zdjął z haka swoją bitewną maczugę – Najlepszego Przyjaciela Indyka – zwłókł się z pryczy, a potem wpełził pod nią, podniósł ukryty skobel i wymknął się z domu ukrytym wyjściem na podwórze, później zaś dźwignął się z trudem do pozycji siedzącej. Kiedyś, kiedy jako dziecko bawił się w hird i skrælingów z innymi

bachorami w wiosce, turlał się gładko jak wałek po blacie. Te czasy już minęły.

Na ubitej ziemi podwórza siedziała niedźwiedzica Astrid. Spojrzała na niego drobnymi, bystrymi oczkami, jakby się go spodziewała. Eryk powiedział, że zawoła ją, gdy będzie jej potrzebować, a potem zakradł się po cichu na front budynku.

Tutaj również nie zauważył niczego niepokojącego. Już miał wrócić do łóżka, gdy znowu rozległo się skomlenie rudego lisa numer cztery. Tym razem bardziej nagłące.

Poszedł wydeptaną przez zwierzęta ścieżką, która biegła mniej więcej równolegle do traktu łączącego jego dom z wioską Lakchanów. Był postawnym mężczyzną, wysokim, o szerokich barach, dobrze zbudowanym i nieco brzuchatym, ale biegł lekko i prawie bezgłośnie, jak wilk czy lis. Nie było to trudne, gdy się wiedziało, jak to robić.

Nie minęło wiele czasu, nim dostrzegł, co tak przestraszyło obydwu lisy.

W kierunku jego domu szła piątka młodych lakchańskich wojowników, trzy kobiety i dwaj mężczyźni, uzbrojonych w łuki i kamienne topory. Rozpoznał ich. Mieszkali w pobliskiej wiosce. Znał ich z widzenia, choć nie pamiętał imion. Niedobrze, zważywszy na to, że z jedną z kobiet przespał się zeszłego lata.

Wydawali się jacyś spięci. Dziwne by było, gdyby nie byli, skoro czaili się na niego z bronią.

Eryk prędzej pomyślałby, że grozi mu niebezpieczeństwo ze strony innego plemienia skrælingów albo że to Harowianie przyszli dokończyć to, co zaczęli dwadzieścia lat temu, ale Lakchanów trudno było pomylić z kimkolwiek innym. Mieli dwóch głównych bogów, Króliczkę i jej arcywroga, Pajęczą Matkę. Zwykle Króliczka była dobra, a Pajęcza Matka zła, ale nie zawsze. Króliczka poza tym, że była dobra, była także irytującą świętoszką, która nie pozwalała ci wypić tego trzeciego kufla ale,

więc nietrudno było zrozumieć, dlaczego pajęczycy tak jej nienawidzi. Pajęcza Matka była zła, ale często w śmieszny sposób, więc człowiek mógł się z nią utożsamić. Ona z kolei zachęcała cię do wypicia trzeciego kufla ale, a potem czwartego i piątego. Wielu Lakchanów z wiekiem przechodziło na stronę pajęczycy, ale by okazać przywiązanie do obydwu bogiń oraz wyrazić wiarę w nierozzerwalność dobra i zła, nosiło na głowie królicze uszy, a za pasem sześć zrobionych ze skóry pajęczych nóg.

No proszę, czyżby Lakchanowie zwrócili się przeciwko niemu tak jak Harowianie? Westchnął. Rozczarowujące. I niezrozumiałe. Jeszcze trzy dni temu podzielił się ostatnią partią miodu ze swoim kumplem – albo tylko mu się wydawało, że kumplem – wodzem Koboshem. Śmiechom i żartom nie było końca, a teraz jego ludzie czają się na niego z toporami?

– Kobosha chyba pojebało, że wysłał nas tylko pięcioro – podzielił się przemyśleniami jeden z napastników.

– Ta jego, kurwa, niedźwiedzica...

– W piździe mam niedźwiedzicę, bardziej się boję tych pierdolonych lwów.

– Ale lwy się z nim tak, kurwa, nie kumplują jak ta jebana niedźwiedzica – powiedziała najstarsza osoba w oddziale, owa kobieta, która użyła mu swych wdzięków minionego lata. Jak ona miała na imię, do licha? – Może akurat jej tam nie będzie, ale na wszelki wypadek miejcie łuki w pogotowiu. Jak naszpikujesz niedźwiedzica strzałami, to spierdala gdzieś w pizdu i chuj, po sprawie.

– A niedźwiedzica nie spierdoli gdzieś w pizdu i chuj? A co ona, lepsza jakaś od samca, kurwa jej jebana w dupę mać? – odpowiedział wysoki głos należący do mężczyzny, którego Eryk znał od szczeniaka i który na każdym etapie życia był irytującym dupkiem.

– A właśnie że nie spierdoli – spierał się przedmówca – jeśli ma ze sobą młode. Samce nie mają nic wspólnego z małymi, z dużymi zresztą też nie, bo to samotnicy, więc po prostu spierdalają i tyle. Czy twoja, kurwa, mamusia i tatuś niczego cię nie nauczyli?

– Szkoda, że nie nauczyli mnie, jak się wykręcać z takich samobójczych misji. Kurwa.

– Skurwiel chlał do rana, więc będzie pewnie spał. Zajebimy kutasa raz-dwa. Strzała w oko i do rowu skurwysyna. A teraz zamknąć mordy, już prawie jesteśmy.

Pewien wielki lakchański bohater legend słynął z tego, że kłął co drugie słowo, a lakchańska tradycja nakazywała honorować jego pamięć – przeklinać, byle ostrzej i częściej. Eryk przez jakiś czas czuł się urażony ich słownictwem, ale w końcu przyzwyczyił się do tego, że każdy z nich, od dziecka w kołysce, które dopiero składa sylaby, po zasuszonych starców, którzy opowiadają przy ogniskach stare legendy, klnie jak najęty.

Wysunął się z krzaków na dróżkę i cichym krokiem ruszył za niedoszłymi napastnikami aż do samej chaty.

Podkradł się do idącego z tyłu, ściobnął go w łeb Najlepszym Przyjacielem Indyka i złapał, gdy ten padał, by nie narobić hałasu.

Tak jak miał nadzieję, reszta podbiegła do frontowych drzwi, nie zorientowawszy się, że coś jest nie tak. Gdy jeden z nich pociągnął za rygiel, Eryk Złośnik rzucił się na nich z rozłożonymi szeroko ramionami i obalił wszystkich czterech na ziemię. Po krótkiej szarpaninie, kilku ciosach pięścią i kilku maczugą młodzi Lakchanowie leżeli nieprzytomni.

Eryk poszedł na tył domu i znalazł Astrid dokładnie tam, gdzie ją zostawił, a ona ziewnęła, pokazując imponującą klawiaturę zębów, którymi mogłaby przepołować bizona.

– Wracaj do zimowej jaskini. Wpadnę po ciebie, jak już będę

wiedział, co jest grane.

Niedźwiedzica opadła na cztery łapy i sobie poszła.

Tymczasem Eryk wlaźł do domu wyjściem zapasowym, wziął linę, przewiesił przez ramię pochwę z obustronnym obsydianowym nożem i zdjął zasuwę. Chwilę szarpał się z drzwiami, bo zostawił dwóch Lakchanów opartych o nie plecami. Czuł się zadowolony z pokonania całej piątki, ale popełnił błąd, zostawiając tę dwójkę tam, gdzie mu zawadzali, co przypomniało mu, że choćby nie wiadomo jak dobrze ludzie o sobie myśleli, prędzej czy później robią jakąś głupotę. Ta myśl natchnęła go filozoficznie.



Pół godziny później siedział po szyję w zimnym jeziorze, podglądając jedzących śniadanie Lakchanów.

Wioska składała się głównie z trzciniowych chat przykrytych bizonimi skórami i ozdobionych małymi rzeźbionymi figurkami królików i pajaków. W środku wioski stał jeden większy budynek z drewna i gliny, długi dom wodza Kobosha. Eryk zaprojektował i niemal sam zbudował ten dom, korzystając ze staroświatowych metod, które wprawiły Lakchanów zarówno w zdumienie, jak i zrzędlivy nastrój, gdy policzyli, ile zużył drewna.

Dlaczego, na oko Odyna, chcieli go zabić?

Odczekał, aż większość mieszkańców ruszy na pola albo do lasu, by uprawiać ziemię i zbierać żywność, a potem, jeszcze drżąc po porannej kąpieli, przemknął między pustymi chatami na tyły długiego domu. Kiedy go budował, miał poczucie winy z powodu tej jednej luźnej deski w ścianie, takiej jak w jego własnej chacie, ale teraz czuł zadowolenie.

Dał oczom czas na przyzwyczajenie się do ciemności i przez krótką chwilę czuł się niewidzialny pośród cieni. A potem

uświadomił sobie, że jest otoczony przez kilkunastu wojowników, którzy celują do niego z łuków. Wódz Kobosh zasiadał na swoim pajęczym tronie. Wielkie królicze uszy na jego głowie sterczały dobre kilka cali nad uszami pozostałych plemieńców. Trzymał w ręku fajkę o długim cybuchu.

– O... – powiedział Eryk.

Wódz zaciągnął się głęboko i dmuchnął dymem.

– Witaj, Eryku, chuju jeden – powiedział swoim niskim, bulgotliwym głosem. – Czemu jesteś tak kurewsko mokry?

– Pływałem w jeziorze.

– Zawsze byłeś jakiś pierdolnięty, mój przyjacielu. Szkoda, że musimy ujechać ci ten twój rudy łeb.



ROZDZIAŁ 12

Gąsienice

Sassa Gryziwarga biegła za Grubym Wulfem, Kifem Berserkiem, Bjarnim Kurzą Twarzą, Ogmundem Ochlejmordą i Thyri Drzewonogą. Brały ją mdłości.

Biegnąca obok niej Bodila Gęsiodzioba paplała jak najęta:

– Na pewno po prostu pałą liście albo coś. I tak się przypadkiem złożyło, że Poppo i Gunnhilda robią akurat to samo. Czekał, co to mówił jakiś czas temu Finnbogi o zbiegach okoliczności? Powiedział, że byłoby jeszcze dziwniej, gdyby się nie zdarzały... Zaraz, to nie tak było. I może to nie Finnbogi powiedział. Ale ktoś na pewno...

Gadała i gadała, a tymczasem Sassa usiłowała wyobrazić sobie, że gdy przybiegnie do domu, zastanie matkę szyjącą na podwórzu i ojca podsycającego w palenisku ogień, który spowodował całe to zamieszanie. Przecież robił to już kiedyś. Choć musiała przyznać, że nigdy o tej porze roku. A Poppo i Gunnhilda nie rozpalali ognia nigdy. Więc dwa ogniska o jednej porze tego samego dnia to nie jest żaden zbieg okoliczności, tylko coś innego. Sęk w tym, że Sassa nie mogła wymyślić co. Cholera, to takie frustrujące nie wiedzieć, co się dzieje.

Przyspieszyła kroku.

Na pobliskiej gałęzi zobaczyła dwa czarne ptaki o czerwonych skrzydłach. Może one widziały, co się stało? Żałowała, że nie może ich zapytać. A co, jeśli to najazd? Nigdy nikt ich nie napadł, ale Sassa wiedziała, że właściwie to nie jest niemożliwe... Do diaska, czemu nie wzięła łuku na spotkanie? Po jaką cholere w ogóle tam szła?

Dotąd naprawdę myślała, że chce stąd odejść. Ale najbardziej na świecie pragnęła dziecka, sęk w tym, że choćby kochali się z Wulfem na okrągło – czy też bzykali, jak mawiał Wulf – brzuch się nie pojawiał. Pomyślała, że jeśli stąd odejdą – zmienią otoczenie, odetchną innym powietrzem, zaczną jeść inne jedzenie – to Freja uśmiechnie się do niej i ześle jej potomka.

Ale teraz wiedziała już, że nigdy nie mogłaby opuścić rodziców i brata. Modliła się do Frei, by to wszystko okazało się tylko nieporozumieniem, z którego będą się kiedyś śmiać.

Wypadła z drzew na pole dobre kilka długości za hirdem.

Skoro żywili ich skrælingowie, właściwie nie było sensu prowadzić farmy, ale budynki gospodarcze i pola należały do jej rodziny od czasów Olafa Odkrywcy, więc zawsze coś tam sadzili i hodowali kilka zwierząt. Jej brat Vifil Samotnik był zbytnim indywidualistą, by kontynuować rodzinną tradycję, więc tata żywił nadzieję, że Sassa i Wulf zdecydują się osiąść na

ojcowiźnie. Sama myśl napawała ją obrzydzeniem. To kolejny powód, dla którego chciała stąd uciec. Kolejny dowód na to, że była skończonym samolubem.

Pokonali wzniesienie i zobaczyli wreszcie źródło dymu. Płonęła stodoła obok ich domu.

– Stój! – zawołał gdzieś z przodu Wulf.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła po przebiegnięciu przez bramę, byli członkowie hirdu w pozycjach bojowych i z bronią w rękę. Drugą – że stodoła spłonęła już niemal do ziemi.

Trzecią – później doszła do wniosku, że musiała zauważyć wcześniej, ale wyparła to ze świadomości – była jej zabita rodzina.

Brat i ojciec mieli tak głęboko poderżnięte gardła, że byli właściwie pozbawieni głów. Matka wyglądała na całą, ale leżała nieruchomo na ziemi, wpatrując się w niebo martwymi oczami.

Sassa podbiegła i uklękła przy niej. Nie widziała żadnych ran, ale nie mogła też wyczuć pulsu na nadgarstku. Gdzieś spod jej głowy sączyła się krew. Sassa pomacała ręką i odkryła zdruzgotaną potylicę. Natychmiast przypomniał jej się poranek, gdy matka nakryła ją, jak wymykała się z domu, ucałowała ją i powiedziała, by uważała na siebie. Mama wiedziała, że Sassa nie chce uprawiać ziemi, i nigdy nie stanęłaby między nią a jej marzeniami, nawet gdyby córka zechciała odejść z Harówki na dobre. Czuła napływające do oczu łzy. Matka zawsze jej słuchała, a ojciec tylko rozkazywał, ale ona nigdy...

– Ha! – wrzasnął Kif Berserk, wyrrywając ją z osłupienia.

Biegł na niego jakiś skræling. Kif wybił go z równowagi, podcinając toporem, a gdy przeciwnik padł, wbił mu żeleźce w pierś. Sassa widziała, jak ćwiczył ten manewr tysiące razy. Choć była zaszokowana i przerażona, w głowie zaświtała jej myśl, że to dobrze, iż nadarzyła się okazja, by Kif przetestował go w walce.

– Przekaż pozdrowienia swoim przodkom! Powiedz, że przysłał cię Kif Berserk! – Mężczyzna wyrwał ostrze z piersi umierającego skrælinga i rozejrzał się za kolejnym przeciwnikiem.

Jak się okazało, było w czym przebierać. Wielka gromada skrælińskich wojowników wyskoczyła nagle jak spod ziemi. Wszyscy mieli na sobie jednakowe przepaski i byli uzbrojeni we włócznie, topory i noże o kamiennych głowniach.

Bodila przypadła do Sassy, a rozstawiony wokół nich hird stawiał czoła najeźdźcy.

Thyri Drzewonoga wybiła się i okręciła w powietrzu, bijąc wroga tarczą i tnąc szeroko saksem. Otworzyła gardło jednemu skrælingowi, a drugiego kopnęła w krocze z taką siłą, że chlupot miażdżonych jąder przebił się przez bitewny zgiełk. Kolejny przeciwnik wykonał potężne pchnięcie włócznią, ale zgubiła go nadmierna pewność siebie, bo dziewczyna dała nura pod drzewce i odbiła broń tarczą, a saksem urznęła mężczyźnie stopę. Thyri ostrzyła ten miecz godzinami.

Kif Berserk zawył i rzucił się w pogoń za dwoma skrælingami, zataczając młynki Duporąbem.

Dwaj kolejni natarli na Bjarniego, wyprowadzając ciosy krótkimi toporami. Bjarni nie bez trudu odbił obydwu swoim olśniewającym mieczem, Pogromcą Lwów.

Ogmund Ochlejmorda, już lub może jeszcze pijany, skutecznie dawał odpór dwóm skrælingom, choć kiwał się na nogach, jakby zmagął się też z porywistym wiatrem. Jego długa włócznia, Zaniepokojony Cielak, nie tylko odbijała ciosy, ale nawet kilka razy dosięgła celu. Z rany na udzie jednego przeciwnika buchała krew, drugi trzymał się za ramię.

Wulf powalił trzeciego celnym ciosem Groma, swojego młota bojowego, a potem przybył z odsieczą Bjarniemu. W ślad za

jasnowłosym wojownikiem pobiegli dwaj najeźdźcy z krzemiennymi nożami. Wulf musiał ich przeoczyć.

– Za tobą! – wrzasnęła Sassa, a wojownik okręcił się i wałąc młotem na odlew, zdruzgotał czaszkę jednemu z nich. Drugi był sprytniejszy, przeskakiwał z nogi na nogę, mierzył go dzikim spojrzaniem skośnawych oczu. Krążył wokół Wulfa, a zakrwawiony nóż śmigał w jego dłoniach, jakby żył własnym życiem. Wulf wyprowadzał cios za ciosem, ale mężczyzna wywijał się za każdym razem.

Widząc, że jej ukochany jest w tarapatkach, Sassa otrząsnęła się z szoku i pomknęła do domu po łuk.



Frossa Wiedząca biegła za hirdem, kierując się do miejsca, skąd szły w niebo dwa filary dymu. Dotarła na szczyt wydmy akurat w dobrym momencie, by zobaczyć, jak Ottar i Frejdis dołączają do Finnbogiego i wraz z nim znikają między drzewami.

Doskonale, pomyślała. Jak dotąd dzieciom udało się unikać Gartha, lecz teraz, gdy wszyscy panikują i biegają tam i nazad po lesie, nikt się nie zdziwi, gdy dwoje małych padnie ofiarą niedźwiedzia. Garth nie był tytanem intelektu, a Frossa nie raz i nie dwa przejechała się na tym, że pokładała zbyt dużą wiarę w czyjś mały mózdzek, ale chyba nawet on zorientuje się, że to właśnie jest szansa, na którą czekał? Niedźwiedzią łapę nosił cały czas pod zbroją dla przypomnienia.

Frossa ćwiczyła w domu minę, którą przyozdobi twarz, gdy doniosą jej o śmierci dzieci. Jeśli przypomni sobie wszystkie krzywdy, jakich doświadczyła, może nawet wyciśnie z siebie prawdziwą łzę żalu. Albo i dwie, jak się postara. Ludzie polegali na niej, była w końcu ich duchową matką, jej cierpienie z pewnością pomoże uleczyć ich własny ból.

Zwolniła i obróciła się, by wrócić do Brodira i zameldować wykonanie zadania.

Przeszkodził jej opad szczęki do samej ziemi.

Po Słodkim Morzu Olafa sunęła cała flota kajaków, największych, jakie w życiu widziała, o cudacznie wysokich dziobach i rufach. Kadłuby bezgłośnie cięły opromienioną porannym słońcem, gładką jak kałuża tafłę wody. Zmierzały prosto na Harówkę. Łodzi było kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt, a na każdej naliczyła po tuzin wojowników.

Poczuła, jak obfite śniadanie spływa jej na samo dno żołądka. Raptem wiedziała już, że nie ma znaczenia, kto przepowiedział zagładę Harówki – ważne było to, że najwidoczniej miał rację. Palisada wioski była uszkodzona, a garstka jej obrońców złapała się na przynętę – tak jak podejrzewał Wulf, choć Brodir wyśmiał jego domysły – i pobiegła w las, ale nawet gdyby był tu cały hird, nie stanowiłby wyzwania dla tej zbrojnej zgrai, która zaraz wylądowała na brzegu.

Już po nich.

Próbowała przekonać samą siebie, że może jest jakieś pokojowe wyjaśnienie. Może to tylko kupcy? Jakby w odpowiedzi na jej domysły na dziób jednego okrętu wspiął się łucznik, odciągnął cięciwę i wypuścił strzałę, która wylądowała niespełna dziesięć stóp od Frossy. Spudłował, ale ewidentnie mierzył w nią.

– Skrælingowie! – wydarła się na całe gardło, puszczając się biegiem w kierunku miasta. – Skrælingowie atakują!



Frejdis i Ottar przemierzali się irytująco wolno, więc Finnbogi puścił się przodem. Wkrótce złapał oddział Wulfa, który nie przemierzał się ani w połowie tak szybko, jak wymagał tego dramatyzm sytuacji. Finn przebiegł obok nich ze świstem.

– Zbuk, dokąd? – krzyknął Garth.

Spierdalaj, pomyślał Finn. Nie jestem twoim popychadłem.

Gnał między drzewami. Prawie dotarł już do kościoła, gdy chrapliwy wrzask wrył jego nogi w ziemię. To był głos ciotki Gunnhildy. Co tam się dzieje, na Lokiego? Obejrzał się na hird, ale wojownicy nie wyszli jeszcze zza zakrętu, który on sam minął przed chwilą. Szybciej, cholera, szybciej!

Cofnął się o krok, potem zawrócił, nie mogąc się zdecydować. Chrzanić to, pomyślał w końcu i pobiegł w kierunku kościoła.

Z przodu dochodziły go głuche odgłosy uderzeń oraz krzyk, który brzmiał, jakby dobył się z gardła skrælinga. Finn stanął, drżącą ręką wyjął saks z pochwy i wtedy wznowił bieg. Leżąc w łóżku, często marzył o pokonaniu całej armii wrogów tym małym mieczem, ale teraz, gdy zanosilo się na to, że naprawdę będzie musiał go użyć, zupełnie stracił rezon.

Niemal upadł, dotarłszy do placu przed świątynią, który wyglądał, jakby przeszło tędy tornado. Wuj Poppo, Alvilda i Brenna leżeli na ziemi i wyglądali na martwych, a wokół rozścielały się trupy ośmiu skrælingów. Krzyż żywego, czy też martwego, boga Chrystusa leżał przewrócony, a pod nim leżał skulony jeszcze jeden.

Finn usłyszał krzyki dochodzące z drugiej strony kościoła. Ruszył biegiem.

Dwaj skrælingowie uzbrojeni w kamienne topory zbliżali się do cofającej się Gunnhildy. Ciotka była ubrana w swoją bawełnianą koszulę nocną i machała na nich ciężkim buzdyganem. Rodzinna legenda mówiła o tym, że wysadzana klejnotami metalowa trzepaczka do ubrań była różdżką jakiegoś czarnoksiężnika w starym świecie. Wnosząc z rozbitej głowy rozciągniętego na piasku napastnika, którego właśnie mijał Finnbogi, była to teraz trzepaczka do skrælingów.

Pierwszy z atakujących dał susa naprzód. Gunnhilda wybiła

mu bronią topór z dłoni. Żaden z nich nie zauważył jeszcze Finnbogiego, który uniósł swój saks i ostrożnie, na paluszkach zbliżył się do pierwszego skrælinga z prawej. Drugi zamachnął się bronią na ciotkę. Kobieta cofnęła się i potknęła o pniak, który Finnbogi położył tam parę tygodni temu i nigdy nie zabrał się do rzeźbienia. Przewróciła się z krzykiem i przyłożyła głowę o kamień. Znieruchomiała, straciwszy najwyraźniej przytomność.

Finnbogi zamknął oczy i ciął mieczem.

Ostrze wżarło się w ciało i utknęło. Otworzył oczy. Saks tkwił głęboko w ramieniu skrælinga. Finn wyrwał go i cofnął się o krok. Mężczyzna odwrócił się z mordem w oczach. Wisząca na płacie skóry i skrawku mięśni ręka dyndała jak mokra szmata, z rany lała się krew.

– Wybacz – Finn usłyszał własny głos, ale słowo uwięzło w jego gardle, gdy kolejny wojownik wyskoczył zza nieszczęśnika i uniósł topór. Finn zasłonił się saksem. Przeciwnik był niewysoki, ale żyłasty i umięśniony. Krew pokrywała jego twarz i pierś. Gunnhilda za jego plecami wciąż leżała nieruchomo.

Finnbogi wyprowadził cięcie. Skræling złapał go za nadgarstek i ścisnął z mocą. Harowianin pisnął, upuścił broń i zrobił krok w tył. Wróg uśmiechnął się i schylił po saks. Prostując się, zlizął krew z warg i pochylił głowę naprzód, wydając z siebie przerażający odgłos, budzący skojarzenie z wielkim, rozeźlonym, przypartym do muru jaszczurem. Finnbogi odgadł, że to okrzyk bojowy, który miał zasiać strach w jego sercu.

Co zresztą zrobił.

Finn obrócił się i pobiegł do lasu. A raczej pobiegłby, gdyby się o coś nie potknął i nie padł na ziemię jak długi. Podniósł głowę, splunął piachem i śliną. Miał przed sobą kępę małych żółtych,

fioletowych i białych kwiatków, które rosły sobie tutaj, nie zważając zupełnie na powagę sytuacji.

– Dzięki za miecz, przyda mi się – powiedział za jego plecami głos w uniwersalnym języku skrælingów zniekształconym dziwnym akcentem. – Zasłużyłeś na powolną śmierć tchórza. Zaczniemy od razu. To trochę potrwa.

Finnbogi próbował wstać, ale skræling wykopał spod niego nogi. Na cienkiej gałęzce krzaka dostrzegł wielkie jedwabne gniazdo pełne czarnych jajeczek i rojących się czarnych, białych i brązowych gąsienic. Złapał gałązkę i cisnął w oprawcę wijącą się masę robactwa. Mężczyzna ciął gałąź i gniazdo spadło na twarz Finnbogiego. Chłopak charknął, splunął, próbował palcami wyjąć z ust jajeczka i włochate owady.

Przestał, gdy poczuł ostrze – jego własne ostrze – na grdyce.



ROZDZIAŁ 13

Sami starzy znajomi

Dzieńdoberek – powiedział Eryk, wodząc wzrokiem od grotu do grotu skierowanych w jego stronę strzał i kiwając głową na przywitanie.

Sami starzy znajomi. Z jedną z nich – ta miała na imię Sittiwa – kilka razy poszedł do łóżka i myślał nawet, czyby się z nią nie ożenić, ale wtedy wmieszali się jej rodzice. Z jakiegoś powodu nie chcieli, by ich córka chajtała się z wielkim, kudłatym obcym, który mieszkał sam w chacie w lesie. Rozumiał ich punkt widzenia i właściwie to odczuł ulgę. Lubił Sittiwę, ale jeszcze bardziej lubił samotność.

Ani ona, ani nikt z łuczników nie odpowiedział na jego powitanie. Celowali do niego z łuków ze śmiertelnie poważnymi twarzami, a przynajmniej na tyle poważnymi, na ile mogą być poważne twarze, nad którymi dyndają królicze uszy. Spędził z Lakchanami dwadzieścia lat, ale te ich uszka i nóżki wciąż plasowały się w jego mniemaniu gdzieś w połowie drogi między „umiarkowanie zabawnymi” a „trzymajcie mnie, bo umrę ze śmiechu”, w zależności od nastroju danego dnia. Teraz był bliżej tej pierwszej kategorii.

– Przyszedłem zapytać, czemu chcecie mnie zabić – rzekł.

– Tak myślałem, że ty w tej sprawie – odparł wódz Kobosh, wydychając chmurę dymu. Słowa zabulgotały mu w gardle. Eryk sądził, że to przez fajkę. Jeśli dodać do tego ciągle przekleństwa, można sobie wyobrazić, że głos wodza Lakchanów nie nadawał się do szeptania komplementów ukochanej. – Chyba nie zabiłeś tych chujów, których do ciebie wysłałem? – sapnął.

– Znajdziesz ich związanych koło mojej chaty. Będą bolały ich głowy, ale nic im nie będzie.

Taką miał przynajmniej nadzieję, bo musiał przyznać, że w ogniu walki pokieroszował ich dość mocno i jeśli lew, wilk lub jakieś inne zwierzęta ich znajdą, to mogą mieć kłopoty...

– Dobra. Nie myślałem, że coś im, kurwa, zrobisz.

– Pomimo że wysłałeś ich, żeby mnie zabili?

– No. A teraz zabiję cię sam. Niech ktoś poda mi jebany w dupę łuk.

Sittiwa oddała mu swój, co zraniło Eryka, zanim jeszcze zranił go grot strzały. Po tym wszystkim, co między nimi było?

Kobosh naciągnął cięciwę i wycelował. A potem opuścił broń.

– Źle mi się ciebie zabija, gdy te chuje patrzą. Jesteś w końcu starym przyjacielem. – Wódz machnął ręką na swoich wojowników. – Wypierdalać mi stąd, dajcie nam nieco prywatności, bando debili. Pójdźcie lepiej po tamtych kretynów...

No dobra – charknął, gdy sobie poszli. Rzucił łuk pod pajęczą tron. – Masz, kurwa, kłopoty.

– Tyle domyśliłem się sam. – Co za dzień, jak pragnę zdrowia, pomyślał Eryk. – A czemu, jeśli wolno spytać?

– Przybył biegacz z Calnii. Cesarzowa chce twojej śmierci.

– A co ja jej zrobiłem?

– Chodzi o to, co zrobisz. Ty i tamci twoi popierdoleni Harowianie chcecie zniszczyć świat.

– Że co?

– Tak powiedział posłaniec. Nie patrz tak na mnie, ja nie wiem, jak to zrobicie. Szczerze, kurwa, mówiąc, jakoś tego nie widzę. Ale ta pizda cesarzowa Calnii jest święcie przekonana, że tak właśnie będzie. Więc widzisz: musimy cię zabić albo przysłać tu po ciebie całą armię, a jak już zapierdolą ciebie, to pewnie zapierdolą i nas. Calnia to nie jest zły suweren, nie przypierdalają się do nas, żyją własnym życiem, a my tutaj swoim. Ale mu się sprzeciwić... o, bracie.

– Łapię. No to lepiej mnie zabij.

– Nie bądź kutas. Byłeś mi dobrym przyjacielem. Dziwnym, ale, kurwa, dobrym jak chuj. Więc zrobimy tak: wypierdalasz gdzie raki zimują i więcej się tu nie pokazujesz.

To już drugie wygnanie! Dlaczego wszyscy każą mu się wynosić? Czy on coś robi nie tak? Czy umyka mu jakiś istotny element interakcji z dużymi grupami ludzi? Wszystko pięknie, kolorowo, aż tu nagle po dwudziestu latach nikt nie chce go znać.

– A dokąd dokładnie?

– Jak naj-kurwa-dalej. Musisz iść na zachód, przekroczyć Matkę Wodę. – Najpierw głos w jego głowie, a teraz Kobosh. Wszyscy chcieli wyprawić go na zachód. – Matka Woda to taka w pizdu wielka rzeka, której Calnianie nie przekroczą. Jeśli ruszysz w stronę zachodzącego słońca, dojdiesz do rzeki. Pomyślisz, że to Matka Woda, ale to będzie Kamienna Rzeka.

Powinny tam być jakieś łodzie, ale jak ich nie znajdziesz, nie zniechęcaj się, tylko poszukaj, jebany leniu. I nie próbuj jej przepłynąć wpław. Jest tam pełno takich kurewskich rybek, które cię zjedzą w try miga. Wtedy po jakimś czasie dojdiesz do kolejnej rzeki i pomyślisz sobie: w mordę jeża, to dopiero wielka rzeka, przy której Kamienna Rzeka to strumyczek szcoshków spływający do morza w piękny sierpniowy poranek. To właśnie będzie Matka Woda.

Prawdę mówiąc, Eryk przebył Kamienną Rzekę i dotarł nad brzeg Matki Wody minionego lata, ale ponieważ rozumiał, że każdy mężczyzna lubi tłumaczyć innym, jak gdzieś dotrzeć, pozwolił Koboshowi mówić.

– Jak ją przekroczysz, Calnianie cię nie dopadną i nie dowiedzą się, że cię puściłem.

– Jak to?

– No tak. Calnianie nie przekraczają Matki Wody.

– Czemu?

– Nie wiem, ale tak jest. Calnianie nie przekraczają jej i chuj. Może nie chcą się natknąć na Badlandczyków. Na drugim brzegu nie spotka cię już żadna krzywda ze strony Calnian, ale wciąż będziesz kurewsko narażony na niebezpieczeństwo. Więc się nie ociągaj, tylko zapierdalaj czym prędzej na zachód, potem na zachód, a potem jeszcze dalej na zachód, aż miniesz Badlandy. Dojdiesz tą drogą do Czarnych Gór i tam dopiero będziesz bezpieczny. Sugeruję, żebyś się w nich osiedlił. Pod żadnym pozorem nie przekraczaj Czarnych Gór, bo wtedy znajdziesz się w Lśniących Górach. A tam dopiero jest chujowo. Bardzo, ale to bardzo chujowo. Można by nawet rzec, że kurewsko chujowo. A same Badlandy rozciągają się na tysiąc mil, ty zaś przez całą drogę będziesz musiał się pilnować, żeby cię nie szcapił jakiś Badlandczyk. Nawet nie próbuj z nimi rozmawiać. Jak cię zobaczą, schowaj się gdzieś. A jak nie będziesz miał gdzie, uciekaj

byle dalej. Myślisz, że Calnianie to chuje? Przy Badlandczykach to miękkie pusie. Trzymaj się od nich z daleka, powiadam.

– Dobra. Dasz mi parę dni, żebym się spakował?

– Masz czas do południa.

– Do jutra do południa?

– Do dzisiaj do południa, ty śmieszku jebany! – Kobosh zachichotał. – Wróć tą samą drogą, którą tu przyszedłeś, i dopilnuj, żeby cię nikt nie widział. I nie myśl nawet o tym, żeby ruszyć na wschód i ostrzec swoich. Oni już nie żyją. Ty jesteś ostatni.

– Co?

– Posłaniec mi powiedział. Goachikowie narobili burdelu w stolicy, więc pierdolona w swoją opierzoną cipę Łabędzia Cesarzowa wysłała potężną armię, żeby zajęła wszystkich Goachików, a Harowianom dostało się przy okazji. Biegacz powiedział, że wszyscy już nie żyją.

– O kurwa.

– Wyjąłeś mi to z ust. Tak, stary, jesteś ostatnim Harowianinem. Jeśli też chcesz umrzeć, idź na wschód. A jak nie, to lepiej na zachód. Spodoba ci się tam, zobaczysz. Tutaj jesteś jak niedźwiedź w klatce. Dobrze ci będzie w szerokim świecie. Dbaj o siebie. Będzie mi cię brakować. Żegnaj, Eryku Złośniku, ty chuju złamany.

– Też będę za tobą tęsknił, Kobosh. Dziękuję ci za wszystko. – Eryk potrząsnął głową, wciąż nie mogąc objąć rozumem, że wszyscy jego starzy współplemieńcy nie żyją.

– Czekał, kurwa – charknął Kobosh. – Nie mogę sobie przypomnieć. Eryk Złośnik. Czy ty się w ogóle kiedyś zezłościłeś?

– No pewnie. Jak tu trafiłem, byłem kurewsko zły.



ROZDZIAŁ 14

Pierwsze koty za płoty

Cicho, Ottar! – szepnęła Frejdis, trzymając go za koszulę, żeby nie wstał.

Jej brat zachichotał. Jaka śmieszna zabawa. Ten duży Garth gonił ich z ręką misia na patyku. Fajnie było uciekać i chować się w wysokiej trawie. Ala ta trawa była nieprzyjemna w dotyku i nie podobało mu się, że Frejdis trzyma go za ubranie. Chciał wstać i zobaczyć, gdzie też schował się ten duży pan. Uderzył Frejdis w ramię.

Zbliżyła twarz do jego twarzy, wybałuszyła na niego oczy i pokręciła głową.

– To nie zabawa – szepnęła tak, by tylko on usłyszał. – On chce nam zrobić krzywdę. Musisz być cicho.

Ottar nie lubił, jak ktoś robił mu krzywdę.

– No chodźcie, nie chowajcie się! – zawołał gdzieś z niedaleka Garth. – Mam pyszny syrop klonowy!

Syrop klonowy! Ottar znowu chciał wstać, ale Frejdis mu nie pozwoliła. Już miał ją znów uderzyć, ale jej oczy zrobiły się jeszcze większe i ręka zamarła w powietrzu.

– On kłamie – powiedziała siostra, przystawiając mu usta do ucha. – On nie ma żadnego syropu. Jeśli będziesz cicho, a on nas nie znajdzie, dam ci tyle syropu, ile tylko chcesz. Ale tylko jak będziesz cicho. Bardzo cię proszę, Ottarze.

Ona się bała, a teraz Ottar zaczynał się bać. Poczował, że drżą mu wargi. Zaraz się rozplacze. Frejdis pokręciła głową. Nie wolno mu płakać. Widział Gartha przez zasłonę trawy, jego kolczugę i hełm, który nagle przestał się wydawać śmieszny. Był coraz bliżej, coraz bliżej. Ottar nie chciał, by zrobił mu krzywdę. Ale Garth był tuż-tuż. Zaraz ich znajdzie.



Sassa Gryziwarga wybiegła z długiego domu ze strzałą na cięciwie, ale walka na podwórzu już dobiegła końca. Skrælingowie gryźli piach. Na ziemi walały się roztrzaskane czaszki i wyprute flaki.

– Masz tam jakieś chłanie, Sassa? – spytał Ogmund. Trzymał się za rękę, a spomiędzy palców lała mu się krew. Mrużył oczy z bólu, ale szczerzył się, jak zawsze, tak rumiany, że aż czerwony. Reszta hirdu i Bodila byli cali i zdrowi.

– Sassa! – Wulf wskazał palcem na skrælinga biegnącego przez pole, a potem na łuk w rękach dziewczyny. Chciał, żeby go zastrzeliła. Żeby strzeliła mu w plecy.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Mowy nie ma.

– Przykro mi, ukochana, ale nie wolno mu uciec. Daj mi łuk, ja to zrobię.

Z Wulfa był łucznik jak z koziej dupy trąba. No trudno, raz matka rodziła... – pomyślała, unosząc broń i napinając cięciwę. Wymierzyła wysoko ze względu na odległość. Nie brała poprawki na wiatr, bo wcale go nie było. Ustrzeliła kiedyś jelenia z większej odległości i w gorszych warunkach. Ale nigdy jeszcze nie skrzywdziła skrælinga, nie mówiąc już o zabijaniu. A jednak teraz mierzyła z łuku do człowieka, który miał rodziców, rodzeństwo, może nawet żonę. Może dzieci.

Gdy wypuściła strzałę, wiedziała już, że dosięgnie celu.

Skræling upadł. Słyszała odgłos pocisku zanurzającego się w jego ciele. Machnął ręką w kierunku nieba, a potem znieruchomiał. Thyri już biegła w jego stronę, unosząc zakrwawiony saks, zapewne by go dobić. Co za dziwny dzień.

– Ale strzał! – zachwycał się Kif. – Rozwaliłaś gościa...

– Starczy, Kif – uciszył go Wulf, kładąc mu rękę na ramieniu.

Sassa stała nieruchomo, nie wiedząc, co z sobą począć. Patrzyła na rozciągnięty na polu kształt. Thyri dopadła go i cięła saksem. Wtedy Sassa przypomniała sobie o martwych rodzicach. Zabicie tego człowieka sprawiło, że na moment o nich zapomniała. Podeszła do martwej matki i zauważyła, że ktoś zamknął jej oczy.

Wulf ujął ją ostrożnie za rękę.

– Musimy iść. Jak najszybciej. Im już nie pomożemy, a musimy... – Od strony Harówki poniosł się jazgot trąby. – No właśnie – skończył. – Chodźmy.

– Ja chyba... – Ogmund zakołysał się na nogach – czuję się

jakoś... – Kolana ugięły się pod nim i klapnął na ziemię jak wielkie niemowlę.

– Bodila, zobacz, co z nim – polecił Wulf. Sassa nigdy go takiego nie widziała. Zwykle do niczego nie podchodził poważnie i otaczała go aura młodzieńczej lekkomyślności, lecz teraz owa aura rozwiała się na wietrze. Był spokojny, pewny siebie i charyzmatyczny. – Znajdź w chacie koszulę i przewiąż mu ranę, a potem usztywnij rękę.

– Którą rękę?

– Tę ranną.

– Jasne. – Bodila kiwnęła głową. – Czym ją usztywnić?

Wulf podniósł z ziemi kij i położył obok Ogmunda.

– Tym.

– Dobra.

– Świetnie. Jeśli będzie mógł chodzić, zaprowadź go do Harówki. Jeśli nie, czekajcie tu na nas.

– Mam tu zostać?

– Tak. Z Ogmundem. Doglądaj go.

– Tak jest.

– Chyba że się obudzi i będzie się czuł na tyle dobrze, żeby dojść do wioski o własnych siłach.

– Jasne.

– Dobra. Hird, za mną.



Finnbogi usłyszał trzask i coś na niego prysnęło, jakiś ciepły płyn z miękkimi grudkami, który tylko rozmazał mu gąsienice, jajeczka i jedwabne nitki na twarzy. Nacisk ostrza na jego szyję zelżał. Otworzył jedno oko. Skræling padł na ziemię z rozwaloną głową.

– Ogarnij się, chłopcze! – powiedziała Gunnhilda z trzepaczką w ręce. – Człowiek nie rodzi się odważny, lecz takim się staje, odważnie postępując. Jest ich więcej?

Finnbogi dźwignął się na nogi, strzepał ohydę z twarzy i wlepił wzrok w ciotkę. Była zbryzgana krwią, do jej twarzy i koszuli nocnej przyczepiły się drobiny Loki wie czego, ale najwidoczniej nie odniosła ran.

– Więcej...?

– Skrælingów.

– Nie wiem. Nie sędzę.

Ciotka pokręciła głową, jak zawsze, gdy uznawała, że jest do niczego, i wróciła do kościoła. Finn otarł z czoła resztki gąsienic i krwi – jedwabne nitki podziały jak mokra szmata, co bardzo pomogło – i ruszył za nią. Gunnhilda szła między skrælingami, dla pewności bijąc każdego po głowie wysadzonym klejnotami obuchem. Nagle Finnbogi złapał kątem oka jakiś ruch i obrócił głowę. To wuj Poppo Białozęby podniósł rękę. Finn przypadł do niego.

– Ach, Finnbogi.

Jego wuj leżał blady w kałuży krwi.

– Wuju Poppo. Gdzie cię boli? Co mogę zrobić? – Czuł cisnące się do oczu łzy.

– Po pierwsze, nie smuć się tak. Umierasz, kiedy umierasz, mówi się trudno. Mój dzień właśnie nadszedł. My w Harówce nie opłakujemy zmarłych, bo życie nie kończy się na tym świecie. Po drugie, słuchaj, co ci powiem. Nie odwaliliśmy z twoją ciotką zbyt dobrej roboty, wychowując cię. Przepraszam cię za to, Finnbogi.

– Nie ma za... – Finn nie mógł dłużej powstrzymać łez.

– W rezultacie stałeś się kimś, kogo można by nazwać ćwokiem, ale w głębi serca jesteś dobry chłopak, Finnbogi, masz jedynie skłonność do wywyższania się i ferowania wyroków.

– Co? Nie jestem... – urwał i pokręcił tylko głową. Może to

i lepiej, że wuj nazwał go ćwokiem. Krócej będzie po nim płakał.

– Milcz i słuchaj. Jesteś kimś więcej, niż ci się wydaje. Jesteś lepszy, niż ci się wydaje...

– Myślę, że jestem zupełnie w porządku. Mogłem zostać w wiosce, ale przybiegłem tutaj, i nie posłuchałem Gartha, który...

– Finnbogi – wszedł mu w zdanie Poppo, kręcąc słabo głową – jesteś typem, który przerywa umierającemu.

No cóż, punkt dla niego. Finnbogi zamknął usta i przybrał wyraz twarzy z gatunku „to się już więcej nie powtórzy”.

– Możesz się jeszcze zmienić, ale to nie to chciałem ci powiedzieć. Chciałem, żebyś dowiedział się jednej rzeczy o swoich rodzicach. Twój ojciec... twój ojciec... był...

Poppo wywrócił oczami i umarł.

Noż kurwa mać, pomyślał Finnbogi.



Gunnhilda klęczała chwilę przy swoich dwóch córkach i mężu, mówiąc szeptem coś, czego Finn nie słyszał.

– Dobra, Finn – powiedziała w końcu. – Pójdziemy razem do Harówki. Znajdziemy hird, a potem... – urwała, gdy Gurd Zadrzykiecka pojawił się na wiodącej do wioski drodze, a za nim Hrolf Faleń, Fisk Rybi Łeb i Frod Zawrzyjgęba, wszyscy z mieczami i włóczniami w rękach. – Nie spieszyliście się, co? – rzuciła do nich, wskazując ich buzdyganem. – Dwaj tam, dwaj tam – powiedziała, pokazując obie strony kościoła. – Idźcie powoli, wypatrujcie ukrytych skrælingów. Jeśli napotkacie więcej niż dwóch drani, krzyczcie. Jeśli usłyszycie krzyk, biegnijcie z odsieczą, byle ostrożnie. To zdradziecka hałastra. Tak dopadli Poppa. Dobra. Gurd, Hrolf, wy dwaj...

Gdzie jest Garth? – zastanawiał się Finnbogi. I gdzie Frejdis i Ottar? Otworzył usta, by przerwać Gunnhildzie, uświadomić jej, że nigdzie nie ma jej dzieci. Ale wtedy usłyszał głośne mlaśnięcie.

Frood Zawrzyjgęba, szczurkowaty jegomość, z którym Finnbogi chyba nigdy nie zamienił słowa, przyłożył rękę do szyi i znalazł w niej strzałę. Upadł, bulgocząc ohydnie wzbierającą w gardle krwią, a Finnbogi mógł tylko gapić się na niego. Czuł, że ma miękkie kolana. Rozbrzmiały krzyki i reszta pobiegła natychmiast w kierunku skrælinga, który trafił Frooda.

Hrolf dopadł go pierwszy. Przeciwnik uchylił się przed włócznią i zamachnął toporem, który wpił się w twarz Hrolfa z odgłosem przypominającym walenie młotem w wór pełen ryb i suchych patyków. Hrolf obrócił się wolno. Jego szczęka wisiała na strzępie skóry policzka. Włócznia wyslizgnęła mu się z rąk, gdy przyłożył obie dłonie do kiwającej się żuchwy i próbował dojrzeć zrujnowane zęby i potrzaskane kości. Żalony jęk wydobył się z krwawej jamy, która przed chwilą była jeszcze ustami.

Finnbogi gapił się na niego z rozdziawioną gębą.

Hrolf zrobił dwa rozdygotane kroki, gdy tymczasem Gurd i Fisk otoczyli broniącego się skrælinga. Gdy najeźdźca wziął na cel pierwszego, drugi trafił go w bok. Śniady mężczyzna upuścił topór, ucapił drzewce broni obiema rękami i wysunął je spod żebra, a z rany poląła się czarna krew. Wyszarpnął broń z rąk Fiska, a Finn myślał przez chwilę, że ten skræling to jakiś nieśmiertelny demon, który teraz zwróci się przeciwko swojemu niedoszłemu zabójcy. Nawet jeśli miał taki zamiar, nigdy go nie zrealizował, ponieważ Gurd wbił mu topór w pierś. Żeleźce przedarło się przez skórę i żebra i rozorało płuca. Skræling padł jak długi.

– Banda debili – syknęła Gunnhilda. – Hrolf, chodź no tutaj i pokaż mi...

Finnbogi potrząsnął głową. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie bitwę. Wydawała mu się czymś o wiele bardziej chwalebny i o wiele mniej obrzydliwym i strasznym. Rozejrzał się naokoło. Gdzie, na cycki Thora, był Garth Kowadłogęby? Gdzie Ottar i Frejdis? Czyżby dopadła ich kolejna banda skrælingów?

– Fisk, weźmiesz włócznię i pójdziesz ze mną?

– Dokąd niby? – spytał Fisk, mrużąc powieki.

– Sądzę, że Garth i dzieci są w niebezpieczeństwie.

Fisk powiódł wzrokiem po trupach przybranej rodziny Finnbogiego i z ociąganiem skinął głową.

Finn pobiegł w las, Fisk za nim.



– Skrælingowie! Skrælingowie nadchodzą! – wrzasnęła Frossa, goniąc jak szalona główną ulicą Harówki z przekrzywionym komicznie kolorowym kapeluszem, który lepił się do jej spoconego czoła.

– O czym ty gadasz? – krzyknął biegnący od rynku Brodir, a potem, gdy już dobiegł, dodał: – Ucisz się, kobieto, co ludzi straszysz?

– I dobrze! Jest się czego bać! Nadchodzą – wydyszała. – Płyną. Łodziami. Będą tu za...

Przerwał jej jakiś plask i skomlenie dobiegające od strony placu. A potem krzyk:

– Strzały!

A po nim kolejne.

– Za mną! – zarządził Brodir, puszczając się biegiem w tamtym kierunku.

Frossa rzuciła się za nim, ale zaraz stanęła. Jeśli ktoś przeżyje ten atak, będzie potrzebował opieki i duchowego przewodnictwa. Dlatego gdy po raz drugi trąbka zajazgotała na alarm i rozległy

się wrzaski paniki, staruszka schowała się między dwiema chatami. Wiedziała, że w jednym z domów na skraju wioski była tajna kryjówka.

Minęła róg i weszła w kolejną uliczkę. Pustą. Jeśli nie liczyć skrælinga, który zmierzał w jej stronę z podniesionym toporem.



Jarl Brodir Przecudny widział, jak na Rynku Olafa wybucha panika. Harowianie biegali wokoło jak kurczaki z urzęniętymi głowami. Potrzebowali przywódcy. Wodza. Bohatera! Nie lękajcie się, ludkowie, pomyślał, wypinając pierś, oto bowiem przybył wasz bohater. W godzinie próby jarl Brodir Przecudny stanie na wysokości zadania.

– Broń w garść, ludziska! Do mnie, kto w bogów wierzy! – zagrział, dobywając Wrogobójcy, pięknie zdobionego miecza, który wręczył mu duch Olafa Odkrywcy. Po tym dniu będzie się zwał Skrælingobójcą! Brodir przebiegł między dwoma leżącymi nieruchomo Harowianami i kolejnym, który włókł się po ziemi ze strzałą sterczącą z pleców. – Frossa! Zatroszcz się o rannych! Reszta za mną!

Nie oglądał się za siebie. Wiedział, że pomkną za nim, że rzucą się jak jeden mąż do wypełniania jego rozkazów, podziwiając odwagę i wspaniałość swojego nieustraszonego wodza.

Jarl buzował pewnością siebie i żądzą krwi.

W skrytości ducha marzył o ataku skrælingów. Wreszcie nadarzyłaby się okazja, by jego hird sprawdził się w walce. Ale było jeszcze lepiej – hird gdzieś przepadł, a więc on sam będzie hirdem. W końcu pół życia był członkiem elitarnego oddziału, wciąż umiał się bić, a z wiekiem przyszła i mądrość. Był niepokonany. Obroni wioskę przed tymi najeźdźcami. We łbach

im się przewracało, tym smagłolicym dupkom. Czy naprawdę myśleli, że ugnie się przed nimi wojownicza krew starego świata?

Pierwszy wróg wpadł na rynek, ubrany w samą przepaskę i dzierżąc w dłoni kamienny topór. Wódz pobiegł mu na spotkanie, kręcąc młynki stalowym mieczem. Stał zawsze wygra z kamieniem. Zamachnął się mieczem i...

Skræling opadł do ziemi. Coś błysnęło i trafiło Brodira w podbródek. Oślepiło go jasne światło, które następnie skupiło się w malutkim punkcie przed jego oczami, a potem zapadła ciemność.

Otworzył oczy. Leżał na plecach. Nad nim unosiła się bosa podeszwa. Stopa opadła z mocą, a głowa Brodira okręciła się z trzaskiem na bok.

Widział pozostałych Harowian, tych, którzy zostali z tyłu, gdy on ruszył na wroga. Gapili się z rozdziawionymi ustami na powalonego przywódcę.

No trudno. Może i walka kiepsko się zaczęła, ale zaraz wstanie i pokaże tym skrælingom, że nikt nie zadziera z jarlem Brodirem.

Gdyby tylko jego ręce zechciały go posłuchać. I reszta ciała. Nie mógł wstać. W ogóle nie mógł się ruszyć! Niedobrze. Coś łupnęło go w ucho. To znowu ta stopa! Zaraz, jaka stopa? Wszystko było jakieś zamazane. Czemu wszyscy się na niego gapią? Ach, już pamiętał, to stopa tego skrælinga. Zaraz rozerwie go na strzępy i pokaże swoim ludziom, kto jest górą. Ale co za podrzędny zbir depcze przeciwnikowi po uszach? Już ja mu pokażę, niech tylko wstanę...

Noga znowu opadła. Oj tak, zaraz ci pokażę, już ja cię urządzę, bratku, gdy tylko...

Noga opadła po raz kolejny, a jarl poczuł, że jego czaszka zapada się do środka.



– Witaj – powiedziała Frossa do samotnego skrælinga. – Jestem potężną czarodziejką, a więc nie zniżam się do przemocy. Jeśli pójdziesz tędy – wskazała w stronę rynku – znajdziesz zwykłych ludzi, których szukasz. Jeśli chcesz ich wszystkich pozabijać, droga wolna. Pewnie część z was ucierpi w ataku. Mogę opatrzyć wam potem rany, co ty na to?

– Wybacz – odparł przybysz.

Nosił przepaskę biodrową i był zdecydowanie zbyt urodziwy. Nawet piękny. Z owej przepaski wyrastała smukła, muskularna talia, kończąca się na wypukłych mięśniach klatki piersiowej. Miał wielkie, zaokrąglone barki, a jego podbródek i policzki rzeźbił chyba z marmuru sam Hajmdal. Nos miał duży, ale ładnie ukształtowany i wyrazisty jak orli dziób. W ciemnych skośnych oczach połyskiwała zarówno męska siła, jak i chłopięca niefrasobliwość. Frossa widziała kiedyś jednego urodziwego skrælinga i pomyślała wówczas, że jak na skrælinga, jest wcale przystojny, ale ten tutaj okaz to był zupełnie inny poziom. Był przystojniejszy i bardziej pociągający od wszystkich mężczyzn, jakich widziała w życiu, zarówno wśród swoich, jak i wśród tubylców. Czy to czasem nie bóg?

Zebrała się do kupy. Może i jest bogiem, ale i ona nie wypadła sroce spod ogona, skoro w jej żyłach płynęła krew Wanów.

– Wybacz? – powtórzyła. – Mam ci wybaczyć? Dlaczego to robisz?

Zamknęła palce na zrobionej z kości słoniowej rękojeści swojego ofiarnego noża. Nie, nawet tak porażająca uroda to za mało, by namieszać w głowie Frossie Wiedzącej.

– To wasza wina. Łabędzia Cesarzowa Ayanna widziała na własne oczy, jak grzyboludy niszczą świat. A czarnoksiężnik Yoki

Choppa potwierdził prawdziwość przepowiedni, a więc wszyscy musicie umrzeć, zanim sprowadzicie na nas śmierć. Jestem przywódcą armii przysłanej tu po to, żeby dopełniła tego obowiązku. Obawiam się, że musimy zabić was wszystkich. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś się nam wymknął. A zwłaszcza ja nie mogę, bo jestem przywódcą. A przywódca powinien świecić przykładem, wiesz, jak jest.

Mężczyźni, pomyślała gorzko Frossa. Ten koleżka, choć piękny jak ze snu, nie zdołał się powstrzymać przed powiedzeniem jej trzy razy, że to on tu rządzi. Posługiwał się wspólnym skrælińskim, ale z melodyjnym akcentem, który słyszała po raz pierwszy.

– Jak ci na imię? – spytała, podchodząc bliżej.

– Jestem Kimaman.

– No cóż, mój Kimamanie, ja jestem Frossa Wiedząca. Spotkałam twoją Kaczą Cesarzową kilka razy, jesteśmy dobrymi przyjaciółkami. Zabierz mnie ze sobą do Calnii, a już ona zdecyduje, czy powinnam umrzeć wraz z resztą. Jeśli zgodzisz się to zrobić, pokażę ci kryjówki, gdzie mogła schować się reszta, i wtedy będziesz miał pewność, że rzeczywiście zabiłeś wszystkich. Wszystkich poza mną. A jak twoja cesarzowa rozkaże mnie zabić, to zawsze zdążysz to zrobić.

Roześmiał się. Co go tak rozbawiło? Nie było się przecież z czego śmiać.

– Nie. Wybacz. – Poszedł w jej stronę, po czym stanął. – Zaraz. Co to za zapach? Och, na słoneczną tarczę Innowaka, czy to ty tak capisz?

– Nie. – Ale tak naprawdę to była ona. Spowijała ją woń gnijących ofiar, które trzymała w swoim domu. Spojrzała nad jego ramieniem. – To nasz wioskowy niedźwiedź tak cuchnie. Właśnie tu idzie. – Wskazała za jego plecy.

Odwrócił się, a wtedy Frossa wbiła mu nóż prosto w serce.

Trafiła bezbłędnie między zebra. Przystojniak Kimaman westchnął i upadł na ziemię.

Zbudowany jak sam Thor. I równie głupi, pomyślała. Jeśli ten facet był bogiem, to z pewnością prymitywnym Asem, a nie Wanem jak ona.

Zabrała z ziemi jego kamienny topór i weszła między dwie kryte strzechą chaty. Z rynku doszły ją nowe wrzaski. Grupa ludzi biegła w tamtym kierunku z bronią gotową do walki. Nie zauważyli jej, gdy przemknęła obok nieużywanej od lat kuźni. Była tam piwnica, do której schodziło się dobrze ukrytym zejściem.

Ratując się ucieczką, okazała rozsądek. Nie okrywał się hańbą ten, kto uciekał przed niechybną śmiercią. Gdyby któryś z tych idiotów widział, ile skrælingów przebyło Słodkie Morze, też by uciekł, miast rzucać się w wir walki.

Dotarła do kuźni w tym samym momencie co prawomówca Rangvald i jego syn Chnob Biały – ojciec i brat Thyri Drzewonogiej. Dzięki niech będą Frejowi, że Thyri z nimi nie było. Z tymi dwoma słabeuszami sobie poradzi.

Frossa nie była przesadnie litościwa. W końcu mało kto miał tak ciężkie życie jak ona. A jednak czuła śladową sympatię do Thyri. Jej matka zmarła, gdy dziewczyna była bardzo młoda, a jej ojciec Rangvald poniżał ją przy byle okazji, nieustannie zachwalając tego nieużytką Chnoba, który również wyśmiewał siostrę pod byle pretekstem. Zdarzało się nawet, że publicznie, a Frossa przypuszczała, że w domowym zaciszu jeszcze mniej wzdragali się przed mieszaniem Thyri z błotem. Frossa nie przepadała za dziewczyną, ale nie mogła zaprzeczyć, że dzielnie znosi ona docinki ojca i że przemieniła się w odważną, ambitną młodą kobietę i pierwszą wojowniczkę w hirdzie. Nieustanne wyrzuty ze strony ojca i brata przyniosły więc pozytywny skutek, lecz Frossa wątpiła, by taką właśnie mieli intencję. Nie. Byli

słabymi, wrednymi ludźmi, moralnymi karłami, żywiącymi zazdrość wobec zdolnej kobiety, nawet jeśli – a może zwłaszcza dlatego – to ich córka i młodsza siostra.

– Co wy robicie? – syknęła na ich widok. – Czemu nie walczyście z innymi?

– Och, daj se spokój – zachnął się Rangvald, odrzucając maskę dostojeństwa. – Przejrzałem cię na wylot, Frossa Wiedząca. Nie udawaj, że nie przyszłaś tutaj, żeby schować się w piwnicy tak jak my. Niestety, miejsca starczy tylko dla dwóch. A właściwie zmieściłoby się troje ludzi o normalnych rozmiarach, ale nie twoja tłusta i śmierdząca truchłem dupa. A poza tym byliśmy tu pierwsi, więc wypierdalaj, z łaski swojej.

Frossa podeszła do niego i walnęła go w czoło toporem Kimamana niby młotem, jak gdyby prawomówca był drewnianym kołkiem, który chciała wbić w ziemię jednym zdecydowanym uderzeniem. Cios spadł znienacka, Rangvald nawet nie zdążył zasłonić się rękami. Przejrzał mnie na wylot, tak? – pomyślała, gdy starzec, zezując na nią, osunął się na ziemię.

Chnób był już po drugiej stronie ciężkiego stołu roboczego, z palcami zaciśniętymi na blacie, gotowy do ucieczki.

– My dwoje się zmieścimy – wysapał. – Nikomu nie powiem, co zrobiłaś tacie. Jeśli ktoś przeżyje, opowiem, że skræling zabił go na moich oczach, a potem kazałem ci się schować ze mną w piwnicy, żebyś mogła opatrzeć rannych po bitwie. A jeśli wszyscy zginą, to i tak masz większe szanse na przeżycie ze mną do pomocy. Umieję polować, szukać jedzenia, łowić ryby, mógłbym chodzić po wodę... Błagam, nie zabijaj mnie. Ukryjmy się razem.

Nie przypadł jej do gustu pomysł gniecienia się w piwnicy z Chnobem i tym jego brodziskiem, ale właściwie słusznie prawil,

a poza tym wiedziała, że jest zbyt wielkim tchórzem i zbyt małym człowieczkiem, by próbować pomścić ojca.

– Dobra. Pomóż mi z klapą.



Finnbogi wrył pięty w ziemię i zamachał desperacko rękami, by wyhamować na leśnej drodze. Fisk wpadł na niego, nieomal obalając go na ziemię.

– Z byka spadłeś? Mogłem cię dźgnąć włócznią.

– Wybacz.

Przed chwilą minęli zarośniętą odnogę traktu, łączącą drogę z Harówki do kościoła z tą prowadzącą z wioski do gospodarstwa Sassy. Poppo wpoił Finnbogiemu podstawy tropicielstwa, więc chłopak wiedział, że ktoś niedawno tędy przeszedł.

Rozgarnął roślinność i puścił się wąską ścieżką, kazując Fiskowi podążyć za sobą. Prawie nie zwolnił, choć liście i gałęzie chłostały go po nogach i rękach. Tak się martwił o Ottara i Frejdis, że nie dbał nawet o to, że podarł najlepsze spodnie. Nie zwalnając biegu, ciął saksem zagradzającą drogę gałąź.

– No, wyłaźcie! W końcu i tak was znajdę!

To był głos Gartha. Finn podniósł rękę i zwolnił do truchtu, przedzierając się przez zarośnięty trakt. Fisk tuptał zaraz za nim.

Wypadli spomiędzy drzew na polanę porośniętą wysoką trawą, z której sterczało w górę kilka młodych drzewek. Kiedyś było to pole leżące w obrębie gospodarstwa Sassy, ale teraz pochłonęła je przyroda.

Dostrzegł Gartha w trawie po lewej. Trzymał w ręku coś wielkiego, kudłatego i białego.

– Garth! – krzyknął Finnbogi. – Co ty odwalasz?

Wielki mężczyzna podbiegł do niego. Przez chwilę Finn myślał, że Kowadłogęby przyłoży mu tą rzeczą, która, jak się

okazało, była wielką niedźwiedzią łapą, ale zrezygnował, gdy zobaczył Fiska. Odrzucił przedmiot w trawę.

– Co to było? – indagował Finnbogi. – Co ty tu robisz? Widziałeś Ottara i Frejdis?

Wzrok Gartha spoczął na krwawym ostrzu w ręce Finnbogiego.

– Nieważne, co robiłem. A co ty robisz?

– A, takie tam. Zabijam skrælingów.

– Ty? Zabijasz skrælingów? Chyba ich dzieci?

– Nie. Dorosłych wojowników. Napadli na kościół. Nie wiem czemu. Poppo, Alvilda i Brenna nie żyją.

– Cholera.

– Dotarłem tam akurat na czas, żeby ocalić Gunnhildę. Ale czemu ty nie przyszedłeś? I co tu robisz?

– Cześć, Finnbogi – powiedziała Frejdis, wstając z Ottarem z wysokiej trawy pięć kroków dalej.

Garth obrzucił ich morderczym spojrzeniem. Frejdis patrzyła na niego, jakby samym wzrokiem chciała zagotować wodę w kotle. Ottar uśmiechnął się tylko i klasnął łokciami.

Finnbogi wodził spojrzeniem od dzieci do Gartha. Co tu się wydarzyło? Dlaczego, na dupę Odyne, Garth odłączył się od hirdu i zamiast pobiec na farmę, ganiał się z dziećmi po polanie z niedźwiedzią łapą w łapie?

– Co jest grane? – spytał po raz kolejny.

– Bawiliśmy się – powiedział Garth głosem człowieka tak skorego do zabawy jak ktoś dotknięty zarazą.

Ottar pokazał hirdmana palcem i zdecydowanie pokręcił głową.

– Co się stało, Frejdis? – spytał Finnbogi, nie odejmując wzroku od Kowadłogętego.

– Garth udawał niedźwiedzia i nas gonił. Ale było fajnie.

– Eeeee! – powiedział Ottar, kręcąc głową.

- Ottar ma inne zdanie.
 - Nie, on tylko potakuje na swój własny sposób. A teraz chodź, musimy pochować wuja Poppa, Alvilde i Brennę.
 - Skąd wiesz, że nie żyją? – zdziwił się Fisk.
 - Finnbogi to powiedział, jak tu przyszliście.
 - Aha.
- Przez las od strony wioski przedarła się jazgotliwa nuta.
- Mają kłopoty w Harówce.
 - Oczywiście, że mają. – Frejdis westchnęła zniecierpliwiona.
- Nie słyszeliście, co przepowiedział Ottar?
- Garth odwrócił się i pobiegł przed siebie.
- Szybciej! – zawołała za nim dziewczynka.
- Finn popatrzył na nią. Odpowiedziała niepokojąco opanowanym spojrzeniem.
- Co powinniśmy teraz zrobić? – spytał Finnbogi sześciolatniego dziecka.



Sassa, dysząc ciężko, przebiegła przez bramę za Grubym Wulfem, Kifem Berserkiem, Bjarnim Kurzą Twarzą i Thyri Drzewonogą. Drzwi były roztrzaskane, strzechy płonęły, wszędzie leżeli martwi Harowianie i skrælingowie.

Pochyliła się, by zamknąć oczy Thorwalowi, człowiekowi, który nauczył ją szyc. Jego usta zastygły w niemym krzyku, ręką ścisnął strzałę sterczącą z piersi.

– Na to przyjdzie czas później – rzekł Wulf, dotykając jej ramienia. – Słyszysz?

Gdzieś z przodu doszły ich krzyki. Powlekli się w kierunku Rynku Olafa.

Gdy się zbliżyli, dał się słyszeć głos zaprawiony obcym akcentem:

– Kimaman poległ, jak i wielu innych. Później go opłaczemy, teraz trzeba nam wykonać rozkaz Ayanny. Spalimy sioło grzyboludów, a ich prochy wsypujemy do Jeziora Ciekawskiego Jesiotra.

– Po moim trupie! – wrzasnęła Thyri Drzewonoga, biegnąc prosto na rynek z uniesionym saksem i tarczą objającą się o plecy.

Wulf, Kif i Bjarni pomknęli w ślad za nią, wznosząc bitewne okrzyki.

Sassa przełknęła ślinę, a potem poszła w ich ślady.

Na placu kręciło się może dwudziestu najeźdźców. Ten najbliżej nich chwiał się na nogach i czepiał rękami rozoranego gardła, a Thyri już biegła dalej, znacząc swój ślad kapiącymi z saksa kroplami krwi.

Skrælingowie zbili się w gromadę i gotowali do starcia. Sassa zacisnęła powieki. Przecież nie da rady im wszystkim...

– Thyri, do mnie! – zawołał Wulf. – Formować diament! – Rozejrzał się. Jedyni skrælingowie w zasięgu wzroku byli skupieni na rynku. – Sassa, zostań tutaj i jak coś, to krzycz!

Thyri cofnęła się od oddziału skrælingów i pobiegła z powrotem do hirdu. Wrogowie deptali jej po piętach.

Trzej mężczyźni wyszli naprzód: Kif na czele, za nim po lewej Wulf, a za nim po prawej Bjarni. Thyri zajęła miejsce po prawej ręce Wulfa, stając się drugim kątem diamentu.

Skrælingowie opadli ich ze wszystkich stron, dzierżąc topory, włócznie i noże. Hird ruszył naprzód. Najeźdźcy atakowali zewsząd. Walczyli zaciekle, krzycząc i wołając, ale bez krztyny strategii. Taka taktyka może sprawdzała się w walce z bezbronnymi wieśniakami, ale w starciu z wytrenowanymi wojownikami była samobójstwem. Miecz Bjarniego, topór Kifa, saks Thyri i młot Wulfa otoczyły oddział nieprzebytą barierą

rozmazanego żelaza. Ofensywa skrælingów załamała się i atakujący zaczęli padać jak muchy.

Po przeciwnej stronie placu wyrosli jak spod ziemi dwaj łucznicy. Wymierzyli w hird, ale bali się strzelać, by nie trafić któregoś ze swoich. Sassa napięła łuk i wycelowwała. Zawahała się na moment, a potem pomyślała o swojej zabitej rodzinie i strzeliła. Jeden z łuczników upadł na ziemię. Drugi zauważył Sassę, ale zamiast strzelać, odrzucił łuk, wyjął z pochwy krzemienny nóż i pomknął w jej stronę. Gryziwarga złapała za kolejną strzałę, nałożyła ją na cięciwę, naciągnęła i strzeliła. Spudłowała, skræling zaś biegł dalej, wydając z siebie jazgotliwy bojowy okrzyk.

Nie miała już czasu na kolejny strzał. Próbowwała zawołać Wulfa, ale nie mogła wydobyć głosu. Napastnik był już prawie przy niej. Puściła łuk i zasłoniła twarz rękami.

Świst.

Otworzyła oczy.

Mężczyzna zwolnił. Szedł chwiejnie naprzód. Sassa ujrzała, że ktoś zmiotł mu głowę z ramion. Krew tryskała z jego szyi na dobrą stopę w górę, rozsiewając wokoło czerwony deszcz. Padł na ziemię, gdy Garth przemknął obok niej i dołączył do pozostałych, trzymając topory w obu rękach. Z jednego kapała na ziemię krew.

– Formacja małego prosiaka! – rozkazał Wulf, a członkowie hirdu rozstawili się, by zrobić miejsce dla Kowadłogębego. Teraz na przedzie stało dwóch wojowników, a z tyłu troje. Skrælingowie jakby opadli z sił, zaczęli się cofać.

Hird parł naprzód.



Sassa zastrzeliła w czasie tej potyczki jednego skrælinga.
Resztę wykończył hird.



ROZDZIAŁ 15

Wrogobójca

Finnbogi zwany Zbukiem, Fisk Rybi Łeb oraz dzieci dotarli do głównej ścieżki i zobaczyli biegnącego od strony kościoła Gurda.

– Wracaj tam, Zbuki, pomóż matce z Hrolfem. Fisk, ty idziesz ze mną – rozkazał Zadrzykiecka, oddychając z mazołem i łyskając dziko niebieskimi oczami, bardziej niż zwykle widocznymi w poblądłej twarzy.

Finnbogi kiwnął głową na Ottara i Frejdis, by poszli za nim pomóc Gunnhildzie. Dlatego że chciał, a nie dlatego że Gurd mu kazał.

Dwaj wojownicy puścili się pędem w kierunku Harówki.



Gunnhilda nastawiła Hrolfowi szczękę i obwiązała ją chustą. Ranny zwęził oczy w dwie szparki i kwilił jak zmarznięty gołąb.

Ciotka Gunnhilda przygotowała dla wszystkich jedzenie, a tymczasem Finnbogi za pomocą żelaznego szpadla ze starego świata wykopał grób dla wuja Poppa, jego córek i Frooda Zawrzygęby. To była prawdziwa harówka, ale dobrze było zająć czymś myśli.

Gunnhilda kazała Ottarowi pomóc przy mogiłach, ale malec siadł tylko na ziemi i zaczął się kiwać, wodząc wzrokiem od Hrolfa do trupów Frooda, Poppa, Brenny i Alvildy. Pewnie ktoś powinien się o niego zatroszczyć, ale wszyscy byli zajęci. Frejdis siedziała z Hrolfem i opowiadała mu wszystkie sagi, jakie знаła. Finnbogi prawie kazał jej przestać – wątpił, by Hrolf był w nastroju do słuchania opowieści – ale potem uświadomił sobie, że jej cichy dziewczęcy głos przydaje jakiejś normalności temu nienormalnemu zadaniu, czyli kopaniu grobów dla dobrego człowieka (przynajmniej do momentu śmierci), jakim był jego przybrany ojciec, oraz przyszywanych sióstr.

Finnbogi unikał patrzenia na nich, gdy włókł ich ciała do wykopanych dołów i wstawiał drewniane rurki na wodę święconą. Miał robotę do wykonania. Ktoś musiał to zrobić, a on akurat był w pobliżu.

Dopiero zasypując ciała ziemią, spojrzał na twarz Poppa, Brenny i Alvildy i zorientował się, że płacze. Wtedy podszedł do niego Ottar i przytulił go z jednej strony, a potem Frejdis z drugiej. Otoczył oboje ramionami i tak stali we trójkę z ciekącymi po policzkach łzami. Może i każdemu pisana była śmierć, może to i prawda, że jak się umierało, to się umierało, ale

wciąż miał wrażenie, że ktoś wraził mu w serce rozżarzony pręt i przekręcił.

– Starczy już tego – powiedziała Gunnhilda, wychodząc z kościoła z naręczem zapasów. – Mamy dużo do zrobienia.

– Czy wyznawcy boga Chrystusa nie oplakują zmarłych? Czy nie obchodzi cię, że oni nie żyją?

Gunnhilda posłała mu spojrzenie, od którego kwaśniało mleko.

– Oni żyją. Żyją w Chrystusie. Są teraz w lepszym miejscu. Oplakiwanie ich byłoby samolubstwem i oznaką słabości. – Oczy Gunnhildy nabiegły łzami. – Umiera bydło, umierają bliscy, w końcu umieramy sami, ale nie umiera ten, kto zapracował na życie wieczne – wypluła, a potem skryła się w świątyni.

Gdy zatrzasnęła za sobą drzwi, Finnbogi usłyszał kroki na ścieżce.

– Schowajcie się – syknął do dzieci, wyjmując saks z pochwy.

Złapał rękojeść obiema rękami, prawie nie dygocząc. Ochroni rodzeństwo, ciotkę i rannego Hrolfa nawet za cenę życia, jeśli taką przyjdzie mu zapłacić. Przełknął ślinę. Słyszał tak wiele różnych wersji opowieści o tym, dokąd się trafia po śmierci: do domu Olafa Odkrywcy, do sali bogini Gefion, boga Thora lub innych bogów, a gdzieś w tym wszystkim znajdowało się niebo boga Chrystusa. Nie wiedział, które z tych miejsc pisane jest jemu, ale wołałby tam trafić jak napóźniej.

Ktokolwiek szedł drogą, robił to szybko. Finnbogi zacisnął palce na mieczu i cofnął się o krok.

Z lasu wyszła Thyri Drzewonoga z saksem, tarczą i płonącymi oczami. Była ubrana w swoją przepaskę i krótką skórznę oraz zbryzgana krwią od stóp do głów – krzepnąca skorupa posoki pokrywała nawet jej kruczoczarne włosy.

Wyglądała po prostu przepięknie.

– To ty! – wyrwało się Finnbogiemu. Odczuł radość pierwszy

raz tego dnia.

Rzucił broń na piasek i uściskał Thyri. Nie był to najbardziej udany uścisk ze względu na tarczę, która utknęła między nimi.

Dziewczyna spytała, jaka jest sytuacja, a on opowiedział jej o wszystkim, co się wydarzyło. Obejrzała owiniętego bandażami Hrolfa.

Kiedy Gunnhilda wyłoniła się z kościoła, Thyri poprosiła, by wszyscy usiedli. Miała im coś do powiedzenia.

– Calnianie zabili prawie wszystkich w wiosce i na farmie.

– Co? – Finnbogi nie mógł w to uwierzyć. – A jarl?

– Wszystkich z wyjątkiem Frossy, Chnoba, Sassy, Bodili i całego hirdu, nie licząc Frooda.

Finnbogi przyjął wieści skinieniem głowy.

– Jakim cudem przeżyliście ty i reszta oddziału? – spytała ciotka.

– Jarl wysłał nas, żebyśmy się dowiedzieli, skąd bije dym. Hird podzielił się, część poszła do gospodarstwa Sassy, część do was. Gdy byliśmy poza wioską, Calnianie przypuścili szturm na Harówkę. Ludzie walczyli dzielnie, ale zanim zdążyliśmy wrócić, wszyscy już nie żyli. Ale zginęli też prawie wszyscy skrælingowie.

Gdy mówiła, Finnbogi obłapiał ją nabożnym spojrzeniem. Była spokojna, mądra, pewna siebie i tak seksowna, że aż bolały jaja. Czy ona naprawdę jest dwa lata młodsza od niego?

– Twój ojciec?

– Martwy. – Nie drgnęła jej nawet powieka.

– Jakim cudem Frossa ocalała?

– Obronili ją mój ojciec i brat. Chcieli zachować ją przy życiu, żeby mogła opatrzeć rany ocalałym. Ojciec oddał za nią życie. Chnobowi udało się przeżyć. – Przez ułamek sekundy wydawało się, że zadrży jej warga, ale nie, jej twarz była jak wykuta

z marmuru. Finnbogi zastanawiał się, czy bardziej smuciło ją to, że jej brat przeżył, czy że ojciec umarł.

Gunnhilda nie wydawała się przekonana.

– Czy wiadomo, dlaczego Calnianie nas zaatakowali?

– Frossa rozmawiała z ich przywódcą. Calnijska cesarzowa kazała nas wyrznąć.

– Ale dlaczego?

– Bo bladzi ludzie, tacy jak my, mają podobno zniszczyć świat.

– Thyri wzruszyła ramionami. Nie była wiele bledsza od przeciętnego skrælinga, ale chyba o tym nie wiedziała.



Powrót do miasta ciągnął się w nieskończoność, bo każdy krok sprawiał Hrolfowi ból. Finnbogi nie przejmował się tym żółwym tempem, bo dźwigał wielki plecak wypchany po brzegi zapasami i wyposażeniem, który nawet jak był pusty, ważył chyba tyle co sam Finn. Gunnhilda wypełniła go suszonym mięsem, wędzonymi rybami, narzędziami, kocami i Odyn wie czym jeszcze. Na domiar złego nie mógł narzekać, bo ciotka sama niosła jeszcze większy plecak, dodatkowo obciążony trzepaczką do ubrań, którą zabrała ze sobą, na wypadek gdyby spotkali jeszcze po drodze niedobitki skrælingów. Nawet Frejdis i Ottar dźwigali mniejsze pakunki.

Ale przede wszystkim nie mógł narzekać, bo szła z nimi Thyri. Nie niosła niczego, ale prowadziła Hrolfa, co było chyba najtrudniejszym zadaniem, bo sporo ważył, a spod jego bandaży wyzierały ohydne plamy. Finn zauważył, że ręce Hrolfa mimo jego stanu pełzają po odsłoniętym brzuchu i plecach Thyri. Czy koniecznie musiał wykorzystywać okazję, żeby obmacywać dziewczynę, która pomagała mu iść? Finnbogiemu przyszło do głowy, że może sam dałby sobie rozkwasić połowę twarzy, byle

móc pomagać trochę Thyri, ale po namyśle stwierdził, że nie, jednak nie.



Finnbogi poznał zapach płonącego ludzkiego ciała podczas rytualnych ceremonii pogrzebowych, ale takiego fetoru jak ten, który poraził jego nozdrza, gdy zbliżyli się do Harówki, nie czuł jeszcze nigdy.

Swąd nasilił się, gdy weszli do zniszczonej osady, a kiedy dotarli na Rynek Olafa, którego część zastawiono stosem pogrzebowym, już nie dało się go znieść.

Gruby Wulf i reszta gromadzili zapasy.

Gdy ocalali spostrzegli Gunnhildę i dzieci, porzucili robotę i podbiegli do nich, klepali ich po plecach i uśmiechali się, niektórzy przez łyzy. Sassa Gryziwarga wyściskała Finnbogiego, a potem pomogła Thyri posadzić rannego Hrolfa w cieniu.

Finn spytał Chnoba, jak udało mu się przeżyć.

– Co ty sugerujesz, przepraszam bardzo? – ofuknął go brodacz, dźgając palcem w pierś.

– Nic nie sugeruję, tylko pytam.

– A tobie jak udało się przeżyć, he?

– Pobiegnę do kościoła, gdzie uratowałem Gunnhildę, zabijając skrælinga. Oto moja opowieść. Czas na twoją.

Chnob się zarumienił.

– Ja obroniłem Frosę przed skrælingami. Walka zepchnęła nas na przeciwny skraj sioła. Gdy wróciliśmy na rynek, wszyscy najeźdźcy już nie żyli.

Bzdura na bzdurze i bzdurą pogania, pomyślał Finn. Po pierwsze, chuderlawemu Chnobowi daleko było do obrońcy uciśnionych. Frossa pewnie lepiej by sobie poradziła bez niego. Po drugie, oboje powinni być na rynku, żeby wspierać resztę

w walce ze skrælingami. Finnbogi wiedział, że Chnob kłamie, i wiedział, że Chnob wie, że on wie. Pomimo tej swojej krzaczastej brody Chnob po prostu uciekł. Finnbogi się uśmiechnął.

Chnob odepchnął go dwiema rękami, Finn zachwiał się, a wtedy chudzielec rzucił się na niego z pięściami. Finnbogi nie miał zamiaru puścić mu tego płazem, nie Chnowi. Złożył się do skoku, lecz wtedy ktoś bardzo silny ucapił go za ubranie.

– A ty co wyprawiasz, na gnijące lędźwia Hel?

To był Garth. Olbrzym przewyższał ich obu o głowę, szyję i jeszcze trochę. Dodatkowo powiększał go hełm, a w tej kolczudze wyglądał, choć Finnbogi w życiu nie powiedziała by tego na głos, jak bohater którejś z sag.

– Zaatakował mnie, ja się tylko bro...

– Każdy z nas kogoś stracił, Finnbogi. A teraz staramy się pomóc sobie nawzajem. Jak możesz wszczynać burdy w takim momencie? Żałosny jesteś, wiesz?

– Przecież to nie ja zacząłem. Tylko on. To on...

Ale Garth już odszedł i teraz przyszła kolej Chnoba na to, by się uśmiechnąć.



Bodila Gęsiodzioba i Ogmund Ochlejmorda przybyli do Harówki bez przeszkód. Sassa Gryziwarga zaczynała się już martwić o Kifa Berserka, gdy ten nagle wpadł biegiem na rynek. Jak się okazało, pobiegł do pobliskiej skrælińskiej wioski.

– Nie tylko Harówka została dzisiaj zaatakowana – wydyszał.

– Nie żyją też wszyscy Goachikowie w wiosce, z wyjątkiem dzieci i starców, którzy skryli się w lesie. Calnianie... Wciąż sądzimy, że to sprawka Calnian, tak?

Wulf pokiwał głową.

– Musieli najpierw dopaść Goachików. I tak mieliśmy szczęście, że sporo ich zginęło po drodze. Czy wiadomo, dlaczego zaatakowali?

– Mniej więcej, dzięki Frossie. Ale ważniejsze jest to, co teraz zrobimy. I chyba mam odpowiedź na to pytanie – powiedział Wulf.

Wszyscy zgromadzili się wokół niego. Sassa promieniała dumą.

– Nie ma się w ogóle nad czym zastanawiać – stwierdził Kif i wskazał na Ottara. – Jeśli brakuje ci dowodu na to, że powinniśmy posłuchać tego małego koleżki, to właśnie tam płonie. – Pokazał kciukiem stos trupów. – Idźmy na zachód od zachodu, na Łąki. – By potwierdzić wagę swoich słów, zamachnął się Duporąbem na niewidocznego wroga i stanął, wskazując bronią kierunek zachodni.

– Na Łąki! – Ogmund podniósł włócznię i skrzywił się, gdy odezwała się rana w ramieniu. Opuścił broń i pociągnął solidny łyk z glinianego dzbana. Sassa nie miała pojęcia, co w nim było, ale znając Ogmunda, raczej nie sok z sercojagód.

– Nie! – sprzeciwiła się Frossa. – Moje dzieci, musimy zostać tutaj. – Na jej usta wypłynął życzliwy uśmiech.

Sassa dziękowała bogom, że oszczędzili Froszę. Jej obecność koła zszargane nerwy niczym łagodna pieśczoła matki. Ale dlaczego upierała się, by tu zostać?

– Czemu? – zaciekawiał się Kif.

Frossa opromieniła go łaskawym spojrzeniem.

– Mój drogi Kifie. Najpierw niech będzie mi wolno podziękować tobie i reszcie hirdu za to, żeście tak mężnie i dzielnie walczyli. Bez was nie byłoby komu toczyć tej rozmowy. Wszyscy jesteście bohaterami.

– Co prawda, to prawda. – Kif wziął się pod boki.

– Rozumiem, że perspektywa zmian wywołuje podniecenie,

ale jest wiele powodów, by tu zostać, i ani jednego, by odejść. Nasi przodkowie zbudowali Harówkę. Jeśli odejdziemy, zdradzimy ich. Hrolf jest zbyt ciężko ranny, by chodzić, a Ogmund stracił za wiele krwi, by ruszać w niebezpieczną podróż przez dzicz. Czy okażemy się w oczach bogów takimi samolubami, żeby zostawić ich na pastwę losu?

– Nie – odezwała się Bodila.

– Ale prawdziwym powodem, dla którego nie wolno nam odejść, jest to, co spotka nas na zachodzie. Rozmawiałam ze skrælingami mieszkającymi daleko stąd, aż przy Matce Wodzie. Gdy tylko opuścimy te strony, padniemy łupem niedźwiedzi, lwów, wilków, dzikich kotów, jadowitych pajaków, węży i os, które są w stanie zabić dorosłego mężczyznę. Mało tego, narazimy się na gniew natury: burze, tornada, bagna, które w sekundę pochłaniają wszystko, co się na nie zapuści, i rzeki zbyt rozległe, by dało się je przepłynąć w pław, i zbyt rwące, by dokonać tego za pomocą łodzi, a także góry zbyt wysokie, by się na nie wspiąć, o trujących roślinach, które zabijają, ledwie się człowiek o nie otrze, nie wspominając. A gdybyśmy nawet jakimś cudem przetrwali choć kilka dni, natknęlibyśmy się na inne plemiona skrælingów, o wiele mniej przyjazne niż nasi drodzy Goachikowie. A oni z dziką rozkoszą zabijaliby nas na tak wymyślne i okrutne sposoby, że wy, prości ludzie, nie możecie sobie nawet tego wyobrazić. A gdyby nawet udało nam się im wymknąć, to im dalej zajdziemy, tym większe niebezpieczeństwa będą na nas czyhać: olbrzymy, trzygłowe trolle i inne przerażające monstra z waszych najgorszych koszmarów.

Po grupie przemknął trwożliwy pomruk.

– Zostańmy! – zakrzyknęła Bodila. – Myślałam, że jak pójdziemy, to będzie lepiej, ale ja już nie chcę. Proszę, zostańmy tutaj.

– Nie możemy – włączył się Wulf. – Frossa może i ma rację, ale

jesteśmy w stanie poradzić sobie z przeciwnościami, o których mówi. Możemy walczyć z niedźwiedziami i sztyletozębnymi kotami, możemy przekraść się koło wiosek skrælingów, możemy schronić się gdzieś przed niepogodą i możemy uważać, gdzie stąpamy, żeby nie pokąsały nas węże i inne małe skurwysyńskie zwierzątka. Choć powiem wam, że spodziewam się, że jedyne potwory, jakie napotkamy, to te w naszych głowach. Ale jeśli nawet natkniemy się na te prawdziwe, to będą one stworzeniami z krwi i kości. A mamy przecież broń, która upuszcza krwi i tnie kości. I chcę powiedzieć jeszcze jedno: ważniejszymi powodami od przemawiających za tym, żeby nie iść, są te przemawiające za tym, żeby jednak się stąd wynieść. W Calnii jest o wiele więcej Calnian, niż odwiedziło nas tym razem. Wysłali armię, której zadaniem było nas wszystkich zniszczyć. Jak wam się wydaje: co zrobią, kiedy ta armia nie wróci do Calnii? „A tam, nieważne, zapomnijmy o tym i skupmy się na nadchodzącym festiwalu słońca”? O nie. Wyślą kolejną, żeby nas dorżnęła. Może nawet napuszczą na nas owslanki. Widzicie więc: jeśli chcemy żyć, musimy się stąd wynosić.

Sassa zadrżała. Wszyscy słyszeli o calnijskim oddziale specjalnym – dziesięciu magicznych demonicach, z których każda dałaby radę całej armii.

– Dokładnie to chciałem powiedzieć, ale dobrze, że Wulf to zrobił, bo ja tak ładnie nie umiem – rozpromienił się Kif. – Jak odejdziemy, przeżyjemy. Jak zostaniemy, zabiją nas owslanki. No, to kto chce ruszać teraz, zaraz? – I podniósł rękę, a wraz z nim Wulf i jeszcze kilka osób.

Sassa podniosła własną z lekkim ociąganiem, a potem utkwiała wzrok w Finnbogim, który przypatrywał się bacznie Thyri. Gdy dziewczyna niepewnie uniosła swoją, jego ręka też wystrzeliła w górę. To, choć była zdjeta strachem, wywołało uśmiech na jej

twarży. Cieszyła się, że Finnowi podoba się Thyri – również dlatego, że to oznaczało, że przestanie lepić się do niej.

– Nie musimy ryzykować podróży na zachód – ponownie zabrała głos Frossa. – Czemuż nie mielibyśmy po prostu przenieść się kilkadziesiąt mil na północ, wzdłuż wybrzeża Słodkiego Morza? Nigdy nie znajdą nas...

Ze stosu płonących trupów dał się słyszeć trzask i spadło z niego zwęglone ramię. Gdy Kif podszedł, by za pomocą Duporąba wrzucić je z powrotem do ognia, wszyscy zaczęli mówić naraz.

– Chciałabym coś powiedzieć – rzekła Sassa, podnosząc rękę. Ale nikt jej nie słuchał, wszyscy mówili jeden przez drugiego.

Chnób skandował:

– Zo-sta-jemy! Zo-sta-jemy!

– Zamknąć się! – wrzasnęła.

Wszyscy zwrócili się w jej stronę ze zdumieniem wymalowanym na twarzach. Kif znieruchomiał i uniósł brwi. Wulf złapał jej ramię, jakby była chora. Poczuela, że pąs barwi jej policzki. Nigdy wcześniej nie słyszeli, by podniosła głos.

– Przepraszam, ale mam coś ważnego do powiedzenia. Olaf Odkrywca i nasi przodkowie opuścili stary świat, bo nie zgadzali się z tym, jak władali nim jarlowie i królowie. Rzucili wyzwanie morzu o wiele większemu od naszego, zapuścili się głęboko w nieznane rejony i stawili czoła rozlicznym niebezpieczeństwom. Dlaczego? Bo Olaf przewidział, że znajdą schronienie tutaj, w Harówce. Czy nie widzicie, że jesteśmy dokładnie w takiej samej sytuacji? Większe plemię na rozkaz swojego jarla wybiło nas prawie do nogi. Mamy tylko dwie możliwości. Możemy iść do Calnii, żeby zemścić się za naszych bliskich, lub podążyć na zachód i zbudować nową osadę. Ottar przewidział masakrę. Okazuje się, że od początku miał rację. A teraz mówi, że musimy iść na zachód i znaleźć Łąki. Musimy

mu zaufać. Sądzę, że musimy mu zaufać, tak jak nasi przodkowie zaufali Olafowi. Nie możemy iść do Calnii i walczyć z cesarzową. Musimy przetrwać, jesteśmy to winni naszym przodkom i sobie samym, ale przede wszystkim jesteśmy to winni naszym dzieciom i dzieciom ich dzieci, które nigdy nie przyjdą na ten świat, jeżeli wszyscy zginiemy. Musimy przetrwać. Musimy iść na zachód.



Przemowa Sassy przeważała szalę. Bo i cóż to była za przemowa! Finnbogi szanował żonę Wulfa już wcześniej, ale teraz myślał, że jest po prostu wspaniała. To ona była wiedzącą, za którą podawała się Frossa.

Po argumentach Sassy wszyscy poza Frossą stwierdzili, że chcą opuścić Harówkę. Nawet Hrolf. Z kolei Frossa, widząc, że wszyscy są przeciwko niej, zgodziła się im towarzyszyć. Szkoda, pomyślał Finn, który chętnie zostawiłby w osadzie zarówno Hrolfa, jak i Frossę, bo będą ich tylko spowalniać. A jednak rozumiał ich, bo gdyby był w ich butach, też wolałby iść w niepewnym kierunku, niż zostać sam na sam z jednym albo z drugim. Pomijając Gartha i Chnoba, Frossa i Hrolf byli jego najmniej ulubionymi mieszkańcami Harówki. Co za pech, że cała czwórka przeżyła atak skrælingów.

– Dobrze – powiedziała Gunnhilda. – A teraz bierzmy się do planowania drogi i zbierania zapasów. Pamiętajcie: w pierwszej kolejności należy zabrać na wyprawę zdrowy rozsądek, w dzikich ostępach bowiem jest większym bogactwem niżli góry złota.

Wszyscy pokiwali głowami i tylko jeden Finnbogi jęknął boleśnie.



Przez cały dzień zbierali zapasy. Finnbogi myślał, że zajmie im to godzinę, Wulf uświadomił mu, że jeden dzień, a w rezultacie zabrało o wiele więcej. Musiał jednak przyznać, że czuł podniecenie w związku ze zbliżającą się podróżą, nawet jeśli obok jego ulubionych ludzi szli też ci mniej ulubieni. A więc klamka zapadła i ruszali w szeroki świat! Długo czekał na ten dzień i nie mógł się już doczekać, nawet jeśli musieli nieść wszystko na plecach, a plecak Finnbogiego był cholernie ciężki. Nic to, jakoś sobie poradzi, pewnie i tak nie będą szli zbyt szybko, żeby Frossa nie zeszła na zawał i żeby pokiereszowanemu Hrolfowi nie odpadła żuchwa.

Tego okropnego dnia wydarzyły się dwie dobre rzeczy.

Pierwszą było wręczenie Finnbogiemu przez Wulfa miecza Brodira – Wrogobójcy – razem z nabijanym srebrnymi ćwiekami, rzeźbionym pasem i pochwą. Był to miecz, który wisiał u boku Olafa Odkrywcy przez całą drogę ze starego świata, a który wykradł z jego grobowca jarl. Finnbogi dobył go. Wypolerowany żelazny rdzeń ostrza był jak rybia skóra, wzdłuż jego klingi wiły się ciemne, nieregularne wzory. Brzeszczot był ostry, jakby ktoś przed chwilą zdjął go z oselki. Błyszcząca stal wyglądała, jakby mogła wejść w dowolny pancerz jak w masło. Głowica była ozdobiona drogimi kamieniami, a sama rękojeść wyrzeźbiona z kła wielkiej morskiej bestii zwanej morsem, która potrafiła połknąć dorosłego chłopca. Im bardziej pocierała się ręka, tym mocniej miecz w niej siedział. To była bez wątpienia najlepsza broń w Harówce, kto wie czy nie najlepsza w promieniu tysiący mil.

– To ty powinieneś dzierżyć Wrogobójcę – orzekł Wulf.

– Jak to? – Finnbogi strasznie chciał go mieć, ale czuł, że nie ma najmniejszego prawa rościć sobie pretensji nawet do samej pochwy, a co dopiero reszty miecza.

– Bjarni ma swój własny oręż, ja mam swój młot, Thyri ma saks, topory i sztylet. Hird jest więc wyposażony w całą broń, jakiej potrzebuje, jaką zna i z jaką trenuje od lat, a broni, która jest niemal zrosnięta z dłonią wojownika, nie da się zastąpić. A poza tym sądzę, że pomijając hird i Sassę z jej łukiem, to ty będziesz najbardziej przydatny w walce.

– A nie Chnob?

– Nie, nie Chnob.

Finnbogi rozpromienił się. Wulf uniósł brew.

– Tylko nie zadzieraj nosa, Zbuki.

Finn przerzucił pas przez ramię, a Wulf zapiął go tak, by rękojeść była na podorędziu.

– Nauczysz mnie, jak nim walczyć? – spytał, gdy Wulf pokazał mu, jak dobyć broni, nie ucinając sobie ręki.

– Nie jestem specem od miecza. Wolę swój młot. – Pokazał mu swoją przysadzistą broń, którą słusznie nazywano Gromem. Była to bryła żelaza w kształcie chodaka w dużym rozmiarze, wprawiona w utwardzony w ogniu i długi na krok kawałek dębu, przewiązana skórzanymi, zawiązanymi na krzyż rzemieniami. Z obydwu stron dębowa laga zakończona była szpikulcami. Młot wyglądał, jakby byle dzieciak był w stanie sklecić go w godzinę, ale sagi mówiły, że ma setki lat i jest wzmocniony pradawną magią oraz że widział tysiąc bitew. – Wiem tylko tyle: bij wroga szybko i mocno, żeby wróg nie mógł uderzyć ciebie. Miecze są trochę bardziej wyrafinowane od młotów. Niech Bjarni cię naucz.

– Czemu nie... – zgodził się Finnbogi, choć wcale nie chciał prosić Bjarniego o lekcje, bo choć go lubił, uważał, że trafił do hirdu tylko dlatego, że był synem jarla, nie zaś ze względu na

umiejętności bojowe. Nie, obiektywnie do tematu podchodząc, najlepiej, żeby uczyła go Thyri. Świetnie radziła sobie z saksem, a saks to przecież nic innego jak mały miecz, prawda?

Druga dobra rzecz była jeszcze lepsza od pierwszej, a dotyczyła mianowicie podziału dwuosobowych śpiworów. Zajęła się nim Frossa, więc nie sądził, by miał jakieś szanse na wylądowanie z Thyri. Był całkiem pewien, że stara raszpla nie wiedziała o uczuciu, jakie żywił do pięknej wojowniczkii, i że jest na tyle wredna, by przydzielić mu najmniej lubianą przez niego osobę – Gartha. Finn chciał spać z Garthem jeszcze mniej niż z Chnobem, ponieważ Kowadłogęby był wielki jak dąb.

Tymczasem nieoczekiwanie Frossa sparowała ludzi pod kątem rozmiarów, więc skoro Wulf i Sassa oczywiście zajęli jeden śpiwór, szczęśliwym zrządzeniem losu – a kto wie czy nie życzliwych Finnbogiemu bogów – Finn wylądował z Thyri Drzewonogą.

Wojowniczka wzruszyła tylko ramionami, jakby nic jej to nie obchodziło, ale Finnbogi walczył jak mógł, by nie zdradzić się z reakcją. Tego dnia zginęło tak wielu ludzi, że nawet w obliczu tak wielkiego szczęścia nie godziło się, by podskakiwał z radości, uśmiechnięty jak kretyn, z namiotem w portkach.



Pomimo sugestii Finnbogiego, by wypróbować śpiwory już w noc przed opuszczeniem osady, wszyscy spali tej nocy w łózkach w długim domu, a właściwie na pryczach wprawionych w ściany budynku jeszcze w czasach, gdy hird Olafa spał wraz z nim. Gdy zapadła cisza, rozległ się głos Gunnhildy:

– Pamiętajcie: jeno głupiec spędza sen z własnych powiek próżnymi zmartwieniami, gdyż obudzi się zmęczony, a jego

lamenty nic nie zmieniają!

Finnbogi nie mógł zasnąć. Jego fantazje o Thyri przekształciły się we wspomnienia o tych, którzy umarli, zwłaszcza o Poppie, Alvildzie i Brennie. Umierasz, kiedy umierasz. Harowianie nie oplakują zmarłych.

Lecz Finnbogi nic nie mógł na to poradzić, że szlochał cicho, aż wreszcie zabrał go litościwy sen.



ROZDZIAŁ 16

Krokodyle plemię

Niemal wszyscy przeznaczeni na ofiarę jeńcy, których doprowadzono pod broń na plac Innowaka, wiedzieli o calnijskich owslankach i nie bez racji się ich obawiali. Od czasu do czasu jednak wojowniczkę toczyły boje z członkami plemion z prowincji, gdzie ich sława nie sięgała.

Sofi Tornado bardzo to lubiła.

Dzisiaj dostało jej się dwudziestu wojowników, samych mężczyzn, z plemienia prowadzącego samotny żywot na południowo-wschodnich bagnach. Zwali się Krokodylami. Głupcy przyleźli na północ w poszukiwaniu złota i chwały. Rozbili obóz

na noc, nie rozstawiwszy wart, i nad ranem zostali pojmani przez calnijskich chłopów. Coś im nie wyszło z tą chwałą.

Dwudziestu Krokodyli z początku wyglądało na zdenerwowanych, może przez wiwatujące tłumy, może przez wielki słoneczny kryształ lub przez otaczające plac wysokie piramidy o złotych wierzchołkach. Jednakże w momencie, gdy zobaczyli, że ich jedynymi przeciwnikami są kobiety i że mają przewagę liczebną, zaczęli wiwatować, wznosić okrzyki i klepać się po plecach.

Sofi uśmiechnęła się pod nosem.

Krokodyle ustawili się w rzędzie naprzeciwko owslanek. Niektórzy uśmiechali się oblesnie, inni prezentowali wojownicze pozy, kolejni wymachiwali groźnie toporami i nożami. To była standardowa formacja bitewna. Walki w trybie każdy na każdego się zdarzały, zwłaszcza podczas najazdów, ale powszechnie akceptowaną formą potyczki w cywilizowanym calnijskim świecie była walka jeden na jednego, gdzie każdy czekał na swoją kolej. Pozwalało to ograniczyć liczbę ofiar i każdy mógł pokazać, co umie.

Jeden z mężczyzn wskazał palcem Chogolisę Zadrzyziemię.

– Patrzta, chłopcy! – zawołał. – Mają nie tylko same baby, tam stoi bizon! A jaki brzydki! I bronie nie nosi. To co nam zrobi? Zmiażdży nas dupskiem? Ha! Ha!

Krokodyle roześmiali się w głos. Ten, który obraził Chogolisę, wyszedł naprzód.

– Jak ci na imię? – spytała go Sofi.

– Moje imię nie ma znaczenia, ale możesz mnie zwać Pięścią Jaguara – powiedział we wspólnej mowie, mocno okaleczonej ostrym akcentem, a Sofi mogłaby przysiąc, że specjalnie obniżył chrypliwy głos, by wydać się bardziej męskim. – Jestem dowódcą krokodylej armii, nigdy niepokonanym w bitwie. – Był obficie umięśniony, miał ogoloną głowę, a na jego twarzy malował się

uśmieszek pyszałka, który nigdy nie przegrał walki. – Szkoda zabijać takie ślicznotki jak wy. Istnieją inne zapasy, które sprawiłyby nam wszystkim o wiele większą przyjemność. Co wy na to? Ha! Ha!

– Jaguary nie mają pięści.

– Ha! – parsknęła zza jej pleców śmiechem Paloma Widłoróg.

– Że jak...? – Niskie czoło mężczyzny zmarszczyło się nad parą drobnych oczek.

– Mówię przecież. Jaguar nie może zacisnąć łapy w pięść. Więc Pięść Jaguara to głupie imię, bo jaguary nie mają pięści. To jakby mieć na imię Macka Królika albo Szpon Robaka.

– A ty jak się nazywasz?

– Sofi Tornado.

– To niezłe imię – powiedział po namyśle.

– Nie ja się tak nazwałam, więc to nie moja zasługa, ale tak, myślę, że niezłe.

– Może ci je odbiorę, jak już cię zabiję.

– Jeśli ci się uda, jest twoje. Ale najpierw wybierz, z którą z moich owslanek chcesz walczyć.

– Znaczy ciebie też mogę wybrać?

– Kogo chcesz.

Usłyszała zmianę w jego oddechu, chrzęst piasku pod stopami i ocieranie się skóry o skórę. Cofnęła się o krok, wyjmując z pochwy obsydianowy sztylet. Kamienny topór Pięści Jaguara przeciął powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jej głowa.

Uchyliwszy się przed drugim ciosem, przesunęła potwornie ostrą klingą po jego piersi, a potem odwinęła się i zatopiła sztylet w jego plecach.

Pięść Jaguara odskoczył.

– Ja... – Wessał przez zęby powietrze, a potem spojrzał, zmieszany, na rozkwitającą na jego piersi ranę.

– Przedziurawiłam ci płuca. Właśnie przegrałeś swoją pierwszą walkę.

Zamrugnął oczami, nie rozumiejąc.

– Ale nie martw się, żadnej już więcej nie przegrasz.

Uniósł topór, jednak zabrakło mu sił i zaraz go opuścił. Coraz trudniej mu było oddychać, wsysał z wizgiem powietrze, pracując obficie ramionami, i nie wyglądał już na tak pewnego siebie jak przed chwilą.

Sofi obdarzyła go smutnym uśmiechem, a potem potoczyła wzrokiem po szeregu jego współplemieńców. Chwalipięctwo zostało zastąpione przez niedowierzanie, buńczuczne spojrzenia – przez wytrzeszcz oczu.

– Chogolisa?

Olbrzymka w podskokach była przy niej.

– Na rozkaz.

– Wykończ go.

Pięść Jaguara znowu uniósł topór, ale Chogolisa Zadrzyziemia ucapiała go za nadgarstek, dwoma palcami wyjęła mu broń z dłoni i odrzuciła ją na piasek. Obróciła go jednym ruchem, by stanął twarzą do swoich ludzi, potem kucnęła i wcisnęła jedną rękę między jego nogi, a drugą między ramię a szyję. Splotła palce obu rąk i podniosła szarpiącego się niemrawo mężczyznę, po czym obróciła się w biodrach, chcąc się upewnić, że wszyscy Krokodyle dobrze widzą swojego bezradnego wodza. A potem ścisnęła.

Pięść Jaguara zawył, gdy jego kręgosłup, miednica i nogi trzasnęły jak wykałaczki, a odłamki kości wbiły mu się we flaki. Ryk stłumiła dopiero lejąca się z ust krew. Chogolisa nie przestawała go miażdżyć, aż w końcu jego zgruchotana klatka piersiowa zapadła się do środka z wilgotnym mlaśnięciem. Z jego gardła wydobył się ostatni smutny jęk.

Zadrzyziemia rozwarła mocarne ramiona i rzuciła go na

piach. Pięść Jaguara piasnął o ziemię jak mokra szmata. Jeszcze przed chwilą był dumnym, świetnie zbudowanym mężczyzną o kwadratowej szczęce, a teraz dziurawym workiem flaków z rękami i głową.

Calnianie zebrani na obrzeżach placu krzyczeli ile sił w płucach. Pozostali Krokodyle nie mogli oderwać zdumionych spojrzeń od zmiażdżonego wodza.

Chogolisa wróciła na swoje miejsce w szeregu, strącając z ramienia strzępki wnętrzości i krew.

– No i pięknie – orzekła Sofi Tornado, wodząc wzrokiem po szeregu plemieńców. – To który następny?



Krokodyle nie zostali zjedzeni, ponieważ nie popełnili przestępstwa przeciwko Calnii, a więc nie było powodu pozbawiać ich drugiego życia. Po zakończeniu masakry do owslanek zbliżył się chłopiec, przesadził zwinnie kilka trupów i powiedział Sofi, że cesarzowa chce ją widzieć.

– Hej, Sofi! – zawołała Malilla Puma, opierając się zawadiacko o oblepiony krwią kostur. Mówiła dość głośno, by słyszały ją pozostałe wojowniczkę. – Nie przydzielono jeszcze nikomu piramidy Hatha. Powiedz Ayannie, że my ją weźmiemy!

– Dobry plan – pochwaliła Caliska Kojot, kobieta, która nigdy nie splamiła swoich ust uśmiechem. – Nasze kwatery są ciasne. Zasługujemy na piramidę szambelana.

– Rozważę to.

– Tak zrób – powiedziała Jutrzenka. – Nasze baraki są po prostu ohydne. – Zmarszczyła noseć, jakby zwietrzyła brzydki zapach. – Nie wytrzymam tam ani chwili dłużej. Gdy bylam mała, spałam w łóżku. W prawdziwym łóżku. Chyba zasługujemy na łóżka, co?

Sofi poszła w swoją stronę, nie chcąc nawet myśleć, o co im chodzi. Każda z trzech kobiet wiedziała doskonale, że nikt nie rozkazuje cesarzowej Calnii, jeśli mu życie miłe. A poza tym baraki idealnie pasowały do prowadzonego przez nie wojskowego trybu życia. Piramida szambelana Hatha znajdowała się w bogatej dzielnicy nieopodal Góry Słońca i dwa kroki od placu Innowaka, ale to nie był dom dla owslanek. Zresztą od kiedy owslanki przejmowały się statusem społecznym? Od kiedy marzyły im się domy, niewolnicy i zaszczyty? Ich status był już tak wysoki, jak to tylko możliwe. Owslanki cieszyły się zasłużoną sławą, poważaniem i budziły przestrach. Mało? Jutrzenka była córką poprzedniego cesarza, Zaltana. Choć nienawidziła ojca – do tego stopnia, że zmieniła imię, które jej nadał – na pewno brakowało jej dostatniego życia. Sofi to jeszcze mogła zrozumieć, ale pretensji pozostałych dziewczyn nie rozumiała w ogóle.

Ale nie trzeba było długo główkować, by domyślić się, co w trawie piszczy. Malilla Puma powierzyła jej niewykonalne zadanie, chcąc w ten sposób podkopać jej pozycję wśród pozostałych wojowniczek. Najwyraźniej popierały ją w tym Jutrzenka i Caliska Kojot. Może to nic takiego, ale na wszelki wypadek lepiej mieć te trzy na oku.



Dowódczyni owslanek przestała myśleć o kielkującym w jej szeregach buncie, gdy zaczęła wspinać się po wysokich stopniach Góry Słońca. Rozbłysło jej w głowie wspomnienie z dzieciństwa, gdy tak jak teraz wdrapywała się na wielką piramidę zbudowaną z kamienia, a nie usypaną z ziemi. Nie pamiętała teraz, czy te piramidy z dzieciństwa rzeczywiście były wyższe. Miała pięć czy sześć lat, gdy zawieziono ją na północ, do Calnii, w darze

cesarzowi Zaltanowi, i nie pamiętała zbyt wiele ze swojego poprzedniego życia. Za to wyraźnie wyryli się w jej pamięci mężczyźni o obszernych kapeluszach, ludzie skaczący z wież, piękna kobieta, która musiała być jej matką, i jaguary. Najlepiej pamiętała właśnie drapieżne koty: piękne, groźne i silne zwierzęta wylegające się na schodach cesarskiej piramidy, warczące, ryczące i szarpiące się w łańcuchach, przebierające niecierpliwie wielkimi łapami.

Doszedłszy na sam szczyt, ruszyła tam, gdzie błyszcząły w słońcu złote dachy. Minęła strażników, cesarski szałas potów i inne zdobne budynki. Obok basenu cesarzowej siedziały dwie wątłe dziewczynki, które ze względu na delikatną skórę przydzielono do pilnowania temperatury wody. Gdyby Ayanna orzekła, że jest zbyt gorąca lub zimna, dziewczynki mogłyby zostać wychłostane lub nawet zabite, w zależności od humoru władczyni. Każdy obywatel Calnii miał swoje miejsce w wielkiej maszynie imperium. Dwie dziewczynki przyczepiły się do niej wzrokiem, gdy przechodziła obok. Treningi owslanek może i były ciężkie, ale nie tak ciężkie jak los tych nieszczęśników.



Łabędzia Cesarzowa Ayanna czekała na nią z Yokim Choppą. Wyglądała na bardzo brzemienną i bardzo nieszczęśliwą. Arcyczarnoksiężnik Yoki, jeden z alchemików, który obdarzył owslanki magiczną mocą, nie podniósł głowy znad swojej miski, w której wytrwale rozdrabniał jakieś rośliny.

– Kimaman został zabity dziś rano – poinformowała ją Ayanna tak bliska łez, jak to tylko możliwe w przypadku Łabędziej Cesarzowej.

– Czy jesteś pewna, pani? – Sofi powiodła wzrokiem do Yokiego, który skinął głową z oczami wciąż utkwionymi w misce.

Gdy Kimaman ruszał na północ, czarownik wziął od niego kosmyk włosów. Rozrobiwszy go Innowak wie z czym, Yoki Choppa dowiedział się, gdzie ten się znajduje i czy żyje. – Czy zabili go Goachikowie?

– To wydarzyło się na ziemiach grzyboludów.

– Tych dziwnych obcych?

– Dokładnie.

Cesarzowa opowiedziała jej o swoich snach, w których bladzi najeźdźcy niszczyli świat. Sofi słyszała o grzyboludach i wiedziała, że byli bezużytecznymi dziwakami. Więc trochę zaskoczyła ją wieść, że zabili Kimamana.

– Weźmiesz swój oddział i wybijesz ich wszystkich do nogi. – Wargi Ayanny były cienkie i blade. – Nie wracaj do Calnii, dopóki nie zabijesz wszystkich jak psów. Masz też zabić wszystkich tych, którzy mogli udzielić im pomocy.

– Tak jest, cesarzowo. Ale... Kimaman zginął, lecz to nie znaczy, że jego armia nie wykonała zadania.

– Znaczy – zaprzeczył Yoki. – Wziąłem kosmyki włosów od dwudziestu innych wojowników. Wiem na pewno, że wszyscy nie żyją. Możliwe, że cała armia została unicestwiona. Większość ludzi zginęła nocą na terytorium Goachików, reszta rano w wiosce grzyboludów. Nie doceniłem obydwu plemion. – Yoki Choppa przyznał się do błędu warte go życie czterystu calnijskich wojowników z wyrazem twarzy człowieka, który puścił bąka w towarzystwie.

– Tak więc zabierzesz tam owslanki i wyrznisz w pień wszystkie blade twarze – powtórzyła z naciskiem cesarzowa.

– Mogą być jakieś niedobitki.

– Ich też wytropisz i zabijesz bez litości. Wszystkich.

– Zrobimy, co w naszej mocy, cesarzowo. Ale istnieje możliwość, że nie uda nam się wszystkich wytropić, jeśli padało albo...

– Yoki Choppa pojedzie z wami.

Sofi uniosła brew. To z pewnością była kara, jaką władczyni wymierzyła czarnoksiężnikowi za błędne oszacowanie sił Goachików i grzyboludów.

– Z całym szacunkiem, ale czarownik tylko nas spowolni.

– A gdzie tam – mruknął Choppa.

– Ruszajcie natychmiast. – Cesarzowa wskazała na północ. – Nie wracajcie, dopóki nie będziecie pewni, że wszyscy nie żyją. I zburzcie ich miasta. Gdy skończycie, ma nie być po nich ani śladu. Tak jakby grzyboludy nigdy nie istniały.

Część druga

Na zachód!





ROZDZIAŁ 1

Niedźwiadek i debil

Harówkę opuściło siedemnaścioro ocalałych. Gruby Wulf i Garth Kowadłogęby szli na przedzie, dalej mała Frejdis Złośliwa i Ottar Niemowa. Reszta rozciągnęła się za nimi w długim ogonie. Różni ludzie różnie znosili rozbrat z rodzinną osadą. Niektórym nie mieściło się w głowach, że naprawdę opuszczają miejsce, w którym mieszkali całe życie, i zapuszczają się w dzikie ostępy, bo tak im powiedział niedorozwinięty ośmiolatek ustami swojej sześcioletniej siostry. Większość uważała, że postępuje rozsądnie – chłopiec przewidział przecież

masakrę – a jednak miała poczucie winy i czuła się z decyzją o opuszczeniu domu cokolwiek nieswojo. Ale nikt nie miał lepszego pomysłu.



Sassa Gryziwarga cofnęła się na tyły pochodu wraz z Bodilą Gęsiodziobą. Jeszcze zanim opuścili osadę, przestała słuchać jej gładzenia, wiedząc, że przyjaciółka nie zauważy, a nawet jeśli zauważy, to raczej się tym nie przejmie.

Sassa próbowała skupić się na przyszłości, zamiast rozwodzić nad okropieństwami wczorajszego dnia, ale okazało się to trudniejsze, niż sądziła. Nie miała bladego pojęcia, co przyniesie następna godzina, a co dopiero nadchodzące dni, tygodnie i lata, nie miała też żadnego doświadczenia, jeśli chodziło o życie w zewnętrznym świecie, skoro nigdy nie wyściubiła nosa poza Harówkę. Cały czas miała przed oczami swoją martwą rodzinę i czuła, jak pod powiekami zbierają jej się łzy.

Gdy znalazła się na łysym wzgórzu, odwróciła się, by po raz ostatni pożegnać się z domem.

– Co jest? – spytała Bodila, przerywając paplaninę.

– Postoję tu sobie chwilę, ty idź dalej.

Bodila otworzyła usta, by zaprotestować, ale zmieniła zdanie.

– Finn, poczekaj! – zawołała i podbiegła do Finnbogiego.

Osadę Harówkę i jezioro zwane Słodkim Morzem Olafa zasłaniała platanina drzew, Sassa musiała więc zadowolić się pożegnaniem z kołującymi nad jej głową mewami i wycinkiem nieba, pod którym spędziła pierwsze dwadzieścia dwa lata swojego życia. Ponad horyzontem rosły chmury, przybierając formę pięciu wielkich filarów, budzących skojarzenie z palcami sięgającymi w bezmiar nieba. Czy ta wielka dłoń próbowała ją schwycić, czy może machała jej na pożegnanie?

Czy kiedyś tu wróci? Nie uszli na razie nawet mili. Jak długa droga jeszcze przed nimi? I czym, na litość Frei, są te Łąki, których szukali? Czy kiedykolwiek je odnajdą? Czy też, jak wróżyła Frossa, pożrą ich dzikie zwierzęta lub zabiją równie dzicy skrælingowie?

Pożegnała się w myślach z matką, ojcem i bratem. Zastanawiała się, który bóg przyjął ich do siebie. Miała nadzieję, że są razem i ona dołączy do nich, gdy nadejdzie jej czas – czyli już niedługo, jeśli wierzyć Frossie. Oby znaleźli się wszyscy w domu Thora. Właściwie powinna chyba chcieć trafić do bogini Frei, bo modliła się do niej o dziecko, ale Thor wydawał się zabawniejszy, a poza tym mało który mężczyzna zasługiwał na miejsce przy stole boga piorunów bardziej od jej męża Wulfa, a ona chciała być u jego boku.

Łzy spłynęły jej po policzkach, ale nie przez myśli, jakie snuła o swojej zabitej rodzinie, tylko przez te o jej nienarodzonych dzieciach, które w tej sytuacji z pewnością nigdy się już nie narodzą. Starali się z mężem o potomka przez pięć lat, a teraz z pewnością sama umrze gdzieś na jakimś pustkowiu, zagryziona przez niedźwiedzia lub zadźgana przez cholernego skrælinga, zanim uda jej się sprowadzić na ten okrutny świat nowe życie.

Frossa Wiedząca wychynęła zza drzew wraz z Hrolfem Faleniem. Sassa szybko otarła łzy. Ranny hirdman podpierał się włócznią. Idąca za nimi straż tylna złożona była z Kifa i Ogmunda. Ochlejmorda miał się już chyba lepiej. Co prawda szedł zygzakiem, ale miało to więcej wspólnego z pochłoniętym na śniadanie miodem niż raną w ramieniu.

Dobrze, że Frossa dotrzymywała towarzystwa biednemu Hrolfowi, choć zdaniem Sassy nie robiła tego z troski o wojownika, ale ze zmęczenia, bo pewnie ta spasiona baba w życiu tyle nie chodziła.

Hrolf wyglądał strasznie. Dolna połowa jego twarzy i szyja

były owinięte bandażem, a górna – blada jak u trupa. Gdy jednak zbliżył się do niej, rany nie powstrzymały go przed zapuszczeniem żurawia w jej dekolt, co robił zawsze. Wzdrygnęła się i zgarbiła, chcąc schować biust przed jego obleśnym wzrokiem.

Mężczyźni patrzyli na nią przez cały czas, odkąd tylko pamiętała. Zwykle nie zwracała na to uwagi, a nawet jeśli zwracała, specjalnie jej to nie przeszkadzało. Większość przemykała tylko spojrzeniem po jej ciele, a potem wstydliwie odwracała wzrok, jakby było to coś, co po prostu trzeba zrobić. Może od czasu do czasu rzucali później na nią okiem, ale przynajmniej starali się robić to dyskretnie. Obłapianie wzrokiem nie sprawiało jej przyjemności, ale jeśli to cena za bycie atrakcyjną kobietą, zapłaci ją i już.

Rzecz w tym, że Hrolf i kilku innych mężczyzn – a wśród nich jarl Brodir – domagali się zbyt wysokiej ceny. Gapili się na nią bez skrępowania, jakby mieli do tego święte prawo, jakby jej ciało było rzeźbą lub drzewem w pełnym rozkwicie. Rozbierali ją wzrokiem, gdy tylko przyszła im na to ochota, śliniąc się i wytrzeszczając gały, jakby nigdy w życiu nie widzieli kobiety, a to już było zboczone, obleśne i odrażające. Choć ta myśl budziła w niej poczucie winy, to gdyby miała wybrać, komu skræling ma odrąbać toporem pół twarzy, wybrałyby właśnie Hrolfa Falenia. I nie współczuła też Brodirowi, choć wnioskowała z wklęsniętej czaszki jarla, że jego śmierć nie należała do lekkich. Dobrze im tak.

Frossa tworzyła interesujący kontrast z bladym zbereźnikiem Hrolfem. Była tak czerwona z wysiłku, że aż prawie fioletowa. Sassie wydało się, że świeże powietrze złagodziło wprawdzie trupi fetor czarownicy, ale jego miejsce zajęła intensywna woń potu.

Pomimo roztaczanego przez Frossę zapachu, gapienia się

Hrolfa i irytująco powolnego tempa Sassa została z nimi. Chciała pomóc wojownikowi. Czuła, że dobrze zrobi, nawet jeśli facet napawał ją wstrętem. Ale przede wszystkim chciała mieć chwilę dla siebie. Frossa była zbyt zdyszana, by mówić, Hrolf miał zabandażowane usta, a Kif i Ogmund byli zbyt pochłonięci szukaniem kryjących się w zaroślach wrogów, by rozmawiać. Szli więc w ciszy.

Dobrze było choć na chwilę odpocząć od gędzenia Bodili. Skoro działała jej na nerwy już po ćwierci mili, to co będzie potem? Daleko było do tych Łąk? Pięćdziesiąt mil? Sześćdziesiąt? Kochała Bodilę jak siostrę, ale ta mogłaby się od czasu do czasu zamknąć.

Wędrowali cały ranek ścieżką prowadzącą na zachodni skraj wyznaczonych im przez skrælingów ziem. Mijali lasy i rozległe polany, obchodzili jeziora i pokonywali przerzucone nad rzekami mosty z bali.

Zatrzymywali się często, gdy tylko Frossa orzekła, że Hrolf musi odpocząć, to jest za każdym razem, gdy wspięli się na jakiś łagodny pagórek. Kif naśladował wówczas głos lisa, dając w ten sposób znać Wulfowi na czele pochodu, który robił to samo na znak, że przyjął wiadomość.

Minęła godzina, a oni wciąż nie opuścili terytorium należącego do Harówki, choć i tak oddalili się od osady dalej niż Sassa w ciągu ostatnich kilku lat. Okolica już wydała jej się dziksza. Przeszli obok grupy drzew przewyższających ją dwadzieścia lub nawet trzydzieści razy. Smukłe czaple o owadzich nogach wzbijały się do lotu z wody, śpiew ptaków był niemal zbyt głośny, a nad głową gęgały gęsi, lecąc Freja wie gdzie. Na jednej polanie dostrzegli trzy wilki, które zobaczywszy ludzi, uciekły w las. Niewidoczne w gęstwinie jelenie i sarny ukazywały się między rzadziej rosnącymi drzewami. Zwierzęta na ich widok odrywały pyski od ziemi i strzygąc uszami,

mierzyły ich baczным wzrokiem i namyślały się, czy uciekać, czy nie.

– Mam ustrzelić jelenia na kolację? – zaoferował się Kif.

– Jasne, ale ty będziesz go później włókł całą drogę – odparł Wulf. – Możesz też poczekać, aż rozbijemy obóz, i wtedy ustrzelić jakiegoś jelenia z całej masy, która będzie tam sobie hasać.

Po którymś z kolei postoju na tyły pochodu trafił Chnob Biały. Poza plecakami dźwigał też korową łódkę Kifa.

– Tam z przodu mówią, że Calnianie mogą nas wytropić za pomocą alchemii. Czy to prawda, Frosso?

– Nie będą potrzebowali alchemii. – Kif wskazał na ich ślady na leśnej ścieżce.

– Jeśli zacznie lać – beknął Ogmund – to chuja znajdą.

– Skrælińscy czarnoksiężnicy wierzą, że... mogą śledzić człowieka na odległość... jeśli tylko mieszają tajemne zioła i inne składniki... z jakąś częścią tej osoby... – dyszała Frossa. – Najczęściej korzysta się z włosów... gdyż łatwiej je pozyskać... niż inne części ciała.

– Sądysz, że to prawda?

– Nie, nie sądzę... – Frossa pokręciła głową. – Ja nie mogę tego zrobić... a władam większą mocą... niż każdy czarownik, którego znam lub o którym słyszałam...

– Większą nawet niż Ottar? – spytał Kif.

– Tak.

– Choć on przewidział masakrę, a ty nie?

– To był zbieg okoliczności, a nie żadna magia... Chłopak jest za tępy... żeby nauczyć się mówić... a co dopiero czarować.

– W sumie racja. – Kif uniósł brwi, okręcił się w miejscu i zamachnął, przecinając powietrze Duporąbem.



Koło południa Harowianie okrążali północną część wielkiego jeziora. Po ich prawej rozciągała się trawiasta równina oznaczona karłowatymi krzewami i otoczona zbitym lasem. Tutaj nie widzieli już jeleni, za to ich uwagę przykuły dziwne wybrzuszenia i wiry na powierzchni jeziora. Sassa próbowała dowiedzieć się, czy to prądy wodne, czy może jakieś wielkie ryby pływają tuż pod powierzchnią, gdy nagle dało się słyszeć wołanie Ogmunda:

– O, patszście! – wykrzyknął mocno zniekształconym przez alkohol głosem. – Niedźwiadek!

Jego okrzyk ociekał pijackim zdumieniem. Ale miał rację. Jakieś pięćdziesiąt kroków dalej wystawał z wysokiej trawy czarny niedźwiedzi łebek z postawionymi uszami i małym brązowym pyszczkiem. Uroczy malec, pomyślała Sassa. Ale gdzie niedźwiadek, tam pewnie i niedźwiedzica. Czarny niedźwiedź był mniejszy i bardziej nieśmiały od garbatego niedźwiedzia, ale i tak ważył więcej od dorosłego chłopca i mógł go zabić bez problemu, zwłaszcza jeśli ów zbliżył się do młodych.

– Sssierota, jak i my! – wołał Ogmund. – Hej, misiek, zostaniemy kumplami?

– Zostaw go. – Kif położył pijakowi rękę na ramieniu. – Każda opowieść o ataku niedźwiedzia zaczyna się od niedźwiadka i debila.

– Chyba o ataku garbatego niedźwiedzia, bo czarne niedźwiedzie to pipy. Szsekaj, zapytam, czy chce iść z nami. A jak gdzieś czai się stara, ściobnę ją w łeb Cielakiem. – Pomachał włócznią.

– Ogmund! – zawołała Sassa, ale Ochlejmordy nie dało się już zatrzymać.

Miała bardzo złe przeczucie. Wyjęła strzałę z kołczana przy biodrze, nałożyła ją na cięciwę i napięła łuk. Frossa oparła ręce na masywnych udach, ciesząc się z kolejnego postoju. Dyszała jak

kowalskie miechy. Hrolf wlepił wzrok w Sassę, gdy odciągała cięciwę, ponieważ manewr wymagał, by wypiąć pierś. Oczy prawie wyszły mu z orbit. Przyszło jej na myśl, że może to on powinien dostać strzałę. Zawsze może powiedzieć, że omsknęła jej się ręka...

– Ogmund, nie bądź głupim chujem! – argumentował Kif, idąc w jego kierunku.

– Cieść, misiu, misiu! – kwilił kompletnie zalany Ogmund, wyciągając rękę do niedźwiadka. Malec wcale się go nie bał. Uniósł drgający pyszczek i obwąchał dłoń nieznajomego. – Misiu, podaj łapę. Co jest, zgubiłeś się...?

Jak się okazało, niedźwiedzia mama była bliżej, niż sądzili. Ogmund nie zdążył nawet zasłonić się Zaniepokojonym Cielakiem. Czarna olbrzymka wyskoczyła z trawy jak demon z jamy i jednym ciosem wielkiej łapy zmieniła gardło Ochlejmordy w krwawą miazgę. Ogmund padł na ziemię, a niedźwiedzica rzuciła się na niego.

Sassa nie widziała dokładnie, co się dzieje, bo zasłaniała jej trawa, ale z ruchu i pozycji kudłatego grzbietu wywnioskowała, że bestia próbuje zezreć hirdmanowi twarz. Słyszała, że niedźwiedzie już tak mają.

Drżącą ręką napięła zluzowaną cięciwę.

– Frossa, Hrolf, stańcie za mną.

Zwierzę uniosło łeb. Z zakrwawionej paszczy wisiało mu jedno oko Ogmunda.

Frossa wrzasnęła.

Niedźwiedzica obejrzała się na młode, a potem zaszarżowała na Frossę, Sassę i Hrolfa.

Łuczniczka strzeliła, ale pocisk przefrunął ponad ramieniem czarnej bestii. Zwierzę zwiększyło prędkość. Frossa darła się wniebogłosy.



Finnbogi szedł razem z Ottarem Niemową i Frejdis Złośliwą. Ale wolały iść z Thyri. Albo Kifem, albo Bjarnim, albo Wulfem, tylko że hird pełnił wartę dookoła grupy. Thyri szła z Garthem, co doprowadzało Finna do szału. „Robili rekonesans na południowej flance”, cokolwiek to miało znaczyć.

Tak więc hird hasał sobie w tę i we w tę, udając wielkich bohaterów, gdy tymczasem Finnbogi i reszta szarych zjadaczy chleba dźwigali toboły i opiekowali się bachorami. Nie ma to jak sprawiedliwy podział obowiązków. Plecak Finna był wielki jak jaja Odyna – mieścił w sobie trzy śpiwory, zestaw garów do gotowania strawy oraz tony suszonej ryby. Po cholere te ryby, na miłość Thora! Przecież mogą zbierać jedzenie i polować po drodze! Nie musieli go nieść ze sobą. Jedyłą osobą naprawdę potrzebującą dodatkowego jedzenia był Finn – bo potrzebował sił, żeby nieść całe to dodatkowe jedzenie. To nie w porządku. A wszystko przez Gunnhildę – po prostu lubiła patrzeć, jak Finn dźwiga pół wioski na plecach niczym juczny osioł. Znajdował pocieszenie tylko w tym, że Chnob Biały niesie tę głupią łódkę, która musiała ważyć jeszcze więcej niż plecak Finna.

A tak w ogóle, skoro to Finnbogi miał najlepszy miecz w całej Harówce, to czy nie powinien trzymać warty razem z resztą hirdu? Dopiero teraz uświadomił sobie, ile waży Wrogobójca. Po co w ogóle go nosić, jeśli nie będzie mógł z niego skorzystać? To jeszcze bardziej bez sensu niż te suszone ryby.

Na domiar złego Frejdis gadała w kółko o leśnych zwierzętach i innych żyjątkach, które dobrze znał, albo o takich, o których nie chciał słuchać. Miał wrażenie, że nigdy jeszcze tak się nie nudził, jak słuchając małej. Kiedyś często wyobrażał sobie, że ma dzieci z Thyri, lecz gdy myślał o tym teraz, dochodził do wniosku, że

może jednak lepiej umrzeć bezdzietnie. Myśl o tym, że miałby nieustannie się kimś opiekować, przejmowała go trwoga. Dzieci były takie egocentryczne i samolubne. Potrzebowały dosłownie wszystkiego, niczego nie dając w zamian i nie przejmując się, że ktoś może nie chcieć słuchać ich gadaniny. Czemu Frejdis nie przyjdzie do głowy, żeby zapytać go, o czym on chciałby pogadać? Chyba wydawało jej się, że jest pępkiem świata.

No i czemu Ottar nic nie niesie?

– Stop! – krzyknęła dziewczynka tak głośno i nagle, że aż podskoczył. – Patrz, Finnbogi, to są ślady myszaka. Myszak to taka słodka myszka. Mieszka sobie na drzewie. Ottar też bardzo je lubi. Kiedyś spacerowaliśmy sobie z Ottarem, szumiał las, świeciło słońko, nagle patrzę, a tam...

– Zamilcz, Frejdis – powiedział Finnbogi. Usłyszał coś. Krzyk?

– Ty sam zamilcz, opowiadam ci o...

Znowu. Krzyk. Gdzieś za nimi.

Finnbogi zdjął plecak i rzucił go w przydrożne krzaki.

– Idę zobaczyć.

Frejdis wywróciła oczami.

– To my też idziemy. Chodź, Ottar. Ale nie powinieneś zostawiać plecaka. Jak się dowie ciotka...

– Wrócimy do tego później – uciął Finn i puścił się drogą, uśmiechając się półgębkiem, zadowolony z własnej przebiegłości. Wrogobójca obijał się w biegu o jego udo. Miał pół nadziei, że rzeczywiście ktoś ich zaatakował, bo wtedy będzie mógł wypróbować swój miecz i zdobyć serce Thyri, a przy okazji udowodnić, że to on powinien pełnić wartę, a ktoś inny nieść plecak za niego.

Nie uszedł daleko, nim rozbrzmiały dwa lisie krzyki. Znak, że mają kłopoty.



Za jej plecami coś chlupnęło. Sassa zgadywała, że to Frossa wskoczyła do jeziora. Niedźwiedzicę dzieliło od łuczniczki najwyżej trzydzieści kroków. Sassa gmerała gorączkowo w kołczanie, nie mogąc chwycić strzały. W końcu złapała, ale ta zaraz wyslizgnęła jej się z palców. Podniosła ją, a tymczasem niedźwiedź był już prawie przy niej.

– Sassa, uciekaj! – krzyknął Kif, gnając ku niej brzegiem jeziora z podniesionym toporem. Nie miał szans dobiec na czas. Krzyknął dwa razy po lisiemu, by sprowadzić na pomoc resztę hirdu, ale pozostali wojownicy byli zbyt daleko.

Sassa nie mogła uciekać, bo musiała bronić skrytych za jej plecami Hrolfa i Froszę. Froszę, która wskoczyła do jeziora jak głupia, bo przecież czarne niedźwiedzie były świetnymi pływakami, a na pewno lepszymi od grubych babsztyli w podeszłym wieku.

Strzeliła, nie mogąc opanować drżenia rąk. Strzała pofrunęła gdzieś na bok, zupełnie nie przejmując się celem. Sassa nie miała już czasu, by nałożyć kolejną...

– Haaa! – wrzasnęła, machając rękami. – Haaa!

Piętnaście kroków. Dziesięć. Pięć.

Zwierzę wpadło na nią z impetem, który wydusił jej powietrze z piersi, i odtrąciło na bok. Minęło ją, potem obróciło się na krępych łapach, obalając na ziemię Hrolfa, a następnie zacisnęło szczęki na jego zmasakrowanej twarzy i szarpnęło potężnie.

Sassa wrzeszczała na niedźwiedzia, biła jego kudłaty grzbiet gryfem łuku, ale bestia nic sobie z tego nie robiła, tylko wgryzała się dziko w szamoczącego się bezskutecznie Hrolfa, który wyglądał jak szmaciana lalka w rękach rozhisteryzowanego dziecka.

– Odejdź! – zawołał do niej Kif, dobiegając wreszcie.

Niedźwiedzica podniosła łeb i ryknęła, a z miejsca, w którym stała Sassa, widać było doskonale krwawe strzępy skóry między jej kłami.

– Grrrrrr! – zawarczał Kif, wznosząc topór nad głowę i zbliżając się do bestii.

– Haaa! – wrzeszczała Sassa. Widziała kątem oka ludzi wybiegających z lasu na polanę i miała głęboką nadzieję, że będzie wśród nich Wulf. Na moment obróciła głowę w tamtą stronę. Nie, to tylko Finnbogi i dzieci. Cholera!

Niedźwiedzica warknęła i przykurczyła łapy, jakby zbierała się do ataku.

– Graaaaaa! – ryknął Kif.

Zwierzę porzuciło ten zamysł. Wyraz pyska się odmienił, dzika furia przeistoczyła się w niepewność. Przez chwilę bestia wyglądała jak kobieta, która weszła do chaty, ale zapomniała po co. Potrząsnęła wielkim łbem, obróciła się do nich zadem i potruczała z niedźwiadkiem do lasu.

Kif pochylił się nad Hrolfem.

– Kurwa, źle to wygląda.

– Daj mi zobaczyć. Pomóż Frossie wyleźć z jeziora.

Sassa kucnęła przy pokiereszowanym wojowniku. Niedźwiedzica zerwała mu z twarzy bandaż. Jego żuchwa wisiała przy samej szyi, odrapana ze skóry, zakrwawiona, oklejona kępkami włosów z brody. Krew bulgotała, gdy wydychał powietrze.

O, w dupę bizona, pomyślała Sassa. Co robić?

– Zawołaj mnie, jeśli niedźwiedzica wróci – powiedział Kif, odkładając na bok Duporąb.



Finnbogi wyskoczył z lasu z Ottarem i Frejdis za plecami. Zobaczył niedźwiedzia na polanie, a obok niego wrzeszczących Sassę i Kifa. Już miał ruszyć im z odsieczą, lecz zwierzę okręciło się i uciekło. Uśmiechnął się pod nosem, widząc Frossę, która najwyraźniej chciała przepłynąć jezioro – przebierała obficie obwisłymi ramionami, porzuciwszy za sobą swój kolorowy kapelusz, który nasiąkał wodą i tonął jak dziurawy kajak.

– Plusk! – powiedział Ottar.

– Nie, Ottarze – napomniała go siostra. – Tak nie wolno...

Finnbogi nie słuchał ich, bo właśnie w tym momencie olbrzymia ryba, co najmniej tak wielka jak dorosły mężczyzna, wyskoczyła z wody, zawisała w powietrzu na ułamek sekundy, a potem zwała się z pluskiem na głowę Frossy. Chlupot poniósł się po wodzie, gdy zarówno ryba, jak i kobieta zniknęły pod powierzchnią.

Chwilę później tafla wygładziła się i po całym zamieszaniu nie ostał się nawet ślad, jeśli nie liczyć rozchodzących się kręgów. Kawalek dalej przy brzegu gęgały i trzepotały skrzydłami gęsi, niczym się nie przejmując.



– Rety – westchnął Kif. – Cuda na kiju.

Zdjął skórnię i bezrękawnik przez głowę, po czym zsunął workowate portki.

– Co? – spytała Sassa, odrywając wzrok od bulgoczącej krwią dziury, która była niegdyś ustami Hrolfa.

– Ryba wyskoczyła z jeziora i walnęła Frossę w łeb.

– Ryba? Nic jej nie jest?

– Raczej jest, to była naprawdę wielka ryba.

– Co? Jak wielka?

– Lepiej tam popłynę, później ustalimy rozmiary tego rybska. Sprawdź, co z Ogmundem, a potem zobacz, czy możesz coś zrobić dla Hrolfa.

Ogmund był tak martwy, jak to tylko możliwe. Twarz przepadła gdzieś razem z połową głowy i krtanią. Sassa podbiegła do Hrolfa i pochyliła się nad nim, a potem nagle odskoczyła, gdy otworzył jedno oko. Początkowo myślała, że po prostu gapi się w przestrzeń, ale potem zauważyła, że opuścił wzrok i utkwił go w szparze między materiałem sukienki i jej piersiami, których kształt pięknie uwydatniła grawitacja. Jakimś cudem jego pokiereszowana twarz zdołała uformować zbereżny uśmiech.

Niedźwiedzie zniknęły. Kif brodził w jeziorze. Finnbogi stał z dziećmi na skraju polany dwieście kroków dalej.

Nikt na nią nie patrzy. Może to zrobić. Ale czy się odważy?

Minionej nocy Wulf przyczepił do jej kołczana ostry żelazny nóż. Powiedział, że ani chybi się przyda. Sięgnęła po niego, obracając w głowie prorocze słowa męża.

Czy się odważy?

Po cholerę iść na te Łąki, jeśli tam też będzie ten zaśliniony zboczeniec Hrolf, gapiący się na nią i na wszystkie inne kobiety?

Czy wolno jej to zrobić?

Spowalniał ich. A z tymi nowymi ranami spowolni ich jeszcze bardziej. Im dłużej zwlekają, tym większe prawdopodobieństwo, że dopadną ich w końcu Calnianie. Im wolniej będą przedzierać się przez ziemie wrogich plemion, tym mniejsza szansa, że się przedrą. Sassa chciała mieć dziecko. Albo nawet kilkoro. A ten robal stanowi zagrożenie dla jej przyszłości z Wulfem i dla przyszłości ich nienarodzonych dzieci. A jeśli urodzi córki? Czy będą bezpieczne, jeśli na Łąkach będzie kręcił się Hrolf?

Wyjęła nóż z pochewki, zdumiona i podniecona tym, co zamierzała zrobić.



ROZDZIAŁ 2

Różowa mgła

Świtało już, gdy Sofi Tornado wybiegła z cytadeli północną bramą z szerokim uśmiechem na ustach. Radość wiążąca się z misją przypominała gorączkową ekscytację wynikającą ze złapania i zamordowania ofiary. Nie była może tak intensywna, ale za to rozchodziła się po ciele przyjemnym ciepłem.

Paloma Widłoróg i Luby Zefir biegły truchtem po jej bokach, z łatwością dotrzymując jej kroku. Za nimi podążało jeszcze siedem owslanek, a na końcu sadył długimi krokami Yoki Choppa.

Wszystkie wojowniczkі miały na sobie standardowy mundur elitarnej gwardii, złożony z obcisłych spodni, przepaski biodrowej i krótkiej skórzni nasmarowanej jelenim tłuszczem, żeby się nie przecierała. Na plecach miały plecaki, a broń niosły w rękach. Yoki Choppa jak zwykle paradował w samej przepasce biodrowej.

Dziesięć kobiet i jeden mężczyzna minęli drewniany most zawieszony nad strumieniem okalającym północny skraj miasta, a potem zagłębili się w pokryte poranną rosą pustkowie. Sofi kiwnęła głową na Palomę, a obdarzona nadludzką szybkością wojowniczka pognęła naprzód jak strzała wypuszczona z łuku. Między Calnią a ziemiemi Goachików nie czaiło się żadne niebezpieczeństwo, z którym nie poradziłyby sobie wojowniczki tej klasy. Raczej nie groziło im natknięcie się na wielką grupę świetnie wyszkolonych i zdyscyplinowanych żołnierzy lub na stada dzikich zwierząt, Paloma jednak uwielbiała zwiady, a Sofi nie chciała odmawiać jej tej przyjemności.

Gdy mijały jeziora i stawy, słyszała krzyki budzącego się ze snu wodnego ptactwa, które trzepocząc skrzydłami, mieszało wiszącą w powietrzu różową mgłę. Przebiegały pod gałęziami obwieszonymi mokrymi od rosy pajęczynami, a po lesie niósł się śpiew ptaków. Króliki, szopy, lisy i inne ssaki umykały w gęstwinę na ich widok. Z przeciwnego końca obsypanej kwiatami polany mierzyła ich wzrokiem wataha wilków, a przemykający w trawie kawałek dalej skunks zupełnie je ignorował. Sofi widziała i słyszała wszystkie te rzeczy, doszukując się wzorców i rytmu, a dokładniej: załamania rytmów, które mogło świadczyć o kłopotach. Niczego nie znalazła, przynajmniej nie przed nimi.

Ale zza swoich pleców dosłyszała jakiś nieregularny dźwięk, który natychmiast zwrócił jej uwagę. Znała krok każdej ze swoich wojowniczek. Nie biegly w żadnym bojowym szyku,

zwykle jednak ustawiały się do drogi w tej samej kolejności. Sofi potrafiła rozpoznać po samym tylko odgłosie, kto za nią biegnie, ale też kto słabnie, kto doznaje kontuzji, a nawet kto jest głodny lub podekscytowany.

W tej chwili słyszała wyraźnie, że Malilla Puma wysunęła się na czoło formacji, czego nigdy dotąd nie robiła, oraz że stawia kroki bardziej na palcach, jakby się gdzieś spieszyła. Caliska Kojot i Jutrzenka również nie były na swoich miejscach. Najwyraźniej biegły wraz z Malillą. To pewnie nic, ale po tym nieoczekiwanym pokazie jedności na placu Sofi miała całą trójkę na oku. Najlepsze przywódczyni i wojowniczkę – a przynajmniej najlepsze wśród żyjących – nigdy nie ignorowały takich pozornie nieistotnych rzeczy.

Yoki Choppa nie zostawał w tyle, biegł regularnym, miarowym tempem. Uprzedziła go, że nie będą na niego czekać, jeśli będzie się ociągał, i że mają zamiar pokonywać dziennie siedemdziesiąt mil. Nie zrobiło to na nim wrażenia. I rzeczywiście, jak na zaszuszonego dziada, radził sobie całkiem nieźle. Nie powinno jej to dziwić, bo choć większość żołnierzy calnijskiej armii była mocna tylko w gębie, czarnoksiężnik słynął nie tylko z inteligencji, ale i z krzepy.

Zarządziła odpoczynek po dwudziestu milach. Podczas gdy kobiety posilały się jagodami, suszonym mięsem i cukrem klonowym oraz piły wodę ze strumienia, Yoki Choppa rozpałił w swojej alchemicznej misce mały ogień i pochyłony grzebał w węgielkach kościanym tłuczkiem.

Biegli przez resztę dnia. Zatrzymali się jeszcze kilka razy, a po pokonaniu siedemdziesięciu mil, gdy zaczęło już zmierzchać, rozbili obóz na noc. Dwie kobiety były zmęczone, ale nie wykończone. Yoki Choppa jakby robił bokami, ale właściwie zawsze wyglądał, jakby był na skraju śmierci. Bez słowa skargi zaczął przygotowywać kolację. Paloma Widłoróg pognęła za

uciekającym przed nią jeleniem, a reszta kobiet rozeszła się po lesie w poszukiwaniu jadalnych roślin.



ROZDZIAŁ 3

Wiek to tylko liczba

Frossa Wiedząca długo nie odzyskiwała przytomności. Gdy wreszcie się obudziła, kilkanaście czerwonogębich sępów odskoczyło jak oparzone i wzleciało leniwie na gałęzie stojącego nieopodal strupieszalego drzewa. Otworzyła usta, by je skląć, ale nie mogła wydusić słowa. Strasznie zaschło jej w gardle. Rozejrzała się wokoło, spojrzała w niebo. Był wieczór. Ale czy tego samego dnia?

Po jeziorze płynęła para gęsi z gromadką pokrzykujących młodych. Frossa podźwignęła się na łokciach do pozycji

siedzącej. Nigdzie ani śladu pozostałych Harowian. Porzucili ją! O, banda samolubnych drani!

Ale co się właściwie stało? Płynęła, gdy nagle coś wciągnęło ją pod wodę i porwało ze sobą z dziką prędkością, a potem wyłoniła się z rzeki i jakiś czas dryfowała z prądem, aż wreszcie zdołała wyleźć na brzeg... Tylko że to nie było jezioro, do którego wskoczyła, ratując się przed niedźwiedziem. Nic dziwnego, że jej nie znaleźli... A właśnie że to dziwne! Powinni byli szukać bardziej. Ci niewdzięcznicy porzucili ją na pastwę losu.

Jeśli to wciąż ten sam dzień, to może znajdzie ich ślady i dołączy do grupy... Nie, nie zrobi niczego podobnego. Skoro ją zostawili, to teraz ona zostawi ich. Wróci do Harówki i zaczeka na Calnian. Ten piękny młodzieniec Kimaman był głupcem. Kogokolwiek teraz przyślą, z pewnością pozna się na niej i doceni jej niebywale magiczne talenty. Zwłaszcza gdy za pomocą czarów odkryje przed nimi cel wędrówki Harowian.



– Podglądasz, jak Wulf się kąpie? – spytał Finnbogi Bjarniego, który aż się wzdrygnął, zaskoczony.

– Co? Ja? Nie, no co ty! Nie. Czekam tylko na niego. Znaleźliśmy kilka pstrągów. – Wskazał dwie ryby w trawie. – Nie podglądałem go.

Bjarni siedział na ziemistym brzegu rzeczki kilkaset kroków od obozu. W płytkim strumieniu klęczał nagi Gruby Wulf i za pomocą narwanej trawy rozprawdzał po muskularnym torsie mydło z sadła i popiołu.

Zatrzymali się na postój dobrze przed zachodem słońca. Znaleźli się na granicy dziesięciomilowego koła, której nie wolno im było przekraczać od stu lat. Wulf powiedział, że zmierzają się z nowym światem, gdy wstanie nowy dzień. Nikt się nie

sprzeciwił. Miną tygodnie, nim wieść o tym, że przetrwali atak, dojdzie do Calnii. Mieli mnóstwo czasu.

Wulf i kilkoro innych członków hirdu rozeszli się, by sprawdzić, czy w okolicy jest bezpiecznie, a reszta rozbiła obóz i zaczęła się myć po długiej i męczącej wędrówce. Powoli robiło się szaro, ostatnie promienie słońca kładły się jasnymi plamami na tafli rzeki.

– Do dupy, co? – Finnbogi dosiadł się do Bjarniego. – Nawet jeszcze nie opuściliśmy naszych ziem, a już troje z nas nie żyje.

– To ile nas zostało?

– Chyba czternaścioro. Jak tak dalej pójdzie, nie przetrwamy tygodnia.

– Masz rację. Przykro mi z powodu Ogmunda. Ale, matko, co to był za tłuć. Trzeba być idiotą, żeby zaczepiać małego niedźwiedzia.

– Co prawda, to prawda. Z kolei Hrolf i tak już prawie nie żył. Ale Frossa?

– Myślę, że i tak nie przeszłaby więcej niż kilka mil dziennie.

– Też tak sądzę. Ale że ryba ją zabiła? – Finnbogi pokręcił głową.

Bjarni prychnął śmiechem przez nos.

– Gdybyś powiedział mi rano, że Frossa dzisiaj zginie, i kazał mi zgadnąć, jak zginie, to chyba bym nie odgadł do samego ragnaröku. Słyszał to kto, żeby ryba skręciła komuś kark? Biedna kobieta. Sassa powiedziała, że przynajmniej zginęła od razu.

– Ja widziałem, jak to się stało.

– Poważnie? Opowiedz.

Finnbogi zrelacjonował mu całe zajście, a potem dodał:

– Słuchaj, Bjarni. Wcale nie chciałem cię o to pytać, ale po dzisiejszym dniu... Masz może jakieś... no wiesz?

– Grzyby? Pewien jesteś? Niektórzy źle na nie reagują, a po twojej ostatniej fazie stwierdzam, że należysz do tych niektórych.

Na twoim miejscu bym się zastanowił.

Za pierwszym i jedynym razem, gdy Finnbogi spróbował grzybów Bjarniego, dał się złapać na plaży w świetlistą sieć, a potem przez całą drogę do domu gonił go po lesie gigantyczny rak uformowany z dymu. Finn uspokoił się dopiero wtedy, gdy pojawił się obok niego duch jego matki, by utulić go do snu.

– Wiem, że prosiłem cię, żebyś nigdy mi już nie dawał grzybów, choćbym błagał na kolanach, ale to było w innym życiu. Może tym razem nic mi nie będzie? Mieliśmy wszyscy ciężki dzień, trzeba się wyluzować. No daj.

– Słusznie prawisz, ale przykro mi, zostawiłem wszystkie we wiosce. Nie mam nic, nawet szczypty tytoniu. Nowe życie, nowa podróż, nowy i czysty ja.

– Aha.

– Wiem, też żałuję. A może wrócisz ze mną do Harówki? Miałem trochę grzybów skitranych w skrytce.

– Teraz? Po nocy będziemy szli?

– Jeśli wyruszymy od razu i utrzymamy tempo, wrócimy do obozu o świcie.

– No dobra. – Finnbogiemu spodobał się pomysł wyruszenia na przygodę z takim fajnym gościem jak Bjarni Kurza Twarz. Może później podzielią się grzybami z Thyri. A gdy potem wrócą do śpiwora... – Chodźmy.

Bjarni zachichotał.

– Żartuję, głupku jeden. Sam łyknąłbym grzybolca albo dwa, ale aż tak mnie nie pili, żeby chciało mi się biec dwadzieścia mil.

– To może ich nazbieramy? Muszą gdzieś tu rosnać.

– Nie wiem nawet, jak ich szukać i które zbierać. Trujące grzyby wyglądają bardzo podobnie do tych, od których masz haj. Ja swoje dostawałem już ususzone i pokrojone od jednego z Goachików.

– Dostawałeś? W zamian za co?

- Eee, za nic. Po prostu mi je dawał.
- Miły koleś.
- Tak, był miły.



Bjarni pomógł Wulfowi się wysuszyć, wycierając go kępkami trawy, a potem cała trójka wróciła do obozu, gdzie już niedługo Finn będzie dzielił śpiwór z Thyri. Po drodze Finnbogi spytał Wulfa, czy nie wygłosiłby jakiejś przemowy.

– Coś jak przemowa dowódcy do podkomendnych? – Wulf nie był pewien, o co chodzi.

– Chyba tak. Żeby podnieść ludzi na duchu, przypomnieć o czyhających niebezpieczeństwach, zarządzić podział żywności i takie tam.

– Nie.

– Czemu nie? Jesteś dowódcą hirdu, a więc dowódcą nas wszystkich.

– Tak, i każdy dobrze o tym wie. Tak jak wiedzą o tym, że musimy wydzielać żywność i że czekają nas niebezpieczeństwa. Ogmund, Hrolf i Frossa z pewnością nie pozwolą nam o tym zapomnieć. Więc jedynym powodem, dla którego miałbym wygłosić przemowę, byłaby chęć zwrócenia na siebie uwagi. Patrzcie na mnie, ja tu rządę! A wydaje mi się, że wszyscy mieliśmy zbyt ciężki dzień, żeby komuś chciało się słuchać podobnego pierdolenia.

Minęli się na drodze z Sassą Gryziwargą, która szła gdzieś z łukiem w ręce.

– Mamy dość mięsa – rzucił Wulf.

– Idę poćwiczyć. Dzisiaj dwa razy spudłowałam do niedźwiedzia.



Większość ludzi w obozie skupiła się wokół dużego ogniska. Niektórzy piekli mięso na patykach. Gunnhilda mieszała łyżką w kotle pełnym korzonków i dzikiego ryżu. W oddaleniu od reszty siedzieli w hamaku pogrążeni w rozmowie Thyri Drzewonoga, Garth Kowadłogęby i Gurd Zadrzykiecka. Finna trochę zasmucił ten widok, ale zaraz przypomniał sobie, że za parę godzin to nie Garth i nie Gurd, tylko on będzie spał z nią w śpiworze.

– Finn, mam poprosić Gartha, żeby nauczył cię walki mieczem? – zaoferował się Wulf.

– Znaczy, bo chodzi o to, że...

Wulf uśmiechnął się i trzepnął go lekko w ramię. A potem zwrócił się w kierunku, gdzie siedziało troje wojowników.

– Hej, Thyri!

– No?

– Nauczysz Finnbogiego władać mieczem?

– Pewnie.

– A gdzie twoje suszone ryby, Zbuk? – szydził Garth. – Nigdy nie będziesz wojownikiem. Może lepiej ich poszukaj, zamiast zawracać dupę Thyri, co?

Gurd i Garth zaśmiali się.

Finnbogi poczerwieniał. Ktoś opróżnił plecak z rybami, który Finn rzucił w krzaki, biegnąc na ratunek Thyri. Frejdis przyjrzała się śladom i przez całą drogę męczyła Finna wykładem o przeróżnych gatunkach zwierząt, które mogły je pozostawić. Wcale nie polepszyło mu to nastroju.

– Daj mu spokój – powiedziała Thyri. – Mamy pełno jedzenia i zawsze możemy znaleźć więcej. Chodź, Finn, poszukamy jakiegoś miejsca na trening.



Poszedł za Thyri na wielką, porośniętą wysoką trawą łąkę, która opadała łagodnie ku kamienistemu strumieniowi. Po drugiej stronie Sassa strzelała z łuku, celując do martwego drzewa.

Thyri zrobiła dwa drewniane miecze. Jeden dała Finnbogiemu, a drugim zdzieliła go w ucho.

– Aua! – wykrzyknął. Przyłożył palce do ucha, a potem spojrzął na nie. Krwi nie było, choć to dziwne, bo miał wrażenie, że drewniana klinga doszła do mózgu. – Co jest?

– Lekcja pierwsza. Najważniejsza. Uderzaj pierwszy i uderzaj mocno. Lekcja... – urwała i błyskawicznie trafiła go po raz wtóry, tym razem w drugie ucho.

– Na jaja Lokiego, kobieto! Co, do...? – Dotknął piekącego ucha. Tym razem poleciała mu krew.

– Lekcja druga: uderzaj wtedy, gdy przeciwnik najmniej się tego spodziewa.

– To oszustwo!

– Lepiej być oszustem niż trupem.

– Każdy kiedyś będzie trupem. Umrzesz, kiedy umrzesz.

– Łatwo tak gadać, jak nie ma się miecza przy gardle.

– A ty niby miałaś...?

Trzask!

– Kurwa... mać! Za co to?

– Za pyskowanie nauczycielce. – Uśmiechnęła się, a jej uśmiech był jak blask słoneczny, który odpędza nawet najczarniejsze chmury. Nagle ból uszu nie był już taki straszny.

– Jeśli już ktoś komuś pyskuje, to ty mnie, bo jestem starszy.

– Wiek to tylko liczba.

– Nie, wiek określa, jak długo już żyjesz, a liczb używamy, żeby to opisać. Powiedzieć, że wiek to tylko liczba, to jak powiedzieć, że słońce to tylko słowo.

Trzepnęła go drewnianym mieczem w ramię.

– Raz – powiedziała. Bolało jak skurwysyn. Zaraz uderzyła go znowu: – I dwa! I trzy! Cztery! Śmieszna sprawa z tymi liczbami, za każdą kolejną czai się następna. Pięć!

– Au, au, au! Przestań! Już łapię! Nie chodzi o to, żeby liczyć ciosy, tylko żeby nie dać się trafić ani razu!

– Sześć!

– Powiedziałem: dość!

– Przestanę, gdy przyznasz mi rację. Siedem! Osiem!

– Masz rację, masz rację! Zawsze masz rację! Jesteś wspaniała i zrobię, co chcesz!

– Świetnie. Czy będziesz pyskował swojej młodszej nauczycielce?

– Nie!

– Czy potwierdzasz, że góruję nad tobą pod każdym względem?

– Tak!

Trzask! Znów w ramię. Tyle dobrego, że przynajmniej zostawiła już w spokoju jego opuchnięte uszy.

– A to za co?

– To w ramach przypomnienia, co się stanie, jeśli znowu ośmielisz się pyskować. Zrobiłam to dla twojego dobra i boli mnie to bardziej niż ciebie. A teraz podziękuj pięknie.

Finnbogi podążył wzrokiem do Sassy. Dziewczyna wyciągała strzały z drzewa, nie zwracając na nich uwagi, zresztą i tak stała poza zasięgiem słuchu. Byli sami.

– Dziękuję pięknie – powiedział, a potem dodał w myślach: „Kocham cię”.



Tego wieczoru nie uderzyła go już ani razu. Zamiast tego prawie go zabiła. Kazała mu biegać, skakać, robić przysiady i wykonywać wszelkie możliwe ćwiczenia, takie jak czołganie się z prostymi nogami jak niedźwiedź, żołnierskie padnij-powstań – to było najgorsze – oraz robić wiele innych poniżających rzeczy. Po pięciu minutach był wykończony. Po dziesięciu zrobiło mu się słabo i ogarnęła go złość. Thyri sama także wykonywała każde ćwiczenie, które kazała robić jemu. Podczas gdy on dyszał i pocił się jak Frossa w skwarny letni dzień, jej skronie pozostały suche, a oddech równy.

– Jak to wszystko się ma... – wychrypiał w którymś momencie – do wtykania ostrego końca miecza w skrælingów...?

– Musisz być szybszy i silniejszy od skrælinga, z którym walczysz, a oni są całkiem szybcy i całkiem silni. Moglibyśmy robić to wszystko codziennie przez wiele miesięcy, a i tak nie dorównałbyś im sprawnością.

– Codziennie? A czy łażenie cały dzień nie wystarczy?

– Będziemy trenować nawet dwa razy dziennie, jeśli starczy nam czasu.

– O, w dupę Thora...

– Chyba że nie chcesz?

– Nie, nie. Chcę, bardzo chcę.

– No to zamknij twarz i dajesz dwadzieścia pompek.



Po treningu usiedli daleko od Gartha i Gurda, by posilić się dziczyzną i rybą. Choć jego uszy piekły, a ręce i nogi rwały, jakby ktoś walił w nie młotem, Finnbogi był tak szczęśliwy, że z trudem tłumiał chichot. Gdy przeżuwał sarninę, Thyri wykladała mu

teorię walki wręcz. Z błyskiem w oku opowiadała o staroświatowych technikach, których codziennie uczono wojowników z hirdu, oraz chwytach i ciosach, które podłapała od skrælingów, jak również o swoich własnych pomysłach i koncepcjach.

Jej usta były czerwone i pełne, jej skóra złota w świetle ogniska, a szeroka buzia tchnęła radością, gdy dzieliła się swą wiedzą z chętnym słuchaczem. Mógłby jej tak słuchać już zawsze.

Nadszedł czas na sen. Niemal czuł, że chce odwlec ten moment, żeby dłużej napawać się słodkim oczekiwaniem. Wciąż nie wierzył, że naprawdę będzie dzielił z nią śpiwór. Właściwie to spodziewał się, że ktoś lub coś przeszkodzi mu w spełnieniu tego pięknego marzenia. Może sama Thyri stwierdzi, że chce spać bez śpiwora, może uzna, że woli spać z kimś innym, albo może dzieci oznajmią Gunnhildzie, że albo będą spać z Finnem, albo w ogóle, może zaatakuje ich stado sztyletozębnych kotów...

Ale nic z tego się nie wydarzyło, a kiedy przyszła pora, by kłaść się spać, Thyri powiedziała mu:

– Znajdź dla nas dobre miejsce przy ognisku. Zaraz wracam.

Weszła między drzewa, kierując się w stronę strumienia.

Finnbogi oczyścił ziemię z gałązek i kamieni, odciągnął kawałek dalej Ottara i Frejdis – którzy już smacznie chrapali w swoim śpiworze i nawet tego nie poczuli – po czym rozłożył posłanie i wygładził je ręką. Już zaraz, już za moment! Nie mógł się zdecydować, czy już wejść do śpiwora, czy może skoczyć jeszcze się odlać, co i tak będzie musiał zrobić prędzej czy później. Postanowił sięść przy ognisku i wlepić wzrok w płomień, żeby wyglądać mądrze i dostojnie, gdy wróci Thyri. Czekał na nią chyba z tysiąc lat.

– Coś nie tak? – spytała, wyszedłszy spomiędzy drzew.

– Nie, a co?

– Wyglądasz, jakbyś się czymś martwił.

Będzie musiał popracować nad swoją mądrą i dostojną miną.

– Nie, wszystko gra. Wszystko jest w po...

– Dobra. Twoja kolej. – Nie zmieniła zdania.

Poszedł, gdy zaczęła się rozbierać. Próbował załatwić potrzebę, ale nie mógł. Poszedł kilka kroków w górę strumienia, do miejsca, gdzie można było pić, opłukał usta, a potem wrócił, byle prędzej.

Thyri siedziała już w śpiworze plecami do ognia.

– Szybko ci poszło – powiedziała.

– Nie na darmo zwą mnie Finnbogi Gównomiot! – Aż się wzdrygnął. Po cholere palnął coś tak głupiego?

Spojrzała na niego krzywo.

– Tak naprawdę wcale nie srałem.

– W porządku...

– Wszystko gra, Finn? – rzucił mijający ich Wulf.

– Tak, w porządku, przepraszam. – Za co on przepraszał?

– Świetnie, ale bądź trochę ciszej. Nie chcemy zbudzić dzieci.

– Jasne, jasne – odszepnął. Jakie to szczęście, że Wulf kazał mu się zamknąć.

Rozebrał się. Czy powinien zdjąć całe ubranie? Czy ona zdjęła? Pewnie nie. Pewnie włożyła więcej ubrań.

Przestąpił z nogi na nogę. Niektórzy już leżeli w śpiworach, inni przygotowywali się do snu. Rozebrał się, zostawiwszy tylko wełniane gacie, a potem wsunął się tyłem do śpiwora. Robił, co w jego mocy, by otrzeć się o Thyri tylko przypadkiem.

Leżał tyłem do niej. Śpiwór był przewidziany dla dwóch dorosłych mężczyzn, a ponieważ zarówno on, jak i Thyri jeszcze rośli, miejsca było sporo. Mimo wszystko uznał, że stykanie się pupami jest w tych warunkach nie tylko dopuszczalne, ale i nieuniknione. Na Thora. Miał wrażenie, że przytknął pośladki do dwóch otoczaków.

– Będzie wygodniej, jeśli się odwrócisz – szepnęła.

- Twarzą do ciebie?
- Nie, głową w dół.
- Co? Naprawdę?
- Nie, ty głuptasie, twarzą do mnie.

Obrócił się. A potem zebrał się na odwagę i zanim zdążył się powstrzymać, zanim powściągnął swoją szaleńczą brawurę, otoczył Thyri ramieniem.

– Przeszkadza ci to? – szepnął.

– Nie. – Wzięła jego rękę i przycisnęła ją do swojej piersi. – Mmmmm – wymruczała.

Finn uprzytomnił sobie, że nie czuje pod palcami bawełny. Thyri była naga. Pachniała kwiatami i cukrem klonowym. Trzymała jego zaciśniętą pięść przy swojej piersi. To przecież zupełnie normalne – zasugerował sam sobie – spać z zaciśniętą pięścią, prawda? Jasne, że tak, nikt nie powie, że nie. I znowu, zanim zdążył wyperswadować sobie ten pomysł, otworzył dłoń.

Nie poruszyła się.

Leżał tak chwilę, dotykając jej piersi, z odsuniętymi biodrami, ledwie oddychając, a potem wyszeptał:

– Thyri?

Brak odpowiedzi.

– Thyri?

No nie. Zasnęła.

Wszędzie wokół skrzeczały, piszczały i porykiwały nocne zwierzęta, ale Finn nie słyszał ich, leżąc w bezruchu przez dobrą godzinę.



ROZDZIAŁ 4

Kultura musi być

Eryk Złośnik i niedźwiedzica Astrid dotarli nad wartką, ale dosyć płytką rzekę. Przekroczyliby ją bez trudu, ale Eryk nie bardzo miał na to ochotę. W mokrych skórzanych portkach bardzo źle się chodziło. Mógłby je co prawda zdjąć, ale na drugim brzegu musiałyby się osuszyć, by móc je znowu włożyć, a mu się nie chciało.

Kiedy dotarł tu minionego lata, przy obu brzegach były kajaki tworzące coś na kształt ruchomego mostu. I teraz też były dwa,

tylko że oba na przeciwnym brzegu. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy, pokręcił głową Eryk.

Przecież o to w tym wszystkim chodziło, żeby przy każdym brzegu był jeden kajak. Przy każdej przeprawie rzekę trzeba było przekroczyć trzykrotnie: raz pierwszym kajakiem, potem drugi raz, holując za sobą drugi, a potem, zostawiwszy go na brzegu, znowu tylko pierwszym. To nie takie trudne, niezbyt czasochłonne, ale jakiś zupełny cync najwyraźniej stwierdził, że jego czas jest zbyt cenny, by marnować go w ten sposób. Eryk był wprost oburzony. Wyobraził sobie, że znajduje winowajcę gdzieś na szlaku i zasady przekraczania rzeki wbija mu do głowy za pomocą swojej maczugi. Nazwał ją Najlepszy Przyjaciel Indyka, bo gwarantowała szybką śmierć, ale temu dupkowi poświęci więcej czasu.

– Ghrrrrrrrrrr! – zauważyła Astrid.

– Tak, też mnie to wkurza – powiedział Eryk.

Cieszył się, że Astrid z nim poszła. Podróżowanie z olbrzymim niedźwiedziem wzmagало jego poczucie bezpieczeństwa. Spodziewał się, że rudy lis numer jeden i rudy lis numer cztery też z nim pójda, ale obwąchały go tylko, a potem czmychnęły, dając mu chyba do zrozumienia, że ziemie Lakchanów to ich terytorium i nie uśmiecha im się włóczyć przez pół świata. Obawa przed lekką niewygodą przeważała nad ich przywiązaniem do Eryka. Takie już są lisy – niezbyt dzielne, umiarkowanie lojalne, ale przynajmniej szczerze.

– Nie zmieścisz się w kajaku, więc tak czy inaczej musisz się zamoczyć – powiedział Eryk do Astrid. – A skoro tak, to może przepłyniesz rzekę i wrócisz do mnie z kajakiem, co?

Astrid rzuciła mu puste spojrzenie, jakby nie rozumiała, ale Eryk wiedział, że chce ograniczyć siedzenie w wodzie do niezbędnego minimum.

Westchnął więc, rozebrał się i rzucił ubranie na głaz, a potem

wszedł do wody.

Na odwłok Pajęczej Matki, zimno jak w dupie lodowego trolla.

– Aaa! – krzyknął, gdy chłodne fale liznęły go po jajach i później kilka kroków dalej, gdy zanurzył się po sutki. Trudno brnęło się naprzód z uniesionymi rękami. Prąd był silniejszy, niż wydawał się z brzegu.

Dziękował akurat losowi za to, że przynajmniej podłoże jest stabilne, gdy jakiś kamień osunął się pod jego stopą i cały Eryk znalazł się pod wodą. Wynurzył się ładny kawałek dalej, prychnając i plując. Zaczął płynąć do brzegu, ale prąd wciąż go znosił.

Gdy ślizgając się na błocie, wygrzebał się w końcu na ląd, raczej poczuł, niż usłyszał głos:

– Wróć, wróć.

Był bardzo podobny do tego, który kazał mu odejść. Może to ten sam? W każdym razie Eryk życzyłby sobie, żeby się w końcu zdecydował.

– Więc teraz mam wracać na wschód? A co z zachodem i z Łakami?

– Zawróć. Wracaj, skąd przyszedłeś.

Eryk poszedł w górę strumienia do miejsca, gdzie stały dwa kajaki. Drżąc z zimna, pchnął jeden z nich na wodę, wszedł do środka i przepłynął na drugą stronę. Tam wciągnął go na brzeg, wziął ubranie i ruszył drogą z powrotem. Ubierze się, jak wyschnie.

Czuł na plecach zmieszane spojrzenie niedźwiedzicy.

– No chodź, wracamy.

– Ghruuu?

– Nie wiem czemu.



ROZDZIAŁ 5

Szczypce kamiennego kraba

Malilla Puma biegła za Sofi Tornado. Jej utwardzony w ogniu drewniany kostur poruszał się w jej rękach, jakby żył własnym życiem. Miała nieodpartą chęć rozwalić nim łeb swojej przywódczyni.

Gdyby to był ktoś inny, trzasnęłaby go od razu, nie zwalniając biegu, a potem poważylałyby się na ryzyko, jakim była walka z resztą oddziału. Udało jej się przeciągnąć na swoją stronę Jutrzenkę i Caliskę Kojot, po stronie Sofi zostały więc tylko Paloma Widłoróg, Sadsi Wilczyca, Chogolisa Zadrzyziemia, Luby Zefir, Talisa Sarna i Sitsi Pustułka. Przekonywanie ich, że Sofi

musi zginąć, nie miało najmniejszego sensu. Były lojalne wobec swojej dowódczyni. Ale gdy Sofi będzie już gryźć ziemię, nie będą miały innego wyjścia, jak tylko uznać zwierzchnictwo Malilli.

Co się tyczy Yokiego Choppy... No cóż, tak naprawdę nie miało znaczenia, jaką decyzję podejmie ten pokurcz. Mówiło się, że to głównie jemu owslanki zawdzięczają swoje zdolności, ale Malilla jakoś nie mogła w to uwierzyć. Ten cały arcy czarnoksiężnik wyglądał jej raczej na brzydkie, podstarzałe i przemądrzałe dziecko. Gdyby rzeczywiście władał tak wielką mocą, na pewno przedstawiałby bardziej imponujący widok, no nie? Kilka idiotek na czele z Sitsi zachwycało się tym, że starzec z taką łatwością dotrzymywał im tempa, ale przecież nie było to nic nadzwyczajnego. Chogolisa też nie zostawała w tyle, a ważyła więcej niż one wszystkie razem wzięte.

Pragnienie Malilli, by pozbawić Sofi dowództwa, nie wynikało z nienawiści, jaką do niej żywiła – choć bogowie jej świadkiem, że najchętniej utopiłaby Sofi w wiadrze. Chodziło przede wszystkim o to, że Tornado nie nadawała się na dowódczynię. A Malilla jak najbardziej.

W odróżnieniu od reszty wojowniczek, które nigdy nie zaznały prawdziwych trudów życia, Malilla Puma miała wybitnie ciężkie dzieciństwo. Jej ojciec był myśliwym i garbarzem w wiosce handlowej, która łączyła kontynent z archipelagiem małych wysepek na obrzeżu Dzikiego Słonego Morza. Gdy Malilla była jeszcze niemowlęciem, jej matka uciekła na pobliską wyspę z młodym rybakiem, zostawiając dziewczynkę samą z ojcem.

Czasem wracała do wioski razem ze swoim mężczyzną, ale ojciec zabronił Malilli z nią rozmawiać. Jednym z najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa było zmieszanie, gdy patrzyła na inne matki tulące swoje dzieci, podczas gdy jej ze swoją nie było wolno nawet zamienić słowa.

Gdy tylko wszyscy jej rówieśnicy podrośli na tyle, że już

mogli, zaczęli szydzić z jej sytuacji rodzinnej. Próbowwała ich przed tym powstrzymać, łamiąc narzucone przez ojca zasady. Poszła do matki, żeby z nią porozmawiać, przekonać, by do nich wróciła – ale mama ją zignorowała. Postanowiła więc na słowa odpowiedzieć przemocą. Minęły niemal cztery lata, nim wygrała swoją pierwszą walkę. Nie była ani większa, ani silniejsza od innych dzieci, ale była bezlitosna i dzika jak kojot złapany w sidła.

Gdy oślepiła na jedno oko chłopca starszego o trzy lata, wtykając mu kij w oczodół, a potem za pomocą gałęzi złamała rękę jego siostrze, która chciała go pomścić, starszyzna nakazała jej ojcu opuścić wioskę.

Przenieśli się na jedną z pobliskich wysepek, której nie wolno było Malilli opuszczać. Trawiła dni na bieganiu po wyspie i przeskakiwaniu przez krzaki, już wtedy rozwijając zdolności, którymi w przyszłości zapewniła sobie miejsce wśród owslanek, a także swój przydomek – w końcu żadne zwierzę nie skacze wyżej od pумы.

Gdy miała dziesięć lat, oznajmiła ojcu, że zamierza zabić matkę.

– Tego drania, z którym uciekła, też zabij – doradził ojciec.

Tak też zrobiła. Zakradła się do ich chaty pewnej księżycowej nocy i poderżnęła im obojgu gardła szczypcami kamiennego kraba.

Starszyzna orzekła jednogłośnie, że pomimo młodego wieku przestępczynię należy zgładzić, ale akurat tego dnia przez wioskę przejeżdżał podróżny kupiec, który powiedział, że w mieście Calnia potrzeba takich właśnie awanturnic. Zaproponował ojcu Malilli, że chętnie ją od niego odkupi.

Nigdy nie dowiedziała się, za ile ją sprzedano, ale ojciec wydawał się usatysfakcjonowany. Gdy opuszczała wioskę wraz z kupcem, odwróciła się, by mu pomachać, ale on nawet na nią

nie patrzył. Uśmiechał się i gawędził z dziewczyną, której ramię złamała kilka lat temu. Obejmował ją w pasie.

– Tata zmusił mnie, żebym zabiła mamę i jej kochanka! – wrzasnęła. – Powiedział, że jak tego nie zrobię, to znowu będę musiała ssać jego magicznego węża!

Mieszkańcy wioski obrzucili ją osłupiałym spojrzeniem, a następnie wpili się wzrokiem w jej ojca. Malilla nie obejrzała się już ani razu.

Zaczynała na samym dnie, ale wkrótce zaczęła piąć się w górę, aż wreszcie przyjęto ją do legendarnych owslanek, elitarnego oddziału magicznych calnijskich wojowniczek. Jej życie w Calnii stało się jeszcze cięższe, mordercze treningi owslanek nigdy się nie kończyły. Malilla wylewała siódme poty i wypruwała sobie żyły, ale było warto. Pod względem fizycznym ona i jej towarzyszki były najpotężniejszymi ludźmi w całym imperium. Najlepszymi wojowniczkami na świecie.

A więc to one powinny władać Calnią. I nie tylko Calnią, ale całym światem. To one powinny mieszkać na Górze Słońca, to ich zachcianki powinni spełniać młodzi, wysportowani mężczyźni, to one powinny zażywać grzybów w szalasię potów i być wachlowane łabędzimi skrzydłami.

A zamiast tego były służkami Ayanny.

To się musi zmienić. I zmieni się już niedługo. Ale Sofi Tornado, choć silna i obdarzona talentem do walki, nie była nikim więcej jak tylko posłuszną służebnicą, która prędzej wymaże się mysią krwią i rzuci do dołu z wygłodzonymi grzechotnikami, niż przeciwstawi się ustalonemu porządkowi rzeczy. Dopóki żyje, nic się nie zmieni.

Więc musi zginąć.

Tylko jak? Jak zabić człowieka, który zna przyszłość?

Gdy nasunęła jej się odpowiedź na to pytanie, aż plasnęła się dłonią w czoło. Oczywiście. Trzeba zabić ją tak samo, jak Malilla

zabiła pierwszą dwusetkę swoich ofiar. We śnie!

Już dłuższy czas czekała na dogodną okazję. Dziś w nocy ma wartę z Jutrzenką. Wszystkie kobiety będą pogrążone w głębokim śnie po całym dniu forsownego biegu. Nikt więc nie powstrzyma jej przed zadaniem decydującego ciosu.



ROZDZIAŁ 6

Kto jest głupi?

Harowanie szli na zachód, zapuszczając się coraz głębiej na nieznane ziemie.

Wiejący im w twarz orzeźwiający wietrzyk nie utrudniał marszu, ale wręcz go ułatwiał, bo odpędzał co mniejsze żywiące się krwią insekty. Wokoło śpiewały ptaki. Sassa Gryziwarga nigdy nie słyszała tylu różnych ptasich głosów naraz, nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że części z tych ptaków nigdy nie widziała na oczy. Pieśń wprowadzała w drżenie powietrze naokoło, rozmaite trele, gwizdy i skrzeki kontrapunktowało wesołe kwakanie kaczek z pobliskiego stawu. Gdzieś w tym

hałasie dał się słyszeć dźwięczny trel drozda, który wprowadził ją w wybitnie dobry nastrój.

Kochała się z Wulfem przed wschodem słońca. Prowadzili teraz nowe życie – trudno o lepszy czas na dziecko. Freja sprzyjała odważnym, a któż jest odważniejszy od tego, kto dzielnie stawia czoła nieznanemu? Kto wędruje przez ziemie rojące się od potworów i morderczych plemieńców, wierząc na słowo przygłupiemu dziecku? Odważniejszy czy głupszy? Naszła ją wątpliwość. Czy Freja sprzyja też głupcom?

Poranek był zbyt piękny, by mogło być inaczej. Nie umiała sobie wyobrazić, by w taki dzień mogło czaić się na nich jakieś niebezpieczeństwo. Powietrze było przesycone ostrym zapachem późnej wiosny, który kojarzył jej się z płodnością, z budzącym się nowym życiem. Splątane lasy roiły się od hasających po gałęziach wiewiórek, w powietrzu śmigały rozhulane ptaki, nie milknąc ani na chwilę. Indyki biegały wokoło jak głupie, chowały się za karłowatymi, patykowatymi drzewami, zza których było je doskonale widać. Króliki wskakiwały do nor i z nich wyskakiwały. Żółwie o szponiastych łapach, dziobowatych mordkach i spanikowanych oczach zsuwały się po błotnistych rynnach do przydrożnych bajor.

Od czasu do czasu musiała przeskakiwać nad drzewem powalonym przez niedawne burze. Za każdym razem, gdy się na takie natykali, Gurd Zadrzykiecka przeklinał „leniwych skrælingów, którzy tak zapuszczają własne trakty”, a potem recytował długą listę ich pozostałych wad i przywar. Sasse szybko zmęczyła ta nieuzasadniona złośliwość, zwolniła więc kroku i zrównała się z Ottarem Niemową i Frejdis Złośliwą.

– Czy możemy z Ottarem iść z tobą za rękę? Prosimy!

– Jasne – odpowiedziała.

Dłoń Frejdis była chłodna i lekka w jej prawej ręce. Ottar uwiesił się na lewej dwiema spoconymi łapkami. Szli rażno

przed siebie, wypełniając płuca zapachem zbliżającego się wielkimi krokami lata i podpatrując przemykające tu i tam zwierzątka, aż Frejdis spytała:

– Sasso Gryziwargo, czemu nie macie z Wulfem dzieci?

– Bo...

– Bo dzieci to same kłopoty – przejął podbiegający do nich Wulf. – Jak człowiek ma dzieci, to nie może zająć się sobą, bo musi zajmować się nimi. Czy lubisz się bawić, Frejdis?

– Tak.

– My też, ale jak się ma dzieci, to już nie ma się kiedy bawić. Więc pobawimy się z Sassą jeszcze parę lat, pozajmujemy się sobą, a potem pomyślimy o zrobieniu kilku małych człowieczków.

– Już rozumiem.

– Czy nie masz nic przeciwko, mała Frejdis?

– Nie mam, Wulfie zwany Grubym.

– Miło to słyszeć. – Wojownik zmierzwił jej włosy, a Frejdis zachichotała.

– Ale jak się robi tych małych człowieczków?

– A o tym opowie ci już Sassa – odparł i pobiegł na czoło pochodu.



Wkrótce wyszli z lasu na szerokie pole porośnięte wysoką trawą. Na sięgających pasa źdźbłach kiwały się na wietrze żuki i świerszcze, a pod nogami szeleściły drobne polne zwierzątka i mieszkające przy ziemi ptactwo. Gdy spojrzała na południe, zobaczyła unoszącą się znad ziemi pomarańczową mgłę, która rzędząc, ukazywała coś, co wyglądało Sassie na wielkie brązowe narzutowe głazy. Lecz wtedy jeden z tych gładów poruszył się,

a drugi wydał z siebie głęboki, gardłowy pomruk, jakby chrapanie olbrzymiej żaby.

– Bizon! – zdumiała się Gryziwarga.

Nigdy wcześniej nie widziała żywego bizona, tylko sprawione mięso, które przywozili im Goachikowie. Zwierzęta były większe, niż sobie wyobrażała. Ich masywne łby i wielkie, kudłate bary wydawały się wręcz kolosalne przy znacznie mniejszych zadach. Nawet z tej odległości tchnęły potęgą.

– A te mniejsze, jasnobrązowe zwierzątka obok? – zaciekawiała się Frejdis.

– To chyba młode.

– Ooo! Czy możemy podejść bliżej i popatrzeć? Proszę, Sassa! – Dziewczynka szarpała ją za ramię.

– Nie, lepiej je zostawmy.

Ottar Niemowa uwiesił się z drugiej strony.

– Ottar mówi, że musi pójść je obejrzeć.

– Wcale nie musi, po prostu chce. – Sassa wryła się nogami w ziemię. – To różnica. A teraz chodźcie, spotkamy jeszcze całe stada bizonów. Zdążą się wam znudzić.

Mruczenie i porykiwanie toczyło się po trawiastej równinie.

– Mnie się nigdy nie znudzą – zadeklarowała Frejdis.

– Nigdy nie mów nigdy. – Sassa pomachała palcem.

– Przecież ty właśnie powiedziałaś, i to dwa razy! – Frejdis podskoczyła i zachichotała.



Niedługo później dobiegł ich nieznany dźwięk – podekscytowane wysokie trele. Z długiej trawy wyskoczyły na udeptaną ścieżkę trzy małe szopy. Zaczęły biegać im pod nogami, obwąchując buty i trajkocząc jak najęte.

Oto zwierzęta stworzone przez łagodnego boga, pomyślała Sassa na ich widok. Kucnęła z dziećmi i wyciągnęła rękę do zwierzątek. Młode, ufne stworzonka powąchały ich dłonie, a potem zaczęły je lizać i skubać delikatnie zębami.

Miały małe białe uszka, lśniące kartoflowate noski, pasiaste ogony, pozlepiane futerko i głębokie, błagalne, niemal dziecięce oczy. Sassa doszła do wniosku, że są tak słodkie, że aż chce się człowiekowi płakać. Dzieci chyba zostałyby tu z nimi na zawsze, gdyby Wulf nie cofnął się od czoła pochodu i nie kazał im ruszać.

Frejdis i Ottar usłuchali, choć z widocznym ociąganiem, ale małe szopy pobiegły za nimi aż do lasu.

Ottar pociągnął Sassę za rękę i pokazał zwierzątko palcem.

– On chciałby je zatrzymać – przetłumaczyła Frejdis.

– Ich mama będzie za nimi tęsknić – przestrzegła Sassa.

– Pewnie nie żyje, skoro tak same biegają – powiedział Wulf.

Sassa zgromiła go wzrokiem.

– Może myślą, że teraz ich mamą jest Ottar? Idźmy dalej i zobaczmy, co się stanie.

Szopy wciąż biegły za nimi. Sassa rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła matki. Jedynie Garth Kowadłogęby i Thyri Drzewonoga – dzisiejsza tylna straż – nadganiali grupę.

– No, skoro chcą z nami iść, to chyba...

– Czołem – przywitał się Garth i wyciągnął rękę do zwierząt. – Widzę, że mięsko przyszło.

Sassa zaśmiała się. Myślała, że Garth żartuje i chce je tylko pogłaskać. Ale nie, hirdman złapał jedno zwierzę za grzbiet i z trzaskiem skręcił mu kark. Szop zawisł mu w rękach.

Na moment zapadła cisza. A potem Ottar wrzasnął, wyrwał się Sassie z ręki i rzucił na Gartha, który osadził mu dłoń na głowie i trzymał go na długość ramienia. Chłopiec machał piąstkami, krzycząc coraz głośniej, a Garth rechotał.

– Thyri, zajmij się pozostałymi, co? – powiedział.

Thyri zrobiła krok w kierunku szopów, które drżały przykucnięte, gapiąc się na martwego braciszka.

– Zostaw je, Thyri – odezwał się Wulf.

– Dobra. – Thyri wzruszyła ramionami.

– Rób, co mówię – rzekł Garth, uśmiechając się zupełnie bez wesołości.

– Wulf jest głową hirdu. Jego będę słuchać.

– Nie jesteśmy już na terytorium Harówki. Nie ma już żadnego hirdu, a coś, czego nie ma, nie może mieć głowy. Jesteśmy tu sami, musimy przeżyć, potrzebne nam mięso, a te zwierzęta to mięso, które zjemy dzisiaj na obiad.

– Mamy dość mięsa wokoło, a te chudzinki nie nadadzą się nawet na zupę. Jeśli tak bardzo chcesz je zabić, zrób to sam. – Z tymi słowy Thyri ruszyła ścieżką.

– Tak też zrobię. – Garth odsunął Ottara na bok.

– Nie, nie zrobisz – powiedział Wulf.

– Nie możesz mi rozkazywać.

– Mogę. Te zwierzęta są pod moją ochroną. Puszczę ci płazem zabicie jednego, bo o tym nie wiedziałeś. Pozostałych dwóch nie ruszysz palcem.

– A jak ruszę?

– To będziemy mieli problem. – Wulf, nie przestając się uśmiechać, zacisnął rękę na trzonku Groma.

Ręce Gartha pełzły do Ponurych Bliźniaków. Serce Sassy waliło jak obżarty grzybami nadpobudliwy skræling w wojenny taraban. Złapała za swój żelazny nóż.

Garth postąpił naprzód.

– Jesteś żałosny, Wulf. Czym te zwierzęta różnią się od jeleni, które codziennie zabijamy dla mięsa? Tym, że są takie urocze?

Sassa musiała przyznać, że Garth ma nieco racji.

Uśmiech Wulfa tylko się pogłębił. Grom drgał ochoczo w jego dłoni.

– Zabij któregoś, to zobaczymy, jaki jestem żaloszny.

Garth roześmiał się i uniół ręce.

– Dobra, dobra, zostawię twoje zwierzaczki w spokoju.

Sassa odetchnęła z ulgą.

– Mądra decyzja, Garth – pochwalił go Wulf. – A teraz przysięgniesz mi posłuszeństwo jako wodzowi naszego plemienia.

Wciągnęła powietrze z powrotem.

– A to niby czemu? – Garth uniół wielką, nakrytą hełmem głowę. Gdyby spędził całe życie, ucząc się aroganckiej postawy od najbardziej aroganckich ludzi na świecie, nie wyglądałby bardziej arogancko niż w tej chwili.

Wulf obdarzył towarzysza uśmiechem.

– Bo potrzebny nam wódz. Bo jestem głową hirdu, a większość z nas należy do hirdu. Teraz tylko wyznaczam warty i rozstawiam strażników, decyduję, gdzie i kiedy zatrzymujemy się na odpoczynek, ale przyjdzie czas, gdy staniemy przed ważnymi decyzjami, i dopiero wtedy odczujemy z całą mocą, że bez wodza daleko nie zajdziemy. Jeśli naprawdę chcesz być wodzem, to powiedz, zrobimy głosowanie. Ale do tego momentu będziesz robił, co ci mówię. Czy to jasne?

Palce Gartha zacisnęły się na trzonkach toporów, śmiech igrał w kącikach jego ust. Wulf wydawał się spokojny, ale knykcie dłoni ściskających młot były białe.

Czy Wulf pokonałby Gartha? Sassie zrobiło się niedobrze. Obydwaj mężczyźni trenowali walkę od wielu lat, codziennie, całymi dniami, obydwoj byli młodzi i w pełni sił, ale Garth był wyższy i miał dwa topory na jeden młot Wulfa oraz metalowy pancerz i hełm, a Wulf tylko skórnię.

– Co myślisz, Thyri?

– W dupie mam szopy, ale powinieneś słuchać Wulfa. To prawda, że potrzebujemy wodza, a Wulf najlepiej się do tego

nadaje. Możemy zrobić głosowanie, jeśli chcesz, ale i tak każdy zagłosuje na Wulfa. Więc zostaw te szopy i rób, co mówi, albo będziesz miał z nami do czynienia.

Sassa mogłaby uściskać przysadzistą przyjaciółkę. Miała niespełna siedemnaście lat, a już była pewniejsza siebie i dojrzała od wielu z nich.

Garth uniósł ramiona.

– Dobra, już dobra. Ty masz rację, ja się mylę. Wybacz, Wulf. Odtąd będę cię słuchał. Nie skrzywdzę tych małych zwierzątek. No, może poza tym. – Trącił stopą martwego szopa.

Ottar jęknął.

– No już, przepraszam – rzekł Garth, szczerząc zęby. – Ale za to pozostałych dwóch będę bronił, tak jakby były moimi własnymi pedalskimi zwierzątkami.



Sassa, Wulf, Ottar i Frejdis szli naprzód, przemierzając lasy i polany, a dwa małe szopy hasały im wesoło pod nogami. Czasami odbiegały na bok, zwabione jakimś ciekawym zapachem, ale zawsze w końcu wracały do Ottara.

Sassa przez dobrą godzinę nie mogła otrząsnąć się z nerwów i uspokoić kołającego serca, by znów móc cieszyć się widokiem.

– Wiesz, nie musisz wcale być wodzem – powiedziała do męża.

– Muszę. Byle głupek umie rozstawić straż i wybrać miejsce na odpoczynek, ale posiadam pewną unikalną umiejętność, która sprawia, że nie mam innego wyjścia, jak tylko objąć przywództwo – odparł Wulf.

– To znaczy?

- Jestem lepszym wojownikiem od Gartha. A nie da się nad nim zapanować inaczej niż siłą.
- To niech on będzie wodzem, jeśli tak bardzo chce.
- Nie ma mowy.
- Czemu nie?
- Bo muszę się teraz troszczyć o te dwa małe szopki.
- Ottar mówi, że one nazywają się Munin i Hugin – pisnęła Frejdis. – Jak kruki Odyna.
- Czyli Ottar jest teraz jak Odyn, no nie? – spytała Sassa.
- Tak.



Finnbogi zwany Zbukiem trzymał się czoła rozciągniętego pochodu z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Gdy tylko wrócił myślami do nocy spędzonej z Thyri, słońce świeciło jaśniej, a nogi same rwały się do marszu. Przeppełniała go wszechogarniająca miłość do wszystkiego, co żyje. Mały, spasiony ptaszek przyglądał mu się z gałęzi, a Finnbogiemu serce się krajało na myśl, że to drobne stworzenie może zaznać kiedyś smutku, zimna lub bólu.

Minionego dnia widział samotną kaczkę o zielonej głowie w grupie czarno-białych gęsi i pomyślał wówczas, że on też jest jak ta kaczka wśród gęsi, że sam jest wyrzutkiem wśród uchodźców z Harówki. Ale dzisiaj, gdy zobaczył dwie ganiające się dookoła pniaka wiewiórki, które zaraz zniknęły w tej samej dziupli, od razu pomyślał, że to jak on i Thyri.

Jego szczęście pełniło dzisiaj straż na tyłach razem z tym dupkiem Garthem, więc Finnbogi trzymał się z przodu. Z dwóch powodów: nie chciał ich widzieć razem i nie chciał, by wszyscy wiedzieli, że jest po uszy zakochany w Thyri.

– Wszyscy wiedzą, że jesteś po uszy zakochany w Thyri – powiedziała Gunnhilda, doganiając go.

– W kim? – spytał Finn.

Ciotka milczała. Finnbogi nie spojrział na nią, ale i tak wiedział, że na jej twarzy maluje się wszystkowiedzący uśmiezek, którego tak nie cierpiał.

– Myślisz, że jestem głupi, że ją lubię?

– Nigdy nie podawaj w wątpliwość miłości innych. Mędrzec znajduje piękno tam, gdzie głupiec go nie dostrzeże.

– Nie uważasz, że jest ładna?

– Ty tak uważasz i tylko to ma znaczenie. Ale jest jedna rzecz, o której musisz pamiętać.

– Czyli co?

– Udzieliłabym ci dobrej rady, ale wiem, że jej nie posłuchasz, bo jesteś młody, a więc przekonany, że jesteś inny od wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli. Inteligentniejszy, o wiele bardziej wrażliwy i tak dalej.

Nie wierzył, by Gunnhilda kiedykolwiek odczuła jakąś emocję choćby w jednej czwartej tak dogłębnie, jak Finn nieustannie odczuwał zamieszanie w swojej głowie, ale powiedział:

– Nie, nie, wcale tak nie myślę. Jestem pewien, że ty i Poppo...

– Posłuchaj mnie, Finnbogi. Wiem, że mi nie uwierzysz i będziesz się wypierał, ale jeśli przemyślisz moje słowa i zrozumiesz, że mam rację, łatwiej ci będzie zmierzyć się z przyszłością. Nie kochasz Thyri tak mocno, jak myślisz. Jeśli zaangażujesz się w to uczucie, a ona cię odrzuci, będziesz bardzo cierpiał, a im bardziej zaślepi cię twoja fascynacja, tym mniej atrakcyjny się jej wydasz. Gdy byłam młoda, cierpiałam, bo kochałam kogoś, kto nie kochał mnie. Chciałabym, o ile to możliwe, uchronić cię przed tym losem.

– Zanim ty i Poppo...?

– Tak.

- Kogo?
- Nie znasz go.
- Znam wszystkich.
- Jego nie.

Dziwne, ale Finnbogiego aż tak to nie obchodziło, by drażnić temat. Zupełnie jakby ta baba mogła kiedykolwiek kochać kogoś tak mocno, jak on kochał Thyri! Tylko po co mówi mu to wszystko? Nigdy wcześniej nie poruszała tych spraw. Czy wie coś, o czym on nie wie?

- Czy wiesz coś, o czym ja nie wiem?

Gunnhilda nie odpowiedziała.

- Ciociu?

– Przykro mi, Finnbogi, ale wydaje mi się, że Thyri jest zakochana w kimś innym.

- W kim? Chyba nie w Garcie?

Milczenie Gunnhildy potwierdziło jego podejrzenia. Głupia starucha, po co wścibia nos, gdzie nie trzeba? Czy ona wie, co zaszło minionej nocy w ich śpiworze? Nie, nie ma pojęcia. Nie chciał jej wcale o tym mówić, ale nie chciał też, by myślała, że Thyri kręci z Garthem.

- Nie o wszystkim wiesz, co ja robię z Thyri.

- Nie wiesz o wszystkim, co robimy z Thyri.

- Co?

– Tak brzmi lepiej. Słowa zupełnie ci się poplątały. Szyk zdania do niczego. „Nie wiesz o wszystkim, co robimy z Thyri”. Albo „Robimy z Thyri rzeczy, o których nie masz pojęcia”. Czy nie ładniej? Naprawdę powinniśmy bardziej się przyłożyć do twojego wychowania.

Co to ma do rzeczy, na błyszczący hełm Lokiego? Jakim sposobem Gunnhildzie udawało się być jednocześnie niemiłą, nudną i złośliwą? Ewidentnie samorodny talent do bycia zołąą.

- Co tak zamilkłeś? Źle się czujesz?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak, na pewno! Posłuchaj mnie, ciociu, nie wiesz o wszystkim, co... znaczy są rzeczy, o których nie wiesz, a...

– Nie, teraz było dobrze za pierwszym razem.

Na cycki Lokiego!

– Dobrze. A więc, ciociu, nie wiesz o wszystkim, co jest między mną a Thyri. Robiliśmy rzeczy, o których nie wie nikt poza nami. Wiem, że próbujesz mnie chronić i uważasz, że postępujesz słusznie... – To nieprawda, po prostu próbuje podciąć mu skrzydła, bo jest perfidna i wredna. – Ale zapewniam, że nie masz się o co martwić. Dobrze nam razem i pasujemy do siebie. Wszystko będzie w porządku, zobaczysz.

– A więc dobrze – powiedziała Gunnhilda głosem, którym Finn zbywał Frejdis, gdy już nie miał siły się z nią kłócić o to, czy naprawdę widziała fioletowego smoka pożerającego goblina. – Nie próbuj dojść do porozumienia z człowiekiem owładniętym szalem, żądza i mędrców czyni głupcami.

Dokładnie tak! – pomyślał Finnbogi, a potem pomyślał jeszcze trochę i w końcu nie wiedział już, co ma myśleć.

Wędrowali w ciszy, aż na drogę przed nimi wyskoczył jelen. Stał nieruchomo przez kilka sekund z zaskoczonym wyrazem pyska, a potem dał susa w zarośla i zniknął między drzewami.

– Jak to możliwe – chciał wiedzieć Finn – że takie głupie zwierzę nie ginie przed osiągnięciem takich rozmiarów?

– Głupie? W jakim sensie?

– Mogliśmy naszpikować je strzałami albo zagryźć, gdybyśmy byli wilkami lub lwami. A ten głupi jelen po prostu sobie stał.

– A naszpikowałeś go strzałami albo zagryzłeś?

– No nie.

– To kto jest głupi?

Na dupę Thora, szlag mnie trafi z tą babą! – pomyślał Finn.



Tego dnia Finnbogi widział więcej zwierząt, niż widywał zwykle przez miesiąc, ale po dołującym wykładzie ciotki Gunnhildy nie zwracał już na nie uwagi. Nie widział Thyri cały dzień, choć ciągle miał ją przed oczami. Kiedy nie myślał o ich nowym domu na Łąkach, wyobrażał sobie, że na jej oczach odnosi miażdżące zwycięstwo nad Garthem.

Ale później owe słodkie jak miód fantazje zrobiły się gorzkie jak dziegieć. Teraz jego zdradliwy umysł podsuwał mu wizje Thyri uciekającej gdzieś z Kowadłogębym i jego, Finna, budzącego się samego w śpiworze. Wyobraził sobie też, że gdy już dotarli do celu podróży, Garth został królem, Thyri uczynił królową, a Finnbogiego najnędrniejszym ze sług. Przeklinał Gunnhildę za to, że wypełniła mu głowę tymi swoimi bzdurami.

Ale wszystko było w porządku. Gdy tylko Drzewonoga dotarła do obozu, przybiegła do niego i zarządziła natychmiastowy trening z bronią.

Ćwiczenia okazały się tego dnia wybitnie ciężkie. Nie dość, że laził cały boży dzień, to jeszcze Thyri dała mu o wiele większy wycisk niż poprzednio. Ale i tak był wdzięczny losowi za każdą minutę treningu. Serce rwało mu się z piersi, gdy była u jego boku, no i tym razem nie tłukła go drewnianym mieczem.

Kiedy przyszedł czas na sen, przysunął się do niej i otoczył ją ramieniem, zanim go o to poprosiła. Ona zaś mruknęła przeciągle, tak jak poprzednio, a potem błyskawicznie zasnęła.



ROZDZIAŁ 7

Pięć kroków

Sofi Tornado usłyszała, jak Yoki Choppa człapie w kierunku strumienia. Przestała się myć.

- Wiesz o Malilli? – spytał.
- Że zamierza mnie zabić?
- Z pomocą Jutrzenki i Caliski.
- Kiedy?
- Dziś w nocy. Podczas swojej warty z Jutrzenką.
- A to spryciara.
- Czy mam...?

– Nie ma potrzeby. Ale dzięki.
Yoki kiwnął głową i poszedł sobie.



Malilla Puma i Jutrzenka zakradły się bezszelestnie na polanę, gdzie spały owslanki. Miały broń w pogotowiu. Malilla trzymała w ręku swój kostur, a Jutrzenka maczugę o dwóch obuchach.

Nocą zwykle każdy dźwięk wydawał się głośniejszy, ale teraz nawet szelest trawy brzmiał w uszach Malilli jak nawałnica. Wrażenie potęgowało dzikie bicie jej serca oraz myśl o mającym się zaraz dokonać morderstwie. Czuła, że jej przodkowie kibicują jej z zaświatów. Od zawsze wiedziała, że byli lepszymi i ambitniejszymi ludźmi od jej zdurniałych rodziców. Szum leśnych owadów musiał być głośniejszy niż harmider na placu Innowaka, a mimo to słyszała przecież pochrapywanie kobiet tak wyraźnie, jakby wrzeszczały jej do ucha. Najgłośniej ze wszystkich piłowała Chogolisa. Jej sylwetka odznaczała się rozmiarami na tle pozostałych wojowniczek – przypominała raczej zarys garbatej niedźwiedzicy niż człowieka. Najciszej chrapała Luby Zefir, która spała zaraz obok Sofi Tornado. Malilla miała nadzieję, że uda się uniknąć walki z pozostałymi kobietami, ale jeśli Luby lub ktokolwiek inny stanie między nią a Sofi, ręka jej nawet nie drgnie przed wysłaniem ich na tamten świat wraz ze znieawidzoną dowódczynią.

Po przeciwnej stronie obozu podniósł się z ziemi jakiś kształt i pomachał toporem. Caliska Kojot. Wszystko zgodnie z planem. Malilla zabije Sofi, a Jutrzenka będzie ją osłaniać, gdyby pozostałe dziewczyny robiły problemy. Caliska stała na czatach, gotowa w razie czego wkroczyć do akcji.

Malilla i Jutrzenka skradały się teraz w kierunku Sofi.

Pierś dowódczyni unosiła się i opadała. No proszę, jak smacznie śpi. Niebawem zaśnie na wieki.

Malilla uniosła kostur i złożyła się do ciosu. Uderzyła.

Sofi jednak przetoczyła się na bok. Kostur trafił w kamień, trzasnęło drewno. Siła uderzenia była tak duża, że mrowienie w ręce wybiło Malillę z rytmu, nie widziała więc, jak Sofi wyprowadza mordercze kopnięcie w brzuch. Puma poleciała do tyłu i wryła się nogami w ziemię, próbując odzyskać równowagę. Jutrzenka wpadła między nie, okręcając maczugę w dłoni, ale dowódczyni odskoczyła od niej, zawirowała i powaliła ją na ziemię ciosem na odlew tępą stroną topora.

Caliska Kojot cisnęła swoim w Sofi, ale ta złapała go w locie i powiedziała:

– Zostań, gdzie jesteś, a może pozwolę ci żyć. Rusz się, a zginiesz.

Caliska usłuchała.

Luby Zefir rzuciła się na Malillę, ale ta obezwładniła ją ciosem od dołu – kobieta zakołysała się na nogach i wyrznęła bezwładnie o ziemię.

Malilla zawahała się. Dalsza walka nie miała sensu wobec znacznej przewagi Tornado. Sęk w tym, że jej przerwanie było równie bezsensowne, bo jeśli się podda, zostanie stracona i zjedzona za swoją zdradę, zwłaszcza teraz, gdy powaliła Luby Zefir. Brutalny dotyk wielkich łap Chogolisy przyjęła niemalże z ulgą, bo wiedziała już, że decyzja nie należy do niej.

Reszta kobiet już się obudziła, wszystkie zbierały się wokół z dobytą bronią.

Dowódczyni powiodła wzrokiem po zdrajczyniach i powiedziała:

– Sadsi, zobacz, co z Luby.

Następnie podeszła do Malilli.

– Rozłóż jej ręce – nakazała Chogolisie, a olbrzymka wykonała

polecenie.

Malilla próbowała się wyrwać, ale nie miała najmniejszych szans z mocarną Zadrzyziemią. Dłonie olbrzymki zsunęły się z jej bicepsów na nadgarstki i rozłożyły je szeroko na boki, aż chrupnęły jej stawy.

Sofi uniosła swój topór.

– Nie chcesz wiedzieć dlaczego? – Malilla przygotowała na taką ewentualność całą opowieść. Miała zamiar opisać ze szczegółami cały spisek, w który zamieszana była sama cesarzowa, z nadzieją, że w ten sposób wybląga u dowódczyni litość lub może kupi trochę czasu, by obmyślić plan ucieczki.

– Ja wiem dlaczego.

Ostrze topora wżarło się głęboko w ramię Malilli, ale nie odcięło go od ciała. Sofi wyrwała broń z rany i wbiła ją w drugie ramię. Ociosany kamień przeciął ciało i skruszył kości. Malilla nie czuła bólu, lecz tylko bezbrzeżne zdumienie.

– Rwij – rozkazała Sofi olbrzymce.

Chogolisa napięła mięśnie, a Malilla poczuła, że jej własne rwą się na strzępy i w końcu pękają. Chogolisa rzuciła jej oderwaną rękę na drzewo, a szarpnięcie za drugą niemal powaliło Malillę na kolana. Olbrzymka podniosła ją za kark, a potem znów szarpnęła potężnie. Oderwała drugą rękę, którą cisnęła na drugie drzewo, po przeciwnej stronie obozu.

Malilla wciąż nie czuła bólu. Patrzyła na całe zajście, jakby była tylko obserwatorką, ptakiem na gałęzi. A może była? Może już nie żyła i jej dusza wniknęła do ciała ptaka?

Stała prosto, pozbawiona już rąk. Wszystkie kobiety na nią patrzyły. Zrobiło jej się słabo, ale czuła się lżejsza. Zrobiła krok naprzód. Najdłuższa podróż rozpoczyna się od tego pierwszego, a potem trzeba tylko stawiać kolejne. Jak daleko stąd do Calnii? Jeśli będzie tak szła, nie potykając się po drodze, to chyba uda jej

się dotrzeć do domu? Bez rąk była o wiele lżejsza, więc będzie szła szybciej.

Po pięciu krokach padła na ziemię.



ROZDZIAŁ 8

Rimilla i Potsi

Kora brzozy jest najlepsza – wyjaśnił Kif Berserk, wywołując konsternację u Sassy Gryziwargi, która zdradziła się tylko z przypuszczeniem, że skoro Chnob z taką łatwością niesie jego łódkę, to musi być bardzo lekka. Ale Kif usłyszał chyba: „Proszę, opowiedz mi wszystko o swojej zmyślnej łódce i ogólnie o budowie łodzi, gdyż umieram z niecierpliwości, by zgłębić tajniki szkutnictwa. Jeśli w którymś momencie wydam ci się znudzona, nie przejmuj się, zapewniam, że spijam każde słowo z twoich ust i chętnie jeszcze raz posłucham o konstrukcji rufy”. – A jak nie masz pod ręką brzozy – ciągnął Kif – to możesz

skorzystać z kory wiązu, świerka lub nawet zwierzęcej skóry. Ale nie ma to jak brzoza, brzoza rządzi.

– Dlaczego? – usłyszała swoje własne słowa. Dziś rano znowu kochała się z Wulfem i tym razem była pewna, że zaszła w ciążę. Była tak szczęśliwa, że nawet nie przeszkadzała jej paplanina Berserka.

– Jeszcze pytasz? Bo nie rozciąga się ani nie kurczy. Bo ma gładką fakturę, bez sęków. Zrywa się ją z drzewa długimi, szerokimi pasmami. Widzisz? – Przyskoczył do Chnoba i postukał palcem w kadłub.

– Teraz rozumiem. I cała jest z brzozy?

– Cała z brzo...? Czyś ty zwariowała?

– Najwyraźniej.

– Odynie, broń mnie przed prostymi kobietami! Szkielet robi się z cedru, bo łatwo się go obrabia i jest lekki. Wiosła i elementy poprzeczne robisz z klonu, bo... Zresztą czekaj, pokażę ci. Chnob, daj mi tę łódkę na momencik.

Chnob Biały zrobił, co mu kazano, a Sassa zauważyła, że jego obszerna broda, z której był tak dumny, nie była już taka obszerna jak jeszcze kilka dni temu.

– Co się stało z twoją brodą? – zainteresował się Kif.

– A jak myślisz? Robi mi się gorąco, gdy dźwigam tę twoją łódkę, więc ją przyciąłem.

– Wyglądasz jakby normalniej. – Kif uniósł brew. – To do ciebie nie pasuje.

– Pęknię ze śmiechu.

– No, Sassa, porównaj kolor i fakturę drewna, z którego zrobiony jest szkielet, do...

Sassa przestała słuchać. Zamiast o belkach i poprzeczkach zaczęła myśleć o imieniu dla dziecka. Może Vifil, po jej bracie, gdyby to był chłopiec i Wulf nie miałyby nic przeciwko temu? Na pewno nie Chnob ani Kif.



Okolo południa dogonili przednią straż, która wstrzymała pochód, bo napotkała na drodze ludzi – skrælińską kobietę mniej więcej w wieku Sassy z na oko dwuletnim chłopcem. Kobieta wyglądała na zdenerwowaną – nie dziwota, skoro górowali nad nią Wulf, Bjarni i Garth. Była ubrana jednocześnie zwyczajnie – miała na sobie prostą, lecz ładną skrælińską sukienkę, podobną do tych noszonych przez kobiety Goachików, ozdobioną kwiatami z kolców jeżozwierzka i spiętą w pasie skórzanym paskiem – i dziwnie, bo nad jej głową sterczały królicze uszy, a zza pasa zwisało sześć pasków z bizoniej skóry. Chłopiec miał tylko uszy.

– Rimillo, Potsi, to moja żona Sassa Gryziwarga – przedstawił ją Wulf.

Sassa skinęła im głową.

Kobieta uśmiechnęła się uprzejmie, a chłopiec podniósł na nią wielkie oczy.

– Sasa Gigigaga – powiedział.

– Może być. – Mrugnęła do niego, a chłopczyk zachichotał i schował twarz w rączkach.

– Sasso Gryziwargo, to jest Rimilla i jej syn Potsi.

– Cześć, Rimillo i Potsi – przywitała się łuczniczka.

– Rimilla jest Lakchanką – oznajmił Wulf. – Główna osada jej plemienia znajduje się jakieś pięć mil stąd. – Wulf wskazał na południe. – Jej królicze uszy i pajęcze nogi, bo te paski skóry to nogi, reprezentują Króliczkę i Pajęczą Matkę, dwie boginie Lakchanów.

– Właściwie nie są boginiami w ścisłym sensie – powiedziała Rimilla z akcentem podobnym do goachikańskiego. – Ale jednak w jakiś sposób są. Trudno to dokładnie wytłumaczyć, dlatego

obcym mówimy zwykle, że to boginie, i już. Najważniejsze jest to, że reprezentują dwoistość ludzkiej natury.

– Dobro i zło? – spytała Sassa, wodząc wzrokiem od Wulfa do Gartha.

– Mniej więcej, ale to trochę bardziej skomplikowane. Potsi ma królicze uszy, ale nie ma pajęczych nóg przy pasku. Nie oznacza to, że jest w całości dobry, bo potrafi być psotny i uparty, ale zachowuje niewinność nawet wtedy, gdy jest niegrzeczny. Robi więc rzeczy, które są uważane za złe, ale nie jest jeszcze zdolny do czynienia zła z premedytacją tak jak Pajęcza Matka. Gdy zacznie być samolubny i złośliwy, wtedy dostanie pajęcze nogi i nowe imię. To ten dzień w życiu pociech, którego obawiają się wszyscy lakchańscy rodzice.

– Cnotliwość i niegodziwość toczą bój w sercu śmiertelnego człowieka. Nikt nie jest na tyle dobry, żeby być wolnym od wad, ani na tyle zły, żeby nie mieć zalet – włączyła się do rozmowy Gunnhilda.

– W rzeczy samej – potwierdziła Rimilla.

– Kiuiczka... – gaworzył Potsi, pokazując nieudolnie swoje królicze uszy.

Kobieta wciąż była spięta. Pojawienie się Gurda i Fiska, którzy wraz z pozostałymi mężczyznami uformowali „gang drabów łąpiących spode łba na kobietę z dzieckiem”, nie pomagało jej się uspokoić.

– Może zjesz z nami obiad? – zaproponowała Sassa, chcąc, by zabrzmiało to jak zaproszenie, a nie groźba. – Opowiesz nam wszystko o Lakchanach. My pochodzimy z osady Harówka.

– Wiem, kim jesteście.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Garth zrobił krok w jej stronę.

Lakchanka nie ruszyła się z miejsca. Przygarnęła tylko do siebie Potsiego i utkwiała w Harowianinie niezłomne spojrzenie.

Był prawie dwa razy większy od niej.

– Handlujemy z Goachikami. Wymieniamy opowieści. Kiedy sto lat temu na nasze ziemie przypłynęli obcy, wieści o tym obieły wszystkie plemiona i mieliśmy was na oku. Ciekawe jest to, że wy nie wiecie o naszym istnieniu, choć przecież jesteśmy sąsiadami. Nie jesteście zbyt dociekliwym ludem, prawda?

– Nie byliśmy – powiedziała Sassa, delikatnie kierując kobietą, tak by oddaliły się od Gartha i reszty. – Ale powoli się zmieniamy. Może więc opowiesz mi o Lakchanach, gdy ja będę z Wulfem przygotowywać jedzenie?

Począs posiłku Sassa wchłonęła tyle wiedzy o pleminiu Rimilli, ile tylko zdołała. Lakchanka była najbardziej inteligentną i zrównoważoną kobietą, jaką Sassa spotkała w życiu. I wydawała się mieć poczucie humoru. Dziwne było tylko to, że Rimilla nie spytała jej, co robią na terytorium Lakchanów, tak daleko od Harówki. Sama nie poruszyła tematu najazdu.

Gdy kończyli suty posiłek, Rimilla spytała:

– Dlaczego zwą cię Gruby Wulf? Przecież nie jesteś gruby.

– Bo mam grubego drąga – odparł Wulf z kamienną twarzą.

Rimilla obrzuciła go zdumionym spojrzeniem, a potem roześmiała się dźwięcznie.

– Bo był gruby jako dziecko – wyjaśniła Sassa.

– Jako dziecko z grubym drągiem. – Wulf mrugnął do gościa.

– Ale od tamtego czasu schudł. Wszędzie.

Rimilla tak się śmiała, że Sassa przez chwilę bała się, że pęknie.

Zostawiła gościa z Wulfem, a sama dołączyła do Frejdis i Ottara bawiących się z Potsim. Chłopcu najbardziej podobała się zabawa w chowanego. Sassa włączyła się do gry, początkowo z ociąganiem, bo Gurd, Fisk i Garth mierzyli ją nieprzychylnym wzrokiem, wkrótce jednak wczuła się na tyle, że przestało ją to

obchodzić. Cała czwórka biegała między drzewami, zanosząc się śmiechem, a między nimi przemykały małe szopy.

Po jakimś czasie przyszedł Wulf, ciągnąc za sobą niechętnego Finnbogiego. Urządzili wyścigi na czworakach, w których każdego dorosłego dosiadało jedno dziecko i czasami szop. Sądząc po radosnych wrzaskach i śmiechu, dzieci chyba jeszcze nigdy tak dobrze się nie bawiły. Zwykle skwaszony Finnbogi śmiał się tego popołudnia więcej niż przez całe życie w osadzie, choć gdy pojawiła się Thyri, rechotał jakby oszczędniej i bardziej męsko.

Niektórzy Harowianie spoglądali na nich z uśmiechem. Za to Garth i jego kompania nie przestawali mierzyć ich gniewnymi spojrzeniami. Walić ich, pomyślała Sassa. Trzeba być nudziarzem i głupkiem, by nie móc od czasu do czasu pozwolić sobie na bycie dzieckiem.



Gdy nadeszła pora pożegnania, Potsi płakał, jakby ktoś mu wyrwał rękę. Ottar szlochał pod nosem i nawet dzielna mała Frejdis miała zaczerwienione oczy.

Sassa odwróciła się, by pomachać im ostatni raz, a wtedy Rimilla krzyknęła do niej:

– Poczekaj chwilę!

Drobna kobieta podrzuciła Potsiego na biodro i podbiegła w ich stronę. Sassa ruszyła do niej wraz z Wulfem i Garthem.

Rimilla łypnęła na Kowadłogębego, a potem przybrała taki wyraz twarzy, jakby coś sobie postanowiła.

– Calnianie kazali was zabić – wyznała.

– Wiemy – powiedział Garth. – Zabili większość z nas.

– Tak, ale wy, ocalali, wciąż jesteście w niebezpieczeństwie.

Calnianie kazali wszystkim plemionom zabić każdego

napotkanego grzyboluda. Za nieposłuszeństwo grozi śmierć.

Żołądek Sassy wywrócił się na drugą stronę.

– Grzyboluda? – zdziwił się Wulf.

– Tak nazywają was Calnianie.

Garth postąpił w jej stronę.

– Mamy rozumieć, że wrócisz teraz do swojego plemienia i wypaplesz, gdzie nas widziałaś i dokąd idziemy?

– Nie! Przysięgam na życie Potsiego, że nikomu nic nie powiem. Ale musicie być od teraz ostrożni. Najlepiej by było, gdybyście zeszli z drogi i zapadli w lasy, ale lasami nie da się wędrować, chyba że bardzo dobrze się je zna. Zostańcie więc na trakcie, ale wystawiajcie warty. Jeśli kogoś zobaczycie, upewnijcie się, że sami pozostaliście niezauważeni. Jeśli z najbliższej polany ruszycie na północny zachód, nie powinniście już nikogo spotkać.

– Aż do momentu, gdy trafimy na ziemie kolejnego plemienia.

– Sassa zauważyła, że Garth ściska swoje topory. Rzuciła okiem na Wulfa. On też to zauważył.

– To prawda, ale skoro was ostrzegłam, będziecie mieć się na baczności i wszystko będzie dobrze.

– Czemu nie powiedziałaś nam tego wcześniej? – spytał Wulf.

– Bo obawiałam się, że mnie zabijecie, żebym nie powiedziała o was swoim ludziom.

– I miałaś rację! – Garth zamachnął się na Rimillę toporem, ale młot Wulfa wystrzelił naprzód i odtrącił ostrze na bok. Rimilla padła na ziemię, tuląc do piersi syna. Sassa cofnęła się o krok, zdjęła łuk z pleców, oparła go o ziemię, by naciągnąć strzałę, i wymierzyła w Gartha. Wszystko to zajęło jej dosłownie chwilę. Ćwiczyła manewr minionej nocy i była z siebie dumna, że w nerwach nie poplątały jej się ręce.

Garth i Wulf wyprostowali się na całą wysokość, mierząc się wilczym wzrokiem. Garth miał Bliźniaki w rękach. Kostki

zaciśniętej na Gromie dłoni Wulfa robiły się coraz bielsze.

Garth odezwał się pierwszy:

– To jest właśnie ta rzecz, o której rozmawialiśmy. Trudna decyzja, którą musi podjąć wódz. A przynajmniej trudna moralnie, bo zabicie tej kobiety i jej szczeniaka to dziecinna igraszka. Ona musi zginąć, Wulf. Od tego zależy nasze bezpieczeństwo.

– Dała nam słowo. Ufam jej.

– Jesteś słaby.

– Stań do walki, przekonamy się.

Garth potrząsnął głową. A potem cofnął się o krok, odwrócił i pobiegł na pobliskie wzgórze.

– Idźcie – powiedział Wulf do Rimilli, nie odrywając oczu od Gartha. – Ale idźcie szybko.

Rimilla zebrała się z ziemi wraz z Potsim i wbiegła między drzewa. Sassa i Wulf wzrokiem podążyli za Kowadłogębym na wzgórze.

– Co masz zamiar zrobić z Garthem? – spytała Sassa.

– Zobaczymy.

Kowadłogęby wbiegł na szczyt wzgórza, gdzie stali już Fisk i Gurd. Wszyscy trzej obejrzel się na Wulfa, a potem powiedli wzrokiem za uciekającą kobietą.



Wulf wstrzymał pochód i powiedział Harowianom, czego dowiedział się od Rimilli.

– Czy możemy jej ufać? – spytał Gurd Zadrzykiecka, wpijając się w wodza błękitnymi oczami. – Ta baba jest tępa jak drewniany miecz, a jej plemię pewnie niewiele mądrzejsze.

– Skąd ten wniosek? – spytał Wulf.

– Powiedziała, że te sześć pasków symbolizuje pajęcze nogi.

– No i?

– Pająki mają osiem nóg.

– A ile mają ludzie? – indagował Wulf.

– No, dwie.

– A dwa i sześć daje razem...?

– Daje... Aha.

– Wracając do tematu – podjął wódz – musimy uważać na skrælingów. Nie wolno nam pozwolić, żeby któryś nas zobaczył.

– A jeśli my zobaczymy jakiegoś: mężczyznę, kobietę, dziecko, nieważne, musimy go zabić – powiedział Garth.

– Nie – zaprzeczył Wulf. – Pomyśl, zanim coś powiesz. Jeśli skræling cię zobaczy i zacznie uciekać, wtedy owszem, zatrzymaj go. Ale postąpimy o wiele rozważniej, jeśli będziemy mieć oczy szeroko otwarte i będziemy podróżować w ukryciu. Nie wolno nam rozmawiać w drodze. Nocami będziemy rozpalać tylko małe, zakryte ogniska, żeby móc przygotować strawę.

To oznacza, że ja i Thyri będziemy musieli bardziej się do siebie tulić, wywnioskował błyskawicznie Finnbogi, czując natychmiastowe mrowienie w dolnych partiach ciała.

– Będziemy musieli mieć oczy dookoła głowy – dodał Garth. – Wulf pozwolił kobiecie ujść z życiem, więc na pewno zdradzi nas swoim ludzom.

– Nie zrobi tego, Garth. Ufam jej.

– A jej dziecku też ufasz? Czy uznałeś, że akurat to jedno spośród wszystkich dzieci umie dochować tajemnicy? Bo moim zdaniem, tak jak każdy inny bachor, zaraz wypaple innym, kogo spotkał na drodze.

Garth trafił w sedno. Finnbogi poznał po wyrazie twarzy Wulfa, że ten o tym nie pomyślał i uświadomił sobie właśnie, że Garth ma rację.

Ale czy to oznaczało, że powinni byli zabić małego Potsiego? Czy on sam zabiłby chłopca, żeby zagwarantować im

bezpieczeństwo? No cóż, dzięki Lokiemu, to nie on jest wodzem, jest więc wolny od takich dylematów. Współczuł Wulfowi, że musi się z nimi borykać.

– Idziemy – zarządził Wulf. – Dzisiaj zwiększymy tempo.

– Kobieta podróżuje z dzieckiem na rękach. Wioska Lakchanów jest pięć mil drogi stąd. Mogę ją jeszcze dogonić i uciszyć oboje.

– Zabraniam.

Finnbogi skakał wzrokiem od Wulfa do Gartha. Atmosferę między nimi dałoby się ciąć nożem. Przeniósł wzrok na Gunnhildę, która sądząc po tym, jak kreśliła na ziemi kółka stopą, zgadzała się z Kowadłogębym. Z kolei Finnbogi był po stronie Wulfa, bo Garth był chujem.

– Ty i Gurd obejmiecie przednią straż – rozkazał Wulf. – Pozostańcie w ukryciu, a jak zobaczycie skrælingów, zakwaczcie jak kaczką.

Gurd Zadrzykiecka łypnął na Gartha, jakby chciał sprawdzić, czy ten się zgadza. Finn znienawidził ich za to jeszcze trochę bardziej.

– Dobra – przystał Garth.

– Świetnie. A teraz pokażcie nam, jak kwaczecie, żebyśmy wiedzieli, czego nasłuchiwać.

Garth uśmiechnął się, kiwnął głową i zakwakał jak najprawdziwszy kaczor. Chwilę potem Gurd poszedł w jego ślady.

– Świetnie. Znaczy Garth świetnie, a Gurd musi jeszcze popracować nad swoim kwakaniem. W każdym razie tylną straż obejmą Thyri i Finnbogi.

Serce podeszło Finnowi do gardła. Czy on się nie przesłyszał?

– Zbuk nie jest w hirdzie – charknął Gurd.

– Ale szybko biega, a poza tym jest nas zbyt mało, żeby przejmować się tym, kto jest w hirdzie, a kto nie jest. – Wulf

zwrócił się do niego i Thyri: – Macie być czujni jak ważki, zrozumiano? I bystrzy jak sokoły, którym ktoś zwędził królika, a one za nic nie chcą znowu iść spać z pustymi żołądkami. Jak znajdziecie się w miejscu z dobrym widokiem, stańcie na chwilę i rozejrzyjcie się dookoła. Szukajcie ruchu wśród drzew, upewnijcie się, że nikt nas nie śledzi ani się do nas nie podkrada. Gdy już upewnicie się, że jest bezpiecznie, biegnijcie do kolejnego takiego punktu i zróbcie to samo. Jeśli kogoś dostrzeżecie, niech Thyri ma na niego oko, a ty, Finn, biegusiem do mnie. Zrozumiano?

Finnbogi pokiwał głową, tłumiąc wyszczerz zadowolenia.

– Tak jest – powiedziała Thyri.

Gdy Finnbogi obrócił się, by ruszyć za nią na tyły, dostrzegł jeszcze, że Garth skinął głową na Fiska. Co to mogło znaczyć?



– Teraz na barana – powiedziała Rimilla. Nie mogła już dłużej nieść na rękach uczonego jej piersi dziecka.

Potsi krzyczał i kopał, gdy zdjęła go z biodra i przeniosła na ramiona.

– Bądź grzeczny, bo... au! – Rozbrykany malec kopnął ją w usta.

Poczuła krew. Podniosła chłopca i osadziła go zdecydowanie na ramionach. Złapała go za kostki i ruszyła truchtem. Potsi zawodził, owładnięty jakimś żalem, którego przyczynę znał chyba tylko on sam. Rimilla próbowała uspokoić dziecko, ale gdy tylko się do niego odzywała, ono jeszcze bardziej zanosilo się płaczem. No cóż, pomyślała. Jeśli Harowianie zmienią zdanie i jednak zaczną nas gonić, długo nas szukać nie będą.

A gdyby tak zostawić tu Potsiego?

Nigdy by tego nie zrobiła, ale bolały ją usta i naprawdę życzyłyby sobie, żeby gnojek w końcu umilkł.

Głupio zrobiła, mówiąc im o wyroku śmierci z Calnii. Zmiękczyła ją ich życzliwość i to, jak bawili się z jej synkiem.

Ale teraz oczywiście musieli ją zabić, a wraz z nią Potsiego.

Rimilla nikomu by nie powiedziała o Harowianach, ale Potsi był jeszcze zbyt mały, by pojąć tak abstrakcyjną koncepcję jak dyskrecja. To oczywiste, że wygada o popołudniu spędzonym z grzyboludami każdemu, kto będzie chciał słuchać. Na szczęście ich przywódca Gruby Wulf, który wcale nie był gruby, nie uświadamiał sobie tego, podobnie jak ten przystojny, ale wredny Garth. Pajęczej Matce niech będą dzięki, że sami nie mieli dzieci i nie wiedzieli, jak one paplają. Rimilla obawiała się jednak, że z czasem się połapią, jaki popełnili błąd. Ta starsza kobieta imieniem Gunnhilda na pewno im o tym powie, a wtedy z pewnością ruszą w ślad za Rimillą, by ją uciszyć. Z ciężkim sercem, ale jednak musiała przyznać, że ona tak właśnie by zrobiła, gdyby była wodzem. Bezpieczeństwo plemienia było ważniejsze od życia obcej kobiety i małego dziecka.

Co to? Zatrzymała się. Usłyszała kroki. Ktoś za nią biegł!

Na trujące szczyzny Pajęczej Matki! – zaklęła w myślach.

Puściła się biegiem, aż znalazła dobre miejsce na kryjówkę. Zeszła ze ścieżki, uważając, by nie zostawić śladów, po czym wsunęła się za ścianę krzewów i oparła o drzewo. Zdjęła chłopca z ramion i przypadła do ziemi.

Zajrzała głęboko w jego wielkie oczy.

– Potsi, kochanie. Postaraj się teraz być jak najciszej. Zrób to dla mamusi, dobrze? Nie mów ani słówenka, kiwnij tylko głową, jeśli rozumiesz, dobrze?

Kiwnął.

Słyszała kroki coraz wyraźniej. Ktoś wybiegł z za zakrętu. I zwolnił. Zerknęła między liśćmi, by zobaczyć, kto to.

Harowianin. Nie jeden z tych, z którymi rozmawiała, ale ten niższy z dwójki, która trzymała sztamę z Garthem.

Miał w ręce włócznię.

– Mama, kto to? – spytał Potsi głośno i wyraźnie jak nigdy.

Usłyszała, jak mężczyzna na drodze się zatrzymuje.

– To ty, Potsi? – dobiegł ją jego głos.

Dziecko otworzyło buzię, by odpowiedzieć. Rimilla zatkała mu usta, ale w nerwach zrobiła to zbyt szybko i zamiast tylko przyłożyć dłoń, niechcący uderzyła dziecko w podbródek.

Zaskoczony malec wybałuszył na nią oczy, nie rozumiejąc, dlaczego go uderzyła. Nigdy wcześniej od nikogo nie oberwał, a już zwłaszcza od mamy. Wziął głęboki, bardzo głęboki wdech, przygotowując się – Rimilla widziała – na wrzask, który odstraszyłby stado bizonów. Nic nie mogła już zrobić.

Wrzeszczał tak głośno, jak tylko potrafił, i tak długo, jak tylko zdołał.

Gdy wreszcie przestał, by nabrać tchu, szepnęła do niego:

– Zostań tutaj.

Wstała i wyszła na drogę. Zobaczyła, że wyszczerzony Harowianin wwierca się w nią spojrzeniem. Miał żylaste, muskularne ramiona, małą, okrągłą główkę i włosy przycięte przy samej skórze. Był niski w porównaniu z resztą dryblasów z Harówki, mniej więcej wzrostu przeciętnego Lakchana, a więc o głowę wyższy od Rimilli. Jego krótka włócznia z groźnie wyglądającą główką zrobiona była z tego samego dziwnego surowca co reszta harowiańskiej broni. Ona miała przy sobie tylko krzemienny nóż.

– Zostanę w lesie przez trzy dni – powiedziała. – Gdy wrócę do swoich, ty i twoi ludzie będziecie już daleko.

– Nic z tego.

– A więc pójdę z wami. Będę gotować i pomagać wam, jak umiem. Dobrze poluję.

– Nie.

– No to zabij mnie, skoro musisz, ale weźcie Potsiego ze sobą. Wychowajcie go, jakby był synem któregoś z was. Dokądkolwiek zmierzacie, będziecie potrzebować młodych mężczyzn.

Pokręcił głową.

– Mam trzydzieści pięć lat. Przez ponad dwadzieścia uczyłem się, jak się tym posługiwać. – Zakręcił włócznią w dłoni. – Każdego dnia trenowałem po kilka godzin. Ale dopóki nas nie zaatakowaliście, nigdy z nikim nie walczyłem. Zanim przyszliście, żeby zabić nas, nasze kobiety i dzieci, pojedynkowaliśmy się tylko na drewniane miecze, ale żaden z nas nikogo nie uśmiercił. Ja dotąd tego nie zrobiłem. Pojęcia nie masz, jak bardzo chciałbym zabić skrælinga.

– Rozumiem, wierz mi. Ale to nie my, Lakchanowie, was zaatakowaliśmy. Jesteśmy pokojowym plemieniem.

– Wszyscy skrælingowie są tacy sami.

– Lakchanowie różnią się od Calnian tak samo jak wy.

– Gówno prawda.

– Nie musisz mi wierzyć. Ale nawet gdybym była Calnianką, nie sprawiłoby ci przyjemności zabicie małego chłopca. – Te ostatnie słowa uwięzły jej w gardle. Sama myśl o tym, że miałby skrzywdzić Potsiego, była nie do zniesienia. – Będiesz miał miazdzące poczucie winy. Nasze duchy będą nawiedzać cię w dzień i w nocy, nigdy już nie zaznasz szczęścia. Zabierz nas więc ze sobą, a będziemy ci służyć, a potem wypuść nas, gdy uznasz, że zaszliśmy wystarczająco daleko, by nie móc wyrządzić wam żadnej krzywdy. Duchy naszego plemienia i wszystkie duchy lasów, rzek, chmur i łąk uśmiechną się do ciebie, bo postąpisz słusznie.

– I tak nigdy nie zaznałem szczęścia. – Fisk uśmiechnął się smutno. – A twoje duchy nic dla mnie nie znaczą. Thor jest potężniejszy od nich wszystkich. Powiedz im to, gdy je zobaczysz.

Opuścił włócznię i ruszył na nią.

Wyjęła nóż z pochwy.

Zobaczył go i się roześmiał.

Rimilla rzuciła się naprzód.

Pchnął ją włócznią w udo. Poczowała, jak grot przedziera się przez mięśnie i natrafia na kość. Całą nogę, od stopy do uda, ogarnął ostry, rozrastający się ból. Zassała z sykiem powietrze.

Grzybolud wyszarpnął włócznię i odskoczył tanecznym krokiem, wciąż się uśmiechając.

Rimilla spojrzała na swoją nogę. Z rany płynęła krew. Zamroczyło ją, zakołysała się na nogach.

– Mama? – powiedział Potsi, wyłażąc z krzaków.

– Wracaj tam! – krzyknęła.

Najpierw go uderzyła, a teraz jeszcze skrzyczała. To zbyt wiele dla jego młodego umysłu. Chłopiec gapił się na matkę, nie rozumiejąc, co się dzieje, a potem klapnął ciężko na ziemię, złapał się za stopy i zaszlochał, kiwając się w przód i w tył, jakby cała żalność i niesprawiedliwość tego świata ciążyła na jego wątłych barkach.

– Biegnij, Potsi! Uciekaj! – krzyknęła do niego Rimilla.

Chłopiec jęczał jeszcze chwilę, a potem zadławił się ciekącym z nosa katarem. Wiedziała, że gdy się tak zachowuje, będzie trzeba go uspokajać przez rok z okładem.

– Przynajmniej będziesz miała spokój z gówniarzem – powiedział Fisk, wznosząc włócznię.



– Co to było? – spytał Finnbogi.

– Sza... – Thyri przyłożyła palec do ust. Finnbogi wstrzymał oddech. Nasłuchiwali oboje, ale nic nie słyszeli. – Wydaje mi się,

że to krzyczał Potsi. Biegnij i powiedz Wulfowi. Ja zobaczę, co się dzieje.

Finnbogi otworzył usta, by kazać jej na siebie uważać, ale już jej nie było.



ROZDZIAŁ 9

Nieuzasadnione poczucie wyższości

Buntowniczką Jutrzenką i Caliską Kojot siedziały obok pozbawionych ramion zwłok Malilli Pomy. Jutrzenka miała zamknięte oczy. Nie mogła patrzeć w światło po ciosie, którym powaliła ją Sofi. Caliska utkwiała wzrok we własnych stopach i zastygła ze skrzywioną miną.

Najgorsze rany w próbie skrytobójstwa odniosła poza Malillą Luby Zefir, która zapadła w głęboki sen, gdy Sadsa Wilczyca odurzyła ją okazałą dawką ziół i zszyła ranę na głowie nicią z jelenich jelit. Sadsa orzekła, że Luby pewnie przeżyje, ale przez

kilka dni nie będzie mogła chodzić i na parę tygodni powinna powstrzymać się od biegania.

Wymierzenie kary organizatorce spisku było proste. Yoki Choppa już obracał na różnie jedną rękę Malilli, a aromat piekącego się mięsa mieszał się z rześkim porannym powietrzem. Każda z dziewczyn zje trochę, by zabić jej ducha i mieć pewność, że Malilla Puma już nigdy nie wróci do świata żywych. Była to najgorsza możliwa kara. Sofi Tornado nie wahała się ani przez moment, decydując o jej wymierzeniu.

Ale ukaranie pozostałych konspiratorek to nieco bardziej skomplikowana kwestia. Do buntu nie doszłoby, gdyby nie Malilla, choć jej pomocnice także nie były bez winy. Teoretycznie Sofi powinna torturować je i zabić, żeby zniechęcić pozostałe owslanki do rebelii. Wiedziała jednak, że okrucieństwo to tylko jeden sposób na zyskanie sobie lojalności podkomendnych. Drugim jest wspaniałomyślność. Nie wspominając już o tym, że nie chciała tracić więcej wojowniczek, niż to konieczne. Jeśli zabije te dwie, z dziesięciu kobiet zostanie jej pięć, bo będzie musiała zostawić kogoś z Luby, a przecież mają misję do wykonania.

– Calisko – zwróciła się Sofi do wojowniczkę – przyłączyłaś się do Malilli, bo uważasz, że twoja skuteczność w walce czyni cię ważniejszą od pozostałych Calnian. Wychodzisz z założenia, że władza i bogactwo ci się należą. Potrzebna ci lekcja pokory. Zostaniesz tutaj, żeby opiekować się Luby. Zbudujesz schronienie i będziesz troszczyć się o wszystkie jej potrzeby, zgodnie z instrukcjami, których udzieli ci Sadsi. Kiedy Luby wydobrzeje na tyle, żeby wrócić do Calnii, odprowadzisz ją do domu. Gdy następnym razem ją zobaczę, zapytam, czy dobrze ją traktowałaś. Jeśli tak, dołączysz do owslanek, a o wydarzeniach zeszłej nocy zapomnimy na zawsze. Jeśli nie lub jeśli jej nie zobaczę, zabiję cię i zjem. Czy to jasne?

– Jasne.

– Jutrzenko – przeniosła wzrok na drugą kobietę – przyłączyłaś się do Malilli z tego samego powodu: przez nieuzasadnione poczucie wyższości. Twój motyw jest bardziej zrozumiały, jesteś wszak córką Zlatana. To wiele wyjaśnia, ale niczego nie usprawiedliwia. Jednak ponieważ to twój ojciec stworzył nasz oddział, przez wzgląd na jego pamięć dam ci drugą szansę. Ale jeśli zaprzepaścisz ją i znowu spróbujesz się buntować, będę cię torturować, a potem zabiję cię i zjem. Czy to jasne?

– Tak. Tak mi przykro.

– Będzie ci przykro dopiero wtedy, gdy znowu ze mną zadrzesz.

– Nie zadrę.

Sofi Tornado kiwnęła głową.

– Dobrze. Sadsi, powiedz Calisce, co ma robić. Reszta, gotować się do drogi.

Gdy się pakowały, Sofi patrzyła, jak Yoki Choppa przygotowuje w swojej alchemicznej misce dwie różne mieszanki i podaje je Calisce. Nakazał jej jeść szczyptę dziennie, a szczyptą drugiej karmić Luby Zefir.



ROZDZIAŁ 10

Saks i tarcza przeciw włócznie

Rimilla wsparła ciężar ciała na rannej nodze. Ból o mało nie pozbawił jej przytomności. Przeraziło ją to. Musiała pokonać tego człowieka albo on zabije Potsiego. Ale czy ma choć cień szansy? O czym ona myślała, przestrzegając ich? Potsi zginie przez jej głupotę.

Grzybolud o rybiej głowie kręcił młynki włócznią.

– Nie będę się z wami spieszył. Ani z tobą, ani z małym. Nacieszę się swoimi pierwszymi ofiarami.

Ruszył w jej stronę.

– Ach, bym zapomniał. Powiedz swoim bogom, że wysłał cię do nich Fisk Rybi Łeb.

– Proszę, pozwól mojemu... – Opadła na kolana.

– Co ty robisz? – Fisk zmarszczył się, nie rozumiejąc.

Nie był szczególnie bystry. W tym cała jej nadzieja. Czy zdoła przeciwstawić swój pomysłułek jego sile?

– Czuję się jakoś... – Wywróciła oczami i padła na drogę.

– Mama!

Patrzyła przez zmrużone powieki na Potsiego, który natychmiast przestał lamentować, wstał na nogi i podbiegł do niej. „Uciekaj, uciekaj, uciekaj” – chciała powiedzieć, nie otwierając ust. Złapał ją za włosy małymi rączkami i pociągnął.

– Mama!

– Poszedł, gnojku jeden! – Fisk podbiegł do jej syna i kopnął go w pierś. Malec uderzył o drzewo.

Rimilla nie wytrzymała. Zawyla i zatopila nóż w nodze grzyboluda po samą rękojeść.

Tym razem przyszła kolej na Fiska, by wrzasnąć. Kobieta próbowała wyrwać nóż, ale ostrze utknęło w kości i broń wymknęła się z jej palców, gdy Fisk zachwiał się w tył.

Potsi usiadł tam, gdzie wylądował, jęcząc i zawodząc, ale sądząc po odgłosach, nie był chyba poważnie ranny. Rimilla dopiero teraz uwierzyła, że ten brutal jest w stanie zabić jej dwuletniego synka, który nie obchodził jeszcze Dnia Pajęczej Matki.

Napastnik wbił włócznię w ziemię i osadził obie dłonie na nożu. Wyjął go z rany, odrzucił na bok, otarł łzy i wydzielinę z nosa i rozszerzył usta w uśmiechu.

– Dziękuję. Dopiero teraz zabicie was sprawi mi przyjemność. I pomyśleć, że chciałem oszczędzić małego. Będę zabijał go powoli. Właściwie to zacznę od niego, żebyś mogła popatrzeć.

Rimilla cofnęła się na czworakach, szukając na oślep

kamienia, gałęzi, czegokolwiek. Znalazła tylko liście i ziemię.

Grzybolud podszedł do jej syna. Kobieta próbowała wstać, ale ranna noga ugięła się pod nią.

– Już wystarczy, Fisk – rozległ się kobiecy głos.

To była ta przysadzista młoda kobieta o śniadej cerze, wyglądająca raczej jak Lakchanka niż jedna z bladych twarzy. Była sprawna i silna, jak najprawdziwsza wojowniczką. Przypływ nadziei prawie wycisnął Rimilli łzy z oczu.

– Spadaj stąd, Thyri – charknął Fisk.

– Wulf kazał nam ich zostawić.

– Wulf jest głupcem. Jeśli ona wróci do Lakchanów razem z tym małym gadułą, wszyscy będziemy martwi przed zachodem słońca.

– Zostaw ich albo będziesz miał ze mną do czynienia. – Thyri wyciągnęła broń: piękny, długi i smukły nóż z tego samego surowca co grot włóczni Fiska, ale w porównaniu z solidną włócznią był to mikry oręż.

– Saks nie ma szans przeciw włóczni, a ty nie masz szans przeciwko mnie.

Młoda kobieta zdjęła z pleców tarczę z wymalowanym drzewem.

– Saks i tarcza pokonają włócznię za każdym razem.

– Wszystko zależy od tego, kto je dzierży.

Fisk zaszarżował na nią i złożył się do ciosu. Dziewczyna odbiła jego włócznię tarczą i chlasnęła go saksem przez twarz. Rimilla zacisnęła zęby, by nie krzyknąć z podniecenia.

Rybi Łeb odskoczył, trzymając się za rozcięty policzek. Warknął i ponowił atak, wymachując dziko ciężką włócznią. Thyri zanurkowała pod rozpędzone drzewce i cięła go szeroko przez pierś. Fisk, nie bacząc na ranę, okręcił włócznię i zamierzył się trzonkiem w jej głowę.

Odskoczyła, wylądowała miękko na nogach, ale potknęła się

o śliski od krwi kamień, upadła i przyłożyła głowę o skałę. Podniosła się, szukając przeciwnika rozbieganym wzrokiem. Jej usztywniona czapka uchroniła ją przed poważniejszą raną, ale dziewczyna wciąż była zbyt oszołomiona, by wstać. Przewróciła oczami i oklapła na ziemi.

– Ha! – ryknął Fisk. Stanął nad nieprzytomną Thyri, złapał włócznię oburącz i zamachnął się potężnie.



Finnbogi szybko zostawił w tyle Wulfa, Sassę i Bjarniego. Satysfakcja, jaką poczuł, udowadniając sobie i innym, że rzeczywiście jest od nich szybszy, niemal przeważała nad jego troską o Thyri.

Dotarł na polanę, gdzie jedli obiad i bawili się z Potsim. Na jej południowym krańcu wbiegała w las ścieżka. To tę drogę musiała wybrać Rimilla, jeśli chciała dotrzeć do wioski Lakchanów.

Ruszył w tamtą stronę i zbiegł błyskawicznie po skarpie, przeskakując nad korzeniami i kamieniami. Przeklinał się za to, że zostawił Thyri samą. Nie powinien był tego robić. Może przeżyłby z nią jakąś przygodę?



Zatrzymał się na polanie – tonęła we krwi i flakach. Na środku ścieżki leżała głowa wciąż złączona z ręką. Czy należała do Thyri? Nie, kojarzyła się raczej z okrągłym łbem Fiska, no i nie miała czapki. Przetoczył ją na bok butem. Tak, to był Fisk, a przynajmniej to, co z niego zostało. Twarz była blada, a usta otwarte w niemym krzyku.

– Na litość bogów...

Zobaczył Drzewonogą opartą o pień drzewa. Chyba była nieprzytomna.

– Thyri! – krzyknął.

Przypadł do niej, otworzył palcem oczy.

– Finnbogi... – Odepchnęła go i zerwała się na nogi. – Gdzie Rimilla i Potsi?

– Pojęcia nie mam. Znalazłem tylko Fiska... rozsmarowanego po całej polanie. Może to, co rozszarpało go na kawałki, zabrało też Rimillę i chłopca?

Tarcza Thyri leżała oparta o saks wbity w bryłę korpusu Rybiego Łba. Wojowniczką trąciła palcem oderwaną stopę, a potem przyjrzała się ręce zwisającej z pobliskiego drzewa.

– Ja tu widzę tylko Fiska. Myślę, że ta dwójka została...

Raptem spostrzegli, że ktoś biegnie w ich kierunku.

– Finn, dobądź miecza.

Thyri uniosła własną broń, tarczę osadziła na przedramieniu i stanęła na rozstawionych nogach, podskakując sprężysto na ugiętych kolanach. Finnbogi ujął rękojeść Wrogobójcy obiema rękami i przyjął pozycję.

Na polanę wbiegła Sassa z łukiem w ręku, a za nią Wulf i Bjarni.

– Reeety... – gwizdnął dowódca. Pochylił się, by dokonać oględzin rozwłóconego mięsa, które było kiedyś Fiskiem. – Zabił go niedźwiedź. A sądząc po głębokości ran i odstępach między szponami, był to cholernie wielki niedźwiedź. Wręcz niemożliwie wielki. Co tu się wydarzyło, Drzewonoga?

– Nie wiem. Usłyszałam krzyk, więc przybiegłam z powrotem i zobaczyłam, że Fisk Rybi Łeb próbuje zabić Rimillę i Potsiego. Stoczyliśmy walkę. Już go miałam, ale potknęłam się i upadłam. Następna rzecz, jaką zobaczyłam, to Finnbogi.

– Finn? – spytał Wulf.

– To nie ja zrobiłem.

- Cieszę się, że możemy cię wykluczyć, stary.
- Znalazłem się tu chwilę przed wami. Thyri była nieprzytomna, a ja...
- A ty umiesz tropić, co nie?
- Tak, tak jakby.
- Rozejrzyj się i powiedz, co tu się stało. Tylko szybko, bo wioska Lakchanów nie może być daleko.

Finnbogi potoczył wzrokiem wokoło. Z początku czuł na sobie palące spojrzenie Thyri, Sassy, Wulfa i Bjarniego, ale po chwili jego uwagę przykuł dziwny ślad. A potem jeszcze kilka. Już wszystko rozumiał.

- Fisk pokonał Thyri.
- To ja jego pokonałam. Tylko że upadłam. – Thyri przyglądała się swojemu hełmowi.
- A potem Fisk został zabity przez największego niedźwiedzia na świecie. I największego mężczyznę na świecie.

- Co?
- Mówię, na co wskazują ślady. Wraz z niedźwiedziem zjawili się tu jakiś wielki facet. Patrzenie, ten trop jest zupełnie świeży.

Podniósł wciąż tkwiącą w bucie stopę Fiska z dwiema białymi kośćmi wystającymi z oderwanej kostki i przyłożył ją do śladu na ziemi. Zostawiła go po sobie stopa dwukrotnie większa. Finn podniósł wzrok na Wulfa i zrobił minę z gatunku „teraz rozumiesz?”.

- Czyli miś miał kumpla, który był też najwidoczniej kumplem Rimilli.

- Bzdura – prychnęła Thyri. – To przecież...
- ...dokładnie to, co ślady mówią Finnowi, a poza tym trudno wymyślić lepsze wytłumaczenie. Dobra, lepiej się stąd wynośmy.

Wulf puścił się drogą, Finn za nim. Obrócił się, by się upewnić, że Thyri też idzie.

Nie szła. Kuciała przy największym kawałku korpusu

rozszarpanego hirdmana i wycinała saksem kawałek żebra.

– Thyri, co ty robisz? No chodź!



Pozostali już na nich czekali.

– A gdzie Fisk? – To pierwsza rzecz, o którą spytał Garth.

– Niedźwiedź go zabił – odpowiedział Wulf.

– Jakże wygodnie.

– Umierasz, kiedy umierasz. W drogę.



Finnbogi spędził resztę dnia, pełniąc straż na tyłach pochodu wraz z Thyri. Wulf prosił, by nie rozmawiali, ale Finn nie musiał rozmawiać z Thyri, by wiedzieć, że jest przybita. Wlokła się smętnie, zamiast jak zwykle maszerować swoim rażnym, sprężystym krokiem.

Tego wieczoru atmosfera w obozie była jak mokry koc, który gasił wszelkie rozmowy i śmiechy. Garth i Gurd siedzieli sami, łypiąc na Wulfa spode łba. Sam Wulf zachowywał się normalnie, jak rubaszny, wesoły Wulf, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Rzecz w tym, że reszta Harowian była tak ponura, że nawet ten jeden płomyk radości i optymizmu nie rozświetlał ciemności, która zawisła nad obozem.

Thyri powiedziała Finnbogiemu, by dziś potrenował sam. Nie zrobił tego. Siedział i patrzył, jak dziewczyna oczyszcza kawałek żebra Fiska i wszywa go w swoją hełmopodobną czapkę.

Po jakimś czasie Wulf i Sassa przerwali toczoną przyciszonymi głosami konwersację. Kobieta wzięła łuk i zniknęła między drzewami, a Wulf podszedł do Gartha i Gurda i poprosił, by poszli za nim. Gdy opuścili obóz, pozostali popatrzyli po sobie niepewnym wzrokiem.

– Nie martwcie się – uspokoiła ich Gunnhilda, kiwając mądrze głową. – Tchórz sądzi, że będzie żył długo, jeśli uniknie wojny, ale podeszły wiek nie przyniesie mu spokoju.

Finnbogi stęknął boleśnie na te słowa. Co to miało do rzeczy, na sflaczałe cycki Hel? Ale inni chyba łyknęli tę mądrość. Chnób Biały pokiwał głową, jakby zasiadał przy stole Odyna, a król bogów właśnie podzielił się z biesiadującymi swoją bezgraniczną mądrością. Finn zauważył, że Chnób chyba skrócił brodę. Kiedy to zrobił? I czemu?

Nie minęło wiele czasu, a trzech mężczyzn wrócili do obozu. Uśmiechali się i rozmawiali, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Chyba wszyscy poczuli się co najmniej zaskoczeni. Finnbogi zachodził w głowę, co takiego powiedział im Wulf.

– To co, trening? – zaproponował, gdy Thyri skończyła z czapką.

– Mówiłam ci już, dzisiaj ćwiczysz sam – odrzekła, zabierając się do ostrzenia saksu i toporów.



Gdy godzinę później wsunął się do śpiwora, zauważył, że tym razem towarzyszka założyła bawełniany podkoszulek. Wiedział, że jest w złym nastroju, więc odwrócił się do niej plecami. Długo nie mógł zasnąć i czuł, że ona też nie śpi. Raz po raz namawiał sam siebie, by otoczyć ją ramieniem, ale jakoś nie miał odwagi.



ROZDZIAŁ 11

Droga do Walhalli

Niedługo po wschodzie słońca wyszli spomiędzy drzew na wielką, zarośniętą równinę. Trawa sięgała Finnbogiemu do uda i nie musiał wyteżać wzroku, by dostrzec baraszkuje jelenie i sarny. Z jednej strony łąka kończyła się porośniętym drzewami urwiskiem. Finn wiedział, że wznosząca się powyżej góra to wprawdzie nie kolos z sag i legend, ale i tak było to najwyższe wzniesienie, jakie widział w życiu. Jeśli siedział tam jakiś skræling, musiałby być ślepy, żeby nie dostrzec torującej sobie drogę wśród traw grupy trzynaściorga bladych Harowian, z których część była dość postawna. Równina ciągnęła się na kilka mil i Finn nagle przestał czuć się bezpiecznie.

– Thorowi dzięki, że wyszliśmy z lasu – odetchnął Garth. – Jeśli ktoś się napatoczy, zobaczymy go od razu.

– Tak, geniuszu, tylko że on nas też – prychnęła Thyri.

– Słuszna uwaga, moja ty jędrnodupa piękności. – Garth uśmiechnął się obleśnie jak troll z Niflheimu, a Thyri, ku zgrozie Finnbogiego, mrugnęła do niego w odpowiedzi.

Finn poczuł, że oblewa się rumieńcem. Tymczasem Garth – jakby chciał mu udowodnić, że jest demonem z mrocznej czeluści, wysłanym tutaj, by torturować bogom ducha winnych ludzi – odwrócił się i uśmiechnął do niego. Finn pokraśniał jeszcze bardziej.

Zamyślony Wulf stał przy ścianie lasu. Finnbogi rozumiał nękający go dylemat. Czy powinni ruszyć po linii drzew i nadłożyć drogi na południe, zbliżając się niebezpiecznie do osady Lakchanów, czy pójść w przeciwnym kierunku i cofnąć się o kilka mil, by obejść przeszkodę, marnując cenny czas, lub może przepłynąć rozległe jezioro, gdzie będą jeszcze bardziej wystawieni na atak niż na otwartej równinie?

Ottar hasał po łące, rozstawiając szeroko patykowate nogi. Wskazał palcem drogę na przełaj przez równinę, do urwiska. Finn zauważył, że malec nosi królicze uszy. Zgadywał, że zrobiła je dla niego Gunnhilda. Pajęczych nóg jeszcze nie miał.

– Ottar mówi, że musimy iść łąką – przełożyła Frejdis.

– A tam, pierdoli. – Garth machnął ręką.

– Wuj Poppo miał określenie na takich jak ty – powiedziała Frejdis z rękami na biodrach.

– I cóż to za określenie?

– Powiedziałyby, że jesteś chujem złamanym.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Wszyscy poza Finnem, który był zbyt zakochany, by chciało mu się śmiać.

– Ottarze, którądy na Łąki? – spytał Wulf, kucając, by spojrzeć Ottarowi w oczy.

– Łe! – powiedział chłopiec, wskazując ten sam kierunek. Miał wytrzeszczone oczy i czerwone policzki, ślina spływała mu na podbródek. Skryci w wysokiej trawie Hugin i Munin pisnęli jak na komendę, jakby chcieli potwierdzić jego słowa.

Wulf kiwnął głową i wyprostował się. Kazał wszystkim zachować ciszę podczas drogi przez prerię, a kłopoty sygnalizować gołębim gruchaniem.

Ruszyli naprzód, pchając przed sobą długie cienie. Ćwierkały ranne ptaki, pajęczyny rozwieszane wśród traw lśniły od rosy, na tle zieloności odcinały się żółte, różowe i niebieskie polne kwiaty.



Chnob Biały został wśród drzew i odprowadził resztę pochodu wzrokiem. Wiedział, że nikt go nie zauważy.

Jakże ich wszystkich nienawidził. Ci idioci uwielbiali jego siostrę Thyri, praktycznie całowali ziemię, po której stąpała. I niby czemu? Była przecież kobietą, słabą i głupią jak wszystkie kobiety. Zwykłą szpanerką, która jakimś sposobem przekonała tych łatwowiernych przygłupów, że jest zdolną wojowniczką. Zapewne sama w to wierzyła.

Chnob był od niej o wiele mądrzejszy. Gdyby tylko chciał, pokonałby ją z palcem w dupie. Jego ojciec, Rangvald Mądry, też to wiedział. Tylko on traktował Chnoba z należnym szacunkiem i całkiem słusznie gardził Thyri. Ci wszyscy idioci są tak samo skretyniali jak jego siostra. Już on im pokaże.

Wysunął nóż z pochwy, odciął kilka cali brody i wsunął włosy w rozwidloną gałąź na wysokości oczu, tak by nikt nie mógł ich przegapić.

Patrzył, jak grupa toruje sobie drogę przez trawę. Jakie to głupie, tak iść po otwartym terenie. Modlił się do Lokiego, by

zauważyła ich jakaś przechodząca akurat w pobliżu skrælińska armia.



Wiszące przy ziemi chmury mgły rozwiały się w chłodnym powietrzu. Sarny i jelonki pognały w las. Wielkie jelenie, trzymając wysoko głowy o rozłożystych porożach, ruszyły leniwie ich śladem, jakby i tak szły w tamtym kierunku i wcale się nie bały mijającej je grupy ludzi.

Finnbogi właśnie złowił wzrokiem barwnego ptaka kryjącego się w trawie, który po chwili gdzieś zniknął, jakby rozpląnął się w powietrzu, gdy nagle Wulf zagruchał jak gołąb.

Finn przypadł do ziemi.

Wyjrzał niepewnie ponad poziom trawy. Bodila wciąż stała. Rozglądała się ze zmieszaniem wymalowanym na twarzy, jakby zastanawiała się, gdzie się wszyscy podziali.

– Na ziemię! – szepnął do niej Finnbogi przez zaciśnięte zęby.

– Ale czemu?

O, na litość Lokiego...

– Na ziemię, kobieto, migiem!

Wywróciła oczami, jakby to on był idiotą, i kucnęła obok, wciąż wystając ponad trawę i prosząc się o strzałę między oczy.

Finnbogi ucapił ją za kamizelę z wiewiórczej skóry i pociągnął na dół. Pisnęła, upadając na ziemię. Obrzuciła go spojrzeniem. Jej twarz znajdowała się dwa cale od jego twarzy. Uśmiechnęła się. Jej oddech był ciepły i ładnie pachniał. Nie była wcale brzydka, co to, to nie, szkoda tylko, że taka...

Osadziła mu rękę na biodrze. Jej uśmiech pogłębił się, gdy wsunęła ją w spodnie i ścisnęła go za tyłek. Żołądek Finnbogiego zrobił fikołka. Nagle uświadomił sobie, że przyciąga go do siebie, a jego usta zbliżają się do jej ust. Poddał się jej dotykowi.

Wpatrywała się w niego ładnymi brązowymi oczami. Rozchyliła wargi. Finnbogi przymknął powieki i rozsunął usta...

– Wszyscy wstawać! – zawołał wódz.

Finn potrząsnął głową i zerwał się na nogi. Bodila wystrzeliła z trawy jak sprężyna i stanęła obok. Zerknęła na wybrzuszenie w jego spodniach i puściła do Finna oko.

Na jaja Thora! – pomyślał rozgorączkowany Finnbogi, besztając w myślach własne zdradliwe przyrodzenie. Czemu to wszystko jest tak cholernie dziwne?

– To tylko ćwiczenia – uspokoił ich Wulf. – Wszyscy dobrze się sprawiliście poza Bodilą. Co jest, Bodila, myślałaś, że to prawdziwe gołąbki gruchają w trawie?

– Finnbogi rzucił mnie na ziemię! – poskarżyła się, kwiląc jak mała dziewczynka.

Ludzie zaśmiali się, a Finnbogi poczerwieniał. Najchętniej zapadłby się pod ziemię i siedział tam do końca świata.

– I dobrze zrobił. Ale czemu nie rzuciłaś się sama, gdy usłyszałaś gruchanie?

– To było gruchanie? Dla mnie brzmiało bardziej jak hukanie sowy.

– Rozumiem. Odtąd gdy usłyszysz, jak ktoś wydaje ptasie dźwięki, albo gdy będzie ci się wydawało, że to ptasie dźwięki, na wszelki wypadek się schowaj. Zrozumiano?

– Ale czemu ktoś miałby wydawać ptasie dźwięki?

– Gruchanie gołębia to znak, że ktoś zobaczył skrælinga.

– Ach, już rozumiem. Kuku!

– Tak, coś w ten deseń, choć gołąb robi raczej gru-gru.

– Gruuu! Gruuu! – Bodila rozrzuciła ramiona i zamachała nimi jak skrzydłami.

– Bardzo ładnie, Bodilo. Ale rób tak tylko wtedy, gdy zobaczysz skrælinga.

– Gruuuuuuu! Gruuuuuuu!

– Bodila, co ja przed chwilą...

Ale Bodila nie słuchała, tylko wskazała palcem na południe.

W ich stronę szło około pięćdziesięciu skrælingów, wszyscy z napiętymi łukami i dyndającymi króliczymi uszami. Dzielilo ich od pochodu jakieś sto kroków. Musieli podbiec w ich stronę, gdy kryli się w trawie, domyślił się Finnbogi. Cwani ci Lakchanowie. Z pewnością cwańsi od Harowian.

Zwrócił się na północ. Kolejny oddział skrælingów liczył tym razem około dwudziestu wojowników, każdy z bronią w ręku i tymi kretyńskimi uszami na głowie.

Byli otoczeni przez wroga, który miał nad nimi miażdżącą przewagę liczebną. Na każdego Harowianina przypadało pięciu przeciwników, nawet wliczając Ottara i Frejdis.

– Gruuu – odezwał się Wulf.

Wszyscy przypadli do ziemi.



Sassa Gryziwarga dobyła łuku i kucnęła przy mężu.

– Ja pierdolę... – wyznała.

– Ja też – potwierdził Gruby Wulf, a potem, wiedząc, że przeciwnik ich widzi, wyprostował się i powiedział przyjaźnie do Lakchanów: – Witajcie! Piękny dzień, czyż nie?

Sassa wyrzała ponad poziom trawy. Kilka strzał śmignęło w ich kierunku. Schowali się oboje.

– Na hełm Thora... – powiedział.

– Kurwa mać – zgodziła się.

Dało się słyszeć jakieś zamieszanie, a potem trzask. Kif padł na ziemię obok nich, ścigany przez takie same strzały.

– Jest ich zbyt wielu – wysapał. – Mamy przejebane.

– Dzięki, Kif, bo nie byłem pewien – powiedział Wulf.

– Jeśli ich zaatakujemy, powalimy może dwóch lub trzech. Ale tylko jeśli dzisiaj pierwszy raz w życiu wzięli łuki do ręki. A coś mi mówi, że wcale tak nie jest.

– Pewnie polują z nimi codziennie od maleńkości.

– Też tak sędzę.

Sassa usiłowała wymyślić, co powinni zrobić. Byli otoczeni przez ludzi, którzy chcieli ich wszystkich pozabijać. Kif miał rację, że raczej wiele nie wskórają, ale wyglądało na to, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko podjąć walkę. Napięła łuk, wyjęła strzałę z kołczana, osadziła ją na cięciwie i wstała, chcąc powalić pierwszego z tych trzech, których może im się uda, a może nie uda powalić, nim wszyscy zostaną naszpikowani strzałami jak poduszczyki na igły. Zanim wzięła któregoś na cel, coś trafiło ją mocno w ramię. Łuk wypadł jej z ręki, przypadła do ziemi. Gdy spojrzała na ramię, przekonała się, że sterczy z niego strzała.

Wulf przycisnął jej głowę do ziemi, gdy w sukurs przyszedł kolejny.

– Ja pierdołę, kurwa – sapnęła. Ból był niemożliwy do zniesienia.

– Oto, jak się kończy słuchanie przygłupa – wycharczał Garth Kowadłogęby, podpełznąwszy do nich.

Nawet cierpiąc srogi ból, zapragnęła rozkwasić mu nos, gdy raptem zorientowała się, że Garth nie ma na myśli Wulfa, tylko Ottara. Ale tak czy inaczej, ten komentarz był nie na miejscu. Już ona się z nim policzy. Jeśli tylko przeżyją.

Wulf ujął ją za ramiona i obrócił delikatnie, by obejrzeć ranę. Wymalowana na jego twarzy troska przemieniła się w kamienną maskę zimnego spokoju. Wstał, zdejmując tarczę z pleców, i mocniej chwycił młot.

– Chciałbym! – wrzasnął, robiąc krok w kierunku Lakchanów i przyjmując na tarczę dwie strzały. – Żebyście wyobrazili sobie!

– Uchylił się przed kolejną strzałą, nie opuszczając tarczy. – Że ten oto młot! – Uniósł Groma, uciekając głową przed następnym pociskiem. – To białe piórko!

Białe pióro było symbolem pokoju Goachików. Sassa miała nadzieję, że podziela również na Lakchanów.

– Nie strzelać, wy tępe chuje! – wrzasnął któryś ze skrælingów. – Posłuchajmy, co nam powie ten pierdolec! – Facet chrypiał, jakby cierpiał na jakąś chorobę gardła. Ale to przeklinanie co drugie słowo dziwnie przypadło Sassie do gustu.

– Zostańcie w dole, ja z nimi pogadam. – Wulf zbliżył się do Lakchanów, machając w powietrzu młotem.



Wrócił szybciej, niż się spodziewali.

– Wstawać.

Finnbogi patrzył na podnoszącą się z ziemi Sasse. Trzymała się jedną ręką za ramię, z którego wciąż wystawała lakchańska strzała. Twarz miała ponurą, ale hardą. Wyglądała po prostu wspaniale. Poszukał wzrokiem Thyri. Była tam, po jego prawej ręce. Z Garthem.

– Ten wódz Lakchanów to równiacha – poinformował ich Wulf. – Ma na imię Kobosh.

– Czy ten Kobosh puści nas wolno? – spytała Gunnhilda.

– Właściwie to nie, przykro mi. Zabiją nas wszystkich, jak tu stoimy. Nie mają wyboru. Jest tak, jak mówiła Frossa. Cesarzowa Calnii przepowiedziała, że ludzie o białych twarzach, czyli my, doprowadzą świat do zagłady. Gdy ośmieliłem się zauważyć, że nie ma nas znowu tak wiele i zdecydowanie przecenia nasze możliwości, Kobosh przyznał, że jego samego nie przekonuje ta jej przepowiednia, ale jeśli nas puszcza, to Calnianie dobiorą im się do dupy, a potem ich zjedzą. Podobnie jak Goachikowie

wierzą, że jeśli ktoś ich zje po śmierci, zabije w ten sposób ich ducha, uniemożliwiając ponowne narodziny i życie w zaświatach. Widzicie więc, że mają trudne do zbitcia argumenty przemawiające za tym, żeby jednak nas wszystkich pozabijać. Ale obiecali, że nas nie zjedzą, jeśli to jakieś pocieszenie.

– To miło z ich strony – powiedział Kif.

– Nie mogą nas puścić i nikomu nie mówić? – podsunął Bjarni.

– Próbowałem im to zasugerować, ale Kobosh powiedział, że Calnianie i tak się dowiedzą, a on nie będzie ryzykował. Jak już mówiłem, to miły koleś, ale musi troszczyć się o swoich ludzi i nie zmieni zdania. Tyle dobrego, że pozwoli nam zginąć w bitwie. Mamy pięć minut, żeby się pożegnać, a potem ruszamy na nich. Oczywiście wystrzelają nas jak kaczki, ale ginąc w walce, dostąpimy zaszczytu, jakim jest przyjęcie do Walhalli. Jeśli wszystko pójdzie gładko, trafimy tam akurat na obiad. Kobosh obiecał, że dobije rannych możliwie bezboleśnie, a potem spali nasze trupy. Swój chłop ten Kobosh.

– Czy ocali chociaż dzieci? – spytała Gunnhilda.

– Spytałem o to. Niestety, odmówił.

– Co za głupia przepowiednia! W starym świecie są tysiące ludzi takich jak my! Jeśli ktoś miałby zniszczyć świat, to raczej oni! Strzeż się osy, bo gdy jedną zabijesz, oblezie cię mściwy rój!

– Finnbogi przypomniał sobie, że Gunnhilda, czcicielka Chrystusa, nie miała wcale zapewnionego życia pośmiertnego tak jak reszta. Samemu Finnowi nie było wcale spieszno do walki, ale strzała między oczy lub topór w łeb to niewielka cena za wieczność u boku Thyri w świetlistej Walhalli.

– Słusznie prawisz, ale Calnianie wiedzą tylko o nas i postanowili, że musimy umrzeć. Odwagi! Ani się obejrzymy, znowu będziemy razem. Jak umrzemy, to umrzemy.

W rzeczy samej, pomyślał Finnbogi, zmierzając w kierunku

Thyri. Nadszedł czas, by wyznał swe uczucia.



Chnob Biały zauważył skrælingów pierwszy, schował się, zanim któryś z nich go spostrzegł, i odczołgał się z powrotem do ściany lasu. Obserwował teraz z ukrycia rozgrywającą się na polanie scenę, a wredny uśmiezek ślizgał się po jego wargach. Co tak długo? – niecierpliwił się. Zabijcie ich w końcu, ile można czekać? Przecież muszą wypełnić rozkaz Calnian. Oto nagroda, jaką przeznaczył jego współplemioncom Odyn za to, że nie zorientowali się, jakim świetnym facetem jest Chnob Biały, a zamiast tego ukochali jego zidiociałą siostrę. I ogólnie za to, że byli bandą żalonych, samolubnych dupków, którzy tylko marnują powietrze.

Postanowił, że na własne oczy zobaczy, jak giną pod strzałami Lakchanów, a potem ruszy na zachód sam. I sam odnajdzie te mityczne Łąki. Był całkiem pewien, że znajdzie tam jakichś lepszych skrælingów niż ci tutejsi. Oni z pewnością poznają się na nim, a ich kobiety będą znały swoje miejsce.



Bodila Gęsiodzioba promieniała radością. Już niebawem znowu zobaczy matkę i ojca. Harowianie może i nie opłakiwali zmarłych, ale ona tęskniła za rodzicami i żałowała, że poszła z Sassą na jej farmę, gdy mogła zostać w osadzie i zginąć wraz z nimi.

Podeszła do Finnbogiego. Zawsze jej się podobał, a teraz, po ich krótkim spotkaniu w trawie, wiedziała, że ona jemu też. Tylko że on szedł właśnie w kierunku Thyri i Gartha. Ruszyła za nim.

Kif ujął ją za ramię.

– Bodila, ja...

– Wybacz, nie ma czasu! – Strząsnęła z siebie jego rękę.

Finn stanął jak wryty, gdy Garth i Thyri zaczęli się całować. Garth i Thyri. Całować. A więc to tak! Ciekawe, od jak dawna to trwało? Odwrócił się od splecionych w uścisku Thyri i Gartha, stając twarzą w twarz z Bodilą. Łzy lały mu się z oczu. Och, pomyślała Gęsiodzioba, nie ma to jak wrażliwy facet!

– Nie przejmuj się – powiedziała, otaczając go ramionami i częstując jednym ze swoich naprawdę przyjemnych uścisków. – Umrzesz, kiedy umrzesz! Coś się kończy, coś się zaczyna!

Odwzajemnił uścisk i zaszlochał potężnie. Co to ma być? Czyżby bał się śmierci tak jak Gunnhilda Pobożna?



– No dobra, wy kurwiszony, czas umierać – zachrypiał lakchański wódz. – Ustawić mi się w szeregu, a jak krzyknę „napierdalać”, to macie napierdalać. Wtedy was pozabijamy i z głowy.

Finnbogi oderwał twarz od ramienia Bodili. Glut z jego nosa przykleił się do jej kamizelki z wiewiórczej skóry i rozciągnął między nimi jak most linowy nad przepaścią. Uśmiechnęła się do niego, nie zwracając na to uwagi. Otarł oczy i rzucił okiem na Thyri i Gartha. Stali ramię w ramię z dobytą bronią, gotowi do swojego ostatniego zrywu. Wzrok Thyri skupiony był na wrogu, ale ten jebany Garth spojrzał prosto na niego i mrugnął!

Na dupę Lokiego!

Raz jeszcze otarł łzy z oczu. Nie pójdzie do Walhalli zasmarkany jak gówniarz! Jeśli upuści miecz i odmówi walki, trafi gdzieś indziej, może do domu Gefion, gdzie kończyli wszyscy prawiczkowie, ale najprawdopodobniej zostanie przydzielony do domu Hel, który podobno jest całkiem

gówniany. Ale czy może czekać go bardziej gówniany los niż patrzenie na Thyri w ramionach Gartha?

– Rozchmurz się, Finnbogi! To szczęśliwy czas! – Kif trzymał w rękach Duporąba, a jego twarz płonęła uśmiechem. – W Walhalli będziemy walczyć cały dzień i pić całą noc!

– Hura. – Finn stanął obok Bodili, która nie miała przy sobie żadnej broni.

– Musisz mieć czym walczyć, jeśli chcesz trafić do Walhalli!

– Poważnie?

Finnbogi zastanowił się nad tym.

– Właściwie to nie jestem pewien.

– Masz, weź to. – Kif wręczył Bodili nóż.

– Co mam z tym zrobić?

– Ruszyć na skrælingów, a potem umrzeć.

– Aha.

Finn powiódł wzrokiem po szeregu współplemieńców. Tam, po jego lewej, stał Wulf z Gromem w ręku, dalej Bjarni z Pogromcą Lwów, potem Sassa z łukiem na plecach, nożem w dłoni i ręką na ramieniu Frejdis. Gunnhilda wykonała kilka ciosów swoją trzepaczką i stanęła prosto, przygarniając do biodra Ottara, który z kolei tulił do piersi dwa małe szopy, ale nie miał żadnej broni, podobnie jak jego siostra. Dzieci nie szły do Walhalli, tylko do jakiegoś innego, przyjaznego i miłego miejsca. Finnbogi zastanawiał się, czy będzie mu wolno je odwiedzić. Albo nawet zostać z nimi, żeby nie musiał patrzeć na Thyri i Gartha? Może gdy ładnie poprosi, Thor w drodze wyjątku zezwoli na przeniesienie.

Gunnhilda szepnęła coś na ucho Ottarowi. Chłopiec schylił się i po chwili nie miał już szopów w rękach.

Obraz Thyri całującej się z Garthem wyskoczył z zakamarków umysłu Finna jak lew rzucający się na bezbronne dziecko. Próbował przekonać sam siebie, że dobrze się stało, bo

przynajmniej wie, na czym stoi, i nie zbłąźni się przed bogami, ale wciąż wolałby, żeby to nie była prawda. Dlaczego tylko jemu przytrafiają się takie rzeczy? Wszyscy inni muszą tylko stawić czoła śmierci, czemu on jeden musi jeszcze borykać się ze złamanym sercem?

– Gotowi? – zawołał lakchański wódz, stojący w środku pięćdziesięcioosobowego oddziału łuczników.

Kilku z nich patrzyło na Finnbogiego. Domyślił się, że to jego obrali sobie za cel. Miał nadzieję, że są dobrymi łucznikami. Wolał umrzeć od razu ze strzałą w sercu, niż zwijać się z bólu z przedziurawionym jelitem i czekać, aż któryś z nich zakończy jego męki ciosem w łeb.

– Gotowi – odpowiedział Gruby Wulf.

Wódz Lakchanów uniósł rękę.

– Na mój, kurwa, sygnał...



ROZDZIAŁ 12

Wielki kot

Sitsi Pustułka biegła obok Jutrzenki w zbitym szyku owslanek. Gdy pokonały wzniesienie, otworzył się przed nimi widok na leśną krainę skropioną jeziorami i stawami. Przyspieszyły, zbiegając ze skarpy, a kiedy wznowiły bieg na równym terenie, zmęczenie dało im się we znaki.

Sitsi czekała, aż pozostałe dziewczyny znajdą się poza zasięgiem słuchu.

– Ale masz fart – szepnęła do Jutrzenki. – Sofi miała wszelkie prawo zabić cię i zjeść. Bunt? Naprawdę? Czy ciebie powaliło do reszty?

Jutrzenka pokręciła głową.

– I dlaczego mi nie powiedziałaś? – kontynuowała Sitsi. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Odwiodłabym cię od tego zamiaru.

– Dlatego właśnie ci nie mówiłam.

– Co ty chciałaś zyskać?

– Przyszłam na świat na Górze Słońca, Sitsi. A żyję, jakbym urodziła się w rynsztoku. Jesteśmy najlepszymi wojowniczkami na świecie, ale jemy nie lepiej od plebsu, śpimy w takich samych barłogach co plebs i mieszkamy poza cytadelą, wśród obrzydliwych, cuchnących plebejuszy. Zaslugujemy na to, żeby żyć jak cesarzowe. A nawet na więcej. I mogłybyśmy to wszystko mieć. Mogłybyśmy to sobie po prostu wziąć.

– Ale spójrz na nas teraz: biegniemy razem z przyjaciółkami na spotkanie przygody. Ilu biedaków może to o sobie powiedzieć? Czego więcej można chcieć?

– Niewolników, pałacu, tyle miodu i syropu klonowego, ile można wypić, własnego szałasu potów, tego, żeby nie musieć cały czas wypełniać czyichś rozkazów...

– Szybko by ci się to znudziło.

– O, na pewno nie. Bo miałabym swoich własnych mężczyzn do wachlowania.

– Wierz mi, zanudziłabyś się na śmierć. Wiem, że to nic w porównaniu z twoim ojcem cesarzem, ale i moi starzy są nieźle sytuowani. Podobno matka może nawet zostać następnym szambelanem. Ale ich życie jest w porównaniu z naszym nudne jak flaki z olejem i jestem pewna, że nie są szczęśliwi. Całymi dniami tylko gadają o wysokości murów obronnych i tegorocznych zbiorach. Jedyłą radością w ich życiu jest oglądanie nas na placu Innowaka. A z moimi braćmi jest coś nie tak. Całe dni przesiadują przy oknie i szczerzą się do słońca, od czasu do czasu bijąc się po głowie i wrzeszcząc na własne cienie.

Mamy wielkie szczęście, że jesteśmy, kim jesteśmy, i robimy, co robimy. Dlaczego chcesz to zepsuć?

– Na pewno masz rację. Po prostu... Wiesz, skąd mamy nasze moce?

– Trening i... No, właściwie to nie jestem pewna, co nam zrobili. Niewiele sobie przypominam. Ale pamiętam, że nie było to przyjemne.

– Tak, wiem.

– Skąd wiesz?

– A dochowasz tajemnicy?

– No jasne.

– Kiedyś w zamian za informacje zrobiłam dobrze ręką głównemu czarnoksiężnikowi ojca.

– Że co proszę?

– Ciągnęłam go za...

– Tak, wiem, co to znaczy „robić dobrze”. Po prostu jestem zdziwiona. I zniesmaczona.

– Chciał więcej, ale ja nigdy bym się nie zgodziła na więcej. Ręką robi się to o wiele prościej. Trochę potrzepiesz, a potem ją myjesz i po sprawie. No i Pakanda naprawdę nie potrzebował wiele czasu, żeby... no wiesz. Chyba mnie po tym nienawidził, ale zawsze wracał. Był gotów powiedzieć wszystko, bylebym tylko to zrobiła. Dowiedziałam się od niego wielu ciekawych rzeczy.

– Czekał... Czy to nie dlatego Pakanda został wygnany?

– Tak, bo nas przyłapano. Zostałby stracony, gdybym nie przyrzekła, że to ja go do tego namówiłam, a nie odwrotnie.

– A tak było?

– Tak. Początkowo nie dawał się przekonać, ale wiedziałam, że tego chce, a ja musiałam się dowiedzieć kilku rzeczy.

– Rany... Ty jesteś... po prostu obrzydliwa. No to skąd mamy nasze moce?

– Nie tyle je mamy, ile cały czas je dostajemy. Bo widzisz...

Przerwał im krzyk zwiadowczyni Palomy Widłoróg.

– Sztyletozębny kot! Biegnie prosto na nas!

Dwie owslanki popatrzyły po sobie. Były tak pogrążone w rozmowie, że nie zauważyły, jak bardzo zwolniły tempo. Za nimi biegł już tylko Yoki Choppa. Przyspieszyły więc, by dołączyć do reszty.



Dobiegły do pozostałych pięciu kobiet na szczycie wzgórza, które opadało łagodnym zboczem w kierunku północnym, łącząc się z rozległym przestworem trawiastej równiny. Zwykle na takim terenie pasły się wielkie stada bizonów, jeleni i innych zwierząt, ale teraz widać było tylko jedno zwierzę, a właściwie dziką bestię – olbrzymi dziki kot biegł w ich stronę, błyskawicznie zmniejszając dystans trzystu kroków.

Poważni i przezorni rodzice Sitsi Pustułki nauczyli ją wszystkiego, co wiedziała o Calnii, o imperium i o świecie poza jego obrębem. Wysyłali ją do wielu mądrych ludzi, by od nich dowiedziała się tego, czego nie byli w stanie wpoić jej sami. Robili, co mogli, by ich córka pięła się w górę imperialnej hierarchii, zarówno dla jej dobra, jak i przez własną dumę, ale też przez wzgląd na jej starszych braci, których Zaltan kazał zgładzić z powodu ich ułomności. Wkrótce po tym, jak cesarz wydał rozkaz egzekucji, Ayanna dokonała skrytobójczego ataku i sama zasiadła na cesarskim tronie. Nowa władczyni nie brzydziła się jej braćmi – wręcz przeciwnie. Uważała, że należy roztoczyć nad nimi opiekę i troszczyć się o nich. Ale żadna cesarzowa nie rządziła wiecznie, więc groźba egzekucji wciąż wisiała nad ich biednymi głowami. Dzięki ambicji rodziców Sitsi zdobyła rozległą i szczegółową wiedzę o imperium. Wiedziała o cesarstwie, jego prawach i obyczajach oraz florze i faunie

więcej niż którakolwiek z owslanek. A więc choć nigdy nie widziała na oczy dzikiego kota o zębach jak sztylety, wiedziała o nim wszystko, czego tylko można się było dowiedzieć.

Istniały dwa gatunki tego groźnego zwierzęcia. Ten najczęściej spotykany, który co parę lat wkraczał nawet na terytorium Calnii, był znany jako kot sztyletozębny, a swoją nazwę wziął od dwóch potężnych, zakrzywionych kłów w górnej szczęce. Zwierzę było z natury łagodne i zabijało tylko wtedy, gdy sprowokował je jakiś idiota, przeważnie młody i zbyt pewny siebie. Drugi gatunek był o wiele większy, wręcz monstrualny, i jak wieść niosła, występował tylko w legendach. Niektórzy uczeni twierdzili, że był to niegdyś gatunek pospolity, ale ponieważ atakował i pożerał każdego człowieka, jakiego napotkał – lub tylko wywęszył – niewiele o nim wiadano. Sitsi wierzyła, że te dzikie potwory istnieją naprawdę. Każdego roku ginęli w puszczech ludzie. Pustułka była zdania, że zwierzę może być na tyle inteligentne, by polować tylko na tych, którzy opuszczą bezpieczne mury swoich sadyb.

Sądząc po rozmiarach biegnącego na nie kota, sztyletozębne monstra bynajmniej nie były legendą.

Sitsi zamruwała oczami, by upewnić się, że dobrze oceniła odległość. Tak, ten kot był większy od bizona, a jego dwa wielkie kły miały długość jej ramienia. Gdy bóg Innowak stworzył świat na nowo po wielkim potopie, zapełnił go wieloma pięknymi zwierzętami, jednak żadne nie mogło się równać z tym, które właśnie pędziło im na spotkanie.

Sitsi zdjęła łuk z pleców i nałożyła strzałę. W całym oddziale tylko ona miała łuk, była więc jedną z dwóch kobiet władających bronią dystansową. Ale królicze kije Sadsii nie zdadzą się na wiele w walce z tak potężnym zwierzęciem. Strzały zresztą też nie.

Potrzebowały solidnych włóczy, i to wielu. Tym gorzej, że nie miały na podorędziu ani jednej. Wszystkie kobiety, jeśli nie liczyć

zwalistej Chogolisy, władały bronią krótką, która była w tym wypadku zupełnie do niczego. Chogolisa nie miała broni – sama jej siła czyniła ją niepokonaną. Ale czy zdoła zwyciężyć sztyletozębnego kota? Sitsi bardzo w to wątpiła.

Ucieczka również nie wchodziła w grę. To zwierzę potrafiło wyczuć ofiarę z odległości mili. Może szybka Paloma zdołałaby mu się wymknąć, reszta jednak nie miała szans. Bestia zjadłaby je jedną po drugiej.

Sitsi strzeliła. Strzała trafiła kota w kark i – jak można się było spodziewać – odbiła się od grubej, porośniętej sierścią skóry. Wojowniczką spojrzała na dowódczynię, czekając na rozkaz.

Sofi przypatrywała się ogromnej masie mięśni, pazurów i kłów. Wyglądała bardziej jak inżynier dokonujący oględzin zawalonego mostu niż kobieta, która zaraz może paść ofiarą rozjuszonego potwora.

Po zdecydowanie zbyt długiej chwili dowódczyni podjęła decyzję.

– Jutrzenko, daj swoją tarczę Chogolisie i stań tutaj. Palomo, ty stań tam. Sitsi, podejdź tu i strzelaj do niego ile wlezie, ale tylko strzałami do polowań na małą zwierzynę. Celuj w korpus, nie w głowę. Masz go rozzłościć, nie zranić.

Sitsi wykonała polecenie. Stanęła na rozstawionych nogach i wypuszczała strzałę za strzałą, biorąc na cel boki zwierzęcia. Sofi tymczasem wydawała polecenia pozostałym wojowniczkom.

Potworny kot rósł w oczach i z bliska wydawał się jeszcze większy. Dzięki swoim alchemicznie zmodyfikowanym oczom Sitsi mogła już dostrzec, że kły bestii były pożółkłe ze starości, ale wzrok – wciąż bystry. Czy ten kot rzeczywiście był większy od bizona? Nie, na pewno nie.

Dowódczyni owslanek wybiegła zwierzęciu na spotkanie, trzymając ramiona w górze. Potwór ryknął i rzucił się na nią.

Sofi dała nura naprzód i przetoczyła się po ziemi, obracając

szybko, by uniknąć wielkich pazurów, które świsnęły jej nad głową. Bestia wylądowała, jak to kot, na czterech łapach. Chogolisa Zadrzyziemia z ucepioną jej barków Jutrzenką wepchnęła zwierzęciu tarczę między kły. Wtedy Jutrzenka wybiła się obiema nogami, obróciła w powietrzu i wylądowała okrakiem na masywnym karku zwierzęcia.

Bestia ryknęła przeszywająco i potrzęsnęła łbem, rozszoszczona nie na żarty, bo tarcza utknęła jej w paszczy.

Jutrzenka uniosła swoją maczugę – masywny kij z twardymi drewnianymi kulami na obu końcach – i przygrzmociła kotu w łeb. Każda z kobiet miała własną unikatową umiejętność. Znakiem rozpoznawczym Jutrzenki był potężny cios, zdolny ogłuszyć bizona. Ale czy wojowniczką poradzi sobie z potwornym sztyletozębnym kotem?

Zwierzę warknęło i przywaliło kłami o ziemię, druzgocząc tarczę. Targnęło się na bok, usiłując zrzucić z karku okładającą je bez litości Jutrzenkę.

Kobieta zawyła, odwinęła się i z całą swoją magiczną siłą wtłoczyła zwierzęciu kulę w potylicę.

Kot zamarł na moment, a potem padł bezwładnie na ziemię.

Sadsi Wilczyca popędziła w jego kierunku z naręczem liny. Dołączyła do niej Sitsi, a zaraz potem Paloma i Talisa Sarna. Momentalnie skrepowały kotu łapy i obwiązały pysk.

– Nie zabijajcie go – polecił Yoki Choppa, zbliżając się spokojnym krokiem, niczym widz zajmujący miejsce na trybunach podczas niespecjalnie interesujących zawodów sportowych.

– Nie miałam takiego zamiaru – uspokoiła go Sofi.



Muskularne cielsko nieprzytomnego kota unosiło się i opadało o dobrą stopę z każdym jego oddechem. Bestia cuchnęła jak rzeźnia w skwarne dzień.

Sofi Tornado za pomocą obsydianowego noża wycięła zwierzęciu z paszczy jeden przysadzisty kiel, a Sadsi wcisnęła w ranę lecznicze zioła i zaszyła dziąsło. Yoki Choppa zgolił nieco pomarańczowobrazowej sierści i umieścił ją w misce. Sitsi przesunęła dłonią po zaskakująco gładkim grzbiecie, a następnie cofnęła się śladem zwierzęcia, zbierając po drodze swoje strzały.

Pustulka była pełna podziwu dla strategicznego talentu Sofi Tornado. Gdyby zabiła takie zwierzę, jego duch mógłby polować na nią przez całą wieczność, a zatem pozbawienie go jedynie przytomności miało sens. Nie wiedziała tylko, po co jej ten wielki kiel.

– Nie obawiasz się, że zwierzę będzie chciało odzyskać swój ząb i ruszy w ślad za nami?

– Nie – odparła Sofi. – Zaatakowało nas, więc musi za to zapłacić. Zrozumie.

– Nie boisz się, że zdechnie z głodu?

– Nie, to zmyślna bestia.



Sofi Tornado zajęła miejsce na czele biegnącej kolumny. Była zadowolona ze swojego nowego noża z kła wielkiego kota, ale jeszcze bardziej cieszyło ją, że owslanki pokonały bestię dzięki pracy zespołowej. Cały ich trening w Calnii skupiał się na walce w pojedynkę – jedna na jednego, jedna na dwóch, jedna na trzech i tak dalej, ale zawsze chodziło o indywidualną walkę pojedynczej wojowniczką. Był to błąd, ponieważ równie duży nacisk należało położyć na walkę w grupie. Starcie z wielkim kotem pokazało, że jej kobiety nie miały pojęcia o współpracy.

Gdyby Sofi nie skoordynowała osobiście całej operacji, mogłoby dojść do tragedii. Owslanki mogą natknąć się kiedyś na jeszcze potężniejsze zwierzę lub może ludzi, jeśli istnieli jacyś ludzie silniejsi od nich, ale ich trening nigdy nie uwzględniał takiej ewentualności.

Kiedy już zabiją grzyboludów i wrócą do stolicy, Sofi zajmie się tym osobiście.



Tego wieczora Sitsi Pustułka poszła z Jutrzenką nad pobliski strumień.

– No i? – spytała, gdy już były same.

– Co?

– Skąd mamy moc?

– Wybacz mi, Sitsi, ale długo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że na razie zachowam to dla siebie.

– No weź! Czemu?

– Dobrze mieć sekrety w zanadrzu. Nigdy nie wiesz, kiedy mogą się przydać.

– A nie mogłybyśmy dzielić tego sekretu? Tak robią przyjaciółki, nieprawdaż?

– Ale wtedy to już nie będzie sekret.

– Chyba nie. No trudno, nieważne. Wypucuj się dokładnie!

Sitsi ruszyła do obozu. Za nic by tego nie okazała, ale była zła na Jutrzenkę. Bardzo ją ciekawiła kwestia ich nadludzkich zdolności. Jej bystry wzrok i umiejętność strzelania z łuku napawały ją dumą, ale gdyby mogła dodatkowo przewidywać przyszłość jak Sofi, być szybka jak Paloma i silna jak Chogolisa...

Gdy wróciła do obozu, Yoki wręczył jej miskę parującej potrawki.

– O, dzięki!



ROZDZIAŁ 13

Ojcostwo

Stać! – krzyknął jakiś Harowianin, którego głos Sassa słyszała po raz pierwszy w życiu.

Gotujący się do walki Lakchanowie i Harowianie zamarli.

– A niech mi Thor rozwali łeb! – zaklął Gruby Wulf.

– Ale wielki niedźwiedź – zauważyła Frejdis Złośliwa. – I to nie jest garbaty niedźwiedź. Nie wiem, co to za niedźwiedź.

Od północnego zachodu szło w ich stronę największe zwierzę, jakie Sassa widziała w życiu. A obok niego mężczyzna ubrany jak skræling i wymachujący skrælińską maczugą, ale nie

wyglądający jak skræling. Miał bladą skórę, jasne włosy, niebieskie oczy, brodę i wzrost Harowianina. Nie mogła zdecydować, czy bardziej zdumiała się na widok zwierzęcia, czy człowieka.

– Teraz opuszczę rękę – zapowiedział wódz Kobosh – ale nie strzelajcie do tych pokurwieńców, dopóki się nie dowiem, co ma do powiedzenia ten pojeb z niedźwiedziem.

Ręka wodza obwisła przy biodrze. Obydwa plemiona opuściły broń i wlepiły wzrok w nadchodzącego nieznajomego i niedźwiedzia wielkiego jak sto bizonów.

Z początku Sassa pomyślała, że ten facet jest bardzo niski, a niedźwiedź bardzo duży, ale gdy się zbliżyli, pojęła, że mężczyzna to chłop jak dąb, co najmniej tak wysoki jak Garth, a niedźwiedź jest po prostu kolosalny. Człapał u boku nieznajomego na czterech łapach, ale jego ślepia były na tym samym poziomie co oczy mężczyzny. Sagi wspominały o wielkich białych niedźwiedziach żyjących na północy, ale one nie mogły być aż tak wielkie, bo autorzy sag poświęciliby im o wiele więcej miejsca. A poza tym ten tutaj był brązowy.

Mrugnęła oczami, potrząsnęła głową i spojrzała raz jeszcze, ale nie, nie przywidziało jej się – niedźwiedź wciąż był wielki jak potwór z legend. Co za dziwny misiek. Czy to krzyżówka niedźwiedzia z bizonem? Czy może, sądząc po tym krótkim pysku, niedźwiedzia z człowiekiem? Czy to pierwszy z tych przerażających potworów, od których, jak słyszała, roiło się na zachodzie?

Zwierzę chyba usłyszało jej myśli, bo otworzyło potężną paszczę i wydało głos, jakby ziewała naraz cała wioska. Nie był to dźwięk budzący grozę, nie był też zbyt głośny, ale widok pełnej paszczy kłów oraz odbite od ściany lasu echo podniosły jej włoski na karku.

Nagle uświadomiła sobie, kim jest ten człowiek. To nie mógł

być nikt inny. Sassa była zbyt młoda, by go pamiętać, ale znała opowieść.

– Eryk Złośnik – wymówiła Gunnhilda niepewnym głosem. – Chryste Panie...

– Eryk Wygnaniec – poprawił Garth. – Poprzysięgliśmy zabić go, jeśli go zobaczymy. A ja właśnie go widzę.

– Wstrzymaj się jeszcze. – Wulf położył mu rękę na ramieniu. – Ogólnie rzecz biorąc, lepiej nie atakować wielkich, uzbrojonych po zęby facetów, którzy mają na usługach potwory. Zwłaszcza gdy właśnie powstrzymali setkę skrælingów przed naszpikowaniem cię strzałami.

– Na pewno nie setkę. Góra siedemdziesięciu.

– Szczegóły.

– Mówiłem ci – warknął Kobosh – żebyś ruszył do Matki Wody, Eryku. Co tu robisz, do kurwy nędzy?

– Pozwoliłeś mi odejść, bo jesteś dobrym człowiekiem, a Lakchanowie dobrym plemieniem. – Eryk Złośnik mówił po skrælińsku jak Harowianin, ale w jego głosie pobrzmiwał taki sam akcent, jaki słyszeli z ust Rimilli. – Uwierzyłeś mi, gdy ci obiecałem, że przeprowadzę się przez Matkę Wodę i zniknę na zachodzie. Im też uwierz. – Zamknął wszystkich Harowian w obszernym geście. – Byłem już w drodze na zachód, ale musiałem wrócić po nich. Przeprowadzę się z nimi przez wielką rzekę i więcej już o nas nie usłyszysz. A Calnianie tym bardziej.

– Mówiłem wam, że zmierzamy na zachód. – Wulf podszedł do Eryka, machając na powitanie jemu i niedźwiedziowi. – I będziemy dalej szli w tym kierunku, nie oglądając się za siebie. Mamy swoją własną przepowiednię. Musimy znaleźć...

– Łąki? – przerwał Eryk.

– Tak, Łąki – potwierdził Wulf. – Ale skąd ty...?

– Tam! – powiedział Ottar, wskazując na zachód.

Eryk spojrział na chłopca i po prostu kiwnął głową, jakby

dobierał przyprawy do potrawki z królika.

– Racja, mały koleżko – powiedział, a Ottar uśmiechnął się rozpromieniony. – No to co powiesz, Koboshu, przyjacielu? Przecież wiem, że tak naprawdę nie chcesz masakrować tych ludzi. Króliczka na pewno tego nie pochwali, nawet Pajęcza Matka miałyby opory przed mordowaniem dzieci i starych bab. – Eryk wskazał brodą Gunnhildę i dwa szkraby.

– Nie jestem starsza od ciebie, Eryku Złośniku – obruszyła się Gunnhilda.

Krzaczaste brwi Eryka podskoczyły w górę jak zdybane na spółkowaniu wiewiórki, gdy rozpoznał Gunnhildę, ale zaraz się opanował.

– Właściwie to wydaje mi się, że byłaś o cztery lata starsza ode mnie, Gunnhildo Pobożna, i sądzę, że to się nie zmieniło. Ale pogadamy o tym później. Czy mogę najpierw skończyć tutaj...? – Wskazał Lakchanów.

– Ależ proszę.

– Bardzo ci dziękuję. A więc, Koboshu, zaraz grzecznie pójdziemy sobie na zachód.

– A jak was nie puszczę?

– No cóż... – Eryk rzucił okiem na gigantycznego niedźwiedzia, który siedział na zadzie jak człowiek i obserwował przebieg rokowań.

– Ty też widzisz tego wielkiego miśka, nie? – szepnął Bjarni do Sassy.

– Tak.

– Uff...

– Ech, Eryku... – Kobosh potrząsnął głową. – Kiedy szedłeś na zachód sam z niedźwiedziem, miałeś jeszcze jakieś szanse na przeżycie po drugiej stronie Matki Wody. Niewielkie, ale miałeś. Ale jak zabierzesz ze sobą tych tutaj i przepawisz się z nimi przez Matkę Wodę, choć najprawdopodobniej ci się nie uda, to

natychmiast znajdą was Badlandczycy. A wtedy pożałujesz, że Calnianie nie wzięli cię w obroty.

– Żegnaj, Koboshu. Ukryjemy się wszyscy i nikt nas nie znajdzie. Nie martw się o mnie. Za mną, Harowianie!

Wszyscy popatrzyli na Wulfa, który wzruszył ramionami.

– Chodźmy.

Eryk podszedł do niedźwiedzia, ale zaraz się odwrócił.

– Ty tam, w lesie! Ty też chodź!

Sassa podążyła za jego spojrzeniem dwieście kroków dalej, do miejsca, gdzie w cieniu drzew stał Chnob Biały.

Co on tam robił? – zastanawiała się.



Eryk Złośnik wspinał się na wzgórze, zastanawiając się, czy się odwrócić, czy nie. Był całkiem pewien, że Harowianie idą za nim, a sprawdzaniem nie chciał rozwiewać spowijającej go heroicznej aury.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat dołączył do swoich. Już po kilku sekundach zrobiło się niezręcznie. Gdy ich pierwszy raz zobaczył, ucieszył się, że przeżyli masakrę. Doznał ulgi, kiedy się dowiedział, że nie ma wśród nich Brodira Oślizgłego. I ulgi zmieszanej z rozczarowaniem, gdy się zorientował, że nie ma z nimi też Astrid, jego byłej miłości i zdrajczyni.

Nieodległa przyszłość nagle zaczęła go przerażać. Kim, na Pajęczą Matkę, są ci wszyscy ludzie? Zupełnie nie wiedział, jak i o czym ma z nimi rozmawiać. Był całkiem pewien, że to ten mały chłopiec go tu sprowadził, ale jego głos różnił się od tego, który kazał mu iść na Łąki. Czy ten szkrab chciał tylko, by ktoś uratował go przed Lakchanami, czy może miał jeszcze jakiś ukryty cel?

Pomyśleć, że tak niewiele dzieliło go od samotnego życia i świętego spokoju. Obejrzał się jednak. Są. Wszyscy idą za nim, a na czele maszeruje Gunnhilda Pobożna. Naszła go chęć, by po prostu uciec. Uratował ich przed śmiercią z rąk Lakchanów, może już starczy tego altruizmu? Niech każdy żyje i da żyć innym.

– Eryku, zaczekaj! – zawołała za nim.

A on natychmiast przypomniał sobie te same słowa, które wyrzekła do niego dwadzieścia lat temu, gdy wracał do domu z popijawy na plaży. Wtedy się nie zatrzymał. Teraz to zrobił.

– Dobrze cię znów widzieć. – Gunnhilda opromieniła go uśmiechem, który dobrze pamiętał.

Nagle było tak, jakby ostatnie dwadzieścia lat w ogóle się nie wydarzyło. Równie dobrze mógłby stać znowu na Rynku Olafa w czasie tingu. Czuł, że natychmiast by się tam odnalazł i poszedłby zrobić, co miał do zrobienia. Nie drgnęłyby mu nawet powieka.

– Nie zwalniamy kroku, bo jeszcze Kobosh zmieni zdanie.

Szedł dalej, a Gunnhilda za nim. Musiała truchtać, żeby nadążyć.

– Pewnie masz mnóstwo pytań? – powiedziała.

– Hmm – odmruknął.

– Nic się nie zmieniłeś. Wciąż jesteś zbyt dumny, żeby przyznać otwarcie, że ciekawi cię, co działo się w Harówce od twojego wygnania. Ogień przeskakuje z żagwi na żagiew, człowiek poznaje człowieka w rozmowie, a głupca po wstydlwym milczeniu.

– Nie jestem ani dumny, ani wstydlwy. Po prostu nie wiem, o co spytać najpierw.

– To może ja ci powiem. Calnianie zaatakowali nas cztery dni temu. To, co widzisz, to wszyscy ocalali.

– Astrid...?

- Na rany Chrystusa, to ty nie wiesz?
- Nie.
- Umarła, Eryku. Niespełna dwadzieścia lat temu. Wkrótce po tym, jak odszedłeś.
- Co? Jak?
- W połogu.
- W poło... Czyli... O, na jaja Króliczki...
- Tak, rodząc twoje dziecko.
- Moje dzie... A gdzie ono teraz jest?
- Obejrzyj się. Widzisz tego chłopaka z kręconymi włosami?
- Tego wysokiego?
- Nie, tego za nim. Krótsze włosy, zmarszczony, jakby miał zatwardzenie.
- To mój syn?
- Tak.
- A niech mnie wiewiórka ugryzie w orzechy... – zaklął. – Jak ma na imię?
- To Finnbogi, ale wołają go Zbuk.
- Eryk osłupiał. Co to mawiał Kobosh w takich sytuacjach? Ach, tak.
- To jest do chuja niepodobne.



ROZDZIAŁ 14

Dzieje Eryka

Finnbogi nie był w stanie ogarnąć umysłem, że świat jest wciąż taki sam po tym, co zaszło na łące. Nie zagotowała się woda w jeziorach, drzewa nie wystrzeliły pod niebo, nieprzebrane masy zwierząt wciąż biegały po lesie i przemykały wśród traw, zajęte własnymi sprawami, ćwierkając, bzycząc, piszcząc i powarkując. Ale on wciąż miał przed oczami Thyri całującą Gartha.

Włókł się za tym dziwnym nieznanym, Erykiem Złośnikiem, i jego olbrzymim niedźwiedziem. Wszyscy cieszyli się, że udało im się przeżyć spotkanie z Lakchanami, gadali jak

najęci o tym obcym facecie, a Finnbogi miał tego całego Eryka głęboko w dupie. Poważnie rozważał powrót do Lakchanów i poproszenie ich, by dokończyli to, co zaczęli Calnianie.

Wulf i ten obcy szli na czele. Jak się okazało, wygnany Harowianin znał te ziemie jak własną chatę i prowadził ich najlepszymi szlakami, dzięki czemu mieli dzisiaj bardzo dobry czas, ale to Finnbogi też miał w dupie. Kiedy wreszcie zatrzymali się na odpoczynek, Kif powiedział:

– Pokonaliśmy dzisiaj większą odległość niż przez pierwsze trzy dni marszu!

Jakby to miało jakieś znaczenie. Finnbogi miał ich wszystkich serdecznie dosyć, odszedł więc kawałek za obóz, by potrenować. Na odchodnym rzucił Thyri smętne spojrzenie. Złapała jego wzrok, ale zaraz się odwróciła. A więc wiedziała. Wiedziała, że wyrwała mu serce z piersi i pokroiła je na kawałki Ponurymi Bliźniakami.

Trenował ciężko, podwajając serie ćwiczeń i dając z siebie wszystko, aż w końcu klapnął na ziemię, zziębnięty i dokumentnie wykończony. Po co w ogóle zaczynała go uczyć, skoro była zakochana w tym dupku Garcie?

Po wszystkim umył się w rzece. Padał ze zmęczenia, ale czuł się lepiej. Pogratulował sobie, że tak szybko wraca do siebie po tak druzgoczącym rozczarowaniu. Na tych całych Łąkach będą przecież inne kobiety, nie? Może nawet ładniejsze od Thyri. No i zawsze pozostawała mu jeszcze Bodila, która przecież też nie była od rzeczy...

Bodila. Prawie się pocałowali wtedy w trawie. Czy to dlatego Thyri pocałowała Gartha? Czy to bogini Freja ukarała go za niewierność? Jeśli tak, to była niesprawiedliwą boginią, bo skoro nie byli jeszcze z Thyri parą, to jak mógł być wobec niej niewierny? No i przecież nawet nie pocałował Bodili! Choć, bogowie mu świadkiem, bardzo miał na to ochotę...

W połowie drogi do obozu spotkał Bjarniego Kurzą Twarz, siedzącego na pniu i strugającego kijek.

– Jak tam? Potrenował? – spytał go starszy kolega.

– Ano.

– Pewnie już nieźle śmigasz tym mieczem, co?

– Ja wiem...?

– Jesteś gotowy do walki z całą calnijską armią?

– W tej chwili mógłbym walczyć z każdym.

– Dobrze, dobrze. Słuchaj, ponieważ dołączył do nas Eryk, zmieniliśmy przydział śpiworów.

Finnbogi wiedział, co zaraz powie Bjarni. Nakazał sobie za wszelką cenę powstrzymać szloch.

– Jesteś teraz ze mną! Jesteśmy kumplami z jednego wora! – zarechotał.

Finn kiwnął głową, bo gdyby zaczął coś mówić, chyba by się rozpłakał.

– Posłuchaj mnie, człowieku. – Bjarni położył mu rękę na ramieniu. – Wiem, jak to jest kochać kogoś i widzieć tego kogoś z kimś innym. – Doprawdy? Wiedział? Niby jakim cudem? Nikt nigdy nie cierpiał tak jak Finn w tym momencie. – Czas leczy rany, życie toczy się dalej. Kiedyś ci przejdzie i wtedy będziesz szczęśliwy z kimś innym. A jeśli będziesz chciał z kimś pogadać albo po prostu odpocząć chwilę od innych, daj mi znać. Może jutro powalczymy?

– Miałem raczej zamiar trenować, nie sparować. Zanim nauczę się walczyć, muszę popracować nad sprawnością. Thyri powiedziała... – Łzy trysnęły mu z oczu, wstrzymywany w gardle szloch wydostał się na zewnątrz. Kurwa!

Finnbogi buczał jak małe dziecko, a Bjarni nie przestawał mówić:

– Tak jest, stary. Wywal to z siebie. Już dobrze, już dobrze.

Gdy Finn się w końcu pozbierał, Bjarni wyciągnął z za

pazuchy skórzaną sakiewkę i fajkę. Nabił ją brązowym suszem i odpalił, pocierając krzesiwem o nóż.

– Skąd to masz? Myślałem, że zostawiłeś wszystko w...

– Zabrałem trochę tylko dla siebie, ale w tej sytuacji... Układ jest taki: dzielimy się tytoniem co wieczór, ale w ciągu dnia rozglądamy się za nowym. Jeśli spotkamy jakichś przyjaznych skrælingów, zapytamy, czy nie mogliby nam trochę skombinować.

– Jasne. Dzięki, stary.

– Nie ma za co. Jesteś równy gość. Tytoń jest właśnie na takie okazje. Pal na zdrowie!



Finnbogi wrócił do obozu z Bjarnim. Kręciło mu się w głowie od fajki, ale czuł, że wkroczył już na drogę wiodącą do szczęścia. Słońce różowiało na zachodzie, a ostatnie jego promienie malowały drzewa, jeziora i polany pięknymi, ciepłymi kolorami.

Serce szarpnęło mu się w piersi, gdy zobaczył Thyri siedzącą z Garthem, ale nie czuł się już taki roztrzęsiony.

Poradzi sobie z tym.

– Ach, Finnbogi i Bjarni, wróciliście – przywitała ich Gunnhilda. – Siadajcie. Eryk poszedł na zwiad razem ze swoim niedźwiedziem, więc wykorzystam tę okazję i opowiem wam o nim.

– To będzie krótka opowieść – wtrącił Gurd i oczyścił gardło. – Oto ona: jest wygnańcem i powinniśmy go zabić. Koniec.

– Ocalił nas – podsunęła Sassa.

– I co z tego? Prawo to prawo. Każdy hirdman, który go zobaczy, musi go zabić albo sam położyć głowę. I tak już łamiemy prawo przodków. No, Wulf, powiedz, czy nie mam racji?

– Masz rację – westchnął Wulf – jeśli idzie o prawa hirdu. Ale trochę się ostatnio pozmieniało. Nie ma już Harówki, nie ma jarła, nie ma tingu. I hirdu też już nie ma.

– Nic się nie zmieniło. Wciąż potrzebne nam prawo. Ty jesteś teraz jarlem. Twoim zadaniem jest egzekwowanie prawa, a nie jego zmienianie.

– Nie jestem jarlem. Dni jarłów dobiegły końca. Posłuchajmy opowieści Gunnhildy, a potem postanowimy, co zrobić z Erykiem.

– A co, jeśli wróci, zanim opowieść się skończy? – spytał Chnob.

– Nie zdąży. Wie, co właśnie robimy, więc będzie patrolował okolicę przez całą noc. Zbierzcie się wszyscy. Gunnhildo, gdy będziesz gotowa, zacznij opowieść.

Świetnie, pomyślał Finnbogi, wywracając oczami. Właśnie tego mu teraz trzeba. Ale usiadł mimo to.

– Dwadzieścia lat temu – zaczęła Gunnhilda – jarlem Harówki był Tarben Swędzibroda. Chciałabym móc powiedzieć, że ludzie byli wówczas silniejsi i pracowali ciężiej, ale byłoby to kłamstwo: nazwa naszej osady była wówczas tak samo myląca jak obecnie. Nie byliśmy wcale mniej leniwi od waszego pokolenia. W całej wiosce ostał się tylko jeden wóz z kołami, ale wyglądał, jakby miał się zaraz rozsypać, a już wówczas nikt z nas nie wiedział, jak go naprawić. Kilku starców wciąż jeszcze pamiętało znaczenie prastarych run, ale ich czas na tym świecie miał się ku końcowi, a młodzi nie chcieli się od nich uczyć. Zapewniając nam jedzenie i drewno, skrælingowie sprawili, że nikt nie musiał pracować, a ludzie muszą pracować, jeśli...

– Czy można zwięźle? – wszedł jej w zdanie Kowadłogęby. – Chciałbym usłyszeć zakończenie, zanim będę tak stary jak Eryk.

Gurd Zadrzykiecka, który wyglądał, jakby był od Eryka o wiele starszy, nagroził żart salwą śmiechu.

– Dobrze. Zupełnie jak w tej Harówce, którą opuściliśmy kilka dni temu, w Harówce naszych czasów jedynie hird prowadził aktywny tryb życia. Tak jak i wy, hirdmani trenowali całymi dniami, szkoląc się w walce. Dowódcą hirdu był wówczas Brodir. Tylko wtedy nazywaliśmy go Brodirem Oślizgłym.

– Wcale nie – wypalił Gurd.

Oślizgły, pomyślał Finnbogi. Ten przydomek o wiele lepiej do niego pasował. Ale Gurd uwielbiał ludzi otoczonych autorytetem i zawsze bronił tych, którzy sprawowali choć niewielką władzę.

– A właśnie że tak – sprzeciwił się Bjarni.

– Brodir skutecznie prześladował tych, w których pamięci zachował się jego niechlubny przydomek – wyjaśniła Gunnhilda.
– Ale tak go właśnie nazywaliśmy, i nie bez powodu. Brodir był dowódcą hirdu, ale najlepszym wojownikiem, zwycięzcą wszystkich walk i pojedynków, a zarazem najprzystojniejszym mężczyzną w wiosce był Eryk zwany Złośnikiem. Którego przydomek, nawiasem mówiąc, również pasuje do niego jak ulał. Ale Eryk miał powód, żeby się złościć. Drażniła go ta apatia, która spowijała Harówkę jak trujący bluszcz. Jak już sam wam powiedział, jestem od niego o cztery lata starsza. Gdy tylko mały Eryk nauczył się mówić, zaczął sprzeciwiać się jarłowi i starszyźnie, kwestionować tradycję i obyczaje. Chciał być odkrywcą jak Olaf. Udało mu się przekonać kilka osób, że powinni odejść z wioski, tak jak wy chcieliście to zrobić. Oni także zaczęli już gromadzić zapasy i snuć plany.

– Skąd wiesz, że chcieliśmy opuścić Harówkę? – zdumiał się Chnob.

– Bo nie jesteście nawet w połowie tak cwani, jak wam się wydaje. Niedokładnie zacieraliście ślady. I ani wy nie byliście pierwsi, ani my. Każde pokolenie nosi się z myślą o opuszczeniu osady, gromadzi zapasy i przygotowuje ekwipunek, wmawia sobie, że w którymś momencie na pewno zrealizuje swój zamiar.

Trudno więc utrzymać to w tajemnicy, zwłaszcza gdy jeden z konspiratorów, a mianowicie obecny tu Chnob Biały, donosi o wszystkim jarłowi.

Biały zrobił się czerwony. Finnbogi wwiерcił się w niego wzrokiem. Chnob, ty gnido! Popatrzył na Drzewonogą, która mierzyła brata spojrzeniem. Gdyby wzrok mógł zabijać, Chnob leżałby martwy.

– Historia zatacza koło. Młodzi zawsze chcą odejść, starzy nigdy nie biorą ich na poważnie, a potem młodzi stają się starymi i wszystko się powtarza. W końcu pewnie wszyscy by zapomnieli o tym pomysle, a Eryk może nawet zostałby jarłem. Ale wszystko poszło nie tak, gdy Złośnik zaczął się spotykać z córką jarła Tarbena, Astrid, którą zwano Pięknolicą i Małoduszną. Wszystkie kobiety padały Erykowi do stóp...

– Nawet ty? – przerwał Gurd.

Gunnhilda pokiwała głową ze smutkiem.

– Nawet ja. Ale każdy wiedział, że to Astrid go zdobędzie. Była od niego o rok młodsza i wszyscy byli zgodni co do tego, że nie przyszła na świat piękniejsza od niej kobieta. Ale trzeba wam wiedzieć, że Tarben i jego żona wychowali ją w przekonaniu, że jest lepsza i ważniejsza niż wszyscy, i Chrystus mi świadkiem i święty krzyż jego, że nie było i nie będzie na świecie bardziej pierdolniętej suki.

– Ależ, ciociu Gunnhildo Pobożna! – krzyknęła Frejdis, zatykając uszy Ottarowi.

– Wybacz mi, dziecko. Zapomniałam, że tu jesteście. Powiedzmy więc, że była po prostu bardzo niemiła. Jednakowoż zdobyła serce Eryka pewnej nocy, gdy przesadził z alkoholem, i tej właśnie nocy skonsumowali związek w jednej z wioskowych szop. A następnego dnia Eryk stwierdził, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Ku zdziwieniu wszystkich Harowian Astrid przyjęła to nadzwyczaj dobrze. Zupełnie jakby jej charakter

zmienił się z dnia na dzień. Popełniliśmy błąd, niczego nie podejrzewając. Kobieta może nosić co dzień inną suknię, lecz jej serce zmienia się przez lata, a nie przez jedną noc. Astrid, jak się okazało, rzuciła na Eryka urok, a on po kilku tygodniach sam do niej wrócił. Przekonała go, że powinni razem uciec z Harówki, i tak też uczynili. Pierwszej nocy rozbili obóz jeszcze na terenie wyznaczonym przez skrælingów. Astrid odczekała, aż Eryk uśnie, a potem pobiegła do domu i rozgłosiła, że porwał ją wbrew jej woli. Następnego dnia Eryk wrócił do osady i został pojmany.

– Ale wszyscy wiedzieli, że ona kłamie? – powiedziała Sassa.

– Większość owszem, ale jarl Tarben był ślepy na niegodziwość swojej córki i stanął po jej stronie, podobnie zresztą jak Brodir, któremu Eryk był solą w oku. Eryk wiedział, że mając ich obu przeciwko sobie, nie wygra ani w walce wręcz, ani w walce na słowa. Postanowił więc walki zaniechać. Ale to jeszcze nie koniec historii.

– Co się stało z Astrid? – spytała Bodila.

Finnbogi był zaskoczony, że jeszcze się nie pogubiła w opowieści ciotki. Musiał przyznać, że mu zaimponowała.

– Chrystus nie jest miłosiernym Bogiem. Lubi mścić się na złoczyńcach. I tak też zrobił tym razem. Wkrótce stało się jasne, że Astrid jest w ciąży z dzieckiem Eryka. Przez następne osiem, może dziewięć miesięcy rosła jak na drożdżach i wyglądała na cokolwiek niewesołą. A potem coś poszło nie tak w czasie porodu i się wykrwawiła.

– Wykrwawiła? – nie zrozumiała Frejdis.

– Tak, zmarła z upływu krwi.

Zaległa cisza jak makiem zasiał. I wtedy starsi Harowianie zaczęli szukać wzrokiem Finnbogiego, a twarze ich wszystkich wyrażały protekcyjną troskę. Bjarni położył mu rękę na ramieniu i przywołał na usta współczujący uśmiech. Co tu się dzieje, do diaska? Nawet Gurd patrzył na niego i kiwał głową,

jakby chciał powiedzieć: obaj jesteśmy mężczyznami i współczuję ci jak jeden mężczyzna drugiemu.

– Co? – obruszył się Finn.

– Czy tym dzieckiem był Finnbogi? – spytała Frejdis. – To był on, prawda? Finnbogi zwany Zbukiem jest synem Eryka Złośnika i Astrid Pięknolicej i Małodusznej! Masz teraz tatę, Zbuk! Czy to prawda, ciociu? Czy mam rację? Mam rację!

– Tak – zawyrokowała Gunnhilda.



Nikt, dosłownie nikt nie ma tak posranego życia jak ja, myślał Finnbogi, wciśnięty w śpiwór z Bjarnim zamiast Thyri, obracając w myślach rewelacje, które wygłosiła wszem wobec ciotka Gunnhilda, i zmagając się jednocześnie z bolesną świadomością, że Thyri i Garth dzielą śpiwór ledwie kilka kroków dalej.

Pocieszał się tylko tym, że Thyri zawsze zasypiała, gdy tylko weszła do śpiwora, ale i tę marną pociechę szlag trafił, bo nie mogąc zasnąć przez kilka ładnych godzin, doskonale ich słyszał.

Zaczęło się od stłumionych chichotów. Finnbogi wmawiał sobie, że to pewnie królik rzyga w krzakach albo coś. Choć wiedział przecież, że to Thyri. I że nie rzyga, tylko chichocze. Czemu ona jeszcze nie śpi? Z nim zawsze zasypiała od razu. Kiedy skończyły się chichoty, jego ulga nie trwała zbyt długo, bo za chwilę dało się słyszeć dyszenie, zarówno Thyri, jak i Gartha. Finn zatkał sobie uszy palcami. Wciskał je tak głęboko, że mógłby połaskotać się w mózg. Gdy je wyjął, usłyszał, że dyszą w harmonii, coraz głośniej, i że akompaniują im szeleszczące rytmicznie pod śpiworem liście.

Wcisnął palce jeszcze głębiej, tym razem naprawdę chcąc przebić się przez czaszkę do mózgu, by już nie musieć tego słuchać.



ROZDZIAŁ 15

Frossanka z plemienia Białych Niedźwiedzi

Siedem owslanek i arcy czarnoksiężnik Yoki Choppa okrążyli terytorium Goachików i wczesnym popołudniem przybyli do Harówki. Świeciło słońce, śpiewały ptaki, cuchnęły zwęglone trupy, aż łzy cisnęły się do oczu. Osada była zapadła i podniszczona, ale bynajmniej nie zrównana z ziemią.

Calnianie przeszli przez główną bramę na rynek. Kilka ścierwojadów rozbiegło się na ich widok i skryło w opuszczonych chatkach. Chmara rozmaitych ptaków, od kolibrów o czerwonych gardziółkach po sępy o zakrzywionych dziobach, wzbiła się w powietrze, bzycząc małymi i trzepocząc większymi

skrzydłami. Roje much uniosły się zwiewnym całunem ze stosu trupów, zawisły na chwilę w górze, a potem wróciły do uctowania. Jeden stary czarny niedźwiedź ociągał się z ucieczką, ale umknął, gdy ryknęła na niego Chogolisa Zadrzyziemia.

Sofi Tornado stała w środku wioski, nasłuchując, a potem skierowała kroki do największego budynku na skraju placu.

– Wyłaź – zawołała. – Albo pójdziemy po ciebie.

Z zacienionego wejścia wyłoniła się kobieta. Była tak szeroka w pasie jak Chogolisa, ale w odróżnieniu od owslanki większość jej przysadzistego cielska stanowił tłuszcz, nie mięśnie. Trzęsa się jak galareta z każdym krokiem. Jej skóra była tak blada, że Sofi w pierwszej chwili pomyślała, że trawi ją jakaś śmiertelna choroba, ale jej szaty i kapelusz były krzykliwie kolorowe, strojniejsze od nędznych łachów calnijskiej biedoty.

– Więc to się dzieje, gdy jedno plemię karmi inne plemię – skomentowała Paloma Widłoróg.

– Wy musicie być tymi słynnymi owslankami z Calnii! – zawołała grubaska. – Tak się cieszę, że was widzę! Jestem starą przyjaciółką Ayveranny!

Sofi poczekała, aż ta beczka sadła przytoczy się wreszcie do nich, a potem poprawiła:

– Chyba Ayanny.

– Och, na miłość Odyna, oczywiście, że Ayanny. Wybaczcie, od bitwy słabo sypiam i nie myślę trzeźwo. Ayanna, cesarzowa Calnii, to moja bliska przyjaciółka. Kogóż mam zaszczyt powitać w Harówce?

– Jestem Sofi Tornado.

– Ach, dowódczyni owslanek! Słyszeliśmy o tobie. No cóż, mówię „my”, choć tak naprawdę zostałam tu tylko ja, więc nie bardzo mogę was ugościć, jak na to zasługujecie. I mówię „my”, choć oczywiście nie pochodzę stąd. Przyszłam tu z wizytą, kiedy

osadę najechała wasza armia, wymierzając miejscowym sprawiedliwą karę.

– Kim jesteś?

– Zwę się Frossanka. Jestem czarodziejką z północy.

– Z którego plemienia?

– Z Białych Niedźwiedzi.

– Rozumiem. Co tu się wydarzyło?

– Calnianin imieniem Kimaman najechał tę wioskę wraz ze swoją armią w celu zabicia wszystkich Harowian. Gdy powiedział mi o przepowiedni Ayanny o tym, że blade twarze mają zniszczyć świat, postanowiłam mu pomóc, lecz niestety, mieszkańcy tej przeklętej wioski go pokonali.

– Wielu ocalało?

– Szesnaścioro. Ruszyli na zachód. Jeden z nich, biedne, chore dziecko, wymyślił historyjkę o krainie na dalekim zachodzie, gdzie mają rzekomo znaleźć nowy dom. Ci głupcy łyknęli tę bzdurę bez popitki! To tylko pokazuje, jak rozpaczliwie potrzebowali ucześcić się nadziei, biedacy...

– Jak nazywa się ta kraina na zachodzie? – odezwał się milczący zwykle Yoki Choppa.

– Łąki.

Czarnoksiężnik skinął niedbale głową, pozornie niewzruszony, ale Sofi słyszała, że oddech mu się zmienił.

– Co wiesz o tych Łąkach? – zapytała kobiety, która utrzymywała, że pochodzi z plemienia Białych Niedźwiedzi.

– To wymysł, ot co. Tamto dziecko to kretyn, plecie, co mu ślina na język przyniesie. Ma nie po kolei w głowie, wiecie? Rodzice powinni byli utopić je w wiadrze zaraz po urodzeniu.

Uwadze Sofi nie uszło, że Sitsi Pustułka zjeżyła się na słowa starej kobiety. Zrobiła nawet krok w jej stronę, ale Sofi powstrzymała ją uniesioną dłonią.

– Czy wiesz coś więcej o obranym przez nich kierunku?

– Wyszli z Harówki drogą prowadzącą na zachód. Wiem, że długo będą iść w tym kierunku. Jeśli macie zamiar podążać ich śladem, to może ja poszłabym do Calni, z waszym błogosławieństwem, i powiadomiła o wszystkim cesarzową Ayanę?

– Jesteś z plemienia Białych Niedźwiedzi?

– Zgadza się.

– Wymień imiona trzech ostatnich wodzów.

– Opuściłam rodzinne ziemie dawno temu i...

– Imiona. Natychmiast.

– Hmm... Piesok, Kotak i... Sofinda.

– Sitsi? – zwróciła się Sofi do podwładnej.

– Chyba nie mogłaby się bardziej pomylić – orzekła najdrobniejsza z owslanek bezlitośnie szyderczym tonem. – Ostatnimi trzema wodzami plemienia Białych Niedźwiedzi byli Smanga Calla, Frozza Polk i kobieta, której prawdziwego imienia nikt nie zna, ale zasłynęła tym, że przebierała się za białą niedźwiedzicę i kazała się zwać Ooom! Obecnie głową plemienia jest Gejajo. Był jeden Kotak, ale przewodził on plemieniu Kukurydzianych Trójkątów. Obrano go wodzem sto pięć lat temu, a zmarł lat temu osiemdziesiąt, może osiemdziesiąt jeden, choć jak wiadomo powszechnie, Kukurydziane Trójkąty tytułują swoich władców królami i królowymi, nie wodzami. Nie istniał w historii tych ziem ani jeden władca, ani jeden człowiek, który nosiłby imię Piesok lub Sofinda. Podejrzewam, że to ostatnie imię...

– Dziękuję, Sitsi, już wystarczy.

– Pochodzę z tego drugiego plemienia Białych Niedźwiedzi, nieco mniej znanego. To małe plemię, zamieszkujące odludzia setki mil na...

Sofi Tornado wbiła grubej kobiecie topór w głowę. Baba zwała się na ziemię z takim odgłosem, jakby ktoś upuścił na

podłogę plaster słoniny.

– Jeden grzybolud z głowy – orzekła Paloma Widłoróg. –
Pozostało szesnaścioro.



W wiosce nie było żywej duszy. Sofi Tornado kazała Talisie Sarnie i Jutrzence przeszukać całą okolicę, w tym dwa mniejsze domostwa przylegające do Harówki, o których powiadomili owslanki calnijscy geografowie. Palomę Widłoróg wysłała do osady Goachików.

Ayanna kazała jej zrównać miasto z ziemią, by po grzyboludach nie ostał się na brzegu Jeziora Ciekawskiego Jesiotra nawet ślad. Sofi myślała, że wykona to zadanie, paląc kilka drewnianych długich domów krytych strzechą i może wrzucając do wody kilka namiotów. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że nic z tego. Zamiłowanie tych grzyboludów do marnowania dobrych surowców wołało o pomstę do wszystkich bogów. Najnędnieszszą szopę wzniesiono z takiej ilości drewna, że tysiąc calnijskich robotników mogłoby zbudować z niego tysiąc szałasów.

Zniszczenie wioski zajmie wiele dni wypełnionych od zmierzchu do świtu żmudną pracą. To nie była robota dla calnijskiej elity.

Raptem na plac wbiegła Paloma Widłoróg.

– Znalazłam ocalałych Goachików. To głównie starcy i dzieci.

Chwilę później pojawiła się Talisa Sarna z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Nie znalazłam żadnych ocalałych, ale natknęłam się na ślady tych szesnaściora. Co ciekawe – dodała po chwili, wskazując na świeżego trupa na placu – przez jakiś czas było ich

siedemnaścioro. To pulchne babsko opuściło wioskę wraz z nimi, ale wróciło tu dzień później. Chyba się rozmyśliła.

– Wyczytałaś coś jeszcze z ich śladów? – dociekała Sofi.

– Jest wśród nich dwoje dzieci i jeden ranny. Niektórzy z pozostałych to wysocy i ciężcy mężczyźni.

– Dobrze. Zbierz kobiety. Ruszamy w drogę.

– Gonimy ich?

– Tak, ale najpierw musimy odwiedzić tych ocalałych Goachików, którzy nie mieli dość pomysłu, żeby uciec.

Yoki Choppa osadził na niej wzrok. Wiedział, że Ayanna wyraźnie kazała jej zrównać miasto z ziemią, a jak dotąd nawet nie wywróciła kopnięciem wiadra.

Mrugnęła do niego. Wzruszył ramionami.



Niedobitki Goachików nawet nie rzuciły się do ucieczki na widok owslanek. Dzieci patrzyły na nie szeroko otwartymi oczami, starcy stali z ponurymi minami, mierząc je pogardliwym, bezsilnym spojrzeniem. Sofi Tornado oparła ręce na biodrach i przypatrzyła im się. Najstarsze dziecko miało może dziesięć lat, najmłodsza starucha co najmniej sześćdziesiąt.

– Przyszłyście nas wykończyć? – powiedziała owa najmłodsza z najstarszych, kuśtykając w jej kierunku, wsparta na drewnianej kuli. Miała długie, obfite piersi, które wyglądały jak opróżniony do połowy bizoni pęcherz, biodra tak szerokie, jakby pod jej spódnicą kryła się dwójka dzieci, i ton człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów.

– Jak się nazywasz i kim jesteś?

– Jestem Cannakoko, przewodzę ocalałym Goachikom.

– Ja mam na imię...

– Sofi Tornado, jesteś dowódczynią calnijskich owslanek. Ten mężczyzna to Yoki Choppa, główny szaman cesarzowej Ayanny. A gdzie reszta twoich wojowniczek? – Cannakoko policzyła kobiety, machając na każdą kulą. – Brakuje trzech. Mam nadzieję, że przydarzyło im się coś okropnego. – Wysunęła zuchwę na Sofi, jakby rzucała jej wyzwanie.

– Czy chcesz żyć? – spytała Sofi.

– Nie, wolałabym, żebyście zamęczyły nas na śmierć. Głupie pytanie, oczywiście, że chcę żyć, ty potworze w ciuchach ulicznicy. I chciałabym też, żebyście nie zabijały tych biednych sierot i bezbronnych starców, ale pewnie i tak to zrobicie, co? Wydziwołagi.

– A wiesz, że miałam taki zamiar, ale jesteś tak czarująca, że was oszczędzę.

– To lepiej się streszczaj. Ale najpierw zabij dzieci. I zrób to szybko. Wiele przeszły i nie powinny cierpieć więcej, niż to konieczne.

– Głucha jesteś? Powiedziałam, że was oszczędzę.

– Mnie możesz zostawić sobie na deser, możesz mnie nawet torturować. Wrócę jako mściwy duch i sprawię, że pożałujesz, że to nie ty tu dzisiaj umarłaś.

– Na pewno zrobiłabyś to z dziką rozkoszą. Ale spróbuj mnie przez chwilę posłuchać: mam dla ciebie propozycję.

– Zabij nas, zabij i już, mam to w...

– Nie. Zabiję. Was.

– Co? – Wreszcie dotarło. – To co zrobisz?

– Wszyscy macie pójść do wioski grzyboludów. Macie zburzyć ją do gołej ziemi, a wraz z nią przyległe budynki. Wszystko spalcie. A to, czego nie zdołacie spalić, wrzucicie do jeziora.

– Co to za grzyboludy?

Sofi wyjaśniła, o kogo chodzi.

– A, masz na myśli bladziochów z Harówki – zrozumiała

Cannakoko. – Nigdy za nimi nie przepadałam.

– I dobrze, twoja antypatia doda ci sił. Kiedy wrócę, na wybrzeżu jeziora ma nie być ani śladu po ich wiosce.

– A jak będzie?

– To was zabiję i zjem.

– Zjesz? – Cannakoko wydawała się bardziej oburzona niż przestraszona.

– Tak. Jesteś dostatecznie okropna w tym życiu. Nie mam zamiaru dopuścić do tego, żebyś nawiedzała mnie jako duch lub odrodziła się jako wyjątkowo wredne zwierzę.

– Rozumiem. Ale my jesteśmy bardzo starzy i bardzo młodzi. Czy widziałaś, jak oni budują? Nie nadajemy się do takiej roboty.

– A do umierania się nadajecie? – Sofi pomachała toporem.

Cannakoko prychnęła jak bizon zapędzony w kozi róg.

– Dobra, niech ci będzie. Zrobimy to dla dzieci.

– To bardzo ładnie.

– Kiedy wrócicie?

– Wkrótce, więc lepiej zabierajcie się do pracy.

Sofi Tornado czuła rozczarowanie bijące od owslanek. Ostrzyły sobie zęby na Goachików, a ona odmówiła im dziennej porcji śmierci. Sama siebie zaskoczyła tą niespodziewaną łaskawością. Zwykle gdy miała wszelkie prawo kogoś zabić, korzystała z niego, ale Harówka sama się przecież nie zburzy, a ona nie miała zamiaru kiwnąć palcem w tym celu, więc niech zrobi to kto inny. Zabić ich zawsze zdąży.



ROZDZIAŁ 16

Schronienie

Gruby Wulf był dobrym człowiekiem. Finnbogi poprosił go o tylną straż, a on się zgodził, przydzielając mu do pary Kifa Berserka.

Finn nie wiedział, czy Kif wie o jego rozterkach. Z pewnością nie wspominał o nich ani nie próbował poprawić mu nastroju. Biegał wokoło z Duporąbem w garści, płosząc wszystkie wiewiórki. Kiedy w krótkotrwałych momentach spokoju siedł obok Finnbogiego, maszerował tyłem jak rak lub bokiem jak krab, szukając wśród drzew czających się na nich skrælingów.

Finnbogi po prostu szedł, przodem, jak człowiek. Nie obchodziło go, czy Lakchanowie ich dogonią i zabiją. Nie kiedy jednego dnia jego życie legło w gruzach dwukrotnie.

Już godził się z utratą Thyri, tak jak człowiek godził się z utratą ręki dzień po tym, jak ją utracił. Rana była świeża i bolesna, jeszcze niezasklepiena, a brak kończyny zaburzał jego równowagę, ale ponieważ nie był typem, który lubi się nad sobą uzalać, powtarzał sobie, że kiedyś życie stanie się znośne. Po prostu będzie inne od tego, jakie sobie zaplanował. Wcale nie pomagało uśmierzyć bólu to, że osobą, która znalazła tę jego rękę i machała mu nią przed nosem, mówiąc: „Patrz, co mam! A ty nie masz”, był największy chuj w całym tym chujowym plemienu złożonym z najchujowszych ludzi na świecie. Nawet nieźle wyszła ta analogia do ręki, pomyślał mimochodem.

A potem jeszcze okazało się, że jego ojciec żył i że był nim niespełna rozumu wygnaniec, który kumplował się tylko z niedźwiedziami wielkimi jak stodoła, i że zamiast siedzieć sobie gdzieś na drugim krańcu świata, jak nakazywała przyzwoitość, szedł teraz z nimi na Łąki, zaprzepaszczając nadzieje Finna na nowe życie. Czy istniał na świecie większy pechowiec? O ja biedny, o ja nieszczęśliwy... – pomyślał Finn.

Przecież fakt nieposiadania rodziców był rdzeniem jego jestestwa. Był samotnym bohaterem, indywidualistą, romantycznym samotnikiem, mężczyzną samowystarczalnym, wolnym, sam sobie sterem, żeglarzem, drakkarem. Ludzie patrzyli na innych ludzi i mówili: „Patrz, skóra zdarta z ojca”, albo nawet: „Zobacz, zupełnie do ojca niepodobny” – ale nie na Finnbogiego. Był bezludną wyspą bez punktu odniesienia.

A teraz każdy wiedział, że ten przygłupi luj w skrælińskich ciuchach to jego stary.

Nie miał pojęcia, co z tym zrobić. Unikanie go to chyba najlepsza taktyka. Choć nie rozumiał, czemu Eryk unika jego. Czy

celowo zwlekał z ojcowsko-synowską rozmową? Finnbogi obawiał się tego spotkania prawie tak bardzo jak kolejnej upojonej nocy Thyri i Gartha.

Przed Finnbogim szedł w pojedynkę Chnob Biały. Jedyną dobrą rzeczą, która się ostatnio wydarzyła, było zdemaskowanie Chnoba jako konfidenta, który donosił o poczynaniach Bandy Uciekinierów jarlowi Brodirowi, i jego natychmiastowe zepchnięcie na obrzeża plemienia z łatką wyrzutka na czole.

– Jesteś nędznym zdrajcą, Chnob! – wrzasnął do jego pleców.

Chnob szedł dalej, ale nieco się przygarbił. Finn poczuł się dzięki temu o wiele lepiej. Ale już trzy sekundy później zrobiło mu się głupio, że go ochrzanił.



Sassa Gryziwarga szła w parze z Bodilą, wcale jej nie słuchając. Bodila powiedziała już o wszystkim, co jej się nasunęło w związku z niespodziewanym pojawieniem się Eryka oraz innymi wydarzeniami poprzedniego dnia, a teraz tylko powtarzała się rozwlekle na wszystkie możliwe sposoby. Sassa podjęła próbę przemiany monologu w dialog, ale Bodila natychmiast ją zagłuszyła. Paplała w najlepsze, zupełnie bez związku z tym, co udało się wtrącić Sassie, która przestała już wtrącać cokolwiek i po prostu uzbroiła się w cierpliwość.

Zauważyła, że podczas gdy droga z Harówki na terytorium Lakchanów wiała się między niezliczonymi jeziorami, stawami i bajorami, teraz wiodła ich prosto przez suche równiny, przez co pokonywali dziennie o wiele większy dystans. Roślinność była z grubsza podobna, ale drzewa w lasach i zagajnikach o wiele większe i rzadziej rozmieszczone. Kraina roiała się od rozmaitego zwierza, wypełniającego powietrze krzykiem i wołaniem.

Rana po skrælińskiej strzale goiła się wcale nieźle, a ramię było zaskakująco mobilne i prawie już nie bolało. Eryk Złośnik wtarł w nie kleistą maź i owinął je bawełnianym bandażem oraz liśćmi.

– Lakchanowie umieją leczyć o wiele lepiej od nas – wyjaśnił. Wyglądało na to, że miał rację.

Bliżej czoła grupy widziała Wulfa. Szedł ramię w ramię z wygnańcem, rozprawiając z nim na jakiś temat. Od czasu do czasu kiwał twierdząco głową i wołał: „Na Thora!”. Uważała, że to urocze, że tak dobrze dogaduje się z Erykiem. Wygnaniec był podróżnikiem i odkrywcą, którym Wulf zawsze chciał być. Sassa sama chętnie wypytałaby Złośnika o to i owo. Chciała wiedzieć, jak daleko na zachód się zapuścił i co tam widział. Ale zrobi to potem. Nie będzie psuć Wulfowi zabawy.

Na niebie przed nimi wisiała tylko jedna chmura, ale z północy rozlewała się po błękitnie jak siniec złowróźbna niebieskoczarna plama.

Wkrótce po obiedzie spadły pierwsze opasłe krople deszczu, zwiastując oberwanie chmury, jedno z takich, jakie musiały u zarania dziejów zainspirować ludzi do uszczelniania chat. W ciągu kilku sekund wszyscy Harowianie byli przemoczeni do suchej nitki. Droga zmieniła się w strumień, a gęsta ściana deszczu znacznie ograniczała widoczność. Sassa nigdy jeszcze nie widziała takiej ulewy. Nie mogli iść dalej w tych warunkach.

Eryk umocował gałąź między dwoma drzewami i wsparł ją na środku rozwidlonym kijem. Poleciał reszcie naznosić krótszych gałęzi i liści, a potem skonstruował z nich spadzistą wiatę. Dzieci i Bodilę wysłał po suchy chrust z miejsc w lesie osłoniętych przez drzewa, a sam z Wulfem stoczył ze skarpy powalone drzewo.

Wkrótce mieli już gotowe schronienie i grzali się przy długim ognisku rozpalonym na wierzchniej stronie pnia. Harowianie

tłoczyli się pod dachem, ze śmiechem na ustach walcząc o przestrzeń. Sassa wylądowała między Gurdem i Wulfem.

Szopy Ottara, imiennicy kruków boga Odyna, wydawały się wyjątkowo źle znosić niepogodę. Co rusz wybiegały poza wiatę, piszczwały wściekle na deszcz i wracały, zagrzebując się pod rozchichotanym Ottarem.

Sassa również nie mogła powstrzymać śmiechu. Od opuszczenia Harówki nie była taka wesoła. Chnob Biały i Finnbogi dąsali się w kącie, jak zawsze, ale akurat Chnob zasłużył sobie na to. Z kolei Finn niebawem wróci do siebie. Właściwie dobrze było mieć w grupie kilku smutasów, bo dzięki temu bardziej doceniało się chwile radości.

Chnob co rusz przycinał brodę, zapewne po to, by pokazać, że dręczy go poczucie winy. No cóż, będzie musiał zrobić coś więcej niż tylko to, jeśli Sassa ma mu wybaczyć. Pomyśleć, że wygadał Brodirowi wszystko o ich planach opuszczenia wioski... Przecież jarl mógł kazać ich stracić. Dlaczego to zrobił, na miłość Frei?

Wyrzuciła z głowy myśli o Chnobie i jego motywach i zapatrzyła się w ociekające deszczem drzewa. Wciąż lało jak z cebra. To pierwszy taki deszcz w jej życiu. Ale pod dachem było ciepło i nawet zaczynała powoli schnąć.

– Straszna pogoda – powiedziała.

– Nieprawda, bardzo dobra – odparł Gurd. – Zostawialiśmy za sobą tak wyraźny ślad, jakbyśmy byli stadem bizonów przedzierającym się przez śnieg. Ten deszcz go zatrze. Ależ oberwanie chmury, jak pragnę zdrowia. Thor nam sprzyja!

– Myślisz, że wciąż jesteśmy śledzeni?

– Ja wiem? Ale z tego, co mówiła Frossa o calnijskiej cesarzowej i Lakchanach... Co myślisz, Wulf?

– Myślę, że dwóch lub trzech żołnierzy mogło uciec z pola bitwy, gdy się zorientowali, że przegrywają. Możliwe, że doniosą

swojej cesarzowej, że nie udało im się nas pokonać. Ale zanim wrócą do stolicy, my będziemy już daleko.

– Ale czy nie pójdą za nami aż na Łąki? – zaniepokoiła się Sassa.

– Eryk mówi, że przed nami jest wielka rzeka, Matka Woda. Twierdzi, że Calnianie przestaną nas ścigać, gdy ją przekroczymy.

– A to czemu?

– Każdy wie, że Calnianom nie wolno przekraczać Matki Wody.

– Naprawdę?

– Eryk tak mówi.

– A kiedy do niej dotrzemy?

– Podobno za tydzień.

– Mam nadzieję, że Calnianie nie zorientują się, że Lakchanowie puścili nas wolno.

– Czemu? – spytał Gurd.

– Bo wtedy ich wszystkich zabiją.

– I słusznie, sami się prosili.

– Gurd! Puścili nas wolno!

– Ale chcieli zabić.

– Nie, nie chcieli. Musieli to zrobić, żeby chronić własne plemię, przyjaciół, rodziny. Ja bym nas zabiła na ich miejscu. Mieliśmy szczęście, że w porę pojawił się Eryk.

– Eryk to wyjęty spod prawa wygnanec, którego sami powinniśmy zabić.

– A wiesz, Gurd, że wygnano go za to, że opuścił Harówkę?

– No i co z tego?

– A co myśmy zrobili?

– Nie rozumiem?

– Gurd, na litość bogów, przecież my też chcieliśmy opuścić Harówkę.

- To co innego.
- Jak to?
- Prawo to prawo. A on je złamał. Hird ma obowiązek go za to ukarać.
- Ale on jest wygnańcem tylko z nazwy. Zrobił dokładnie to samo co my.
- Prawo to prawo.
- Gadaj z dupą, to cię osra, pomyślała Sassa.
- Wszystko jest teraz inaczej, mój dobry Gurdzie – włączył się Wulf. – Nie zabijemy go. Ocalił nas, a teraz prowadzi nas na Łąki.
- Prowadzi nas? Czyli co, teraz on tu rządzi?
- Prowadzi w sensie dosłownym, pokazuje nam właściwą drogę. To dobry człowiek: porządny, łebski, otwarty. Rozsądny. Umiejący dostosować się do nowej sytuacji.
- Powinniśmy rozwalić mu ten jego łebski łeb – warknął nieustępliwie Gurd. – Prawo to prawo.
- Wulf westchnął.



Finnbogi przycisnął kolana do piersi i objął je ramionami. Thyri i Garth tulili się do siebie, jakby jedno miało bez drugiego polecieć w przestworza. Siedzieli w samym środku, podczas gdy Finnbogi został zepchnięty na skraj wiaty i całą lewą stroną miał przemoczoną. Ale nie dbał o to, miał większe zmartwienia.

- Finn, chłopcze, przysuń się – zwróciła się do niego Gunnhilda, robiąc mu miejsce.
- Hmm... – mruknął poirytowany, ale usłuchał.
- Rozmawiałeś już z Erykiem?
- Zaprzeczył ruchem głowy.
- Powinieneś. Ucieszy się. Tobie też dobrze zrobi rozmowa z ojcem. Przestanieś się boczyć na Thyri.

Finn przez moment rozważył wyjście na deszcz i utopienie się w pierwszej kałuży.

– Nigdy nie użalaj się nad sobą, albowiem zawsze znajdzie się ktoś, kto ma gorzej od ciebie – wygłosiła ciotka.

Błysnęła błyskawica, huknął piorun.

– Niewielu ma gorzej ode mnie – wybąkał Finn, gdy niebo w końcu się uspokoiło.

– Nie zwróciłeś na coś uwagi tego dnia, gdy zamieszkali z nami Frejdis i Ottar?

– Co masz na myśli?

– Znasz ich historię?

– Ich rodzice zginęli, no nie?

– Zostali straceni.

– O rety. Za co?

Gunnhilda powiodła wzrokiem po zgromadzonych pod dachem Harowianach. Frejdis siedziała po przeciwnej stronie i rozmawiała z Kifem i Erykiem. Ottar klęczał przy niej, wystawiając ręce poza obręb wiaty i przypatrując się ciekawie moknącym dłoniom.

– Holger Klucha i Auda Szalona byli bardzo dziwną parą. Ona zawsze była zła lub smutna i ciężko się było z nią dogadać, bo wiecznie skupiała się na owym czymś, co ją złościło lub smuciło. Niezależnie od poruszonego tematu ona gadała tylko o tym, co ją interesowało. Kiedyś próbowałam porozmawiać z nią o tym, że wokół Harówki coraz trudniej znaleźć zwierzynę. Przerwała mi w połowie zdania, w ogóle nie słuchając.

Trudno jej się dziwić, pomyślał Finnbogi.

– Holger był miłym facetem, ale tępym jak drewniana piła. Czasem zastanawiałam się, jakim cudem umie chodzić i oddychać jednocześnie.

– Był jeszcze bardziej tępy niż Bodila?

– Nie bądź okrutny, Finnbogi. Dziwne w ich związku było to,

że gdy Audy nie było przy Holgerze, wiecznie tylko narzekał, jaka z niej wredna sekutnica. Wręcz szukał kogoś, kto chciałby słuchać, jak bardzo nie może jej znieść. A jednak nigdy się nie rozstali.

– A Frejdis i Ottar?

– Cierpliwości, ta historia wymaga wprowadzenia. Jak więc mówiłam, Holger i Auda byli młodą parą, żyli bez ślubu. Nie chcieli mieć dzieci, ale, jak to czasem bywa, Auda pewnego dnia zaszła w ciążę.

– I wtedy się pobrali?

– Nie, Holger zaczął bić Audę po brzuchu, żeby zabić nienarodzone dziecko.

– Co takiego?

– Jedzenia i drewna na opał mieliśmy w bród, więc to nie dlatego, że nie było ich stać na dziecko. A nawet gdyby nie było, wielu młodych ludzi w Harówce chętnie przygarnęłoby niechcianego syna lub córkę, na przykład ja i Poppo, żeby daleko nie szukać. Nie mieli więc żadnego wytłumaczenia dla swojego zachowania. On był głupi, a ona była głupia i zła. Byli tak beznadziejnie durni, że nawet nie udało im się zabić tego dziecka. Zamiast tego po prostu zrobili mu krzywdę...

– Ottar! – Ogarnęła go fala współczucia. – Czemu dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Bo dotąd nie interesowało cię nic poza tobą samym.

To, że nie interesuje mnie twoje gadanie, nie oznacza, że nie interesuje mnie nic, pomyślał.

– Tak oto przyszedł na świat mały Ottar. Przez jakiś czas nawet próbowali się nim zajmować. Wszystko wydawało się w porządku, ale po kilku miesiącach nawet Holger zauważył, że jego synek nie rozwija się jak inne dzieci. Wkrótce stało się jasne, że coś jest nie tak z jego umysłem. Ludzie zastanawiali się, jaka

jest tego przyczyna, a Holger, idiota nad idiotami, opowiedział im, co zrobił. Brodir skazał go za to na śmierć.

– Ale Frejdis...

– Cierpliwości, Finnbogi. Holger i Auda uciekli. Brodir wysłał za nimi hird, ale im udało się już wyjść poza wydzieloną strefę i zbiegli. Trzy lata później Auda i Holger wrócili do wioski z dwójką dzieci na rękach. Ottarem, który był już wcale wyrosniętym szkrabem, choć wciąż o umyśle niemowlęcia, oraz drugim, młodszym dzieckiem.

– Frejdis.

– Właśnie. Miała zaledwie roczek, ale już była niezwykle inteligentna. Auda i Holger grzecznie wszystkich przeprosili, argumentowali, że byli młodzi i wykazali się okrucieństwem i głupotą, krzywdząc małego Ottara. Pokazali nam Frejdis w ramach dowodu na to, że potrafią być troskliwymi rodzicami.

– Ale Brodir...

– Stracił ich mimo wszystko. Choć wielu miało o to do niego pretensje.

– Łącznie z tobą?

– Nie.

– Czy Chrystus nie jest z tych bardziej wyrozumiałych bogów? Myślałem, że to jego główna cecha. Jeśli więc ktoś miłuje Chrystusa, nie chce nikogo karać. Dobrze rozumiem?

– Są takie rzeczy, których wybaczyć nie można. Wracając do rzeczy, my z Poppem mieliśmy już ciebie, ale kościół był przecież bardzo przestronnym miejscem, więc przyjęliśmy też osieroconych Ottara i Frejdis.

– A kiedy Ottar zaczął przepowiadać przyszłość?

– Frejdis szybko nauczyła się mówić, a ledwo skleciła pierwsze w życiu zdanie, zaczęła opowiadać o tym, co rzekomo mówi Ottar. O przepowiedniach również. Nie zdarzały się zbyt często, ale od czasu do czasu Frejdis przychodziła do nas,

twierdząc, że Ottar powiedział coś w stylu „martwy wilk jutro”, a następnego dnia znajdowaliśmy na tyłach kościoła zdechłego wilka. Ottar nigdy się nie mylił. Dlatego nie mam cienia wątpliwości, że musimy dostać się na te Łąki. Wiedziałam też, że napadną nas skrælingowie.

– O rety... – westchnął Finnbogi. – Biedne dzieciaki.

– W rzeczy samej. A więc gdy następnym razem rozkleisz się, bo twoja przelotna miłostka całuje się z kimś innym, nabij fajkę opowieścią o Ottarze i Frejdis i wypal ją.

Przelotna miłostka... Co ta zasuszona prukwa wie o miłości?

– Powiem ci coś, co poprawi ci nastrój. Jeśli Thyri spodobał się taki ćwok jak Garth, to z pewnością nie jest to dziewczyna, z którą chciałbyś być.

– Myślałem, że lubisz Gartha?

– Nie nienawidzę go. Ja nikogo nie nienawidzę. Chrystus mi tego zabrania. Nie sądzcie, byście nie byli sądzeni. Chyba że sąd dotyczy Gartha Kowadłogębego, gdyż zaprawdę jest on ćwokiem.

– Że co?

– Drugą połowę tej sentencji wymyśliłam sama – przyznała z uśmiechem.

Finnbogi natychmiast poczuł się o niebo lepiej. Zorientował się, że nagle zaczął bardziej cenić opinie Gunnhildy.



Eryk Złośnik rozmawiał z dwiema osobami jednocześnie, myśląc o czymś zupełnie innym. Kif Berserk pytał o jego maczugę – jak wypada w porównaniu z bronią Harowian i jaką taktykę Eryk by obrał, gdyby przeciwnik był uzbrojony w długi topór, taki jak na przykład Duporąb.

Z kolei Frejdis Złośliwa miała całe mnóstwo pytań o Astrid. Jak się z nią zaprzyjaźnił, gdzie teraz jest i czy czasem nie

moknie, czemu nie próbowała zjeść szopów Ottara?

Przyjemnie mu się gawędziło. Fajnie było w końcu wrócić do swoich, zwłaszcza kiedy przez ostatnie dwadzieścia lat miało się owoych swoich za zgraję mściwych dupków. Okazało się, że nie dość, że nie są mściwymi dupkami, to na dodatek są bardzo mili.

Ale gdy tak gadał i słuchał, jego myśli nieodparcie wędrowały do tego dziwnego, nachmurzonego chłopaka, który miał rzekomo być jego synem, który nie starał się specjalnie przy budowie wiaty i który siedział w jej przeciwnym kącie, pod samą krawędzią dachu, jakby specjalnie chciał zmoknąć. Co Eryk miał z tym fantem zrobić? Przez ostatnie dwadzieścia lat nie miał nawet przyjaciela z prawdziwego zdarzenia, a teraz nagle okazuje się, że ma syna.

– Łuuu! – krzyknął niespodziewanie Ottar i złapał Frejdis za kołnierz bawełnianej sukienki. – So! So! – jęczał.

– O nie... – powiedziała dziewczynka.

– Co się stało, Frejdis? – zainteresował się Wulf.

– Calnianki są w Harówce.

– Ta so!

– Wiedzą, dokąd poszliśmy. Ścigają nas. Są bardzo szybkie.

Wulf zerwał się na nogi i kucnął przy chłopcu.

– Czy to kolejna armia?

Chłopiec zaprzeczył ruchem głowy i coś wybełkotał.

– Mówi, że nie – przełożyła Frejdis. – To ich hird. Ale inaczej się nazywają. Owsianki?

– Kurwa... – syknął Wulf, wstając.

– Gruby Wulfie!

– Wybacz, Frejdis, ale powiedziałem „kurwa” tylko dlatego, że ta sytuacja aż się o to prosi. Musimy ruszać. Natychmiast.

– Mamy łązić w deszczu, bo on tak powiedział? – oburzył się Garth Kowadłogęby, największy z Harowian, który pomimo

krótkiej obserwacji dał się już Erykowi poznać jako apodyktyczny kutasina.

– Czy Ottar kiedyś się pomylił? – spytał Wulf.

– Owszem, na przykład wtedy, gdy kazał nam iść na przełaj przez łąkę, gdzie zdybali nas skrælingowie.

– W wyniku czego zawarliśmy z nimi pokój i spotkaliśmy przewodnika, z którym nasze szanse na umknięcie Calniankom gwałtownie wzrosły.

Garth otworzył i zamknął usta jak wyjęta z wody ryba. Erykowi podobał się ten cały Wulf.

– Nie ociągaj się, Garth – powiedział. – Idziemy, nie ma na co czekać. A deszcz pewnie wkrótce ustanie.



– Hej, Bodila, włącz z powrotem do strumienia – napomniał dziewczynę Bjarni Kurza Twarz.

– Oj, przepraszam.

Nawet Ottar Niemowa, który spędził wczoraj godzinę, uciekając przed własnym cieniem, rozumiał, że muszą iść rzeczką, by nie zostawić po sobie śladów. Bodila najwyraźniej tego nie rozumiała. Wulf kazał Bjarniemu pilnować, żeby nikt nie wychodził z wody, ale pomimo nieustannego przypominania już po raz piąty zostawiła ślad stopy na brzegu, a on po raz piąty musiał ścierać go lodowatym błotem z dna strumienia, podczas gdy nie mniej lodowate krople wody lały się z wiszących nad strumieniem gałęzi prosto za jego kołnierz.

– Proszę cię, nie rób tego więcej – powiedział, wstając.

– Czego?

– Nie wychodź ze strumienia.

– A, no tak. Już nie będę, przepraszam.

Bjarni zazdrościł Bodili niefrasobliwości. Nie miała pojęcia o... no cóż, o niczym.

Pogoń była najgorszym, co mogło ich spotkać. Jakim cudem te owslanki tak szybko dotarły do Harówki? Minęło pięć dni, odkąd wszyscy Calnianie i znaczna część Harowian zginęli w bitwie. Nie powinny były się o tym dowiedzieć jeszcze przez kilka następnych i dotrzeć tam jeszcze przez kilka kolejnych.

Czyżby Ottar się mylił i Calnianki wcale nie szły ich śladem? A może były gdzieś w pobliżu już w czasie bitwy? Nie, to chyba niemożliwe. Najprawdopodobniej, choć trudno w to uwierzyć, natychmiast dowiedziały się o rozbiciu armii i jakimś cudem pokonywały dziennie sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt mil, skoro znalazły się w osadzie dzisiaj. Jeśli naprawdę potrafiły przemieszczać się z taką szybkością, to znaczy, że dopadną ich grupę najpóźniej jutro wieczorem.

Bjarni dowiedział się od Goachików wszystkiego, co tamci wiedzieli na temat owslanek. Oddział składał się z dziesięciu kobiet słynących z okrucieństwa i zaciekłości w walce, które za pomocą magii przeobrażono w prawdziwe maszyny do zabijania. Nie znały litości, uwielbiały zabijać, a ponieważ codziennie szprycowano je alchemicznymi specyfikami, były w tym naprawdę dobre. Z jakiegoś powodu bardzo go ciekawiły, tak jak ciekawiło go czasem, jak by to było zostać zjedzonym przez niedźwiedzia.

Przy odrobinie szczęścia deszcz i kilkumilowa podróż korytem strumienia skutecznie zmyłą pogoń, choć sprawny tropiciel i tak pewnie znajdzie ich po ułamanych gałązkach i przekrzywionych liściach czy czymś takim, a był gotów się założyć o zawartość swojej skórzanej sakwy, że Calnianki miały najlepszych tropicieli. A może nie będą się bawić w tropicielstwo, tylko od razu rzucą jakieś zaklęcie i ich znajdą?

– Bodila, no! – Znowu wylazła ze strumienia. Gdyby była choć

trochę mądrzejsza, pomyślałby, że specjalnie próbuje ściągnąć im Calnianki na głowę.



ROZDZIAŁ 17

Zabici czarnoksiężnicy

W swoich prywatnych komnatach na szczycie Góry Słońca Łabędzia Cesarzowa Ayanna opadła ciężko na stos poduszek. Podniosła wzrok na wielkiego złotego łabędzia Innowaka, który spoglądał na nią z góry taksująco. Przeszył ją przenikliwy skurcz, a z brzucha rozeszła się na resztę ciała fala pulsującego bólu. Ayanna spięła się i dźwignęła do pozycji siedzącej, a gdy ból zelżał, znowu osunęła się na posłanie, ociekając potem.

„Czy mógłbyś – powiedziała w myślach do Innowaka – skłonić to dziecko, by łaskawie się streszczało?”

Jej cierpienie pogarszały jeszcze złe wieści, które jej przed chwilą dostarczono. Jedyni calnijscy czarnoksiężnicy, którzy mogliby przy dobrych wiatrach dorównać mocą Yokiemu Choppie, zmarli jeden po drugim. Vonga Wapuna dopadł w czasie snu zawał serca, dzień wcześniej Kawunger został zamordowany na rynku w wyniku sporu o cenę sercojagód.

Nie mieli kiedy umrzeć, tylko obaj naraz? Co za pech, zwłaszcza że Yoki Choppa był setki mil stąd. Taki pech, że aż można by pomyśleć, że to bynajmniej nie zbieg okoliczności. Dowódca straży pałacowej przekonywał ją jednak, że jednej śmierci z drugą nie łączy absolutnie nic. Vong Wapun był już grubo po sześćdziesiątce, więc nic dziwnego, że w końcu wysiadło mu serce, a żadna ze śpiących u jego boku kobiet nic nie widziała ani nie słyszała. Z kolei Kawunger słynął z gorącego temperamentu, więc nikogo nie zdziwiło, że wdał się w sprzeczkę o cenę owoców. Nie dość, że czarnoksiężnik nie miał racji, to na dodatek pierwszy sięgnął po nóż i zaatakował sprzedawcę, ten zaś nie miał innego wyjścia, jak tylko się bronić. Zupełnym przypadkiem okazał się jednym z najlepszych calnijskich wojowników poza owslankami.

Mimo to Ayanna nie była przekonana. Nie wierzyła w przypadki. Ale co mogła zrobić?

Przywołała do siebie Chippaminę. Radosne, młodziutkie i mądre dziewczę nie opuszczało cesarzowej od dnia tragicznej śmierci szambelana Hatha.

– Wzywałaś mnie, o cesarzowo.

– Czy w trakcie swoich podróży natknęłaś się na miasteczka lub miasta, gdzie mieszkali zdolni czarnoksiężnicy?

– Pragniesz, o pani, zastąpić kimś Vonga Wapuna i Kawungera?

– Owszem.

– Nie spotkałam nikogo podobnego, ale może ja się do czegoś

przydam, dopóki nie wróci Yoki Choppa? Jestem biegła w sztuce alchemii.

– A nie wychowałaś się czasem wśród kupców nad Matką Wodą?

– Wychowałam, lecz mój ojciec miał dar. W młodości uczył się czarodziejstwa i innych dziedzin wiedzy tajemnej, ale po kilku latach na posadzie czarnoksiężnika zrezygnował i zajął się handlem.

– Dlaczego?

– Nie wiem, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Odniosłam wrażenie, że musiał ratować się ucieczką w związku z jakąś nieprzyjemną sytuacją. Nie wiem, gdzie się uczył i praktykował ani kto go szkolił, ale kiedy odkrył, że ja również posiadam dar, i to większy od niego, zaczął mnie uczyć.

– Czemu wcześniej o tym nie wspomniałaś?

– Nie pytałaś, o pani.

– Rozumiem. Czy umiesz znaleźć kogoś, mając jego włosy? – To była nie lada sztuka. Ani Vong Wapun, ani Kawunger nie zgłębili jej tajników.

– Z łatwością, ale będę potrzebowała ziół i przyrządów.

– Czy nada się alchemiczna torba i miska Vonga Wapuna?

– A czy mogłabym też otrzymać sprzęt Kawungera? W ten sposób będzie mi łatwiej.

Chwilę później Chippaminka mieszała zioła i włosy w alchemicznej misce, a po konsultacji z pałacowym geografem orzekła, że owslanki są na terytorium Goachików, dwadzieścia mil na zachód od ich głównej osady, oraz że z dużą szybkością przemieszczają się w kierunku zachodnim. Ayanna odgadła, że śledzą ocalałych i że ich eksterminacja to tylko kwestia czasu.

– Oddalcie się wszyscy – powiedziała. Bolał ją brzuch i musiała się położyć.

– Czy mam uśmierzyć twój ból, Łabędzia Cesarzowo? – spytała

dziewczyna. – Z pomocą Innowaka sporządzę maść, która powinna ci pomóc.

Cesarzowa spojrzała na uśmiechniętą Chippaminkę. Chciałaby zostać sama, ale jeśli dziewczyna twierdzi, że może jej pomóc...

– Zostań więc i sporządź mi tę maść.

Cesarzowa ułożyła się na poduszkach w możliwie najwygodniejszej pozycji i obserwowała Chippaminkę rozdrabniającą składniki, a następnie podgrzewającą mieszankę w promieniach słonecznego kryształu.

– Unieś szatę, cesarzowo, tak bym miała dostęp do twojego brzucha – zaordynowała dziewczyna.

Ayanna zdumiała się, z jaką łatwością przyszło jej, cesarzowej, wypełnienie polecenia. Chippaminka usiadła okrakiem na jej wyprostowanych nogach i najpierw nałożyła, a następnie wmasowała maść w jej olbrzymi brzuch, z początku samymi dłońmi, potem przedramionami, aż w końcu zataczając obszerne koła całymi ramionami.

Ayanna zamknęła oczy, czując, jak spływa na nią błogi spokój, którego nie zaznała od miesięcy. Nie była pewna, czy to lek, czy też sama dziewczyna działa na nią jak kojący balsam.



ROZDZIAŁ 18

Kiepscy muzycy

A może wrócimy do domu i pozwolimy odwalić naszą robotę dzikim zwierzętom? – spytała roześmiana Paloma Widłoróg. Sofi skrzywiła usta w uśmiechu.

– Ale poważnie? Mały czarny niedźwiadek? Jak jednego faceta zabije czarny niedźwiędź, to wyrozumiały człowiek powie: miał pecha. Ale dwóch? Nie musimy nawet gonić tych ludzi. Wiewiórki rozszarpią ich na strzępy. Motylki zdmuchną ich z klifu swoimi skrzydełkami.

Sofi omiotła wzrokiem zwęglone kości na stosie pogrzebowym. Paloma Widłoróg może i stroiła sobie żarty, ale

Sofi widziała, że podchodzi do tropienia ze śmiertelną powagą. Zanim dogoniła ją reszta owslanek, przeanalizowała otoczenie i wydedukowała, że zginęło tutaj dwóch grzyboludów. Doszła nawet do tego, kiedy i w jakich okolicznościach tamta gruba kobieta, która przedstawiła się jako Frossanka, odłączyła się od grupy, w którym miejscu wskoczyła do jeziora i gdzie z niego wyszła.

Kwestia ucieczki jeziorem rodziła więcej pytań niż odpowiedzi, ale Sofi Tornado odpowiedzi miała w nosie. Jej celem nie było zgłębianie odmienności grzyboludów, tylko ich całkowita eksterminacja. Troje już nie żyje. Jeszcze czternaścioro.

– Nie frasuj się, Widłoróg. Jeśli dalej będą szli tym tempem, złapiemy ich jutro. Najpóźniej pojutrze.

– Jeśli do tego czasu nie załaskoczą ich na śmierć gąsienice i nie zadziobią koliberki.

– Właśnie.



Tego wieczoru owslanki i Yoki Choppa szli szeroką drogą przez wioskę Lakchanów. Ta jej część była wyludniona, ale wnioskując z dobiegającej gdzieś z przodu kakofonii trąbek, fletów, grzechotek, gwizdków i bębnów, wszyscy ludzie na świecie, którzy chcieli spróbować gry na instrumencie, ale dotąd im nie pozwalano, bo nie mieli za grosz talentu, zebrali się właśnie na wioskowym placu i grali wszyscy naraz bez ładu i składu.

Jutrzenka oparła się potrzebie zatkania uszu palcami. Ten jazgot był po prostu nie do wytrzymania. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że na tak głębokiej prowincji niełatwo o dobrych muzyków, ale to już przesada.

Zdobnictwo Lakchanów było na tym samym poziomie co ich muzyka. Między zapadłymi chatami i obwisłymi namiotami stały duże figury Króliczki oraz Pajęczej Matki, wykonane z kolb kukurydzianych, skór bizona, gałęzi i innych śmieci. Wyglądały, jakby złożyły je do kupy niedorozwinięte dzieci. Najmniej kompetentny rzemieślnik z Calnii wstydziłby się najlepszych spośród rzeźb i totemów, które mijają właśnie w drodze na plac.

Ojciec Jutrzenki, cesarz Zaltan, wysłał ją kiedyś wraz ze świtą wojowników do jednej z osad nieopodal stolicy, by uświadomić jej, że żyć można tylko w Calnii, a reszta kraju dobra jest dla dzikusów. Lakchańska wioska przypominała jej tamtą osadę. Zadupie bez przyszłości.

Wiedziała, że ludzie nie mają wpływu na to, gdzie przyszli na świat. Zdawała sobie sprawę, że można urodzić się w miejscu takim jak to i z rozrzewnieniem nazywać je domem, ale na samą myśl, by ona miała to robić, żołądek wywracał jej się na drugą stronę. Dlaczego ci ludzie nie mogli zbudować sobie normalnego miasta, z piramidami i placem? To takie trudne?

Droga zaprowadziła ich za róg i w końcu ujrzeli „muzyków”, którzy wciąż rżnęli i dęli, i pierdzieli w swoje instrumenty. Było ich może pięćdziesięciu, wszyscy z króliczymi uszami i paskami skóry, które, jak domyśliła się Jutrzenka, miały chyba w założeniu przypominać pajęcze nogi.

W środku grupy stał starzec o pobrużdżonej twarzy i indyckim podgardlu człowieka, który pali tytoń na śniadanie, obiad i kolację. Mężczyzna przeskakiwał z nogi na nogę, dmuchając w trzcinową trąbkę. Królicze uszy na jego głowie były wyraźnie większe od innych, a pajęcze nogi lepiej skrojone. Jutrzenka wiedziała, że to on jest wodzem. Otaczał go wianuszek wojowników, zapewne świta, ale poza nimi ludzie w wiosce byli albo bardzo młodzi, albo bardzo starzy. Czyżby stoczyli właśnie

wojnę z jakimś innym plemieniem, która uszła jej uwadze? Może to dlatego ich wioska wygląda jak gówno.

Lakchanowie nie przerywali gry. Owslanki szły niespiesznie w ich stronę.

Dzięki tropicielskim talentom Palomy wojowniczką wiedziały, że jedna Lakchanka z dzieckiem natknęła się w lesie na grzyboludów, którzy następnie ruszyli w dalszą drogę. Znalazły rozwłóconego trupa, ofiarę olbrzymiego niedźwiedzia – ci ludzie zupełnie nie potrafili postępować ze zwierzętami – i choć żaden z grzyboludów nie przyszedł tu z kobietą i dzieckiem, owslanki podążyły jej tropem.

Nie ulegało wątpliwości, że Lakchanowie wiedzieli o tym, iż Harowianie przecięli ich terytorium, i wszystko wskazywało na to, że nie zrobili nic, by ich powstrzymać, ewidentnie łamiąc rozkaz cesarzowej. To oznaczało, że nie może ich minąć kara. Jutrzenka zadrżała z podniecenia. Już od tygodnia nikogo nie zabiła, a po całym dniu biegania kiszki grały jej marsza.



Sofi kazała oddziałowi się zatrzymać i podeszła sama do skupionych na placu Lakchanów.

Na spotkanie wyszedł jej mężczyzna z największą trąbą.

– Dobry wieczór! – przewrzeszczał harmider zachrypniętym głosem, który pasował jak ulał do niezdrowej cery nałogowego palacza. – Jestem Kobosh, wódz Lakchanów. Kim jesteście, do kurwy nędzy, i po chuja tu przyszłyście?

Sofi skinęła mu głową. Sitsi Pustułka ostrzegła ją, że Lakchanowie klęli jak szewcy.

– Mieszka tutaj grzybolud. Gdzie on jest?

– Że jaaak?

– Możesz uciszyć tych muzykantów? – krzyknęła. – Pytam, gdzie jest grzybolud, który tu mieszka.

– Nie mogę ich, kurwa, uciszyć, bo zawsze witamy gości muzyką naszego plemienia. Najpierw odpowiedz na moje jebane w dupę pytanie. Kim jesteście, do chuja ciężkiego?

Świerzbiła ją ręka oparta na rękojeści topora, ale zdusiła przemożną chęć wybicia dziadydze obuchem wszystkich zębów. To zawsze zdąży zrobić.

– Jestem Sofi Tornado, dowódczyni calnijskich owslanek – wrzasnęła. – Jestem tu z rozkazu Łabędziej Cesarzowej Ayanny, mojej i twojej władczyni, która poleciła mi znaleźć i zabić wszystkich grzyboludów oraz zabić i zjeść każdego, kto pomógł im w ucieczce.

– Dobra, nie musisz nam grozić. Mieszkał tu jeden bladogęby pojeb, ale zajebałem go własnoręcznie, gdy tylko dostałem rozkaz.

– Niestety, wszystko wskazuje na to, że bez grózb się nie obejdziesz. Może zabiłeś grzyboluda, może nie, to się okaże. Wiem tylko tyle, że czternaścioro innych grzyboludów przeszło przez twoje ziemie trzy dni temu. Jednego zabił niedźwiedź, trzynaścioro poszło dalej. Cesarzowa kazała ci zabić wszystkich grzyboludów, których spotkasz na swojej drodze. Karą za nieposłuszeństwo jest śmierć i pożarcie, o czym doskonale wiesz. Twoje czyny, a raczej bezczynność spowodowała na twoje plemię śmierć. Egzekucja odbędzie się teraz. Jakies ostatnie słowa?

– Jedno. Kukuryyyku!

Muzycy rzucili instrumenty, a Sofi plasnęła się w czoło, pojawiając się, że dała się wciągnąć w pułapkę.

Wszystkie gówniane totemy i rzeźby Króliczki i Pajęczej Matki przewróciły się nagle i wyskoczyli zza nich łucznicy z napiętymi łukami, wycelowanymi w owslanki.

Gdyby nie ta muzyka, usłyszałyby kryjących się napastników

zaraz po wejściu do wioski. Tylko czy Kobosh wiedział o jej zdolnościach? A jeśli tak, to niby skąd?

Wojowników była co najmniej setka. Gdyby rzuciła się na wodza, kobiety ruszyłyby za nią i weszły między muzyków, a wtedy łuki na nic by się im nie zdały...

– Czterdziestu moich łuczników celuje w ciebie, Sofi Tornado – oznajmił wódz. – Albo gdzieś blisko ciebie. Niektórym kazałem celować wysoko, innym nisko, jednym bardziej w lewo, drugim w prawo. Jeśli mnie zaatakujesz, albo tylko sprawisz takie wrażenie, moi ludzie cię zastrzelą. Trafia cię niezależnie od tego, w którą stronę zrobisz unik. W każdą z twoich wojowniczek celuje dziesięciu łuczników. Macie przejebane, moje słodkie.

– Jesteś kimś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, Koboshu.

– Staram się, jak mogę.

– Ale czy wiesz, że jeśli nas zabijesz, Ayanna wyśle tu całą armię?

– Dlatego was nie zabiję.

Czyli co? Puści je wolno? Idiota. Wrócą tej samej nocy i wyrzną wszystkich do nogi.

– A wy nie wróćcie tu, żeby nas wszystkich wyrznąć do nogi – podjął wódz. – Bo widzisz, mam to. – Sięgnął do skórzanego mieszka i wyciągnął z niego duży słoneczny kryształ. Rzucił go Sofi. – Wypalisz sobie na ręce znak mocy Innowaka i przysięgniesz, że ani ty, ani żadna z twoich kobiet nigdy nie skrzywdzi żadnego Lakchana.

Gdyby chodziło o innego boga, złożyłaby przysięgę, a potem ją złamała. Ale Innowak był najwyższym bogiem Calnii, którego kult dominował nad innymi do tego stopnia, że Calnianie byli w praktyce monoteistami. Nigdy nie złamałaby przysięgi danej Innowakowi. Kobosh wiedział o tym oczywiście, bo Calnianie nie kryli się ze swoją religią.

Więszym zaskoczeniem – i zmartwieniem – było to, że sposób, w jaki zastawiono pułapkę, sugerował, że wiedział też o jej darze. A ona nie miała pojęcia skąd. Tylko troje ludzi na całym świecie wiedziało o jej superczułym słuchu: ona sama, Yoki Choppa i wygnany czarnoksiężnik Pakanda. Czyżby to właśnie Pakanda zawitał tutaj i zdradził tym obszarpańcom ich najpilniej strzeżone sekrety? A może wciąż tu był? To możliwe. Albo to, albo Kobosh widział, jak owslanki walczą na placu Innowaka, i sam się domyślił. Zawsze się zastanawiała, dlaczego każdy wierzy, że Sofi umie przewidzieć przyszłość, a nie szuka bardziej racjonalnego rozwiązania.

– A jeśli odmówię? – spytała, choć znała odpowiedź.

– Moi ludzie wystrzelają was jak kaczki.

Sofi wzruszyła ramionami. Zostawienie Lakchanów przy życiu zepsuje jej humor, ale tak naprawdę w szerszej perspektywie nie ma to znaczenia. Nadrzędnym celem były grzyboludy.

Podniosła kamień, ustawiła go pod takim kątem, by skupione promienie słońca spaliły skórę na wierzchu dłoni, i solennie przyrzekła, że żadna owslanka nigdy nie wyrządzi krzywdy żadnemu Lakchanowi.



Wkrótce po opuszczeniu wioski Paloma wróciła ze zwiadu i z uśmiechem na twarzy oznajmiła, że Lakchanowie kłamali na temat ich spotkania z grzyboludami bardziej, niż sądziły. Duża ich liczba napadła grupę Harowian, ale z jakiegoś powodu puściła ich wolno. Jakby samo to nie było dość dziwne, w tamtym momencie dołączył do nich jakiś masywny mężczyzna z wielkim niedźwiedziem, których ślady znalazła wcześniej, i ruszył z nimi w dalszą drogę.

– Jest mniej więcej tak duży jak ten największy grzybolud od Goachików. To musi być ten wygnaniec, który mieszkał z Lakchanami – śmiała się Paloma Widłoróg. – Wszyscy są w kupie, więc zabijemy ich za jednym zamachem!

– Dzięki, Paloma.



ROZDZIAŁ 19

Euje

Świat tonął.

Woda kapała ze wszystkiego, z czego tylko mogła kapać. Nawet powietrze było mokre, tak mokre, że Harowianie wiedzieli już, jak się czuje rak idący po dnie jeziora.

Deszcz wreszcie ustał, ale skóra Finna jeszcze długo była pomarszczona, mokre skórzane spodnie otarły mu uda do krwi, a lekkie buty były tak pełne błota, że chodziło się w nich jak w drewniakach. Mokre rzemienie pasa, na którym wisiała pochwa z Wrogobójcą, wrzynały mu się w jedno ramię, a jego

przesiąknięty wodą plecak był trzy razy cięższy i wrzynał się w drugie.

Idąca przed nim Sassa nie wydawała się przejmować wszechobecną wilgocią i ciężarem ekwipunku. Ale wydawała się przejmować czymś innym. W Harówce była wygadana i nosiła się z ospałą gracją, którą Finnbogi uważał za niemożliwie seksowną. Teraz szła z pochyloną głową, trzymając łuk w jednej ręce i strzałę w drugiej, od czasu do czasu rozglądając się na boki, by się upewnić, że ten czy ów szelest i cichy trzask to wiewiórka i jelen, nie skræling i nie owslanki. Gdy ujrzała jakieś małe zwierzę, strzelała i chybiała w dziewięciu przypadkach na dziesięć, ale mimo to przy jej pasie wisały trzy wiewiórki, z czego dwie ostatnie ustrzeliła, nie marnując ani jednej strzały.

Finnbogi nie wiedział, skąd Sassa czerpie tę energię. Minionej nocy zbudowali kolejną wiatę, ale Wulf obudził wszystkich chwilę po tym, jak się położyli, a przynajmniej Finnbogi mógłby przysiąc, że minęło raptem parę minut. Wrzucili coś na ząb i wyruszyli przed wchodem słońca, gdy było jeszcze zupełnie ciemno.

Finnbogi nigdy jeszcze nie zaznał tylu trudów.

Ottar i Frejdis wlekli się za nim. Niemowa smęcił pod nosem, jeszcze bardziej jękliwie niż zwykle.

– Postaw je na ziemi, nic im nie będzie! – urabiała go Frejdis.

Ottar zawodził i stękał.

– O co mu chodzi? – zainteresował się Finnbogi.

– Jest zbyt zmęczony i nie ma siły nieść Hugina i Munina, ale nie chce postawić ich na ziemi, bo boi się, że utoną w tym błocie.

– Daj, Ottar. Ja je poniosę. – Finnbogi wyciągnął ręce.

Chłopiec strzelił wzrokiem od Finna do Frejdis i z powrotem, zapominając, by domknąć usta. Pokręcił głową i kwiknął coś po swojemu.

– No co?

– Myśli, że zrobisz im krzywdę.

– Nie zrobię, obiecuję.

Ottar łypnął na niego podejrzliwie, a Finnbogi pokiwał głową i się uśmiechnął. Chłopiec wwiercał się w niego spojrzeniem, aż w końcu wzruszył ramionami i podał mu szopy. Finnbogi przytulił je do piersi. Zwierzątka poderwały łebki i popatrzyły na niego, jakby chciały spytać, co tu się wyprawia, a potem najwyraźniej uznały Finna za godny środek transportu, poprawiły się w jego rękach i dały się ponieść w nieznane.



Godzinę później ujrzeli rzekę obrośniętą po obu stronach wysokimi, szumiącymi drzewami. Dwa jelenie pijące wodę w miejscu, gdzie strumień łączył się z jej korytem, zobaczyły ich i uciekły, ale zamiast biec, skakały, wybijając się silnymi tylnymi nogami. Finnbogi nie rozumiał, czemu przemieszczają się akurat w ten sposób. Czyżby chciały się pochwalić, jak daleko umieją skakać?

Z przeciwnego brzegu mierzyła ich wzrokiem wydra z niedojedzoną rybą w pyszczku, a z przyniesionego tu przez nurt pnia obserwowały pochod pomarańczowymi oczkami żółwie w żółte paski. Na wystającym z wody otoczaku siedziała jadowicie zielona żaba, wpatrzona w niebo z głupim uśmiechem. Zarechotała głęboko i donośnie, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z pojawienia się czternaściorga ludzi i dwóch małych szopów.

Rzeka miała tylko dziesięć kroków szerokości, ale mocno wezbrała po ulewnych deszczach.

– Chnobie, moja łódka! – zawołał Kif.

– Tamta jest większa – zauważył Eryk i pokazał palcem łódź z bizoniej skóry wyciągniętą na brzeg. – A jakiś dobrze

wychowany człowiek zostawił kolejną na drugim brzegu, jak być powinno.

– Moja lepsza! I szybsza!

– Skorzystaj z niej, jeśli wola, ja tylko mówię, że tamte...

– No dalej, Chnob! – Kif zdjął mu łódkę z barków, wrzucił do niej Chnoba, po czym sam wskoczył na pokład i przewiózł brodacza na drugi brzeg, wiosłując jak szalony.

Nim Garth, Sassa i Eryk wcisnęli się do większej łodzi, Kif już wracał z powrotem z krzykiem:

– Kto następny? Śmiało!

Gdy Finnbogi płynął na drugi brzeg – w większej łódce, bo Kif mógł wziąć do swojej tylko najłżejszych Harowian – zobaczył, jak niedźwiedź Eryka wchodzi do rzeki jakieś sto kroków dalej. Gdy był już w wodzie, wspiął się na zadnie łapy i przeszedł na drugą stronę z przednimi łapami w powietrzu, jak mors zażywający zimą kąpieli w Słodkim Morzu Olafa. Poziom wody sięgał Finnowi do nosa, ale niedźwiedziowi do brzucha. Wciąż nie mógł się nadziwić, jakie to wielkie bydlę.

Ostatecznie połowa podróżnych przedostała się pojedynczo na drugi brzeg rzeki łódką Kifa, reszta zaś dokonała tego w drugiej łodzi. Kajak Berserka rzeczywiście okazał się szybszy, ale nie sposób było ocenić, czy to ze względu na jego lekkość i niewielkie rozmiary, czy może dlatego, że Kif Berserk wiosłował, jakby go gonił sam wielki wilk Fenrir.

– Czekaj, czekaj! – powiedział Eryk, gdy grupa wznowiła marsz. – Kto pomoże mi odstawić łódkę z powrotem? Musimy zostawić jedną po każdej stronie.

– Wcale nie musimy – odpowiedział Garth.

Eryk pokręcił głową.

– To właśnie przez takie podejście masakruje się plemiona, synku. Mogliśmy skorzystać z tej łódki, bo jakiś nadzwyczaj porządny człowiek, niech mu bogowie sprzyjają, zadał sobie

trud, żeby odstawić ją na drugą stronę. Mamy obowiązek zostawić to miejsce takim, jakim sami je zastaliśmy. Takie jest prawo dziczy, którego musicie się nauczyć, skoro już opuściliście swoją wygodną Harówkę.

– Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości – powiedział Wulf. – Chętnie pomógłbym...

– Świetnie, w takim razie...

– Chętnie pomógłbym ci to zrobić, gdyby nie ścigały nas krwiożercze boginie wojny. Może tym razem zrobimy wyjątek, a prawa dziczy będziemy ściśle przestrzegać, gdy już wyjdziemy z tego cało?

Eryk westchnął.

– Dobra. Ale pod warunkiem, że Garth zostanie tutaj, żeby pomóc przeprowadzić się wszystkim poza owslankami.

– He? – zdziwił się Garth.



Drugi brzeg okazał się mokry jak rybia dupa. Przez ćwierć mili brodzili w błocie, a potem zaczęli wspinać się po łagodnym stoku ścieżką, która w czasie ulewy zamieniała się w strumień. Woda wymyła ziemię, zostawiając po sobie wybrukowane otoczkami koryta. Finnbogi zwrócił się do Ottara, który deptał mu po piętach od momentu, gdy przekazał w jego ręce szopy.

– Myślę, że teraz mogą już iść same.

Ottar spojrział na ziemię, a potem wrócił wzrokiem do Finna i kiwnął głową na tak. Finnbogi kucnął i delikatnie oderwał zwierzątko od swojej piersi. Przez moment nie bardzo wiedziały, co się dzieje – oba spały – ale zaraz pobiegły z piskiem do Ottara.

Rumiany chłopiec schylił się, by je pogłaskać, po czym spojrział na Finna pełnym wdzięczności wzrokiem.

– Euje – powiedział.

– Nie ma za co. Daj znać, jeśli będziesz chciał, żebym znowu je trochę ponosił.

Ottar kiwnął głową.

Finn uśmiechnął się i nagle poczuł, że nadszedł czas, by porozmawiać z Erykiem Złośnikiem. Czy też „tata”, choć to słowo nie przeszłoby mu przez usta. Skłonił go do tego żart Eryka o tym, że Garth miałby zostać nad rzeką, by pomóc przeprowadzić się przez nią innym podróżnikom. Finnbogi żałował, że to nie on był autorem żartu, którego Garth zresztą nie zrozumiał.



Dogonił Eryka idącego na przedzie z Wulfem.

– Cześć – przywitał się.

– Czołem – odpowiedział Eryk, wytrzeszczając oczy jak spłoszony jeleń. Po chwili odzyskał jednak obojętny wyraz twarzy.

– Siemasz, Finnbogi! – rzucił Wulf. – Słuchaj, nie poprowadziłbyś chwilę z Erykiem? Ja muszę się cofnąć i zobaczyć, czy wszystko gra.

– Jasne.



Szli w ciszy. Słońce rozpędziło chmury i wydusiło mgłę z mokrej ziemi, zalewając krainę światłem i posrebrzając wilgotne liście.

– Co to za gatunek, ten twój niedźwiedź? – spytał Finn po dłuższej chwili.

– Astrid? Astrid nie należy do mnie.

– Astrid. Nadałeś jej imię po...

– Po twojej matce.

– A więc wszystko już wiesz?

- Dowiedziałem się wczoraj. Gdybym wiedział wcześniej, wróciłbym. Ale...
- Zabiliby cię.
- Prawdopodobnie.
- Gurd Zadrzykiecka wciąż chce cię zabić.
- Tak? Prawo Harówki mówi, że powinien, a niektórzy ludzie przedkładają prawo nad zdrowy rozsądek.
- Skąd możesz to wiedzieć, skoro żyłeś samotnie przez dwadzieścia lat?
- Żyłem ze skrælingami. To też ludzie.
- Ale jacyś inni.
- Nieprawda. Z tego, co zaobserwowałem, ludzie są wszędzie mniej więcej tacy sami.
- Pamiętasz moją matkę?
- Pewnie, że pamiętam. Laska nie z tej ziemi, ale, na ósmionogawkowe portki Pajęcznej Matki, straszna sucz.
- Finnbogi zachichotał. Eryk się roześmiał.
- Wiesz – dodał – tak naprawdę to pewnie wcale nie była taką suczą. Była po prostu młoda, a młodzi ludzie to idioci.
- Świetnie. Ja jestem młody. Gadam ze swoim odnalezionym po dwudziestu latach ojcem niespełna minutę, a już nazwał mnie idiotą, a moją matkę suką.
- Wszyscy jesteśmy idiotami. A wiesz, kto jest największym idiotą? Ten, kto twierdzi, że nim nie jest.
- Chyba coś w tym jest. A co wiesz o tych Łąkach?
- Nic o nich nie wiem. To raczej przeświadczenie, że powinniśmy iść na zachód, i cichy głos w głowie, który mówi: Łąki. Coś jak przeświadczenie, że powinienem udać się do spiżarni, gdy głos w mojej głowie mówi: ciasto miodowe.
- Czyj to głos?
- Pojęcia nie mam. Może kogoś, kto chce przywieść mnie do zguby.

– A jak brzmi?

– Jak głos kobiety. Chyba. A może głos zbabiałego chłopca albo małego chłopca. Ale różni się od tego drugiego głosu, tego, który kazał mi wrócić i wam pomóc.

– To mówił Ottar.

– Też tak myślę. Śmieszny koleżka.

– Jest w porządku. Znasz jego historię?

– Nie.

Finnbogi opowiedział mu, a Eryk kontrapunktował opowieść wyrazem zdumienia i pogardliwymi prychnięciami. Gdy Finn skończył, powiedział:

– I pomyśleć, że to ja miałem się za wyrodnego ojca.

– Ojciec Ottara przynajmniej poświęcił mu nieco uwagi.

– Finnbogi, przecież wiesz, że dotąd nie wiedziałem nawet o twoim istnieniu.

– Możesz mi mówić Finn?

– Dobrze, Finnie. Jak już mówiłem, nie przyszło mi nawet do głowy, że możesz istnieć. Wiem, że teoretycznie wystarczy tylko jedno... bzykanko, żeby zrobić dziecko, ale... gdybym choć podejrzewał, że mogę mieć dziecko, tobym po ciebie wrócił, a przynajmniej bym cię podglądał.

– Mógłbyś podglądać mnie z krzaków i może od czasu do czasu rzucić we mnie kamieniem, przyprawiając mnie o manię prześladowczą i ogólne pomieszanie zmysłów.

– Przynajmniej tyle mógłbym dla ciebie zrobić jako ojciec.



– Popatrz tam – powiedział Eryk po jakimś czasie.

Obok drogi pasła się wśród drzew rodzina bizonów: samiec, samica i dwa młode. Finnbogi nigdy nie widział bizonów z tak bliska. Wcześniej myślał, że całe są porośnięte futrem –

i rzeczywiście, cielaki były – ale samiec i samica miały łyse zady. Zauważył też, że dorosłe osobniki różniły się od siebie: samiec był nie tylko większy, ale też miał proporcjonalnie większy, niemal absurdalnie wielki łeb.

Bizon patrzył przed siebie. Bez wątpienia kątem oka widział Finnbogiego i Eryka, ale najwyraźniej nie obchodzili go nawet na tyle, by obrócić w ich stronę masywną głowę. Samica i młode również nie zwracali na nich uwagi.

– Nie boją się nas? – zdziwił się Finn.

– A powinny?

– Nie, ale one tego nie wiedzą.

– A ty się ich boisz?

– Nie.

– Czemu nie? Przecież są olbrzymie.

– Nie wiem. Po prostu czuję, że nie będą nam się naprzykrzać.

– One pewnie czują to samo. Lakchanowie uważają, że zwierzęta są tak samo inteligentne jak ludzie, tylko nie zawracają sobie głowy bieganiem w kółko, gadaniem bzdur i emocjonowaniem się pierdołami jak my. I myślę, że właściwie mają rację.

Finn kiwnął głową i poszli dalej. Zastanawiał się, czy rzeczywiście zwierzęta mogą być inteligentne tak jak ludzie i czy jego ojciec naprawdę w to wierzy.

– Finnbogi, chcę, żebyś wiedział, że mi przykro – odezwał się Eryk chwilę później.

– A ja chcę, żebyś wiedział, że się nie gniewam. Życie samotnego sieroty-bohatera nawet mi się podobało.

– Tak, łapię, o co ci chodzi.

Finnbogi nie mógł powstrzymać uśmiechu. Eryk był chyba jedynym Harowianinem, który to rozumiał. No może poza Sassą Gryziwargą.

– Macie tu jakieś panny na wydaniu? – spytał zniecierpliwiony Eryk.

- Eryku! – Finnbogi jeszcze nie mógł powiedzieć „tato”.
- Oj, jaja sobie robię. Wydaje się, że mamy dość problemów z babami, żebym jeszcze dokładał nowe.
- Co wiesz o owslankach?
- Jeśli nas dogonią, to nie mamy szans.
- Ale jest z nami Wulf, Garth, ty... A one są przecież... no, kobietami.
- Thyri też jest kobietą, a przy tym jedną z najlepszych wojowniczek.
- Fisk ją pokonał, a Fisk wcale nie był taki mocny.
- Widziałem tę walkę. Była o niebo lepsza od Fiska. Po prostu miała pecha.
- Więc to ty ją uratowałeś?
- Nie tyle ja, ile Astrid.
- Może jak nas dopadną, też będą miały pecha?
- Wątpię. One posługują się magią, my nie.
- Wierzysz w to?
- Lakchanowie w to wierzyli. Ich wódz Kobosh w to wierzył, a jest o wiele cwańszy i mądrzejszy niż wszyscy Harowianie, których dane mi było poznać. Był zafascynowany calnijskimi owslankami i ciągał mnie ze sobą, żebym słuchał opowieści o nich, które przynosili z samej stolicy wędrowcy i kupcy. Miał mnóstwo teorii na temat ich zdolności i tego, na czym te zdolności naprawdę polegają.
- Więc kim właściwie są te owslanki?
- Wy, Harowianie, chyba niespecjalnie się interesujecie światem zewnętrznym, co?
- Eryk opowiedział mu o stworzeniu owslanek, o poszczególnych członkiniach oddziału i o tym, skąd się wzięły ich przydomki – o superszybkiej Palomie Widłoróg, o olbrzymce Chogolisie Zadrzyziemi – a także o tym, jak wyrzynały w pień całe plemiona i wygrywały walki z liczebniejszym wrogiem.

Finnbogi nie wiedział, czy ma czuć przerażenie, w końcu to właśnie one ich ścigały, czy może podniecenie, bo wiedział, że te kobiety to prawdziwe boginie wojny, zabójczo piękne i śmiertelnie niebezpieczne.

– Czy da się z nimi pertraktować? – zapytał, gdy Eryk skończył. – Chyba nie zabijają dzieci?

– Właśnie w tym rzecz. Są w tym samym stopniu rozwinięte i ulepszone pod względem fizycznym, co zdegenerowane pod względem moralnym. Nie znają litości i gardzą współczuciem. Równie dobrze mógłbyś ciskać kamieniami w gniazdo os i prosić, by cię nie żądliły. Owslanki tresuje się do zabijania tego, kogo wskaże ich cesarzowa. Wykonują jej rozkazy bez szemrania. Dlatego właśnie musimy uciekać.

– Ale jak uciec przed kimś takim?

– Gdy przekroczymy Matkę Wodę, będziemy bezpieczni.

– Jak to?

– Calnianom nie wolno przekraczać Matki Wody.

– Czemu nie?

– Bo to, co znajduje się po drugiej stronie, jest o wiele gorsze od owslanek.

– Więc dlaczego tam w ogóle idziemy?

– Bo tam właśnie leżą Łąki i możemy iść tylko tam.



ROZDZIAŁ 20

Sztuczka z włosami

Sofi cieszyła się, że udało im się uniknąć deszczu, ale była też zła, bo ulewa zamazała ślad grzyboludów i Paloma nie wiedziała już, w którą stronę poszli. Odkryła tylko jedną ciekawą rzecz: szli strumieniem, co oznacza, że wiedzą, iż są śledzeni. Zastanawiające...

– Potrafię wskazać miejsce, gdzie weszli do wody – mówiła Widłoróg. – Wiem na pewno, że ruszyli pod prąd, czyli na północ.

– Ale nie wiesz, w którym miejscu z niej wyszli? – domyśliła się Sofi.

– Nie mam zielonego pojęcia. Sprytnie zacierali ślady. To znaczy sprytnie, jak na idiotów, którzy karmili swoimi ludźmi niedźwiedzie. Ale przy takim deszczu nie zostawiliby śladów, nawet gdyby chcieli. Kto wie, może znowu skręcili na zachód.

– Chyba że wiedzieli, że ich gonimy. Wtedy mogli skręcić na północ, południe lub wschód.

– To prawda – uśmiechnęła się zakłopotana Paloma.

Sofi rozejrzała się naokoło. Majestatyczne burzowe chmury wciąż wisiały na północno-zachodnim niebie, ale lokalna pogoda była niezmiennie ponura. Znajdowały się na porośniętej trawą polanie otoczonej lasem. Na południu pasły się bizona, na północy jelenie i łosie.

Owslanki czekały na rozkazy. Zwykle odpoczywały na siedząco, ale ziemia wciąż była mokra od deszczu. Yoki Choppa cudem rozpałił ognisko i zaczął przygotowywać śniadanie.

Choć widziała na mile, i tak mogła ogarnąć wzrokiem tylko drobny wycinek przepastnego łądu, a poza tym wiedziała, że choć pozornie wydaje się płaski, jest poznaczony rowami, jarami i dolinkami, w których plemię uciekinierów mogło kryć się przez całe lata. Mogła więc albo przypuścić, że Harowianie dalej idą na zachód, i tam właśnie się udać, albo szukać ich po spirali od miejsca, w którym wymknęli się Palomie, wypatrując śladów i przesłuchując wszystkich napotkanych ludzi.

– Yoki Choppo, jak myślisz, dokąd poszli?

Czarnoksiężnik podniósł głowę znad miski, tłuczek znieruchomiał w jego sękatych palcach.

– Na zachód.

– Skąd wiesz?

– Jeden z nich zostawiał po drodze włosy.

– Tak?

– Znajdowałem kępki na niskich gałęziach.

– I to na pewno włosy Harowian?

- Tak, jednego z nich.
 - Skąd możesz mieć pewność?
 - Włosy są jasne, ale nie białe jak u albinosów. Ów ktoś zostawiał je w równych odstępach, jakby specjalnie znaczył ślad.
 - I nie ma możliwości, żeby robił to niechcący?
 - Nie.
 - A więc w ich szeregach jest zdrajca?
 - Tak.
 - To absurd. Dlaczego ktoś miałby zdradzać samego siebie? To musi być jakiś ich rytuał.
- Yoki Choppa wzruszył ramionami.
- Czemu mówisz mi o tym dopiero teraz?
 - Widłoróg wytropi ich szybciej niż ja z moją sztuczką z włosami.
 - Jeśli tylko znajdzie jakiś ich ślad.
 - Tak.
 - No więc gdzie są teraz?
- Yoki Choppa wyciągnął palec w kierunku północnym.
- Tam. Może dwadzieścia, a może czterdzieści mil stąd, ale nie więcej niż pięćdziesiąt.
 - To znaczy, że dogonimy ich dzisiaj lub najpóźniej jutro. Widłoróg, biegnij na zachód i wróć, gdy tylko zwęszysz ich trop.
 - Tak jest!



Rozstanie z Palomą trwało krócej, niż sądziły. Znalazły ją przy wezbranej rzece. Stała z rękami na biodrach, patrząc na dwa kajaki z bizoniej skóry zostawione na przeciwległym brzegu.

– A łódkę kto odprowadzi? – Potrząsnęła głową. – Kompletny brak manier. Cieszę się, że ich zabijemy.

– Może nie chcieli, żebyśmy skorzystały z łodzi? – podsunęła Talisa Sarna.

– A wiesz, coś w tym może być – powiedziała Paloma.

– Przepłyniesz, Sadszi? – spytała Sofi podkomendną.

Kobieta pochodziła z plemienia, które żyło z Matki Wody i większość życia spędzało, pływając. Sadszi czuła się w wodzie... no cóż, jak ryba w wodzie. Pozostałe kobiety czuły się w wodzie jak koty. Nauka pływania – oto kolejna rzecz, którą należy czym prędzej włączyć do programu treningów. Pływanie i współpraca.

– Oczywiście, że przepłynę – prychnęła Sadszi, pozbywając się ubrań.



ROZDZIAŁ 21

Kamienna Rzeka

Tej nocy znowu ruszyli w drogę przed świtem, prawie nie zaznawszy snu. Umysł Finnbogiego był osobliwie pobudzony i klarowny. W dupę z owslankami, w dupę z Garthem Kowadłogębym – Finnbogi doznał olśnienia, które zmieniło jego życie. Wędrował opromienioną przez gwiazdy leśną ścieżką, natchniony nową siłą, wdychając słodkie nocne powietrze przesiąknięte wonią drzew.

Uświadomił sobie otóż, że sprawy między nim a Thyri wcale nie są skończone. Właściwie to nawet się jeszcze nie zaczęły! Był pewien, że ona go lubi – mógł to potwierdzić każdy obiektywny

obserwator. Bo czy kobieta pozwala facetowi, którego nie lubi, dotykać swoich piersi? Czy zasypia, tuląc do nich jego rękę? Oczywiście, że nie. Popęłił błąd, nie przejmując wówczas inicjatywy. Powinien być śmielszy.

A potem zwykły pech rzucił mu kłody pod nogi, bo gdy napadli ich Lakchanowie, naskoczyła na niego Bodila, nie przejmując się, że widzi ją Thyri i stojący obok niej Garth, który tylko czekał na szansę taką jak ta.

Z tego wniosek, rozumował Finnbogi, słysząc pohukiwanie sowy i niosący się z oddali wilczy skowyt, że owszem, Garth może i trochę się Thyri podobał, bo inaczej nie przyjęłaby jego awansów, ale z pewnością nie tak bardzo, jak bardziej-w-jej-wieku-ale-mądry-ponad-swój-wiek Finnbogi. To tak, jakby w sytuacji, gdy groziła im niechybna śmierć, rzuciła się na niego Sassa. Jak miałby nie skorzystać, nawet jeśli wolał Thyri? Wybacz, Wulf, ale takie są odwieczne prawa natury, a przeciw naturze nic nie zwojujesz.

I tak to właśnie było z Thyri i Garthem. Pocałowała go, a potem była z nim tylko dlatego, że jej prawdziwa miłość, samotny bohater Finn był zajęty przez Bodilę, i ponieważ Garth Kowadłogęby – niech wszystkie demony Niflheimu pastwią się nad jego duszą – miał dość wielkie jaja, by sięgnąć po to, co sobie upatrzył.

Oto niezawodne remedium na wszystkie jego problemy: musi przespać się z Bodilą Gęsiodziobą.

Na pewno będzie fajnie. Bodila może i jest głupia jak but z lewej nogi, ale przy tym całkiem ładna i ma niezłą figurę. Gdy Thyri się o tym dowie, zapęła zazdrością, a gdy zobaczy rozanielony uśmiech na twarzy Bodili, sama wskoczy mu do śpiwora.

Co może pójść nie tak?

„Czekaj” – odezwał się głos na dnie jego umysłu. „Pewien

jesteś, że ten plan to nie efekt niedoboru snu? Czy tobie czasem nie odbiło? To chyba najgłupszy ze wszystkich twoich pomysłów, a to powinno ci coś powiedzieć, skoro próbowałaś kiedyś wycisnąć pryszczę, waląc łbem w drzewo”.

„Nie, to dobry pomysł” – spierał się z głosem Finnbogi. „Ma duże szanse powodzenia”.

„Może ma, a może to skrajny idiotyzm” – upierał się głos.

Finn postanowił omówić plan z Erykiem – przecież po to są ojcowie, prawda? – ale Eryk był z przodu razem z Wulfem. Gunnhilda była bliżej. Musi mu wystarczyć.

Gunnhilda Pobożna tak dziwnie zareagowała na jego próby nawiązania rozmowy, że Finn zrezygnował i po prostu szedł obok niej, milcząc i dopracowując szczegóły swojego planu podbicia serca Bodili. I wyobrażając sobie, jak to będzie pójść z nią do łóżka.

Gdy niebo pojaśniało, zobaczył, dlaczego nie dało się pogadać z Gunnhildą. Miała przymrużone oczy, była czerwona na twarzy i dyszała ze zmęczenia. Padała z nóg.

– Mam ponieść twoją trzepaczkę do ubrań? – zaoferował się.

– Teraz to Skrælingotrzep. I nie, dziękuję. Zawsze noś broń przy sobie, gdyż nie znasz dnia ani godziny, kiedy możesz jej potrzebować.

Była zbyt zmęczona, by porozmawiać o najważniejszej rzeczy w życiu Finnbogiego, ale nie dość zmęczona, by nie prawić kazań.

– Sądzisz, że może ci się dzisiaj przydać?

– „Przydać” to złe słowo, bo jeśli dopadną nas Calnianki, nie przyda mi się na wiele. Ale i tak wolę go mieć przy sobie.

– Przydał się w ostatniej walce, jaką stoczyliśmy z Calnianami.

– Tamci byli ludźmi. Owslanki to zło wcielone.

Szli przed siebie. Finn co chwila oglądał się przez ramię, za każdym razem spodziewając się zobaczyć hordę calnijskich

wojowniczek, pędzących na nich jak stado wygłodniałych lwów, ale widział tylko zamykających kolumnę Kifa i Bjarniego oraz kilka osobliwie ciekawskich jeleni i innych futrzastych zwierząt, które wyszły na drogę, wiodąc wzrokiem za ich grupą i zastanawiając się, co też tu robią te dziwne istoty i przed czym uciekają.

Finn sam czuł się jak jeleń, jak zwierzyna uciekająca przed drapieżnikami. Nie było to całkowicie nieprzyjemne uczucie. Eryk dokładnie opisał mu owslanki, a Finn odmalował sobie w głowie ich obraz. Były dzikie i potężne, ale i olśniewająco piękne, więc najpierw wyobraził sobie, że każda z nich musi być jak Thyri wymieszana w jednym garze z Sassą, a potem wstawił ten gar na ogień swojej lubieżnej wyobraźni, aż zbulgotało.

– Można wiedzieć, skąd ten uśmiech na twojej twarzy, mój Finnbogi?

– Nie mogę się doczekać tych owslanek, ciociu.

Gunnhilda pokręciła głową.

– Ech, ty głupku.



Paloma Widłoróg biegła jeszcze szybciej niż zwierzę, od którego wzięła przydomek. Pędziła przez budzącą się krainę, ledwie muskając grunt i nucąc pod nosem piosenkę, którą kiedyś śpiewała jej matka. Czowała, że całe jej ciało – stopy, łydki, uda, pośladki i ręce – przenika magiczna energia, pchając ją naprzód, coraz szybciej i szybciej. Była najszybszą istotą na świecie, pomijając może niektóre naprawdę szybkie ptaki, chowające skrzydła w czasie pikowania, ale pikowanie to właściwie spadanie, więc się nie liczy. Nikt i nic nie potrafiło biegać tak szybko jak ona. Wybiła się i skoczyła daleko, trzymając ramiona przy sobie, a następnie okręciła się w powietrzu, by poczuć się

jak ptak. Nieźle, pomyślała, lądując z gracją. Ale bieganie jest o wiele lepsze.

Pognała przed siebie.

Szopy, wiewiórki, jelenie, węże i inne zwierzęta aż podskakiwały, zaskoczone jej nagłym pojawieniem się, ale pędziła z tak zawrotną szybkością, że nie zdążyły się nawet schować. Paloma podbiegła do śpiącego garbatego niedźwiedzia, zmierzwiła mu sierść między uszami, uchyliła się przed pędzącą w jej stronę łapą, a gdy na nią ryknął, była już daleko.

Dostrzegła na drodze ślad stopy, zamachała ramionami i zatrzymała się z poślizgiem. Potruchtowała z powrotem, by mu się przyjrzeć.

Zaczynała już rozpoznawać grzyboludów po ich śladach. Ten należał do jednego z młodszych mężczyzn, który szedł zwykle na tyłach grupy, dźwigając więcej zapasów niż reszta. Z początku myślała, że po prostu jest cięższy, ale ślady, które zostawił w miejscach, gdzie rozbijali obóz, były o wiele płytsze. Wyczytała z nich, że musiał zrzucić z pleców jakiś ciężar, nim brał się do ćwiczeń – najpierw z jedną kobietą, potem sam. Ten młodzieniec interesował Palomę najbardziej ze wszystkich grzyboludów. Czuli się z nim zespolona. Może mieli to samo duchowe zwierzę? Ciekawa kwestia, choć to w gruncie rzeczy nieważne. Wkrótce jego ziemską egzystencja się zakończy i chłopak znajdzie się w zaświatach. Ech, szczęściarz.

Pozostałe owslanki lubowały się w rzezi. Paloma niezbyt, ale lubiła wyprawiać ludzi w podróż na tamten świat. Jej plemię wierzyło, że umierający człowiek natychmiast rodzi się na nowo, czy to w innym świecie, czy to w tym samym, pod postacią zwierzęcia lub człowieka, z szansą na lepsze życie. Gdy jej starsza siostra zginęła na polowaniu, jej matka powtarzała jej w kółko, że dobrze się stało, bo była teraz w lepszym świecie, i ta koncepcja stała się głównym założeniem osobistej filozofii

Palomy. Nie przepadała za zabijaniem, ale kochała obdarzać ludzi śmiercią.

Ślad był świeży. Czyli zaraz ich dogoni, a wkrótce potem dopadną ich pozostałe owslanki. Jak na grupę uchodźców z dwojgiem dzieci i przynajmniej jedną staruszką, mieli całkiem niezły czas. Biedacy, minionej nocy nie spali zbyt długo. Nie martwcie się, pomyślała. Wkrótce będziecie martwi i o wiele szczęśliwsi.



Choć tylną straż pełnili Bjarni i Kif, to Finnbogi pierwszy dostrzegł owslanki. A właściwie jedną.

– Patrzcie! – krzyknął.

Wszyscy obrócili się jak na komendę. Stała na szczycie wzgórza trzysta kroków za nimi. Samotna kobieta w skórzanych spodniach, przepasce biodrowej i krótkiej kamizeli. Była zbyt daleko, by mógł dostrzec jej twarz, ale figura, postawa i ubranie świadczyły niezbicie o tym, że to calnijska owslanka.

Harowianie wstrzymali oddech. Finnbogi spodziewał się, że za chwilę ujrzy na tle nieba kolejne postacie, lecz stało się coś innego. Kobieta pomachała im i wróciła, skąd przyszła.

– Zwiadowczyni. Zaraz ją złapię – stwierdził Kif i puścił się w pogoń.

– Wracaj, idioto! – wrzasnęła za nim Gunnhilda, ale Kif ją zignorował. Potrząsnęła głową. – Finn, biegnij do Wulfa i powiedz mu, co widziałeś. Pozostali, pospieszmy się i spróbujmy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli się bronić, gdy już nadejdą wszystkie.

– A co z Kifem?

– Kif to kretyn.

Berserk wrócił chwilę później i powiedział:

– Zniknęła. Wyparowała. Ze szczytu wzgórza rozciąga się widok na wiele mil, ale jej nigdzie nie było. Czy my mamy omamy?



Paloma Widłoróg wryła pięty w rozmokły grunt.

– Są o pięć mil stąd.

Doskonale, pomyślała Sofi Tornado. Im szybciej upora się z Harowianami i wykona misję, tym lepiej. Nie mogła się już doczekać Calnii i kilku tygodni normalności, wypełnionych mordowaniem ludzi na placu Innowaka.

Przyszło jej na myśl, by popędzić kobiety do szybszego biegu, ale ostatecznie postanowiła tego nie robić. Chciała ruszyć w podróż powrotną, gdy tylko grzyboludy zginą, lepiej więc, by zachowały nieco sił.

– Widłoróg, wracaj do nich i miej ich na oku, ale trzymaj się z tyłu i nie zabijaj żadnego, dopóki nie przyjdziemy. Zrozumiano?

– Tak jest!



Finnbogi biegł na złamanie karku. Wulf kazał mu odrzucić plecak, co zrobił z dziką rozkoszą, ale wtedy Frejdis zaczęła zwalniać, więc wziął ją na barana. Tak jak Eryk, który niósł Ottara.

Z piosenki, którą wymyślała na bieżąco, Finn wywnioskował, że dziewczynka nie jest świadoma, że właśnie walczą o życie.

Drozd to ptaszek jest morowy,
Co brzusek ma pomarańczowy,
A oczka czarne jak dziura w płocie,

I czasem się zesra w locie.
Ale choć sraluch jest to podniebny,
To jest nam przecież bardzo potrzebny,
Bo również ćwierka i śpiewa, i kwili
(Pewnie inaczej by go zabili),
Aż Zbuk się śmieje, choć dźwigać musi
Frejdis, którą najchętniej by udusił,
Bo ciężka jest strasznie i złośliwa,
Ale tak to już w życiu bywa...

– Daj, poniosę ją chwilę – powiedział doganiający go Wulf.

„Nie, nie trzeba, wcale mi nie jest ciężko” – chciał powiedzieć Finnbogi, ale zamiast tego zatrzymał się i rozdyszał, nie mogąc wykrztusić słowa. Kiedy Wulf zdjął Frejdis z jego ramion, aż się zatoczył z ulgi.

– Dalej, Finn, już prawie jesteśmy! – powiedział Eryk, odwracając się do niego i biegnąc chwilę tyłem. Hugin i Munin, które nie odstępowały go na krok, odkąd wziął na plecy Ottara, przemykały między jego nogami, cudem unikając zdeptania.

Ojciec Finna bynajmniej nie był chudzielcem, no i miał ponad czterdzieści lat, nie wspominając już, że dźwigał na plecach podskakującego radośnie Ottara, ale mimo to czoło miał suche i oddychał normalnie.

To „prawie jesteśmy” odnosiło się do widocznej w oddali szerokiej rzeki, do której mieli jeszcze ładny kawałek.

Biegli ile sił w nogach. Białe chmury sunęły po niebie, które pozostawało jasne, choć las wokół ciemniał i ciemniał, co było dość dziwne. Finnbogi miał nadzieję, że się nie rozpada. Nie chciał umierać w deszczu.

Zobaczył przed sobą na szlaku Bodilę i podbiegł do niej.



Ścieżka kończyła się drewnianym pomostem, który wdzierał się w najszerszą rzekę, jaką Sassa Gryziwarga widziała w życiu. Musiała mieć ze sto pięćdziesiąt kroków szerokości.

– To Kamienna Rzeka – ogłosił Eryk Złośnik, stawiając Ottara Niemowę na ziemi. Jego małe szopy pisnęły radośnie, gdy wreszcie znalazł się w ich zasięgu. – Ostatnim razem była tutaj wioska. Sądziłem, że będzie tu dalej, a w niej jakieś łodzie.

Nad rzeką pochylały się wielkie drzewa o drobnych, szemrzących na wietrze żółto-zielonych listkach. Jedynym śladem stojącej tu niegdyś osady była świeża roślinność zarastająca niegdyś ścieżki i plac, pomost oraz wyrwa między drzewami przy brzegu kawałek dalej.

– Płyniemy wpływ? – podsunął Wulf.

Sassa wolałaby tego uniknąć.

Rzeka była muliście brązowa i wezbrana przez ostatnie deszcze, ale najbardziej przerażały ją widoczne nad poziomem wody płetwy grzbietowe trzech wielkich ryb.

– Nie płyniemy – powiedział Eryk. – Spójrz tam.

– Co to za ryby?

– Rekiny.

– Rekiny? – powtórzył Wulf. – Rekiny to potwory, które żyją w słonym morzu.

– I w wielkich rzekach. Mieszkańcy tej wioski czcili je i składali im ofiary. Dlatego tyle ich tutaj jest. Wygląda na to, że choć nie ma tu już ludzi, one nigdzie się nie wybierają.

– Widzę tylko trzy.

– Pod wodą może być więcej.

– Aha. Zaatakują nas?

– Plemię znad Kamiennej Rzeki składało im ofiary z ludzi. Nauczyły się, że człowiek to pokarm.

– Rozumiem. Duże są?

– Te duże mają długość wysokiego mężczyzny. Te mniejsze nie są większe od psa, ale i tak zabijają człowieka.

– Niech to skunks opryska... – zaklęła Sassa. – A rzucą się na łódź?

– Jestem całkiem pewien, że nie.

– No to lepiej wskakujmy do łódki Kifa – powiedział Wulf.

– Ale w niej zmieszczą się tylko dwie osoby. – Sassa potrząsnęła głową.

– Więc lepiej się spieszymy. Chnoba! Gdzie ten zdradziecki brodac?

Nadbiegł, z trudem łapiąc oddech, a za nim tylna straż złożona z Bjarniego i Kifa. Sassa spodziewała się, że owslanki już depczą im po piętach, ale droga za nimi była pusta. Na razie.

– Kif, zmieścisz do łódki Ottara i Frejdis naraz?

– Razem ze mną?

– Tak.

– Przeprowadzamy się? – Kif opóźnił moment spuszczenia łódki na wodę.

– Streszczaj się, bo trochę się spieszymy. Musimy przerzucić wszystkich, zanim...

– Nie można było tak od razu? No to jazda!

Kif zdjął łódkę z pleców Chnoba, opuścił ją na wodę od strony pomostu, a potem odepchnął się i zaczął raptownie wiosłować. Ottar i Frejdis siedzieli na rufie, kurczowo uczepli rękami burty. Do trzech płetw w środku nurtu dołączyły dwie kolejne, ale rekiny nie zdradzały szczególnego zainteresowania kajakiem.

– Drzewonoga, ty płyniesz następna – zaordynował wódz. – Ty wiosłujesz tam, a Kif z powrotem.

– Nie – odmówiła Thyri.

– Nie ma czasu na kłótnie. Płyniemy według wieku, z pominięciem mnie.

– A ty co? – spytała Sassa.

– Ja płynę ostatni.

Sassa westchnęła. Spieranie się z nim nie miało sensu, a poza tym, choć wkurzało ją to niepomierzenie, musiała przyznać, że tak właśnie powinien zrobić wódz.

– Powinniśmy najpierw przeprowić na drugą stronę hird – powiedział Gurd.

– Gurd, kto jest starszy, ty czy Gunnhilda? – spytała Sassa.

– Gurd ma czterdzieści lat. Zarówno ja, jak i Eryk jesteśmy od niego kilka lat starsi – powiedziała Pobożna. – Mogę poczekać.

Ojej, pomyślała Sassa. Sądziła, że Gurd jest w tym samym wieku co Gunnhilda, a Eryk z dziesięć lat młodszy. Czas nie był łaskawy dla stale skwaszonego Zadrzykiecki. Matka często mawiała, że brzydkie myśli szpecą człowieka.

– Gurd, rozmawialiśmy już o tym kilkakrotnie – powiedział Wulf, brzmiąc o wiele dojrzalej w wieku dwudziestu pięciu lat niż Gurd kiedykolwiek. – Nie ma już hirdu.

– Ale hirdmani będą szybciej wiosłować i przewiozą na drugi brzeg więcej ludzi. Owslanki będą tu lada moment. Lepiej, jeśli przeżyją najbardziej przydatni.

– No cóż, teraz już po ptakach – westchnął Wulf, patrząc ponad ramieniem Zadrzykiecki. – Już tu są.

Gurd okręcił się na pięcie, przerażony.

– Co? Gdzie?

– Nie zesraj się, żartuję tylko – uspokoił go Wulf. – Niezależnie od tego, jak bardzo przydadzą nam się na drugim brzegu bohaterowie tacy jak ty, mój Gurdzie, popłyniemy jednak według wieku.

– Co ty na to, Garth? – warknął Gurd.

– Zgadzam się z Wulfem – powiedział Kowadłogęby, który był

młodszy od Bjarniego, Kifa, Gurda, Eryka i Gunnhildy.

– No to kto następny? – zawołał z nurtu Kif, zataczając pagajem wielkie koła.

Wulf skinął na Thyri, która natychmiast znalazła się na pomoście.



Sassa czekała cierpliwie na swoją kolej, obserwując ścieżkę na wschód. Po Thyri przyszła pora na Finnbogiego, który upierał się płynąć ostatni. Byłaby z niego dumna, gdyby nie marnował cennego czasu. Ostatecznie ona pierwsza straciła cierpliwość i wrzasnęła:

– Wsiadaj, kurwa, do tej łodzi!

Zamknął się i wsiadł z niewyraźną miną, a ona poczuła ukłucie winy.

– A co z Astrid? – spytała Eryka, gdy patrzyli razem, jak Finn macha pagajem, a Kif zasypuje go poradami mającymi na celu poprawienie jego techniki wiosłowania.

Eryk wskazał na północ. Potężna niedźwiedzica już gramoliła się na brzeg, ciągnąc za ogon rekina niemal tak długiego jak ona. Grzmotnęła go kilka razy po głowie, potem uderzyła nim samym o drzewo, a w końcu zaczęła jeść.

– Umie o siebie zadbać – rozwiął wątpliwości Eryk.

Następna była Bodila, a potem Sassa. Kilka smukłych szarych ryb przepłynęło pod kajakiem, okręcając się, jakby chciały lepiej widzieć, i pokazując swoje przerażające szczęki. Sassa nigdy jeszcze nie widziała tak wrednie wyglądających stworzeń. Ich długie, silne i giętkie cielska budziły w niej odrazę, podobnie jak absurdalna ilość zębów i martwe czarne oczy, które zdawały się przebijać jej duszę na wylot i mówić: „W dupie mam twoją duszę, chcę zezreć twoje flaki”.

Dwa razy stuknęła nieopatrznie pagajem w ich sprężyste, ale twarde płetwy grzbietowe, ale ostatecznie okropne ryby pozwoliły im przepłynąć bez przeszkód. Wkrótce stanęła suchą stopą po drugiej stronie, obok Finnbogiego, Bodili i dzieci, gdy tymczasem Kif już pędził z powrotem.

- A gdzie Thyri? – spytała.
- Na zwiadzie – powiedział Finnbogi.
- I nie poszedłeś z nią?
- Nie, ja pilnuję Bodili i dzieci.



Eryk jednym okiem pilnował Harowian przepływających się przez Kamienną Rzekę, a drugim wodził po szlaku, którym tu dotarli. Domyślał się, że zwiadowczynią była Paloma Widłoróg, najszybszy człowiek na świecie. Pytanie brzmiało: jak daleko są pozostałe dziewczyny?

Zamknął oczy i raz jeszcze spróbował porozumieć się z rekinami, na wypadek gdyby musiał przepłynąć rzekę w pław. Udało mu się po raz kolejny, ale odpowiedź była taka sama – prymitywne rybnie zaproszenie, by wskoczył do wody, i coś o zżeraniu flaków.

Owslanki nie nadchodziły, a na brzegu został już tylko on, Gunnhilda i Wulf. Teraz przyszła kolej na Eryka.

Zwrócił się do Gunnhildy, wiedząc, że spodziewa się po nim, że odda jej swoje miejsce. Już miał to zrobić, ale ostatecznie stwierdził, że zabawniej będzie zobaczyć wyraz jej twarzy, gdy wsiądzie do łodzi.

- Na razie! – rzucił przez ramię.



Gdy Sassa patrzyła na Kifa zmierzającego na drugi brzeg po Gunnhildę, Ottar wydał z siebie przeciągły jęk.

– Co on mówi, Frejdis?

– Tam jest jedna z owslanek. Chowa się na drzewie.

– Gdzie dokładnie?

– Kawalek w lewo, patrząc od drogi. Widzisz tamto wyższe drzewo w miejscu, gdzie trakt kryje się za wzgórzem?

– Tak.

– Właśnie tam.

– Czy Ottar jest pewien?

Frejdis obrzuciła ją spojrzeniem: a kiedyś nie był pewien?

– Na obwisły cycek Hel... – zakłęła Sassa, wodząc wzrokiem po ścianie lasu. Nikogo tam nie widziała, ale w takiej gęstwie mogłoby się schować i sto owslanek.

Kiedy Kif i Gunnhilda wypłynęli na środek rzeki i na brzegu został już tylko Wulf, łuczniczka zobaczyła, że jakaś postać zsunęła się z drzewa i ruszyła niespiesznym krokiem w kierunku pomostu. Jedna część Sassy była przerażona, bo bała się o Wulfa, ale druga strzeliła focha, bo co to za smukła panienczka idzie do jej mężczyzny, seksownie kołysząc bioderkami?



Paloma Widłoróg przyglądała się z gałęzi liściastego drzewa przepływającemu kajakiem grzyboludom. Szybka łódeczka, musiała przyznać. Ale byłaby jeszcze szybsza, gdyby pagajem machała owslanka.

Sofi zabroniła jej zabijać Harowian, dopóki nie dołączy do niej z pozostałymi kobietami. I dobrze, Paloma wcale się do tego nie kwapiła. Dziwne. Nie przepadała za zabijaniem, ale też nie mogła powiedzieć, by się przed nim wzdragała, lecz teraz brzydziła się

samą myślą, by miała zabić Harowian, nawet jeśli Sofi Tornado ochrzani ją za to, że pozwoliła im przekroczyć rzekę.

Ale co niby miała zrobić? Poprosić ich, by poczekali? Nie. Sofi zabroniła jej ich zabijać, więc po prostu zastosuje się do rozkazu.

Intrygowali ją ci osobliwi ludzie, których tropiła od tak dawna. Chciała porozmawiać przynajmniej z jednym z nich, usłyszeć, jak mówi i co jej powie ciekawego. Poczekała więc, aż przedostatni Harowianin wsiądzie do łodzi, a potem zeszła z drzewa i ruszyła traktem ku temu ostatniemu.

Grzybolud uśmiechnął się do niej. Szczery, bezpośredni uśmiech. Wysoki mężczyzna, jeden z najwyższych, jakich widziała w życiu, choć nie wydawał się taki wśród pozostałych grzyboludów. Miał włosy koloru kukurydzy, prawie złote, nawet w ten ponury, szary dzień, i kręcone, tak jak modnie układało się włosy w Calnii, gdy pierwszy raz do niej przybyła, i jak teraz robili to tylko Calnianie zamieszkujący zacofane prowincje imperium oraz rozmiłowana w ironii młodzież.

Był blady, ale nie robił wrażenia chorego. Właściwie wyglądał jak okaz zdrowia i był w pełni sił. Miał duże białe zęby jak bizon. Był dobrze umięśniony, bardziej niż owslanki, może nie licząc Chogolisy. Nosił futrzane buty i skórzane spodnie, podobne do tych, jakie mieli calnijscy wojownicy, ale jego pozbawiona rękawów skórzniak była dziwnie utwardzona, a broń wyglądała jak wielki kowalski młot z żelazną głowicą – choć to przecież niemożliwe, bo żelazo nie występowało w tak wielkich bryłach.

Najdziwniejsze ze wszystkiego były jego oczy. Uderzająco niebieskie, jak skuta lodem tafła jeziora w piękny letni dzień. Patrzył na nią, gdy się zbliżała, nawet nie rzucając okiem na jej figurę. A zatem ewidentnie gej. Szkoda. Pomimo zaskakującego wyglądu był całkiem atrakcyjny. Nie tak doskonały jak Kimaman, który był największym ciachem w całej Calnii, ale niewiele mu brakowało.

- Cześć – przywitała się. – Jestem...
- Paloma Widłoróg. Ta szybka.
- Spostrzegawczy jesteś.
- Miło cię poznać. Jestem Gruby Wulf.
- Gruby? – Ogarnęła go wzrokiem.
- Bo mam grubego drąga.
- Potrząsnęła głową i mrugnęła do niego.
- N-naprawdę? – zająknęła się.
- Odpowiedział uśmiechem.
- Tak naprawdę to nie. Byłem gruby jako dziecko. Wtedy dostałem przydomek i tak już zostało.
- Ha! – Miał poczucie humoru! Prychnęła śmiechem. – Wybacz, nie spodziewałam się, że wy, grzyboludy, będziecie tacy zabawni.
- Niektórzy z nas nie są.
- Właściwie to spodziewałam się, że będziecie naprawdę głupi.
- Daleko nam do geniuszy, ale czemu mielibyśmy być głupi?
- Bo Goachikowie musieli was karmić i ubierać przez sto lat.
- Nie musieli.
- Więc pozwalaliście im na to, choć nie musieliście? Sama nie wiem, czy to czyni was mądrzejszymi, czy jeszcze głupszymi.
- Sam się nad tym zastanawiałem... To co, zabijesz mnie czy jak?
- Nie. Czekam na resztę dziewczyn.
- I dopiero wtedy nas zabijecie?
- One to zrobią. Lubią to bardziej niż ja.
- Rozumiem.
- Ale nie powinieneś się kłopotać śmiercią. Ani się obejrzysz, narodzisz się na nowo. Może wrócisz jako ktoś fajny. Może nawet jako owslanka.
- Farciarz ze mnie.

– Kpisz sobie, ale spodobałoby ci się to życie. Jesteśmy najpotężniejszymi ludźmi na świecie.

– Jak prędko potrafisz biegać? Naprawdę jesteś tak szybka jak widłoróg?

– O wiele szybsza.

– Jak to możliwe?

– Stawiam jedną nogę przed siebie, potem drugą, i tak w kółko.

– Nie, nie... Skąd ta nadludzka szybkość?

– Magia.

– To nic mi nie mówi.

– Wybacz. Szczerze mówiąc, nie wiem, skąd mamy nasze moce. Kazali nam jeść i palić różne rzeczy, kiedy byliśmy małe. Zawsze wydawało mi się, że to alchemicy szprycują nas magią. Pytałam kilka razy, ale oni pilnie strzegą swoich sekretów.

– Pojmuję. A czemu tak się uparliście, żeby nas zabić?

– To przez przepowiednię cesarzowej. Błede twarze mają doprowadzić do zniszczenia świata. Pewnie chodzi o was.

– Myślisz? Jest nas tylko czternaścioro.

– To nie ja wyróżyłam. Ale jesteście jedynymi bladziociami na tych ziemiach. No i widziałam, jak marnujecie surowce podczas budowy, a poza tym musieliście głęboko zapuszczać się w las podczas polowań, bo wokół waszej osady praktycznie nie ma zwierza. Nawet jeśli to nie wy, tylko wasi potomkowie zniszczą świat, to już i tak nieźle sobie poczynacie.

– Wiesz, skąd pochodzimy?

– Tak. Już ci mówiłam. Byłyśmy w Harówce.

Paloma spojrzała nad jego ramieniem. Starsza kobieta wyszła z kajaka, a mężczyzna wracał po Wulfa. Kolejna Harowianka, jasnowłosa kobieta, chodziła w kółko po brzegu i obserwowała ich, unosząc i opuszczając łuk. Paloma zadbała o to, by oddzielić

się od łuczniczki Grubym Wulfem. Potrafiła się uchylić przed strzałą, jeśli ją tylko widziała, ale strzeżonego Innowak strzeże.

– Sto lat temu nasi przodkowie przebyli tysiące mil, żeby się tu dostać – powiedział grzybolud. – Przeprawili się przez morze, które wy zwiecie Dzikim Słonym Morzem. Tam, skąd pochodzimy, są nas tysiące. Setki tysięcy. Nawet miliony. Wszyscy bladzi.

Kajak dobił do brzegu i w tym samym momencie Wulf wybałuszył oczy na coś za plecami zwiadowczyni. Paloma obróciła się i zobaczyła Sofi Tornado, która wraz z owslankami wyłoniła się zza wzgórza. Obok dowódczyni szła Talisa Sarna, a ponad głowami innych kobiet majaczyła masywna sylwetka Chogolisy.

Paloma natychmiast uświadomiła sobie, że będzie musiała zabić Grubego Wulfa i mężczyznę w łodzi, a przynajmniej obić ich na tyle, by nie mogli uciec. Jeśli kobiety zobaczą, że puszcza ich wolno, na dodatek pozwalając im zabrać ze sobą łódkę, Paloma nigdy się z tego nie wytłumaczy.

Podskoczyła i zamierzyła się kosturem na Wulfa.

Nie wiedziała jak, ale jakimś sposobem odczytał jej ruch. Schylił się i podciął ją nogą. Upadła i odtoczyła się, spodziewając się kolejnego ciosu, ale ten nie nastąpił, bo Wulf pobiegł na pomost. Nic z tego, kochaneczku. Skoczyła na nogi, ale wtedy poczuła, że dostała strzałą, której nie widziała. Rzuciła się w bok, potoczyła po ziemi i wylądowała sprężysto na nogach, ale kolejna strzała już mknęła w jej stronę – a dokładniej, tam gdzie by była, gdyby pobiegła za Wulfem na pomost.

Spojrzała przez rzekę na jasnowłosą kobietę. Następny pocisk pędził w jej kierunku, a łuczniczka zdążyła już ponownie naciągnąć cięciwę. Daleko jej wprawdzie było do Sitsi Pustułki, która wypuszczałaby już w jej kierunku szóstą strzałę, ale dawała radę.

Wysoki mężczyzna wskoczył do kajaka, a jego śmieszny koleżka z długą blond brodą, małymi oczkami i prostymi kukurydzianymi włosami spływającymi prawie do pasa zaczął pagajować, jakby się paliło.

– To na razie – zawołał Gruby Wulf. – Miło się gadało, ale mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy.

– Zaraz przepłyniemy na drugą stronę. Widzimy się za parę minut.

– Lepiej, żebyście tego nie robiły, bo w wodzie są...

– Przepłyńcie, przepłyńcie! – przerwał ten długowłosy i długobrody. – I nie spieszcie się! Woda ciepła jak zupa!



– Więc po prostu patrzyłaś, jak przepływają sobie na drugą stronę? – westchnęła Sofi Tornado.

– Jeden po drugim tą małą łódeczką, tak. Powiedziałaś, żeby ich nie zabijać.

– A nie przyszło ci do głowy, żeby zrobić dziurę w łódce?

– Nie mogłam tego zrobić. Wywiązałyby się walka i musiałabym któregoś zabić. A wtedy złamałabym rozkaz. Zresztą w czym problem? Ta rzeka nie jest tak rwąca jak poprzednia. W mig ją przepłyniemy.

– Ech, Paloma... – westchnęła Sofi. Lubiła dowodzić, bo nie znosiła, gdy ktoś próbował nią komenderować, ale czasem marzyła o tym, żeby być zwykłym szeregowcem, który tylko stoi i czeka na rozkazy.

– No co? – spytała najszybsza kobieta na świecie.

– Widzisz te ryby w rzece?

– Tak. Duże. No i?

– To są rekiny! – pisnęła Sitsi Pustułka. – Ludojady. Kiedyś była tu wioska, którą zamieszkiwało plemię Rekinów, ale

w zeszłym roku przenieśli się na południe, do ujścia Matki Wody, bo szukali większych drapieżników do czczenia. Składali rekinom żywe ofiary z ludzi. Zaatakują cię, gdy wejdiesz do wody.

– Ach, przepraszam – zreflektowała się zaczerwieniona Paloma.

– Wiem, jak sobie z nimi poradzić – włączyła się do rozmowy Sadszi Wilczyca. – Odpędziłam swojego pierwszego rekina, gdy miałam pięć lat. Trzeba po prostu dać im fangę w nos i po kłopotcie.

Na drugim brzegu ostatni Harowianin wyszedł z kajaka na ląd. Reszta stała skupiona w grupie, wytrzeszczając oczy na deliberujące po przeciwnej stronie rzeki owslanki.

– Te rekiny różnią się od tych w Matce Wodzie – powiedziała Sitsi.

– Wyrosłam nad wielką rzeką. – Sadszi wzięła się pod boki. – Potrafię rozpoznać je po płetwach. To dokładnie te same ryby.

– Może ten sam gatunek, ale nastawienie mają inne.

– To tylko ryby. A ja jestem owslanką. – Sadszi rozpięła kamizelę.

Sofi była rozdarta. Jeśli Sadszi wróci z łódką grzyboludów, wypełnią zadanie w ciągu godziny. Jeśli nie pozwoli jej płynąć, będą musiały zbudować własną łódź, a to znaczy, że Harowianie oddzielą się od nich dniem drogi. Ale jeśli pozwoli jej przepłynąć rzekę i pożrą ją rekiny, to niczego nie zyska, a straci kolejną wojowniczkę. I choć chciała wrócić do Calnii jak najszybciej, to tak naprawdę nigdzie im się nie spieszyło. Mogą budować tu łódź przez trzy dni, a i tak dogonią Harowian, zanim ci dotrą do Matki Wody.

– Nie, Sadszi, to zbyt duże ryzyko. Zrobimy...

Ale Sadszi, golutka jak ją Innowak stworzył, już pędziła po pomoście z nożem w zębach. Wybiła się i wskoczyła do wody.

„Skoro się upierasz, to proszę, nie krępuj się” – powiedziała w myślach do płynącej Wilczycy.



Finnbogi wlepił wzrok w potężną Calniankę, szeroką jak wrota kościoła i górującą nad pozostałymi kobietami, gdy nagle zauważył, że jedna z pozostałych się rozbiera.

– Idzie na nas! – krzyknął, gdy wskoczyła do wody.

Rozległ się plusk, potem na moment zapadła cisza, a po chwili kobieta wynurzyła się i zaczęła agresywnie płynąć w ich kierunku, młóćąc spienioną wodę nogami. Wydawało się, że nie ima jej się wartki prąd rzeki. Za to natychmiast zainteresowały się nią rekiny. Płetwy prukły taflę, zmierzając w jej kierunku.

Najdrobniejsza z owslanek napięła łuk i strzeliła do ryb. Dwie płetwy grzbietowe zniknęły pod wodą, gdy strzały dobiegły celu, ale trzy pozostałe dotarły do Sadsy. Kobieta i rekiny zniknęły pod powierzchnią. Harowianie wstrzymali oddechy na jednym brzegu, Calnianki na drugim.

Buchnęła woda i krew.

A potem zrobiło się cicho.

Pływaczka przebiła powierzchnię i łyknęła powietrza, a potem zaczęła płynąć dalej. Była już w połowie koryta.

– Zastrzel ją, Sassa!

Jeszcze tydzień temu, pomyślał Finnbogi, Sassa zignorowałaby rozkaz. Teraz jednak uniosła łuk z ponurym wyrazem twarzy, naciągnęła cięciwę dalej, niż on byłby w stanie, po czym strzeliła. I trafiła. Kobieta zniknęła pod wodą.

– Niezły strzał, jak na babę! – pochwalił Gurd.

– Wciąż może płynąć pod wodą. – Wulf zwrócił się do Finnbogiego: – Weź dzieci i idźcie traktem na zachód. Chnób, ona będzie chciała wziąć nam łódź, więc zabierz ją stąd. Bodila,

Gunnhilda, odsuńcie się. Sassa, ty też się cofnij, ale osłaniaj nas łukiem. Hird, odsunąć się od brzegu, formacja szalonego lwa. Eryk, dołącz do nas. Pamiętasz szalonego lwa?

– Tak.

– Przywołaj tu niedźwiedzicę.

– Trudno będzie odciągnąć ją od rekina, ale spróbuję.

Nie zawołał jej, jak spodziewał się Finnbogi, tylko zamknął oczy i pochylił głowę. Czy on rozmawia ze zwierzętami za pomocą umysłu? A jeśli tak, to czy takie umiejętności są dziedziczne?

Finnbogi zaczął zagarniać dzieci do siebie, ale gdy usłyszał plusk, zapomniał o Ottarze i Frejdis i skupił wzrok na rzece.

Owslanka wyskoczyła z niej w eksplozji wody i dysząc ciężko, wylądowała na brzegu na rozstawionych nogach i rozrzuconych rękach. Broczyła krwią z kilku poszarpanych ran, z ramienia sterczała jej strzała, ale podniosła się i pewnie stanęła na nogach. Rozebrana do rosołu. Finnbogi rozdziawił usta.

Zgadywał, że wyglądała tak, jak wyglądałaby Thyri, gdyby nie jadła tyle cukru klonowego i ciężko trenowała codziennie jeszcze przez kilka lat. Była szczupła, ale nie chuda. Śniada, lśniąca skóra ciasno opinała wyraźnie zarysowane węzły mięśni, które budziły skojarzenie z wijącą się masą ryb i węgorki zaszytych w worku z najdelikatniejszej skóry. Miała regularne rysy twarzy i pełne, miękkie usta. Jej wąskie czarne oczy, lśniące okrucieństwem i żądzą, sprawiały, że Finn nie mógł uznać jej za piękną, ale jednocześnie czyniły ją tak niezwykle seksowną, że to aż niemożliwe. Nie sądził, by człowiek z krwi i kości mógł być tak niesamowicie atrakcyjny. Przełknął ślinę.

Wulf ruszył na nią, biorąc zamach młotem. Owslanka odbiła broń ręką, złapała Wulfa oburącz za bezrękawnik i przerzuciła go nad głowę, tak że pofrunął do rzeki. Wtedy zaatakowali Kif i Gurd, Berserk Duporąbem oraz Zadrzykiecka toporem i tarczą.

Gurd dopadł ją pierwszy i obrócił, by Kif mógł pchnąć ją szpikulcem topora. W tej samej chwili Sassa strzeliła z łuku.

Finn nie wiedział, jak to się stało, ale jakimś sposobem Calnianka zwinęła się w powietrzu, jednocześnie unikając sztychu Berserka i strzały Sassy, ucapiała Gurda za nadgarstek i złamała go jednym płynnym szarpnięciem. Topór wysunął się Zadrzykiecce z rąk, a owslanka drugą ręką złapała go w locie i kopnęła Gurda z mocą w krocze. Gdy ten złożył się jak scyzoryk i poleciał naprzód, trzasnęła go z impetem w twarz trzonkiem. Mężczyzna zwałił się na ziemię z raną biegnącą od żuchwy do czoła.

Za jej plecami Wulf wynurzył się na powierzchnię.

Garth rzucił się do ataku, wyprowadzając podwójny cios Ponurymi Bliźniakami, gdy tymczasem Kif zamachnął się od tyłu toporem, mierząc w kolana Calnianki. Wojowniczką podskoczyła w górę, jedną nogą odbiła oba topory Gartha, a drugą kopnęła go w skroń, aż okręcił się na nogach i wyrznął o ziemię.

Ledwie wylądowała, zaraz podskoczyła znowu, odbijając Duporąba i trafiając Kifa nogą w bok głowy. Odleciał w tył i padł jak długi.

Eryk wyciągnął rękę, by powstrzymać atakującą Thyri, ale ona przebiegła pod jego ramieniem i rzuciła się na owslankę. Bjarni też ruszył do ataku, kreśląc w powietrzu półokrąg Pogromcą Lwów.

Zanim Wulf wygrzebał się na brzeg, prąd zdążył już ponieść go dobre dziesięć kroków w dół rzeki.

– Do tyłu, Bjarni! – krzyknęła Thyri. – Szarżowanie nie ma sensu. – Przerzucała saks z ręki do ręki, tarczę trzymając na plecach.

Sassa wypuściła kolejną strzałę. Calnianka zrobiła unik i zakręciła toporem Gurda na jednej ręce.

– Wkrótce przekonacie się, że walka ze mną w ogóle nie ma

sensu – powiedziała. – Z chęcią ci to udowodnię, dziewczyno. Poznaj imię tej, która cię zabije. Jestem Sadszi Wilczyca.

– A ja Thyri Drzewonoga.

Wilczyca łypnęła na jej gołe uda.

– Na to wygląda. No cóż, nie kłopotz się tym. Pewnie zgubiłabyś to dziecięce sadelko, gdybyś przeżyła dzisiejszy dzień. A przy okazji, podoba mi się wasza broń. Przyda się owslankom.

Calnianka puściła się naprzód, wymachując toporem Gurda z niesamowitą prędkością. Jego głowica rozmasała się w pędzie w metaliczną smugę. Thyri wyszła jej naprzeciw, sama wymachując bronią. Roześmiana Sadszi Wilczyca zacisnęła palce na jej nadgarstku, w międzyczasie robiąc unik przed kolejną strzałą Sassy, po czym szarpnęła ręką Thyri, rzucając dziewczynę na kolana, i podniosła wzrok na łuczniczkę.

– Strzelaj na zdrowie, moja śliczna, bo jak skończę z nią, to wsadzę ci w dupę wszystkie strzały, których nie zdążysz wystrzelić. – Uśmiechnęła się upiornie. – Kto wie, może ci się spodoba.

Bjarni rzucił się na wroga, lecz Sadszi, nie zwracając się nawet ku niemu i nie puszczając Thyri, grzmotnęła go toporem na odlew. Głownia trzasnęła go w skroń i Bjarni zwałił się bez ducha na wciąż leżącego na ziemi Gartha.

Finnbogi wyszarpnął miecz z pochwy i przesunął wzrokiem po klindze. Miał wrażenie, że wziął do tej roboty złe narzędzie, jakby chciał zabić niedźwiedzia kwiatem.

Sadszi mocniej przygięła Thyri do ziemi. Drzewonoga wtłoczyła jej wolną pięść w nerki. Owslanka syknęła. Był to pierwszy cios, który dosięgnął celu, ale kobieta otrząsnęła się natychmiast. Złapała Thyri za potylicę i rozkwasiała jej twarz kolanem, a potem uniosła topór, by ją dobić.

– Wystarczy – powiedział Eryk, mocniej ściskając maczugę. – Jeśli ją zabijesz, ja zabiję ciebie i zjem to, co z ciebie zostanie.

Pozwól jej żyć, to tylko cię zabiję.

– A ty co, jej tatuś? – Sadszi Wilczyca pochwyciła jego spojrzenie, zwróciła ku niemu głowę Thyri, ścisnęła jej wargi i naplula nieprzytomnej dziewczynie do ust. – Lubisz, jak tak robię, tatusiu?

Finnbogi podpełzł do niej, wciąż zastanawiając się, co on właściwie robi. Wtedy rozległ się ryk i coś przemknęło obok niego. To był Chnob Biały! Sadszi odwróciła się przodem do nacierającego i chlasnęła go toporem po krtani. Chnob jakby nie poczuł, że rozerznęła mu gardło. Ścisnął ją mocno ramionami. Krew lała się z jego rozoranej szyi. Eryk przyskoczył do owslanki i z mocą walnął ją maczugą przez łeb. Gdy obuch zetknął się z jej czaszką, rozległ się dźwięk kłody spuszczonej na skałę z dużej wysokości.

Owslanka osunęła się na ziemię, a Chnob odpadł od niej i zastygł w bezruchu na trawie. Eryk stanął w rozkroku nad powaloną Wilczycą i maczugą rozwalił jej głowę z trzaskiem, który poniósł się echem po lesie.

Wytarł broń o trawę.

– Ghruuu! – ryknęła Astrid, wpadając na pole bitwy w samą porę, by nie pomóc zupełnie nikomu.



– Mam tam iść? – spytała Chogolisa Zadrzyziemia.

Po drugiej stronie rzeki któryś grzybolud trącał palcem leżącą twarzą do ziemi Sadszi.

– Nie – powiedziała Sofi.

– Mam ich wystrzelać? – podsunęła Sitsi.

– Nie.

– Chyba nie puścimy ich wolno?

– Puścimy. Na razie.

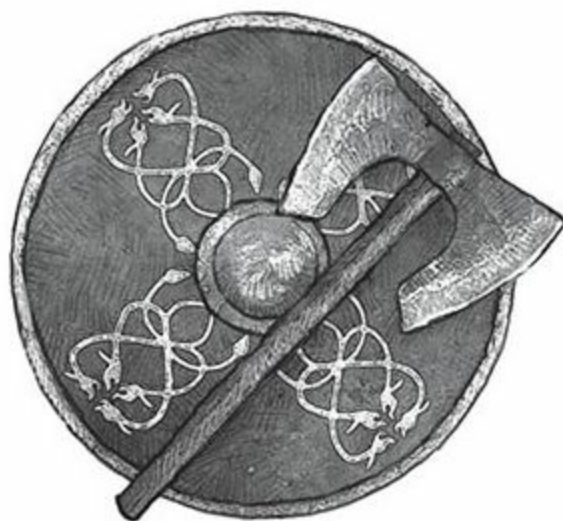
Sofi doznała uczucia, które ledwie pamiętała. Czuła smutek. Ale nie smucił jej los Sadsi Wilczycy. Nigdy za nią nie przepadała, no i powiedziała jej przecież, by tam nie płynęła. Nie, po prostu nie mogła przestać myśleć o grzyboludach. Ostatni ocalali ze swojego plemienia, obszarpana zbieranina mężczyzn, kobiet i dzieci – ale mieli serce do walki i bronili się, jakby ich nędzne życia miały jakieś znaczenie. Nie powinni byli pokonać Sadsi, ale zamiast uciekać na jej widok, gdy przekroczyła rzekę albo gdy padli pierwsi z nich, podjęli nierówną dla siebie walkę i jakimś cudem odnieśli zwycięstwo.

Jak im się to udało? Potrząsnęła głową, zażenowana tą porażką.

- Dobrze się czujesz? – zatroskała się Pustułka.
- Oczywiście, że dobrze się czuję.
- Powiedziałaś, że mamy ich na razie puścić?
- Talisa, idź na północ. Paloma, na południe. Szukajcie łodzi. Wróćcie, gdy jakąś znajdziecie, a jak nie znajdziecie, wróćcie przed zmrokiem. My w tym czasie zaczniemy budować własną.

Część trzecia

Droga do Matki Wody





ROZDZIAŁ 1

Miłość w błocie

Ja nie myślałem, ja po prostu wkroczyłem do akcji. Przez chwilę nie byłem Chnobem Białym, filozofem i kochankiem, lecz wcieleniem boga Thora, który kieruje się nieomylnym instynktem wojownika i, choć ostatnimi czasy zbyt swobodnie szafuje się tym słowem, nieposkromionym bohaterstwem.

Chnob mówił cicho, przyciskając rękę do obandażowanego gardła niechybnie po to, by przykuć uwagę wszystkich do rany, jaką odniósł, ratując towarzyszy przed Sadszi Wilczycą.

– Czy choć przez chwilę troszczyłem się o swoje bezpieczeństwo? – podjął natchnionym tonem. – Ani trochę. Czy spędziłem pół życia, szkoląc się w walce jak hirdmani, których powaliła owslanka, zanim sama padła pod moimi ciosami? Bynajmniej. Czy miałem świadomość, że to ode mnie zależy przetrwanie naszego plemienia? Nie. Czy śmiałem sądzić, że ja, Chnob Myśliciel, własnymi rękami pokonam jedną z legendarnych owslanek? A gdzie tam.

Bjarni słuchał Chnoba z zamkniętymi oczami. Po tym, jak oberwał po łbie, światło ogniska raziło go w oczy bardziej niż zwykle, a głowa bolała, jakby sam Thor łomotał w nią Mjöllnirem. Gunnhilda zaparzyła mu jakichś ziół, które może pomogły, a może nie pomogły, nie umiał powiedzieć. Nie potrzebował herbatki, tylko wiadra grzybów, które wykatapultują go prościutko do krainy snów. Ech, marzenie świętej głowy. Dałoby się coś załatwić, gdyby byli w domu, ale teraz tkwili na brzegu rzeki oddzielającej ich od hałastry morderczych bab, które chciały ich wszystkich pozabijać.

W obozie panował wesoły nastrój, skoro już wiedzieli, że wkrótce zginą. Najgorsze było oczekiwanie w niepewności, ale ponieważ zyskali już pewność, kamień spadł im z serca. Owslanki przebyły kawał drogi z Calnii i znalazły ich w ciągu kilku dni. Wkrótce przekroczą rzekę i znowu ich dogonią. A sądząc po tym, jak tylko jedna z nich, naga i nieuzbrojona Sadsi Wilczyca, sama rozwaliała im pół hirtu, było jasne, że nie mają w starciu z pozostałą szóstką większych szans niż strach na wróble w starciu z huraganem. To i tak cud, że Wilczyca zabiła tylko Gurda.

Nie mieli dużo do roboty i wielu potrzebowało odpoczynku, Chnob zasugerował więc, by zgodnie ze staroświatową tradycją każdy z nich opowiedział, jak sobie poradził w stoczonej właśnie bitwie. Wulf zapalił się do tego pomysłu. Pierwszy zrelacjonował

i pokazał, jak został pokonany w pół sekundy i wrzucony do rzeki, gdzie prawie się posrał ze strachu przed rekinami. Ekspresywny opis i wygibasy były tak zabawne, że wszyscy co rusz wybuchali śmiechem, od którego Bjarniego jeszcze bardziej bolała głowa.

Teraz produkował się Chnob, zupełnie ignorując stary obyczaj, który zabraniał przechwalania się i mówienia nieprawdy. Pewnie nie wiedział, że reguła nakazywała słuchaczom bezlitośnie wyśmiać mijającego się z prawdą wojownika. Miał szczęście, że Harowianie nie zwracali sobie tym głowy, bo nikt nie lubił Chnoba na tyle, by sobie z niego żartować.

Bjarni zamknął oczy i przestał go słuchać. Zaczął myśleć o Grubym Wulfie. To zawsze poprawiało mu nastrój.

– Gdy tylko zobaczyłem wroga, od razu wiedziałem, co robić – głądził Chnob. – Odepchnąłem na bok Finnzbukiego, który trzymał się z tyłu jak brzydka dziewczyna na potańcówce, i ruszyłem do walki.

Brzydula na potańcówce? Czy ten Chnob nie rozumie, że czarne owce powinny trzymać się razem? Czy on ma świadomość, jak bardzo Harowianie nim gardzą? Jednym z wielu powodów, dla których Finn nienawidził Chnoba, były jego usilne próby wepchnięcia się do wewnętrznego kręgu Harowian na jego plecach. Chnob pokpiwał z innego wyrzutka, Finna, próbując zaskarbić sobie przyjaźń hirdu, ale nie rozumiał najwyraźniej, że zdrajca nigdy już nie wróci na łono plemienia. Zrażanie do siebie tych, na których przyjaźń miał największe szanse, było wybitnie głupim posunięciem, ale czego się spodziewać po wybitnie głupim Chnobie... który jednak odniósł zwycięstwo w walce z Sadsą Wilczycą, co stanowiło dowód na to, że nie ma na tym świecie sprawiedliwości, a bogowie nienawidzą Finna z całego serca. Brodacz oślepił ją strumieniem krwi z rozoranego gardła,

umożliwiając Erykowi wgniecenie jej w ziemię maczugą, co może nie było typowym zagranie, ale najwidoczniej skutecznym. Ilu bohaterów sag zastosowało z powodzeniem tę wątpliwą strategię? W każdym razie Harowianie widzieli na własne oczy, że brodacz walnie dołożył się do pokonania owslanki, a w dodatku jeszcze o mało nie zginął śmiercią bohatera, co tylko dodawało sytuacji dramatyzmu. Gdyby Eryk z pomocą Finnbogiego szybko nie zaszyli okropnej rany na jego szyi, obok dwóch stosów pogrzebowych dla Gurda i Sadsy, którzy płonęli sobie rażno nad rzeką, trzeba by było usypać kolejny dla Chnoba. Finnbogi nie lubił Gurda, ale gdyby mógł zamienić go z Chnobem miejscami, zrobiłby to bez wahania. Cholera, nawet Sadsy byłaby lepszą towarzyszką od tej brodatej gnidy. Wyglądała jakies czterdzieści tysięcy razy lepiej od niego.

– Któż może wiedzieć, dlaczego jedni rzucają się w wir walki, a inni trzymają się z tyłu? – truł dalej Chnob. – Może Zbuk czekał na specjalne zaproszenie? No cóż, myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że dobrze, że ja wziąłem sprawy we własne ręce i...

Chuj mnie strzeli, pomyślał Finnbogi, doprowadzony do ostateczności. Tego już za wiele. Wstał.

– Co jest? – zaskrzeczał za nim Chnob. – Tchórzysz przed swoją kolejką? Tak jak stchórzyłeś w bitwie?

Finnbogi poklepał miecz przy boku.

– Składałem się do ciosu Wrogobójcą, gdy nagle pewien żaloszny zdrajca przemknął obok i dostał srogie wciury, ale miał to szczęście, że zanim padł na ziemię, trysnął krwią we właściwym kierunku. Bohaterem tej bitwy jest mój ojciec, który powalił owslankę swoją maczugą, a nie chlusnął jej po oczach posoką. Oto moja opowieść.

Kilka osób prychnęło śmiechem. Wulf zarechotał i trzepnął się dłonią po udzie.

Finnbogi odwrócił się, by odejść, czując dziką satysfakcję z wygranej potyczki słownej i chcąc się oddalić, zanim Chnób złoży się do riposty. Biały może i był kretynem, ale nie był głupi.

Odwracając się plecami do brodacza, pochwycił wzrokiem spojrzenie Bodili i bez wahania skinął na nią głową, by z nim poszła. Opromieniła go pięknym uśmiechem, ale chyba nie załapała, o co mu chodziło, bo zaraz wróciła wzrokiem do opowiadającego.

Finnbogi wyszedł poza koło zakreślone światłem ogniska i stał chwilę sam, czekając, aż jego wzrok przyzwyczai się do ciemności. Wtedy ruszył biegnącą wzdłuż rzeki ścieżką, czasem wnikającą między porastające brzeg drzewa, czasem odbijającą w prawo, nad sam nurt. Po chwili stanął w miejscu, gdzie grunt osunął się do wody. Ziemia pokryta była śladami zwierząt, co oznaczało chyba, że może natknąć się tutaj na lwa lub niedźwiedzia, który przyjdzie nad rzekę zaspokoić pragnienie. Kiedyś zląkłby się i pognął z powrotem do obozu, ale teraz? Nie czuł się odważny, ale też się nie bał. Wokoło rozbrzmiewało pohukiwanie i gwizdy nocnych zwierząt, on nie mógł przecież wiedzieć, czy któreś zaraz nie wyskoczy z krzaków i nie rzuci się na niego, a jednak nie czuł strachu.

Usiadł na pniu. Światło bijące od ogniska Calnianek na drugim brzegu malowało od spodu liście okolicznych drzew. Kobiety wkrótce ich złapią. Nie ma przed nimi ucieczki. Wszyscy o tym wiedzieli, nawet jeśli nikt nie powiedział tego na głos.

Podskoczył na dźwięk nadepniętej gałązki. Coś dużego szło traktem w jego kierunku. Serce podskoczyło mu do gardła. To tyle, jeśli chodzi o jego nowo odnalezioną odwagę. Na obrzeżu małej polany zamajaczył kształt.

Kobieta.

Bodila.

– To ty – powiedział Finn, wstając. – Co się...

Zamknęła jego wargi palcem, jej drugą dłoń poczuł na swoich plecach. Zetknęła się z nim lędźwiami i spojrzała na niego z dołu. Z bliska jej brązowe oczy wydały mu się wielkie w świetle księżyca. Pocałował jej palec na swoich ustach, a ona odjęła go, zamknęła oczy, otworzyła usta i wspięła się na palce.



Gdy godzinę, a może dwadzieścia godzin później wracali do obozu, na drodze natknęli się na Wulfa i Sassę.

– Jest na to dobre miejsce jakieś dwie minuty stąd – powiedział Finn, wskazując je kciukiem. Mrugnął do nich, a potem zapragnął zapaść się pod ziemię. Czemu gada takie bzdury?

Bodila chciała podzielić z nim śpiwór, ale Finnbogi wymamrotał coś, że musieliby wszystkich pobudzić, a potem ułożył się obok chrapiącego smacznie Bjarniego.

No i proszę, straciłem dziewictwo. Zbajerowałem dwa lata starszą Bodilę i poszliśmy na całość, pomyślał. Zapadł w sen z szerokim uśmiechem na ustach.



ROZDZIAŁ 2

Dupek

Następny dzień nie należał do łatwych. Gruby Wulf obudził ich jeszcze przed świtem. Hirdmani byli ranni, więc sam objął przednią straż z Erykiem Złośnikiem, a Finnbogiego, Sasse i Chnoba wysłał na koniec.

– Wulf chyba popada w desperację, skoro każe pilnować tyłów nieuzbrojonym kobietom – powiedział brodacz do Sassy, gdy czekali, aż reszta grupy pójdzie przodem. – Ale twojego tyłu mógłbym pilnować cały boży dzień, maleńka.

– Masz rację, Chnob – odpowiedziała Sassa. – Nadajesz się do tej roboty o wiele lepiej ode mnie. Co ty na to, żebyś szedł sto

kroków za mną i Finnbogim? Wtedy to ty będziesz prawdziwą tylną strażą. Jakby coś się działo, to nas zawołasz.

– Nie będę was wołał, poradzę sobie sam.

– Na pewno. W takim razie my cię zawołamy, gdybyśmy potrzebowali twojej pomocy. Poczekaj tu moment, my już pójdziemy.

– Jasne.



– To góra! – powiedział Finnbogi jakiś czas później.

– Góry są o wiele większe – odparła Sassa, ale musiała przyznać, że to był największy i najbardziej stromy stok, jakim miała nieszczęście się wspinać. – Bodila, powiadasz? – podjęła, gdy pokonali skarpe. – Fiu, fiu.

– Co z Bodilą?

– Nie wiedziałam, że ją lubisz.

– A kto powiedział, że ją lubię?

– Zabawne, jak szybko zapomniałeś o Thyri.

– Mówisz?

– Ostrożnie, Finnbogi. Nie baw się uczuciami innych.

– To nie uczuciami Bodili się bawiłem. – Zarechotał jak obleśny dziad.

– Finnbogi, nie bądź dupkiem. Podobasz się Bodili.

– Zauważyłem.

– Jeśli nie odwzajemniasz jej uczuć, źle robisz, udając.

– Ale czy naprawdę tak bardzo jej się podobam? Może podobam jej się tylko trochę? Może chciała się tylko zabawić?

– Bodila taka nie jest. To był też jej pierwszy raz.

– A niby czemu uważasz, że to był mój pierwszy raz?

Spojrzała na niego, a on miał dość przyzwoitości, by się zarumienić.

– To był jej pierwszy raz i to było dla niej ważne. Czy było ważne dla ciebie?

– To znaczy... Tak, było mi wspaniale.

– Więc zrobisz to z nią dzisiaj wieczorem po raz kolejny? Nie próbujesz czasem wykorzystać jej, żeby dopiec Thyri?

Finn otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Szli chwilę w ciszy. Niemal słyszała jego myśli.

– Zjebałem, co? – powiedział po kilku minutach.

Sassa lubiła Finnbogiego. Jak każdy sierota, który dorastał bez ojca i matki, był nieco zahukany i nerwowy i sprawiał czasem wrażenie aroganckiego gówniarza lub nawet wrednego drania, ale Sassa wiedziała, że pod tą skorupą kryje się porządny i wrażliwy chłopak.

– Na to wygląda – powiedziała.

– Co mam teraz zrobić? Ale ze mnie dupek.

– Zachowałeś się jak dupek, ale przynajmniej rozumiesz swój błąd. Jak myślisz, co powinieneś teraz zrobić?

– Być wrednym dla Bodili, żebym przestał się jej podobać.

Obrzuciła go niedowierzającym spojrzeniem. Nie, on nie żartował. W niektórych miejscach ta skorupa była bardzo gruba.

– Pudło, głupku jeden. Musisz z nią porozmawiać i to wyjaśnić.

– Mam powiedzieć jej prawdę?

– Nie, bez przesady. Musisz powiedzieć jej jakieś dobre kłamstwo.

– Na przykład?

– Mógłbyś powiedzieć, że przeraża cię sytuacja, w której się wszyscy znaleźliśmy, i szukałeś w jej ramionach pocieszenia. Że bardzo ją lubisz, ale zawsze była dla ciebie przyjaciółką, nawet siostrą, i chociaż przeżyłeś z nią najpiękniejsze trzydzieści sekund życia...

– To było więcej niż trzydzieści sekund.

– I chociaż przeżyłeś z nią najpiękniejsze trzydzieści pięć sekund życia, to jednak był to błąd i lepiej, żebyście więcej tego nie robili.

– Mam jej to powiedzieć?

– Tak. Chyba że sam wymyślisz coś lepszego...

– Nadchodzą! – zawołał z tyłu Chnob. – Owslanki nadchodzą!

Okręcili się w miejscu.

– Ha! Zrobiłem was w bambuko! – Chnob ryknął śmiechem.

– Nie ma na świecie większego dupka... – wybąkał Finnbogi, gdy wznowili marsz.

– Jest jeden. – Uniosła brew i łypnęła na niego, a on utkwiał wzrok w ziemi.

Innym problemem było to, że w Bodili zakochany był Kif. Może Bodila przyjęłaby jego awanse, gdyby nie robiła maślanych oczu do Finnbogiego. No cóż, ostatnia noc tylko pogmatwała sprawy. Sassa nie mogła powiedzieć Finnowi o uczuciach Kifa. To byłoby nie w porządku względem hirdmana.

Ona sama miała wielkie szczęście, że w jej życiu pojawił się Gruby Wulf. Kochali się nad brzegiem rzeki minionej nocy – kawałek dalej w górę strumienia od miejsca, które upatrzyli sobie Finn z Bodilą, za niedojedzonym truchłem rekina, wywleczonym z wody przez niedźwiedzicę Eryka – i była pewna, że tym razem się udało.

Czy sprowadzenie na świat nowego życia to wystarczające zadośćuczynienie? Często myślała o Hrolfie. Miała przed oczami jego zmasakrowaną, wykrzywioną pożądliwie twarz, zanim wsunęła mu nóż w szyję, a potem ciepłą krew na swoich rękach i wyraz zaskoczenia i przerażenia w jego gasnących oczach.

Myślała o nim często, ale choć się starała, nie potrafiła czuć się winna.



Finnbogi postanowił, że porozmawia z Bodilą, musiał tylko poczekać na dogodny moment, a więc przynajmniej do końca swojej warty.

Przyjemnie szło się z piękną Sassą Gryziwargą. Wulf nie wiedział pewnie nawet, jak wielkie ma szczęście, że los złączył go z taką śliczną i bezproblemową dziewczyną. Miała rację, jeśli chodzi o Bodilę. Finn był bezmyślny, ale naprawi swój błąd i rozmówi się z Gęsiodziobą, gdy tylko nadarzy się okazja.

Rozmawiał z Sassą o wielu różnych rzeczach – o dzieciństwie, o innych Harowianach, również tych, którzy zostali zabici w wiosce – i czuł się tak, jakby byli dwójką przyjaciół na przechadzce, a nie zwierzyną łowną, którą czeka rychła śmierć.

Spytał ją, jak ma zdobyć serce Thyri, a ona odparła, że powinien po prostu być sobą. Odpowiedział, że jest sobą od lat i nigdzie go to nie zaprowadziło. Roześmiała się. Wyznał jej, jak bardzo mu wstyd, że minionej nocy powiedział jej i Wulfowi o „dobrym miejscu”. Sassa przyznała, że to było strasznie głupie, ale tak to już jest, kiedy człowiek – na przykład Finn – cały czas stara się być dowcipny. Podsunęła mu pomysł, żeby albo nie mówił na głos wszystkiego, co przyjdzie mu na myśl, albo pogodził się z tym, że od czasu do czasu kogoś zrani i narobi sobie wstydu. Dodała, że wolałaby tego drugiego Finnbogiego i że nawet jeśli palnie coś głupiego, ona zawsze będzie po jego stronie.

To w tym momencie doszedł do wniosku, że kocha Thyri Drzewonogą cieleśnie, lecz głęboka braterska miłość, którą czuje do Sassy, jest niemal tak samo silna.

Wzgórze, które wziął za górę, okazało się pierwszym z wielu. Wulf gnał ich na złamanie karku, utrzymując mordercze tempo

i rezygnując z przerw. Nie dość, że cały czas szli po nierównym, to jeszcze musieli przedzierać się przez rzeczki i strumienie, które wytyczyły sobie koryta w najniższych punktach pomiędzy wzgórzami.

Wydawało się, że idą całą wieczność. Minęli upiorną kępę strupieszalnych drzew wieńczącą któreś z kolei wzniesienie, dźwigającą na swoich konarach setki czerwonogłowych sępów, śledzących ich pochod wygłodniałymi ślepiami. Kilka minut później, jakby ta niegościnna kraina chciała wynagrodzić im jakoś zły omen w postaci ścierwojadów, nad ich głowami przefrunęło tysięczne stado gigantycznych białych pelikanów.

Gdy w przerwie na posiłek usiedli razem, Wulf pogratulował wszystkim i powiedział, że zrobili od rana jakieś dwadzieścia pięć mil, a więc pobili swój rekord. Finnbogi czuł ten rekord w nogach, a sądząc po wycieńczonych twarzach współplemieńców, oni również. Może z wyjątkiem Ottara i Frejdis, którzy hasali sobie radośnie po wilgotnej trawie. Przez większą część poranka Eryk i Wulf nieśli ich na zmianę.

Thyri przesiedziała cały postój w ciszy, z głową na ramieniu Gartha i ręką na jego nadgarstku. Finnbogiego wciąż kłuło serce na ten widok, ale wystarczył rzut oka na jej zmiażdżony przez Sadsa nos, by zaraz poprawił mu się nastrój. Thyri była skwaszona jak kot z szyszką w dupie, a Garth nie wyglądał na szczęśliwszego, zwłaszcza że cały bok jego głowy w miejscu, gdzie kopnął go Wulf Wspaniały, pokrywał wielki siniec. Oboje milczeli przez cały posiłek.

Po południu Finnbogi, ku swojej wielkiej radości, wrócił na tyły wraz z Sassą i Chnobem. Gryziwarga po raz kolejny przekonała Białego, że powinien iść sto kroków za nimi.

Finn rozmawiał z nią o Łąkach i o tym, co mieli nadzieję tam znaleźć. Sassa mówiła, że będą tam rzeki, piękne zielone wzgórza, na które nie będą musieli się wspinać, chyba że

przyjdzie im ochota, i że będą mieć mnóstwo dzieci, z którymi będą się bawić i które będą się o nich troszczyć, gdy się zestarzeją.

Finnbogi zastanawiał się przez moment, czemu ona i Wulf nie mają jeszcze dzieci, lecz zmienili temat, nim zdążył zapytać.

Teren wreszcie się wyrównał i zeszli z ostatniego wzgórza na płaską, rozciągającą się na wiele mil w przód równinę. Prerię znaczyły z rzadka kępy drzew oraz rozciągnięte lasy i zagajniki rosnące wzdłuż koryt rzek. Daleko, daleko na południu była w niebo smuga dymu.

Bodila zrównała się z nimi.

– Spójrzcie tylko na ten widok! A ten dym... czy to już Muspelheim, kraina ognia, gdzie mieszkają olbrzymy?

– Tak, Bodilo, na pewno – zakpił Finn, rzucając Sassie spojrzenie mówiące: ale głupia ta Bodila.

Gryziwarga zgromiła go takim wzrokiem, że aż zadrżał.

– To ognie polne – powiedziała. – Gdyby nie one, tu wszędzie rósłby las.

– Naprawdę? – spytał Finnbogi. – Skąd wiesz?

– Wyrosłam na farmie. Słuchajcie, poczekam tu na Chnoba, a wy pogadajcie, dobra?

Staęła, by brodacz ją dogonił.

Finnbogi szedł ramię w ramię z dziewczyną, czekając, by choć na chwilę przestała mówić, ale nawet w krótkotrwałych przerwach w słowotoku głupio mu było niespodziewanie ogłosić, że kocha ją jak siostrę, nie jak kochanek, więc słowa nie padły.



Gdy wreszcie rozbili obóz na noc i zjedli kolację, Finnbogi zorientował się, że Bodila łowi go wzrokiem. Uciekł potrenować. Czuł na plecach besztający wzrok Sassy, ale nie rozumiał, o co te

pretensje. Przecież musi trenować, żeby zwiększyć ich szanse przetrwania. Może akurat ten jeden trening przeważy o wyniku nadchodzącej bitwy z owslankami?

Gdy skończył, był zbyt zmęczony na poważną rozmowę z Bodilą, wsunął się więc do śpiwora obok Bjarniego i oddał się marzeniom o domu, który zbuduje wraz z Thyri na Łąkach, nieopodal domu Wulfa i Sassy, i o obsypanej kwiatami zielonej dolinie pomiędzy tymi domami, gdzie będą bawić się razem ich dzieci.



Zbudowanie łodzi zajęło owslankom cały dzień. Nie miały żadnych narzędzi, a Sofi Tornado chciała, żeby była wykonana porządnie. Może i Sadszi przeżyła starcie z rekinami, ale Sofi wątpiła, by reszta dziewczyn wraz z nią dotarła do drugiego brzegu w jednym kawałku, zwłaszcza że ponad tafłę wystawało coraz więcej płetw. Może wieści o tych kilku kęsach wyrwanych z ciała Sadszi rozeszły się po rekinim świecie i ryby wróciły do miejsca, gdzie stała kiedyś osada, mając nadzieję na kolejne ofiary.

Budowa zakończyła się o zachodzie słońca. Sofi postanowiła, że przenocują jeszcze na tym brzegu rzeki, a przeprowią się skoro świt.

Jeśli utrzymają dobre tempo, dogonią Harowian wczesnym popołudniem.



ROZDZIAŁ 3

Sercojagodowy Kanion

Osanki wota! – Ottar Niemowa skakał wokoło, wskazał palcem ziemię, a potem każdego Harowianina po kolei, jakby chciał opryskać ich błotem, a potem znowu pokazał ziemię i pokiwał z przekonaniem głową. – Wota! Wooo-ta!

– Calnianki przepływają przez rzekę – przełożyła Frejdis Złośliwa.

Ludzie popatrzyli po sobie, a ich twarze wyrażały różne stopnie determinacji i strachu, z wyjątkiem Eryka, który westchnął, i Wulfa, który wyszczerzył się i spytał:

– Czy on powiedział „woota”?

– Tak – odparła Frejdis.

– Fajne. Woota. Wooo-ta. Wooo... TA! Od dzisiaj będę używał tego słowa. Mogę, Ottarze? – Ale chłopiec już poświęcił całą uwagę skaczącemu w trawie świerszczowi. – Zapytasz Ottara, czy się zgadza?

– Na pewno nie będzie miał nic przeciwko.

– To świetnie. Woota. Wooo-TA!

Sassa popatrzyła na niego z ukosa.

– Będiesz używał tego słowa? Niby kiedy, jeśli wolno spytać?

– A nie wiem. Po prostu mi się podoba. Okrzyk bojowy? Przekleństwo? Może będę tak krzyczał w czasie wytrysku? Wooooo-TA!

– Hura, to na pewno wzmocni mój orgazm. Lepiej już chodźmy, te kobiety poruszają się o wiele szybciej od nas. Wooo-pier-TA-lajmy stąd.



– Daleko jeszcze do Matki Wody? – spytał Garth Eryka, gdy pokonywali pierwsze tego dnia wzniesienie.

Eryk nie miał pojęcia, co mu powiedzieć. Przez całą poprzednią podróż do wielkiej rzeki był zatopiony w myślach i stracił rachubę czasu. Ale wiedział jedno: nie byli jeszcze nawet blisko.

– Dzień i ciut – odparł w końcu, wiedząc, że pewnie o wiele więcej.

– Nie powinniśmy byli zatrzymać się na noc – rzekł Garth.

– Musieliśmy.

– Nie wszyscy musieli.

Miał rację. Wczoraj zrobili czterdzieści mil, o wiele za długi dystans do pokonania w ciągu jednego dnia, ale nie przekraczający możliwości Eryka, który mógłby iść jeszcze dalej,

a nawet przyspieszyć czy wręcz biec, gdyby zależało od tego jego życie – a przecież zależało. Wszyscy mogliby biec do Matki Wody, gdyby naprawdę musieli. Wszyscy poza Gunnhildą i dziećmi. Garth właściwie miał rację, ale ponieważ to było draństwo, Eryk nie zwracał sobie tym głowy.

– Wulf, mam pomysł! – krzyknął Kowadłogęby, podbiegając do wodza.

Eryk szedł dalej. W tym tempie nie mają szans, by uciec owslankom, a Eryk wiedział, że następnym razem nie będą mieli tyle szczęścia co nad Kamienną Rzeką oraz że gdyby porzucili Gunnhildę, dzieci i każdego, kto nie jest w stanie biec cały dzień, znacznie zwiększyliby swoją szansę na dotarcie do Matki Wody.

To zabawne, że ten pomysł zupełnie do niego nie przemawiał. Spędził z tymi ludźmi dopiero parę dni, a już miał głębokie przekonanie, że powinien żyć i umrzeć jako jeden z nich.

Garth najwyraźniej nie dostał od Wulfa odpowiedzi, na jaką miał nadzieję.

– No to wszyscy mamy przejebane! – wrzasnął i pobiegł naprzód.



W przerwie na posiłek Eryk co rusz oglądał się przez ramię, spodziewając się ujrzeć atakujące Calnianki.

Kif i Bjarni, którzy tego dnia pilnowali tyłów, powiadomili go, że widzieli za pochodem kogoś, kto mógł być Palomą Widłoróg.

Eryk podbiegł do Wulfa.

– Może zawołam Astrid i pójdziemy na tyły? Nie wiem, czy mamy jakieś szanse z owslankami, ale przynajmniej niedźwiedzica trochę je spowolni.

– Nie mogę cię o to prosić. – Wulf podrapał się w brodę.

– Ale nie powstrzymasz mnie?

– Nie.

– To na razie.

Eryk spłynął kolumną na sam tył, zluzował Berserka i Kurzą Twarz, a potem przywołał do siebie Astrid.



– Dopadniemy ich za godzinę – oszacowała Paloma.

– Wchodzą na terytorium plemienia Wielkich Gnatów – dodała Sitsi.

Sofi spojrzała na Yokiego Choppe, który wzruszył ramionami.

W duchu przyznała mu rację. Wielkie Gnaty pewnie raczej pozabijają grzyboludów, niż im pomogą, a nawet jeśli nie, to owslanki zaraz się z nimi spotkają. Jedno jest pewne – już niebawem grzyboludy będą tylko osobliwą historyjką, której za dwa pokolenia nikt już nie będzie pamiętał.



Finnbogi patrzył, jak mrocznieje południowe niebo. Choć w miejscu, gdzie się znajdowali, dzień był jeszcze słoneczny, to daleko na południu gromadziły się warstwy chmur, ciemniejąc coraz bardziej, aż niebo robiło się fioletowoczarne jak nos Thyri.

– Nie powinniśmy rozejrzeć się za schronieniem? – rzucił w przestrzeń.

– Czemu?

To była Bodila. Nie zauważył, że idzie za nim. Skinął głową na niebo w oddali.

– Znosi się na deszcz – powiedziała.

– Raczej na koniec świata.

Czy ona nie widziała tych ciężkich, ciemnych chmurzysk? Czy nie czuła dławiącego zagrożenia, które wisiało nad nimi, jak stopa dziecka wisi nad mrowiskiem?

– Przynajmniej kwiatki się napiją – wyszczebiotała rozbrajająco.



Sassa Gryziwarga i Thyri Drzewonoga przykucnęły między dwoma drzewami na szczycie skalistej ściany, z której doskonale widać było wioskę. Las wokół nich rozbrzmiewał śpiewem milionów pulchnych ptaków, nieświadomych lub niebojących się kołujących nad nimi jastrzębi. Po liściach skakały drobne jasnozielone żabki.

Wioska składała się z około pięćdziesięciu stożkowatych chatynek rozrzuconych rzadko po płaskiej polanie na styku dwóch płytkich rzek. Obydwie strony dolinki były strome lub wręcz pionowe, miejscami gęsto porośnięte drzewami lub nagie i skaliste. Wśród chat zauważyły zwierzęta wyrzeźbione w pionowych wspornikach, które wyglądały jak wielkie kości, ale były zbyt wielkie, by rzeczywiście być kośćmi jakiegoś znanego Sassie zwierzęcia. Wioskę zalewał słoneczny blask, choć na południu wisały na niebie złowrogie, ciemne chmury.

Ludzie nosili typowe skrælińskie odzienie – mężczyźni przepaski biodrowe i koszule, kobiety sukienki ozdobione paciorkami i piórami jeżozwierza. Dzieci biegały na golasa. Niektórzy z dorosłych mieli przy sobie kije budzące skojarzenie z ludzkimi kośćmi, a kobiety i dzieci nosiły mniejsze kostki wplecione we włosy. Po prawej stronie, zaraz obok wystającej ponad poziom gruntu skalnej płyty w środku doliny, grupka starszych dzieci toczyła po ziemi obręcz, a inne próbowały przewrócić ją ciskanymi pod kątem patykami.

Nieco bliżej kroczył przez wioskę mężczyzna o wypiętej dumnie piersi i żołnierskiej postawie, oparłszy na ramieniu podobną do wielkiej kości lagę. Zatrzymał się i spojrzał w górę,

w kierunku ich kryjówki. Obie kobiety wstrzymały oddech. Mężczyzna mógł być w wieku Eryka, miał małe oczy i mięsiste wargi w tym samym kolorze co reszta twarzy. Włosy przycięł na wysokości ramion, ale te bliżej czubka głowy ufryzował w zaczesany do góry przedzielony kok. Uśmiechnął się do nich – Sassie wydawało się, że patrzy im prosto w oczy – a potem poszedł w swoją stronę.

– Te dzieciaki zupełnie nie umieją grać w kółko i kijek – orzekła Thyri, gdy wojownik zniknął im z oczu. Odkąd patrzyły, ani jednemu dziecku nie udało się trafić w obręcz.

– Prawda – potwierdziła Sassa.

– Jak oni to zbudowali? – Thyri wskazała przeciwległą ścianę doliny, która wyglądała, jakby olbrzymi budowniczo wieźli ją z ułożonych poziomo kamiennych płyt.

– Nikt tego nie zbudował, to jest klif, naturalna formacja skalna. – Sassa słyszała o nich w opowieściach ze starego świata, których słuchała również Thyri, zdziwiła się więc, że hirdmanka o nich zapomniała. Lecz z drugiej strony Thyri o wiele więcej czasu spędzała na nauce walki niż na słuchaniu starców. I kim niby była Sassa, by ją oceniać? Umiejętność walki jest bardziej przydatna w grupie niż wiedza z zakresu geologii.

– Chciałabym się na to wspiąć – wyszczerzyła się Thyri.

Sassa nie słyszała, by ktoś wpadł kiedyś na gorszy pomysł.

– Może nadarzy się okazja.

– To co robimy?

Trakt, którym szli Harowianie, prowadził do wioski, przeskakiwał nad rzeką, a potem zniknął wśród drzew na południowym skraju doliny.

– Wracamy. Musimy powiadomić Wulfa.



Sassa i Thyri zastały grupę wpatrzoną w przedziwnie ciemne niebo na południu. Opowiedziały towarzyszom o wiosce.

– Czy mieszkańcy wydają się przyjaźnie nastawieni?

Sassa strzeliła wzrokiem do Thyri.

– Chyba tak.

Drzewonoga potwierdziła skinieniem.

– Na pewno nie wyglądają na nieprzyjaznych.

– Powinniśmy okrążyć wioskę – ogłosił Garth. – Pewnie dostali takie same rozkazy jak Lakchanowie, a nie warto drugi raz polegać na szczęściu.

Ottar pisnął i pociągnął Wulfa za rękę.

– Ottar twierdzi, że powinniśmy pójść do wioski – wyjaśniła Frejdis.

Wulf potargał jej włosy.

– A zatem idziemy.

– Na miłość Thora! – wykrzyknął Garth, wyrzucając ręce w powietrze i idąc gdzieś, wyraźnie zagniewany.



Gdyby chcieli przejść niezauważeni, mieliby kłopot, bo całe plemię zebrało się u wejścia do wioski, zagradzając im drogę. Na czele komitetu powitalnego skrælingów stali w rzędzie trzech mężczyźni.

Po lewej Sassa zauważyła tego wojownika, który wypatrzył ją i Thyri. Skinął im głową i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: bystry jestem, co? Z bliska jego kościana maczuga jeszcze bardziej przypominała wielki gnat.

Mężczyzna po prawej był wysoki, otyły i rubasznie uśmiechnięty, miał grzywę lśniących czarnych włosów i jakimś sposobem budził skojarzenie z bardzo przystojną ropuchą. Między nimi stała staruszka, która mogła mieć na oko

sześćdziesiąt lat. Wodziła wzrokiem po Harowianach, mrugając nerwowo wodnistymi oczami. W odróżnieniu od stojących za jej plecami kobiet w jaskrawych ubraniach ona nosiła się na czarno, jeśli nie liczyć ciężkich, przecinających się na piersi sznurów paciorków, które wyglądały jak pomalowane kawałki kręgosłupa.

– Cześć – przywitał się Wulf.

– Witajcie, witajcie – powiedziała kobieta, wciąż trzepocząc powiekami, jakby brała udział w konkursie mrugania na czas. – Najmocniej przepraszam.

– Za co?

– No wiesz... Po prostu przepraszam! – Rozłożyła ręce i spojrzała w górę, jakby odpowiedź na jego pytanie wypisana była na niebie.

– Jesteśmy Wielkie Gnaty, a to jest Sercojagodowy Kanion – powiedział ten korpulentny mężczyzna. – Ja zwę się Duży Hinto, jestem wodzem zaopatrzenia, to Balinda, wódz wioski, a ten poważny koleżka to Chucknor, wódz wojny. Wyjawcie nam, proszę, skąd przychodzicie i dokąd zmierzacie.

– Jesteśmy niedobitkami plemienia Wota – powiedział Wulf. Sassa łypnęła na niego bykiem, ale on kontynuował niewzruszony: – Przychodzimy znad Jeziora Ciekawskiego Jesiotra, gdzie większość naszego plemienia została niedawno zabita przez calnijskie owslanki, które lada moment nas dogonią.

Na dźwięk słowa „owslanki” troje wodzów wymieniło spojrzenia, a tłum za ich plecami zaczął szeptać.

– Chcemy przekroczyć Matkę Wodę – podjął Wulf – i osiedlić się w miejscu zwanym Łakami.

– Jak dowiedzieliście się o tej krainie? – spytał ten nazwany Chucknorem.

– Ten chłopiec nam o niej powiedział. – Wulf pokazał wodzom Ottara, który stał nieco z boku z zadumaną miną, naprzemiennie

dotykając podbródka lewym i prawym kciukiem, jakby nie mógł się zdecydować, który lepiej się do tego nadaje. – To wielki wróżbita. Ostrzegł nas, że Calnianki idą nas zabić, ale nie posłuchaliśmy go. Od kiedy wyruszyliśmy z naszej zniszczonej osady, jego przepowiednie już kilka razy ocaliły nam życie.

– Czy powiedział wam, że pozwolimy wam przejść?

– Tak, właściwie to tak.

– Rozumiem. Dacie nam uzgodnić, czy miał rację?

– Jasna sprawa.

– Spocznijcie. – Duży Hinto wskazał im trawiastą łączkę. – Idzie zła pogoda, ale póki co milej jest na dworze niż pod dachem. I powiedzcie swojemu przyjacielowi z wielkim niedźwiedziem, żeby wyszedł z za drzew. My tutaj nie boimy się tych miśków. – Zwrócił się do swoich ludzi: – Ty, ty i ty, przynieście sok z sercojagód i... niech pomyślę... trochę mojego wędzonego królika, dziki ryż i jagody z zeszłej nocy.

– Mam podgrzać królika? – spytał jeden z nich.

– Nie, na litość Wielkiego Lisa, nie! Czy niczego cię nie nauczyłem? Nigdy nie podgrzewaj mojego królika w jagodach, a poza tym w taki skwar lepiej smakuje zimne jedzenie.



Harowianie siedzieli i czekali, a tymczasem troje wodzów stanęło kawałek dalej, rozmawiając i od czasu do czasu zerkając na nich.

– „Plemienia Wota”? – chrząknął Garth.

– Myślę, że czas zerwać więzy z przeszłością – odrzekł Wulf. – A Wota to nazwa dobra jak każda inna.

– Czy ty nie masz krztyny szacunku dla przodków?

– Dla naszych ojców? Nie, nie bardzo. Olaf Odkrywca i jego ludzie byli ostatnimi przodkami, którzy zrobili coś godnego

szacunku.

– Ale to Olaf nadał nazwę Harówce. Bezczęścisz jego pamięć.

– Myślę, że Odkrywca zrozumiałby potrzebę oddzielenia się grubą kreską od naszej historii najnowszej. Ale tak naprawdę to nie przywiązałem się jeszcze do tej nazwy. Wrócimy do tego później. Może nawet zrobimy głosowanie.

– Jeśli będzie jakieś później. Jeśli ci tutaj nas nie zabiją. To jedzenie – wskazał na trzy kobiety idące w ich stronę z pełnymi tacami – jest pewnie zatrute. W głowie mi się nie mieści, że znowu zrobiliśmy, co nam kazał ten mały idiota.

– Wcale nie jest idiotą – powiedziała Sassa.

– Nie umie mówić.

– A mimo to przestrzegł nas przed Calnianami. Ty umiesz, ale nas nie przestrzegłeś. To kto tu jest idiotą?

– Wooo-ta! – krzyknął Wulf.



Sercojagodowy sok i zimne mięso okazały się najpyszniejszym posiłkiem, jakiego Finnowi dane było skosztować, nawet jeśli jednym okiem co chwila łypał na ścieżkę, spodziewając się dostrzec na niej owslanki, drugim na Gartha i Thyri, trzecim na mroczne chmury na południu, a czwartym na troje wodzów Wielkich Gnatów, zastanawiając się, co też postanowią.

Po przeciągającej się w nieskończoność chwili obrady dobiegły końca i wodzowie zbliżyli się do nich. Harowianie – czy też Wotanie, bo Finnbogiemu bardzo się spodobała ta nowa nazwa – wstali.

– Bardzo mi przykro – zaczęła Balinda – ale wiemy o was wszystko. Wiemy, że tak naprawdę jesteście grzyboludami i dlatego Calnianki chcą waszej śmierci. Wiemy też, co uczynią plemionom, które was nie zabiły. – Przeszła z nogi na nogę

i złączyła dłonie jak grzeczna dziewczynka, która przyznaje się rodzicom, że to ona zbiła misę.

– Rozumiem – powiedział Wulf.

– Tak, przepraszam was bardzo. Był tu calnijski biegacz.

– Jasne.

– Jasne. Rzecz w tym, że my bardzo nie lubimy, jak ktoś nam rozkazuje, a tak w ogóle to nie jesteśmy częścią calnijskiego imperium. I nigdy nikogo nie zjedliśmy. A przynajmniej nie sądzę, żebyśmy zjedli... Duży Hinto?

– Nie zjedliśmy, spokojna głowa.

– A, to dobrze. Tak więc Calnianie nie mają prawa mówić nam, co mamy robić, nawet jeśli czasem próbują. Można wręcz powiedzieć, że naszym zdaniem mamy obowiązek nie robić tego, co nam każą.

– Bardzo mi się podoba, jak to ujęłaś.

– Z drugiej strony wiemy też, do czego zdolne są owslanki. Musielibyśmy być szaleni jak ropuchorobale, żeby im się narażać. Wiecie może, jak daleko są za wami?

Wulf spojrział na Eryka, a ten spojrział na słońce.

– Już powinny tu być.

– Rozumiem.

– Moglibyście pozwolić nam przejść, a potem schować się w lesie – zasugerował Złośnik. – Uniknęlibyście w ten sposób konfrontacji, a one będą zbyt zajęte ściganiem nas, żeby wam się naprzykrzać.

– Niezły pomysł, wcale niezły, ale pamiętajcie, że my bardzo nie lubimy, jak ktoś nam mówi, co mamy robić. – Balinda nagle wyzbyła się niepewności. Właściwie to wyglądała, jakby chciała im grozić. – Sami umiemy zatroszczyć się o siebie i gdybyśmy mieli zachować się jak ropuchorobale, nie byłby to pierwszy raz.

– Co ona mówi? – szepnęła Bodila na ucho Finnowi.

– Że umieją o siebie zadbać i bywali już szaleni jak

ropuchorobale.

– Aha. A co to znaczy?

– Jeszcze nie wiem. Nie mam pojęcia, jak szalone są ropuchorobale.

– Rozuuumiem. – Bodila pokiwała z namysłem głową.



Członkowie plemienia Wota (Bjarni Kurza Twarz zakochał się w tej nazwie: Woooooo-ta!) przeszli przez tłumek Wielkich Gnatów.

Kif Berserk, Eryk Złośnik i jego niedźwiedzica Astrid zostali z tyłu. Stali ramię w ramię z Wielkimi Gnatami (Bjarni z trudem zachowywał powagę, gdyż ta nazwa wymawiana głośno za każdym razem kojarzyła mu się z czymś wielkim i twardym). Nie wiedział, dlaczego to robili, ale wydawali się co do tego przekonani. Gdy Bjarni rozważał zostanie tutaj z nimi, zauważył tamtego faceta.

Natychmiast rzucił mu się w oczy. Odznaczał się na tle reszty jak bizon pomalowany na pomarańczowo, wspięty na zadnie nogi i grający na trąbce. Podczas gdy większość Wielkich Gnatów (nie wytrzymam! – pomyślał Bjarni) układała włosy w czyste, zawile, utwardzone woskiem fryzury, ten gość miał długie, splątane kudły i przedziałek, który w życiu nie widział grzebienia. Ale to nie uczesanie go zdradziło, tylko jego dziwne oczy, jednocześnie zmęczone i uważne, oraz paradoksalna mowa ciała, jednocześnie niedbała i spięta.

Bjarni oddzielił się od pochodu i podszedł do niego.

– Czołem, jestem Bjarni Kurza Twarz.

– Witaj, przyjacielu – powiedział mężczyzna, przeciągając sylaby. – Jestem Libbacap, ale wszyscy mówią na mnie Faja,

ponieważ jestem posiadaczem wielu fajek, z których większość wykonałem własnoręcznie.

Bjarni uśmiechnął się.

– Bardzo chciałbym zobaczyć twoją kolekcję.

– Da się zrobić, mój wysoki, wełnianogłowy przyjacielu. Da się zrobić.



Finnbogi źle się czuł, zostawiając Kifa z Wielkimi Gnatami, a jeszcze gorzej – zostawiając z nimi ojca, ale Eryk uparł się i nie dał przekonać. To plemię ryzykowało życie, by pomóc im w ucieczce, powinni więc przynajmniej zasilić jego szeregi. Eryk powiedział, że chętnie zostanie, bo żył długo i dobrze, a poza tym ma wielką niedźwiedzicę do pomocy.

Wulf próbował przekonać Kifa, by ruszał dalej z resztą, ale Berserk był nieugięty w swoim postanowieniu. Finn wiedział, że ma potrzebę sprawdzenia się po tym, jak został pokonany przez Sadsa Wilczycę. Gdyby Finn był na jego miejscu, uznałby porażkę w walce z jedną Sadsa za dobry powód, by spierdalać jak najdalej i jak najprędzej, bo w końcu ścigało ich jeszcze przynajmniej sześć owslanek, niepogryzionych przez rekiny, ubranych i uzbrojonych. Ale Kif nie był Finnem.

Odwrócił się, by spojrzeć na pozostawionych w wiosce wojowników, ale widok zasłoniły mu skały. Nigdy takich nie widział, jaskrawobiałych w promieniach słońca. Przyszło mu na myśl, że może w miarę podróży na zachód krajobraz stanie się jeszcze dziwniejszy. Czy to w ogóle możliwe? Klif okalający wioskę Wielkich Gnatów musiał mieć wysokość dziesięciu roślących chłopów. Finn nigdy nie widział czegoś tak monumentalnego.

Coś ciężkiego trafiło go w policzek, a on pomyślał, że to nasrał na niego któryś z latających nad ich głowami jastrzębi, ale gdy dotknął twarzy, przekonał się, że to pierwsza kropla deszczu zwiastująca nadchodzącą burzę. Kolejna spadła mu na czoło. Gdyby nie wiedział, że to deszcz, pomyślałby, że ktoś rzucił w niego zgniłym winogronem.



Eryk, Astrid i Kif stali obok trojga wodzów Wielkich Gnatów. Astrid węszyła w powietrzu i jęczała.

Zachowywała się bardzo dziwnie, odkąd weszła do doliny. Eryk zgadywał, że czuła w okolicy inne niedźwiedzie. Zwykle to sprawiało, że robiła się niespokojna, choć jeszcze nigdy nie odwaliło jej tak jak teraz. Miał nadzieję, że nie pójdzie sobie w cholerę przed przybyciem Calnianek. Próbował ją o to pytać, ale nie mógł się z nią dogadać.

Za nimi stało około dwudziestu wojowników uzbrojonych w maczugi wyglądające jak długie i ciężkie kości. Reszta plemienia schowała się w jaskiniach wyżłobionych w klifie po południowej stronie Sercojagodowej Rzeki. Eryk był im wdzięczny za pomoc, ale gdy powiódł wzrokiem po wojownikach i wodzach, wiedział, że nie mają szans z owslankami. Ale kto wie, może obejdzie się bez walki? Calnianek było niewiele i zapuściły się daleko od domu. Ich dowódczyni na pewno nie będzie ryzykować utraty kolejnych żołnierek, więc raczej zarządzi odwrót, niż powiedzie swój okrojony oddział do walki z tyloma ludźmi. Tak sobie przynajmniej wmawiał, ale prawdę mówiąc, sam siebie nie przekonał. Owslanki żyły, by walczyć. Myśleć, że zrezygnują z bitwy, żeby któraś czasem nie odniosła ran, to jak oczekiwać, że żarłok nie pojawi się na biesiadzie ze strachu przed sraczką.

– Z jakiego drewna robicie maczugi? – spytał Chucknora.

– Z kości.

– To cholernie wielkie kości.

– Dwadzieścia tysięcy lat temu żyło na tych ziemiach plemię potworów zwanych kraszponami. Przybyły tu z bezkresnych północnych puszczy i zniewoliły naszych przodków. Przez dwadzieścia pokoleń nasi ludzie gięli karki pod ich batem, aż przybył tutaj młodzieniec imieniem Kamienny Paluch, który zamienił bestie w kamienie i oswobodził nasze plemię. To jedna z kości kraszponów.

– Udowa?

– Nie, jedna z kości nadgarstka. Udowych nie mogę podnieść.

– Te potwory musiały być olbrzymie.

– Gdy chodzą na tylnych nogach, są trzy razy większe od was.

Przy nich twój niedźwiedź krótkopyski wydaje się mały.

– Krótkopyski? – spytał Eryk, zauważając, że albo Chucknor nie jest zbyt biegły we wspólnym skrælińskim, albo nie odróżnia przeszłości od terażniejszości.

– Tak je nazywamy.

– Widziałeś więcej takich jak Astrid?

– O, tak. Nieczęsto je spotykamy, ale widziałem kilka.

– Myślałem, że Astrid jest jedyną przedstawicielką swojego gatunku.

– Zawsze jest więcej przedstawicieli danego gatunku niż jeden. Tak musi być.

Z nieba spadła na maczugę Eryka opasła kropla deszczu. Wspaniale, pomyślał. Nie dość, że zaraz rozsmarują ich niepokonane walkirie, to jeszcze zmoknie.



ROZDZIAŁ 4

Pogoda

Sofi Tornado biegła na czele kolumny, a Yoki Choppa na tyłach, dłubiąc w misce swoim kościanym tłuczkiem. Sitsi Pustulce wydawało się, że czarnoksiężnik ma jeszcze bardziej zmarszczone brwi i skrzywione wargi niż zwykle, choć nie miała pewności. Ten facet wiecznie się marszczył.

Za to Sofi Tornado nie martwiła się niczym. Wręcz przeciwnie, jej ekscytacja rosła z każdym krokiem. Sitsi zauważyła, że perspektywa zabijania zawsze wyciągała z Sofi ukryte w środku dziecko. Zataczała młynki toporem, jakby

wypolerowana głownia nie mogła doczekać się rzezi. Noże w pochwach odbijały się od jej ud, ten obsydianowy i ten nowy, który dopiero co zrobiła z kła dzikiego kota.

Wreszcie doganiali tych śliskich grzyboludów. Jeszcze tylko ich wyróżnić, a potem do domciu. A przynajmniej taką miała nadzieję. Zwykle Sitsi szła do bitwy podniecona w takim samym stopniu co dowódczyni, ale tym razem była dziwnie nerwowa.

Plemię Wielkich Gnatów nie wchodziło w skład calnijskiego cesarstwa. Oficjalna przyczyna była taka, że nie posiadali niczego, co Calnia mogłaby chcieć, więc nie kłopotano się ich podbijaniem. Był taki czas, że Sitsi ślepo wierzyła we wszystko, czego się uczyła, lecz teraz wiedziała, że czasami historię kształtuje nie prawda, ale doraźna potrzeba polityczna. Calnia podbiła mnóstwo plemion, które leżały dalej od ziem Wielkich Gnatów i nie przynosiły jej najmniejszej korzyści, musiał więc być inny powód, dla którego Gnaty wciąż cieszyły się wolnością. Sitsi miała okropne wrażenie, że niebawem dowie się, co to za powód.

Zamknęła oczy i poprosiła Innowaka, by miał nad nimi pieczę. Przez tę misję straciły już dwie wojowniczkę. To o dwie za dużo.

Dotarły do polany, gdy z nieba zaczęły lecieć krople wielkie jak wiśnie. Dno doliny okazało się większe i bardziej płaskie, niż wywnioskowała z nachylenia stromego stoku, i znajdowała się w nim spora osada. Większość zrębu doliny stanowiły białe klify, a w jej środku znajdował się masywny kawał skały. Nad tym wszystkim unosiła się wielka czarna chmura.

Sitsi Pustulce bardzo się ta chmura nie podobała. Wojowniczka miała sporą wiedzę z zakresu meteorologii, a to niebo zwiastowało tornado. Tak jest, proszę bardzo, tamta część chmury już zaczyna wirować.

Tornado zabiło jej wuja. Drzemał sobie pod drzewem, a gdy

obudziło go wycie trąby powietrznej, było już za późno. Jej ciotka, która biegła, by go ostrzec, widziała, jak wir wciągnął go w niebo. Znaleźli jego potrzaskane zwłoki trzy wioski dalej.

Sitsi ogólnie nie przepadała za pogodą, w której się mokło, ale jeszcze bardziej nienawidziła zjawisk pogodowych, które wyrzucały człowieka pod same chmury i sprawiały, że lądował trzy wioski dalej. Była tak pochłonięta widokiem ciemnego masywu, że nie zauważyła komitetu powitalnego plemienia Wielkich Gnatów, dopóki prawie na niego nie wpadła.

Stali przed nią w szeregu po przeciwnej stronie mostu na Sercojagodowej Rzece. Czterej mężczyźni, jedna kobieta i jeden olbrzymi niedźwiedź, który podróżował wraz z grzyboludami od lakchańskiego etapu wędrówki. Dwóch spośród tych mężczyzn było grzyboludami. Rozpoznała tego, który dobił Sadsy Wilczycę. Pustułkę bardzo to ucieszyło. Z radością sprawi, że za to zapłaci. Za dowódcami stało dwudziestu chłopów z wielkimi kościanymi maczugami, jak należało się spodziewać po plemieniu, które zwano Wielkimi Gnatami. Jak na razie nic specjalnego.

Sitsi wypuściła powietrze z płuc i ścisk w żołądku ustąpił. Innowakowi dzięki. To piękne uczucie, gdy boisz się czegoś, a potem okazuje się, że nie ma czego. Sofi Tornado lub Chogolisa Zadrzyziemia poradziłyby sobie z nimi same. Pewnie zrobiłaby to każda z nich, Sitsi nie wyłączaając.

Napięła łuk. Najpierw zastrzeli jednego z Gnatów. Chogolisa pewnie będzie chciała zmierzyć się z niedźwiedziem, a Sofi należał się honor zabicia przywódców, lub może zabawienia się trochę z tym facetem, który zabił Sadsy.

Podniosła łuk i wymierzyła. Stojąca w środku staruszka wyszła przed szereg. Czyżby chciała pertraktować? Nie było o czym gadać. Ci ludzie stali na drodze owslankom. Nawet gdyby odczołgali się na bok, przepraszając we wszystkich językach świata, zbrodnia już się dokonała, a karą była śmierć.

Zmieniła cel i dociągnęła cięciwę do nosa. Nikt nie będzie miał jej za złe, jeśli ustrzeli staruchę, a strzała między oczami wielbionej przez plemieńców starowinki będzie wymowniejsza niż nawet najbardziej szczegółowa wiadomość.



– Masz, spróbuj tę. Tylko ostrożnie, jest delikatna – pisnął Faja głosem człowieka trzymającego słodki dym w płucach.

Podał fajkę Bjarniemu. Kremowy dym przelał się przez brzeg główki, zanadto zbity i grzybowy, by wylecieć przez dymnik chaty. Długie lata palenia przesyciły dywany i futra – czyniące z pomieszczenia przytulne gniazdko – ostrą grzybową wonią.

Bjarni ujął główkę fajki obiema dłońmi, opróżnił płuca, by zmieściło się w nich jak najwięcej dymu, i przyłożył ustnik do warg.

Wdychał i wdychał, powoli, rozkoszując się smakiem. Pięknie. Jakby pił, a nie palił.

Faja Libbacap uśmiechnął się do niego przez halucynogenną mgłę.

– Łagodny, nie? Dym schładza się w długim cybuchu. Sztuczka polega na tym, żeby gliniane ścianki były jak najcieńsze. To niełatwe, ale nic, co warto mieć, nigdy nie jest łatwe. Cybuch grzeje się po jakimś czasie, ale wtedy już cię to nie obchodzi.

Bjarni kiwnął głową. Nie miał dotąd w płucach lepszego dymu.

– Ostrożnie. Jest o wiele mocniejszy, niż się wydaje. Na początek weź pół oddechu.

Bjarni wciąż kiwał głową i wciąż się zaciągał.

– Ty to masz płuca, człeniu – pochwalił go Faja.

Bjarni wypełnił się tym słodkim dymem po czubki palców. Po dłuższej chwili, chyba kilku godzinach, osiągnął swój limit

i oddał fajkę gospodarzowi. Gdy Faja po nią sięgnął, jego szyja wydłużyła się jak u żółwia, uśmiechnięta twarz poszybowała pod sufit, a potem rozciągnęła się, aż stała się sufitem.

Dobrze, pomyślał Bjarni. Na zewnątrz chyba padało, a skóra jest wodoodporna. Siedząc pod rozciągniętą twarzą skrælinga, pozostanie suchy, a wręcz ogrzeje go ten ciepły uśmiech.

Gdzieś bardzo, bardzo daleko coś trzasnęło, a potem rozległ się ryk zwierząt. Ale to chyba nic. Bjarni wsiąkł w poduszkę i podniósł wzrok na swojego nowego przyjaciela, który był również dachem. Przyjemne z pożytecznym, pomyślał.



– Widział ktoś Bjarniego? – wybrzmiał w ciszy głos Grubego Wulfa.

Skubiący dolną wargę Ottar na jego ramionach rozłożył ręce w niemym pytającym geście.

– Ottar nie wie – objaśniła Frejdis, nie puszczając ręki Sassy.

Nieunikniona, zdawałoby się, ulewa nie nadchodziła. Czarne chmury wciągnęły deszcz z powrotem, upuszczając ledwie kilka kropel. Sassie bardzo się to nie podobało.

Wyszli z kanionu w teren, do którego zdążyli się już przyzwyczaić – na pofałdowaną równinę z jednym samotnym drzewem i widocznymi w oddali kilkoma zagajnikami. Przez chwilę wiało i kropiło, ale teraz panowała martwa cisza. Wokoło rozciągały się pola kukurydzy. Niektóre zielono-żółte łaty szumiały i falowały, ale inne stały w kompletnym bezruchu.

Wulf westchnął i utkwiał wzrok w niebie, najwyraźniej zastanawiając się, czy wracać i szukać Bjarniego.

– Albo postanowił zostać z Erykiem i Kifem, albo znalazł jakiegoś skrælinga z grzybami i pali – stwierdziła Sassa. Znowu zerwał się wiatr. Pęd powietrza zburzył jej włosy. Musiała

krzyknąć, by Wulf ją słyszał: – Tak czy inaczej, Bjarni jest dużym chłopcem, który umie o siebie zadbać! Podjął decyzję, jego sprawa! A ty musisz przede wszystkim zatroszczyć się o plemię! Musimy uciekać! Nie podoba mi się ta burza!

Wulf pokiwał głową. Sassa zobaczyła, że niebo jest jaśniejsze na południu, i to tam właśnie zapragnęła się znaleźć. Wicher zelżał na moment, a potem jej uszy poraził głęboki, grzmiący, przerażający ryk.

Obróciła się. Z podbrzusza potężnej chmury na zachodzie opadała w dół wirująca szara kolumna, niczym szpicowaty penis jakiejś chmurzastej bestii. Rozszerzała się, stale ciemniejąc i opadając w dół, aż jej ostry koniec wrył się w grunt i momentalnie porwał w górę drobiny ziemi oraz... niech to sęp podziobie, czy tam lecą w górę drzewa? Duże, w pełni wyrosnięte drzewa! To oznaczało, że trąba powietrzna jest dalej, niż sądziła, ale też że jest o wiele większa, niż się zdawało. Na domiar złego stale rośnie. Czy tam frunie w powietrzu dorosły łoś, wzbijając się na wysokość, na jakiej zwykle fruwały orły? To jedna z tych rzeczy, których nie widzi się codziennie.

Ogon tornada wił się i rzucał w prawo i w lewo, jakby nie wiedział, w którą stronę iść. A potem się zdecydował. Sassa oczywiście wiedziała, jaki obierze kierunek. Trąba ruszyła prosto na nich, orząc grunt i podrywając w niebo kurzawę zmielonej ziemi, rycząc przy tym jak stado ogarniętych berserkowym szałem niedźwiedzi. Wewnątrz tornada zalśniła błyskawica, pioruny waliły w ziemię naokoło. Natura rzuciła się na nich, wkurzona nie na żarty.

Frejdis wyrwała się Sassie i pomknęła na zachód. Chnob Biały pobiegł za nią i natychmiast ją wyprzedził.

– Nie, Chnob! Frejdis! Nie uciekajcie w linii prostej! Musimy zejść jej z drogi!

Dziewczynka rzuciła się w kierunku południowym, ale Chnob

był już za daleko, by usłyszeć wołanie kobiety. Pędził na zachód między dwoma rzędami kukurydzy, uciekając przed trąbą powietrzną, ale wcale nie schodząc jej z drogi. Gdy się zatrzymał, Sassa pomyślała, że usłyszał ją lub zrozumiał, że robi głupotę, ale on tylko zwałił z pleców łódkę Kifa i puścił się dalej w tym samym kierunku.

Wszyscy poza Sassą, Thyri i Wulfem z Ottarem na barana biegli na południe pod kątem prostym do toru potwornej trąby powietrznej, pędząc tak szybko, jak może tylko biec człowiek, któremu grozi rozwałkowanie przez tornado. Gunnhilda zaskoczyła wszystkich nieoczekiwanym pokazem wigoru, przeganiając cały pochód, lecz wtedy krzyknęła i upadła, natrafiwszy na ukrytą dziurę w trawie. Wstała na nogi, ale zaraz znowu się przewróciła. Bodila podniosła ją z ziemi, owinęła ramieniem w pasie i pobiegły razem. Finn, który zboczył z drogi, by złapać Frejdis i osadzić ją sobie na ramionach, zamykał pochód.

– Polecę za Chnobem! – wrzasnął Wulf.

– Nie, ja to zrobię – odkrzyknęła Thyri.

Sassa pokręciła zdecydowanie głową.

– Wulf, musisz zabrać stąd Ottara. Thyri, ja jestem od ciebie szybsza. Masz, weź to. – Sassa łypnęła na trąbę powietrzną, podała mężowi łuk, obróciła się i pobiegła za Chnobem.

Czuła, że tornado ją dogania. Ile czasu minie, nim dogoni? Czy miała minuty, czy może tylko sekundy? Sądząc po ogłuszającym, stale potężniejszym ryku, raczej sekundy.

Nie miała odwagi rzucić okiem przez ramię. Doganiała Chnoba, ale wciąż brakowało jej do niego z trzydzieści kroków.

– Chnob! – krzyczała. – Chnob!

Ale głupiec biegł dalej.



Sofi Tornado gestem zakazała Sitsi strzelać. Pustułka opuściła łuk.

Staruszka mrugnęła na nich. Może był to tik nerwowy, może wyraz przerażenia.

– Cześć. Znaczy... Witajcie, owslanki z Calnii – powiedziała piskliwym, rozdygotanym głosem.

Dolina wciąż wypełniona była słonecznym blaskiem, ale kawałek dalej uformowała się pod czarnymi chmurami potężna trąba powietrzna. Sitsi się nie myliła, ta pogoda rzeczywiście zwiastowała tornado! Pustułka wywnioskowała z kierunku, w którym się przemieszczało, że raczej nie wyrządzi im krzywdy, ale postanowiła mieć na nie oko.

– Dzień dobry – przywitała się Sofi.

– Ty musisz być... eee... Sofi Tornado.

– To ja.

– Wybacz, jeśli się zanadto spoufałam, ale jesteś bardzo piękna. Doszły mnie słuchy o twojej porażającej urodzie, ale nie spodziewałam się, że będziesz taka śliczna.

– Nie przepraszaj, przyzwyczaiałam się już.

– A twoja figura... niesamowita. Piękno i siła w jednym. W życiu nie widziałam kogoś tak olśniewającego.

– No myślę. Przybyłyśmy po grzyboludów.

– Po kogo?

– Widzę tu dwóch.

Kobieta popatrzyła na dwóch grzyboludów i uniosła brwi, jakby nigdy wcześniej ich nie widziała.

– Aha, już rozumiem! Tak, masz rację, to oni. Przepraszam. Wydaje mi się... Misie. Bo jest z nimi miś, znaczy niedźwiedź. Ha! Tak jest, zgadza się, już prawie... – urwała i rozłożyła ramiona.

– Sitsi, zastrzel ją teraz! – krzyknął Yoki Choppa.

Polecenie było tak nagłące i tak dziwnie brzmiało w ustach milczącego zwykle czarnoksiężnika, że Sitsi Pustułka się zawahała. A był to wybitnie zły moment na wahanie.



Co on zrobił Thorowi, żeby sobie na to zasłużyć? Frejdis szybko zaczęła mu ciążyć i Finnbogi biegł teraz najwolniej z całej grupy. Stopniowo zostawał w tyle.

– Nie masz większego draństwa nad tornado – powiedział mu kiedyś wuj Poppo, gdy patrzyli na trąbę wodną na jeziorze. – Pełno w nim kamieni, gałęzi, wiewiórek, niedźwiedzi i mnóstwa innych rzeczy, które zebrało po drodze, a wszystko kręci się w środku szybciej, niż leci kamień wystrzelony z procy. Jeśli łapie cię tornado, giniesz z gałęzią w brzuchu albo rozpędzona wiewiórka rozwała ci łeb szybciej, niż zdążysz powiedzieć: „Na słone jajca Odyna, ja latam!”.

– Ale przecież człowiek leci w tym samym kierunku co reszta śmieci zaplątanych w tornado, więc to chyba niemożliwe, żeby czymś oberwał? – rozumował Finnbogi.

– Słuszna uwaga – pochwalił go Poppo. – Ale umierasz, tak czy inaczej. Bo jeśli nawet nie oberwiesz niedźwiedziem, to trąba powietrzna wykatapultuje cię pod sam księżyc, a ponieważ co się wznosi, musi kiedyś spaść, ty też polecisz na łeb na szyję i plaśniesz o ziemię niczym zgniły bakłazan o skałę.

Finnbogi obejrzał się na tornado, co nie jest łatwe, jeśli biegnie się z małą, ale coraz cięższą dziewczynką na plecach. Na dupę Thora, co za widok! Wysoka do nieba, rycząca bestia opleciona błyskawicami, które pełzały jak lśniące węże po wirującej czarnej kolumnie, sunęła po równinie, zostawiając za sobą głęboki rów niknący w chmurze poderwanej w niebo ziemi,

trawy i kukurydzy. To największe, co w życiu widział. Najpotworniejszy potwór, jakiego mógł sobie wyobrazić. Zupełnie jakby cały świat sprzysiął się, by ich wszystkich pozabijać.

Minie go o włos... ale czy to znaczy, że przeżyje? Nie, kogo on próbował oszukać? Cyklon zmiecie go z powierzchni ziemi. Ale przynajmniej dowie się, jak ginie człowiek porwany przez tornado, i ani się obejrzy, opowie o tym wujowi Poppowi na dworze któregoś z bogów. Zastanawiał się, czy to na pewno tak właśnie działa. W jednej chwili jest się jeszcze na ziemi, mierząc się z pewną śmiercią, a w następnej gada się z przodkiem z rogiem wina w garści? Czy może spotkanie poprzedza jakieś wprowadzenie, gdzie bóg lub zmarły przodek oprowadza świeżo upieczonego zmarłego po okolicy?

Miał poczucie winy, że zawlecze ze sobą w zaświaty małą Frejdis. Próbował biec szybciej, zmusić nogi do wysiłku, ale nie mógł. Wiatr wzmagął się z każdą chwilą. Kolba kukurydzy świsnęła mu koło głowy jak kadłubek ptaka, potem kolejna i jeszcze jedna.

– Aua! – wrzasnęła Frejdis. – Aua, przestań! – powtórzyła, gdy dostała kaczanem w głowę.

Jedyną zaletą dźwigania na plecach dziecka jest to, że sprawdza się w charakterze hełmu.

– Kurwa! – zaklął, gdy wystrzelona przez wiatr kukurydza trafiła go w jaja.

– Jak ty się wyrażasz, Zbuki? – przewrzeszczała huk Frejdis.

Przez ułamek sekundy rozważał zrzuć jej z ramion na ziemię. Może przeżyje, jeśli nie będzie musiał jej ze sobą targać. Ale nie zrobił tego, biegł dalej z podskakującą na ramionach dziewczynką, która popędzała go krzykiem.



– Sitsi, zastrzel ją teraz! – wrzasnął Yoki Choppa, wprawiając w zdumienie Sofi, którą niełatwo było zaskoczyć. Coś było bardzo nie tak.

Sitsi uniosła łuk i wymierzyła w staruchę.

Ale zanim trafiła ją strzała lub dopadła prędkostopa Paloma, niebo przecięła potężna błyskawica i grzmotnęła kobietę w plecy.

Starowinka jednak nie upadła. Stała wyprostowana i jaśniejąca światłem, jakby jej wnętrzości płonęły błękitnym ogniem, dygocząc jak dziecięca zabawka zawieszona na napiętych sznurkach. Uniosła głowę i rozrzuciła ręce. Sofi wiedziała już, co się zaraz wydarzy, i zaczęła szukać wzrokiem schronienia, ale nie znalazła. Gdy rzuciła się naprzód, piorun strzelił ją w bok jak gigantyczny młot i wyrzucił w powietrze.



Kto tu nakopał tych wszystkich dziur? Finnbogi potknął się, ale nie upadł. Biegł dalej ile sił w nogach, i tak zostając w tyle za pozostałymi Harowianami.

– Dalej, Zbuk! – krzyczała Frejdis nad jego uchem, ściskając go mocniej udami.

– Zmiażdżenie mi głowy w niczym nie pomoże!

– Wybacz. Tak lepiej? – spytała, szarpiąc go za włosy.

– Nie! Przestań! Co ty wyrabiasz? – wrzasnął. Gdy obrócił się ostatni raz, na moment wytracił tempo. Teraz liczyła się każda chwila.

– Zbliża się. Jeśli nie będziesz biegł szybciej, zaraz nas dopadnie. – Dziwna dziewczynka nie wydawała się zdenerwowana.

Zobaczył, że biegnący przed nim Garth Kowadłogęby i Gruby Wulf z Ottarem na plecach zatrzymują się, a po chwili Wulf i Ottar ruszają dalej, a Garth cofa się w kierunku Finna.

Wulf wysłał go, żeby pomógł mu z Frejdis! Dzięki temu oboje będą uratowani! Finnbogi odnalazł ukryte rezerwy energii i przyspieszył. Niby szkoda, że to akurat Garth ocali mu życie, ale długiem honoru wobec tego dupka będzie przejmował się później. W tej chwili musiał do niego dobiec...

– Daj mi dziewczynkę, Zbuk! – rzucił Kowadłogęby, wyciągając do niego rękę. Wiatr rozwiewał mu włosy wystające spod wielkiego hełmu, a Finn przez moment nie mógł się nadziwić, jak heroicznie wygląda.

Wielki mężczyzna przyduśił dziewczynkę do okrytej kolczugą piersi, a potem, rozejrzawszy się, jakby chciał się upewnić, że nikt nie patrzy, okręcił się i z mocą wyrzwał Finna pięścią w bok głowy.

– Co się...? – wydusił Finnbogi, upadając na ziemię.



Eryk Złośnik nie rozumiał, dlaczego Duży Hinto i Chucknor kazali akurat Balindzie rozmawiać z owslankami. Znerwicowana kobieta nie wydawała się najlepszą osobą do pertraktacji z morderczą hałastrą nafaszerowanych magią zabójczyń.

Aż podskoczył, gdy trafił ją grom z jasnego nieba, ale nie tak jak ona. Wgapił się w nią wybałuszonymi oczami, gdy zamiast upaść na ziemię i dymić jak każdy normalny człowiek, Balinda wchłonęła błyskawicę, zaślniła światłem i zaczęła rosnąć.

Jedna z owslanek strzeliła do niej z łuku, ale strzała odbiła się od pancerza z błyskawicy i pofrunęła w powietrze. Gdy wydawało się, że Balinda zaraz wybuchnie, siedem wiązek energii, po jednej na każdą owslankę i jeszcze jedną na ich

małego, dziwnego czarnoksiężnika, wystrzeliło z jej palców i poraziło cały oddział.

Wyładowanie posłało ich wszystkich w powietrze, poza zwalistą Chogolisą, która zrobiła dwa kroki w tył, a potem pognąła prosto na Wielkie Gnaty i grzyboludów. Stojąca przed grupą Balinda zachwiała się na nogach, jakby opuszczały ją siły.

Eryk wiele słyszał o Chogolisie i jej sztuczkiach – wyciąganiu kręgosłupów z pleców i miażdżeniu głów jedną ręką – ale opowieści o jej nadzwyczajnych rozmiarach zawsze miał za duby smalone. Teraz widział na własne oczy, że rzeczywiście jest olbrzymką, co najmniej o głowę wyższą od niego, a on był najwyższą osobą, jaką znał. Kobieta musiała też ważyć dwa razy więcej od niego, choć nie była otyła. Pomimo swoich rozmiarów była całkiem ładna, nawet śliczna. Eryk spodziewał się, że tak wielka baba będzie miała twarz jak topiący się bałwan. Nie był pewien dlaczego.

Zauważył, że jest nieuzbrojona. Odgadł, że nie potrzebuje broni.

Reszta owslanek gramoliła się chwiejnie na nogi. Tylko czarnoksiężnik wciąż leżał na ziemi. Atak błyskawicą nie zdecydował o wyniku starcia.

Chucknor ruszył, by bronić Balindy przed Chogolisą, a za nim pomknęli wrzeszczący, wymachujący toporem Kif oraz dwudziestu Wielkich Gnatów. Duży Hinto został z tyłu, ale uniósł do ust kościany gwizdek i dmuchnął.

Eryk także został tam, gdzie stał. Nie był tchórzem, po prostu nie było sensu tłoczyć się w środku pola bitwy, zwłaszcza gdy wszyscy po jego stronie szkolili się w walce razem, więc wiedzieli, kto jak będzie walczył, jak najlepiej udzielić wsparcia i tak dalej. Tak więc Kif, choć przepełniony godnym podziwu entuzjazmem, będzie chyba tylko przeszkadzał. Ale sądząc po jego okrzyku bojowym, nie było sensu mu tego teraz tłumaczyć.

Chogolisa Zadrzyziemia dosięgnęła Balindy i złapała ją za głowę. Huknęło, błysnęło białe światło i owslanka odleciała do tyłu. Chucknor skoczył jak akrobata i z całej siły przyłożył Zadrzyziemi maczugą w głowę. Broń rozprysła się w zetknięciu z czaszką, jakby była zrobiona z zaschniętego błota. Chogolisa jakby nie zauważyła uderzenia. Ucapiała Chucknora za drugą nogę i uniosła go w górę niczym szmacianą lalkę.

Z uśmiechem dziecka rozłożyła mu nogi i jednym ruchem rozdarła od tyłka do szyi. Krew i flaki chlusnęły na ubitą ziemię.

Wtedy dopadł do niej dzielny Kif i dźgnął ją szpikulcem Duporąba. Chogolisa zamachnęła się na niego połową trupa, ale Kif zrobił unik i dźgnął raz jeszcze. Gdyby mierzył się z innym przeciwnikiem, każdy taki cios mógłby okazać się śmiertelny, ale Chogolisa, choć zwalista, była też niemożebnie szybka. Uskoczyła przez rozpędzonym żeleźcem i na odlew trzasnęła Berserka w twarz. Kif odleciał od niej i padł na ziemię, ale zaraz się podniósł i już miał ponowić atak, gdy Duży Hinto złapał go za ramię i pokręcił głową. Kif, ku zdumieniu Eryka, potaknął i zrezygnował.

Zamiast rzucić się na plemieńców i pozabijać wszystkich w kilka sekund, co z pewnością okazałoby się dla niej dziecinnie łatwe, Chogolisa wycofała się do miejsca, gdzie stały w szyku pozostałe kobiety. Owslanki już chyba otrząsnęły się z ataku błyskawicą, ale ich szaman wciąż nie mógł dojść do siebie. Podniósł się na czworaki i krzątał na ziemi, jakby czegoś szukał, aż w końcu zawył jak matka, której odebrano dziecko.

Przywrócono porządek. Walne bitwy czasem się zdarzały, ale większość skrælińskich plemion wolała walkę jeden na jednego. Wyglądało na to, że zarówno owslanki, jak i Wielkie Gnaty podzielali tę preferencję.

Sofi Tornado powiedziała coś, czego Eryk nie zrozumiał, i skinęła na kobietę po swojej lewej stronie – wysoką i postawną

– która wybiegła naprzód. Tak jak towarzyszki była ubrana w krótką skórnię, przepaskę biodrową i obcisłe spodnie podwiązane nad kolanem i tak jak one miała swoją własną broń – krótką maczugę o dwóch głowicach.

– Jestem Jutrzenka! – zawołała. – Kto będzie ze mną walczył?

Duży Hinto przytrzymał Kifa za ramię, pozwalając jednemu z wojowników Wielkich Gnatów wyjść jej na spotkanie. Mężczyzna miał wymyślnie ufryzowane i nawoskowane włosy, które wyglądały jak stado kruków pod koniec wyrównanej bitwy na śmierć i życie. Na nieskalane łono Króliczki, pomyślał Eryk. Skąd ta skrælińska mania na punkcie okropnych fryzur? Ale choć pozbawiony dobrego smaku, wojownik był młody i sprawny, choć wyraźnie od Jutrzenki niższy. Był uzbrojony w dwie maczugi, jedną z zagiętym i zaostrzonym końcem, drugą pokrytą żywicą i drobnymi ostrymi kolcami, które mogły być zębami wiewiórki lub jakiegoś innego małego zwierzęcia.

Wielki Gnat zaczął zonglować bronią, jakby występował na plemiennym zgromadzeniu, okręcając maczugi w dłoniach i przekładając je za głowę.

Jutrzenka patrzyła, jak szedł w jej stronę, a potem wybrała dogodny moment, by rzutem od dołu cisnąć w niego własną maczugą. Trafiła go prosto w brzuch. Mężczyzna złożył się wpół, gdy cios wydusił mu powietrze z płuc, prawie na pewno uszkadzając kilka narządów. Owslanka przyskoczyła do niego, gdy próbował złapać oddech, wpiła dłoń w jego poczwarną fryzurę i uderzyła pięścią w twarz.

Eryk widział kiedyś, jak cios pięścią łamie nos. Ten cios złamał mężczyźnie twarz. Wgniółł nos, pogruchotał oczodoły i wybił połowę zębów. Wojownik pewnie upadłby na ziemię, gdyby kobieta nie trzymała go za włosy, by móc z bliska ocenić obrażenia. Przyjrzała się jego zmasakrowanej twarzy i skinęła

z uśmiechem głową. Puściła go, podniosła nogę i tupnęła, druzgocząc mu czaszkę.

Wielkie Gnaty patrzyły na unicestwionego towarzysza, zbierając szczęki z ziemi. Kif Berserk zawył i pobiegł naprzód, zamachując się oburącz toporem o szerokiej głowni, tak jak powinien chyba robić ktoś o przydomku Berserk.

Jutrzenka uniosła swoją dwugłową maczugę i czekała na niego. Kif wyprowadził cios toporem, ale kobieta odbiła go jedną ręką i skróciła dystans.

Eryk westchnął. Czy Kif nie trenował z hirdem? Jedną z pierwszych rzeczy, jakich Złośnik nauczył się o walce, zanim jeszcze osiągnął wiek umożliwiający mu staranie się o miejsce w gwardii przybocznej jarla, była ogólna zasada walki bronią krótką przeciwko broni długiej i odwrotnie. Broń długa miała pole rażenia zakreślone jej ostrym końcem. Wojownik uzbrojony w broń krótką musiał przekroczyć to pole i znaleźć się przy przeciwniku w miejscu, gdzie ten nie dosięgnie go ostrzem. Najprostszym sposobem na to było odbicie głowni i zrobienie kroku naprzód. I dokładnie ten manewr wykonała właśnie Jutrzenka. A on jej na to pozwolił! Kiedy już znajdziesz się między polem rażenia broni długiej a przeciwnikiem, jego oręż staje się bezużyteczny, a ty możesz ciąć i walić swoim aż do skutku.

Wojownik walczący bronią długą musiał więc robić wszystko, żeby ten z krótką nie minął jego pola rażenia. Tak więc Kif, niesiony szalem, popełnił podstawowy błąd, pędząc na łeb na szyję w stronę Jutrzenki, która przystąpiła spokojnie do akcji, jak nauczyciel demonstrujący nieopierzonemu uczniowi prosty manewr obronny.

Zamachnęła się maczugą, ewidentnie wyprowadzając śmiertelny cios, a Eryk zacisnął zęby i pięści, spodziewając się najgorszego. Tymczasem Kif błyskawicznie opadł do przysiadu

i okręcił topór, zaczepił łuk główni o nogę Jutrzenki i podciął ją szybkim ruchem. Stopy kobiety znalazły się w powietrzu i klapnęła na tyłek.

Eryk i Wielkie Gnaty wznieśli wiwat. Geniusz Kif nie był nawet w połowie tak szalony, jak pozwolił myśleć Jutrzence i pozostałym. Jednym sprytnym posunięciem udowodnił, że owslanki nie są niepokonane.

Berserk okręcił topór i zamierzył się głównią w jej pierś, ale Jutrzenka odbiła trzonek stopą i ostrze wbiło się w ziemię. Kobieta może i leżała na ziemi, ale walka dopiero się zaczynała. Zafalowała całym ciałem jak wielka, muskularna dżdżownica i momentalnie stanęła na nogi. Eryk nigdy nie widział, by ktoś tak podnosił się z ziemi. Uśmiechnęła się do Kifa i kiwnięciem palca zaprosiła go do ataku. Berserk krążył wokół niej po półkolu.

W tym momencie Eryk złapał okiem jakiś ruch i uświadomił sobie, że jest w opałach nie mniejszych od tych, w których znalazł się Kif, bo Sofi skinęła na drugą wojowniczkę, która wyszła z szeregu i wyzwiała do walki Eryka. Nic dziwnego, że zaczynały od Harowian, w końcu to oni byli ich celem.

Dziewczyna – właściwie młoda kobieta – szła w jego stronę, dzierżąc dwa noże o spłaszczonych klingach. Były krótkie, nie dłuższe od ostrza sztyletu, i budziły skojarzenie z malutkimi pagajami. Eryk nie rozumiał, jak takie coś może być przydatne w walce. Ale zgadywał, że owslanka rozumie doskonale.

Jej wygląd robił o wiele większe wrażenie niż jej broń. Eryk zawsze myślał, że nigdy już nie spotka nikogo tak pięknego jak Astrid (jego była, a nie niedźwiedzica), ale ta krocząca w jego stronę wojowniczka po prostu zapierała dech w piersi. Miała włosy do ramion z przedziałkiem i lekko otwarte usta, między którymi widniały bielutkie zęby. Jej piękne oczy zdawały się

mówić: „Gdybym nie musiała zarznąć cię jak jelenia na ucztę, miałbyś u mnie szansę”.

– Nie mieszaj się – powiedział Eryk do Astrid i podszedł do kobiety.

Miał nadzieję, że robi wrażenie odważnego, choć teraz nie czuł się odważny. Nauczył się od zwierząt wielu rzeczy, ale nie walki, bo zwierzęta kiepsko walczą. Nawet najmarniejszy wojownik jest o niebo lepszy od zwierzęcia, ponieważ myśli w czasie starcia. Niedźwiedź rzuci się na wroga z pazurami, mając po prostu nadzieję, że trafi. Wygra z człowiekiem tylko dlatego, że kły i pazury to lepsza broń od zębów i paznokci i że jest tysiąc razy silniejszy. Gdyby Eryk zastosował tę taktykę w walce z owslanką (która była tak olśniewająca, że chciało mu się śpiewać), byłby martwy, aniby się obejrzał.

Wziął zamach maczugą, chcąc skłonić kobietę do uniku, a potem błyskawicznie zmienił kierunek uderzenia, próbując trafić ją w taki punkt na ramieniu, by wypuściła broń. Ale owslanka odskoczyła w jedną stronę, a potem w drugą, szybka jak osa w czasie wichury, po czym wtłoczyła mu pięść w brzuch i niemal jednocześnie wymierzyła cios w szczękę. Stracił dech w piersi. Ból eksplodował w jego ustach, gdy ugryzł się w język. Zamazało mu się przed oczami i przez moment czuł się jak ślepiec. Potrząsnął głową. Tego nie przerabiali na treningu w hirdzie – tego, jak ostry ból na moment czyni cię niezdatnym do walki, zwłaszcza ból, który sprawiasz sobie sam, robiąc coś głupiego, na przykład gryząc się w język. Po chwili jego oczy wróciły do normy. Kobieta stała pięć kroków od niego, wspierając dłonie na biodrach i przyglądając mu się beznamiętnym wzrokiem. Mogła wykończyć go, gdy był oszołomiony. Mogła też użyć swoich noży, zamiast bić go pięściami, i każde z dwóch uderzeń uczynić śmiertelnym. Bawiła się z nim.

Nie jest dobrze.

– Jestem Talisa Sarna – przedstawiła się, uśmiechając się do niego jak psotna dziewczynka, która właśnie odkryła, jaki wpływ ma jej soczysty uśmiech na starszych mężczyzn. – Zginiesz z mojej ręki.

– Nazywam się...

– Nie dbam o to, jak się nazywasz. – Uśmiech nie schodził z jej twarzy. – Wkrótce będziesz martwy. Zmienię cię w jeszcze bardziej bezużyteczną kupę mięsa niż ta, którą jesteś teraz.

No cóż, to bardzo nieładnie z jej strony. Astrid wyczuła wzburzenie Eryka. Ryknęła i zbliżyła się do kobiety, po czym wspięła się na tylne łapy. Była dwa razy większa od owslanki.

Talisa dała nura między nogi niedźwiedzicy. Błysnęły sztylety. Astrid zawyła z bólu. Przez brązową sierść na brzuchu przebiła się czerwona krew. Siadła ciężko na zadzie, chwytając się łapami za ranę.

– Nie! – krzyknął Eryk.

Calnianka wyskoczyła zza niedźwiedzicy. Eryk uniósł maczugę.

Rozległo się okropne wycie. Zarówno on, jak i Talisa odwrócili się. I otworzyli szeroko usta, nie wiedząc, na co patrzą. Na mocy niepisanego porozumienia przestali walczyć i wlepili wzrok w zwierzęta brodzące w Sercojagodowej Rzece. Astrid zapomniała o bólu i również utkwiała w nich spojrzenie.

Szły w ich stronę dwa rodzaje bestii. Pierwszych sześć było olbrzymimi krótkopyskimi niedźwiedziami, takimi samymi jak Astrid. Trzy były o wiele większe od niej i miały ciemniejszą sierść. Eryk zgadywał, że to samce.

Ale to pozostałych zwierząt nie mogli objąć rozumem. Cztery istoty, kudłate jak niedźwiedzie i o dłuższych pyskach niż one, były wręcz idiotycznie wielkie, o wiele większe od największego niedźwiedzia z całego stada. Szły na tylnych nogach,

wyprostowane na wysokość równą trzem Erykom ustawionym jeden na drugim. Nie widział ich kłów, ale potężne, muskularne ramiona były zakończone trzema zakrzywionymi szponami, każdym długim jak ramię dorosłego mężczyzny.

Natychmiast uświadomił sobie, że to kraszpony, potwory, które – jeśli wierzyć Chucknorowi – zniewoliły kiedyś plemię Wielkich Gnatów.

Sięgnął do nich umysłem, ale wyczuł tylko głęboki, przytłaczający smutek. Ich serca nie płakały jednak nad własnym losem, lecz nad tym, jak krótkie jest życie człowieka.

Pokręcił głową. O matko... To doświadczenie tylko go przybiło. Więcej nie będzie próbował się z nimi porozumieć.

– Przegrupować się! – padł rozkaz z ust Sofi.

Talisa Sarna uśmiechnęła się do Eryka i skłoniła z udawanym szacunkiem.

– Do następnego.

– Nazywam się Eryk Złośnik! – krzyknął za nią. A potem przeniósł wzrok na Astrid.

Niedźwiedzica przyciskała łapy do rozciętego brzucha. Jęczała z bólu, mierząc go wzrokiem przez łyzy.



Finnbogi potoczył się po ziemi. Dźwignął się na czworaki. Wiatr był tak silny, że chłopak nie śmiał wstać. Próbował się rozejrzeć, ale w powietrzu fruwały kamienie i ziemia. Czuł, jakby drobinki gruntu zrywały mu skórę z twarzy. Schował głowę w ramionach i otworzył oczy. Panowała ciemność i wszystko było w ruchu, jakby Finn, wirując, spadał do głębokiej studni.

Podniósł się jednak niezgrabnie na nogi. Natychmiast popchnął go potwornie silny wicher. Musiał biec, żeby się nie przewrócić, próbując przy tym obrać kierunek przeciwny do

rdzenia trąby powietrznej, ale nie mógł wyczuć ziemi pod stopami. Rzucił się naprzód i upadł, a potem znowu podniósł się na kolana. Starał się wczepić stopami w poruszającą się pod nimi ziemię, choć wiedział, że wiatr zaraz oderwie go od niej i poniesie wysoko w górę.

Bryła ziemi trafiła go w głowę.

Wiatr rzucił go na trawę, przetoczył po płaskim i postawił z powrotem na nogi. Finn wyczuł w wichurze jakąś nową siłę – monstrum czepiało się jego nóg, próbowało go podnieść. Dał nura w kierunku ziemi, rozpaczliwie usiłując na niej zostać. Jakże nie doceniał tej starej, solidnej przyjaciółki, w której znajdował oparcie przez dziewiętnaście lat życia!

Ale wszystko wskazywało na to, że nadszedł czas pożegnania. Znowu odleciał od gruntu. Frunął naprzód, koziółkując w powietrzu, i tylko od czasu do czasu muskał ziemię palcami stóp, nie uzyskując jednak oparcia. Coś, pewnie kamień, uderzyło go w głowę. No proszę, oto odpowiedź na moje pytanie, pomyślał, tracąc przytomność.



Chnob Biały, ten zatracony kretyn, nie miał zamiaru skręcać. Sassa Gryziwarga krzyczała i wrzeszczała, ale Chnob zostawiał ją w tyle, a huk wiatru wzmógł się tak bardzo, że już nie słyszała własnego głosu. Próbowwała przyspieszyć, ale wichura była tak sakramencko silna, że zносиło ją na bok. Tornado musi być już bardzo blisko. Niech to kret zgryzie, gdyby miała wybrać sposób, w jaki umrze, to na pewno nie wybrałaby śmierci w trąbie powietrznej, w którą wpadła w wyniku nieudolnej próby ratowania Chnoba Białego przed jego własną głupotą.

Skoro już musi umrzeć, to przynajmniej niech zobaczy to, co ją zabije. Zatrzymała się i obróciła.

– Wiedziałam, że biegam szybciej od ciebie! – krzyknęła uśmiechnięta Thyri, trzymając łódkę Kifa. Za jej plecami sunęła wirująca kolumna ziemi, kamieni i kukurydzy. Co ona robi z tym kajakiem, na różowe sutki Frei?

Thyri przycisnęła łódkę do ziemi.

– Otocz mnie ramieniem, a drugie owiń wokół ławeczki i trzymaj tak mocno, jak nigdy niczego nie trzymałaś!

Sassa zrobiła, jak jej kazano. Nie wiedziała czemu, ale wołała nie tracić czasu na kłótnie.

– Dobra! – wrzasnęła jej Thyri do ucha. – Podniesiemy łódź i pobiegniemy na północ! Łódka podziała jak latawiec, polecimy jak na skrzydłach! Tylko trzymaj się mocno! Jak krzyknę „teraz”, puść i zwiń się w kulkę! Jeśli zrobimy to we właściwym momencie, znajdziemy się poza zasięgiem cyklonu!

Sassa kiwnęła głową. W teorii miało to krztynę sensu. Jak będzie w praktyce? Gdy byli dziećmi, Wulf złamał nogę po skoku z Drzewa Olafa z rozpiętą w rękach peleryną swojej matki, bo ubzdurał sobie, że poszybuje jak ptak wysoko nad Słodkie Morze Olafa. W rankingu najlepszych pomysłów w historii ten z łódką plasował się o dwa oczka wyżej.



Bjarni Kurza Twarz wytoczył się z chaty Libbacapa, schylając się, by nie uderzyć głową o futrynę. Dla pewności pozostał schylony jeszcze przez kilka kroków. To była jedyna wada grzybowego rauszu – cały świat stawał się o wiele bardziej niebezpiecznym miejscem, więc trzeba było zachować wzmożoną ostrożność. Gdy już miał całkowitą pewność, że nie przywali w nic głową, wyprostował się.

I rozejrzał wokoło.

Działo się kilka niecodziennych rzeczy naraz, z których żadna go nie zdziwiła. To kolejna ciekawostka związana z grzyboćpaniem. Widziało się dziwne rzeczy, które nie wywoływały należytej reakcji.

Najmniej dziwną ze wszystkich osobliwości było to, że odbiegł na dobre dwadzieścia kroków od chaty Je Zbyt Wiele Grzybów. Albo tak mu się wydawało, bo wszystkie chaty wyglądały podobnie. Kiedy on pokonał tak długą drogę? Przecież dopiero co przestąpił próg. Może szedł schylony dłużej, niż myślał? I dobrze, nie chciał przecież przywalić o drzwi. Człowiek na grzybach musiał być ostrożny, bardzo ostrożny.

Kolejną rzeczą na liście osobliwostek, z jakimi musiał się zmierzyć, było potężne tornado na południe od białego klifu, wsysające ziemię w niebo. A niech mnie, pomyślał, wpatrzony w jego złowróżbny majestat. A potem przypomniał sobie o tej trzeciej rzeczy, której powinien poświęcić nieco uwagi. Co mogło być dziwniejsze od tego gigantycznego cyklonu?

A, tak. Najosobliwszymi z wszystkich osobliwości były gigantyczne zwierzęta wylazące na brzeg rzeki, z których przesiąkniętego futra lały się na trawę strugi wody. Ależ potężne bestie! Gdyby ubić taką jedną, dałoby się uszyć śpiwór, w którym zmieściłaby się cała Harówka, i to sprzed masakry. Sześć z tych bestii wyglądało jak niedźwiedzica Eryka. Bjarniemu nie wydawało się, by Eryk miał ich aż sześć, więc doznał lekkiego zmieszania. Czyżby zwierzęta mnożyły się w takim tempie? Niewykluczone. Należało mieć otwarty umysł – to chyba była druga zasada grzyboćpania, zaraz po zachowaniu ostrożności. Może ten figlarz Loki maczał w tym palce. Ech, ten Loki! Ale nie było sensu martwić się tymi wielkimi miškami, bo cztery pozostałe zwierzęta były jeszcze bardziej zadziwiające. Przeogromne niedźwiedzie idące na tylnych łapach, które miały szpony wielkie jak miecze.

Bjarni zapalał gorącą miłością do tych superniedźwiedzi. Na pewno się z nim zaprzyjaźnią. Ruszył w ich kierunku.

– Stać! Stać! – powiedział na głos.

Jakaż była pierwsza, kardynalna zasada, którą powinien się kierować człowiek tak okrutnie spizgany jak Bjarni? O-strożność! Wielka ostrożność. Czy to będzie wielce ostrożne, gdy zacnie wołać „taś, taś” do przewyższających go trzykrotnie monstrów z pazurami, którymi mogłyby szatkować wieloryby na sałatkę? Otóż nie, nie byłoby. A więc nie będzie próbował się z nimi zaprzyjaźnić. Nie, nie i jeszcze raz nie. Zachichotał.

– Brawo ja – powiedział i zachichotał ponownie.

Wziąwszy pod uwagę wszystko, co tu się wyprawiało, najbezpieczniejszy będzie w chacie Libbacapa. Może wypalać jeszcze trochę jego autorskiej grzybowej mieszanki. Tylko która chata należała do niego? Nie miał, cholera, pojęcia, bo wszystkie wyglądały identycznie, jakby sam Loki wzniósł tę osadę tylko po to, by namieszać mu w głowie. Nie zna umiaru ten Loki.

Rozwiązanie: będzie zaglądał do każdej chaty po kolei, aż trafi do tej właściwej. Najprostsze pomysły to najlepsze pomysły. To powinna być oficjalna reguła numer trzy. Reguła czego? Nie pamiętał, ale na pewno czegoś ważnego. Przybrał poważną minę, prychnął i roześmiał się piskliwie, a potem znowu przywołał na twarz niewzruszony wyraz.

Kucnął – trzeba było mieć się na baczności przed tymi zdradliwymi drzwiami – i zaczął przemieszczać się króliczymi skokami do najbliższej chaty. Skórzana płachta pełniąca funkcję drzwi odchyliła się, zanim do niej dotarł. Mała dziewczynka, niebędąca Fają, zmierzyła go wzrokiem, jakby to on był najdziwniejszą rzeczą dzisiejszego dnia. Chyba powinna to przemyśleć.



– Biegiem! – wrzasnęła Thyri.

Gryziwarga i Drzewonoga puściły się pędem. Latające kaczany smagały je po nogach, a włosy Sassy latały wokół jej głowy, jakby chciały zachłostać ją na śmierć. To nieprawdopodobne wietrzysko prawie wyrwało im łódkę z rąk, ale trzymały ją mocno. Miały szczęście, że kajak był tak dobrze skonstruowany.

Wykład Kifa o budowie łodzi zaczął się już zacierać w pamięci Sassy. Skupiła się, próbując go sobie odświeżyć. Nie chciała, by jej ostatnie myśli na tym łez padole dotyczyły drzewoznawstwa, wyższości kory brzoźowej nad innymi wszystkimi oraz konieczności strugania pagajów z...

– Skacz! – krzyknęła Thyri.

Skoczyły, przeleciały ładnych kilka kroków, ledwie muskając stopami ziemię, a potem wylądowały, płynnie przechodząc do biegu.

– Jeszcze raz, na trzy! – przewrzeszczała ryk cyklonu Thyri. – Raz. Dwa. TRZYYY!

Skoczyły. Tym razem stopy Sassy nie zetknęły się z gruntem. Była całkiem pewna, że jej brzuch został na ziemi. Ramiona rwały bólem od trzymania się w powietrzu głupiego kajaka głupiego Kifa.

– Teraz! – krzyknęła Thyri.

Puściły. Sassa spadała w dół, a ziemia mknęła jej na spotkanie. Czas zwolnił. Jak powinnam wylądować? – przyszło jej na myśl. Z wyrzuconymi do przodu rękami, by zamortyzować upadek? Ale wtedy połamię sobie ręce. Ale już lepiej amortyzować rękami niż głową. Wystawiła więc ręce przed siebie. Ziemia była coraz

bliżej. Co Thyri mówiła o lądowaniu? Ach tak, miała zwinąć się w kulkę. Otoczyła głowę ramionami i podkurczyła kolana.

BUM! Uderzenie o ziemię wydusiło jej z płuc resztki powietrza. Toczyła się po gruncie. Gdy po chwili się zatrzymała, rozwinęła się z tej kulki i rozłożyła na płask. Miała piach w uszach, ustach oraz oczach. I ktoś ciągnął ją za ramię.

Tym kimś była Thyri.

– No chodź! – wrzasnęła.

Obie kobiety pobiegły pochylone przez pole kukurydzy. Wiatr zelżał. Udało im się uciec przed cyklonem.

– Widziałaś, co stało się z Chnobem? – spytała Sassa, gdy już odbiegły na bezpieczniejszą odległość.

Thyri wskazała kciukiem tornado. Wysoko, wysoko nad ziemią unosiła się mała postać o rozrzuconych rękach i nogach. Była widoczna przez ładnych kilka sekund, nim zniknęła w wirze.

– O cholera – syknęła Sassa. – Biedak.

– Mnie tam bardziej szkoda łódki Kifa.

Sassa podążyła za jej spojrzeniem do kajaka, który frunął w nieznaną po tej samej trajektorii co Chnob.



Owslanki zbiły szyk wokół niej. Sofi Tornado podskakiwała na palcach, mierząc wzrokiem idące w jej stronę niedźwiedzie.

W końcu jakaś bardziej ekscytująca bitwa. Zwierząt było zbyt wiele, by zastosować jakąś taktykę, która nie posypie się w sekundę. Nie istniał też znany jej sposób, by poradzić sobie z takimi wielkimi szponami lub powalić bestie na ziemię. Wojowniczkę trenowały głównie walkę z ludźmi, nie potworami.

Będą musiały zaatakować frontalnie i zobaczyć, co się stanie. Istniało prawdopodobieństwo, że tej walki nie wygrają. Staczając

wszystkie pozostałe, wiedziała, że zwycięży. To nowe uczucie zakreśliło jej w żołądku i zalało falą ekscytacji. Czy to właśnie jest strach? Jeśli tak, to się jej podobał.

– Sitsi, cofnij się kilka kroków, skup się na tych dużych stworach. Mierz w oczy. Chogolisa, do mnie. Weźmiesz mnie na barana. Talisa i Jutrzenka, wy...

– Dość – powiedział Yoki Choppa.

– Co? – Topór drgnął w jej rękę. Rozbijała ludziom głowy za mniejsze przewinienia niż przerwanie dowódczyni owslanek.

– Musimy zrobić odwrót.

– Mowy nie ma.

– Nie możesz ryzykować utraty kolejnych wojowniczek. A walcząc z tymi monstrami, nic nie zyskamy.

Popatrzyła na niego, a potem na najbardziej ekscytujących przeciwników, jacy kiedykolwiek stanęli na drodze owslanek.



ROZDZIAŁ 5

Bezsiła

Finnbogi zwany Zbukiem mrugnął oczami. Aaaj! Na wielkie, kudłate bizonie jajca, ależ bolała go głowa. Wszystko go bolało, nawet portki na dupie. Leżał twarzą do ziemi. Piach chrzęścił między jego zębami. Trwał w bezruchu, bo i po co się ruszać? Po nic.

Po dziesięciu sekundach albo dziesięciu dniach coś wpełzło mu do ucha. Zmiażdżył to miękkie, glutowate coś palcem, wygrzebał z ucha i przetoczył się na plecy. Okazało się to łatwiejsze, niż sądził. Tak wiele części jego ciała rwało bólem, że

prościej było wymienić te, które nie bolały, choć chyba niczego sobie nie złamał.

Leżał w rowie o głębokości dziesięciu stóp i wodził wzrokiem po ciemnej szczelinie nieba pomiędzy dwiema czarnymi ścianami. W powietrzu fruwały liście, kukurydza i ziemia, ale zobaczył też kilka koziółkujących zięb, a był pewien, że nie tak latają te ptaki. Czy zwierzęta czasem nie wyczuwały tornad i nie oddalały się na bezpieczną odległość? Może tylko niektóre. A może te zięby zostały zdradzone przez jakieś inne drańskie zwierzę pokroju Gartha?

Kowadłogęby próbował go zamordować! Finn wiedział, że ten gość to chuj, ale że morderca? Co za skończony drań!

Spróbował wstać, ale opadł na ziemię, gdy zakręciło mu się w głowie. Poczuł, że traci przytomność. Nie walczył o jej zachowanie.



– Finnbogi! – syknął ktoś. – Finnbogi!

Rozwarł powieki.

Zza krawędzi rowu wyłoniła się głowa Frejdis Złośliwej. Jej złote włosy lśniły w słońcu, okalając zmartwioną twarz. Obok niej pojawiły się dwa małe szopy o drgających noskach.

– Cześć – powiedział.

– Czemu tam leżysz? Wszyscy przyszliśmy cię szukać. No, prawie wszyscy. Bodila była zbyt zmęczona po biegu, ciocia Gunnhilda jest ranna w nogę, a Garth Kowadłogęby powiedział, że zostawimy tylko ślady, że Calnianki nas znajdą i że ogólnie już po nas.

– Więc Garthowi się udało?

– Co się udało?

– Przeżyć.

– Wszyscy przeżyli poza Chnobem i tobą.

– Chnob nie żyje?

– Nie wiem. Cyklon go capnął i wyrzucił pod niebo. Garth powiedział, że on nie żyje. Powiedział też, że ty nie żyjesz, a potem dodał, że to dowód, że tornada łapią tylko ciapy. Chyba jakoś tak was nazwał. Ale Ottar wiedział, że ty żyjesz, więc wróciliśmy cię szukać. No chodź już, wstawaj. Musimy iść dalej. – A potem dodała głośniej: – Wulf! Sassa! Thyri! Ottar znalazł Zbuka! Tutaj jest! Cały czas spał w tym rowie!

Finnbogi potarł obolały podbródek, wczepił się palcami w ziemistą ścianę i podźwignął na nogi. W szczelinie pojawił się Wulf, który złapał go za nadgarstek (również obolały), wyciągnął z rowu i przytulił na niedźwiadka, śmiejąc się jak sam Thor. Za nim uśmiechały się szeroko Sassa i Thyri.

– Brawo, Finn – pochwalił go Wulf, wypuszczając z objęć i klepiąc po obu ramionach. – Ale znalazłeś jamę! Brawo, Ottar! – Potargał chłopcu włosy. – Gdybyś nie upierał się, że Finnbogi żyje, bylibyśmy już daleko.

– Garth mnie uderzył – wypalił Finn, zanim sobie uświadomił, że mówi na głos. Powiódł wzrokiem po zmarszczonych twarzach ekipy poszukiwawczej.

– Co zrobił? – spytał Wulf.

– Kiedy podbiegł, żeby wziąć ode mnie Frejdis, to... – Finn urwał. Wszyscy patrzyli na niego: dzieci, Sassa, Wulf i Thyri. Może mu się przywidziało, ale mógłby przysiąc, że dostrzegł przyganę na twarzach kobiet. Harowianie nie plotkowali. – Nie, chyba mi się wydawało. Przepraszam, coś walnęło mnie w głowę i się przewróciłem. Może coś mi się przyśniło. Nie uderzył mnie. Przepraszam.

Wulf wwiercał się w niego oczami.

– Powiedz mi, co się wydarzyło.

– Nic, zupełnie nic.

– Powiedziałaś, że Garth cię uderzył.

– Nie uderzył. Po prostu... trochę się ostatnio działo, nie przepadam teraz za Garthem i chyba coś mi się przyśniło. Nie uderzył mnie.

– Dobra – zgodził się Wulf, ale jego twarz mówiła co innego. Sassa również wydawała się zmartwiona, a Thyri podejrzliwa.

Ruszyli na południe. Ziemia była poznaczona bruzdami, jakby Hajmdal przeorał ją wielkim pługiem, odrzucając na bok znalezione kamienie i skały. Tu i ówdzie zalegały potrzaskane i połamane drzewa, jakby Thor porąbał las swoim młotem.

Widać było pole przygniecionej do ziemi kukurydzy, ale kawałek dalej krajobraz był już normalny i kolby na zielonych łądogach kołysały się na lekkim wietrze, a nawet śpiewały przycupnięte na drzewach ptaki, jakby wcale nie przeszło tędy tornado.

– Poczekajcie – rzekł Finn po jakimś czasie. – A gdzie Eryk i Kif? I gdzie jest Bjarni?

– Bjarni, mamy nadzieję, został w wiosce z Erykiem i Kifem – odpowiedziała Sassa.

– Co? Czemu?

– Nic się nie martw – rzucił Wulf. – Eryk wie, dokąd idziemy. Dogoni nas.

– Chyba że zabiły ich owslanki.

– Na pewno nie, ale tak czy inaczej, poruszają się o wiele szybciej od nas, więc nie ma sensu tu na nich czekać.



Sofi Tornado szła przed siebie. Po stronie południowej ciemniał las, po północnej widać było na równinie jelenie i bizona, ale ona nie dostrzegła nic z tych rzeczy. Postąpiła słusznie, oczywiście, że postąpiła słusznie, a jednak drżała ze

wstydu i gniewu, gdy pomyślała o tym, że uciekła przed Wielkimi Gnatami.

Celem misji jest zabicie grzyboludów, powtarzała w myślach. I oczywiście wciąż do tego dążyły. Muszą tylko okrążyć terytorium Wielkich Gnatów, pokonać Sercojagodową Rzekę i odnaleźć trop. No i z całego tego zamieszania i niedokończonej walki wynikała jedna zasadnicza korzyść.

Miały teraz zakładnika.

Owinięty w kilka bawełnianych ponch i przerzucony przez ramię Chogolisy spał nieprzytomny długowłose grzybolud, który rzucił się na nią z toporem. Gdy zatrzymają się na odpoczynek, wyjawi im plany swojej grupy.

To dobrze, że pojmałam zakładnika, pomyślała. Wielcy dowódcy wiedzieli, kiedy zarządzić odwrót, ale krew ją zalała, gdy słuchała hucznych wiwatów Wielkich Gnatów, przekonanych, że oto pogromili legendarne owslanki. Wyrzuciła to wspomnienie z głowy. Musiała zapomnieć o starych problemach i skupić się na nowych. Jedna rzecz nie dawała jej spokoju.

– Yoki Choppo! – zawołała.

– No? – powiedział czarnoksiężnik, podbiegając do niej.

– Czemu wyłeś jak cielak z przetrąconą nogą, kiedy tamta kobieta powaliła nas błyskawicą?

Łypnął na nią, a potem przechylił głowę i dał znać, żeby odbiegli nieco dalej, by nie podsłuchały ich kobiety.

– Kobieta-burza zniszczyła moją torbę alchemika wraz z zawartością – powiedział, gdy już było można.

– Więc nie będziesz w stanie wytropić grzyboludów?

– To wciąż mogę zrobić, bo włosów nie trzymałem w torbie, a składniki łatwo znaleźć.

– Więc w czym problem?

– Nie będę mógł podtrzymać waszej mocy.

Sofi stanęła jak wryta i obróciła się do czarnoksiężnika. Trzy obserwujące ich jelenie dały drapaka w las.

– Wszystkich owslanek?

– Wszystkich łącznie z tobą.

– Ale przecież zyskałyśmy nasze zdolności w wyniku morderczych treningów i przyjmowania substancji alchemicznych, gdy byłyśmy jeszcze dziećmi.

– To prawda. Ale muszą być podtrzymywane na bieżąco. Nie powiedziano wam o tym...

– Na wypadek gdybyśmy uciekły albo się zbuntowały.

– Tak.

– I podtrzymujesz nasze moce za pomocą czegoś, co podajesz nam do zjedzenia. Dlatego to zawsze ty gotujesz.

Czarnoksiężnik pokiwał głową.

– Zwierzęta mocy. Wszystkie macie trzy zwierzęta podstawowe, a do tego każda z was ma jedno własne, od którego przejmuje indywidualne zdolności. Musicie zjadać tylko odrobinę suszonego mięsa tych zwierząt. Miesięczna dawka dla was wszystkich mieści się w mojej dłoni.

– Co się stanie, gdy przestaniemy je jeść?

– Zauważycie różnicę za dwa lub trzy dni. W ciągu tygodnia wasze moce bardzo osłabną.

– Domyślam się, że trudno znaleźć te zwierzęta?

Czarnoksiężnik pokręcił głową.

– Te trzy zwierzęta podstawowe, których mięso każda z was musi spożywać, to karibu, grzechotnik o diamentowym grzbiecie znad Matki Wody i osa tarantulojastrzębia, zamieszkująca ziemię sto mil na zachód stąd. Mięso karibu daje wam wytrzymałość. Ja również jestem przystosowany do jego przyjmowania, dlatego za wami nadążam. Mięso węża i osy daje wam szybkość i siłę.

– I zamiłowanie do okrucieństwa. Nieczułość.

Czarnoksiężnik potwierdził skinieniem. Sofi też. Była tego

świadoma. Nie znała szczegółów, ale od zawsze wiedziała, że łaknienie mordu i zadawania bólu nie leży w jej naturze. Po prostu nigdy nie przyznała się do tego przed samą sobą. Albo się tym nie przejmowała.

– Jakie jest to moje zwierzę?

– Pójdźka ziemna. Masz jej słuch.

Pójdźka ziemna? – pomyślała. Cholera jasna, co to za zwierzę?

– Gdzie znajdziemy pójdźkę ziemną?

– Mniej więcej na tym samym terenie co osę. Kilkaset mil na zachód.

– Czy któreś z tych zwierząt znajdziemy bliżej?

– Siła Chogolisy bierze się z mięsa żuka gnojowego. Już jednego znalazłem. – Pójdźka nagle przestała wydawać jej się głupia. – Będzie słabsza bez dawek z węża i osy, ale wciąż pozostanie najsilniejszym człowiekiem na ziemi. Zdolności Palomy Widłoróg pochodzą od widłorogów, które, jak wiadomo, żyją w okolicy, ale nie tak łatwo je napotkać, a jak już się napotka, to niełatwo je złapać.

– Jej przydomek...?

– Miał wiele sensu, bo jest szybka. To czysty przypadek, że to zarazem jej zwierzę mocy.

– A zwierzęta innych kobiet?

– Szukaliśmy zwierząt z różnych części świata, żeby trudniej wam było je odnaleźć, gdybyście przypadkiem odkryły sekret waszych talentów. Sitsi Pustułka otrzymała swój wzrok od gada zwanego sauromalus, a refleks Talisy Sarny to efekt spożycia mięsa pewnego gatunku kolibra. Te zwierzęta żyją po drugiej stronie Lśniących Gór. Jutrzenka zawdzięcza swój potężny cios pewnej oceanicznej krewetce.

– Czy możemy wszystkie jeść żuki i widłorogi?

– Tak, ale nie podziałają na was, jeśli nie będziecie przystosowane pod kątem tych konkretnych zwierząt, a nie

jesteście.

– Czy da się zastąpić któreś ze zwierząt mocy?

– Nie. Musicie jeść konkretne zwierzęta, do których zostałyście przystosowane. Ty musisz przyjmować dawkę z pójdzki ziemnej. Nawet inna sowa nie podzielała na ciebie.

– Czemu teraz mówisz mi to wszystko?

Mag wzruszył ramionami.

– I wszystkie twoje zapasy przepadły?

– Tak.

– Żadnych zapasów na czarną godzinę?

– Zapasy mam, ale w Calnii.

– Niedopatrzenie z twojej strony.

– Prawda.

– Więc mamy tylko dwa dni, żeby złapać grzyboludów, a potem będziemy musiały wrócić do Calnii.

– Nie ma lepiej wyćwiczonych wojowniczek niż calnijskie owslanki, a poza tym zatrzymacie jakąś utrwaloną część waszych mocy. Nawet jeśli nie znajdziemy grzyboludów przez miesiąc, z łatwością ich pokonacie.

– W teorii.

– Nie można odnieść do przyszłości niczego więcej niż tylko teorię.



Garth Kowadłogęby, Gunnhilda Pobożna i Bodila Gęsiodzioba czekali na trakcie na powrót ekipy poszukiwawczej i Finnbogiego. Bodila i Gunnhilda wyściskały chłopca. Garth patrzył.

– Jakim cudem przeżyłeś tornado? – wykrztusiła Bodila.

Finn się uśmiechnął.

– Powiedzmy, że jeśli połączy się siłę, wytrzymałość i upór w obliczu niechybnej śmierci, człowiek może dokonać...

– Wpadł do dziury – przerwała Thyri.

– Całe szczęście – powiedział Garth, mrużąc krzemienne oczy.

Finnbogi skrzyżował z nim spojrzenie. Przedtem nie lubił Gartha i trochę się go bał. Teraz miał dla niego wyłącznie pogardę. Ten człowiek próbował go zabić, nie mając innego powodu niż tylko taki, że go nie lubił. Po prostu wykorzystał nadarzającą się okazję. Jak on śmie tak nisko wyceniać jego życie!

Zemsta będzie straszna.

Wyruszyli, nie tracąc czasu. Bodila, idąc obok Finna, z rozwartymi szeroko oczami dzieliła się wszystkimi swoimi przemyśleniami i obserwacjami dotyczącymi tornada i zasypywała go pytaniami, na które znał odpowiedź każdy czterolatek. Powiedział jej, że boli go głowa, i spytał, czy się nie obrazi, jeśli będzie chwilę szedł sam. Przez około godzinę zmierzali na południe, a potem skręcili na południowy zachód. Finnbogi westchnął zdenerwowany, gdy znowu zaczęli wspinać się na wzgórze. Preria rozciągała się przed nimi we wszystkie strony. Gdzieś rosnęły kępy młodych drzew. Kilka razy przemknęły im nad głowami jastrzębie, którym naprzykrzały się dwa drobniejsze ptaki – małe pierzaste kulki unosiły się nad drapieżnikami i pikowały, a potem się wznosiły.

– Wielkie ptaki są szybsze, ale nie mogą latać w górę – powiedziała Frejdis, łapiąc Finnbogiego za rękę i pokazując niebo dramatycznym gestem. – Małe są wolniejsze, ale umieją latać do góry, więc te mniejsze ptaszki są w stanie odciągnąć te duże ptaszyska od swoich gniazd, chroniąc w ten sposób swoje pisklaki.

– Już rozumiem. Dzięki.

– Ten trakt jest bardzo stary – zwróciła się Gunnhilda do

grupy. – Skrælingowie chodzą nim od tysięcy lat.

– Skąd to wiesz? – spytał Garth.

– Czuję to. Młodzi ubliżają starym, a potem idą w ich ślady.

Nikommu nie chciało się kłócić. Szli dalej, spowici obojętną ciszą. Garth prowadził, Thyri wędrowała u jego boku.

Finnbogi obejrzał się przez ramię. Ani śladu Kifa, Bjarniego i Eryka.

Była ich już tylko dziewiątka. Nie licząc dwóch małych szopów.



ROZDZIAŁ 6

Lisek chytrusek

Dobra, już dobra! Już jestem trzeźwy! Starczy! Starczy, mówię! No weź się, człowieku!

Eryk Złośnik pomógł Bjarniemu wygrzebać się z rzeki, w której przed chwilą raz po raz zanurzał mu głowę, o mało go nie topiąc, i posadził na ławce obok.

Po obfitującym w wydarzenia dniu czyste wieczorne niebo było niemal zbyt spokojne. Błękit przechodzący na zachodzie w pomarańcz i róż był niemal jak oficjalne przeprosiny wystosowane przez boga pogody, który wstydził się swojego wcześniejszego wybuchu wściekłości. Orły latały wysoko na

niebie, gęsi pływały po rzece, rodzina szopów piła wodę na przeciwnym brzegu. Eryk wyczuł, że szopy nie bały się jego ani Bjarniego. Wielkie Gnaty nie zrobiły im nigdy krzywdy, więc ludzie byli dla nich tak samo nieszkodliwi jak drzewa.

– Coś mnie ominęło? – spytał Kurza Twarz.

– A kiedy się odłączyłeś?

– W momencie gdy ty i Kif ogłosiliście, że zostajecie z Gnatami.

– Tak w ogóle to co się z tobą działo?

– Spotkałem jednego gościa z dużym zapasem grzybów. Pomyślałem, że wpadnę do niego na minutę. Kiedy to było, piętnaście minut temu?

– Osiem godzin.

– Aha.

– Tak.

– Wybacz.

– Nie ma o czym mówić. Cieszę się, że tu jesteś. Pomożesz mi uratować Kifa.

– Że co?

– Reszta plemienia ruszyła w drogę, zanim przyszły owslanki. Mam nadzieję, że nie dopadło ich tornado, które rozpętało się chwilę potem.

– Pamiętam tornado... i jakieś potwory?

– O nich później. No więc najpierw pojawiły się Calnianki, a właściwie Calnianie, bo był też z nimi czarnoksiężnik. Zanim zrobiły cokolwiek, Balinda strzeliła w nich błyskawicą.

– Co?

– To jedna z tych rzeczy, które cię omijają, gdy bierzesz za dużo grzybów.

– Brzmisz jak mój stary.

– Twój stary musiał być rozsą... Zaraz, ty jesteś synem Brodira.

– Nie przepadaliśmy za sobą.

– Skłamałbym, mówiąc, że nie rozumiem. W każdym razie ta błyskawica tylko je spowolniła. Ta wielka baba rozdarła Chucknora na sztuki, potem inna wdeptała w ziemię jednego wojownika Gnatów.

– Rety...

– Mogło być gorzej. I byłoby, gdyby Wielkie Gnaty nie wykorzystały swojej tajnej broni.

– Potworów.

– To były tylko zwierzęta. Sześć niedźwiedzi podobnych do Astrid...

– Aha.

– I cztery kraszpony.

– Widziałem je. O mało nie zwałem się w portki. Co to za stwory?

– Najwyraźniej to po prostu wielkie zwierzęta. Kiedyś były tak inteligentne jak ludzie, nie żeby to było jakieś wiekopomne osiągnięcie, i podbiły praprzodków Wielkich Gnatów kilka tysięcy lat temu. Jeśli wierzyć legendzie, jakiś facet imieniem Kamienny Paluch zamienił połowę kraszponów w kamień, a drugą połowę pozbawił ludzkiej nikczemności, przez co nie są teraz inteligentniejsze od przeciętnego niedźwiedzia. Wypędził stwory do bezkresnych lasów na północy, zostawiając tu tylko kilka, a Wielkie Gnaty wytresowały je tak, żeby broniły ich ziem.

– A niech mnie, muszą być stare jak świat.

– Te cztery, które pomogły nam dzisiaj, to potomkowie tych pierwszych.

– To ma sens. Jak poradzili sobie w walce z owslankami?

– Uciekły na sam ich widok.

– Mądrze.

– Ale zabrały ze sobą Kifa. Ta wielka przewiesiła go sobie przez ramię.

– Cholera.

- Więc musimy go odbić.
- Jasna cholera... Mamy za nimi iść?
- Nie ma takiej potrzeby. Balinda ma szpiegokaczora.
- Co ma?
- Takiego kaczora, dzięki któremu może kogoś szpiegować, patrząc jego oczami. Dzięki temu szpiegokaczorowi dowiedziała się, że owslanki obozują nad brzegiem tej rzeki. – Pokazał Sercojagodową Rzekę. – Pożyczymy łódź, poczekamy, aż zasną, i uratujemy Kifa.
- Dobra, ale...
- Poczekasz w łodzi, a ja po niego pójde.
- To sprawiedliwy podział obowiązków. Ale co z Astrid? Jej nie przewieziemy łodzią.
- Eryk poczuł wzbierające w oczach łzy. Pokręcił głową.
- Odniosła rany w walce. Wyliże się, dzięki niech będą Króliczce, ale nie może jeszcze podróżować.
- Czyli dogoni nas później?
- Nie. Jest tutaj sześć niedźwiedzi takich samych jak ona. Całe życie szukała innych przedstawicieli swojego gatunku. Będzie szczęśliwsza i bezpieczniejsza w Sercojagodowym Kanionie. Zostanie tu. Tak będzie lepiej.
- O kurde, stary, tak mi przykro. Chcesz przytulaska?
- Tylko spróbuj.



Eryk obiecał sobie, że nie będzie płakał przed Bjarnim i całym plemieniem Wielkich Gnatów, ale gdy uściskał niedźwiedzicę Astrid, a ona jęknęła i zaczęła bujać się w przód i w tył, łzy spłynęły po jego policzkach, a z gardła wydarł mu się szloch, jakby był dzieckiem, któremu zabrano obiecany przysmak. Powiedział Astrid, by wracała do zdrowia, i przyrzekł, że po nią

wróci, choć wiedział, że tego nie zrobi. Niedźwiedzica spojrzała na niego i powiedziała mu, że nie wolno mu odejść, że musi zostać tu z nią, przez co jeszcze bardziej się rozplakał.

I płakał jeszcze, gdy żegnał się z plemieniem Wielkich Gnatów, przepaszając, załzawiony, czerwony i zasmarkany. Wciąż szlochał, choć teraz już nieco dyskretniej, gdy weszli z Bjarnim do łódki i zaczęli machać pagajami. Jego otępiały od żalości umysł w pewnym momencie jednak zbudził się do życia i Eryk zaczął się zastanawiać, czy nie płakał z żalu po tej pierwszej Astrid, straconych latach z Finnbogim i wszystkim tym, co by go być może nie ominęło, gdyby się tak głupio nie uparł, by opuścić Harówkę dwadzieścia lat temu...

Niemal się ucieszył, kiedy znaleźli zwłoki i mógl w końcu zając się czymś poza mazaniem się jak dziecko. Trup leżał twarzą do ziemi wśród stert potrzaskanego drewna na małej wysepce pośrodku rzeki. Jego blade półdupki lśniły w świetle księżyca.

Eryk przełożył pagaj za drugą burzę, a gdy kajak wsunął się na piach, wyszedł, by przyjrzeć się nieszczęśnikowi. Człowiek rzadko umierał z godnością, ale leżenie z twarzą w błocie i świecenie wypiętą do księżyca, bladą jak ściana dupą było pozą szczególnie niegodną. Eryk obrócił ciało na plecy. Głowa trupa była wgnieciona z prawej strony, prawy nadgarstek złamany pod kątem prostym, brzuch i udo rozcięte, a w obfitą brodę wplątały się patyki i szlam.

– To Chnob Biały – wyszeptał.

– Na oko Odynda... – syknął Bjarni. – On musiał...

Obydwaj mężczyźni popatrzyli w nocne niebo, a potem wymienili współczujące spojrzenia.

– Powinniśmy go spalić – powiedział Bjarni.

– Nie ma czasu. Musimy uratować Kifa, zanim go zabiją. Chnoba pochowa rzeka.

Zostawili go na wysepce i popłynęli dalej.

Jakiś czas później dotarli do tamy wzniesionej na rzece przez bobry. Eryk pokierował kajak do brzegu.

– Czekaj – powiedział Bjarni. – Co to jest?

Fale obijały o ścianę tamy unoszący się na wodzie przedmiot. Bliższe oględziny potwierdziły, że to łódka. Poobijany, ale nieuszkodzony kajak Kifa.

Wzięli go, obeszlili tamę i wznowili podróż, tym razem każdy w oddzielnej łódce. Nie było sensu mówić głośno tego, czego, jak sądził Eryk, domyślali się obaj. Jeśli znaleźli Chnoba i łódkę Kifa, czy to oznaczało, że tornado porwało też pozostałych Harowian i rozrzuciło ich po krainie?

Pagajowali naprzód pod księżycem w pełni, przedzierając się przez noc jasną jak dzień. W oczach Eryka każdy pień i krzak wyglądały jak jego martwy syn, ale nie znaleźli już ani jednego trupa ani ekwipunku, który mógłby należeć do kogoś z grupy. Po jakimś czasie dotarli wreszcie do miejsca, które opisała im Balinda, a między drzewami zamigotało ognisko w obozie owslanek.

Eryk zostawił Bjarniego z łodziami, a sam zakradł się w kierunku płomieni.



Owslanki napełniły brzuchy sycącą, ale pozbawioną magicznego składnika kolacją. Sofi nie powiedziała dziewczynom o mającym wkrótce nastąpić pogorszeniu ich zdolności. Kazała tylko Sitsi ustrzelić widłoroga, jeśli jakiegoś zobaczy. Przy odrobinie szczęścia ruszą w drogę powrotną, nim któraś z wojowniczek zauważy swoją pogarszającą się niedyspozycję.

Obozowały na polanie w miejscu, gdzie zatrzymali się już wcześniej jacyś podróżnicy. Jedynym większym zwierzęciem,

jakie Sofi słyszała w pobliżu, był lis, który ukrył się w ciemności na skraju obozu. Powodzenia, pomyślała.

– Chogoliso – odezwała się Sofi, gdy skończyły jeść i zaczynały sposobić się do snu – poprosisz do mnie naszego więźnia?

Wielka kobieta rzuciła malutkiego w jej rękach mężczyznę na ziemię obok ogniska.

– Postaw go na nogach, proszę.

Zrobiła, jak jej kazano. Mężczyzna stanął prosto, owinięty dwoma ponchami i obwiązany rzemieniem.

– Wyjmij mu knebel.

– Czołem! – przywitał się grzybolud. Okręcił się dwoma skokami, chcąc zwrócić się twarzą do Chogolisy. – Dzięki, żeś mnie niosła, to było miłe po całym tym chodzeniu. Ma pani wyjątkowo wygodne ramiona. – Skłonił się.

Jego długie słomiane włosy i broda wyglądały jak peruka, którą nakładały błazny, by rozśmieszać dzieci. Miał małą twarz, nawet w porównaniu z niedużą głową. Nie był zbyt przystojny. Ale nie mogła mu odmówić odwagi. A przynajmniej jak dotąd, bo już wkrótce jego odwaga zostanie wystawiona na ciężką próbę.

– Jak się zwiesz?

– Och, przepraszam najmocniej, gdzież moje maniery! Jestem Kif Berserk, a ty?

– Ja nazywam się Sofi Tornado. Dowodzę owslankami. To jest Talisa Sarna. Przekona cię, żebyś nam powiedział, dokąd idzie reszta grzyboludów.

Talisa stała obok, uśmiechając się obleśnie i bawiąc jednym ze swoich krótkich żelaznych noży podobnych do pagajów.

– Grzyboludów? – zdziwił się jeniec.

– Chodzi o ciebie i twoje plemię.

– Aha. Dziwna nazwa.

– Wzięła się stąd, że macie taki sam kolor skóry jak grzyby. Niektórzy twierdzą też, że podobnie pachniecie, ale tego akurat

nie łapię. Nie pachniecie tak źle, jak wyglądacie.

– A dziękuję, dziękuję. Będziecie mnie torturować, co nie?

– Tak, mamy taki zamiar.

– Nie chciałbym wam mówić, jak macie wykonywać swoją robotę, ale wierzcie mi, że nie ma co się kłopotać. Nie znoszę bólu. Powiem wam, co chcecie wiedzieć, zanim przejdziemy do tortur. Wszystko powiem! Pytajcie, drogie panie.

– Zdradzisz własne plemię?

– Zdradzę, kogo tylko chcecie. Zresztą ich to wcale nie obejdzie. Nie ma za wiele do opowiadania.

– Nie wolałbyś przynajmniej udawać, że masz jakiś honor?

– Nie. Nie tak dawno przywaliłem paluchem w drzewo i bolało jak skurwiel. Pomyślałem sobie wtedy: Kifie, mój drogi, na torturach nie wytrzymałbyś minuty. Więc tak to ze mną jest. Mógłbym sobie stać i udawać twardziela, ale wtedy Tacyca Sralna zaczęłaby mnie łaskotać, czy jak tam się teraz torturuje...

– Talisa Sarna! I nie będę cię łaskotać.

– Domyśliłem się sam, ale nie chciałem podsuwać ci jakichś pomysłów. Nieważne, w każdym razie powiem wam, co chcecie wiedzieć, więc skupmy się na tym punkcie programu, pomijając poprzedni. Co chcecie wiedzieć?

– Jesteś żaloszny. – Talisa pokręciła głową.

– Wybacz, że cię rozczarowałem. Może i zakosztowałbym tych twoich tortur, gdybym mógł podzielić się z wami informacją, która pomoże wam w waszych poszukiwaniach, ale zważywszy na to, że przynajmniej jedna z was jest nadzwyczajną tropicielką, która i tak znalazłaby moją grupę bez wypytywania mnie, nie mogę i już. Więc oszczędźcie sobie trudu, a mnie niehumanitarnego cierpienia i darcia mordy i zapytajcie wprost. Co chcecie wiedzieć?

Sofi Tornado nawet przypadł do gustu ten cudaczny obcy i jego logika. Oczywiście nie pominą tortur, skoro już mają

w rękach ofiarę, ale ponieważ był skory do współpracy, cały proces nie sprawi jej tak wielkiej przyjemności. Frustrujące.

– Powiedz nam, gdzie są teraz twoi ludzie i dokąd idą.

– Wyruszyli z wioski Wielkich Gnatów drogą na południe. Wtedy widziałem ich po raz ostatni i nie umiem powiedzieć, czy czasem gdzieś potem nie skręcili. Mieliśmy z Erykiem dopilnować, żebyście sobie poszły, a potem ruszyć za nimi na południe.

– A jaki jest cel ich podróży?

– Północny wschód. Szliśmy taki szmat drogi na zachód, żeby was zmylić, ale tak naprawdę kierujemy się do miejsca oddalonego o kilkaset mil w kierunku północno-wschodnim. To miejsce zwie się Łąki.

Sofi usłyszała, jak Yoki Choppa unosi głowę. Gruba kobieta, którą zabiła w Harówce, powiedziała im to samo. Znowu te tajemnicze Łąki. Wtedy próbował nie dać po sobie poznać, jak bardzo zainteresowała go ta informacja.

– Po co tam idziecie? – włączył się do przesłuchania czarnoksiężnik. Silił się na zblazowany ton, ale na tym polegał właśnie jego problem: już to, że się odezwał, było dowodem na to, że temat bardzo go interesuje.

– Jest z nami jeden facet imieniem Garth Kowadłogęby. Jest wróżbitą. Przewidział, że nas zaatakujecie, więc wierzymy we wszystko, co mówi. Kazał nam iść na Łąki, to idziemy. Mówi, że tam będziemy mogli żyć w spokoju.

– Co jeszcze wiesz o tym miejscu?

– Tylko tyle. Jeśli Garth wie coś jeszcze, nie powiedział mi.

– Serio?

– Serio, serio. Powiedziałby mi. Jesteśmy dobrymi kumplami, ja i Garth. Kiedyś, jak zrobiłem dziurę w swoich...

– Yoki Choppo, już czas, żebyś powiedział mi coś o tych Łąkach – przerwała Sofi.

Czarnoksiężnik wstał i odszedł kawałek w las, a Sofi za nim.

– No? – ponagliła go.

– Od ponad roku śnię o Łąkach.

Czarnoksiężnik dosłownie srał tajemnicami.

– Czy to na pewno miejsce?

– Możliwe.

– No dalej, Yoki Choppo, wykrztuś to z siebie.

– To więcej niż miejsce. To niszczycielska siła i poważne zagrożenie. Myślę, że może mieć coś wspólnego z ostatnimi zjawiskami pogodowymi, na przykład z tornadem.

– Czyli... – Sofi zaczynała rozumieć, dlaczego Ayanna wysłała na tę misję swój elitarny oddział – grzyboludy chcą dotrzeć na Łąki, żeby wykorzystać tę moc do zniszczenia świata.

– Może.

– Ayanna widziała w swoim śnie, jak grzyboludy niszczą świat. A teraz dowiadujemy się, że celem ich podróży jest owo niszczycielskie coś. Wniosek nasuwa się sam, prawda?

– Może.

Wpatrywała się intensywnie w jego czarne oczy. Ukrywał coś, bez dwóch zdań.

– Dowiem się, czego ci ludzie szukają na tych Łąkach. – Obróciła się i ruszyła z powrotem do ogniska.

– Sofi.

– Tak?

– Nie zabijaj go i nie okaleczaj.

– A dlaczego nie?

– Możemy wykorzystać go jako przynętę na pozostałych. Lepiej, żeby mógł iść o własnych siłach.

– Dzięki, Yoki Choppo, wezmę to pod uwagę.

Wcale nie weźmie. Grzybolud był jej więźniem. Zrobi z nim, co będzie chciała. A poza tym wcale nie musi być zdolny iść o własnych siłach. Chogolisa może go nieść.



Sassa Gryziwarga i Harowianie, którzy przeżyli tornado, siedzieli w ciszy, tak brudni i zmęczeni po forsownym marszu, że ktoś mógłby pomyśleć, iż tornado wciągnęło ich, wymieszało w wirze błota i wypluło do miejsca, w którym płonęło teraz mikre ognisko.

Choć dopiero co skończyli jeść i normalnie poszliby spać dopiero za kilka godzin, Sassa miała dziwne wrażenie, że jej ciało już śpi. Tym bardziej denerwowało ją, że umysł ani myślał iść w jego ślady i był rozbudzony niczym płonący czubek przemoczonego stogu siana.

Dlaczego Finnbogi powiedział, że Garth go uderzył? Potem dodał, że mu się przyśniło i że ogólnie wszystko mu się pomieszało, ale Sassa była przekonana, że jest na rzeczy coś jeszcze. I skąd Ottar wiedział, że Finnbogi przeżył? Skąd w ogóle tyle o wszystkim wiedział?

Lecz ani waśń Finna z Garthem, ani wizje Ottara nie spędzały jej snu z powiek tak bardzo jak mroczna melancholia, którą podszyte były jej myśli, tak jak słoneczne popołudnie podszyte było wieczorem. Próbowwała wmawiać sobie, że to podskórne rozżalenie wynikało z tego, że nie udało jej się uratować Chnoba, choć wiedziała, że to nieprawda. Chnoba wykończył dobór naturalny. Ona zrobiła wszystko, co w jej mocy, by mu pomóc. Na moment udało jej się przekonać samą siebie, że to w tej formie objawia się poczucie winy za zabicie... za zamordowanie Hrolfa, ale to też nie było to. Był na skraju śmierci. Gdyby go nie dobiła, owslanki dopadłyby ich jeszcze przed Kamienną Rzeką. Nie chodziło też o to, że dogoniła ją Thyri Drzewonoga, udowadniając, że jest lepszą biegaczką. Dziewczyna miała

potężne biodra, a więc niżej położony środek ciężkości, zatem to oczywiste, że łatwiej jej się biega w wichurze.

Nie, prawdziwy smutek, głęboka, bezkresna i rozpaczliwa żalność wynikała z przekonania, że zabiła własne dziecko. Wcześniej była pewna, że jest w ciąży, a teraz była pewna, że już w niej nie jest. Długo leciały z Thyri i wylądowały za twardo. Czowała, że zabiła to małe stworzenie, które zaczęło rosnać pod jej sercem. Próbowwała się jakoś pocieszyć, powtarzała sobie, że przynajmniej udowodniła, że może zająć w ciążę. Ale sama myśl, że to małe życie, to maleńkie dziecko ukryte głęboko w jej łonie, które już rosło i walczyło z przeciwnościami losu, zanim jeszcze się urodziło, że ta iskierka życia zgasła, bo ona próbowała uratować tego kretyna Chnoba, choć nie miała szans tego dokonać i choć miała go w dupie – ta myśl nie dawała jej spokoju i doprowadzała do szaleństwa. Wyobraziła sobie drobniutką buzię jej martwego dziecka, jego malutkie rączki...

– To co, zmieniamy nazwę plemienia na Wota? – wybuchł radosny jak zwykle Wulf.

Spojrzała na niego spode łba. Przerwał jej wewnętrzny monolog z tak błahego powodu, a potem jeszcze ośmielił się do niej mrugnąć.

– Nie, nigdy – warknął Garth.

– Zgadza się z Garthem – potwierdziła Gunnhilda. – Jesteśmy Harowianami.

– Woota! – powiedział Ottar.

– Zgadza się z Ottarem – oznajmił Finnbogi.

– A ja z Finnbogim – dodała Bodila.

– Dzieci i głupcy głosu nie mają – syknął Garth.

– To co się odzywasz? – prychnął Finnbogi.

– Spokój, spokój. – Wulf podniósł się z miejsca, rozkładając ramiona. – Nie ma się o co złościć. To temat do obgadania, a nie

do obklócenia. Czy ktoś poza Garthem i Gunnhildą uważa, że powinniśmy zachować poprzednią nazwę?

– Co? Nie rozumiem – powiedziała Bodila.

– Na cycki Lokiego – mruknął Finnbogi.

Sassa poczuła złość. Odkąd przespał się z Bodilą, czy też przeleciał ją w błocie, żeby trafniej oddać poziom romantyzmu, który temu towarzyszył, zachowywał się jak ostatni dupek. Obiecał Sassie, że z nią porozmawia i że rozstanie się z nią kulturalnie. Nie zrobił tego i Gryziwarga była całkiem pewna, że już nie zrobi.

– Czy uważacie, że powinniśmy zmienić nazwę naszego plemienia z Harowian na Wotan? – wyjaśnił wódz specjalnie dla Bodili.

– Nie dbam o to. To tylko nazwa. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Bodila, pomyślała Sassa, okazała się właśnie najmądrzejsza z nas wszystkich. Sassa zawsze będzie stała murem za Wulfem, ale jej zdaniem równie dobrze mogliby się nazwać Wiewiórkojebcami i niczego by to nie zmieniło. Mieli większe zmartwienia, a ona była tak potwornie zmęczona...

– Myślę, że powinniśmy zmienić nazwę – odezwała się Thyri.

– Uważam, że Olaf Odkrywca był dumny z odbytej podróży i z osady, którą założył, ale nie wydaje mi się, żeby był dumny z tej Harówki, którą my zostawiliśmy za sobą. Harówka gniła. Ale Harówki już nie ma, a my powinniśmy zacząć od nowa, tak więc nowa nazwa to świetny pomysł. Wota jest tak samo dobra jak każda inna. Woououou-ta! Brzmi świetnie.

Finnbogi posłał Garthowi wredny uśmiezek, który ten kompletnie zignorował.

– Dobrze powiedziane, Drzewonoga. Czy ktoś uległ perswazji Drzewonogiej? – Wulf osadził wzrok na Garcie.

– Ja na pewno nie – odparł hirdman, a potem odwrócił się do

Gunnhildy.

– Czy wolno nam porzucić sto lat naszej historii? – Kobieta westchnęła.

– Olaf porzucił tysiące lat historii, wypływając ze starego świata i zmieniając nazwę swojego plemienia. Ja nawet nie wiem, jak nazywało się plemię, które opuściło stary świat.

– Ja też nie – przyznała Gunnhilda. – Masz słuszość.

– Co by na to powiedział wuj Poppo? – spytał ją Finn.

– Och, nie wzięłyby tego na poważnie. On się niczym nie przejmował.

– A ja myślę, że spodobałaby mu się nowa nazwa. „Wotanie” brzmi o wiele mniej poważnie niż „Harowianie”.

– Może... Ale łąjno nabrane na łyżkę to nie potrawka z jelenia.

– Zostawmy na razie ten temat – rzekł Wulf. – Wrócimy do tego, gdy dołączą do nas pozostali. Chciałbym, żebyśmy decyzję podjęli jednogłośnie, więc niech wszyscy się dobrze zastanowią.

– Ja nie zmienię zdania – zapienił się Garth. – Wota? Na pyotę Hajmdala, wszyscy jesteście jak małe dzieci.



Eryk kucnął za krzakiem i skupił wzrok na calnijskim czarnoksiężniku, który gotował strawę nad ogniskiem, podczas gdy kobiety ostrzyły broń. Kif był przywiązany do drzewa w samym środku obozu, a więc zamysł Eryka – natychmiastowy ratunek i równie natychmiastowa ucieczka, zanim zdąży poczuć strach – był niewykonalny. No cóż, pomyślał, ten plan i tak miał nikłe szanse powodzenia. A może gdyby poszedł do obozu jak gdyby nigdy nic, przywitał się ładnie: „Czołem towarzystwu, czyż nie piękny wieczór?”, wziął Kifa pod pachę i odszedł różnym krokiem, byłyby tak zaskoczone, że nic by mu nie zrobiły?

Kiepski plan, ale nie miał żadnego innego. Choć wiedział, że powinien mieć.

Kobiety jadły, a czarnoksiężnik rozcierał coś w swojej misce. Obóz spowijało milczenie. Właściwie to odkąd podkradł się do obozowiska, nie padło ani jedno słowo. Erykowi bardzo się to spodobało. Harowianie, a zwłaszcza Bodila, gadali jak najęci o pierdołach, jakby czuli, że cisza to dziura w ścianie, którą trzeba zatkać. Owslanki wypełniały ją tylko spojrzeniami. Talisa Sarna, ta, która go zaatakowała, była bez wątpienia najbardziej ponętna ze wszystkich wojowniczek, choć może Paloma Widłoróg przewyższała ją urodą, no i ta cała Sofi Tornado również była niczego sobie... Wielkie oczy Sitsi Pustułki, choć z całą pewnością osobliwe, były także niezaprzeczalnie urokliwe. Czyli, reasumując, wszystkie były przepiękne, nawet przerośnięta Chogolisa.

Kiedy Eryk mieszkał z Lakchanami, słyszał czasem, jak ludzie rozmawiali o magicznej gwardii cesarza Zaltana. Gardzili starym zbokiem za to, że brał do niej tylko ładne kobiety, ale Eryk był pewien, że gdyby to on był cesarzem Calnii tworzącym elitarny oddział i musiał wybierać między takimi laskami a śmierdzącą potem bandą facetów... no, po prostu rozumiał Zaltana. Ale choć ich zdolności były bez wątpienia efektem potężnej magii, nie połapały się, że Eryk podkradł się do obozu z ręcznie i bezgłośnie, jak najprawdziwszy rudy lis numer sześć, od którego nauczył się tej trudnej sztuki.

Gdy Eryk chełpił się własnym sprytem, czarnoksiężnik nagle zerwał się z miejsca, jakby zobaczył w swojej misce coś bardzo dziwnego, i spojrzał bystro w kierunku Eryka. Harowianin czuł się tak, jakby mężczyzna widział go za krzakiem. Wstrzymał oddech i spróbował za pomocą siły woli uczynić się niewidzialnym. Mag ruszył w jego stronę.

– Coś nie tak, Yoki Choppo? – spytała Sofi.

– Nie. – Mężczyzna zatrzymał się i podniósł z ziemi gałązkę, po czym wrócił na miejsce i więcej już nie spojrział w kierunku Eryka.

Dzięki niech będą Króliczce, pomyślał Eryk, uzmysłowiwszy sobie, że jak nie zacznie oddychać, to się udusi. Przez moment miał pewność, że ten knypek go wyczuł.

Był zbyt pewny siebie, ale tym razem miał fart i uszło mu to na sucho. Podszedł do obozu cicho jak lis i pamiętał, by oddychać jak lis, ale kucał jak człowiek. Powoli, myśląc po lisiemu, zmienił ułożenie nóg i zwinął się w kłębek z nosem przy dupie, wślazłszy do połowy pod krzak. Teraz nie zorientują się, że tu jest, nawet jak na niego nadepną.

Nieomal zmorzył go sen, gdy czekał, aż kobiety skończą jeść, a później wysłuchał przemowy Kifa, który próbował nakarmić je kłamstwami i jednocześnie uniknąć tortur.

A potem podsłuchiwał dowódczynię i czarnoksiężnika, którzy schowali się w lesie, by porozmawiać szeptem o Łąkach.

Lis, lis, bądź lisem, myślał intensywnie. Wyszczerył lisie kły, zjednoczył się z liśćmi i źdźbłami trawy, a potem wyobraził sobie, że czai się na tłusciutkiego indyka. A potem zaczął strzyc uszami, starając się nie uronić ani słowa z rozmowy.

A więc ten Yoki Choppa też wiedział o Łąkach. Czym one były, na brodę Lokiego? I czemu głos w jego głowie chciał, by Eryk tam poszedł? Czarnoksiężnik powiedział coś dziwnego – okazało się, że jego koncepcja Łąk różni się od tej prezentowanej przez Harowian. A więc nie musiała to być kraina powszechnej szczęśliwości, mlekiem i miodem płynąca, tylko coś zupełnie innego. Eryk nie do końca rozumiał co. Gdy się rozmówili, wrócili do ogniska.

– Kifie Berserku, opowiesz mi, z łaski swojej, dlaczego mnie okłamałeś? – spytała słodkim głosem Sofi Tornado.

Eryk zadrżał (jak lis).

– Co? Kłamać? Ja? Nigdy. Matuś powiedziała mi kiedyś...

– Teraz kłamiesz o kłamaniu. Musisz postarać się lepiej. – Dowódczyni owslanek brzmiała bardzo przekonująco.

Kif powtórzył całą historię. Była prawdziwa, wyjąwszy to, że idą na północny wschód, gdy tak naprawdę kierowali się na zachód, oraz to, że wróżbitą był Garth. To drugie kłamstwo miało pewnie odwrócić uwagę owslanek od Ottara, na wypadek gdyby wojowniczkę dogoniły Harowian. Na wypadek gdyby? Spójrzmy prawdzie w oczy, pomyślał Eryk, mieli dotąd kupę szczęścia. To była kwestia czasu, nim ich dopadną.

– Taliso, odetnij mu ucho, proszę – rozkazała Sofi.

– Które?

– Zaskocz mnie.

Wtedy Eryk przycisnął twarz do ziemi, ale choć nie widział, co stało się potem, to słyszał dosyć, by się domyślić.



Talisa wykopała nogi spod jeńca, złapała go za włosy i przyłożyła nóż do ucha.

Sitsi Pustułka podniosła się z miejsca.

– A ty dokąd? – zdziwiła się Jutrzenka. – Ominie cię najlepsza część.

– Siusiu.

– Akurat teraz?

– Widziałam już wcześniej tortury, a poza tym to trochę potrwa, więc zdążę wrócić.

Ruszyła traktem nad rzekę. Wcale nie chciało jej się siku. Po prostu nie miała ochoty patrzeć, jak Talisa męczy tego wesołego, zabawnego grzyboluda. Zastanawiała się czemu. Wcześniej jej to nie przeszkadzało.



Bjarniego Kurzą Twarz dobiegł krzyk, który brzmiał bardzo podobnie do krzyku Kifa, a potem usłyszał, że ktoś idzie w jego kierunku.

Błagam, niech to będą Eryk i Kif, błagam... – powtarzał w myślach, leżąc na wilgotnym dnie większego kajaka. Jedną ręką ścisnął burzę mniejszej łódki Kifa, a drugą trzymał się gałęzi, by obu nie porwał prąd. Umieścili kajaki między dwoma na wpół zwalonymi drzewami, których konary wisiały nad szeroką na siedem kroków rzeczką, w punkcie oddalonym może dwadzieścia kroków od starego drewnianego mostu. Błada poświata zmieniła nurt w rzekę płynnego srebra, a sam księżyc był jak doskonale okrągłe lustro, w którym zbierało się całe światło tego świata skupione na kryjówce Bjarniego i czyniące go widocznym jak na dłoni.

Coraz wyraźniej słyszał kroki, a po chwili tupanie na moście. Powoli, powoli uniósł głowę. To jedna z owslanek! Przechadzała się w tę i we w tę, jakby się nad czymś głowiła.

Sadsi Wilczyca i kobiety obserwowane z drugiego brzegu Kamiennej Rzeki zrodziły w nim przekonanie, że wszystkie owslanki to baby jak dęby, tymczasem ta nie wyglądała na dużą, właściwie była wręcz drobna. Ale miała łuk w ręku i nie wątpił, że umie go używać.

Zatrzymała się w połowie mostu i zwróciła ku niemu twarz o delikatnych rysach. Musiała tylko spojrzeć we właściwym kierunku, a zobaczyłaby go leżącego w łódce niczym ranny jelen w rowie. Bjarni wiedział, że za nic nie zdąży się schować, gdyby wzięła go na cel.

Ale owslanka zapatrzyła się swoimi nienaturalnie wielkimi oczami na księżyc, niczym zakochana nastolatka. Uff, nie

zobaczyła go.

Gorzej, że nagle zaswędziało go nos i poczuł, że zaraz kichnie.



– Mówię prawdę – zarzekał się Kif. – Wszystko, co powiedziałem, to prawda. Jestem straszną cipą. Proszę, nie krzywdźcie mnie więcej. To nie ma sensu. Już i tak powiedziałem wam wszystko! Jeśli macie jeszcze jakieś pytania, pytajcie, a odpowiem wam. Powiem wam rzeczy, których nigdy nikomu nie wyjawiałem! Kiedyś ukradłem szlachetny kamień jednej ciotce, której nie znosiłem, i wrzuciłem go do Słodkiego Morza Olafa. Gdy byłem mały, odczuwałem fizyczny pociąg do innych chłopców. Kiedyś besztalem kozła, ukryty w koronie drzewa, patrząc, jak kąpią się w strumieniu. Kiedyś nawet zjadłem...

– Już wystarczy! – Sofi Tornado obdarzyła go uśmiechem. Faceta po prostu nie dało się nie lubić. Ale poznała po przestępowaniu z nogi na nogę, zaciskaniu i rozkurczaniu palców oraz dziesięciu innych oznakach, że kłamie jak z nut. Minął się z prawdą, jeśli chodzi o kierunek, w którym zmierzają Harowianie, oraz o tego ich jasnowidza. Nie ukradł też ciotce żadnego szlachetnego kamienia i nie wrzucił do morza. Reszta to prawda. – Nie próbuj robić mnie w ciula. Wiem, że grzyboludy idą na zachód.

– Kiedy wcale nie idą! Mówiłem, chcieliśmy was tylko zmylić. Teraz skręciliśmy na północny wschód, klnę się na wszystkich bogów i ich krewnych, i ich przyjaciół, i ich krewnych też. Błagam, nie krzywdźcie mnie już.

– Talisa, teraz oko, poproszę.

– Moje oko? Nie, to za dużo, ja... – Kif pokręcił głową. – Robisz to tylko dlatego, że tego się wszyscy spodziewają po dowódcy

owslanek. Nie sędzę, żebyś miała na to ochotę. No dalej, nie daj się tłamsić, bądź sobą.

Talisa złapała go za włosy, podniosła głowę i wcisnęła koniuszek palca między gałkę oczną a oczodół.

– Aua, weź przestań! To naprawdę boli! Idą na północny wschód, jak babcię kocham. Pomyśl tylko! Czy naprawdę chcesz mieć na głowie więźnia z zaburzoną orientacją przestrzenną? Będę wam kulą u nogi!

Talisa spojrzała na Sofi, która kiwnęła głową. Calnianka wcisnęła palce w oczodół, zakreśliła i wyrwała oko. Kif wył.

Zwykle Sofi drżała z podniecenia, patrząc, jak któraś z jej kobiet wyrządza krzywdę swoim ofiarom. Czy to kwestia niedoboru mięsa grzechotnika, czy zaburzenie psychosomatyczne? A może... Ostatnimi czasy rzeczywiście czuła się o wiele mniej krwiożercza niż zwykle. Najchętniej puściłaby niedobitków Goachików wolno. Oczywiście przysięgła, że nie ruszy palcem żadnego Lakchana, ale miała wrażenie, że używa przysięgi jako pretekstu, by po prostu pozwolić im żyć. Bo czy przysięga powstrzymała ją w przeszłości przed zabiciem kogoś? Oczywiście, że nie.

Czy Yoki Choppa wstrzymał dawkowanie mięsa grzechotnika, jeszcze zanim Wielkie Gnaty pozbawiły go torby z odczynnikami? Czy chciał zmiękczyć owslanki w imię własnych celów?

Jeśli pogrywa z nimi, Sofi rozgryzie go i zabije.



Wrzask Kifa niósł się echem po lesie. Bjarni zadrzał. Przyszło mu do głowy, by biec Berserkowi na pomoc, ale kobieta na moście wpakuje mu strzałę w dupę, gdy tylko się poruszy. Wtedy nie dość, że nie pomoże Kifowi, to jeszcze sam będzie martwy.

Nie mógł nic zrobić, tylko moknąć w przeciekającej od dna łodzi, rozwieszony między burtą a gałęzią jak wyprana koszula na sznurku, mrugać oczami, marszczyć nos i próbować nie kichnąć.

Drobna owslanka o wielkich oczach wzięła głęboki wdech. Przez chwilę Bjarni myślał, że będzie płakać, lecz zamiast tego zaczęła śpiewać słodkim, dźwięcznym głosem.

Gdy kobieta wyciągnęła wysoką nutę, Bjarni kichnął.



Lśnił samotny księżyc. Huczała sowa. Zrobiło się magicznie. Sitsi Pustulka nie była już najeźdźcą w tej obcej krainie potworów i tornad, ale częścią cyklu natury, wtopioną w rytm wody i ziemi.

Uniosła głowę i zaśpiewała piosenkę o utraconej miłości. Drobne fale na rzece połyskiwały do rytmu jej słów, lekki wiatr wzbudzał w koronach drzew szmer, który kontrapunktował jej smutną pieśń.

Na moment przed tym, jak dotarła do refrenu, usłyszała kichnięcie szopa czy może wiewiórki, które tylko umocniło jej przekonanie, iż zjednoczyła się z naturą.

Gdy skończyła śpiewać, poczuła się o niebo lepiej i wróciła do obozu.

Tortury już się skończyły. Mężczyzna siedział oparty o drzewo, a Yoki Choppa opatrywał mu rany. Sitsi usiadła przy Palomie.

- Ominęło mnie coś?
- Talisa odcięła mu ucho i wyłupiała oko.
- Powiedział coś ciekawego?
- Nic, czego nie powiedziałaby na samym początku.
- Aha. A czemu tak szybko przestały?

– Może Sofi stwierdziła, że jednak mówił prawdę. Może jutro spróbują znowu. Nie wiem.



Próżno szukać we wszystkich legendach, opowieściach i sagach Harowian i Lakchanów większego bohatera od Kifa Berserka, pomyślał z dumą Eryk. Kif trochę krzyczał, trochę wrzeszczał, ale konsekwentnie trzymał się swojej wersji opowieści, gdy Talisa Sarna obcinała mu ucho i wyłupiała oko.

Chyba wreszcie udało mu się zaspokoić dociekliwość dowódczyni owslanek, bo przestała go męczyć. Talisa była zawiedziona, co sprawiło, że raptem wydała mu się mniej atrakcyjna. A może nieco bardziej...?

Owslanki przestały podziwiać przedstawienie i zajęły się swoimi sprawami. Yoki Choppa objął pierwszą wartę, gdy kobiety jedna po drugiej układały się do snu. Wkrótce nie słyszał już nic poza pogwizdywaniem, chrobotaniem i szemraniem nocnych zwierząt oraz cichym pochrapywaniem kobiet, ponad które wzbijało się czyjeś dudniące chrapanie. Eryk zgadywał, że te ostatnie dźwięki emitowała Chogolisa Zadrzyziemia, choć doświadczenie mówiło mu, że rozmiary chrapiącego nie mają żadnego związku z donośnością chrapania.

Pojawił się nowy dźwięk, ciche ssanie, a wraz z nim zakręcił Erykowi w nosie zapach palonego tytoniu.

Rozwinął się z kłębka i podniósł głowę, tak jak robiły to lisy. Odwrócony plecami Yoki Choppa siedział na pniu na brzegu obozu, wydmuchując chmury dymu w rozświetlone przez księżyc niebo. Powoli, po lisiemu Eryk dźwignął się na nogi.

Wszystkie owslanki w zasięgu wzroku spały, podobnie Kif, wciąż oparty o to samo drzewo. Sofi Tornado spała po jednej jego stronie, Chogolisa po drugiej. To nie ona tak chrapała, lecz Kif.

Eryk domyślił się, że czarnoksiężnik musiał dać mu coś mocnego na ból. Dało się słyszeć pukanie. To Yoki Choppa opróżnił główkę fajki z resztek tytoniu. Starzec wstał, przeciągnął się i poszedł w las.

Eryk też wstał. Teraz albo nigdy. Lis okrążył krzak, przekradł się przez obóz i zbliżył do Kifa. Gdzieś niedaleko krzyknął prawdziwy lis, jakby miał pretensje, że jakiś człowiek podszywa się pod przedstawiciela tego szlachetnego gatunku. Męczyzna zamarł. Na szczęście żadna z kobiet się nie obudziła.

Kif oddychał chrapliwie, prychnając od czasu do czasu. Połowa jego głowy była obandażowana, Duporąg leżał obok.

Eryk złapał go za ramię, którymi był owinięty.

Leżąca sześć stóp dalej dowódczyni poruszyła się na posłaniu. Jej powieki drgnęły.



Finnbogi słyszał kiedyś, że można być tak zmęczonym, że aż nie da się zasnąć, ale uznał, że to jedna z tych rzeczy, które mówią czasem znudzeni życiem dorośli, kiedy nie mają już o czym gadać, a są tak tępi i pozbawieni wyobraźni, że powtarzają, co powiedział ktoś inny, bo sami nie mogą wymyślić nic oryginalnego. To głupie powiedzenie pochodziło z tego samego nocnika co „od przybytku głowa nie boli” i „kiedyś to były czasy”.

Ale teraz leżał na posłaniu tak dokumentnie wycieńczony, że nawet oddychać mu się nie chciało, i zdumiony, że irytujące porzekadło głosiło jednak prawdę. A może to nie kwestia zmęczenia, tylko po prostu nie mógł zasnąć, bo parę godzin temu o mało nie został zamordowany przez tego samego wrednego dupka, który odbił mu dziewczynę?

Niby wiedział, że powinien raczej martwić się o ojca, Kifa i Bjarniego, a jednak nie mógł oderwać myśli od Thyri Drzewonogiej.

Nie dawało mu spokoju to, że przecież widział, że Thyri wcale za Garthem nie przepada. Nigdy się z nim nie zgadzała, jak chociażby dzisiaj, gdy rozmawiali o zmianie nazwy plemienia. Mało tego, że nie rozmawiali ze sobą, gdy szli razem, ale wyglądali po prostu na nieszczęśliwych. Pocałowali się, gdy chcieli ich zabić Lakchanowie, jasne, ale pewnie tylko dlatego, że byli o włos od śmierci i Garth wykorzystał okazję. Thyri była z nim dlatego, że była uparta i nie chciała przyznać się przed nikim, a już zwłaszcza przed samą sobą, że popełniła błąd.

Chciał z nią porozmawiać, wyjaśnić, jak bardzo się myliła, i powiedzieć, że nie musi kisić się z Garthem, skoro ma alternatywę, oraz że nikt nie będzie o niej źle myślał (no, może poza Garthem, ale walić go), jeśli się na nią zdecyduje. Finnbogi był pewien, że Thyri byłaby z nim, gdyby tylko miała świadomość, że jest taka możliwość, i umiała się przyznać, że ten skok w bok z Garthem to był błąd. Tylko że Finn nie wiedział, jak jej to powiedzieć, żeby nie zareagowała jak pancernik dźgnięty kijem. Wiedział, co będzie dla niej najlepsze – wiedział, że on jest dla niej najlepszy – ale Thyri była tak uparta, że jeśli ta rozmowa źle się potoczy, zaprze się jeszcze bardziej i nic z tego nie wyjdzie.

Musi istnieć jakiś sposób na to, by dała sobie spokój z Garthem.

Mógłby na przykład wyeliminować Gartha.

Prawo zemsty było świętym prawem pokrzywdzonego, no nie? Loki i wszyscy bogowie poparliby Finna, a nawet gdyby spotkał się z Garthem w Walhalli, co by mu niby powiedział? On próbował zabić Finna, więc Finnowi wolno było zabić jego. Każdy bóg przyznałby mu rację.

Ale jak się do tego zabrać? Musiałby czekać na sytuację, gdy on i Garth znajdą się z dala od wścibskich spojrzeń i poza zasięgiem słuchu... Tylko że skoro Garth próbował go zabić, prawdopodobnie sam będzie szukał okazji, by dokończyć, co zaczął na polu kukurydzy. No i nie oszukujmy się, Kowadłogęby pokona go w uczciwej walce w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto. Czy nawet stu na sto. Więc to nie może być uczciwa walka...

No i proszę, leżał i deliberował, tracąc cenne godziny snu, więc rano też nic nie wymyśli. Sytuacja bez wyjścia, zamknięty krąg. Czemu wszystko, co złe, przytrafia się tylko jemu?



Sofi Tornado obróciła się na drugi bok. Nie zbudziła się. Eryk zacisnął mocniej palce na więzach Kifa. Nie da się tego uniknąć, będzie musiał narobić nieco hałasu. Pomodlił się do Króliczki i Thora w nadziei, że wszystkie owslanki mają ciężki sen, po czym pociągnął Kifa do siebie i zarzucił na ramię. Berserk nie był tak masywny jak Eryk, ale swoje ważył.

Kif westchnął cicho, ale się nie zbudził. Eryk wstał i zaczął nasłuchiwać, w głębi ducha spodziewając się, że zaraz ktoś podniesie alarm. Ale nie, nic podobnego nie nastąpiło. Kucnął po Duporąba. Kif byłby niepokieszony, nie mając czym rąbać dup.

Odwrócił się i prawie krzyknął jak baba. Yoki Choppa wrócił. Siedział spokojnie na swoim pniaku. Alchemiczna miska dymiła w jego sękatych palcach. Patrzył znudzonym wzrokiem prosto na Eryka.

Złośnik odwzajemnił spojrzenie. Czarnoksiężnik ledwo dostrzegalnie skinął głową w kierunku rzeki.

Wygnaniec nie potrzebował kolejnej zachęty. Wykradł się z obozu po lisiemu, a gdy zobaczył przed sobą rzekę, pognał już

zupełnie po ludzku.



– Nieźle! – powiedział Bjarni, siadając w łódce.

– Cicho... – odparł Eryk. Jeszcze nie byli bezpieczni.

Opuścił wciąż pogrążonego we śnie Kifa do łódki Bjarniego – Kurza Twarz może powiosłować z dodatkowym obciążeniem, skoro cały wieczór siedział na dupie – a sam wlaź do kajaka Kifa.

Odepchnęli się od brzegu i ruszyli w drogę. Eryk spodziewał się, że lada chwila oberwie toporem w łeb. Niby dlaczego czarnoksiężnik miałby go puścić, jeśli nie dla zabawy, nie po to, by jak kot trochę pobawić się z myszką? Ale żaden topór nie wżarł się w jego mózg, strzała nie przebiła mu płuca, nie wybebeszył go ten zabawny, pagajopodobny sztylet. Z czasem Eryk zaczął wierzyć, że udało mu się uciec, a misja ratunkowa zakończyła się sukcesem.

Poczuł, że rozluźnia się każdy mięsień w jego ciele, gdy wraz z Bjarnim wiosłował księżycową nocą nurtem Sercojagodowej Rzeki na południowy zachód, gdzie toczyła swoje fale Matka Woda.



ROZDZIAŁ 7

Żadnych wymówek

Nie sądzisz, Yoki Choppo, że to dość dziwne, że się nie obudziłam? – Głos Sofi był spokojny, ale Paloma rozpoznała ten ton. Takiego samego użyła, każąc Chogolisie urwać ręce Malilli Pumie.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami.

Paloma skakała wzrokiem od jednego do drugiego. Nie lubiła tego. Czuła się jak dziecko kłócących się rodziców.

– Równie dziwne jest to, że gdy wróciłeś z patrolu, nie zauważyłeś, że więzień zniknął. Nie sądzisz?

– No.

Gdyby Paloma była na jego miejscu, powiedziałaaby, że było ciemno, że niczego by nie zyskała, uwalniając więźnia, że musiał go wykraść jakiś inny szaman – wymyślałaby wymówkę za wymówką, byle tylko zmniejszyć niebezpieczeństwo okrutnej i bolesnej kary. Ale Yoki Choppa nic nie mówił.

Sofi miała rację. Coś tu śmierdzi.

Gdy czarnoksiężnik obudził Palomę, by zmienić go na warcie, ta natychmiast zauważyła zniknięcie Kifa. Jakim cudem nie zauważył tego Yoki Choppa?

Wyczytała ze śladów, że największy grzybolud zakradł się nocą i skrył za krzakiem, czekając, aż czarnoksiężnik pójdzie do lasu, a potem przeszedł przez obóz, zarzucił sobie Kifa na ramię i poszedł do rzeki, gdzie czekała na niego łódź.

A Yoki Choppa siedział spokojnie na pniu jeszcze przez dwie godziny i dopiero wtedy obudził Palomę. To wszystko było bardzo, ale to bardzo dziwne. Zupełnie jakby Yoki Choppa pomógł więźniowi uciec. Ale jeszcze dziwniejsza była myśl, że mógłby w tym mieć jakiś interes.

Sofi doszła najwyraźniej do tego samego wniosku, bo groźba wyparowała z jej głosu.

– No dobra, to chyba nie jest niemożliwe, żebym przegapiła intruza. Czy mamy jakieś jego włosy, żeby móc dowiedzieć się, gdzie jest?

– Taliso, czy wyczyściłaś nóż po tym, jak obcięłaś grzyboludowi ucho? – spytał Yoki Choppa.

– Tak, w rzece. Wrzuciłam też do niej oko i ucho.

– No to dupa.

– Na ziemi została jego krew.

– Nie nada się.

– Dobrze, więc wykorzystaj tamte włosy grzyboluda, które mamy.

Czarnoksiężnik pokiwał głową, zmieszał składniki, podgrzał je, a potem powiedział:

– Były właściciel tych włosów jest dwie mile stąd, na rzece.

– Co tam robi?

– Leży martwy.

Sofi pokręciła głową.

– Paloma, spróbuj go znaleźć. Aha, jeśli natkniesz się po drodze na jakieś widłorogi, przynieś jednego.

– Żywego, martwego?

– Martwego.

Paloma pobiegła, szczęśliwa, że mogła opuścić obóz, by przebiec się trochę i poszukać widłorogów. Ciekawe, po co Sofi widłorogi.

Najbardziej lubiła biegać wczesnym rankiem. Odczuła więc zawód, gdy znalazła zwłoki zaraz po wyruszeniu. Martwy grzybolud leżał na wysepce pośrodku płytkiej rzeczki, nagi i rozwłóczony przez ścierwojady.

Przez moment myślała, że żyje, ponieważ poruszał się jego brzuch, ale szybko okazało się, że to wydra wgryziona po szyję w jego wnętrzności.

– Fuj! – powiedziała owslanka z obrzydzeniem, a potem zbliżyła się do wysepki, sykiem i ruchem rąk odpędzając łakomą łasicowatą.



– Pamiętasz tego, który zaatakował Sadsa w taki nowatorski sposób? Dał sobie podciąć gardło i oślepił Wilczycę własną krwią? – spytała Paloma Widłoróg, gdy wróciła do obozu.

Sofi kiwnęła na tak.

– To właśnie on tam leży. Poza raną w szyi miał też wgniecioną głowę, jedno udo i brzuch rozerwane, złamany nos

i obydwie nogi i cały był pokryty siniakami.

– Cyklon – stwierdził Yoki Choppa.

– Wycyklonowany na śmierć. – Paloma kiwnęła głową.

– Miejmy nadzieję, że trąba wessała tylko jego – powiedziała Sofi.

– Myślałam, że mniej więcej o to nam chodzi – zdziwiła się Jutrzenka. – Żeby zginęli.

– Ale musimy wiedzieć na pewno, że zginęli. Jeśli tornado rozrzuciło ich po górach, dolinach, lasach i jeziorach, będziemy musiały szukać ciał.

– A więc co robimy?

– Nasz uciekinier i jego wybawca na pewno będą chcieli dołączyć do pozostałych. Musimy ich znaleźć i śledzić. Paloma?

– Znajdę ich raz-dwa! – rzuciła i pobiegła.

– I złap w końcu jakiegoś widłoroga!

– Jasna sprawa! – odkrzyknęła. O co Sofi chodzi z tymi widłorogami?



– Nie przypuszczałam nawet, jaki ten świat jest wielki! – zakrzyknęła Bodila Gęsiodzioba. – Czy to jest już cały świat? Gdzie są Łąki? Czy to tam, o? – Wskazała lśniący pas prerii.

– Tak – powiedział Zbuk. – Widzimy stąd cały świat, a tamten kawałek to już Łąki.

– Poważnie? Czyli dojdziemy tam dzisiaj?

– Tak.

– Cicho bądź, Finnbogi – zbeształa go Sassa i pokręciła głową.

– Tak naprawdę to wcale nie jest cały świat, a tamto to nie Łąki. Ale przynajmniej ładny widok, nie sądzisz?

Z całą pewnością najpiękniejszy, jaki Sassa widziała w życiu. Odkąd minionego dnia opuścili ziemie Wielkich Gnatów, szli cały

czas pod górę, teraz zaś stali nad przepaścią, gdzie ziemia zdawała się tracić za jednym zamachem całą nagromadzoną wysokość. Widzieli rozciągający się na południe aż po horyzont przestwór oznaczony łąkami lasów i jezior, które tonęły w morzu trawy.

Szli dość szybko, jak na swoje możliwości, gorzej było z morale. Chnób Biały nie był zbyt lubiany, ale i tak utrata kolejnego Harowianina była dla grupy szokiem. Jeszcze bardziej martwili się o trzech kolejnych – gdyby udało się odeprzeć atak Calnianek, tamci już dawno by ich dogonili, a gdyby się nie udało, zrobiłyby to one. Więc co tam się wydarzyło? Czy Kif i Eryk zdołali pokonać wojowniczkę, ale polegli w walce?

A już największą niewiadomą był Bjarni, który w pewnym momencie po prostu rozpułnął się w powietrzu.

Cokolwiek by się tam wydarzyło, Sassa nie miała zamiaru się tym martwić. Umierasz, kiedy umierasz. Ona musiała skupić się na życiu i na utrzymaniu przy życiu swoich ludzi. Obejrzała się przez ramię. Nikt ich nie gonił. Na trakcie zobaczyła tylko Thyri i Gartha, którzy zamykali pochód. Ujęła mocniej łuk. Otrząsnęła się z odrętwienia i zeszłej nocy wznowiła trening. Była zadowolona ze swoich postępów.



Paloma Widłoróg może i była najszybszą biegaczką na świecie, ale śledzenie uciekinierów w kajakach nie było takie proste, jak można było przypuszczać, ponieważ przy samej rzece nie biegł żaden trakt. Bo i po co? Jeśli chciałeś dostać się do miejsca, gdzie zmierza rzeka, płynąłeś rzeką. Rzecz w tym, że do tego potrzebna była łódź. Paloma, pomimo swojej szybkości, nie mogła biec po wodzie, nie mogła też przedzierać się w pełnym pędzie przez gęsty las.

Innym problemem było to, że Kif i jego wybawca mogli przecież w którymś momencie opuścić rzekę, więc musiała przemieszczać się na tyle wolno, by nie przegapić ewentualnego śladu stopy czy złamanej gałązki. Przypuszczała, że gdyby wyszli z wody, podążyliby na południe, by dogonić resztę grupy, trzymała się więc lewego brzegu, przeskakując nad zwalonymi drzewami i torując sobie drogę przez duszącą, natarczywą roślinność swoim kosturem. Wlokła się jak mucha w smole.

Jeśli wyszli z rzeki i skierowali się na północ lub weszli ostrożnie do jednego z wielu strumieni zasilających Sercojagodową Rzekę, czego nie mogła wykluczyć, bo chyba głupi nie byli, zgubiłaby ich ślad. Żywiła więc nadzieję, że byli na tyle nierozgarnięci, by płynąć dalej głównym nurtem.

Dostrzegła łódki późnym popołudniem. Tutaj rzeka rozszerzała się, oni zaś płynęli wzdłuż przeciwległego brzegu, ale nie miała wątpliwości, że to właśnie oni – widziała obandażowaną głowę Kifa Berserka, jasnobrązową, potarganą czuprynę innego wysokiego mężczyzny oraz czarne loki kolejnego.

Zrobiła piruet i pobiegła powiadomić dowódczynię.



ROZDZIAŁ 8

Matka Wodna jest jedna

Massbak i Galenar, dwaj młodzieńcy z plemienia Rozszczepionych Rzek, wyprawili się na polowanie. Jak zwykle pogoń za zwierzyną była tylko pretekstem do tego, by obmówić i oplotkować współplemieńców.

– Ni w ząb nie rozumiem – powiedział Massbak. – Zeszłej nocy Cavanar prosił mnie, choć trafniej byłoby powiedzieć: błagał, żebym poszedł z nim na zgromadzenie klanu Rekinów. Gdy poszedłem, obrzucił mnie takim wzrokiem, jakbym nasrał mu do alchemicznej miski, a potem ignorował mnie przez resztę wieczoru.

- Ale zwykle zachowuje się normalnie? – zapytał Galenar.
- Jesteśmy kumplami. Wydaje mi się, że dobrymi. Od czasu rytuału wizji.
- Głowę dam, że...
- Czekaj. – Massbak uniósł łuk, powiódł wzrokiem między drzewami, a potem opuścił broń. – Wydawało mi się, że widziałem jelenia.
- Głowę dam, że wiem, o co mu chodziło. Czy na spotkaniu była może Sabula Derinda?
- Była.
- A gadałeś z nią?
- No jasne.
- Wszystko jasne!
- Co?
- Taki już jest Cavanar. Sabula Derinda była tam najładniejszą laską, nie?
- Sabula Derinda jest najładniejszą laską, gdziekolwiek się pojawi.
- Nie sposób zaprzeczyć. I trudno się dziwić, że Cavanar patrzy na ciebie bykiem, skoro zablokowałeś mu dostęp do najładniejszej laski na imprezie.
- Ale tam były dzikie tłumy, a ja przecież nie gadałem z Sabulą cały wieczór.
- Pewnie zorganizował imprezę tylko po to, żeby jej zaimponować, a ty wszystko mu popsujesz.
- Na pewno nie. Już praktycznie jest ochajtana z Wielkim Kellerem.
- A Wielkiego Kellera zaprosił?
- Keller nie przepada za Rekinami. Sam jest raczej po stronie Bizonów.
- No właśnie. – Galenar zachichotał tryumfalnie. – I Cavanar to wie. Założył klan Rekinów tylko po to, by odciągnąć Sabulę

Derinę od Wielkiego Kellera, a ty wkurzyłeś go, bo gadałeś z nią zamiast niego.

– Ależ z niego kretyn. Nie ma u niej szans.

– Zgadzam się z tobą. To najgorszy typ idioty: wydaje mu się, że jest geniuszem, a jest tylko bystry. Jest dostatecznie rozgarnięty, żeby w głębi serca wiedzieć, że tak naprawdę wcale nie jest aż taki mądry, więc choć jest zarozumiały, nienawidzi sam siebie. Jest arogancki, a jednocześnie zupełnie w siebie nie wierzy. Cierpi zarazem na manię wyższości, jak i niższości. Jest więc dupkiem w dwójnasób.

– Gruntownie to przemyślałeś, widzę.

– Niektórzy są dupkami z natury, ale nikt nie musi być dupkiem. A skoro nie musi, po co nim być? Dlatego właśnie fascynują mnie takie indywidua jak Cavanar. I to prawda, przemyślałem, a jakże.

– Mnie też tak analizujesz?

– Ty nie jesteś dupkiem. Jesteś zbyt skromny i rozsądny, żeby być dupkiem. Moje dogłębne studia nad dupkami doprowadziły mnie do prostej konkluzji, która zresztą może ulec zmianie, gdyż daleka jeszcze droga przede mną. A oto i ona: wszyscy ludzie to głupcy. Żaden z nas, nawet ten najmądrzejszy, nie jest tak naprawdę mądry. Najsilniejszy wojownik i najsprytniejszy czarnoksiężnik może potknąć się o kołek od tipi i wylądować twarzą w bizonim placku. Dupkami stajemy się dopiero wtedy, gdy nie umiemy pogodzić się z własnymi niedostatkami i próbujemy maskować niepewność złością.

– Mocna teoria.

– Sam jeszcze nie jestem przekonany, muszę przestudiować więcej przypadków, ale przyznasz, że przypadek Cavanara dowodzi prawdziwości mojej teorii, a poza tym...

– Sza... schowaj się.

Młodzieńcy zniknęli ze ścieżki, skryli się za drzewami

i przypadli do ziemi. Massbak cieszył się, że był przy nim Galenar. Ktoś inny pewnie wciąż stałby na drodze i pytał się głupio, co zobaczył i czemu ma się schować, ale Galenarowi wystarczyło jedno słowo przyjaciela. Leżał teraz, gotowy na odwołanie alarmu lub stawienie czoła niebezpieczeństwu.

Nie czekali długo. Drogą nadeszli mężczyzna i kobieta. Mężczyzna był trochę starszy od nich – musiał być po dwudziestce – wysoki i dobrze umięśniony. Niósł na ramieniu krótką maczugę z olbrzymią żelazną głownią. Kobieta była od niego o wiele starsza i również uzbrojona w drewnianą maczugę o metalowym obuchu wysadzonym kolorowymi kamieniami. Ale to nie dziwna broń sprawiła, że Massbak zakrztusił się powietrzem. Nigdy jeszcze nie widział tak dziwnych ludzi. Ich skóra miała nietypowy kolor, była połyskliwa i chorobliwie jasna. Włosy mężczyzny miały barwę małych kaczątek.

Za nimi szło jeszcze siedem osób, a co jedna, to dziwniejsza. Dostrzegli faceta jeszcze wyższego od tego na czele, który miał na głowie osobliwą czapkę, zrobioną chyba z żelaza, oraz dwie młode dziewczyny o złotych włosach. Ta druga pomimo dziwacznych loków i skrzywionej miny była chyba jeszcze piękniejsza od Sabuli Derindy.

Massbak od razu domyślił się, co to za dziwadła. Odczekał, aż wszyscy oddalą się poza zasięg słuchu, a potem zwrócił się do Galenara i wyszeptał mu na ucho:

– Grzyboludy.

Galenar kiwnął twierdząco głową.

– Lepiej wracajmy do wioski. Musimy ostrzec ludzi.

– Myślisz, że ich zabijemy?

– Jasne, że zabijemy. Calnia chce ich śmierci, a życzenie Calnii jest naszym rozkazem.



Po kilkugodzinnym marszu bezdrożem wzdłuż Sercojagodowej Rzeki Sofi Tornado, Paloma Widłoróg, Yoki Choppa i cztery pozostałe owslanki wybiegli spomiędzy drzew na polanę, gdzie pasły się bizona. Grunt opadał do wijącej się w dole rzeki. W jej szerokim zakolu odznaczali się na tle wody trzej duzi mężczyźni upchani w dwóch łódkach.

Sofi przyspieszyła kroku. Rzeczka była wąska. Nie uda im się uciec.



– To nie rzeka, tylko bardzo długie morze! – zdumiał się Finnbogi.

– Naprawdę? – nie zrozumiała Bodila. – Ale jak to?

Nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Podziwiał widok. Na moment zapomniał, że jego prawdziwa miłość śpi z jego arcywrogiem i że ten arcywróg próbował go zabić, czego z pewnością spróbuje znowu. Zapomniał, że jego ojciec i dwaj przyjaciele gdzieś zaginęli i że niedługo jego plemię zostanie wyrżnięte do nogi przez oddział potwornych zabójczyń. Zapomniał o tym wszystkim, gdy spojrzał na rzekę.

Czy może być piękniejszy widok?

To był powód, dla którego chciał opuścić Harówkę. Chciał patrzeć właśnie na takie rzeczy. Nie widział w życiu niczego piękniejszego.

Z wysokości klifu rozciągał się widok na całą dolinę, którą wypełniał zbiornik wodny zbyt wielki i majestatyczny, by nazwać go tym samym słowem co wszystkie strumyki i strumyczki, jakie Finnbogi miał dotąd za rzeki. Gdy pierwszy

raz zobaczył Kamienną Rzekę, myślał, że jest wielka, ale przy Matce Wodzie wyglądała jak rów, do którego ktoś nasikał.

Na Kamiennej Rzece była co prawda mała wysepka, ale wyspy na tej rzece, którą miał przed oczami, pomieściłyby całe osady. I rzeczywiście, sądząc po smugach dymu wznoszących się pionowo w nieruchome wieczorne niebo, na niektórych z nich założono sioła. Rzeka dość szeroka, byś mógł zamieszkać na jednej z wysp... O takich rzeczach słyszał tylko w sagach.

Przy brzegu dostrzegł kilka kajaków, a szerokim nurtem płynęły z prądem większe łodzie, przy których kajaczek Kifa wyglądał jak zabłąkane między bizony dziecko. Finnbogi zgadywał, że płyną tak szybko, bo poruszają się z prądem, choć wielka rzeka wyglądała z tej wysokości jak zamarznięta.

Bogowie Harowian zamieszkiwali daleki świat, który niewielu z nich widziało przed śmiercią, tymczasem bogowie skrælingów często im się ujawniali: a to pod postacią szczególnie wielkiego drzewa, a to białego bizona lub osobliwego ptaka, coś w tym guście. Finnbogi był gotów się założyć, że skrælingowie uznają Matkę Wodę za swoją boginię. Już wcześniej uważał, że jego religia jest trochę śmieszna. Teraz całkiem straciła dla niego sens.

– Woota! – krzyknął za jego plecami Gruby Wulf, bawiący się z dziećmi i szopami.

Rozbili obóz nieopodal skalistego wzniesienia, z którego rozciągał się widok na Matkę Wodę. Powoli zmierzchało, Wulf postanowił więc, że dopiero rano spróbują skombinować łodzie w nadrzecznym miasteczku. Powiedział, że rano ludzie są bardziej pomocni. Zważywszy na to, że węszył za nimi oddział demonów, przed którym łatwo mogliby zbiec na drugi brzeg rzeki, do Finnbogiego nie trafiała ta argumentacja. Już miał coś powiedzieć, gdy zorientował się, że Wulf chce czekać na Kifa, Eryka i Bjarniego, ale jednocześnie nie chce, by przez tę trójkę

dopadły ich owslanki... Po raz nie wiedzieć który Finn podziękował Lokiemu, że to nie on jest wodzem.

– Wota! Woota! – krzyčili Ottar i Frejdis.

A jakżeby inaczej, wota, pomyślał Finnbogi i przesunął wzrokiem ponad masywnym cielskiem rzeki. Przynajmniej od pięciu pokoleń nikt z Harowian nie widział na oczy niczego podobnego. Myśl o olbrzymim przedsięwzięciu, które już prawie udało im się wykonać, nie mieściła mu się w głowie, przejmowała go drżeniem. Byli już innymi ludźmi od tych, którzy jeszcze kilka dni temu nie mieli nic przeciwko gniciu całe życie nad brzegiem jeziora. Teraz nie byli już Harowianami. Byli bohaterami i poszukiwaczami przygód. Byli plemieniem Wota.

– Związane kajaki – powiedziała Gunnhilda, podchodząc do niego i Bodili.

– Związane? – nie zrozumiał.

– Te wielkie łodzie płynące w dół rzeki to muszą być związane kajaki. Wydaje mi się, że gdy chcą popłynąć w górę strumienia, odwiązują je od siebie i płyną osobno. Nasi przodkowie byli świetnymi skutnikami i żeglarzami.

Finnbogi zdawał sobie z tego sprawę, bo to było tak jakby oczywiste. Nie przepłyniesz oceanu, jeśli nie odróżniasz dziobu od rufy.

– O tak, mieli wspaniałe okręty z głowami smoków...

– Hej, Zbuki! – rozległ się głos. To była Thyri.

Okręcił się na pięcie jak wygłodniały pies, który usłyszał dźwięk napełnianej miski.

– Trening. Ty i ja. Natychmiast.

– Jasna sprawa, jeśli masz ochotę. – Poprosiła go o to pierwszy raz, odkąd zeszła się z Garthem pięć dni, i milion lat, temu.

Nie pytaj jej o Gartha, nie pytaj o Gartha, mówił do siebie w myślach, gdy szli ścieżką, nad którą motyle fruwały w rozgrzanym i ciężkim od woni kwiatów powietrzu. Wyobraził

sobie, że dotarli już do Łąk, a teraz, żeby odpocząć trochę od dzieci i wypełnić płuca świeżym powietrzem, wybierają się razem na wieczorną przechadzkę, kierując się do swojego ulubionego lasku-kopulasku.

Ale w prawdziwym świecie nie znaleźli odosobnionej, porośniętej miękkim mchem kryjówki, tylko polanę nieopodal przepaści, która w sam raz nadawała się na trening. Thyri saksem obrąbała z gałęzi dwa solidne kije. Najzwyczajniej w świecie podała mu jeden, jakby wszystko było normalnie i jakby od ostatniego treningu nie dzieliła ich pięciodniowa przerwa, a ona nie uprawiała przy ognisku słodkiej miłości z potworem, który chciał pozbawić go życia, choć przecież jej prawdziwą miłością mógł być tylko Finnbogi.

– O co chodzi z Garthem? – spytał.

– Sparujesz to?

– Aua! – Zanim zauważył, że składa się do ataku, oberwał przez udo kijem.

– A to? – Uderzyła go w drugą nogę.

– Ajaj!

– A to?

– Uff! – To było w ramię.

– A to?

– O żeż kur...!

– A może to?

– Aaa! Dość!

– A to?

– Ja pier...! – To było w ucho.

Uciekł. A ona pobiegła za nim. Biegał w kółko, zakrywając uszy dłońmi. Thyri śmiała się, grzmocąc go po tyłku drewnianą lagą.

– Dość, dość, dość! – wrzeszczał, śmiejąc się mimo bólu.

– Wiem, że tego pragniesz!

Trzask, trzep!

– Aua! Aua! Pragnę!

Przestała. Stał, dysząc i śmiejąc się, nieomal przyciskając czoło do kolan.

– Jak właśnie zademonstrowałam, masz poważne zaległości, jeśli idzie o parowanie ciosów – oznajmiła. – Więc może przestań się wygłupiać i weź się do pracy.



– W dupę szopa! – zaklęła Paloma Widłoróg. – Tak mi przykro, cholera. Przepraszam.

– Co? Co się stało? – Sofi Tornado omiotła wzrokiem kajaki grzyboludów, a potem zwiesiła głowę. Już wiedziała, o co jej chodzi.

– Te łodzie nie ruszyły się z miejsca od momentu, kiedy je zauważyłam. – Potok słów wylał się z ust Palomy. – Tak bardzo chciałam wrócić z raportem, że zawróciłam, gdy tylko je zobaczyłam, a potem...

Sofi uniosła rękę i zatrzymała grupę. Łódki kołysały się na wodzie, ale rzeczywiście stały w miejscu. Trzech grzyboludów siedziało nieruchomo.

Podeszła bliżej brzegiem rzeki, by się im przyjrzeć. Była zbyt zawiedziona, by podbiec.

Ścigani osadzili kajaki do połowy na kamienistym brzegu, tak by nie odpłynęły, ale poruszały się lekko na wodzie. Zrobili trzy kukły, wypychając ubrania trawą i liśćmi. Głowami były zwinięte w kule gałęzie i wyglądało na to, że nawet przyozdobili je dla większego realizmu obciętymi włosami Kifa i tego czarnowłosego grzyboluda.

Nigdzie nie było śladów, co oznaczało, że dalej popłynęli wpław.

– Daj trochę tych włosów Yokiemu Choppie – rozkazała Sofi Palomie.

– Popłynęli na południowy zachód – orzekł czarnoksiężnik jakiś czas później.

– Ale Kif powiedział, że kierują się na północny wschód! – wykrzyknęła Talisa Sarna.

– Tak – westchnęła Sofi. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że słońce styka się już z horyzontem. – Rozbijemy tu obóz. Złapiemy ich rano.



Sassa Gryziwarga słyszała, jak Garth kłócił się z Thyri wcześniej tego dnia. Przyspieszyła kroku, by lepiej słyszeć. Uznała, że gdyby nie chcieli, żeby ktoś ich podsłuchał, toby się kłócili gdzie indziej. Nie rozumiała wszystkiego, o czym mówili, ale sprowadzało się to chyba do tego, że Garth chciał odłączyć się od grupy i zabrać Thyri ze sobą.

Nie zdziwiła się więc, gdy Kowadłogęby odczekał, aż Wulf zostanie przy ognisku sam z Sassą, po czym podszedł do nich i walnął prosto z mostu:

– Myślę, że powinniśmy odejść teraz. My troje i Thyri. Nikt więcej.

– To ciekawy pomysł – rzekł Wulf.

– Inaczej nie mamy szans. Bez staruchy i gówniarzy zrobimy dziennie trzy razy tyle.

– Czy Thyri się na to zgadza? – zaciekawiała się Sassa.

Garth spojrział na nią wilkiem.

– Zgodzi się, jeśli wy się zgodzicie.

– A Finnbogi i Bodila?

– Ona jest idiotką, a on nie dość, że jest idiotą, to jeszcze słabeuszem. Oboje są tylko balastem i niczym więcej. Jeśli z nimi

zostaniemy, umrzemy wszyscy. Jeśli się rozdzielimy, my mamy szansę.

– Pamiętasz tę grę, w którą graliśmy w Słodkim Morzu? – spytał Wulf. – Rzucaliśmy do siebie kamień, stale zwiększając odległość.

– Tak, ale co to...

– Byłoby o wiele prościej, gdybyśmy podawali sobie kamień, siedząc na pniu. Ale wtedy nie byłoby zabawy. Tutaj chodzi o to samo, Garth. W tej zabawie chodzi o to, żebyśmy doszli do Łąk wszyscy razem. Jeśli nie zrobimy tego wszyscy, gra się nie uda.

– Ona już się nie udała. Gdyby wyruszył tylko sam hird i ty, Sasso, Ogmund by żył, Gurd też by żył, Hrolf może również. A owslanki zostawilibyśmy już daleko w tyle.

Sassa poczuła ukłucie winy za zabicie Hrolfa. Czy rzeczywiście miał szansę przeżyć? Byłby okaleczony, ale przynajmniej by żył...

– Bez Ottara nie wiedzielibyśmy nawet, dokąd się kierować – zauważył Wulf.

– Z nim też nie wiemy, dokąd się kierować. Wiemy tylko tyle, że mamy iść na zachód, a do tego doszlibyśmy sami. Dotąd udawało nam się uniknąć owslanek, ale jutro czy pojutrze z pewnością dogonią grupę, lepiej więc, żeby nas już tu nie było.

– Ale jutro będziemy już po drugiej stronie Matki Wody – powiedział Wulf. – Nie pójda za nami.

– Nie pójda? A to czemu? I czy myślałeś o tym, jak niby przekroczymy rzekę? Obydwa brzegi roją się od skrælingów.

– Nie pójda za nami, bo Calnianie nie przeprawiają się przez Matkę Wodę.

– Kto ci to powiedział?

– Wszyscy to wiedzą. Calnianki nie zamoczą w Matce Wodzie małego palca u nogi.

– Hmmm – zamyślił się Garth.

– A rzekę przepłyniemy w łodzi, którą pożyczą nam skrælingowie zamieszkujący miasteczko kawałek na północ stąd.

– I to jest ten twój genialny plan?

– Zgadza się.

– To chuj, nie plan! Przecież Calnianie wysłali biegaczy do wszystkich plemion z poleceniem zabicia nas. Możemy zrobić tylko jedno: zakraść się nad wodę i ukraść łódź.

– Potrzebny nam odpoczynek, a Ottar twierdzi, że owslanki są daleko.

– Nie, to Gunnhilda i dzieci potrzebują odpoczynku. My nie. I wiem, że chłopak miał rację raz czy dwa razy, ale czy naprawdę powinniśmy uzależniać nasze przetrwanie od tego, co powie ten zaśliniony grzdyl? Przed tornadem nas nie przestrzegł. A tak w ogóle to dlaczego uważasz, że ci skrælingowie znad rzeki nam pomogą? Lakchanowie chcieli nas zabić. Wielkie Gnaty nie, zgoda, ale Wielkie Gnaty nie są częścią cesarstwa. My natomiast jesteśmy głęboko na ziemiach imperium i szanse na to, że któreś plemię będzie chciało nam pomóc, są równe zeru. Wulf, nie możesz uratować wszystkich. Naszą jedyną szansą na ocalenie choć części Harówki, na przedłużenie naszego gatunku jest wspólna ucieczka. Musimy iść dalej we czwórkę.

– Może ja ich nie uratuję, ale uważam, że my wszyscy tak. Jesteś mi potrzebny, Garth. Jesteś dobrym wojownikiem i wiem, że stać cię na więcej niż to. Prześpij się z tym. Jutro oddzielimy się rzeką od owslanek i będziemy bezpieczni.



– Napadniemy na grzyboludów w momencie, gdy słońce wyłoni się zza horyzontu, i zabijemy wszystkich – powiedział Dyas Bellvoo, wódz plemienia Rozszczepionych Rzek.

Plemię zamieszkiwało wyspy na Matce Wodzie oraz jej wschodnie i zachodnie wybrzeże. To było ich terytorium, jeśli można tak to nazwać. Płacili Calnii trybut i robili, co im Calnia kazała, tak więc ich ziemie należały właściwie do Calnii, a oni byli prawie że niewolnikami calnijskiej cesarzowej. Czy też, jak by to ujął Galenar, nie byli niczym więcej jak tylko niewolnikami calnijskiej cesarzowej.

– A dlaczego nie w nocy? – spytał Sinsinawa, główny czarnoksiężnik.

Massbak nie posiadał się ze zdumienia, widząc, że ktoś ośmielił się zakwestionować decyzję wodza Dyasa Bellvoo. Z pewnością publicznie nigdy by do tego nie doszło, ale wyglądało na to, że na naradach plemiennych każdy mógł mówić, co myślał. Każdy poza nim i Galenarem, ma się rozumieć. Zaproszono ich na spotkanie w ramach nagrody za to, że donieśli starszyźnie o grzyboludach i znaleźli ich obóz nad przepaścią, ale jeśli nosili się z nadzieją, że wolno im będzie dołączyć się do dyskusji, Sinsinawa rozwiązał je, każąc opowiadającemu się za udzieleniem pomocy grzyboludom Galenarowi zamknąć mordę pod groźbą śmierci, gdy ten tylko otworzył usta.

Z początku wódz Dyas Bellvoo też chciał pomóc grzyboludom, ale czarnoksiężnik Sinsinawa i inni byli przeciwni. Stwierdzili, że Calnianie wszystkich ich za to zabiją i sprowadzą na ich dusze wieczyste zapomnienie. Massbak przyznał, że zabicie tych kilku osób to niewielka cena za bezpieczeństwo plemienia i życie wieczne.

– Wcale mi się to nie podoba, zabijać wędrowców z daleka, którzy nie wyrządzili nam najmniejszej krzywdy – powiedział wódz. – I to z dziećmi? Mówisz, że podróżuje z nimi dwójka dzieci, Massenarze?

– Tak jest, dwójka – potwierdził Massbak i nachmurzył się, że wódz zna tylko połowę jego imienia.

– Brudna sprawa. Ale przyznaję, choć czynię to niechętnie, że nie mamy innego wyjścia. Ale jeśli już musimy ich zabić, przynajmniej zrobimy to w dzień, nie w nocy jak złodzieje i mordercy. Damy im szansę umrzeć w promieniach słońca, w walce, jak przystoi wojownikom. – Dyas Bellvo o mrugnął swoimi przenikliwymi oczami i popatrzył na zebranych znad nosa długiego jak dziób czapli.

– Lecz jeśli tak postąpimy, może zginąć ktoś z nas – zauważył Sinsinawa.

– Zginąć z ręki ludzi, których zwą grzyboludami? Nie, nie sądzę. Jeśli ktoś z nas będzie miał pecha i spadnie w przepaść, zapłacimy tę cenę, bo tego wymaga nasza duma. Nie zejść poniżej tej ceny, inaczej nie będę mógł patrzeć na siebie w zwierciadle rzeki.

Sinsinawa uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Mossbak zastanawiał się, czy szaman myśli to samo co on. Dyas Bellvo nie będzie przecież uczestniczył w ataku osobiście, a więc wychodziło na to, że płacił za swój honor życiem swoich ludzi. Massbak nie mógł doczekać się komentarza czarnoksiężnika.

– Powiedziałaś, że poza tą dwójką dzieci jest jeszcze siedmioro dorosłych podróżników, tak? – ponownie zwrócił się do Massbaka wódz.

– Tak. Starsza kobieta i sześciu młodych. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety wyglądają na wojowników. Reszta nie. – Chłopak próbował brzmieć męsko i mądrze, jak ktoś, kto zasługuje na to, by zostać włączonym do kręgu dowódczego. To z pewnością zaimponowałyby Sabuli Derindzie. Nie powiedział o tym nawet Galenarowi, ale kochał Sabulę całym sercem, nawet jeśli była z Wielkim Kellerem.

– Aby upewnić się, że nikt z nas nie zginie, wyślemy dwudziestu jeden wojowników. Massenarze, pokażesz im, gdzie znajduje się obóz.

– Mógłbym objąć dowodzenie i wtedy...

– Nie. Będziesz tylko plątał się pod nogami. Ktoś może przez ciebie zginąć.

Massbak strzelił wzrokiem do Galenara, który kiwnął głową i przycisnął palce do wydętych ust, jakby codziennie decydował z wodzem o losach plemienia.

– Czy oddamy tych grzyboludów wielkiej rzece? – zapytał Sinsinawa.

Dobre pytanie, pomyślał Massbak. Wszyscy zmarli Rozszczepionych Rzek byli przywiązywani do słupków i zanurzani w rzece, by objadły ich ryby, a ich dusze powróciły na łono Matki Wody. Wrogów plemienia, podobnie jak gwałcicieli kobiet i dzieci, morderców i ludzi z urażonymi uczuciami, paliło się na stosach pogrzebowych, by ich brudne dusze nie kalowały wód świętej rzeki. Z tonu Sinsinawy wywnioskował, że zdaniem czarnoksiężnika grzyboludom nie należy się wodny pochówek.

– Oddamy ich Matce Wodzie, a ja ich opłacę, jakby byli moimi własnymi kuzynami w drugiej linii – zadeklarował wódz.
– Nie znamy tych ludzi. Zabijamy ich, żeby ratować nasze dzieci. Mam tylko nadzieję, że Matka Woda nam wybaczy.

– Mają skórę i włosy demonów. Czy naprawdę trzeba oddawać ich rzece? – warknął Sinsinawa.

Dyas Bellvoo popatrzył na niego ze szczytu swego monumentalnego nosa.

– To naturalne i przyjemne demonizować tych, którzy wyglądają i zachowują się inaczej od nas, Sinsinawo, ale to również oznaka ignorancji i niedojrzałości. Dziwi mnie, że jeszcze z tego nie wyrosłeś.



ROZDZIAŁ 9

Klif

Gdzie jest Garth? – zaniepokoił się Wulf.

– Odszedł w nocy – odparła Thyri.

– Co? Jak to odszedł? – spytał Finn.

– Gotuj się do drogi, mój Finnbogi – powiedział Wulf. – A jak już się ogarniesz, pomóż Frejdis i Ottarowi.

Finn kiwnął głową i zaczął zwijać posłanie, otwierając szeroko oczy ze zdumienia i czując kwitnącą w jego sercu wesołość. Czy Garth naprawdę sobie poszedł? Nie ośmielił się od razu w to uwierzyć, na wypadek gdyby był to kolejny żart bogów.

Czy to możliwe, by Garth wreszcie poszedł sobie w cholerę? Czy to dziś będzie najlepszy dzień w życiu Finna?

– Ottar mówi, że dwudziestu jeden ludzi idzie tu, żeby nas zabić – oznajmiła Frejdis. – Będą tu niedługo.

No, może nie najlepszy.

– Nie wiesz może, Ottarze, z której strony idą?

Frejdis popatrzyła na brata, a potem wskazała na północ po linii klifu.

– Stąd. – A potem na południe. – I stąd.

– Niech to kruk i wrona rozdziobie... – syknęła Sassa.

– Już prawie tu są – dodała Frejdis.

Wulf rozejrzał się. Rozbili obóz przy krawędzi klifu, nieopodal ścieżki biegnącej z południa na północ lub z północy na południe, w zależności od tego, z której strony patrzeć. Na zachodzie było wzniesienie oraz skalista przepaść opadająca niemal pionowo do zalewiska Matki Wody, ziemię na południu porastał zbity las.

– Poproś Ottara, żeby następnym razem dał znać szybciej – polecił Wulf.

– Dopiero wstał.

– A, to w porządku.

– Czyli schodzimy klifem – powiedziała Thyri.

– Nie ma takiej opcji.

– Czyli przez las? – podsunęła Sassa.

– Wtedy się podzielimy, a poza tym będziemy szli wolniej i wystrzelają nas jedno po drugim. Nie, musimy walczyć. Thyri i Finn, brońcie południowej ścieżki. Ja stanę na północnej, Sassa, ty cofnij się tam i osłaniaj obydwie wyjścia z polany swoimi strzałami. Gunnhilda, do Sassy. Rozwal łeb każdemu, kto ją zaatakuje. Bodila, ty schowaj się za Sassą i Gunnhildą z Frejdis i Ottarem.

Chłopiec podskakiwał, pokazując palcami.

– Chciałby wiedzieć, jakie pozycje mają zająć Hugin i Munin –

przełożyła Frejdis.

– Dobre pytanie – powiedział Wulf, drapiąc podbródek. – Ottarze, każ im iść do lasu. Ich zadaniem jest podgryzanie skrælingów, którzy będą uciekać.

Chłopiec odpędził szopy, a one uciekły do lasu z niemożliwą prędkością, nie próbując nawet ukryć ulgi, jaka je ogarnęła, gdy zwolniono je z praktycznego udziału w bitwie.

Finnbogi stał przy Thyri na skraju polany, w miejscu gdzie wyłaniała się z gęstwiny ścieżka. To zabawne, jak szybko wszystko się zmienia. W jednej chwili był najszcześliwszym człowiekiem na świecie, bo Garth sobie poszedł, a teraz żałował, że go z nimi nie ma. Jego tata, Bjarni, Kif i Astrid też by się teraz przydali.

– Stoimy co najmniej dwie stopy od siebie – rzuciła Thyri półgębkiem, ściskając w jednej ręce saks, a w drugiej tarczę. Wpatrywała się twardo w ścieżkę, na której lada chwila spodziewała się skrælingów. – W ten sposób nie będziemy sobie wchodzić w drogę. Postaraj się nie ruszać ze swojego miejsca. Nie wolno nam nikogo przepuścić. Jeśli będziesz musiał się przemieścić, żeby nie zginąć, zrób to. Mam nadzieję, że Gryziwarga naszpikuje strzałami każdego, kto nas minie.

– Dobra.

Finnbogi zaczął dyszeć. Jego miecz Wrogobójca ciążył mu w ręce. Oczywiście tak naprawdę nie był to jego miecz, tylko jarla Brodira. Właściwie jego też nie, należał przecież do samego Olafa Odkrywcy. W każdym razie chodziło mu o to, że nie bardzo wiedział, jak go używać. Nie powinien w ogóle brać miecza do ręki. Walka to nie jest jego mocna strona. Umrze tutaj i cały jego trening zda się psu na budę.

– Nic ci nie będzie, Finn – powiedziała Thyri. – Pamiętaj o parowaniu, uczyłam cię tego wczoraj. Jeśli zauważysz lukę

w gardzie, zadaj cios, ale zabijanie zostaw mnie. Ty tylko paruj i przeżyj.

– Szkoda, że nie doszliśmy do zadawania ciosów.

– Przerobimy to następnym razem.

– Jeśli będzie jakiś następny raz.

– Będzie. Rozluźnij się. Thor jest z nami. Wszystko będzie w porządku. Nie nakręcaj się tak, dopóki wróg się nie pojawi. Pomyśl o czymś innym.

Mógł myśleć tylko o jednej rzeczy.

– Jak teraz stoicie z Garthem? – spytał.

Obrzuciła go spojrzeniem, na którego widok sam Thor uciekłby z pola bitwy, a Finn ucieszył się, że jednak udało mu się pomyśleć o czymś innym niż o zbliżającej się śmierci.



– Masz, weź to – powiedziała Sassa, wręczając Bodili swój żelazny nóż. Bodila patrzyła na niego, jakby to była martwa od tygodnia ryba. – Jeśli jakiś skræling się przedrze, będziesz musiała bronić dzieci.

– Jasna sprawa – powiedziała Bodila.

Sassa nie była pewna, czy dziewczyna zrozumiała, ale gdy już rozpocznie się bitwa, pewnie zrozumie.

Na szczycie klifu było dziwnie cicho. Njord, bóg wiatru, wciąż jeszcze spał. Sassa omiotła wzrokiem dolinę. Łodygi dymu szły prosto w niebo z rozrzuconych po wyspach i brzegach rzeki palenisk. Zabawne, pomyślała, że podczas gdy ja budziłam się, jadłam śniadanie i żyłam w Harówce, ci ludzie robili tutaj dokładnie to samo, nie wiedząc nawet, że istnieję. A gdy już umrę, będą dalej robili to samo, zupełnie jakby moje życie nie miało żadnego znaczenia...

Próbowała skupić się na nadchodzącej walce. Wulf stał po jednej stronie, gotowy i skupiony, po drugiej zaś równie skoncentrowana Thyri z Finnbogim. Zakładając, że atakujący podzielili się na dwa równe oddziały, z każdej strony nadejdzie po dziesięciu wojowników. Och, no cóż, nie ma sensu się tym teraz martwić. Umrzesz, kiedy umrzesz.

Pierwsi dwaj skrælingowie nadeszli od strony Wulfa. Wyłonili się nagle spośród liści i gałązek, skradając się bezgłośnie w ich stronę. Byli ubrani jak wojownicy, w rękach dźwigali kamienne topory. Stali poza zasięgiem młota jej męża, przeskakując nerwowo z nogi na nogę. Pewnie nigdy nie widzieli tak wysokiego mężczyzny, a już zwłaszcza dzierżącego broń, która była wielką bryłą żelaza na grubym trzonku. Sassa wymierzyła z łuku.

– W czym mogę pomóc, panowie? – zapytał Wulf. Nie odpowiedzieli. – Nie chciałbym was zabijać, jeśli chcecie powitać nas na swoich ziemiach kosztem owoców.

– Wybacz, kolego – powiedział ten bliżej, drobny mężczyzna o szurzej twarzy, osadzonych blisko oczach i ostrym nosie. – To nie owoce. – Zamachnął się toporem.

Wulf sparował. Kamienna głowica pękła w kontakcie z żelaznym obuchem. Wulf wyprowadził cios i wgniół twarz drugiemu napastnikowi, który upadł na ziemię.

Pierwszy skræling odskoczył od niego i sięgnął po nóż. Wulf łypnął na Sassę, a potem zszedł z drogi jej strzale. Gryziwarga trafiła przeciwnika w pierś. Facet spojrzał na lotki sterczące z jego klatki piersiowej, a potem na Sassę. Wyraz przerażenia na jego twarzy przypominał jej Hrolfa, w chwili gdy pozbawiała go życia. Przez moment myślała, że zwymiotuje, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą.

Wtedy dopadła ich pozostała dwudziestka. Naparli jednocześnie z obu stron.

Finnbogi padł na ziemię prawie od razu, podcięty sprytnym ciosem maczugą. Thyri chlastała przeciwników saksem i blokowała ciosy tarczą, nie pozwalając się trafić i zmuszając wroga, by cofnął się na długość miecza. Kilku musiało podać tyły, trzymając się za krwawiące rany. Finn wygramolił się na nogi. Zamachnął się mieczem na jednego ze skrælingów, kobietę mniej więcej w wieku Gunnhildy, ale ona uchyliła się przed ciosem i trzasnęła Finna w zuchwę kościstą piąstką. Chłopak zachwiał się, a ona złożyła się do decydującego ciosu toporem.

Wulf powiedział Sassie, żeby nie strzelała do dużych grup, ale żona nie powinna we wszystkim słuchać męża, no nie? Jej strzała wżarła się w krtań kobiety.

– Paruj, Finnbogi, paruj! – krzyczała Drzewonoga, trafiając innego przeciwnika tarczą w nos.

Po drugiej stronie polany Gruby Wulf walczył jak sam Thor, skacząc, machając młotem i rycząc wściekle.

Ale było ich zbyt wielu.

Trzej sprawni wojownicy zepchnęli Wulfa do środka obozu, pilnując, by osłaniać się nim od strzał Sassy.

Finnbogi znów wylądował na ziemi, a Thyri również dała się zepchnąć do środka. Wkrótce zetknęła się ramieniem z Wulfem, dwa kroki od Sassy. Oboje atakowali coraz rzadziej, a bronili się coraz częściej.

Sassa rozpaczliwie szukała celu, ale wrogów było zbyt wielu i znajdowali się zbyt blisko Harowian. Bała się strzelać, by nie trafić przypadkiem męża lub koleżanki.

Na polanę wylazili kolejni skrælingowie.

Gunnhilda rzuciła się naprzód, wznosząc bojowy okrzyk i swój buzdygan. Powaliła jednego, dwóch, trzech napastników, zanim kamienny topór trafił ją w skroń. Wylądowała na ziemi. Finn znowu wstał na nogi, ale był już oszołomiony i nikt nie zwracał na niego baczniejszej uwagi.

Ktoś ciął Wulfa toporem w ramię. Trysnęła krew i wojownik zachwiał się, gdy dwaj skrælingowie naporli na niego. Ktoś podciął Thyri, dziewczyna grzotnęła o ziemię. Leżała na plecach, wijąc się jak fryga, tnąc saksem i waląc tarczą na lewo i prawo, kopiając nogami jak obrócony na plecy żuk.

Nie mieli się czego wstydzić. Zabili lub poranili połowę napastników, lecz teraz pół tuzina z nich stało przed Sassą, dysząc jak byki gotujące się do szarży. Była wszystkim, co dzieliło ich od skrytych za jej plecami dzieci i Bodili. Wiedziała, że rzucą się na nią, gdy tylko uniesie łuk.

Chwiejący się na nogach po jej lewej stronie Wulf wreszcie upadł. Thyri wciąż nie udało się podnieść z ziemi, ale mimo że nie przestawała ciąć i kopać, teraz otaczało ją pięciu przeciwników.

Sassa Gryziwarga podniosła łuk. Skræling puścił się naprzód, a ona strzeliła mu prosto w pierś z odległości kilku kroków. Dostał, ale co z tego, skoro szli na nią dwaj kolejni.

Za jej plecami Bodila krzyknęła tak głośno, że aż Sassie zaświdrowało w uszach. Dzięki, Bodila, zdążyła jeszcze pomyśleć. To bardzo pomocne.



Eryk Złośnik, Kif Berserk i Bjarni Kurza Twarz ruszyli na północ jeszcze przed świtem. Z dwóch powodów: po pierwsze, chcieli jak najszybciej dołączyć do reszty, a po drugie, było im cholernie zimno. Poświęcili swoje koszule, by zrobić kukły, które – mieli nadzieję – zmylą pogoń, a potem ruszyli rzeką, brodząc po kolana w wodzie, żeby nie zostawić śladów. Wyszli z rzeki już jakiś czas temu, ale wciąż nie mogli się ogrzać.

Ponieważ ruszyli w drogę nocą, dopiero teraz, gdy słońce wspięło się już na niebo, ich oczom ukazał się zapierający dech

w piersi widok na dolinę Matki Wody.

Bjarni nie zdołał powstrzymać okrzyku zdumienia i zachwytu.

Ze względu na dwóch towarzyszy Eryk pilnował się, by nie zrobić tego samego, w końcu był tu już kiedyś i nie chciał wyjść na głupka.

– Rzeka wezbrała od ostatniego razu, gdy tu byłem.

– Gdybyśmy zabrali ze sobą moją łódkę, przepłynęlibyśmy migiem – wymamrotał Kif.

Eryk nie mógł się nadziwić, jak inaczej wyglądają jego towarzysze bez włosów. Długo opierali się przed ich ścięciem, ale nie tyle, ile Kif upierał się, by nie porzucić jego łodzi. W każdym razie wszystko wskazywało na to, że plan zadziałał i zwiadowczynię owslanek udało się wyprowadzić w pole tymi skleconymi naprędce kukłami, a więc nie porzucili kajaka i włosów na próżno.

Tyle że wyglądali zupełnie inaczej.

Pozbawiony kuli czarnych loków Bjarni Kurza Twarz stał się całkiem przystojnym facetem o lepiej widocznych oczach i wyraźnie zarysowanej żuchwie, ale wyglądał jakoś tak zwyczajnie. Jego kruczoczarna szopa nadawała mu przystępny, sympatyczny wygląd. Teraz z twarzy był podobny do każdego.

Kif zniósł przeobrażenie o wiele gorzej. Gdy Eryk patrzył wcześniej na Berserka, myślał: oto człowiek z długimi włosami i brodą, teraz zaś: oto człowiek z głową o wiele za małą w porównaniu z resztą ciała. Po dwudziestu latach spędzonych wśród ciemnookich Lakchanów Eryk wciąż nie mógł się przyzwyczaić do błękitnych oczu Harowian, ale podczas gdy oczy Wulfa czy Frejdis były uderzające, małe oczka – a właściwie oczko – Kifa osadzone głęboko w okrągłutkiej czaszce sprawiały, że wyglądał jak nocne zwierzę, które ktoś wypędził z jamy przed południem.

– Bjarni, powinieneś był zachować włosy – rzucił Kif, gdy trakt skręcił pod górę. – Wyglądasz jak dzielny Baldur, najnudniejszy z wszystkich bogów.

– Ty za to wyglądasz świetnie – odciął się Bjarni.

Niedługo później ścieżka rozdzieliła się i musieli wybrać, czy wspinać się na klif, czy też zejść do doliny.

– Może tam w dole ktoś widział naszych – namyślał się Eryk. – Może nawet spotkamy ich nad rzeką i przepawimy się razem.

– Albo spotkamy tych, którzy ich zabili, a teraz zabiją nas, i wszyscy pójdziemy do Walhalli razem, trzymając się za rączki – gderał Kif.

– Może być i tak, ale wydaje mi się, że powinniśmy iść do doliny.

– Pewnie masz rację.

– Mnie tam wszystko jedno – rzucił Bjarni.

– A zatem dolina.

Gdy zeszli w dół i ruszyli drogą przez młodszymi, nie tak zbity i rozbrzmiewający głosami zwierząt las, zupełnie różny od tego okalającego grań, zmroził ich wrzask.

Spojrzeni po sobie.

– To gdzieś na... – zaczął Bjarni.

– Gdzieś na górze – wszedł mu w słowo Kif. – To była...

– Bodila.

– Tak.

– Chuj, dupa, kurwa, cipa! – warknął Eryk.

Dwaj Harowianie obrzucili go spojrzeniem, a on uświadomił sobie, że bezwiednie przeszedł na lakchański.

– Przepraszam, chciałem powiedzieć: ojej, ona jest tam, a my tutaj, cóż za pech, że poszliśmy tym drugim traktem. Ale krzyk dobiegł nie tylko z góry, ale też gdzieś z przodu, no nie?

Dwaj młodzieńcy pokiwali głowami.

– Nie możemy się cofnąć, bo dojdziemy tam za sto lat. Musi

być jakaś inna droga. Chodźmy!

Eryk wyszarpnął maczugę z pętli przy pasie. Nie dlatego, że będzie mu zaraz potrzebna, tylko dlatego, że w czasie biegu obijała mu się o udo. Pognął leśną ścieżką, a pozostali dwaj Harowianie pomknęli za nim.

Biegli tak szybko, że nie zobaczyli skrælingów, dopóki nie minęli zakrętu i nie wbiegli prosto na nich.



Owslanki wyruszyły o świcie. Paloma pobiegła przodem, jak zwykle, ale tym razem z wyraźnym rozkazem upolowania w końcu jakiegoś widłoroga. Reszta kobiet zdążyła za nią, znacznie zwiększywszy tempo. Sofi na czele, za nią Sitsi, później Talisa, Jutrzenka i Chogolisa. Yoki Choppa, jak zwykle, truchtał na samym końcu.

Paloma wzięła pod uwagę wróżby Yokiego Choppa i szybko podjęła trop, ale choć rozglądała się po drodze, aż bolała ją szyja, nigdzie nie widziała widłorogów.

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, dopędzimy ich w dwie godziny – powiedziała.

Ale nic nie szło dobrze. Yoki Choppa powiedział wcześniej, że zaczną opadać z sił po dwóch, trzech dniach.

Był dzień trzeci.



Bodila Gęsiodzioba wrzasnęła z niespotykaną u niej furją, przemknęła obok Sassy i wbiła nóż w szyję przeciwnika. Kobieta i skræling padli na ziemię, szamocząc się jak gryzące się psy, a Sassa potrzebowała chwili, by dotarło do niej, że Bodila ocaliła jej życie.

Ale to nie znaczyło, że Sassa to życie zachowa, bo właśnie zmierzało w jej stronę czterech skrælingów. Wulf siedział na ziemi. Bezwładna ręka zwisała mu z barku, drugą opędzał się młotem od dwóch napastników. Thyri leżała na plecach, jeden ze skrælingów trzymał ją za kostkę i teraz próbował złapać za drugą, co nie było łatwe, bo Thyri kopała jak szalona, podczas gdy dwaj inni skrælingowie szczerbili jej tarczę bezlitosnymi uderzeniami toporów.

Finnbogi chyba zebrał się do kupy. Uniósł miecz i ruszył na wroga. Sassa poczuła przypływ nadziei. Chłopak zamachnął się na jednego skrælinga, który uskoczył przed klingą Wrogobójcy, trafił Finna pięścią w brzuch i złapał go za rękę dzierżącą miecz. Zaczęli się siłować.

Sassa skierowała naciągnięty łuk na trzech mężczyzn i kobietę, którzy kroczyli w jej stronę. Nie spieszyli się, bo mieli pełno czasu, ale szli twardo naprzód. A więc było już po wszystkim i...

– WOOOOOO-TA!

Garth Kowadłogęby wpadł na polanę jak uzbrojony bizon. Jednym Bliźniakiem trafił w szyję mężczyznę mocującego się z Finnbogim, podwójnym cięciem od dołu powalił dwóch napastników łomocących toporami w tarczę Thyri i zanim spadł jak grom na czwórkę zmierzającą do Sassy, poderżnął jeszcze po drodze gardło zaplątanemu w bitewną gęstwę skrælingowi.

– Wooo-ta! – wrzasnął Wulf, z nową werwą włączając się do walki, niczym zabawkowy żołnierz wystrzelony z procy. Przygrzmocił jednemu ze skrælingów w głowę, aż zadzwoniło. – Wooo-ta! – ryknął na drugiego, który cofnął się o krok z niewyraźną miną.

– Wooo-taaa! – ryknęła Thyri, wtłaczając siłującemu się z jej nogami skrælingowi piętę w twarz. Skoczyła na nogi, poprawiła

umbem potrzaskanej tarczy, a potem cięła potężnie saksem, przerywając żebra i płuca.

– Wooo-ta! – zawołała Bodila, ale nie ruszyła się z miejsca u boku Sassy.

Teraz to skrælingowie byli otoczeni. Ta czwórka, która wciąż stała na nogach, popatrzyła na zbryzganych krwią, idących na nich Harowian, potem wymieniła spojrzenia i uciekła północnym traktem.

Wotanie stanęli, dysząc i kołysząc się na nogach.

– To chyba nie taka zła nazwa – wyszczerzył się Garth.



Finnbogi zamrugał, nie wiedząc, co się dzieje, i podszedł do Gunnhildy. Oberwała w czoło toporem, ale nie krwawiła zbyt mocno i jeszcze oddychała. Rana na ramieniu Wulfa była o wiele głębsza i paskudniejsza, ale nie aż tak poważna. Thyri utykała, ale upierała się, że wszystko gra.

Nikt nie zginął ani nie został poważnie ranny, co było niesamowite i dowodziło, że ten śmieszny trening hirdu nie był wcale taką stratą czasu. Właściwie to Finnbogi czuł się teraz śmieszny. Nic nie wniósł do bitwy. Przeszkadzał tylko. Pot spływał mu po plecach, ale nie z wycieńczenia, tylko ze wstydu. Był po prostu do niczego. Każdy kogoś zabił, nawet Gunnhilda. Nawet Bodila!

– Musimy dogonić skrælingów, bo wrócą z posiłkami – powiedział Garth. – Finnbogi, jesteś szybki, chodź ze mną!

– Ja też pójdę – zaoferowała się Sassa.

– Nie. Zostań tutaj, zajmij się rannymi. Finnbogi, biegiem!

„Próbowałeś mnie zabić. Nigdzie z tobą nie biegnę. Może i dałem dupy w walce, może myślisz, że chciałbym to jakoś naprawić, ale nie dbam o to, co pomyślą o mnie Wulf, Sassa

i Thyri. Zostaję tutaj” – to chciałby powiedzieć, gdyby miał odwagę. Zamiast tego zawołał:

– Wooo-ta! Naprzód!

I puścił się leśną drogą. Usłyszał, że Garth biegnie za nim.



Sofi Tornado miała nadzieję, że to tylko wyobraźnia płata jej figle, ale wkrótce przekonała się, że bynajmniej. Po prostu się męczyła. Karibu zwiększa wytrzymałość, osa tarantulojastrzębia – siłę. Potrzebowały mięsa obydwu, by móc biec cały dzień, a od trzech dni nie zjadły ani kęsa. Po godzinie biegu zaczęła zwalniać. Nawet poczuła ból w prawym udzie. Nadzieja, że może przynajmniej reszta dziewczyn radzi sobie lepiej, rozwiąła się jak sen, gdy Sofi znalazła Palomę siedzącą na pniu z łokciami wspartymi o kolana.

Kobieta podniosła na dowódczynię otwarte szeroko oczy. Jej policzki płonęły czerwienią.

– Przepraszam... Chyba jestem chora... Musiałam chwilę odsapnąć...

– Ja też czuję się zmęczona – odezwała się Jutrzenka.

– Ja też – rzekła Sitsi. – Chogolisa i Yoki Choppa chyba zostali w tyle. Musiałyśmy zjeść coś nieświeżego. To pewnie ta wczorajsza sarnina. Tak mi się wydawało, że kiepsko wyglądam.

– Właściwie to nie przez to, co zjadłyśmy, ale przez to, czego nie zjadłyśmy – westchnęła Sofi.

– Co?

– Odpocznijcie, poczekajmy na tę dwójkę. Wyjaśnię wam wszystko, jak dobiegną.



– Uf! – Eryk odskoczył pół kroku do tyłu.

Siła zderzenia zwała skrælinga z nóg. Siedział na tyłku, wybałuszając na Eryka oczy. Za jego plecami kolejny tubylec cofał się małymi kroczkami, jakby miał nadzieję, że jeszcze nikt go nie zauważył i może uda mu się wymknąć. Obydwaj wyglądali na jakieś dwadzieścia lat, żaden nie robił wrażenia wojownika ani czarnoksiężnika. Tacy tam szeregowi skrælingowie.

– Przepraszam najmocniej – powiedział Eryk, wyciągając prawicę do obalonego mężczyzny. – Trochę się spieszę. – Postawił go na nogi. – Nie widziałeś czasem grupy ludzi, którzy wyglądają jak my? Błdzi, jasnowłosi, wysocy? Jest ich dziewięcioro. Kilka kobiet, dwójka dzieci...

– Jestem Galenar – powiedział dźwignięty z ziemi skræling. – A to Massbak. Widzieliśmy ich i grozi im niebezpieczeństwo.

– Ja jestem Eryk Złośnik, to Kif Berserk i Bjarni Kurza Twarz. Jakie niebezpieczeństwo?

Galenar westchnął.

– Posłuchaj, my nie jesteśmy złym ludem, ale nasze plemię chce ich zabić, bo Calnia chce ich zabić, a my boimy się Calnii. Was chyba też będą chcieli ukatrupić. To myśmy zauważyli was na drodze. Powiedzieliśmy o was wodzowi. On nie chce waszej śmierci, ale ugiął się przed wolą rady dowódczej, na którą, nawiasem mówiąc, nas zaproszono, bo...

– Zwykle nas nie zapraszają – przerwał Massbak.

– Weź, cicho, to nieważne.

– Może weźmiemy ich na męki? – zaproponował Kif. – To przyspieszy sprawy.

– Nie! – wykrzyknął Galenar. – Jesteśmy po waszej stronie! Wódz wysłał oddział, żeby zabił ich o świcie. Massbak i ja doszliśmy do wniosku, że nie wolno zabijać dzieci i takich, no cóż, seksownych pańienek, więc postanowiliśmy ich ostrzec.

– Ale już jest dawno po wschodzie słońca – zauważył oczywistość Bjarni.

– No właśnie wiem. – Galenar zwiesił smętnie głowę. – To moja wina. Próbowaliśmy zbudzić się na czas, korzystając z metody „pij dużo na noc”, ale nie zadziałało. Co jest dziwne, bo zawsze działało.

– Nigdy wcześniej tego nie próbowaliśmy.

– Zamknij się, Massbak!

– Może jakieś szczegóły, co? – niecierpliwił się Eryk.

– Jasne. Chodzi o to, że jak się opijesz wody na noc, to obudzi cię zew natury. Musisz...

– Nie o to pytam. Gdzie nasi ludzie?

– A, przepraszam. Są na klifie. Ale pewnie już za późno. Jest pewna tajemna ścieżka, która prowadzi na sam szczyt. Mieliśmy zamiar nią pójść i zobaczyć, czy może uda się kogoś uratować. Zaczyna się jakieś pięćdziesiąt kroków za wami. Łatwo ją przegapić i...

– I pokażesz nam dokładnie, gdzie jest. Chodź!

– Moment – powiedział Bjarni. – Znam jedną sztuczkę, dzięki której nas nie wyśledzą. Idzie się tyłem po własnych śladach, o tak. – I zaczął się cofać, wciąż zwrócony do przodu, pieczołowicie umieszczając stopy w zostawionych na drodze śladach.

Wcale niezły pomysł, uznał Eryk i zrobił to samo.



Garth i Finnbogi biegli tą samą szeroką ścieżką, którą Finn szedł wczoraj z Thyri. Motyli było jeszcze więcej, woń kwiatów też jeszcze się wzmogła. Ale teraz nie było nawet w połowie tak urokliwie jak wczoraj.

Przebiegli obok polany, gdzie minionego wieczoru miał miejsce trening, i wypadli na kolejną, szerszą, która musiała być jakimś miejscem kultu, bo spomiędzy drzew patrzyły przez

nierówny skalisty zręb na dolinę Matki Wody pięknie wyplecione z szuwarów olbrzymie ryby.

Pomiędzy dwiema rybami stało czterech skrælingów. Wyglądali na o wiele groźniejszych niż w momencie ucieczki ze szczytu. Dwaj mieli topory, dwaj kolejni włócznie o kamiennych grotach. Finnbogi wy dobył miecz z pochwy i przybrał groźną minę.

– Z drogi, Zbuk. – Garth przepchnął się obok niego i ruszył na skrælingów.

Cała nadzieja na to, że Kowadłogęby rzeczywiście potrzebował pomocy Finna, wyparowała. Potężny, opancerzony wojownik zabije skrælingów, a potem z pewnością rzuci się na niego. Co Finn mógł teraz zrobić?

Garth odbił włócznię na bok jednym toporem, a drugi zatopił w głowie włócznie. Kolejny grot zsunął się po jego kolczudze, a Kowadłogęby okręcił się i otworzył napastnikowi kałdun. Skræling klapnął ciężko na tyłek, spojrzał na własne lśniące wilgocią flaki wypełzające z rany szerokiej jak jego tors, a po chwili zaczął pakować je z powrotem do środka.

Finnbogim wstrząsnęły mdłości, odkaszlnął. Naprawdę jestem do niczego w bitwie, rozbłysła mu w głowie myśl. Mrugał oczami, chcąc wypędzić spod powiek łzy, które nabiegły tam przez kaszel.

– Wooooo-oo-oo-oo-ta! – warknął Garth, idąc na dwóch pozostałych skrælingów, którzy usiłując zasłonić się sobą nawzajem, cofali się nad urwisko.

Kiepsko wybrali miejsce.

Pierwszy z nich zaniósł się wrzaskiem i rzucił na wroga. Garth wyprowadził podwójne cięcie od dołu i obciął mężczyźnie obie ręce. Następnie wypuścił topory z rąk, by te obwisły na rzemiennych pętłach, które miał zarzucone na nadgarstki, a potem złapał mężczyznę za szyję i przepaskę biodrową,

potężnym zrywem uniósł nad głowę i, zbryzgany jego krwią, rzucił go w przepaść.

O kurde, pomyślał Finn wbrew sobie.

Ogarnięty szałem Garth sądził pewnie, że ten drugi skræling będzie grzecznie czekał na śmierć z jego wojowniczych rąk, ale ten ani myślał. Rzucił się na Kowadłogębego, dał nura i oplótł go ramionami w pasie akurat wtedy, gdy mężczyzna obracał się do niego przodem. Obaj spadli w przepaść.

Genialnie! – pomyślał Finnbogi. Ja zrobiłbym to inaczej, ale i tak jest nieźle. Podpełzł do zrębu, wychylił się ostrożnie i spojrzał w dół.



Między drzewami Eryk widział, że ścieżka zmierza prosto na klif, ale nie dostrzegł, by pięła się do góry. Będą się wspinać czy jak?

Przełknął ślinę. Dobrą cechą terytoriów Lakchanów i Harowian była ich względna płaskość. Trzeba się było bardzo namęczyć, by w takich warunkach umrzeć od upadku z dużej wysokości, na przykład wejść na drzewo. Nie było żadnych ukrytych ścieżek prowadzących na klify, które, zapewne przez swoją tajemną naturę, były rzadko używane i kiepsko utrzymane, bo po co one komu.

Złapał okiem ruch po stronie południowej. Z klifu spadała jakaś postać, pryskając wokoło ciemnym płynem. Eryk nie widział, czy ten człowiek był związany, czy... nie miał ramion? To by tłumaczyło, czemu tak pryskał. Złośnik nie wiedział, co tam się wydarzyło na szczycie, ale całe zajście przypomniało mu tylko, jak nieubłaganą siłą jest grawitacja.

– Na cycki Thora – syknął Bjarni. – Widziałeś to?

– Tak.

- Dobrze, tylko sprawdzam.
- Walka chyba już się zaczęła.
- Lepiej się pospieszmy.
- Tak, lepiej się pospieszmy – przystał Eryk. Powiódł wzrokiem po ścieżce na szczyt wzniesienia i przełknął ślinę.



Finnbogi zwany Zbukiem podszedł tak blisko do krawędzi, jak tylko się odważył. Wyciągnął szyję jak żuraw, by rzucić okiem w dół. Skrælinga nigdzie nie było, ale Garth Kowadłogęby, niech go trafi z jasnego nieba grom Thora, wisiał uczepiony porastającego pionową ścianę krzaka, drapiąc nogami skalistą ścianę.

Dyszał jak rodząca samica bizona, próbował się podciągnąć, ale na próżno. Skała była zbyt krucha, a choć krzak za nic nie chciał się ułamać, wydawał się też dość śliski. Garth uniósł oczy na Finnbogiego. Jego mięsista twarz była wykrzywiona w grymasie wyczerpania, ale oczy lśniły niezachwianą męską pewnością siebie. Finn nie dojrzał w nich błagania ani prośby, tylko pewność, że to popychadło Finnbogi zwany Zbukiem pomoże mu wdrapać się na górę, nawet pomimo tego, że przecież jeszcze dwa dni temu wojownik próbował go zabić.

Daleko pod Garthem sunął leniwie nurt Matki Wody, wczesnoporanne słońce barwiło rzekę na pomarańczowy brąz, a opływane przez nią wyspy lśniły w złotych promieniach soczystą zielenią. Już wypłynęło kilka łódek rybackich, środkiem strumienia sunął z prądem większy statek, rozwijając niezłą prędkość, a tu i ówdzie śmigały z jednego brzegu na drugi kajaki oraz opasłe promy, których nie imał się prąd. Finnbogi odgadł, że muszą płynąć po rozwieszanej przez rzekę linie. Długiej i grubej, dodał w myślach. Lepszej od którejkolwiek z harowiańskich lin.

– Co ty robisz? – charknął Garth. – Dokąd idziesz? Wracaj tu zaraz!

– Pójdę po coś, dzięki czemu będę mógł ci pomóc. – Finnbogi trząsał się z nienawiści i podniecenia. Ten człowiek usiłował go zabić. Ten mężczyzna spał z Thyri.

Finnbogi choć raz zrobi coś, co wymaga odwagi. Nawet jeśli nie przyniesie mu to chluby.

– Przecież sięgniesz do mnie ręką, ty głupku. Albo użyj miecza. Bo co innego miałbyś z nim zrobić? Wracaj tu, Zbuk. Ale już!

Finnbogiemu dreszcz przebiegł po kręgosłupie. Na smętnego fiutka Lokiego, ależ on nienawidzi tego przydomku.

Skræling, którego wybebeszył Garth, jęczał i skamlał, nieudolnie próbując włożyć swoje flaki tam, gdzie umieścili je skrælińscy bogowie. Zobaczył, że Finnbogi idzie ku niemu, więc zaczął gorączkowo szukać na ziemi swojego topora. Finn okrążył go łukiem i znalazł ramiona, które Garth odrąbał jego pechowemu przyjacielowi.

Podniósł jedno. Było zaskakująco ciężkie. Znowu obszedł umierającego w męczarniach skrælinga i wrócił do Gartha.

– Złap mnie za rękę – powiedział do niego i dziabnął go w twarz martwymi palcami.

Garth uchylił się i złapał trupie ramię za nadgarstek. Zanim Finn zdążył puścić, Garth podciągnął się i uśmiechając się, wstał.

Finnbogi wciąż trzymał w ręce drugie odrąbane ramię. W mordę skunksa, pomyślał. Jakie to głupie. Garth wyrwał mu ramię i rzucił za siebie. Ręka okręciła się w powietrzu, spadając niżej i niżej, ku tafli Matki Wody.

Finnbogi sięgnął do Wrogobójcy.

– Śmiało – ponaglił go Kowadłogęby. – Dobądź miecza.

– Na razie umiem tylko parować – usłyszał własny głos. Finnbogi nie był zbyt dobry, jeśli chodzi o heroiczne teksty.

– Dobądź albo umrzesz bezbronny.

„Uderz pierwszy, uderz mocno” – Thyri Drzewonoga nauczyła go tego na pierwszej lekcji, kilka dni i milion lat temu.

Finnbogi wyszarpnął ciężki miecz z pochwy i zamachnął się na Gartha.

Zanim broń znalazła się w najwyższym punkcie zakreślonego ostrzem łuku, Garth przystąpił do Finnbogiego, złapał go za nadgarstek i ścisnął. Miecz zadzwonił o skałę. O wiele większy i o wiele cięższy mężczyzna odepchnął go od krawędzi, wciąż miażdżąc mu nadgarstek. Finnbogi czuł naciskające na siebie kości.

– Jesteś takim gównem, że to aż śmieszne.

Finn podniósł wzrok na wyszczerzoną twarz Gartha. Zapieklą nienawiść zarazem dodała i odjęła mu sił.

– Ja... – zaczął.

– Nie bój nic – powiedział Garth, puszczając go i odpychając. – Rozumiem cię. Nie mogę cię winić za to, że próbujesz mnie zabić.

– Ty pierwszy próbowałeś mnie zabić, chuju!

– Nieprawda. To ty pierwszy zapragnąłeś mojej śmierci. Ty to wiesz. Ja to wiem. Kochasz Thyri. Ale ona kocha pukać się ze mną. Nawiasem mówiąc, dobra jest w te klocki. Rzeczy, które robi, rzeczy, o które mnie błaga... Niektóre są dość obrzydliwe, ale robię je, bo nie uwierzysz, co ona robi dla mnie w zamian. – Garth uśmiechnął się i pokręcił głową.

Finnbogi był tak zły, że z trudem hamował łzy. Gdyby się teraz rozplakał, nie wyglądałoby to dobrze.

– Ona cię nie kocha – krzyknął.

– Kocha, Zbuki. Na tyle różnych sposobów.

Finn zawył i rzucił się na Gartha. Pięść wystrzeliła nie wiedzieć skąd i odleciał do tyłu. Miał wrażenie, że głowa okręciła mu się dookoła jak zabawkowy ptak na sznurku. Splunął krwią.

Garth stał wyprostowany, z rękami wspartymi na biodrach.

Z wypiętą dumnie piersią osłoniętą kolczugą. Z tym swoim hełmem na głowie, w którym odbijały się promienie słońca. Wyglądał jak bohater z sagi, jak zawsze.

– Wiesz, za co tak cię nie znoszę, Zbuk?

– Bo jestem od ciebie mądrzejszy?

– Nie! Na młot Thora, bynajmniej! Za to, że wydaje ci się, że jesteś. Myślisz, że jesteś najmądrzejszy z nas wszystkich. Kroczysz dumnie tam i nazad, przekonany o swojej wyższości, a prawda jest taka, że nie masz najmniejszego powodu, żeby się wywyższać. Ty nic nie umiesz. Nie umiesz walczyć, nie umiesz szyć, nie umiesz gotować, a jak ci dać plecak z jedzeniem, to zaraz go gubisz. I nie, nie jesteś wcale mądry. Czy ktoś kiedyś zaśmiał się z twojego żartu? Czy ktoś wybuchł śmiechem rozbawiony twoją ciętą ripostą? Czy wpadłeś kiedyś na jakiś dobry pomysł? Czy wymyśliłeś, jak przyspieszyć naszą ucieczkę, wywieść w pole owslanki, zbudować lepszy obóz? Nic, zero. Ale ty i tak myślisz, że jesteś lepszy niż wszyscy. Otóż nie jesteś. Jesteś kulą u nogi. Spowalniasz nas. A ja, przez wzgląd na dobro grupy, teraz zrobię z tym porządek.

Garth uniósł ręce, wielkie jak niedźwiedzie łapy.

Finnbogi próbował go odepchnąć, ale równie dobrze mógłby walczyć ze sztyletozębnym kotem. Garth złapał go za łokieć i za portki, po czym podniósł nad głowę, dokładnie tak jak bezrękiego skrælinga. Finn szarpał się i rzucał, okładał pięściami irytująco umięśnione ramiona, ale Garth trzymał mocno.

Finnbogi był kompletnie bezradny. Przyszło mu do głowy, żeby się zsikać. To jedyna obrona, jaka mu została. Wysiłił się. Nic, ani kropelki. Nawet zeszczuć się nie mógł. Garth miał rację. Był kompletnie do niczego.

Gdy Garth się obrócił, świat zawirował Finnbogiemu przed oczami, a kiedy się zatrzymał, chłopak patrzył na rozpościerającą

się w dole Matkę Wodę. Tak, pomyślał, te łódki muszą pływać po linach.

Garth zrobił krok w kierunku przepaści.



Sitsi Pustułka słuchała uważnie, gdy Sofi Tornado tłumaczyła, skąd się biorą moce owslanek. Sama zawsze myślała, że są wynikiem lat morderczych treningów, codziennych cięć i przyjmowania rozmaitych trucizn, które nadwyręzały, ale i uodporniały organizm – wszystkich tych rzeczy, którym poddawano kandydatki na owslanki. I miała oczywiście rację, ale nie przypuszczała nawet, że każda ma zwierzę mocy, którego mięso musi codziennie spożywać. A więc to był ten sekret, którym nie podzieliła się z nią Jutrzenka.

Usłyszała, że jej wzrok i związana z nim biegłość w strzelaniu z łuku wzięły się od żyjącego na zachodzie jaszczura zwanego sauromalusem. Miała nadzieję na jakieś mniej spase i oślizgłe zwierzę. Czemu nie pustułka?

Lata nauki zaopatrzyły ją w wiedzę na temat wielu rozmaitych zwierząt, tych znanych i tych nieznanymi, a wiele z nich widziała na własne oczy w calnijskich menażeriach, wiedziała więc wszystko o swojej jaszczurce i innych zwierzętach mocy. Jedyńm, na które można się było natknąć w okolicy – i jedynym zwierzęciem brzydszym od jej – był żuk gnojowy Chogolisy. Yoki Choppa miał w Calnii zapas mięsa każdego zwierzęcia, ale byli przecież daleko od Calnii.

– Powinniśmy jak najszybciej zawrócić – powiedziała Jutrzenka. – Możemy pójść do Matki Wody, skombinować łódź i zapasy, a potem ruszyć z powrotem do domu. W kilka dni będziemy na miejscu.

– Nie – zabroniła Sofi. – Wciąż jesteśmy najlepiej wytrenowanymi wojowniczkami na świecie. Nawet jeśli utraciliśmy część naszej mocy, to nie jesteśmy całkiem pozbawione magicznego wzmocnienia alchemików. Ta przewaga wystarczy, żebyśmy poradziły sobie ze wszystkim, co stanie nam na drodze. Do Kifa i pozostałych grzyboludów brakuje nam ledwie kilku mil i możemy być pewne, że idą do Matki Wody, żeby spotkać się tam z resztą grupy. Ruszamy dalej. Nie będziemy biec, tylko szybko iść, będziemy walczyć w grupie, a nie popisywać się jeden na jednego, i ukończymy misję z palcem w nosie.

– Nie śmiem kwestionować twojego przywództwa, Sofi, zrobię, cokolwiek rozkażesz – zapewniła Jutrzenka – ale bez wątpienia cesarzowa ceni nas na tyle, żeby leżało jej na sercu nasze bezpieczeństwo. Uważam, że powinniśmy wrócić do Calnii i zabrać ze sobą zapas mięsa rozdzielony na dwie albo nawet trzy torby, jak zrobiłby każdy w miarę rozgarnięty człowiek z czymś tak cennym. – Wymierzyła Yokiemu Choppie takie spojrzenie, że gdyby się uchylił, przewierciłaby nim drzewo na wylot.

– Rozważałam taką możliwość – powiedziała Sofi – ale Ayanna jest święcie przekonana, że grzyboludy zniszczą świat. Droga do Calnii i z powrotem zajmie nam przynajmniej dziesięć dni. Do tego momentu grzyboludy będą już głęboko w Badlandach i na zawsze wymkną nam się z rąk. Jeśli Ayanna ma rację, będzie to oznaczało, że zawiodliśmy, a świat czeka nieuchronna zguba.

– Przecież ta przepowiednia to bzdura – rzuciła Paloma.

Wszystkie dziewczyny utkwily wzrok w towarzyszce. Sitsi zachłysnęła się powietrzem. Nawet Yoki Choppa oderwał spojrzenie od swojej alchemicznej miski.

– No co? Bujda. Naprawdę uważacie, że pół tuzina ludzi

z dwójką dzieci może zniszczyć świat? Musieliby władać jakąś wszechpotężną magią, a gdyby nią władali, obróciliby ją przeciwko nam albo przynajmniej uciekli z jej pomocą. Może w tej przepowiedni Ayanny jest ziarnko prawdy, może rzeczywiście grzyboludy zniszczą świat, ale czy wiecie, skąd oni się w ogóle wzięli? Nie? Otóż przepłynęli Wielkie Słone Morze. Tak, po drugiej jego stronie leży kraina, w której roi się od takich samych grzyboludów. Więc jeśli już jakieś grzyboludy zniszczą świat, to raczej te kilka milionów, które zostały na rodzimej ziemi, niż hałastra obszarpańców, którą gonimy cholera wie po co.

Sitsi spodziewała się, że Sofi rzuci się na Palomę albo przynajmniej ją zło, lecz zamiast tego dowódczyni powiedziała:

– Nie ma znaczenia, czy przepowiednia jest prawdziwa, czy nie. Dostałyśmy jasny rozkaz: zabić ich. Gdyby jego wykonanie wiązało się z ryzykiem, rozważyłabym jego złamanie, ale nie jest to żadne ryzyko, na jakie nie poważyłybyśmy się już w przeszłości. Może i czujecie się słabsze niż zwykle, ale wciąż jesteście najpotężniejszymi wojowniczkami na ziemi. Jesteście lepiej wytrenowane i dostatecznie wyposażone, żeby poradzić sobie z małą grupą ludzi słynącą z lenistwa. Z pomocą Innowaka dogonimy grzyboludów, zanim przekroczą Matkę Wodę. Zabijemy ich szybko i bez litości. A potem wrócimy do Calnii i zapomnimy o całej sprawie.



Gunnhilda doszła do siebie i zaczęła obandażowywać przykrytą kompresem ranę Wulfa. Sassa kucnęła przy niej, by jej pomóc.

– Hugin! Munin! – dobiegł z lasu wysoki głos Frejdis, która szukała z Ottarem szopów.

- Gdzie jest Finnbogi? – spytał Wulf.
- Poszedł z Garthem dobić ocalałych skrælingów – powiedziała Sassa.
- Kiwnął głową.
- Idź za nimi, dobra?
- Ale jestem potrzebna tutaj, a poza tym nic im nie będzie. Garth poradzi sobie z... – urwała, gdy pochwyciła spojrzenie Wulfa. – Już idę.



Droga na szczyt była jeszcze gorsza, niż przewidywał Eryk. Jeśli wspinaczkę po pionowej ścianie można w ogóle nazwać drogą. Zaczęło się niewinnie, od szerokiego na stopę traktu wrzynającego się w skalną ścianę, ale gdy trakt się skończył, Galenar powiedział:

- Widzicie otwory na ręce?
- Masz na myśli te małe dziurki, w które ledwo mieści się palec?
- Tak. Niestety, nie zrobiono ich dla olbrzymów. Otwory na ręce są zarazem otworami na stopy. – Młody skræling popatrzył na wielkie buty Eryka. – A przynajmniej taki był zamysł. Na waszym miejscu zdjąłbym te buciory. Za mną.

Galenar wspiął się po klifie jak wiewiórka. Dotarł do półki trzydzięści stóp wyżej, obejrzał się i zawołał:

- No szybciej!
- Złośnik zdjął buty, przewiesił Najlepszego Przyjaciela Indyka przez ramię, wsunął dłonie w otwory i się podciągnął.

Wspinaczka nie wydawała się zbyt trudna, nawet jeśli w każdą dziurę mieściły się góra trzy palce, ale w połowie drogi Eryk miał ręce jak z trzciny. Przycisnął twarz do skały

i odetchnął z trudem. Był już na tyle wysoko, że upadek zakończyłby jego życie, a przynajmniej drastycznie je zmienił.

– Mięknie ci buła? – krzyknął Massbak milę, lub dziesięć kroków, pod nim.

– Mam wrażenie, że moje ramiona składają się wyłącznie z sadła.

– Każdy tak ma za pierwszym razem. Odpocznij chwilę, nic ci nie będzie.

Eryk nie był pewien, czy ma tę chwilę. Całkiem niedawno widział spadającego w przepaść skrælinga. Nie był pewien, jak długo wytrzyma uczepony ściany. Po chwili jednak wróciły mu siły i jakoś wgramolił się na szczyt.

Tylko że okazało się, że to wcale nie szczyt. Oczywiście to by było zbyt proste. Spojrzał w górę i w dół i oszacował, że pokonał jedną trzecią dystansu. Przynajmniej kolejną część wspinaczki pokonają traktem, a właściwie długą i grubą na dłoń skalną półką, ale wciąż lepsze to niż otwory na palce.

– Dojdziemy tą dróżką na sam szczyt, nie?

– Skądże – odparł Galenar. Złapał za zwisającą ze skały linę i nią potrząsnął. Eryk spojrział w górę. Lina wiła się na całej długości aż do punktu, gdzie tkwiła przywiązana trzydzieści stóp nad ich głowami. – Dobrze się wspinasz?



Sassa biegła przez las wypełniony zapachem kwiatów i chmarami motyli. Łuk trzymała w pogotowiu.

Zatrzymała się, usłyszała w oddali głosy i ruszyła pędem.

Na polanie znalazła trzech martwych skrælingów, dwie wplecione z trzciny ryby oraz Gartha trzymającego Finna nad głową i idącego w stronę przepaści.

– Stój! – wrzasnęła.

Garth nie słuchał. Szedł dalej, aż stanął nad samą krawędzią. Coś szarpnęło się w jej żołądku na sam widok tego, jak niewiele dzieli ich od upadku. Sassa nie lubiła wysokości.

– Garcie Kowadłogęby!

– Cześć, Sassa – rzucił ten przez ramię.

– Każ mu mnie puścić! – krzyknął Finnbogi.

– Garth, zrób, jeśli łaska, kilka kroków w moją stronę, a potem postaw Finna na ziemi.

– Ani myślę.

– Proszę?

– Nie.

– Czemu nie?

– Bo tak się składa, że mam zamiar rzucić go w przepaść. – Garth ugiął ramiona.

Sassa porwała strzałę z kołczana, nałożyła i wycelowała w niego.

– Czemu?

– Jest bezużyteczny i wkurzający. Lepiej nam będzie bez niego. Cały świat tylko na tym zyska.

– On nie jest bezużyteczny, tylko inny, Garth. Jeszcze nie znalazł swojej roli w życiu, ale znajdzie. Finnbogi jest w porządku, zostaw go w spokoju.

– Już ja mu znajdę rolę w życiu. Na dnie przepaści mianowicie.

– Nie chcę do ciebie strzelać, Garth.

– To nie strzelaj. Jak strzelisz, to spadniemy obaj. Kij ze Zbukiem, ale mnie potrzebujecie. Gdyby nie ja, już bylibyście martwi. To ja zabiłem skrælinga, który rzucił się na ciebie w Harówce w dniu masakry. Dwukrotnie ocaliłem ci życie, Sasso Gryziwargo. Ani się, kurwa, waż do mnie strzelać.

Miał rację. Gdyby nie Kowadłogęby, zginęłaby już dwa razy. A największym osiągnięciem Finnbogiego było bzyknięcie

i zasmucenie jej przyjaciółki. Opuściła łuk. Obiektywnie do sprawy podchodząc, tak będzie lepiej i już. Jedyne jej celem w życiu było doczekać się z Wulfem potomka. To było wszystko, czego chciała. I kto bardziej jej pomoże w osiągnięciu tego celu? Kto bardziej się przyda w długiej drodze przez niebezpieczną krainę? Trenujący od dziecka opancerzony wojownik, który potrafił pokonać dwóch przeciwników naraz podwójnym cięciem od dołu i który już raz ich wszystkich ocalił, czy introwertyczny nastolatek, który sprawił przykrość jej przyjaciółce i dostał wciury od każdego skrælinga, z którym walczył, nawet od starej kobiety?

Garth okręcił się, przykucnął, ugiął ramiona. Nie tylko chciał rzucić Finna ze skały, chciał cisnąć nim jak najdalej.

– Zastrzel go, Sassa! Zastrzel go teraz! – darł się Finnbogi.

Garth się wyprostował. Finnbogi wrzasnął.



Eryk patrzył, jak trzymający się liny Galenar osadza płasko stopy na ścianie i idzie do góry, jakby wysmarował podeszwy klejem.

Poszedł w jego ślady, ale wolniej, nie tak zwinnie. Pewnie przesuwał ręce po linie i opierał stopy na skale. Na początku szło mu niezłe.

To jak chodzenie, tylko że cały jego ciężar spoczywa na linie. Lina...

Każda lina kiedyś pęka. Bez wyjątku. Nie tylko dlatego, że wszystko kiedyś się psuje, ale dlatego, że liny są podgryzane przez wiewiórki i inne gryzonie. Ta konkretna lina wisi w miejscu, gdzie mało kto chodzi – w końcu to sekretna droga – a więc na pewno jest zaniedbana, na pewno nikt nie sprawdza jej pod kątem podgryzania przez gryzonie. No i nie zapominajmy, że

jej grubość dostosowano do ciężaru najgrubszego skrælinga, czyli kogoś, kto ważył pewnie połowę tego co Eryk. Jeśli kiedyś ta lina pęknie, a to więcej niż pewne, to pod kimś bardzo ciężkim. Takim jak on, żeby daleko nie szukać. A jeśli pęknie – kiedy pęknie – ta osoba będzie leciała w dół tak długo, że zdąży chyba po drodze umrzeć z głodu. Przeleci obok wąskiej skalnej półki i przywali o dno kotliny, jej kręgosłup pójdzie w drzazgi, a ona będzie tam leżała, aż umrze.

Eryk przywarł do ściany, jakby wielki orzeł wyskrzeczwał mu nad uchem, że ma zamiar ucapić go za kark, oderwać od skały, polecieć z nim pod samo niebo i puścić.

– No dalej, człowieku! – krzyknął z dołu Kif Berserk.

Eryk złapał mocniej. Nie ma żadnego „no dalej”, tu mu dobrze.

– Rusz grubą dupę! – zachęcał Kif.

Eryk czuł, że glut ścieka mu z nosa na wargę, ale żeby go otrzeć, musiałby się ruszyć.

„I co, zostaniesz tu na zawsze?” – spytał go wewnętrzny głos, który brzmiał jak głos Astrid. Nie niedźwiedzicy, tylko kobiety, która zdradziła go, a potem wydała na świat Finnbogiego.

Odczep się, pomyślał.

Dziewczęcy pisk przedarł się do jego świadomości, tym razem prawdziwy, nie ten w głowie. Dochodził ze szczytu.

To był Finnbogi! Jego syn! Miał kłopoty!

Eryk odepchnął się nogami od klifu i wspiął po linie na samych rękach jak pająk. Na szczycie, gdy tylko zerwał się na nogi, minął Galenara i pobiegł przed siebie na południe.

– Zaczekaj na resztę! – krzyknął za nim skræling.



Spadanie Finnbogiego przerwało uderzenie o ziemię. O wiele szybciej, niż przewidywał. I o wiele mniej boleśnie. Otworzył oczy.

Nie spadł za krawędź. Uderzył o ziemię za plecami Gartha. Usiadł, zorientowawszy się, że wcale nie jest na ziemi, tylko na martwym skrælingu, i nie za plecami Gartha, bo Garth leży na ziemi, wpatrzony w żelazny grot zakrwawionej strzały sterczący z jego ust niczym metalowy żabi język, którym płaz łapie muchy.

– Szczęście, że upadł na plecy. – Sassa szła w jego stronę z łukiem w ręce.

– Prawda – odparł.

– Nie ma za co – powiedziała.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś.

– Nie pierwszy dupek, którego zabiłam.

Że co? Umysł Finnbogiego wrzeszczał. Przez jedną gorącą, niezrozumiałą sekundę pożądał Sassy Gryziwargi tysiąc razy bardziej, niż kiedykolwiek pożądał Thyri Drzewonogiej. Kogo jeszcze zabiła? I nazwała Gartha dupkiem!

– Nic ci nie jest? – spytał Eryk, który właśnie wbiegł na polanę.

– Rychło w czas, tato – powiedział Finnbogi.

– Wygląda na to, że mieliście małe starcie ze skrælingami.

– Ano.

– Szkoda, że dorwali Gartha.

– Walczył jak lew.

Jego ojciec podszedł do wielkiego trupa i trącił go stopą.

– Ta harowiańska strzała stercząca z jego ust musiała utrudnić mu walkę, nie sądzicie?

Utkwił wzrok w Sassie.

– Chciał zrzucić mnie ze skały. – Finnbogi się zarumienił. – Sassa mnie ocaliła.

– Nie wierzę.

– To prawda, przyrzekam.

– Nigdy w to nie uwierzę. Uwierzę natomiast, że spadł ze skały, ratując cię przed skrælingami.

– Przybiegłam akurat w porę, żeby to zobaczyć – dodała Sassa.
– Niestety, nie udało mi się za bardzo pomóc.

Finnbogi przytrzymał Garthowi głowę, gdy ojciec wrywał mu strzałę z czaszki, a następnie we dwóch stoczyli z klifu zwłoki człowieka, którego zabiła ta cudowna kobieta, by uratować Finnowi życie. To właśnie takich zacieśniających więzi przyjaźni chwil mu brakowało, gdy dorastał bez ojca.



Gdy wróciła wraz z Finnbogim, Erykiem, Bjarnim, Kifem i dwoma skrælingami, na twarzy Grubego Wulfa pojawił się pierwszy od wielu dni szczery, szeroki uśmiech. Który spelzł mu z ust na widok bandażu spowijających głowę Kifa.

– To tylko powierzchowna rana – machnął ręką Kif. – Ledwie draśnięcie.

– No, draśnięcie. Sztyletozębnego kota wielkiego jak stodoła! – dopowiedział Bjarni. – Owslanki obcięły mu ucho i wyłupiły oko.

– Kulawy może jeździć konno, jednoręki może pasać bydło. Lepiej być ślepcem niż trupem – ogłosiła Gunnhilda.

– Włosy też ci obcięły? – zainteresował się Gruby Wulf.

– Nie, to już inna historia.

– Nie mogę się doczekać, aż mi ją opowiesz. Gdzie Garth?

Sassa udawała zajętą dziećmi i szopami, więc Wulf nie mógł patrzeć jej w oczy, gdy słuchał kłamstw Eryka.

Nie była pewna, czy dobrze postąpiła. Zastrzeliła Gartha, ratując Finna, bo popędził ją do tego instynkt. Czy podjęłaby taką samą decyzję, gdyby miała więcej czasu i rozstrzygnięcie powierzyła umysłowi? Nie umiała powiedzieć. Korzystniej w tym najbardziej podstawowym sensie byłoby pozwolić żyć Garthowi

i poświęcić Finna. Może przyjsć taki czas, gdy pożałuje swojej decyzji, kiedy między nią a tuzinem morderczych skrælingów stanie zamiast Gartha roztrzęsiony Finnbogi zwany Zbukiem, jednak ocalenie go wydawało jej się właściwe. Lubiła Finna, mimo wszystko.

– Rozumiem – powiedział Wulf ponuro, gdy Eryk skończył się produkować.

Wiedział. Kiedyś powie mu, co się naprawdę stało, a on zrozumie. Przecież, praktycznie rzecz biorąc, po to właśnie posłał ją za Garthem.

– A kim są ci dwaj? – Otoczył gestem Galenara i Massbaka, którzy gapili się przerażeni na zmasakrowanych współplemieńców.

– Pochodzą z plemienia Rozszczepionych Rzek. Pomogą nam przedostać się przez Matkę Wodę. Chyba że zmienili zdanie? – Eryk wskazał głową zalegające na polanie trupy.

– No, to w końcu nasi ludzie... – przyznał Galenar. – Ale może nie powinni was atakować. Pomożemy grzyboludom, co nie, Massbak?

– Jasne, przy założeniu, że nikt nas nie nakryje.

– Czemu chcecie nam pomóc? – spytał Wulf. Nie brzmiał wyzywająco, po prostu był ciekawy.

Sassa stężała, spodziewając się, że zaraz ktoś ruszy naprzód, nazwie Galenara i Massbaka skrælińskim ścierwem, przystawi im nóż do gardła, domagając się, by zdradzili swoje motywy, ale ani Thyri, ani Kif, ani Bjarni, ani nikt inny nie zrobił nic podobnego. Czekali tylko z przyjaznym wyrazem twarzy, gotowi słuchać i rozważyć odpowiedź.

– Podróżowałem i zabłądziłem – wyrzekła Gunnhilda dostojnym tonem – lecz wtedy spotkałem innego podróżnika, człowiek jest radością drugiego człowieka.

Wtedy Sassa uzmysłowiła sobie, czując jednocześnie

zaskoczenie i ulgę, że wszyscy ludzie o zamkniętych umysłach, wszyscy agresywni mężczyźni, którzy spotkanie takie jak to zamieniliby w konfrontację – Garth Kowadłogęby, Gurd Zadrzykiecka, Fisk Rybi Łeb i Hrolf Faleń – nie żyli. Rozbłysła jej w głowie nowa myśl, która znowu wzbudziła w niej poczucie winy, ale jednak nie mogła nie dopuścić do siebie oczywistej prawdy: czuła się o wiele lepiej, wiedząc, że już nie będzie musiała się mierzyć z tymi kłótliwymi, nieżyczliwymi kutasami. Chnob Biały i Frossa Wiedząca również nie żyli...

Zupełnie jakby ktoś, na przykład Finnbogi, zabijał wszystkich ludzi, których nie lubiła. To oczywiście absurdalna teoria, bo przecież on nie miał nic wspólnego ze śmiercią żadnego z nich, już prędzej ona, skoro własnoręcznie usiekła aż dwóch, a jednak kręcił się niedaleko za każdym razem.

– Jesteśmy częścią imperium calnijskiego – odpowiedział Galenar. – Niby mamy być na wpół suwerennym plemieniem, które tylko płaci Calnianom trybut, ale tak naprawdę wszyscy jesteśmy ich sukami. Calnia kazała nam was zabić, więc chcieliśmy to zrobić, nie dbając o to, że skalamy w ten sposób pamięć przodków oraz obrazimy wasze duchowe zwierzęta i waszych bogów. Dlaczego mielibyśmy was zabić, nie znając was? Nie wiedząc, kim jesteście? Nie jesteśmy przecież bogami, by wyrokować, kto ma żyć, a kto umrzeć. Nie ma na świecie gorszych ludzi od tych, którzy uważają się za bogów. Przykro mi, że jeden z waszych nie żyje, i naprawdę jest mi jeszcze bardziej przykro, że umarło tak wielu naszych, a jednak uznajemy to za nasz obowiązek: pomóc wam uciec przed Calnianami.

– Ale tylko zakładając, że nie będziemy ryzykować, że ktoś nas przyłapie – dodał Massbak.

– To nasunęło mi się dopiero później, ale to prawda. Nasi współplemieńcy nie mogą się o tym dowiedzieć, inaczej będzie po nas.

Wulf osadził młodym skrælingom ręce na ramionach.

– To doskonała wiadomość i jesteśmy wam wdzięczni ponad wyobrażenie.

Przyjacielscy plemieńcy znad Matki Wody wskazali dwa sznury łodzi przecinających nurt i wyjaśnili, że w tamym miejscu przez wielką rzekę przerzucone są dwie grube liny łączące wysepki.

– Wiedziałem! – ucieszył się Finnbogi. – Ale czemu aż dwie?

– Bo można przekroczyć rzekę w dwóch kierunkach – wyjaśnił Galenar.

Finnbogi pokraśniał.

– Jakim cudem nie pękają? – zainteresował się Berserk.

– To bardzo grube liny.

– Jak je splatacie?

– Nie teraz, Kif – upomniał go Wulf.

Wschodnie końce lin znajdowały się w głównej osadzie Rozszczepionych Rzek, więc Harowianie nie mogli zacząć przeprawy tutaj. Ale Galenar powiedział im, że mogą znaleźć łódzie kawałek dalej na południe, przepagajować wąskim kanałem na pierwszą wyspę, potem przenieść kajaki na drugi jej brzeg, gdzie zaczyna się lina, poczekać na swoją kolejkę i ruszyć dalej. Jeśli nie będą się ociągać, będą wyglądali jak każda inna łódka wypełniona pasażerami. A po drugiej stronie rzeki znajdą małą wioskę.

– Podrugiejstrońcy nie będą wam się naprzykrzać. Ci mądrzejsi i zdolniejsi przenoszą się na tę stronę rzeki. Podrugiejstrońcy umieją tylko się gapić.

– Jak najlepiej zejść z klifu? – spytał Wulf.

– Najlepiej ścieżką na północ. To dobra, często uczęszczana droga, tylko że kieruje się prosto do głównej wioski i jest zbyt dobrze widoczna z dołu. Zobaczy was każdy, kto będzie pracował

na polu lub odprawiał poranne rytuały. Chyba jednak lepiej skorzystać z sekretnej ścieżki, którą tu przyszliśmy.

– Świetnie – mruknął Eryk Złośnik.



ROZDZIAŁ 10

Po prostu sobie płynie

Wyruchaj mnie nożem i trzepnij w czoło! – zakłęła siarczyście Paloma Widłoróg. – Wiedziałam, że te ślady są jakieś dziwne. Musieli iść po nich tyłem. Czemu wcześniej się nie zorientowałam? – Pokręciła głową niezadowolona. – Wykiwały mnie grzyboludy... Nie wiem, które zwierzę mocy czyniło nas mądrymi, ale musimy je znaleźć jak najszybciej.

– Niedaleko stąd do głównej wioski plemienia Rozszczepionych Rzek – powiedziała Sofi Tornado. – Pobiegnijmy tam.



– Widzieliście jakichś grzyboludów? – spytała Sofi, gdy dotarły do wioskowego placu. Starszyzna pospiesznie wyszła im na spotkanie.

– Stać! Stać, powiadam! – Malutki, purpurowy na twarzy czarnoksiężnik z brodą liczącą najwyżej sześć długich włosów oderwał się od grupy i pognął do dowódczyni owslanek. – Musimy przestrzegać protokołu. Może i jesteście owslankami, ale nie możecie ot tak naruszać naszego terytorium i...

Sofi przydzwoniła mu tępą stroną topora w czoło. Odleciał na kilka kroków i znieruchomiał na ziemi.

Nie ma wątpliwości, pomyślała, jestem wyczuwalnie słabsza. Musiała włożyć w cios więcej siły niż zwykle. Kilka dni temu zabiłaby tego pokurcza pstryknięciem palców. Niedobór mięsa osy tarantulojastrzębiej dawał o sobie znać.

Rzucił się na nią kolejny napastnik – czerwona ze złości kobieta, żona lub może córka tego knypka. Dowódczyni odskoczyła, podstawiała jej nogę i pchnęła w stronę Chogolisy. Gigantyczna Calnianka otoczyła głowę kobiety długimi, silnymi palcami jednej dłoni i spojrzała na Sofi.

Zmiażdżenie jej głowy jak jajka byłoby należyłą karą za zaatakowanie owslanki, ale Sofi pokręciła głową. Zadrzyziemia wzruszyła potężnymi ramionami i puściła napastniczkę.

– Spokój! Uspokoić się wszyscy! – krzyknął jakiś starzec. On jeden nie wyglądał na Sofi na idiotę. – Jestem wódz Dyas Bellvoo. Szlachetne owslanki, proszę, żebyście nie krzywdziły już moich ludzi. A wy, moi ludzie, uspokójcie się i bądźcie cicho. Grzyboludy rozbiły obóz nad tamtym urwiskiem. – Pokazał klif na wschód od osady. – Zgodnie z rozkazem przekazanym nam przez calnijskiego biegacza wysłałem oddział, żeby ich

wykończył. Powinien już wrócić. Właśnie miałem wysłać zwiadowców, żeby sprawdzili, co się stało, ale może wolałybyście przekonać się same?

Sprytnie, pomyślała Sofi. Właśnie wgniotła czaszkę jego czarnoksiężnikowi, a on, zamiast panikować, nie tylko złapał swoje rozwydrzone plemię za mordę, ale jeszcze wydał jej rozkaz. Te małe północne plemionka wiedziały, kogo sadzają na tronie.

– Jeden z twoich wojowników pokaże nam drogę.

– Wszyscy moi wojownicy, którzy są akurat do dyspozycji, już tam poszli.

– Więc ty sam pokażesz nam drogę. – Może i nie była tak agresywna jak zwykle, ale nie miała zamiaru stosować z tego powodu taryfy ulgowej. – A gdy nas nie będzie, ty – wskazała członka komitetu powitalnego, który wydawał się najbardziej kompetentny – znajdziesz dla nas mięso następujących zwierząt: karibu, grzechotnik diamentogrzbietowy, osa tarantulojastrzębia, pójdzka ziemna, rudaczek szerokosterny, widłoróg, ustonóg i sauromalus.

– Eee, co? – zapluł się przygłupi prowincjusz. – Co ty...? Karibu?

– Nieważne – westchnęła. – Yoki Choppo, zostań tutaj i zobacz, co uda ci się znaleźć w ich składach, na targu, gdziekolwiek. Talisa, pomóż mu. I znajdźcie największą łódź, jaką tylko się da. Z pomocą Innowaka zakończymy misję i ruszymy w drogę powrotną do Calnii przed południem.



Złaząc z klifu, Bjarni bawił się jeszcze gorzej, niż włącząc na niego, ale zebrał się w sobie, gdy zobaczył, że Ottar i Frejdis śmigają po skale jak dwie wesołe wiewióreczki. Jeśli małe dzieci

się nie bały, on też nie będzie się bał. W pewnym momencie nie trafił palcami w otwór i o mało nie spadł. Musiał mocno przełknąć ślinę, by powstrzymać wymioty, ale pomijając ten drobny incydent, nie było tak źle.

Eryk Złośnik zszedł ostatni, blady jak zimowy zając w czasie gradowej burzy, ale upierający się, że fajnie się schodziło i w ogóle.

Galenar i Massbak poprowadzili ich ścieżką przez las. Schylali się, przechodząc pod gałęziami, i przytrzymywali sobie nawzajem zarastające trakt krzewy. Droga biegła wzdłuż suchego, kamienistego strumienia. Lasy po obu stronach roiły się od indyków, które wprawiały Bjarniego w przerażenie trzepotaniem olbrzymich skrzydeł i wściekłym gulgotaniem. Samice uciekały im spod nóg, ale samce stały twardo, pompatycznie wymachując rozłożystymi ogonami.

Na skraju lasu zatrzymali się na chwilę, gdy dwaj skrælingowie wypuścili się na krótki zwiad, a potem wznowili marsz, osłaniając oczy przed jasnym porannym słońcem. W końcu weszli na drewnianą platformę osadzoną na dwóch kajakach. Poniżej burzyła się błotnista woda.

Wulf wyściskał Galenara i Massbaka. Bjarni uznał, że to dobry sposób na okazanie wdzięczności, ale dwaj skrælingowie byli chyba innego zdania. Po tym niezręcznym pożegnaniu plemię Wota popłynęło z prądem w dwóch łodziach.

Nurt ciągnął mocniej, niż wydawało się z brzegu, ale od pierwszej wyspy dzieliło ich jedynie dwadzieścia kroków, które pokonali raz-dwa.

Wyszędłszy z łodzi, ostatni raz pomachali dwóm zaprzyjaźnionym skrælingom, po czym przenieśli kajaki przez wysepkę, by ustawić się w kolejce do liny.

Bjarni przykucnął w krzakach obok Wulfa, gdy czekali na wolne miejsce, obserwując technikę ludzi przeciągających się

w łódkach na drugą stronę.

Lina, która biegła ze wschodu na zachód, przechodziła przez pętlę zatknętą na słupie stojącym na samym skraju wysepki, dwadzieścia kroków od ich kryjówki. Lina biegnąca w przeciwną stronę była rozpięta pomiędzy kilkoma wyspami, w prostej linii kilkaset kroków w kierunku północnym.

– Zobaczą nas z drugiej liny – powiedział Bjarni.

– Tak – potwierdził Wulf. – Ale żeby nam się przyjrzeć, będą musieli puścić swoją linę, popłynąć ku nam z prądem, złapać naszą linę, dogonić nas, a potem przeciągnąć się liną z powrotem do wyspy, żeby znowu przekroczyć nurt po pierwszej linie. Nikomu nie będzie się chciało. Nie jesteśmy aż tak interesujący. O, nasza kolej. Idziemy.



Finnbogi odczekał, aż Wulf, Sassa, Eryk, Bjarni i Frejdis wsiądą do jednej łódki, a potem przyniósł drugą wraz z Kifem, Bodilą, Gunnhildą, Thyri i Ottarem.

– Usiądę na końcu – ogłosił.

Kif pokręcił głową.

– Nie-e. Najsilniejszy na przedzie, to ja. Drugi najsilniejszy z tyłu.

– To ja – powiedziała Thyri.

– Pewna jesteś? Kierowałem się radami, których mi udzieliłaś, gdy przekraczaliśmy Kamienną Rzekę, i...

– Cisza, Finnbogi – powiedziała Gunnhilda. – Człowiek, który nigdy nie milknie, wypowiada wiele daremnych słów. Jeśli go nie pilnować, jego własne usta ściągają na niego kłopoty.



Owslanki dotarły na szczyt klifu. Jutrzenka była zrozpaczona. Nie czuła wycieńczenia, ani nawet zmęczenia, ale odczuwała w nogach pokonaną wysokość. Zwykle musiała przebiec setki mil, by tak się poczuć. Zwyczajni ludzie muszą czuć się jeszcze gorzej po wykonaniu kilku ćwiczeń, pomyślała. Jakże to straszne być zwykłym człowiekiem. Nie mogła się już doczekać powrotu do Calnii, gdzie znów nafaszerują je zwierzętami mocy.

– Gdzie jesteście, grzyboludy? – zawołała. – Wyłaźcie, zabawimy się!

– Już prawie jesteśmy! – powiedział wódz Dyas Bellvoo. – Ale trochę mnie martwi, że nie spotkaliśmy po drodze żadnego z moich ludzi.

Sofi Tornado kiwnęła głową z ponurą miną. Ona w ogóle nie wygląda na zmęczoną, zauważyła Jutrzenka. Była wkurzona jak ryś, który od dwóch dni siedzi z ogonem w sidłach. Tym razem nie będzie żadnego pajacowania. Grzyboludy umrą, gdy tylko znajdą się w zasięgu ich wzroku.

Biegły ścieżką nad urwiskiem, aż dotarły do polany pełnej martwych wojowników. Żaden z nich nie wyglądał jak grzybolud.

– Co to za demony? – powiedział z przestraczeniem wódz Dyas Bellvoo, tocząc wzrokiem po zasłanej trupami polanie.

– Gdzie oni są? – warknęła Sofi.

– Tam – pisnęła Sitsi, patrząc w stronę rzeki i dłonią osłaniając oczy od słońca. Nad jej głową kołowały niespiesznie dwa orły o białych łbach.

Sofi omiotła wzrokiem widoczną w dole brązową rzekę, zielone drzewa i niebieskie niebo nad doliną Matki Wody. Sitsi pokazała palcem dwa kajaki sposobiące się do przekroczenia rzeki.

– Jesteś pewna? – spytała Sofi.

– To takie dziwne. – Drobną kobietą mrugnęła wielkimi

oczami. – Nie widzę wyraźnie, ale jestem prawie pewna, że to oni.

– Dobra. Idziemy.

– Ale jeśli przeprawią się na drugi brzeg Matki Wody... – wyrzekła trwożliwie Talisa Sarna.

– Daleko nie zajdą.

– Ale Calnianie nie przekraczają...

– My jesteśmy owslankami. Idziemy, gdzie nam się podoba.

Pobiegły, zostawiając wodza Dyasa Bellvoo pośród swoich martwych wojowników.



Przeciągnięcie łodzi na drugą stronę okazało się trudniejsze, niż sądzili. Potężna tafla wody pod nimi była właściwie jak przesuwająca się poziomo ziemia. Nieustannie spychanymi przez prąd łódkami manewrowało się ciężko i zanim Finnbogi oraz dzierżący linę pasażerowie jego łodzi zorientowali się, że przesuwanie kajaka wzdłuż owej liny jest tak samo ważne jak walka z prądem, pierwsza łódka odbiegła od nich na dobre sto kroków.

– Tak się nie da! – orzekł Kif. – Wszyscy razem, raz, dwa, raz, dwa!

Finnbogi ciągnął, aż rozboleły go ręce. Chciał zwolnić tempo, ale siedząca przed nim Bodila pracowała wytrwale smukłymi, opalonymi ramionami, jakby urodziła się na rzece.

Wciąż z nią nie porozmawiał, choć obiecał Sassie, że to zrobi, ale Bodila przestała go napastować, więc wywnioskował, że ignorowanie jej odniosło podobny skutek jak bezpośrednia konfrontacja, a nawet było o wiele lepsze, bo nie musiał mówić jej w twarz, że mu się nie podoba. Nie dość, że nie musiał być dla

niej niemiły, to na dodatek sprawa rozwiązała się sama. Tym sposobem każdy był szczęśliwy.

Zanim dotarli do drugiej wyspy, mniej więcej w połowie rzeki, skrócili odstęp od pierwszej łodzi do pięćdziesięciu kroków.

– Może na kolejnym odcinku powinniśmy trochę zwolnić? – zaproponował Finnbogi, gdy prowadzili łódź wokół słupka. – Po drugiej stronie będziemy mieli szmat drogi do przejścia...

– Popatrz za siebie, Zbuk – powiedział Kif.

Obejrzał się.

– O, w dupę Lokiego...



Pierwszy kajak owslanek mknął w stronę grzyboludów jak sfera wilków na bizona z kulawą nogą. Chogolisa i Talisa, które z trudem mieściły się w drugiej łódce, zostawały nieco w tyle, ale nikt się tym nie martwił, bo przecież Sofi, Jutrzenka, Paloma i Sitsi z przyjemnością same zmasakrują grzyboludów.

Yoki Choppa znalazł na targu w Rozszczepionych Rzekach mięso karibu i ustonogów, a więc przynajmniej na jakiś czas ich wytrzymałość została podbudowana, a Jutrzenka odzyskała swój miażdżący cios. To więcej, niż Sofi się spodziewała, ale mniej, niż miała nadzieję dostać.

Mimo wszystko doganiali właśnie grzyboludów. Dopadną tych w najbliższej łodzi, zanim zdążą przekroczyć rzekę, a ci z drugiej nie uciekną zbyt daleko.

Ciągnęła za linę raz po raz, przesuwając kajak wielkimi zrywami. Czyżby jej wytrzymałość już wracała do normy po tym małym kęsie karibu, który przygotował dla nich Yoki Choppa? Tak, wszystko na to wskazywało. Czuła się wspaniale, mogąc znów zmusić mięśnie do wyczerzonego wysiłku.

Z każdym kolejnym szarpnięciem zmniejszali dzielący ich dystans. Tak dużo wody wlewało się do łodzi, że kazała Yokiemu Choppie nie robić nic innego, tylko wylewać ją za burtę za pomocą wielkiej drewnianej łyżki, która w przypadku utraty liny służyła również za pagaj.

Łódka grzyboludów dotarła do drugiej wyspy. Zobaczyła, że tamci oglądają się przez ramię. Dokładnie tak, pomyślała, szczerząc się jak wilk. Nadchodzimy i nic już na to nie poradzicie.



Raz! Raz! Raz! Ramiona Finnbogiego płonęły żywym ogniem, kiedy usiłował nadążyć za nieludzkim tempem narzuconym przez Kifa i Bodilę. Jego grzbiet protestował z całą mocą, bolały naciągnięte, wycieńczone mięśnie. Dłonie szczypały w miejscach, gdzie pękły odciski i otarły się do krwi przez mokrą linę.

Znacznie przyspieszyli. Ponieważ zanurzona w wodzie lina wybrzuszała się w kierunku, w którym ciągnął ją nurt, przez moment nie widzieli owslanek, które zasłoniła wyspa, a teraz nawet nie miał kiedy spojrzeć, bo musiał ciągnąć tę cholerną linę! Nie miał pojęcia, co zrobią po drugiej stronie, ale musieli się tam dostać jak najszybciej.

Siedząca za nim Gunnhilda dyszała jak zdychający bizon. Za jej plecami Ottar pracowicie wylewał wodę z kajaka, śpiewając wysokim głosem zaskakująco harmonijną piosenkę. Gunnhilda i Ottar! Dlaczego, na miłość Lokiego, siedział w kajaku z tymi dwoma balastami? Choć musiał przyznać, że robią, co mogą, by się na coś przydać. Już zbliżali się do łódki, w której płynęli Wulf, Sassa, Bjarni, Eryk i Frejdis.

– Owslanki się zbliżają! Płyną kajakami! – wrzeszczał Kif, gdy druga łódź znalazła się w zasięgu słuchu. Natychmiast

zwiększyła tempo i raptem okazało się, że kajak Finnbogiego wcale jej nie dogania.



– Na płonący dziób Innowaka! – zaklęła Sofi Tornado, gdy okrążyli drugą wyspę.

Grzyboludy płynęły szybciej i okazało się, że wcale nie zmniejszyły dystansu od chwili, gdy widziały ich poprzednio. Teraz już nie było takie oczywiste, że dopadną ich przed osiągnięciem drugiego brzegu rzeki. Ale tak czy inaczej, wylądują niedługo po nich, a więc nie wymkną się, nie mają najmniejszych szans.

Chyba że...

Jeśli grzyboludy pierwsi dotrą do drugiego brzegu, mogą jeszcze zrobić coś najzupełniej oczywistego, co po raz kolejny odwlecze ich nieuniknione pochwycenie.

Ale one mogą im jeszcze w tym przeszkodzić.

– Sitsi, przestań ciągnąć i chwyć za łuk! – krzyknęła Sofi przez ramię.

– Już mam go w ręku – odkrzyknęła Sitsi, puszczając linę i naciągając łuk, co w oczywisty sposób zaprzeczyło temu, co właśnie powiedziała.



Sassa oparła ręce na kolanach i zrobiła głęboki wdech. Świat wirował wokół niej i była pewna, że umrze tu i teraz, że padnie na brzegu Matki Wody i nikt więcej o niej nie usłyszy. Gdy wreszcie wyrównała oddech, uspokoiła się na tyle, by się wyprostować i rozejrzeć. Ależ się zmachałam, jasna cholera, pomyślała.

Łódce z Kifem, Bodilą, Finnbogim, Gunnhildą, Ottarem i Thyri brakowało jakichś pięćdziesięciu kroków do brzegu. Pierwsza łódź owslanek była może sto kroków za nimi, ale zapieprzała jak królik w okresie godowym.

– Nie przetniemy liny – powiedział Eryk, osadziwszy wielkie pięści na biodrach.

– Oczywiście, że przetniemy – odparł Wulf. – Gdy tylko reszta znajdzie się na brzegu. Nie martw się, łatwo zawiążą nową.

– To zajmie sto lat i wszyscy się wkurwią, słusznie zresztą. Nie, musimy przestrzegać zasad przekraczania rzeki. A poza tym umrzesz, kiedy umrzesz. Czy ją przetniemy czy nie, i tak wszyscy skończymy martwi.

Zdaniem Sassy to było rażące nadużycie starej plemiennej maksy. Jasne, wiadomo powszechnie, że Norny już dawno zdecydowały o dniu i godzinie śmierci każdego z nich, ale to nie oznaczało przecież, że człowiek może rzucić się z klifu albo wbić sobie gwóźdź w oko, bo przecież jego czas jeszcze nie nadszedł. Tylko że jeśli ktoś był na tyle głupi, Norny z pewnością o tym wiedziały, więc właściwie to czas musiał nadejść...

– Co o tym myślisz, Sassa? – zwrócił się Wulf do żony. – Powinniśmy przeciąć linę?

Popatrzyła na gruby sznur, którym obwiązany był wbity głęboko w ziemię przysadzisty pal. Dookoła walały się sprzęt i fragmenty łodzi, czyniąc z tej części wybrzeża prawdziwe śmietnisko. Platforma, na której zaczęła się ich podróż po drugiej stronie rzeki, była o wiele lepiej utrzymana.

Kilkoro lokalnych skrælingów, owych „Podrugiejstrońców”, jak nazwał ich Galenar, stało w bezpiecznej odległości od Harowian i gapiło się na przybyszów, jakby byli rekinami, które wyszły z wody, grzechocząc grzechotkami z żółwich skorup w rytm pieśni o jurnych ocelotach.

Podniosła koniec zwiniętej nieopodal liny, którą znalazła

wśród bałaganu. Była lekka i mocna.

– No? – ponaglił Wulf.

– Jestem pewien, że Sassa zgadza się ze mną – powiedział Eryk. – Nie wolno nam ot tak przeciąć liny. Już i tak zabiliśmy wielu plemieńców z Rozszczepionych Rzek. Jeśli dodatkowo rozwalimy im transport rzeczny... to co z nas będą za ludzie?



Sofi Tornado zaczynały boleć plecy i ramiona. Może to mściła się przerwa w spożywaniu mięsa karibu? Ale i tak doganiały już swoje ofiary, z każdym zamaszystym szarpnięciem były coraz bliżej.

Kobieta, dziewczynka i trzech mężczyźni z pierwszej łodzi wyleźli już na brzeg. Mogli przeciąć linę od razu, ale to by oznaczało porzucenie ponad połowy grupy. Nie poważą się na to...

– Sitsi, jeśli ktoś na brzegu spróbuje przeciąć linę, zastrzel jak psa.



Sassa Gryziwarga widziała, jak owslańska łuczniczka kuca w kajaku i napina łuk. Druga łódź z Wotanami była jakieś trzydzieści kroków od brzegu, a owslanki już prawie deptały jej po rufie. Druga łódź owslanek, ta z olbrzymką i tą drugą wojowniczką, została daleko w tyle.

– Daj mi swój młot! – wrzasnęła Gryziwarga.

Wulf podał jej broń, unosząc pytająco brew. Sassa wyjęła swój obsydianowy nóż z pochwy, rzuciła się do pala i zaczęła ciąć rozpiętą nad rzeką linę. Gdy puściły pierwsze włókna, coś ją uderzyło.



Sofi Tornado zauważyła, że kobieta na brzegu przypada do słupa. W tym samym momencie Sitsi Pustułka wypuściła strzałę. Lina, której Sofi się trzymała i która była warunkiem powodzenia misji, zwiotczała jej w rękach. Natychmiast porwał je prąd, łódź obróciła się bokiem i pomknęła z nurtem, momentalnie rozwijając karkołomną prędkość.

– Yoki Choppo, daj pagaj Jutrzence! – rozkazała. – Jutrzenka, wiosłuj, jakby zależało od tego twoje życie.

Jeszcze nic straconego. Druga łódka grzyboludów też poleciała z nurtem. Kif Berserk również pagajował, jakby goniła go sama śmierć – co było prawdą – ale cały jego trud szedł na marne. Zasilona ustonogim mięsem Jutrzenka miała więcej pary w rękach niż dwudziestu Kifów. Już zaraz, już za momencik dogonią ich i wszystkich naszpikują strzałami. A potem do brzegu będą mieli już tylko rzut hełmem.



Sassa dotknęła głowy i odjęła rękę. Zobaczyła krew na swoich palcach, ale cięcie nie było głębokie. Strzała owślańskiej łuczniczki drasnęła ją tylko i wbiła się w słup. Kępka jej włosów sterczała z miejsca, gdzie grot wżarł się w drewno, niczym dekoracja.

Podniosła wzrok na Wulfa, ale on już klęczał przy niej, robiąc to, co ona chciała zrobić. Podczas gdy reszta nie odrywała wybałuszonych oczu od drugiej łódki, którą Sassa pozornie spisała na straty, jej mąż przywiązywał znaną w śmieciach linę do trzonka młota. Mrugnął do niej i zaczął kręcić nim nad głową.



Jutrzenka wiosłowała, jakby chciała przekopać całą rzekę. Kajak rznął taflę jak naostrzony nóż skórowaną zwierzynę, zostawiając za rufą spieniony, biały kilwater.

Paloma Widłoróg nie musiała już ciągnąć liny, więc usiadła prosto i wlepiła wzrok w grzyboludów na brzegu. Gruby Wulf, jej kolega znad Kamiennej Rzeki, jak lubiła o nim myśleć, kręcił nad głową swoim obwiązany liną młotem. Niezły pomysł, musiała przyznać, ale nawet jeśli zadziała idealnie i Harowianom uda się wciągnąć swoich ludzi na ląd, Jutrzenka dostarczy owslanki na brzeg niedługo później. Prąd był potężny, więc wylądują o wiele dalej, ale tym razem grzyboludom nie uda się wykaraskać.

Odwróciła się, by sprawdzić, co z resztą załogi – akurat w dobrym momencie, by zobaczyć, jak Chogolisa łapie za coś poza kajakiem, a ten wywraca się, wrzucając Zadrzyziemię i Sarnę do rzeki. Dziób łódki wystrzelił z wody, a potem zanurzył się i zatonął. Tymczasem z nurtu wyłoniła się głowa i muskularne ramiona Chogolisy. Talisy nigdzie nie było widać.

– Tornado!

– Nie teraz, Widłoróg. – Oczy dowódczyni skupione były na jej zwierzynie.

– Musimy zawrócić.

– Co takiego?

– Druga łódź się wywróciła. Chogolisa płynie, ale nigdzie nie widzę Talisy.



Młot przefrunął nad ich głowami. Finnbogi rzucił się i złapał linę, a zaraz potem Kif. Ale tylko dlatego, że Finnowi udało się to pierwszemu. Berserk natychmiast przywiązał ją do dziobu.

Wulf, Eryk i Bjarni ciągnęli mocno jak giganci z legend. Łódka podskakiwała, ślizgając się po wodzie. Owslanki musiały już przecież siedzieć im na ogonie? Finn spojrzał przez ramię.

Wcale nie siedzą! Są daleko w tyle! Wracają na wschód. Prąd porwał je i zaniósł sto kroków w dół rzeki.

– Zawróciły! – wrzasnął.

Wszyscy spojrzeli za siebie.

– Tylko czemu? – zdziwił się Kif.

– Calnianie nie przekraczają Matki Wody – uśmiechnęła się Gunnhilda. – Pewnie miały nadzieję, że uda im się złapać nas, zanim dotrzemy do brzegu. Gdy zrozumiały, że nie mają szans, poddały się i zawróciły.

Gdy wyszli wreszcie na suchy ląd, łódź owslanek zniknęła już za wyspą, daleko w głębi rzeki.

– Eryk miał rację! – zakrzyknął Bjarni. – Calnianie nie przekraczają Matki Wody!

– Właściwie nie wiedziałem, że tak się trzymają tej reguły – rzekł Eryk, drapiąc się w głowę. – Może był jakiś inny powód? Nie wolno nam założyć, że nie będą nas już gonić. – Spojrzał trwożliwym wzrokiem po zbierających się naokoło skrælingach, ale ci trzymali się od nich z daleka.

– Nie martw się, Eryku – wyszczerzył się Wulf. – Wciąż będziemy ostrożni. A teraz chodźcie wszyscy, pościg się skończył! Naprzód! Woouooo-TA!

A potem stanął, nie wiedząc, jaki właściwie obrać kierunek.

– Idziecie na zachód? – spytał najstarszy z Podrugiejstrońców, wyciągając szyję jak żółw. – Większość obcych, którzy przepływają się przez rzekę, idzie na zachód. – Przemawiał we wspólnym języku, powoli i z akcentem przywodzącym na myśl muliste dno rzeki.

– Tak – odparł Wulf. – Jest tu jakaś ścieżka?

– Idźcie kilkaset kroków na południe, znajdziecie tam po

prawej stronie wąską ścieżynę, która skręca w las przy strupieszalym drzewie z wielkim gniazdem pszczół w zmurszałym pniu.

– Jasne.

– Nie idźcie nią. To cholernie niebezpieczna wspinaczka na klif i nie wydaje mi się, żeby przypadła do gustu waszym dzieciom. Ani pani starszej.

– Rozumiem.

– Lepiej, żebyście poszli na północ.

– Czemu lepiej?

– Ano, lepiej. Tam przez trzy mile jest fajna droga. Potem trzeba przejść przez moczary po deskach, które zaprowadzą was do pięknej, szerokiej drogi skręcającej z powrotem na południe, w górę klifu. Jak będziecie mieli oczy szeroko otwarte, to jej nie przegapicie. To dłuższa droga nad urwisko, o wiele dłuższa od tamtej pierwszej drogi, która jest tak chujowa, że pojęcia nie macie. Ostatni raz szedłem nią dwadzieścia lat temu, a wciąż kurwę pamiętam.

– Wszystko jasne, dzięki wielkie! – powiedział Wulf.

– Ależ nie ma za co – odparł, jak się okazało, bezzębny mężczyzna. – Przysłali was Podrugiejstrońcy?

– Oni was nazywają Podrugiejstrońcami.

– Co? A to dlaczego?



Gdy Sassa otrząsnęła się z zamyślenia, zorientowała się, że idzie obok Kifa. Droga wywiodła ich z doliny. Dopiero teraz poczuła, że zostawili swoje stare życie za sobą. Nie szła, podskakiwała sprężysto, jakby ktoś zdjął jej z barków wielki ciężar.

Wymknęli się owslankom! Dotąd nie uzmysłowiła sobie, jak bardzo przygniatały ją do ziemi przerażenie, strach, obawa. Teraz czuła się, jakby latała w przestworzach.

Ale w tej beczce miodu była i łyżka dziegciu. A właściwie dwie: Hrolf Faleń i Garth Kowadłogęby. Była tylko jedna rzecz, którą mogła zrobić z dwoma morderstwami ciążyącymi jej na sumieniu – postanowiła, że całkowicie i bezwarunkowo sobie wybaczy.

Masa błotnistej wody oddzielała ją i resztę Wotan od starego świata Harowian. Po tej stronie wielkiej rzeki zaczęło się nowe życie. To nowy początek. Wszystkie stare problemy zostały na tamtym brzegu rzeki. Żegnaj, Harówko! I żegnaj wszystko, co zrobiła jako Harowianka.

Żegnaj, Harówko.

Witaj, plemię Wota.

Witajcie, odważyła się pomyśleć, moje dzieci.

Rzecz jasna, niektórzy zostawili po drugiej stronie rzeki coś więcej niż poczucie winy i żal.

– Jak tam twoje oko i ucho? – rzuciła do Kifa.

– Pojęcia nie mam. Dawno ich nie widziałem. Pewnie zjadł je borsuk albo coś.

– Kawałki ciebie? Nie sądzę. Musiał je zjeść przynajmniej lew. Może nawet kot sztyletozębny.

– Masz rację. Borsuki nie jedzą bohaterów.

– A jak dziury, gdzie kiedyś było ucho i oko?

– Goją się wcale nieźle, dzięki za troskę. Słyszę i widzę tak samo dobrze jak poprzednio.

– Naprawdę? To niesamowite.

– Co? Kto tam jest?

Sassa roześmiała się.

– Właściwie to dziwnie widzę – podjął Kif. – Wszystko jest jakby mniejsze. Muszę więcej ruszać głową, żeby zobaczyć, co się

dzieje w powiększonym martwym polu. A jeśli chodzi o słuch, to wszystko podszyte jest takim dziwnym echem, więc trudniej mi dość do tego, skąd dobiega dźwięk... Ale ogólnie rzecz biorąc, źle nie jest. Sądzę, że wszyscy powinniśmy wydłubać sobie oko i urznąć ucho. To byłyby odtąd nasze plemienne znaki.

– Wymyśliłam lepsze.

– Oboje oczu i uszu?

– Nie, od razu całą głowę. To dopiero byłoby oryginalne. Nigdy już nie musielibyśmy się martwić, że nisko rosnące gałęzie będą szarpać nas za włosy.

– Albo że dźgniemy się w oko podczas jedzenia.

– O, widzisz, same plusy.

– Ludzie by dwa razy pomyśleli, zanimby zadarli z plemieniem twardzieli, które urzyna sobie głowy.

– A gdyby nas nawet zaatakowali, nie trzeba by się uchylać przed ciosami w łeb.

Milczeli jakiś czas, a potem Kif spytał:

– Jak myślisz, jak przerzucą drugą linę przez tak wielką rzekę?

– Pojęcia nie mam.

– Ja bym to zrobił tak: najpierw wziąłbym mniejszą linę. Z czego splecioną, zapytasz. Otóż możliwości jest kilka. Po pierwsze...

– Woota! – powiedziała Sassa.

– Że co?

– Nic, chciałam coś sprawdzić.

– Kumam. Jak już mówiłem, jest kilka surowców, którymi można by się posłużyć, a każdy wybór przyniesie dobre i złe konsekwencje, jak to w życiu bywa. Najbardziej oczywistym wyborem byłoby...

Nie wszystko się zmieniło po drugiej stronie Matki Wody.



Nie znalazły Talisy.

Gdy Jutrzenka wiosłowała zapamiętane, wioząc je łodzią z powrotem na wschodni brzeg, kobiety patrzyły na zmagającą się z dzikim nurtem Chogolisę, która nurkowała i wyłaniała się z wody, choć była kiepską pływakką i nurkowała chyba po raz pierwszy w życiu. Wreszcie musiała się poddać i popłynąć w kierunku wyspy, gdzie znalazły ją Sofi i reszta. Siedziała na błotnistym wybrzeżu i płakała, wyczerpana, z twarzą zatopioną w potężnych dłoniach.

– Lina wyslizgnęła mi się z rąk, no to chciałam ją złapać i... – zająknęła się, gdy podeszły. – Patrzyłam uważnie, ale pod tą wodą nic nie widać i...

– To nie twoja wina, Chogoliso. Winę ponosi ta kobieta, która przecięła linę, i wierz mi, zapłaci za to. A teraz chodź.

Sitsi obserwowała dowódczynię i wreszcie znalazła na jej twarzy to, czego tam szukała – wściekłe spojrzenie wymierzone w Yokiego Choppe. To nie była tylko wina grzyboludzkiej łuczniczki. Czworo ludzi miało krew Talisy na rękach.

Chogolisie można było wybaczyć, bo wymsknięcie się liny i próba jej odzyskania to był wypadek.

Kobieta, która odcięła linę, zrobiła dokładnie to, co zrobiłby każdy na jej miejscu. A poza tym to nie samo odcięcie liny zabiło Talisę. Trudno mieć o to do grzyboludki pretensje. Pewnie ten akt wspaniałomyślności nie robi na niej wrażenia, skoro i tak ją zabiją, ale uczciwość kazała przynajmniej uznać, że nie ponosi ona winy za śmierć ich towarzyszek.

Sitsi spudłowała. Wystrzelona przez nią strzała nie powstrzymała tej kobiety przed przecięciem liny. Tylko że nawet najlepszy łucznik, jeśli był ktoś lepszy od Sitsi, nie trafiłby w tych

okolicznościach. Jedynie ona mogłaby tego dokonać, gdyby zjadła tego dnia swoje zwierzę mocy.

Zaniedbanie Yokiego Choppy, polegające na tym, że cały zapas mięsa trzymał w jednym miejscu, doprowadziło do spowolnienia owslanek i uniemożliwiło im złapanie grzyboludów po calnijskiej stronie Matki Wody. Gdyby nie to, ciągnęłyby linę szybciej i dopędziły ich na rzece. To przez to Sitsi spudłowała i nie powstrzymała kobiety przed przecięciem liny. Ktoś, kto dochrapał się pozycji arcy czarnoksiężnika, powinien był podzielić zapasy między kobiety, na wypadek gdyby jedna torba przepadła.

Tak więc nie ulegało wątpliwości, że osobą odpowiedzialną za śmierć Talisy jest nie kto inny, ale właśnie Yoki Choppa.

Wzrok Sofi dowodził, że myśli podobnie. Gdy już dogonią grzyboludów i się z nimi rozprawią, Sofi niewątpliwie policzy się z Yokim. Najprawdopodobniej dojdzie do rozlewu krwi i gwałtownej śmierci jednej ze stron konfliktu.



Płynęły na zachodni brzeg Matki Wody. Chogolisa trzymała się rufy, dryfując w wodzie. Nikt nic nie mówił. Gdy wyszły na ląd, pobiegły na północ, do osady najbliższej punktu na rzece, w którym jeszcze niedawno była przywiązana do słupa lina.

– Tam poszli, o – powiedział najstarszy z grupy gapiów. Pokazał palcem ścieżkę wychodzącą z wioski w kierunku północnym.

– Dzięki – powiedziała Sofi.

– Chcecie ich dopędzić? – Staruszek przechylił głowę i otworzył szeroko jedno oko, jakby zadał szczególnie celne pytanie.

– Tak.

– Czy to wasi przyjaciele, czy też chcecie zrobić im kuku?

– Zdecydowanie chcemy zrobić im kuku.

– To dobrze. Byli po prostu straszni. Dziwny kolor skóry. A te włosy? Flaki wywróciły mi się na drugą stronę, gdy tylko na nich spojrzałem. Któż wie jakiej biedy nam tu napytają? Kazałem dwóm szopom ich śledzić. Jacyś nienormalni byli. Na pewno nas pozabijają i zbezczeszczą nasze zwłoki. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Wcale a wcale. Zabijecie ich, nie?

– Tak.

– Doskonale. W takim razie musicie cofnąć się ćwierć mili na południe. Znajdziecie tam przy strupieszalym drzewie z pszczelim gniazdem ścieżkę wiodącą na zachód. Takie sprawne kobitki jak wy z pewnością raz-dwa wespną się na klif. Trzy mile za szczytem wasza ścieżka złączy się z większą drogą. Tamtędy właśnie poszli. Jak się pospieszycie, to może ich nawet wyprzedzicie.

– Dziękuję.

– Mam nadzieję, że wszystkich, wszyściutkich zabijecie. A jak już skończycie, wróćcie do nas. Mam piętnastu wnuków, ośmiu nieżonatych. Niektórym może przypadną do gustu takie umięśnione dzierlatki jak wy.

– Jakie to urocze. Wrócimy tutaj, masz moje słowo.



ROZDZIAŁ 11

Zasadzka

Gdyby wszystko było normalnie, Paloma Widłoróg wspięłaby się na klif i pobiegła ścieżką, zanim reszta dziewczyn odnalazłaby palcami drugi wydłutowany w skalnej ścianie otwór. Ale ponieważ ostatnimi czasy nic nie było normalnie, została z tyłu, by pomóc Chogolisie, która nigdy nie była szczególnie dobra we wspinaczce, mocno zniedołężniała przez odstawienie mięsa i popadła w depresję, przekonana, że to ona zabiła Talisę.

– To nie twoja wina – powtórzyła Paloma, widząc łzę spływającą bez przeszkód po gładkim policzku Zadrzyziemi. –

Wyjaśniłam ci to już dziesięć razy, więc nie będę już nic tłumaczyć, tylko będę powtarzała „to nie twoja wina” tak długo, aż zrozumiesz. Rozumiesz?

Wielka kobieta pokiwała głową i pociągnęła nosem.

– To dobrze. Ale dla pewności powtórzę po raz jedenasty: to nie twoja wina.

Wspinały się dalej.

Gdy wreszcie wlażyły na sam szczyt, ruszyły biegiem zarastającym roślinnością traktem.

– To nie twoja wina.

Palomy nie zasmuciła śmierć Talisy. Przez wszystkie lata wspólnych treningów nigdy nie skleciła z nią dłuższej rozmowy i nie mogła powiedzieć, że będzie jej Sarny brakować. Właściwie była całkiem wesoła. Pomimo ganiań za grzyboludami i przeprawy przez rzekę dzień był wcale przyjemny. Nie mogła co prawda biegać tak szybko jak zwykle, ale nie miało to dla niej wielkiego znaczenia. Przemierzała ten piękny świat wraz z przyjaciółkami, wspólnie przeżywały przygody, spały w głęszy pod gołym niebem, była młoda, zdrowa i szczęśliwa.

I czuła, że po prostu musi kogoś przytulić.

Jej przesadna wesołość była rezultatem niedoboru magicznego mięsa. Jeśli jedząc, przejmuje się cechy węża i osy – rozumowała – to jasne, że człowiek staje się wredny i agresywny. Te cechy nie czyniły jej nieszczęśliwą, ale bez nich czuła się radosna jak nigdy.

Co nastroczało pewnych problemów.

Miały zabić grzyboludów. Nie miała nic przeciwko temu. Chciała wrócić do domu, a żeby to zrobić, musiała ich zabić – proste. Ale myśl o tym, że miałyby uczestniczyć w tym zabijaniu bezpośrednio, zadawać ciosy, patrzeć w oczy masakrowanym przeciwnikom, a zwłaszcza dzieciom i koledze znad Kamiennej

Rzeki, przyprawiała ją o mdłości i groziła nawet zepsuciem świętego humoru.

Dotarły do szerszego traktu, o którym wspomniał starzec nad rzeką. Powiedział, że to tę ścieżkę wybrały grzyboludy. Paloma rozpoznała, że nikt tędy nie szedł od co najmniej kilku dni, pobiegły więc truchtem na zachód, gdzie znalazły dogodne miejsce na zasadzkę – w punkcie, gdzie ścieżka stykała się ze strumieniem. Rzeczka płynęła środkiem rozciągającej się na kilkadziesiąt kroków porośniętej trawą polany, która była otoczona lasem wspinającym się po stokach płytkiej doliny.

Sofi kazała Palomie i Jutrzence skryć się między drzewami na jej północnym brzegu i czekać na sygnał, którym będzie strzała w sercu dowódcy grzyboludów.

Sitsi zajęła pozycję na południowym skraju kotliny, a Chogolisa kawałek na wschód, patrząc od traktu, żeby odciąć wrogom drogę ucieczki. Sofi schowała się w lesie po zachodniej stronie razem z Yokim Choppą.

– Jeśli dzieci znajdą się po naszej stronie doliny, zabijesz je za mnie, proszę? – wyszeptała Paloma na ucho Jutrzence, gdy już zajęły pozycje.

– A ty nie chcesz tego zrobić? Zwykle nie możesz się doczekać, aż wyślesz kogoś na tamten świat.

– Tym razem nie.

– Ja też nie chcę.

– Ach, więc ty też?

Jutrzenka spojrzała jej w oczy i pokiwała głową.

– Brakuje nam chyba tego magicznego mięsa...

– Nie jestem pewna, czy chcę mieć moc, która sprawia, że zabijam dzieci bez mrugnięcia okiem.

– Sama nie wiem... Im szybciej będziemy z powrotem w Calnii i wszystko wróci do normy, tym lepiej. Szkoda, że Talisa utonęła.

Ona zabiłaby je bez mrugnięcia okiem. Nie musiała jeść węży, była suką z natury.

– Ironia. Jeden facet zdradził mi, że była taką suką, że nawet nie chciała brać węża do ust. Mówili o niej, że Talisa nie daje, to jej się daje.

Jutrzenka prychnęła śmiechem.

– Ale poważnie, zostawmy dzieci Sofi. Jeśli każda z nas zabije po dwóch dorosłych, nikt nie zauważy.

– Nic nie umknie jej uwadze.

– Chyba masz rację, ale to nie nasza wina, że Yoki Choppa nawalił. Nie będzie miała nam za złe, jeśli tylko wszystkie grzyboludy dzisiaj zginą.



Sitsi Pustułka czekała w cieniu drzew naprzeciwko kryjówki Palomy i Jutrzenki. To wymarzone miejsce na pułapkę, a w dodatku przyjemnie chłodne i osłonięte od słońca.

Minęło chyba ze sto lat, zanim usłyszała gdzieś z dołu zgrzyt metalu o metal. Czy to znaczyło, że wreszcie raczyli się pojawić? Na Innowaka, ależ się wlekli!

Nie minęło wiele czasu, a pojawili się na drodze. Prowadził wysoki mężczyzna o złotych włosach, u jego boku szła kobieta o jeszcze jaśniejszej czuprynie – ta, która przecięła linę. Szli niespiesznie drogą i gadali sobie, jakby byli kochankami na spacerze. Niemal szkoda było ich zabijać. Ale Tornado kazała jej zainicjować atak, a Sitsi wiedziała, że im szybciej to zrobi, tym szybciej wrócą do domu.

Zrobi to szybko. Nałożyła strzałę, przyciągnęła cięciwę do samego nosa i wymierzyła w serce jasnowłosego grzyboluda.



Na zachód od Matki Wody trawa była zieleniejsza, niebo bardziej błękitne, powietrze świeższe i nawet zwierząt było więcej. Na każdej gałęzi lub kamieniu siedział mały ssak lub ptak, przyglądający się przechodniom. Czarna niedźwiedzica i jej młode uciekły w las. Wielkie żółto-czarne osy, które niegdyś terroryzowały Finnbogiego, bzyczały czarująco wśród żółtych, niebieskich i różowych kwiatów. Stado jeleni zbliżyło się do idących, najwyraźniej wcale się ich nie bojąc, ale Hugin i Munin odstraszyli je piskiem i skrzeczeniem.

Ta idylliczna dolina, pomyślał Finnbogi zwany Zbukiem, to musiały być Łąki. Mógł bez przeszkód wyobrazić sobie, że jest tu bardzo szczęśliwy wraz z resztą plemienia, o Thyri nie wspominając...

– Powiedz mi, co się stało z Garthem – poprosiła jego przyszła prawdziwa miłość, podbiegając do Finna.

– Skræling zepchnął go w przepaść.

– Jak do tego doszło?

– Było ich czterech. Powiedział mi, żebym nie pałętał mu się pod nogami, a potem ich zaatakował. Zabił trzech, trzeciemu obciął ręce i zrzucił go z klifu. Obracał się właśnie do czwartego, gdy ten go zaatakował. Obaj zlecieli w przepaść.

– Jesteś pewien, że umarł?

– Zerknąłem przez krawędź. Leżał na plecach na nagiej skale, z rozrzuconymi rękami. Wokół jego głowy rosła kałuża krwi. Był tak martwy, jak to tylko możliwe.

Thyri zagroziła mu drogę. Zatrzymał się. Wzięła obie jego ręce i zajrzała mu głęboko w oczy, jakby chciała przeniknąć wzrokiem jego duszę.

Finnbogi pogratulował sobie. Wszystko, co powiedział, było prawdą. Nie dostrzeże kłamstwa w jego oczach.

– Tak było – powiedział.

– Dobrze, ale, Finnbogi...

– Mów mi Finn.

– Dobrze, Finn. Jeśli dowiem się, że zabiłeś Gartha, Finn, albo że w jakiś sposób pomogłeś mu spotkać się ze śmiercią, to cię zabiję, Finn. Pojmujesz, Finn?

– Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej. Że nie mogłem bardziej mu pomóc. Ale jak dotąd nauczyłaś mnie tylko parować. Czy kiedy będziemy dzisiaj trenować, pokażesz mi jakieś ciosy?

Thyri spojrzała na niego jak na wielki, błyszczący glut, którego ktoś poważnie chory wycharchał jej do miski z jedzeniem, a potem odwróciła się i pospieszyła naprzód.

Finnbogi właśnie zaczął rozmyślać nad tym, jakie to wszystko niesprawiedliwe, gdy Thyri obróciła się przodem do niego i zaatakowała go saksem. Zrobił unik i dobył miecza. Cięła. Sparował. Ich broń zetknęła się z głośnym zgrzytem i Finn zrobił krok w tył, unosząc Wrogobójcę, by zablokować kolejne uderzenie.

– Wciąż musisz popracować nad parowaniem – powiedziała – ale jest lepiej. Pod koniec dzisiejszej lekcji zrobimy parę sztychów.

Schowała saks i poszła drogą do przodu.

Finnbogi stał jeszcze chwilę, zafascynowany. Czemu dosłownie każdy jest fajniejszy od niego?

Podszedł do miejsca, gdzie zatrzymała się na drodze Frejdis.

– Co tam? – zagadnął.

– Cześć, Finnzbuki – powiedziała Frejdis. – Widziałeś Hugina i Munina?

– Od jakiegoś czasu nie. – Rozejrzał się wokoło.

– Gdzieś zniknęli. Ottar się nie przejmuje, ale ja nie lubię, jak znikają gdzieś w nowym miejscu.

– Będę ich wypatrywał.

– Dzięki!

Ruszył dalej, Frejdis razem z nim. Potargał jej włosy.

Czy tak będzie wyglądać teraz jego życie? Spokojna wiejska okolica, żadnego Gartha, miłe towarzystwo Frejdis, Sassy, Bjarniego, Kifa, Wulfa i, nie bójmy się tego powiedzieć, Eryka, ćwiczenia z Thyri, w czasie których może nadarzyć się okazja na małe romantyczne co nieco, żadnych morderczych owslanek na ich tropie?

To chyba zbyt piękne, aby było prawdziwe.



Sitsi Pustułka wypuściła strzałę w dokładnie tym samym momencie, w którym coś małego i futrzastego spadło jej na głowę. Pocisk poszybował w niebo, wysoko ponad grzyboludami.

– Co jest...?

Mały szop pognął w krzaki.

To było dziwne! Czy jeszcze jakieś zwierzę spadnie jej na łeb?

Spojrzała w górę.

Nie, chyba nie. I wyglądało na to, że grzyboludy nie zauważyły jej strzały. Wciąż szły traktem jak wesoła, beztroska rodzinka w świąteczny dzień. Wyjęła drugą strzałę z kołczana.



– Widziałeś tę strzałę? – powiedziała Bodila Gęsiodzioba.

– Jaką strzałę? – zdziwił się Bjarni.

– No tę, co przeleciała nam nad głowami.

– WSZYSCY PADNIJ! ŁUCZNICZY! – wrzasnął Kurza Twarz. Padł na ziemię, ciągnąc Bodilę za sobą. – Pewna jesteś, że to była strzała? – spytał.

– Albo bardzo chudy i bardzo szybki ptaszek – powiedziała z namysłem.



Sitsi spudłowała chyba o dwie mile, co było tak niecodzienne jak siedmionogi ryś, a chwilę później wszystkie grzyboludy padły na ziemię, kryjąc się w wysokiej trawie przed strzałami Pustułki.

Nieważne, pomyślała Tornado. Miały ich na widelcu. Wyszła z ukrycia i ruszyła drogą w ich kierunku, dobywszy topora. Z lasu po przeciwnej stronie doliny wyłoniła się Chogolisa i pobiegła jej na spotkanie. Jutrzenka i Paloma opuściły swoją kryjówkę na północy, a Sitsi na południu.

Ich ofiary były otoczone. Nie miały szans.



Finnbogi patrzył przez trawę. Nie ośmielił się podnieść, obawiając się strzał. Jedna z owslanek biegła do nich ścieżką, a za nią mały czarnoksiężnik. Napierały na nich ze wszystkich stron.

A więc wreszcie ich dopadły. Finn poczuł na karku zimny oddech śmierci. Jakie to dziwne, że za parę minut będzie w zupełnie innym świecie. Miał tylko nadzieję, że nie będzie tam Gartha. Dopiero co się od kutasa uwolnił.

Ottar i Frejdis leżeli w trawie przed nim. Dzielne dzieciaki, umrą tak młodo.

Wyszarpnął Wrogobójcę z pochwy. Zrobi dla nich, ile zdoła, to znaczy najprawdopodobniej umrze śmiercią bohatera, dzielnie parując ciosy.

Lecz wtedy śmieszny mały Ottar wstał.

– Ottar, na dół! – zaskrzeczał Finnbogi.

– Wooo-ta! – krzyknął malec.



Chłopiec podniósł się z trawy. Sitsi uniosła łuk. Patrzył na nią. Dociągnęła cięciwę do nosa. Chłopczyk miał bladą skórę i obezwładniająco niebieskie oczy grzyboluda, ale czarne włosy

Calnianina. Jego policzki były czerwone jak jabłuszka, a pokryty śliną podbródek lśnił w słońcu. Przez te zbyt wielkie oczy i zapluta brodę wyglądał jak wiele dzieci o nierozwiniętych umysłach. Jak choćby jej bracia.

Opuściła łuk.

Chłopiec uśmiechnął się do niej.



Sofi Tornado ujrzała wstającego chłopca oraz Sitsi Pustułkę, która z jakiegoś powodu jeszcze go nie zastrzeliła. To żadne zaskoczenie, bo drobna łuczniczka zawsze była najżyczliwszą z owslanek, a bez mięsa grzechotnika o diamentowym grzbiecie i osy tarantulojastrzębiej wróciła naturalna ludzka niechęć do krzywdzenia dzieci.

Nieważne. Sofi miała misję do wypełnienia i żadnych zahamowań. Ruszyła na chłopca, unosząc topór.



Wysoki blondyn wyskoczył z trawy, by powstrzymać chłopca. No to jedziemy, pomyślała Sitsi. W ten sposób zrewanżuję się za niezabicie małego. Podniosła łuk, wymierzyła w twarz i puściła strzałę.



Wulf podniósł się, zanim do Sassy dotarło, że Ottar minął ją spokojnym krokiem. Gryziwarga wiedziała z doświadczenia, co się dzieje z człowiekiem, który wychyla się z kryjówki, kiedy mierzą do niego łucznicy.

– Nie! – Kopnęła męża w nogę, ucapiała za skórnię i pociągnęła na ziemię. Strzała, która przebiłaby mu głowę na

wylot, przefrunęła ze świstem i wbiła się w ziemię dziesięć kroków dalej.



Sofi Tornado przyspieszyła kroku.

Chłopiec szczyrzył się do niej.

Zaraz zmażę ci ten uśmiech, pomyślała, składając się do śmiertelnego ciosu.

Ktoś złapał ją za rękę.

Obróciła się.

Yoki Choppa trzymał ją mocno za nadgarstek.

Delikatnie, lecz zdecydowanie opuścił jej rękę, kręcąc głową. A ona, ku swojemu zdziwieniu, pozwoliła mu na to.

Czarnoksiężnik wyminął ją. Chłopiec uniósł rękę, a Yoki Choppa schylił się do niego. Malec zarzucił mu rękę na szyję. Czarnoksiężnik podniósł go i mocno przytulił, jak wojownik, który wrócił z wojny do synka.

– Co tu się wyprawia – Sofi cofnęła się o krok – na rozżarzone jajca Innowaka?



Paloma Widłoróg spojrzała na Jutrzenkę, która wyglądała na tak samo zaskoczoną jak ona, a potem obie wróciły wzrokiem do Yokiego Choppy, który stał pośród traw i tulił do piersi dziecko.

Rety – tylko tyle przyszło jej na myśl.

Chogolisa Zadrzyzemia patrzyła na czarnoksiężnika jak żona, która po powrocie do domu zastała męża z kutasem w odbyticy cielaka. Sitsi Pustułka rzuciła łuk. Nawet grzyboludy wychylały się wolno z trawy, patrząc na widowisko z rozdziawionymi ustami, wcale nie mądrzejsi od Calnianek.

Jedyną osobą, która zareagowała z jakąś godnością, była mała dziewczynka. Wstała i podeszła spokojnie do chłopca i czarnoksiężnika.

Yoki Choppa przełożył sobie chłopca na jedną rękę, kucnął i podniósł dziewczynkę, po czym wstał.

– Dzisiaj nikt tu nie umrze – oznajmił jednym i drugim.

– Jeżeli w ciągu trzech uderzeń serca nie powiesz mi dlaczego – syknęła Sofi Tornado – to umrą wszyscy, a pierwszy umrze pewien zdradziecki calnijski czarnoksiężnik.

– Ja też chciałbym wiedzieć, co jest grane – rzekł podnoszący się z trawy Gruby Wulf.

– Zaraz wam wszystko wyjaśnię – obiecał Yoki Choppa. – To całkiem proste, ale zajmie więcej niż trzy uderzenia serca.



ROZDZIAŁ 12

Tam i z powrotem

Yoki Choppa zaprowadził Sofi Tornado i Grubego Wulfa z powrotem do Matki Wody. Grzybolud próbował nawiązać rozmowę, ale Sofi zupełnie nie miała do tego nastroju. Płonęła furią, która nie mogła się rozwiać – której nie chciała rozwiewać. Jowialnego, dziwacznie jasnowłosego grzyboluda dwa żarty dzieliły od topora w mózgu.

– Lepiej zamknij mordę – poradziła mu.

Facet kompletnie nie miał instynktu samozachowawczego.

Cokolwiek miał im powiedzieć Yoki Choppa – niezależnie od powodu, dla którego grzyboludy jeszcze nie gryzły ziemi, a one

nie ruszyły w drogę powrotną do domu, by napchać się magicznym mięsem i zakosztować wreszcie normalności – jedno było pewne ponad wszelką wątpliwość: czarnoksiężnik zrobił ją w jajo, a Sofi bardzo źle reagowała, kiedy ktoś robił ją w jajo.

Nie była aż taką wariatką, żeby nie posłuchać, co ma do powiedzenia, ale trudno jej było wyobrazić sobie inne zakończenie tej historii niż tylko jego trupa w przydrożnym rowie, a tych bladokórych dziwolągów piekących się nad ogniskiem.

Jeszcze bardziej doprowadzało ją do szału to, że w głębi serca lubiła tych obcych.

„Posłuchaj” – odezwał się wkurzający głos w jej głowie, ten sam, który nieomal doprowadził ją do płaczu nad Kamienną Rzeką. „Ci ludzie są weseli, dzielni i życzliwi, świat z nimi jest z całą pewnością lepszym miejscem”.

Ale ona miała misję do wykonania, a celem misji było ich zabicie. Tylko to miało znaczenie. Powinni być martwi, a Sofi powinna się z tego cieszyć. Całe to niepotrzebne gadanie o tym, jacy są przemili, wynikało z tego, że nie zjadła swojej porcji mięsa, i wszystko to zaczynało ją powoli wkurwiać.

Dotarli na szczyt klifu. Czarnoksiężnik odnalazł płaski kamień, który formował naturalną ławeczkę z widokiem na dolinę Matki Wody. Poprosił dowódców, by usiedli.

– No dobra – powiedział i zaczął chodzić w kółko. Za nim płynęła wolno Matka Woda, a osuwające się za horyzont słońce zalewało świat pomarańczową poświatą. Gdzieś tam w oddali wznosiły się piramidy Calnii. Im szybciej Sofi tam trafi, tym lepiej. – Gruby Wulfie – podjął Yoki Choppa – ruszyłeś na zachód, bo Ottar Niemowa powiedział, że znajdziecie dom w miejscu o nazwie Łąki.

– Dokładnie. Mów mi Wulf.

– Sofi Tornado – czarnoksiężnik przeskoczył do niej wzrokiem

– ty gonisz grzyboludów... tak nazywamy twoje plemię, Wulfie... w związku z przepowiednią, wedle której sprowadzą oni na świat zagładę.

– Mam potwierdzić? Wiesz, że tak jest. – Już miała dość tej rozmowy. Zacisnęła palce na trzonku topora.

– Oboje musicie poznać swoje motywy.

– Streszczaj się.

– Możecie nazywać nas plemieniem Wota, nie grzyboludami. Jeśli chcecie. – Ten grzybolud naprawdę nie wiedział, kiedy się zamknąć.

– Zawrzyj gębę – rzuciła Sofi. – Yoki Choppo, masz pięć uderzeń serca, żeby przekonać mnie, bym nie zarżnęła was obu na miejscu.

– Oboje zostaliście oszukani. Ottar oszukał was, Wulfie, a ja was, Sofi.

Dowódczyni zamknęła oczy, otworzyła je i oddała powietrze przez nos.

– Cztery uderzenia.

– Plemię Wota i owslanki z Calnii zostali zjednoczeni przez Ottara Niemowę, żeby razem ruszyć w drogę na Łąki. Na Łąkach znajduje się źródło wielkiej mocy, która już zaczęła burzyć filary tego świata. Ostatnie anomalie pogodowe: wielkie tornado, które zabiło jednego z Wotan, żeby daleko nie szukać, to dowód na to, że świat zmierza ku zagładzie.

– A więc ten chłopiec poprowadzi owslanki na Łąki, żebyśmy zniszczyły źródło zagrożenia i ocaliły świat, tak?

– Nie. Musimy dopilnować, żeby to Ottar tam dotarł i żeby to on ocalił świat.

– Jesteś tego pewien?

– Nie.

– Ale wystarczająco pewien, żeby zdradzić Calnię?

– Tak.

- Czyli możemy zabić pozostałych grzyboludów?
 - Nie, są nam potrzebni.
 - Czemu?
 - Pojęcia nie mam.
 - Rozumiem. A więc spodziewasz się, że zdradzę Ayanę i podążę za dzieckiem, które kazano mi zabić, u boku ludzi, których kazano mi zabić, jeszcze dalej od Calnii, niż jestem w tym momencie?
 - Tak.
 - Nie mając ku temu żadnego innego powodu jak tylko twoje słowo?
 - Tak.
 - I planowałeś to, odkąd opuściliśmy Calnię? – Podejrzewała, że tak było. Ten oślizgły dziad... – Nie podałeś nam ani kawałka grzechotnika, odkąd wyruszyliśmy, prawda?
 - Kto by tam chciał... – wtrącił się Gruby Wulf.
 - Milcz, dobrze ci radzę. Odpowiedz, czarnoksiężniku.
 - Nie jadłyście grzechotnika już dwie noce przed opuszczeniem Calnii.
 - A więc zmieniłeś nas bez mojej wiedzy i zgody. Odebrałeś nam naszą bezwzględność, samą esencję tego, co czyni nas owslankami. To dlatego nie zabiłyśmy Goachików. To dlatego oszczędziłyśmy Lakchanów. To dlatego nie podjęłyśmy walki z potworami nad Sercojagodową Rzeką. To dlatego nie zabiłam Kifa. Grzyboludy...
 - Wotanie – poprawił Wulf.
 - Przerwij mi jeszcze raz, a cię zajebię, czy to jasne?
 - Jak słońce. – Kiwnął poważnie głową, ale śmiech nie opuszczał jego oczu. Czy ten debil niczego nie bierze na poważnie?
- Zwróciła się do Yokiego Choppy:
- Gdy zanadto zbliżyliśmy się do grzyboludów, musiałeś jakoś

zredukować naszą moc, żebyśmy ich nie dogoniły. Ta błyskawica w rękach kobiety Wielkich Gnatów to nie był przypadek. Zmówiłeś się z nimi, żeby pozbawiły cię zapasów.

– Nie. Dostrzegłem tylko szansę i postanowiłem ją wykorzystać. To nie ja tu kształtuję wypadki, tylko ten mały Wotanin. Sądzę, że to on przekonał Wielkie Gnaty, żeby z nami walczyły. Sądzę, że to on umieścił w mojej głowie myśl o zniszczeniu torby i stworzył mi do tego warunki.

– A ty nie mogłeś po prostu przestać karmić nas mięsem zwierząt mocy, bo twój poprzednik Pakanda powiedział o nich Jutrzenie. Gdybyśmy osłabły, ona zorientowałaby się, co się święci, i powiedziała mi lub od razu załatwiła to z tobą.

Potwierdził skinieniem.

Sofi utkwiała wzrok we własnych stopach. Gdyby to był ktoś inny, ktokolwiek poza Yokim Choppą, urwałaby mu łeb, zatłukła nim wszystkich grzyboludów po kolei, a potem zepchnęła ich z klifu. Ale czarnoksiężnik nie był ani kłamcą, ani wariatem. Nie zrobiłby tego wszystkiego dla zabawy. I było coś jeszcze...

– Czy przepowiednia Ayanny jest prawdziwa?

– Nie. Grzyboludy zniszczą przyrodę i zabiją nas wszystkich, i siebie również, ale nie wydaje mi się, żeby chodziło o tych tutaj. Jak słusznie zauważyła Paloma Widłoróg, za wielką wodą są ich miliony. Z plemienia Wulfa zostało się tylko jedenaścioro. Zabicie ich w celu niedopuszczenia do tego, żeby ziściła się przepowiednia Ayanny, to jak zabicie siedmiu mrówek w celu powstrzymania całej plagi.

Sofi pokiwała głową. Rozumiała to. Ale rozkazy to rozkazy, a ona wciąż nie była dostatecznie przekonana, by je złamać. I wciąż nie miała powodu, by nie zabić Yokiego Choppy za jego zdradę.

– Gdzie są te Łąki? – spytała.

– To wie tylko Ottar. Z tego, co słyszałem, znajdziemy je po

drugiej stronie Lśniących Gór.

– Lśniące Góry! Przecież to z tysiąc mil stąd!

– Tysiąc? – odezwał się Wulf.

– Morda.

– To prawda, od Lśniących Gór dzieli nas tysiąc mil, a droga wiedzie przez Badlandy. A Łąki od Lśniących Gór dzieli kolejne tysiąc mil. Aby do nich dotrzeć, będziemy musieli przebyć Pustynię z Której Się Nie Wraca.

Sofi Tornado rzadko traciła język w gębie, lecz teraz po prostu ją zatkało.

– To niewykonalna misja. A nawet więcej, bo nie dość, że mielibyśmy pokonać Badlandy, to jeszcze przedostać się przez góry, a potem, jakby tego było mało, przejść pustynię. To trzy niewykonalne misje w jednej, z czego każda kolejna gorsza od poprzedniej. Na miłość Innowaka...

– Prawda, zadanie do prostych nie należy. Dlatego właśnie chłopcu potrzebna jest pomoc owslanek.

– Owslanek napędzanych mocą, której je pozbawiłeś.

– Mocą, którą im przywrócę.

– A więc ja i moje kobiety mamy zdradzić Ayannę i wybrać się z grzyboludami w podróż, która zajmie lata i najprawdopodobniej zabije nas wszystkich?

– Tak.

– I mamy to zrobić, bo ty tak mówisz?

– Nie tylko dlatego. Zastanów się. Wiem, że ty wiesz, że po prostu trzeba to zrobić.

Oczywiście, ten mały drań miał rację. Jak zwykle. Ale nie dlatego, że Sofi czuła, że mówi prawdę, ani nie dlatego, że przemawiała do niej magiczna moc chłopca, tylko dlatego, że ufała Yokiemu Choppie bardziej niż komukolwiek. Jeśli on twierdził, że tak trzeba, to najwidoczniej tak trzeba. A jednak

wolałaby, żeby inaczej się do tego zabrał. Jego machinacje zabiły Talisę i tego nigdy mu nie wybaczy.



Wulf szedł wraz z Sofi Tornado i czarnoksiężnikiem ścieżką wiodącą przez polanę skąpaną w promieniach zachodzącego słońca. Sassa odetchnęła z ulgą, widząc, że jej mąż żyje, ale sądząc po wyrazie jego twarzy, do porozumienia nie doszło.

Wulf pożegnał się z Calnianami. Czarnoksiężnik odwzajemnił pożegnanie, ale dowódczyni owslanek po prostu odwróciła się i ruszyła drogą, nie zwracając uwagi ani na niego, ani na Wulfa.

– Co się dzieje? – spytała Sassa.

– Usiądźcie wszyscy – zakomenderował Wulf. – Mam wam sporo do powiedzenia.

Wotanie zebrali się wokoło. Sassa patrzyła, jak Kif próbuje usiąść obok Bodili, która usiłuje zająć miejsce obok Finna, który próbuje przysunąć się do Thyri. Miło było się przekonać, że pojawienie się pięknych owslanek nie zachwiało uczuciami, jakie Wotanie żywili do swoich upatrzonych Wotanek.

– Po pierwsze, jako się rzekło, nie jesteśmy już Harowianami. Jesteśmy plemieniem Wota. Przepraszam, wiem, że mieliśmy głosować, ale już powiedziałem Calnianom, że tak się nazywamy.

– Możesz przejść od razu do tej części, kiedy nas nie zabiły, bo Ottar wskoczył ich szamanowi na ręce? – poprosiła Sassa.

– Jasne.

Wulf opowiedział im wszystko.

– A niech to cap wygrzmoci – powiedziała Sassa, gdy skończył.
– W dupę.



ROZDZIAŁ 13

Perswazja

Coś błysnęło w alchemicznej misce Chippaminki. Kobieta odskoczyła i przywaliła głową w złotą statuetkę Innowaka.

– Zobacz, co z nią – poleciła Ayanna jednemu z mężczyzn. – Jeden, nie wszyscy. Wachlować dalej.

Poród zacznie się lada moment i było jej cholernie gorąco.

– Co zobaczyłaś? – spytała cesarzowa, gdy Chippaminka wróciła na poduszkę.

– Mam złe wieści, cesarzowo, ale i otworzyła się przed nami nowa możliwość, którą powinnaś rozważyć.

– Jestem za bardzo w ciąży, żeby znosić taką gadkę. Konkrety proszę.

– Złe wieści są takie, że Yoki Choppa zwrócił się przeciwko tobie i podstępem skłonił owslanki, żeby do niego przystały. Zabiera je do Badlandów. Ma zamiar zjednoczyć się z Badlandczykami, a potem wraz z nimi najechać Calnię.

– Nigdy by tego nie zrobił!

– Tak mówi miska, cesarzowo.

– A ta możliwość, o której wspomniałaś? – Ból przeszył jej brzuch na wylot i zelżał. Skurcze przychodzą w coraz regularniejszych odstępach. – Opowiedz mi o niej, wmasowując masę w mój brzuch.

Chippaminka złapała miskę z substancją, która dzień i noc stała teraz przy łożu Ayanny. Podgrzała ją w promieniach wielkiego słonecznego kryształu, nabrała nieco na palce, rozsunęła cesarzowej nogi i uniosła suknię. Smukła, półnaga dziewczyna wyglądała jeszcze szczuplej przy nabrzmiętym brzuszysku cesarzowej.

– Otóż nadarzyła się okazja, żebyśmy powstrzymali anomalie pogodowe. Okazuje się, że powoduje je czarna magia z Badlandów – powiedziała, wmasowując masę cudownie chłodnymi dłońmi. Zataczała niespieszne spirale naokoło rozdętego pępka, sunąc pod nabrzmięte piersi i z powrotem. – Alchemia powiedziała mi, że powinnaś zebrać swoje wojsko, przekroczyć Matkę Wodę, pomaszerować w głąb Badlandów i zabić wszystkich Badlandczyków.

– Calnianie nie przekraczają Matki Wody.

– Mówię tylko, co wyczytałam w misce. – Miękkie dłonie kobiety znów zataczały koła na brzuchu Ayanny, za każdym razem poszerzając kreślone palcami półokręgi.

Cesarzowa wydała z siebie głębokie westchnienie i zamknęła oczy.



EPILOG

Nadchodzą Badlandczycy

Badlandzki zwiadowca Nya Muka dosiadł swojego losia i skupił wzrok na sunącej przez równinę osobliwej procesji. Stał dwie mile od tych dziwacznych ludzi, skryty w kępie drzew na niewielkim wzniesieniu. Jego ulepszony mięsem myszołowa rdzawosternego wzrok pozwalał mu dostrzec podróżników tak wyraźnie, jakby byli dwadzieścia kroków od niego.

– To jakaś nowa ekipa – rzucił do Pustego Dziecka, które dosiadało wielkorogiej owcy.

Wielka i łysa głowa malca o nieokreślonej płci odchyliła się za bardzo na bok, a potem zanadto w górę. Białe, pozbawione

tęczówek oczy uniosły się i popatrzyły ślepo przed siebie. Nya Muka opowiedział chłopcu-dziewczynce o bladokórych tułaczach i wojowniczych kobietach. Te drugie były Calniankami, a ci pierwsi demonami. Tak przynajmniej mu się wydawało.

Szli osobno. Ten odstęp między dwiema grupami przywiódł mu na myśl wspomnienie z przeszłości. Kiedy miał osiem lat, jego klan podróżował wraz z innym klanem, z którym niezbyt się lubił. Przebyli wspólnie Morze Traw, dość blisko siebie, by w wypadku ataku czerpać korzyści z połączonej liczebności, ale dostatecznie daleko, by nie musieć ze sobą rozmawiać.



Dwadzieścia mil dalej Tansy Burna patrzyła na Wędrowca Równin, który ruszał właśnie w drogę powrotną do Badlandów. Jazda na grzbiecie sztyletozębnego kota przez Morze Traw była o wiele bardziej ekscytująca niż podróż na pokładzie wielkiego ziemnego okrętu wraz z jeńcami, ale sam potężny Wędrowiec oraz ilość magii potrzebna do jego zasilenia wciąż robiły na niej kolosalne wrażenie.

Wielomilionowe stado gołębi zerwało się do lotu, a każdy z nich był połączony nitką pajęczego jedwabiu z potężną konstrukcją Wędrowca Równin. Z potwornym skrzypieniem dziób olbrzymiego wehikułu drgnął i uniół się niczym odrywająca się od lądu wyspa, zasypując ziemię deszczem trawy i piachu. Setki bizonów przywiązanych do krawędzi spływu dźwignęły w górę masywny ogon jednostki. Stojąca na rufie szóstka Pustych Dzieci, która roztaczała władzę nad zwierzętami i sterowała Wędrowcem, zastygła nieruchomo w całkowitej koncentracji. Na pokładzie lądowego okrętu uwijali się jak w ukropie Badlandczycy, sprawdzając takielunek i klatki. Jeńcy wyli, wrzeszczeli, darli się wniebogłosy. Co było zupełnie

zrozumiały. Tansy Burna nie zazdrościła im losu, jaki czekał na nich w Badlandach.

Otoczający okręt jeźdźcy na sztyletozębnych kotach i łosiach zajęli pozycję przy obu burtach jednostki. Umieszczone za Wędrowcem Równin Puste Dzieci manewrowały stadem bizonów, które niosło paszę, łapisiatki, złożone klatki i inny ekwipunek. Pustych klatek było zbyt wiele. Łów, mimo że udany – złapali trochę ciekawej zwierzyny, w tym ich pierwszą Wielką Stopę – nie był jednak szczególnie obfity.

Odnalazła wzrokiem Rappę Hogę. Twarde rysy dowódcy ekspedycji jaśniały zwyczajową pewnością siebie, ale w jego brązowych oczach i minimalnie skrzywionych, wprost stworzonych do pocałunków ustach dostrzegła ślad rozczarowania.

Z zamyślenia wyrwało ją dudnienie kopyt. To Chapa Wangwa galopował na swoim łosiu. Nieschodzący z jego twarzy trupi wyszczerz zdradzał ekscytację rozbudzoną obietnicą okrucieństwa. Tansy Burna zadrżała.

– Rappo Hogo! – wrzasnął. – Puste Dzieci znalazły nową zdobycz. Jedenastu bladokórych i jasnowłosych demonów podróżujących z pięcioma wojowniczkami i jednym mężczyzną.

– Czy te wojowniczki to Calnianki?

– Zwiadowca mówi, że tak.

– Który zwiadowca?

– Nya Muka.

Rappa Hoga kiwnął głową. Jego kamienna twarz nie wyrażała niczego. – Jest coś jeszcze – to nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

– Podziwiam twoją przenikliwość, o wielki przywódco. – Czy ona usłyszała sarkazm w głosie Chapy Wangwy? – Dziecko mówi, że zarówno w jednych, jak i w drugich drzemie wielka magia i że są o wiele potężniejsi, niż wyglądają.

Sztyletozębny kot dowódcy ryknął i wpił się ślepiami w Chape Wangwę. Okrutny uśmiech jeźdźca zmienił się w wyszczerz przerażenia. Nastąpiła długa i smakowicie niezręczna cisza, którą Tansy Burna wypełniła marzeniem o tym, jak Rappa Hoga zrzuci swojego podwładnego z grzbietu łosia i pięściami zmienia jego twarz w krwawą miazgę.

– Osobiście poprowadzę łowców – rzekł w końcu Rappa Hoga.
– Każ wszystkim jeźdźcom sztyletozębów i stu jeźdźcom łosi przygotować się do drogi. Niech wezmą ze sobą maczugostrzały, więzikije i łapisiatki.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy Chapy Wangwy i przez moment była pewna, że będzie się spierał. Niby czemu dowódca wysyłał tak wielki oddział po tak nieliczną zwierzynę? Zrezygnował jednak i skinął tylko głową.

– Tansy Burno, przygotuj swoich jeźdźców i daj znać innym dowódcom sztyletozębów – dodał Rappa Hoga.

Tansy skinęła głową i ścisnęła udami boki swojego wielkiego kota. Uśmiechała się, pędząc do oddziału kocich jeźdźców. Kim byli ci ludzie, po których Rappa Hoga wysyłał armię dość silną, by oblegać miasto?

Już nie mogła się doczekać, aż ich złapie i przekona się sama.

Koniec księgi pierwszej

Nota historyczna

Niniejsza powieść należy do gatunku fantasy, ale przy jej pisaniu inspirowałem się dziejami wikingów, którzy tysiąc lat temu wylądowali na brzegu Ameryki Północnej.

Wikingowie

Z zapisków historycznych, których prawdziwość możemy udowodnić, wyczytamy, że dotarli aż do Nowej Fundlandii. Warto jednak pamiętać, że historia wie o przeszłości bardzo mało. Całe imperia powstawały i znikwały, robiąc w międzyczasie mnóstwo rzeczy, po których nie ostał się ani jeden ślad. Przykładowo, nie ma żadnych fizycznych dowodów na wielkie inwazje Cezara w Brytanii w latach 55–54 p.n.e. (patrz: Czas żelaza). Gdyby nie napisało o nich kilka osób, nie wiedzielibyśmy, że w ogóle do nich doszło (a co ważniejsze, nie powstałby Czas żelaza). Wyobraźcie sobie tylko, jakie inne doniosłe wydarzenia przeszły w historii zupełnie bez echa.

Tak więc zakładając, że wikingowie rzeczywiście byli śmiałymi, nieustraszonymi podróżnikami, których najważniejszą maksymą były powtarzane jak mantra słowa „umrzesz, kiedy umrzesz”, nie sądzę, by długo zagrzali miejsce w Nowej Fundlandii. Jestem pewien, że zamiast osiąść na laurach, zapuszczali się głębiej w Amerykę.

Jest całkiem prawdopodobne, że ci wielcy żeglarze i szaleni poszukiwacze przygód dopłynęli swoimi płytkimi łodziami aż do Rzeki Świętego Wawrzyńca i Wielkich Jezior, a może nawet zamoczyli pagaje w wodach jeziora Michigan, płynąc pięćdziesiąt mil na północ od miejsca, gdzie obecnie wznosi się miasto Chicago (które może nazywali, a może nie nazywali Harówką). Musieliby jakoś przebyć wodospad Niagarę, ale mały wodospadzik nie powstrzymałby na długo twardzieli pokroju wikingów. Gdy już otrzepali pióra na brzegu jeziora Michigan, mogli zacząć się zastanawiać, co też leży po drugiej stronie kontynentu.

Jest pewnie mniej prawdopodobne, że napotkali na swojej drodze tygrysy szablozębne i że ganiały za nimi napędzane magią superwojowniczkami, ale, jak już wspomniałem, to fantasy.

Próbowałem trzymać się faktów, opisując wikińską technologię i kulturę. Chrześcijańscy wikingowie na przykład rzeczywiście chowali swoich zmarłych pod wetkniętymi w ziemię rurkami na wodę święconą, sugestia Frejdis, że jarl Brodir miałby skłaniać niedźwiedzie do pederastii, mogła być zwyczajową wikińską obrazą, a plemienne zbory naprawdę nazywano tingami.

Rdzenni Amerykanie

Pomimo mnogości źródeł dotyczących wikingów wiemy o nich tak naprawdę niewiele. Nie mamy na przykład pojęcia, jak czcili swoich nordyckich bogów.

O rdzennych mieszkańcach prekolumbijskiej Ameryki wiemy jeszcze mniej.

Pierwszą rzeczą, którą musimy zrozumieć, jest to, że nie mówimy w ogóle o jednej grupie ludzi, tak jak mówiąc

o wikingach, nie mówimy o, dajmy na to, starożytnych Egipcjanach. Ameryka Północna i Południowa to wielkie połacie ziemi zamieszkane przez milion bardzo zróżnicowanych plemion. Gdybyśmy nawet dzisiaj powiedzieli, że dwaj rdzenni Amerykanie są częścią tej samej kultury, to tak jakbyśmy spodziewali się, że rodowity glasgowczyk będzie pił uzo, jadł musakę i szarpał struny buzuki na zboczach Olimpu.

Drugim często spotykanym błędem jest przekonanie, że prekolumbijscy Amerykanie byli prymitywni jak jaskiniowcy. Jest w tym ziarno sensu, bo rzeczywiście wyrabiali narzędzia z kamienia, ale na przykład tysiąc lat temu miasto Cahokia, leżące nieopodal współczesnego Saint Louis, było wielkie jak Londyn i mieszkało w nim dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Ale podczas gdy Londyn był rozciągniętym na znacznej przestrzeni bałaganem, Cahokia była zaplanowaną w najdrobniejszych szczegółach metropolią o szerokich bulwarach, potężnych piramidach o złotych wierzchołkach oraz dołach pogrzebowych, niektórych wypełnionych tylko ciałami młodych kobiet. Ma się rozumieć, Calnia to właśnie Cahokia.

Po drugiej stronie Gór Skalistych w Mesa Verde (dojdziemy tam w części trzeciej) znajdują się tysiącletnie kamienne miasta wbudowane w zbocze klifu (które można oglądać po dziś dzień, a nawet trzeba, jeśli ktoś choć trochę interesuje się takimi rzeczami).

Zarówno Cahokia, jak i Mesa Verde zostały opuszczone około siedmiuset lat temu, na długo przed inwazją z Europy. Nikt nie wie dlaczego. Zwykle wspomina się o zmianie klimatu, wojnie lub jednym i drugim, ale mieszkańcy Cahokii i Mesa Verde równie dobrze mogli zbudować raketę i ruszyć w kosmos, by zasiedlić inną planetę. Tak naprawdę nie mamy pojęcia, co tam zaszło. To właśnie takie zagwozдки sprawiają, że piszę fantazy historyczną.

Tak więc próbowałem trzymać się znanych faktów o prekolumbijskiej strukturze i technologii, ale same plemiona i ich cechy charakterystyczne po prostu wymyśliłem, luźno bazując na książkach historycznych.

Flora, fauna i krajobraz

Żarłacze tępogłowe wciąż wpływają do rzeki Missisipi i docierają przynajmniej do Illinois. Kamienna Rzeka jest dopływem Missisipi, więc, wiercie lub nie, teoria o plemieniu Indian składających tysiąc lat temu ofiary rekinom nie jest aż tak wyszana z palca, jak można by przypuszczać.

Próbowałem trzymać się faktów, jeśli idzie o zwierzęta, krajobraz i roślinność, z pominięciem kraszponów, sztylotozębnych kotów i niedźwiedzicy Eryka Złośnika. Te zwierzęta były znane powszechnie pod nazwą olbrzymich leniwców, tygrysów szablozębnych i niedźwiedzi krótkopyskich. Oficjalnie wszystkie te gatunki wymarły na dziesięć tysięcy lat przed wydarzeniami opisanymi w tej książce, ale ja przywróciłem je do życia i nieco powiększyłem tygrysy. Dwa pozostałe gatunki naprawdę były tak wielkie, jak opisałem.

Podziękowania

Dziękuję wylewnie, z głębi serca mojej nieocenionej żonie Nicoli, bez której nic nie byłoby możliwe.

Dziękuję też moim synom Charliemu i Ottarowi za całą wspólną zabawę i niedobór snu. (Jeśli się zastanawiacie, to tak, Ottar Niemowa jest nieco starszy od małego Otty'ego, naszego synka. Wspomniałem kiedyś żonie o tym imieniu i spodobało jej się. Ale samo imię, nie przydomek braciszka Frejdis).

Dziękuję Joyce Boxall i Danielle Evans za to, że zajmowały się Charliem i Ottarem, dając mi nieco czasu na odwalenie roboty w ciągu dnia.

Podziękowania należą się też ekipie domu wydawniczego Orbit and Writers House za ich całkowite oddanie i dzielne trwanie u mego boku, a zwłaszcza mojej redaktorce Jenni Hill i agentce Angharad Kowal.

Dziękuję doktorowi Mike'owi Voorhiesowi, emerytowanemu profesorowi nauk o ziemi i atmosferze z University of Nebraska-Lincoln, oraz profesorowi Robertowi E. Warrenowi, znakomitemu antropologowi z Muzeum Stanowego Illinois, za ich pomoc we wspólnym malowaniu obrazu Ameryki Północnej sprzed tysiąca lat.

Pragnę też gorąco podziękować moim beta readerom: Timowi Watsonowi i Amy Dean. Oboje bardzo pomogli ulepszyć tę książkę.

Dziękuję także władzom stanów Illinois, Iowa, Nebraska, Dakota Południowa, Kolorado, Utah i Nevada za ich gościnność i oszałamiające widoki. Szczególnie pragnę podziękować pewnemu nebraskiemu funkcjonariuszowi policji stanowej, który pouczył mnie tylko, gdy przekroczyłem dozwoloną prędkość, oraz pewnemu lekarzowi ze Sioux Falls w Dakocie Południowej, który wyjaśnił, że ten kleszcz, który ku mojemu wielkiemu zmartwieniu wpił się w miejsce na moim ciele nazywane dolną partią pleców, był tak naprawdę rozdrapanym pieprzykiem, a także pewnemu farmerowi z Kalifornii, który przyszedł mi z pomocą, gdy mój samochód utknął na skałach.

Dziękuję też wszystkim, którzy przeczytali *Czas żelaza* i napisali pozytywną recenzję. Dziękuję wszystkim, którzy napisali do mnie e-maile, zatweetowali lub zafacebookowali, czy też w jakikolwiek inny sposób dali mi znać, że im się podobało. Pisanie to osobliwa profesja – człowiek całymi dniami przesiaduje w domu, podczas gdy reszta świata dobrze się bawi. E-mail od człowieka, któremu podoba się moja książka, to potężny zastrzyk energii, pozytywnie nastrajający na resztę dnia żmudnej częstokroć pracy.

Proszę was, byście nie krępowali się i zamieścili gdzieś w internetach recenzję *Umrzesz, kiedy umrzesz*. Jeśli książka nie przypadła wam do gustu, no cóż, dzięki, że doczytaliście do tego miejsca, i jakby co, to nie kłopotczcie się recenzją.